

John Katzenbach

Analityk

Moim kolegom i koleżankom wędkarzom:

Ann, Peterowi, Philowi i Leslie

Część 1

LIST

Rozdział 1

Nie spodziewał się, że przeżyje ten rok. Pięćdziesiąte trzecie urodziny spędził – jak wszystkie inne dni – słuchając ludzi skarżących się na swoje matki. Bezmyślne, okrutne, prowokujące seksualnie. Zmarłe, lecz żyjące w umysłach swoich potomków. Matki, które nie umarły, lecz których dzieci miały ochotę je zabić. Zwłaszcza pan Bishop, ale też panna Levy i ten nieszczęsny Roger Zimmerman, dzielący mieszkanie na Upper West Side oraz – jak można było przypuszczać – życie na jawie i we śnie ze złośliwą, manipulującą nim hipochondryczką, która dusiła w zarodku każdą nieśmiałą próbę wydostania się spod jej kontroli. Wszyscy oni wykorzystali tego dnia cały przeznaczony dla nich czas, wylewając potoki gorzkiego jadu na kobiety, które wydały ich na świat.

Słuchał w milczeniu tych pełnych morderczej nienawiści tyrad, z rzadka tylko wtrącając delikatny komentarz, nie próbując tamować kipiącej na kozetce wściekłości, cały czas jednak marząc, by choć jeden z jego pacjentów wziął głęboki oddech, opamiętał się na chwilę i zobaczył, czym naprawdę jest jego gniew – wściekłością na samego siebie. Wiedza i doświadczenie podpowiadały mu, że po latach gorzkich opowieści w oderwanym od świata gabinecie psychoanalityka każde z nich, nawet nieszczęśliwy, zdesperowany i okaleczony psychicznie Roger Zimmerman, dojdzie w końcu do tego wniosku.

Mimo to urodziny, przypominające mu dosadnie o jego własnej śmiertelności, sprawiły, że zaczął się zastanawiać, czy on sam doczeka takiej chwili, która jest ukoronowaniem pracy każdego psychoanalityka.

Jego ojciec zmarł niedługo po tym, jak skończył pięćdziesiąt trzy lata, kiedy osłabione latami stresu i przypalania papierosa od papierosa serce odmówiło wreszcie posłuszeństwa. Nie mógł zapomnieć o tym złowróżnym fakcie. Kiedy więc męczący Roger Zimmerman jęczał i skamlał, korzystając z ostatnich minut ostatniej tego dnia sesji, nie słuchał go tak uważnie, jak powinien. Wtedy właśnie usłyszał stłumiony trzykrotny dźwięk dzwonka w poczekalni.

Dzwonek sygnalizował, że przyszedł następny pacjent. Każdy nowy klient był przed pierwszą sesją informowany, że po wejściu ma zadzwonić dwa razy, szybko i krótko, po czym jeszcze raz, dłużej. W ten sposób wiadomo było, że to nie akwizytor, inkasent z gazowni, sąsiad czy kurier z przesyłką.

Nie zmieniając pozycji, zerknął do notesu leżącego obok zegara na małym stoliku za głową pacjenta. Na osiemnastą nikt nie był umówiony.

Zegar pokazywał siedemnastą czterdzieści osiem. Roger Zimmerman zeszytniał.

– Myślałem, że zawsze jestem ostatni.

Nie odpowiedział.

– Nikt nigdy po mnie nie przychodził, przynajmniej niczego takiego nie pamiętam. Ani razu.

Zmienił pan plan wizyt i nic mi nie powiedział?

Milczał.

– Nie podoba mi się, że ktoś miałby przychodzić po mnie – powiedział stanowczo Zimmerman. – Chcę być ostatni.

– A dlaczego? – spytał w końcu.

– Być ostatnim to tak, jak być pierwszym – odparł Zimmerman ostro, jakby chciał powiedzieć, że każdy idiota by na to wpadł.

Skinął głową. Pacjent poczynił intrygującą i trafną obserwację, jednak jak zwykle zrobił to w ostatniej chwili. Nie na początku sesji, kiedy mogliby rozwinąć tę myśl w pożyteczną dyskusję, mając przed sobą pięćdziesiąt minut.

– Niech pan spróbuje pamiętać o tym jutro – powiedział. – Od tego zaczniemy. Obawiam się, że dzisiaj nasz czas już się skończył.

Zimmerman zawahał się, zanim usiadł.

– Jutro? Niech mnie pan poprawi, jeśli się mylę, ale jutro jest ostatni dzień przed pana wyjazdem na te głupie sierpniowe wakacje, jak każdego cholernego roku. Co mi to pomoże?

Znów nic nie odpowiedział, pozwalając pytaniu zawisnąć nad ich głowami. Zimmerman parsknął głośno.

– Zresztą ktokolwiek przyszedł, i tak pewnie jest bardziej interesujący niż ja – stwierdził gorzko, spuścił nogi z kanapy i popatrzył na doktora.

– Nie lubię, kiedy coś się zmienia – oznajmił zdecydowanie. – Wcale a wcale.

Wstał z wściekłością w oczach, a po jego twarzy przemknął złośliwy grymas.

– Powinno być tak samo za każdym razem. Przychodzę, kładę się, zaczynam mówić. Zawsze ostatni. Tak właśnie powinno to wyglądać. Nikt nie lubi, kiedy coś się zmienia. – Westchnął z rezygnacją. – Dobrze, niech będzie jutro. Ostatnie spotkanie, zanim pojedzie pan do Paryża, na Cape Cod, na Marsa czy gdzie tam pan się wybiera, zostawiając mnie tu samego.

Obrócił się na pięcie i wyszedł szybko, nie oglądając się za siebie.

Doktor siedział przez chwilę w fotelu, nasłuchując cichnących kroków rozszoszczonego pacjenta. Potem wstał, czując ciężar wieku w zeszywniałych od długiego siedzenia stawach i mięśniach, i ruszył do wyjścia – drugich drzwi, prowadzących do skromnej poczekalni. Gabinet, w którym kilkadziesiąt lat temu otworzył praktykę, był pod kilkoma względami dość wyjątkowy; właśnie dlatego wynajął to mieszkanie rok po skończeniu stażu i spędził w nim ponad ćwierć wieku.

Prowadziło do niego troje drzwi: jedno z przedpokoju, zamienionego w małą poczekalnię, drugie bezpośrednio z korytarza i trzecie, łączące pomieszczenie z niewielką kuchnią, salonikiem i sypialnią. Gabinet był czymś w rodzaju wysepki, a drzwi przypominały portale prowadzące do innych światów. Często traktował go jako punkt, w którym łączyły się trzy różne rzeczywistości.

Podobało mu się to, ponieważ wierzył, że taki brak kontaktu ze światem zewnętrznym czyni jego pracę nieco łatwiejszą.

Nie miał pojęcia, który z pacjentów wrócił bez zapowiedzi. Nie pamiętał, by choć raz w ciągu wszystkich lat praktyki zdarzyło się coś takiego.

Nie mógł też wyobrazić sobie, by którykolwiek z nich znalazł się w sytuacji na tyle dramatycznej, by tak brutalnie naruszać równowagę stosunków ze swoim terapeutą. Zawsze polegał na rutynie i cierpliwości.

To słowa, wypowiedane w złudnej, lecz absolutnej świętości gabinetu psychoanalitika, miały torować w umyśle pacjenta drogę do zrozumienia.

Zimmerman miał rację – zmiany nie były dobre.

Przeszedł przez gabinet nieco szybszym niż zazwyczaj krokiem, poruszony myślą, że w jego zbyt monotonne i całkowicie przewidywalne życie wtargnęło właśnie coś niepokojącego.

Otworzył drzwi poczekalni i zajrzał do środka.

Pokój był pusty.

Stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Przyszło mu do głowy, że może się przesłyszał, ale przecież Zimmerman również zwrócił uwagę na charakterystyczny dźwięk dzwonka, oznajmiający, że do poczekalni wszedł ktoś, kto już tu kiedyś był.

– Halo? – powiedział, chociaż było oczywiste, że nikt go nie słyszy.

Zaskoczony, zmarszczył czoło i poprawił okulary w drucianych oprawkach.

– Ciekawe – powiedział głośno.

Wtedy zauważył leżącą na krześle kopertę. Odetchnął głęboko, pokiwał głową i pomyślał, że to trochę zbyt melodramatyczne, nawet jak na kogoś z jego obecnej listy przypadków.

Podniósł kopertę. Wydrukowane było na niej jego nazwisko.

– To ciekawe – powtórzył.

Zawahał się i przytknął list do czoła, jakby telepatycznie próbował odgadnąć, kto go zostawił. Nie mógł jednak dopasować go do nikogo spośród tuzina osób, którymi się zajmował. Wszyscy woleli mówić prosto z mostu o tym, co ich dręczy. Chwilami było to męczące, ale stanowiło nieodłączną część procesu leczenia.

Rozdarł kopertę i wyjął z niej dwie zadrukowane kartki. Pierwszy wers brzmiał:

Wszystkiego najlepszego z okazji pięćdziesiątych trzecich urodzin, doktorze. To pierwszy dzień Pana śmierci.

Odetchnął głęboko. Duchota w poczekalni przyprawiła go o zawrót głowy; musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

Doktor Frederick Starks, psychoanalityk, mieszkał sam, nawiedzany przez wspomnienia innych ludzi.

Podszedł do małego staroświeckiego biurka, które dostał piętnaście lat temu od żony. Od jej

śmierci minęły trzy lata, ale kiedy przy nim siadał, wciąż wydawało mu się, że słyszy jej głos. Rozłożył na blacie kartki. Pomyślał, że minęła chyba dekada, odkąd tak naprawdę czegoś się bał. Wtedy była to diagnoza postawiona przez onkologa jego żony. Teraz czuł w ustach ten sam kwaśny posmak, a serce tukało się w piersi tak jak wtedy.

Odczekał cierpliwie kilka chwil, starając się uspokoić. Poczul się dojmująco samotny. Nienawidził tej samotności, bo zdawał sobie sprawę, jaki stał się przez nią wrażliwy.

Ricky Starks – rzadko dawał komuś odczuć, że woli młodzieńcze brzmienie tego zdrobnienia od poważnego Fredericka – był człowiekiem lubiącym ład i regularność. Jego oddanie ustalonemu porządkowi rzeczy zakrawało na obsesję. Uważał, że spokojny i uporządkowany tryb życia jest jedynym sposobem radzenia sobie z niepokojem i chaosem, z którym przychodzili do niego pacjenci. Był wysokim mężczyzną – mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt – a codzienne spacerowanie w porze lunchu i niezłomne odmawianie sobie ulubionych lodów i słodczy sprawiły, że był ascetycznie chudy.

Nosił okulary, co w jego wieku nie było niczym niezwykłym, ale chlubił się tym, że wciąż nie były one zbyt silne. Włosy były tylko lekko przeredzone. Rzucił palenie, a czasami wypijał wieczorem lampkę wina, by lepiej spać. Zdażył przywyknąć do swojej samotności; nie zrażały go samotne posiłki w restauracjach ani chodzenie do kina czy na broadwayowskie przedstawienia w pojedynkę. Uważał, że ciało i umysł ma w doskonałym stanie. Czuł się o wiele młodszy, niż był w rzeczywistości. Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że w wieku, który właśnie osiągnął, zmarł jego ojciec i pomimo braku logiki takiego rozumowania nie sądził, że go przeżyje. Wydawało mu się to w jakiś sposób niewłaściwe.

Nie jestem gotowy na śmierć, pomyślał jednak, patrząc na pierwsze słowa listu. Po chwili zaczął czytać, zastanawiając się nad każdym zdaniem, pozwalając przerażeniu i wzburzeniu zapuścić korzenie w swojej duszy.

Istnieję gdzieś w Pana przeszłości.

Zrzuńował mi Pan życie. Może Pan nie wie, dlaczego ani nawet kiedy, ale tak się stało. Przez Pana każda jego sekunda była przepełniona smutkiem. Zrzuńował Pan moje życie, a teraz ja zamierzam zrzuńować Pańskie.

Ricky Starks znów głęboko odetchnął. Żył w świecie, w którym nic nieznaczące pogrozki i fałszywe obietnice były czymś pospolitym, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że słowa, które widzi przed sobą, to zupełnie co innego niż niejasne groźby, do których wysłuchiwanie przywykł.

Z początku wydawało mi się, że powinienem Pana po prostu zabić i w ten sposób wyrównać rachunki. Potem zdałem sobie sprawę, że byłoby to zbyt proste. Jest Pan żałośnie łatwym celem, doktorze. Nie zamyka Pan drzwi na klucz. Od poniedziałku do piątku spaceruje Pan wciąż tą samą trasą. W weekendy jest Pan cudownie przewidywalny: wyprawa w niedzielny poranek po

„Timesa”, cebulowa bułeczka i kawa orzechowa z podwójnym cukrem, bez mleka, w eleganckiej kawiarence dwie przecznice na południe od Pańskiego mieszkania.

To zdecydowanie za łatwe. Zaczajenie się i zabicie Pana nie byłoby żadnym wyzwaniem. Biorąc pod uwagę łatwość, z jaką można by takiego morderstwa dokonać, nie byłem pewien, czy dostarczyłoby mi ono wystarczającej satysfakcji.

Uznałem, że będzie lepiej, jeśli sam się Pan zabije.

Starks poruszył się niespokojnie w fotelu. Czuł gorąco bijące od tych słów, ogarniające jego czoło i policzki. Miał spierzchnięte usta; bezskutecznie spróbował zwilżyć je językiem.

Niech się Pan zabije, doktorze.

Niech Pan skoczy z mostu. Palnie sobie w łeb z pistoletu. Wejdzie pod autobus. Rzuci się pod pociąg. Odkręci gaz. Niech Pan znajdzie odpowiednią belkę i się na niej powiesi. Sposób zależy od Pana.

Pana samobójstwo będzie o wiele stosowniejsze, a już z całą pewnością o wiele bardziej mnie satysfakcjonującym sposobem spłaty Pańskiego długu.

Oto więc zasady gry, do której Pana zapraszam: ma Pan dokładnie piętnaście dni, zaczynając od jutra, od szóstej rano, na odkrycie, kim jestem.

Jeśli się Panu uda, musi Pan wykupić jedno z tych maleńkich ogłoszeń na dole pierwszej strony „New York Timesa” i wydrukować tam moje nazwisko. Tylko tyle: niech Pan poda moje nazwisko.

Jeśli się Panu nie uda... W tym momencie zaczyna się zabawa. Proszę zauważyć, że druga kartka zawiera imiona i nazwiska pięćdziesięciorga dwojga Pana krewnych. Od sześciomiesięcznego niemowlęcia, dziecka Pańskiej siostrzenicy, po Pańskiego kuzyna, inwestora z Wall Street, starego kapitalisty, tak samo oschłego i nudnego jak Pan. Jeśli nie zgadnie Pan, kim jestem, będzie Pan miał następujący wybór: albo bezzwłocznie się Pan zabije, albo ja zniszczę jedną z tych niewinnych osób.

Zniszczę.

Co za intrygujące słowo! Może oznaczać ruinę finansową albo kompromitację w towarzystwie. Może też oznaczać załamanie psychiczne. Albo morderstwo. Niech się Pan nad tym zastanowi. Może to być ktoś młody albo stary. Mężczyzna lub kobieta. Bogaty albo biedny. Mogę Panu obiecać jedno: spotka ich krzywda, której oni – albo ich ukochani – nigdy nie zapomną i z której nigdy się nie otrząsną, choćby nie wiadomo jak długiej poddali się terapii.

A cokolwiek to będzie, Pan przeżyje każdą sekundę, jaka pozostała Panu na tym świecie ze świadomością, że to tylko i wyłącznie Pana wina.

Chyba że wybierze Pan bardziej honorowe wyjście i wcześniej się zabije, oszczędzając temu komuś losu, jaki dla niego przygotowałem. Ma Pan wybór: moje nazwisko albo Pana nekrolog. W tej samej gazecie, oczywiście.

Aby dać dowód moich możliwości i zasięgu moich planów, skontaktowałem się z jedną z osób z listy i przekazałem jej pewną wiadomość. Zachęcam, aby resztę wieczoru spędził Pan, dowiadując się, kogo dosięgnąłem i w jaki sposób. Potem, z samego rana może się Pan zabrać za swoje główne zadanie.

Oczywiście nie spodziewam się, że odgadnie Pan moją tożsamość.

Aby więc udowodnić, że nieobcy jest mi duch rywalizacji, postanowiłem co jakiś czas w ciągu następnych piętnastu dni podrzucać Panu jakieś podpowiedzi. Tylko po to, by rozgrywka była bardziej interesująca, chociaż ktoś tak inteligentny jak Pan zauważy, że cały ten list pełny jest wskazówek.

Mimo to mała podpowiedź. Zupełnie za darmo.

Kiedyś wesoło było na świecie, Matka, ojciec i małe dziecię.

Szczęśliwy czas jednak upłynął, Kiedy mój ojciec w dal odpłynął.

Poezja nie jest moją mocną stroną.

Nienawiść tak.

Może Pan zadać trzy pytania. Odpowiedzi mają brzmieć „tak” lub „nie”.

Proszę skorzystać z tego samego sposobu – ogłoszeń na pierwszej stronie „New York Timesa”. Odpowiem w sposób, który uznam za właściwy, w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Powodzenia. Może Pan także w miarę wolnego czasu zająć się przygotowaniem do pogrzebu. Wydaje mi się, że kremacja będzie stosowniejsza niż skomplikowana ceremonia złożenia do grobu. Wiem, jak bardzo nie lubi Pan kościołów. Nie uważam, by dobrym pomysłem było powiadamianie policji. Wyśmialiby Pana, co przy Pańskiej zarozumiałości byłoby, jak podejrzewam, trudne do przełknięcia. Mnie zaś jeszcze bardziej by rozwścieczyło, a już teraz musi Pan się zastanawiać, jak bardzo jestem niezrównoważony.

Mogę zareagować zupełnie nieprzewidywalnie, na wiele różnych podłych sposobów. Jednej rzeczy jednak może być Pan absolutnie pewny: mój gniew nie zna granic.

List podpisany był wielkimi literami: RUMPLESTILTSKIN*.[* Rumplestiltskin – złośliwy karzeł z bajki braci Grimm, pod tym samym tytułem]

Ricky Starks osunął się ciężko w fotelu, jakby bijąca z tych słów furia uderzyła go w twarz niczym pięść. Po chwili wstał gwałtownie i podszedł do okna. Otworzył je jednym pchnięciem, pozwalając, by odgłosy miasta zmały ciszę małego pokoiku, niesione nieoczekiwaną późnolipcową bryzą, zwiastującą nadejście burzy. Odetchnął głęboko, jakby szukał w powietrzu czegoś, co pozwoliłoby mu ochłonąć. Słyszał w oddali wycie policyjnej syreny i wszechobecną na Manhattanie, równomierną kakofonię samochodowych klaksonów. Wziął kilka głębokich wdechów i zamknął okno, odcinając się od zgiełku zwykłego miejskiego życia.

Mam kłopoty, pomyślał. Nie był jednak pewien, jak poważne.

Zdawał sobie sprawę, że coś mu grozi, jednak wciąż nie był pewien, co. Miał ochotę

zignorować leżący na biurku list, po prostu odmówić udziału w tej żalostnej grze. Parsknął, pozwalając tej myśli rozwinąć skrzydła. Całe jego doświadczenie i wiedza podpowiadały, że najrozsądniejszym wyjściem jest nie robić nic. Ostatecznie psychoanalityk często stwierdza, że zachowywanie milczenia i niereagowanie na najbardziej prowokujące i oburzające zachowania pacjenta jest najlepszym sposobem odkrycia psychologicznej prawdy o nim. Wstał i obszedł biurko, jak pies zaciekawiony niezwykłym zapachem.

Po chwili zatrzymał się i znów spojrzął na zapisaną kartkę.

Potrząsnął głową. To się nie uda. Poczł ukłucie podziwu dla przemyślności autora. Zdawał sobie sprawę, że zwyczajną pogrozkę w tonie „ja pana zabiję” przyjąłby z obojętnością graniczącą ze znudzeniem. W końcu żył już dość długo, a grożenie śmiercią człowiekowi w średnim wieku nie było tak naprawdę niczym przerażającym. Teraz miał jednak do czynienia z czymś innym. Groźba była znacznie mniej oczywista. Jeśli nie zrobi nic, komuś stanie się krzywda. Komuś niewinnemu, prawdopodobnie młodemu, bo właśnie młodych ludzi najłatwiej jest skrzywdzić.

Ricky z trudem przełknął ślinę. Będę miał poczucie winy, a moje życie zamieni się w agonię.

Co do tego autor listu miał całkowitą słuszność.

Chyba że się zabiję. Poczł w ustach gorycz. Samobójstwo było całkowicie niezgodne z jego zasadami. Podejrzewał, że ten, kto podpisał się jako Rumpelstiltskin, dobrze o tym wiedział.

Znów zaczął chodzić niespokojnie po gabinecie. Wewnętrzny głos krzychał, by zlekceważyć całą sprawę, by nie przyjmować jej do wiadomości, by potraktować ją jak niemający pokrycia w rzeczywistości majak.

Nie mógł jednak tego zrobić. To, że coś ci się nie podoba, nie znaczy, że możesz to zignorować.

Nie miał jednak pojęcia, jak powinien zareagować. Przestał chodzić w kółko i usiadł w fotelu. To jakiś obłęd, pomyślał. Obłęd z iskierką sprytu, mający i mnie wpędzić w szaleństwo.

– Powinienem zadzwonić na policję – powiedział na głos. Ale co im powie? Wykręci 911 i oznajmi jakiemuś tępawemu, pozbawionemu wyobraźni sierżantowi dyżurnemu, że dostał list z pogrozkami? Usłyszałby tylko: „Co z tego?” O ile się orientował, nie zostało złamane prawo. Chyba że namawianie ludzi do samobójstwa było jakimś wykroczeniem.

Wymuszeniem? Pod jaki paragraf można to podciągnąć? Przeszło mu przez myśl, by zadzwonić do adwokata, zdał sobie jednak sprawę, że cała ta sytuacja nie ma żadnych aspektów prawnych. Został wyzwany na swoim własnym polu. Rozgrywka miała opierać się na intuicji i psychologii, emocjach i lękach. Pokręcił głową. W te klocki był dobry.

– Co już wiesz? – zadał sobie pytanie.

Ktoś zna mój rozkład dnia. Wie, kiedy przyjmuję pacjentów. Wie, kiedy robię sobie przerwę

na obiad. Jak spędzam weekendy. Ktoś był na tyle sprytny, że udało mu się sporządzić listę moich krewnych. To wszystko świadczyło o nieprzeciętnej pomysłowości.

Wie, którego mam urodziny.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Ktoś mnie śledził.

Nie wiedział o tym, ale był obserwowany. Ktoś poświęcił sporo czasu i włożył dużo wysiłku w stworzenie tej gry, nie zostawiając mu czasu na kontratak.

Wciąż czuł suchość w ustach, ale nie chciał opuszczać bezpiecznego gabinetu i iść do kuchni po szklankę wody.

Co ja takiego zrobiłem, że ktoś aż tak mnie nienawidzi?

Pytanie było jak szybki cios w brzuch. Ricky wiedział, że jest arogancki jak wielu lekarzy, którzy uważają, iż przez zrozumienie i akceptację czyjegoś istnienia czynią dobro. Myśl, że rozbudził w kimś tak potworną nienawiść, była nieopisanie przykra.

Kim jesteś? Spojrzał oskarżycielsko na list. Zaczął przypominać sobie dawnych pacjentów, ale po chwili zrozumiał, że potrzebne są do tego systematyczność, dyscyplina i zacięcie, a na to nie był jeszcze gotowy.

Ricky nie uważał, by mógł być dobrym detektywem. Po namyśle jednak pokręcił głową, bo zdał sobie sprawę, że nie jest to do końca prawdą.

Przez wiele lat był przecież kimś w rodzaju detektywa. Tropił tylko inne zbrodnie i posługiwał się innymi technikami niż policja.

Pokrzepiony nieco tą myślą, usiadł za biurkiem, sięgnął do górnej szuflady po prawej stronie i wyjął z niej stary, oprawiony w skórę notes, tak zniszczony, że przed rozpadnięciem się powstrzymywała go gumka.

Na początek, postanowił, znajdziemy krewnego, z którym ten ktoś się skontaktował. To musi być jakiś były pacjent, który przerwał terapię i popadł w depresję. Ktoś, kto przez wiele lat balansował na krawędzi psychozy.

Ricky sądził, że przy odrobinie szczęścia i jednej czy dwóch małych podpowiedziach ze strony członka rodziny, z którym ten człowiek się zetknął, będzie w stanie zidentyfikować rozgoryczonego ekspacjenta.

Próbował sobie wmówić, że autor listu – Rumpelstiltskin – w rzeczywistości wyciąga do niego rękę po pomoc. Szybko jednak odsunął tę myśl.

Trzymając w dłoni notes, Ricky pomyślał o postaci z bajki, której imieniem posługiwał się jego prześladowca. Był to karzeł o czarnym sercu, który nie daje się przechytryć, ale przegrywa na skutek zwykłego pecha.

To spostrzeżenie nie poprawiło mu nastroju.

Leżący przed nim list wydawał się świecić.

Wolno skinął głową. Jest pełny wskazówek, pomyślał. Dodaj słowa z kartki do tego, co

autor już zrobił, a prawdopodobnie znajdziesz się w połowie drogi do rozszyfrowania, kim jest.

Odsunął list na bok i otworzył notes, szukając numeru telefonu pierwszej osoby z listy. Skrzywił się lekko i zaczął wystukiwać go na klawiaturze telefonu. Przez ostatnie dziesięć lat nie utrzymywał zbyt zażyłych kontaktów ze swoją rodziną i podejrzewał, że nikt z jego krewnych nie będzie się specjalnie cieszył, że Ricky się odezwał. Zwłaszcza biorąc pod uwagę naturę sprawy, z którą dzwonił.

Rozdział 2

Ricky Starks czuł się wyjątkowo niezręcznie, próbując wyciągać informacje od krewnych, zaskoczonych jego telefonem. Był przyzwyczajony do analizowania wszystkiego, co usłyszał od swoich pacjentów, powstrzymując się od oceny i komentarzy. Kiedy jednak wystukiwał kolejne numery, stwierdził, że wkroczył na nieznany i nieprzyjazny teren.

Nie potrafił ułożyć krótkiego scenariusza rozmowy; jakiegoś standardowego pozdrowienia i wyjaśnienia, dlaczego dzwoni. Zamiast tego cały czas słyszał w swoim głosie wahanie i niezdecydowanie. Niezręcznie przedzierał się przez wyświechtane pozdrowienia i próbował wydobyć z rozmówcy odpowiedź na najgłupsze z głupich pytanie: czy ostatnio nie przydarzyło ci się coś niezwykłego?

Cały wieczór spędził na coraz bardziej irytujących rozmowach. Jego krewni byli niemile zaskoczeni, ciekawi, dlaczego po tak długim milczeniu nagle się odezwał, zajęci czymś, w czym właśnie im przeszkodził albo zwyczajnie nieuprzejmi. Każda rozmowa miała jakieś szorstkie akcenty, a kilka razy Ricky został ostro zbyty. Jeszcze częściej padało zadane ze zniecierpliwieniem pytanie: „O co chodzi, do cholery?” Kłamał wtedy, że jego były pacjent jakimś sposobem wszedł w posiadanie listy nazwisk jego krewnych i że może próbować skontaktować się z którymś z nich. Nie wspomniał jednak, że komuś może grozić niebezpieczeństwo.

Dochodziła dwudziesta druga, pora, o której zwykle kładł się spać, a na liście zostały jeszcze dwa tuziny nazwisk. Jak dotąd nie natknął się na nic, co zasługiwałoby na wnikliwe zbadanie, ale z drugiej strony niesprecyzowany ton listu Rumpelstiltskina sprawiał, że Ricky mógł nie dostrzec związku. Równie możliwe było to, że któraś z osób nie powiedziała mu prawdy. W kilku przypadkach nikt nie podnosił słuchawki. Trzy razy Starks musiał zostawiać na automatycznej sekretarce zdawkowe wiadomości.

Nie pozwalał sobie na luksus uwierzenia, że otrzymany list to zwykły dowcip. Zdrętwiały mu plecy, był głodny, bolała go głowa. Przeczesał dłonią włosy i przetarł oczy, zanim wystukał kolejny numer. Czuł się wyczerpany jak po długim biegu. Ból głowy był zbyt łagodną pokutą za to, że przez tyle lat w ogóle nie interesował się swoją rodziną.

Dwudzieste pierwsze nazwisko nie wydawało mu się znajome. Skupił się, próbując powiązać z nim jakąś twarz i życiorys. Powoli w jego głowie ukształtował się obraz: jego starsza siostra, zmarła dziesięć lat temu, miała dwóch synów. To starszy z nich. Ricky był dla niego odległym i mało znaczącym wujem. Od pogrzebu siostry nie miał żadnego kontaktu z jej dziećmi. Teraz usilnie starał się przypomnieć sobie coś więcej niż tylko twarz. Czy nazwisko na liście miało żonę? Rodzinę?

Pracę? Kim ten człowiek jest?

Ricky pokręcił głową. Nie mógł niczego skojarzyć. O osobie, do której musiał zadzwonić, wiedział niewiele więcej niż o losowo wybranym nazwisku z książki telefonicznej. Był na siebie zły. To nie w porządku, powinien coś pamiętać. Wyobraził sobie siostrę, o piętnaście lat starszą od niego. Różnica wieku sprawiała, że krążyli po zupełnie innych orbitach.

Była najstarsza, a on był dzieckiem przypadku, najmłodszym. Siostra była poetką, skończyła dobry żeński college w latach pięćdziesiątych. Pracowała w wydawnictwie, potem dobrze wyszła za mąż za prawnika z Bostonu. Synowie mieszkali w Nowej Anglii.

Ricky spojrział na nazwisko zapisane na leżącej przed nim kartce.

Obok widniał adres: Deerfield, Massachusetts, numer kierunkowy 413.

Nagle zalała go fala wspomnień. Syn siostry był profesorem w prywatnej szkole. Czego uczył? Odpowiedź pojawiła się po kilku sekundach: historii Stanów Zjednoczonych. Zamknął na chwilę oczy i wyobraził sobie siostrzeńca: niski chudy mężczyzna w tweedowej marynarce, z okularami w rogowych oprawkach i z przeredzonymi jasnymi włosami. O dobre pięć centymetrów niższy od swojej żony.

Westchnął i wyposażony w tę odrobinę informacji, sięgnął po słuchawkę.

Wystukał numer. Telefon zadzwonił kilka razy, aż w końcu odezwał się młody głos. Niski i podekscytowany.

– Halo?

– Dobry wieczór – powiedział Ricky. – Chciałbym rozmawiać z Timothyem Grahamem. Mówi jego wuj, Frederick. Doktor Frederick Starks... – Tu Tim junior.

Ricky wahał się przez moment.

– Cześć, Tim. Chyba się nigdy nie spotkaliśmy... – Spotkaliśmy. Raz. Pamiętam. Na pogrzebie babci. W kościele siedziałeś tuż za moimi rodzicami, w drugim rzędzie, i powiedziałeś tacie, że to miło ze strony babci, że się nie ociągała. Zapamiętałem to, bo wtedy nie rozumiałem.

– Musiałeś mieć... – Siedem lat.

– A teraz masz... – Siedemnaście.

– Masz dobrą pamięć, skoro zapamiętałeś jedno spotkanie.

– Pogrzeb babci zrobił na mnie duże wrażenie – powiedział młody człowiek po chwili milczenia. Nie rozwinął jednak tej myśli. – Chcesz rozmawiać z tatą?

– Tak. Jeśli można.

– O czym?

Ricky miał wrażenie, że to dość niezwykle pytanie, jak na kogoś w tym wieku. Nie dlatego, że Timothy junior był ciekawy, to zupełnie normalne.

W jego głosie brzmiała jednak nutka ostrożności, jakby starał się kogoś chronić. Ricky pomyślał, że przeciętny nastolatek ryknąłby po prostu, że ktoś dzwoni do ojca, i wrócił do swoich zajęć – oglądania telewizji, odrabiania lekcji czy grania w gry wideo. Niespodziewany telefon od

starszego dalekiego krewnego nie był czymś, co znajduje się na liście priorytetów większości młodych ludzi.

– Sprawa jest trochę niezwykła... – zaczął.

– Mielśmy tu niezwykły dzień – odparł chłopak.

Te słowa przykuły uwagę Ricky'ego.

– Co to znaczy? – spytał.

Tim nie odpowiedział na jego pytanie.

– Nie jestem pewien, czy tata będzie chciał teraz rozmawiać, jeśli się nie dowie, o co chodzi.

– Cóż, myślę, że może go zainteresować to, co mam mu do powiedzenia.

Timothy junior zastanawiał się przez chwilę.

– Tata jest teraz zajęty – powiedział w końcu. – Policja jeszcze tu jest.

Ricky wciągnął gwałtownie powietrze.

– Policja? Coś się stało?

Nastolatek odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dlaczego dzwonisz? Przecież nie odzywałeś się od... – Od wielu lat. Przynajmniej dziesięciu. Od pogrzebu twojej babci.

– Właśnie. Dlaczego nagle teraz?

Ricky pomyślał, że chłopak ma prawo być podejrzliwy. Zaczął przygotowaną przemowę.

– Jeden z moich byłych pacjentów... Pamiętasz? Jestem lekarzem.

Więc jeden z pacjentów może próbować skontaktować się z moją rodziną. Chociaż nie odzywaliśmy się do siebie przez tyle lat, chciałem wszystkich ostrzec. Dlatego dzwonię.

– Jaki pacjent? Jesteś doktorem od świrów, tak?

– Psychoanalitykiem.

– A ten pacjent jest niebezpieczny? To wariat? Czy jedno i drugie?

– Myślę, że powinienem porozmawiać o tym z twoim tatą.

– Powiedziałem ci, rozmawia właśnie z policją. Chyba zaraz wyjdą.

– Dlaczego rozmawia z policją?

– Chodzi o moją siostrę.

– Co się stało twojej siostrze? – Ricky spróbował przypomnieć sobie, jak ma na imię i jak wygląda, ale przed oczami miał tylko małe jasnowłose dziecko, o kilka lat młodsze od brata. Pamiętał, jak oboje siedzą przy stole na stypie po pogrzebie jego siostry, sztywni w niewygodnych ciemnych ubraniach, milczący, ale czekający z niecierpliwością, aż opadnie podniosła atmosfera i wszystko wróci do normy.

– Ktoś śledził... – zaczął chłopak i urwał. – Chyba zawołam ojca – stwierdził nagle.

Ricky usłyszał stuk odkładanej na stół słuchawki i stłumioną rozmowę.

Po chwili w słuchawce rozległ się głos do złudzenia przypominający głos Tima juniora, lecz

niższy i bardziej zmęczony. Słysząc w nim było pośpiech i niepokój, jakby jego właściciel był pod presją albo właśnie podejmował ważną decyzję. Ricky lubił uważać się za eksperta w sprawach głosu – intonacji, wymowy, doboru słów i szybkości mówienia – rzeczy, które pozwalały wejrzeć w duszę mówiącego. Ojciec chłopaka nie przedstawił się.

– Wuj Frederick? Nie spodziewałem się... Jestem właśnie w samym środku małego rodzinnego kryzysu, więc mam nadzieję, że to naprawdę ważne. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Cześć, Tim. Przepraszam, że tak nagle... – Nie ma sprawy. Tim junior powiedział, że chcesz nas ostrzec... – W pewien sposób. Dostałem dzisiaj list, być może od byłego pacjenta.

Można uznać, że zawiera groźbę. Głównie pod moim adresem, ale wynika z niego, że autor mógł skontaktować się z którymś z moich krewnych.

Dzwonię do wszystkich, żeby ich ostrzec i sprawdzić, czy próbował już do kogoś dotrzeć.

W słuchawce zapadła martwa cisza. Tim senior milczał prawie przez minutę.

– Co to za pacjent? – spytał w końcu ostro, tak samo, jak jego syn. – To ktoś niebezpieczny?

– Nie wiem, kto to. List nie jest podpisany. Zakładam tylko, że to były pacjent, ale nie wiem na pewno. To może być ktoś zupełnie inny.

Prawda jest taka, że nie wiem nic na sto procent.

– To brzmi mało konkretnie. Bardzo mało konkretnie.

– Masz rację. Przepraszam.

– Myślisz, że jest się czego obawiać?

– Nie wiem. Przejąłem się tym na tyle, żeby zacząć dzwonić po ludziach.

– Rozmawiałeś już z policją?

– Nie. Przesłanie listu nie jest przestępstwem, prawda?

– To mi właśnie powiedzieli, dranie.

– Słucham?

– Gliniarze. Wezwałem gliny, a oni przyjechali tu tylko po to, żeby mi powiedzieć, że nie mogą zrobić.

– Dlaczego wezwałeś policję?

Timothy Graham nie odpowiedział od razu. Odetchnął głęboko, ale nie uspokoił się; wręcz przeciwnie, wybuchnął, jakby uwalniając trzymaną na wodzy wściekłość.

– To było obrzydliwe. Co za chory skurwiel. Chory obleśny skurwiel.

Zabiję go, jeśli kiedykolwiek wpadnie w moje ręce. Zabiję go gołymi rękami. Czy twój były pacjent to chory skurwiel, wujku Fredericku?

Ta nagła erupcja wulgaryzmów zaskoczyła Ricky'ego. Zupełnie nie pasowała do spokojnego, dobrze wychowanego i nudnego nauczyciela historii w ekskluzywnej i konserwatywnej prywatnej szkole. Ricky zawahał się, nie wiedząc, jak zareagować.

– Nie wiem – powiedział. – A co cię tak zdenerwowało.

Tim senior znów głęboko odetchnął. Przez telefon zabrzmiało to jak syczenie węża.

– W jej urodziny, dasz wiarę? W jej czternaste urodziny, akurat w ten dzień. To po prostu obrzydliwe... Ricky zeszywniał. Doznał olśnienia. Zrozumiał, że powinien do razu dostrzec związek. Ze wszystkich jego krewnych tylko jedna osoba obchodziła urodziny tego samego dnia, co on. Mała dziewczynka, której twarzy tak długo nie mógł sobie przypomnieć. Spotkał ją tylko raz, na pogrzebie. To powinien być twój pierwszy telefon, skarcił się w myślach, nie pozwolił jednak, by to spostrzeżenie wpłynęło na ton jego głosu.

– Co się stało?

– Ktoś zostawił dla niej urodzinową kartkę w szkolnej szafce. Wiesz, jedną z tych ładnych, dużych, banalnie sentymentalnych, które można kupić w supermarketach. Nie mam pojęcia, jak ten drań wszedł do szkoły i zdołał włamać się do szafki. Gdzie, do cholery, była ochrona? Niewiarygodne.

W każdym razie, kiedy Mindy przysłała do szkoły, znalazła kopertę, pomyślała, że to od kogoś z przyjaciół, i otworzyła ją. I wiesz co? W środku było pełno obrzydliwej pornografii. W kolorze, tak, żeby niczego nie trzeba było się domyślać. Zdjęcia kobiet związanych sznurami i łańcuchami, penetrowanych na wszystkie możliwe sposoby za pomocą każdego przedmiotu, jaki może przyjść do głowy. Naprawdę twarde porno. A w środku było napisane: To zamierzam ci zrobić, jak tylko dopadnę cię samą.

Ricky poruszył się niespokojnie. Rumpelstiltskin, pomyślał.

– A policja? – zapytał. – Co ci powiedzieli?

Timothy Graham parsknął pogardliwie. Ricky pomyślał, że objający się uczniowie musieli na ten dźwięk sztywnieć ze strachu, w tej sytuacji jednak był wyrazem bezsilności i frustracji.

– Miejskowa policja to banda idiotów – powiedział Graham. – Kompletnych kretynów. Oznajmili mi beztrzęsio, że dopóki nie znajdą się konkretne i wiarygodne dowody, że ktoś zagraża Mindy, nic nie mogą zrobić.

Muszą czekać na jawne działanie. Tak więc, ktoś musi ją najpierw zaatakować.

Uważają, że ten list to głupi dowcip, prawdopodobnie autorstwa starszych uczniów. Może ktoś postawił im słabą ocenę na semestr. Oczywiście, to nie jest niemożliwe, ale... – Urwał. – Opowiedz mi o tym pacjencie.

To jakiś maniak seksualny?

Ricky zawahał się.

– Nie – odparł. – Nie. To nie wygląda na jego dzieło. Jest niegroźny, naprawdę. Tylko irytujący.

Zastanawiał się, czy jego siostrzeniec wyczuje, że kłamie. Wątpił w to. Graham był wściekły i oburzony, nie powinien więc zauważać takich rzeczy.

Timothy milczał przez chwilę.

– Zabiję go – powiedział w końcu zimno. – Mindy przez cały dzień płakała. Myśli, że ktoś chce ją zgwałcić. Ma dopiero czternaście lat i nigdy w życiu nie zrobiła nikomu krzywdy. Jest delikatna jak cholera, a do tej pory nie miała styczności z takimi świństwami. Jeszcze niedawno bawiła się misiami i lalkami Barbie. Pewnie nie będzie mogła dzisiaj zasnąć, może nawet przez kilka następnych dni. Mam tylko nadzieje, że nie zostanie jej trwały uraz.

Timothy przerwał, żeby nabrać tchu. Ricky milczał.

– Czy to możliwe, wujku Fredericku? To ty jesteś, cholera, ekspertem od takich spraw. Czy ktoś może zmienić czyjeś życie tak szybko?

Ricky nadal milczał, ale pytanie odbijało się echem w jego głowie.

– To okropne, wiesz? Po prostu okropne – wybuchnął znowu Graham.

– Starasz się chronić swoje dzieci przed wszystkimi paskudztwami i złem, jakie niesie życie, na sekundę spuszczasz wzrok i łup! Dostajesz.

Może to nie jest najgorszy przypadek straconej niewinności, o jakim słyszałeś, wujku Fredericku, ale to nie ty słuchasz swojej kochanej dziewczynki, która nigdy nikomu nie zrobiła nic złego, a teraz, w swoje czternaste urodziny wypłakuje oczy, bo ktoś chce ją skrzywdzić.

Z tymi słowami odłożył słuchawkę.

Ricky Starks opadł na oparcie fotela i z sykiem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. To, co zrobił Rumplestiltskin, jednocześnie zdenerwowało go i zaintrygowało. Wiadomość wysłana dziewczynce nie miała w sobie nic spontanicznego. Była wykalkulowana i odniosła skutek.

Ten ktoś na pewno obserwował Mindy przez jakiś czas. Ricky pomyślał, że warto wziąć pod uwagę umiejętność, jakimi wykazał się przeciwnik.

Rumplestiltskin potrafił zmylić szkolną ochronę i włamać się do szafki, nie niszcząc zamka. Niezauważony opuścił szkołę, po czym przejechał autostradą z zachodniego Massachusetts do Nowego Jorku, by zostawić drugą wiadomość w poczekalni Ricky’ego. Nie było to trudne – podróż samochodem trwała najwyżej cztery godziny. Musiał jednak wszystko dobrze zaplanować.

Jednak spokoju nie dawała mu inna rzecz. Poruszył się w fotelu.

W uszach wciąż dźwięczały mu słowa siostrzeńca: „stracona niewinność”.

Ricky zamyślił się nad znaczeniem tych słów. Czasem któryś z pacjentów mówił coś tak elektryzującego; były to chwile zrozumienia, przebłyśki świadomości umożliwiające postępy. Na takie momenty czekał każdy psychoanalityk. Zazwyczaj towarzyszyło im poczucie przygody i satysfakcji, ponieważ oznaczały kolejne sukcesy na drodze do wyleczenia.

Nie tym razem.

Ricky czuł rosnącą desperację, zrodzoną ze strachu.

Rumplestiltskin zaatakował córkę jego siostrzeńca w chwili dziecięcej słabości. Wybrał

moment, który w wielkim skarbcu wspomnień powinien kojarzyć się z radością i przebudzeniem – czternaste urodziny – a potem zmienił go w coś paskudnego i straszego. Ricky nie mógł wyobrazić sobie bardziej prowokacyjnej i przerażającej groźby.

Przyłożył dłoń do czoła, jakby poczuł, że ma gorączkę. Był zaskoczony, że wcale się nie spocił. Uważamy groźbę za coś, co burzy nasze poczucie bezpieczeństwa, pomyślał. Człowieka z pistoletem czy nożem, maniaka seksualnego lub pijanego kierowcę, beztrąsko przyspieszającego na autostradzie. Albo atakującą zdradliwie chorobę, sprawiającą, że zaczynamy powoli umierać. Jak ta, która zabiła jego żonę.

Ricky wstał z fotela i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie.

Boimy się umrzeć. O wiele gorzej jest jednak zostać zrujnowanym.

Zerknął na list. „Zrujnowany”. Rumpelstiltskin użył tego słowa obok słowa „zniszczyć”.

Przeciwnikiem Ricky’ego był ktoś, kto rozumiał, że często prawdziwym zagrożeniem jest to, co tkwi w nas samych. Wstrząs i ból na skutek przeżytego koszmaru może być znacznie silniejszy niż cios pięści. Czasami zaś ból sprawia nie tyle sama pięść, co emocje, które nią kierują.

Ricky zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na małą biblioteczkę pod ścianą. Stały w niej rzędy książek, przede wszystkim prace z zakresu medycyny i czasopisma branżowe. Setki tysięcy słów chłodno rozkładały ludzkie emocje na czynniki pierwsze. Ricky natychmiast zrozumiał, że cała ta wiedza na nic mu się nie przyda.

Gdyby tak mógł zdjąć książkę z półki, otworzyć ją na indeksie nazwisk, pod R znaleźć hasło „Rumpelstiltskin”, przeczytać suchy i prosty opis człowieka, który napisał list. Poczuł ukłucie strachu, kiedy zdał sobie sprawę, że taki opis nie istnieje. Odwrócił się plecami do książek i przypomniał sobie ustęp z powieści, którą czytał w czasie studiów. Szczury.

Zamknęli bohatera w pomieszczeniu pełnym szczurów, bo wiedzieli, że była to jedyna rzecz na świecie, której się boi. Nie śmierci. Nie tortur.

Szczurów.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Tu wygodnie i szczęśliwie przeżył wiele lat, ale w mgnieniu oka to wszystko może się zmienić. Może nagle stać się jego własną puszką Pandory, z której wyskoczy coś, czego boi się najbardziej na świecie.

Rozdział 3

Była już północ, a on nie czuł się ani odrobinę mądrzejszy. Czuł się za to przeraźliwie osamotniony.

Podłogę gabinetu zaścieniały szare koperty i strzępy notatek, stenotypy, płachty papieru oraz stary model magnetofonu kasetowego i stosik taśm.

Każda kupka była częścią mizernej dokumentacji, którą Ricky zgromadził przez lata. Były tam notatki o snach, nagryzmołone pospiesznie uwagi o ważnych skojarzeniach, które trafiły się pacjentom bądź jemu samemu podczas terapii. Słowa, zdania, wspomnienia. Starksa otaczał chaos. Nie miał porządných formularzy, podających wzrost, wagę, rasę, wyznanie czy miejsce urodzenia pacjenta. Nie miał ułożonych alfabetycznie kart pacjentów, podających ciśnienie krwi, temperaturę, tętno i wyniki badania moczu. Nie miał nawet kart z nazwiskami, adresami krewnych i diagnozą.

Ricky Starks nie był internistą, kardiologiem ani patologiem, który podchodzi do każdego pacjenta w taki sam sposób, szukając jasno określonego sposobu leczenia i zbierając obszerną i szczegółową dokumentację jego przebiegu. Specjalności, którą się zajmował, nie cechowało naukowe podejście, dominujące w innych gałęziach medycyny. To właśnie czyniło z psychoanalityka medycznego autsajdera, jak uważała większość osób zajmujących się tą profesją.

Ricky stał pośrodku rosnącego bałaganu i czuł się jak człowiek, który właśnie wyszedł ze schronu po przejściu tornada. Lekcewał fakt, że tak naprawdę jego poukładane życie było chaosem, a próba usystematyzowania pacjentów i setek godzin terapii była prawdopodobnie skazana na niepowodzenie.

Podejrzewał poza tym, że Rumpelstiltskina wśród nich nie ma.

Ricky był przekonany, że gdyby osoba, która napisała list, kiedykolwiek pojawiła się w jego gabinecie w charakterze pacjenta, rozpoznałby ją. Ton. Styl pisania. Gniew, wściekłość i furia. Wszystko to byłoby dla niego tak samo rozpoznawalne jak odciski palców dla detektywa. Byłyby to oczywiste ślady, które nie uszłyby jego uwagi.

Wiedział, że takie przekonanie jest trochę aroganckie. Poza tym kiepskim pomysłem było lekceważenie Rumpelstiltskina, dopóki nie dowie się o nim czegoś więcej. Miał jednak pewność, iż żaden z pacjentów, których kiedykolwiek leczył podczas zwykłych terapii, nie wróciłby po latach rozszalony i wściekły, i tak odmieniony, że mógłby ukryć swoją tożsamość. Mogli wracać, wciąż nosząc w duszy blizny, które kazały im kiedyś podjąć leczenie. Mogli być sfrustrowani, próbować się odegrać, ponieważ psychoanaliza nie jest antybiotykiem dla duszy – nie zabija infekcji rozpaczy, czyniącej z ludzi kaleki. Mogli być źli, czuć, że zmarnowali lata na rozmowach, które niczego nie zmieniły. Wszystko to było możliwe, chociaż w ciągu niemal

trzydziestu lat praktyki zdarzyło mu się zaledwie kilka takich niepowodzeń. O tylu przynajmniej wiedział. Nie był jednak tak zarozumiały, by wierzyć, że każda terapia, nieważne jak długa, zawsze kończy się powrotem do równowagi.

Musieli istnieć ludzie, którym nie pomógł czy pomógł mniej. Albo tacy, którzy przestali rozumieć to, co wykazała psychoanaliza, i wrócili do poprzedniego stanu. Osunęli się w kalectwo. W rozpacz.

Rumplestiltskin zupełnie nie pasował do takiego obrazu. Ton jego listu i wiadomość przekazana czternastoletniej córce siostrzeńca Ricky'ego zdradzały osobowość wyrachowaną, agresywną i perwersyjnie pewną siebie. Psychopata. Tak w nomenklaturze medycznej określa się kogoś niespełna rozumu. Nie oznaczało to, że raz czy dwa podczas lat praktyki nie leczył kogoś ze skłonnościami psychopatycznymi. Żaden z jego pacjentów nie przejawiał jednak tak głębokiej nienawiści i obsesji, jak Rumplestiltskin.

Autor listu był raczej związany z kimś, w przypadku kogo terapia nie przyniosła efektów.

Trzeba więc ustalić, kim byli ci ekspacjenci, a następnie dotrzeć przez nich do Rumplestiltskina. Teraz, po kilku godzinach rozmyślań był pewien, że o to właśnie chodzi. Człowiek, który chciał go zabić, był czymś dzieckiem, małżonkiem lub kochankiem. Pierwszym zadaniem jest więc ustalenie, który z jego pacjentów przerwał terapię w najbardziej niejasnych okolicznościach. Potem można będzie rozpocząć śledztwo.

Lawirując w bałaganie, dotarł do biurka i wziął do ręki list Rumplestiltskina.

Istnieją gdzieś w pana przeszłości – przeczytał, po czym spojrzął na sterty notatek rozrzucone po całym gabinecie.

W porządku, najpierw trzeba uporządkować moją historię zawodową. Znaleźć segmenty, które można wyeliminować.

Westchnął. Czy popełnił błąd jako stażysta, ponad dwadzieścia pięć lat temu, błąd, za który teraz musi zapłacić? Czy potrafi przypomnieć sobie pierwszych pacjentów? W czasie stażu zajmował się badaniem schizofreników paranoidalnych, umieszczonych na oddziale psychiatrycznym szpitala Bellevue. Celem badania było ustalenie czynników prawdopodobieństwa brutalnych przestępstw. Nie zakończyło się ono sukcesem, Ricky jednak zapoznał się ze sposobami leczenia ludzi, którzy dopuszczali się takich czynów. Wtedy był najbliżej psychiatrii sądowej i doszedł do wniosku, że mu ona nie odpowiada. Kiedy staż dobiegł końca, z ulgą wrócił do znacznie bezpieczniejszego i mniej wymagającego świata Freuda i kontynuatorów jego dzieła.

Ricky poczuł pragnienie, jakby gardło miał wysuszone upałem.

Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia o przestępstwach i przestępcach.

Nie specjalizował się w przemocy. Prawdę mówiąc, zupełnie go to nie interesowało. Wątpił, czy zna jakichś psychiatrów sądowych. Żaden nie zaliczał się do bardzo wąskiego kręgu

znajomych i kolegów po fachu, z którymi starał się utrzymywać kontakty.

Zerknął na książki na półkach. Była tam praca Krafta-Ebbinga, dotycząca psychopatologii seksualnej, ale nic poza tym. Ricky wątpił, by Rumpelstiltskin był maniakiem seksualnym, mimo pornograficznej wiadomości wysłanej córce jego siostrzeńca.

– Kim jesteś? – spytał na głos.

Potem pokręcił głową.

– Nie – powiedział wolno. – Przede wszystkim, czym jesteś?

Kiedy będę w stanie odpowiedzieć na to pytanie, dodał w duchu, będę w stanie ustalić, kim jesteś.

Uda mi się, pomyślał Ricky, próbując podbudować swoją wiarę w siebie.

Jutro usiądę, przypomnę sobie wszystko i zrobię listę byłych pacjentów.

Podzielę ich na kategorie, odpowiadające etapom mojego życia zawodowego.

Potem zacznę śledztwo. Dojdę do tego, gdzie popełniłem błąd, i to zaprowadzi mnie do tego całego Rumpelstiltskina.

Był wyczerpany. Przeszedł z gabinetu do sypialni, skromnego, przypominającego celę zakonnika pokoiku ze stolikiem przy pojedynczym łóżku, komodą i niedużą szafą. Kiedyś stało tu podwójne łoże z rzeźbionym wezglowiem, a na ścianach wisały kolorowe obrazy, ale po śmierci żony Starks zamienił łóżko na coś prostszego i węższego. Bibeloty i obrazki również zniknęły. Ubrania żony Ricky oddał biednym, a rzeczy osobiste i biżuterię wysłał trzem córkom jej siostry. Na komodzie trzymał ich wspólną fotografię, zrobioną piętnaście lat temu na podwórzu ich wiejskiego domu w Wellfleet, w jasny słoneczny poranek. Od śmierci żony jednak systematycznie wymazywał wszelkie ślady jej obecności.

Powolną bolesną śmierć uwieńczyły trzy lata zapomnienia.

Ricky rozebrał się szybko, starannie składając spodnie i wieszając na wieszaku niebieski blezer. Koszula trafiła do kosza z brudną bielizną, a krawat na blat komody. Opadł na łóżko, żałując, że nie ma więcej energii.

W szufladzie szafki nocnej trzymał buteleczkę tabletek nasennych.

Dawno już minął termin ich ważności, Ricky uważał jednak, że wciąż są dość silne, by pozwolić mu zasnąć tej nocy. Połknął jedną i kawałek drugiej, mając nadzieję, że szybko sprowadzą na niego głęboki sen.

Leżał przez chwilę, gładząc sztywną bawełnianą pościel. To hipokryzja, pomyślał, że psychoanalityk rozpaczliwie pragnie nie mieć żadnych snów. Sny są ważne. To zagadki, będące odbiciem wszystkiego, co leży człowiekowi na sercu. Ricky wiedział o tym i zazwyczaj chętnie podróżował tą drogą. Teraz jednak czuł się zbyt przybity. Przekręcił się na bok. Miał zawroty głowy i za szybkie tętno. Czekał niecierpliwie, aż lek zepchnie go w otchłań snu. Wyczerpany wstrząsem, jakim był dla niego list, czuł się stary i bezradny.

Pierwsza pacjentka ostatniego dnia przed dawno zaplanowanym, miesięcznym wyjazdem na sierpniowe wakacje przyszła tuż przed siódmą rano, sygnalizując swoją obecność potrójnym dzwonkiem. Sesja poszła całkiem nieźle. Nic szczególnie ekscytującego ani dramatycznego.

Równomierny postęp. Młoda kobieta była pracownikiem socjalnym, starającym się o certyfikat z psychoanalizy z pominięciem szkoły medycznej.

Nie była to ani najskuteczniejsza, ani najłatwiejsza droga do zostania psychoanalitykiem. Niektórzy z jego co bardziej konserwatywnych kolegów krzywili się na te praktyki, ponieważ nie wymagały tradycyjnego tytułu naukowego, sam Ricky jednak zawsze podziwiał ten sposób zdobywania kwalifikacji. Z pewnością wymagał on prawdziwego zamiłowania do zawodu. Terapia młodej kobiety koncentrowała się wokół agresywnych rodziców, bardzo wymagających i oschłych. W związku z tym podczas sesji często niecierpliwiła się, dążąc do wniosków, które pasowałyby do tego, co wyczytała w podręcznikach, i do jej pracy dyplomowej w śródmiejskim Instytucie Psychoanalizy. Ricky nieustannie ją hamował, starając się sprawić, by dostrzegła, że znajomość faktów niekoniecznie oznacza ich zrozumienie.

Odchrząknął dyskretnie i poruszył się w fotelu.

– Obawiam się, że nasz czas właśnie się skończył – oznajmił.

Kobieta, która opisywała właśnie swojego nowego, niezbyt ciekawego chłopaka, westchnęła.

– Zobaczymy, czy za miesiąc jeszcze będzie... Ricky uśmiechnął się rozbawiony. Pacjentka wstała z kanapy.

– Miłych wakacji, doktorze. Do zobaczenia po Świącie Pracy – powiedziała, po czym wzięła torebkę i szybkim krokiem wyszła z gabinetu.

Dzień wydawał się toczyć utartym torem.

W gabinecie pojawiali się kolejni pacjenci, nie przynosząc żadnych emocjonalnych wyzwania. W większości byli to wakacyjni weterani; Ricky często podejrzewał, że podświadomie zatajali uczucia, w których analizie miała nastąpić miesięczna przerwa. Oczywiście to, co ukrywali, było tak samo intrygujące, jak rzeczy, o których mówili głośno, a Starks był wyczulony na tego typu luki w wypowiedziach. Ufał swojej umiejętności dokładnego zapamiętywania słów pacjentów; gdy wracał do nich po miesiącu, zwykle przynosiło to dobre efekty.

W wolnych chwilach między sesjami gorączkowo przypominał sobie lata pracy. Zaczął układać listę pacjentów, notując ich nazwiska w czarnym notesie. Spis wydłużał się w miarę upływu godzin. Pamięć wciąż mam dobrą, myślał, i to dodawało mu otuchy. Jedynym problemem, z którym musiał zmierzyć się tego dnia, był zwyczajowy spacer w porze lunchu, o którym wspominał Rumpelstiltskin. Zawahał się; miał ochotę zerwać z rutyną, którą tak dokładnie opisał autor listu. Zdał sobie jednak sprawę, że zdecydowanie lepiej będzie trzymać się jej i mieć nadzieję, że ktoś, kto go obserwuje, to zobaczy. W południe wyszedł więc z domu, idąc

tą samą drogą, co zwykle, oddychając ciężkim miejskim powietrzem tak samo, jak robił to każdego dnia. Sam nie wiedział, czy chce, żeby Rumpelstiltskin go śledził. Kilka razy musiał zwalczyć ochotę, by nagle się odwrócić i sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Kiedy wrócił do domu, odetchnął z ulgą.

Popołudniowi pacjenci niczym nie różnili się od porannych.

Kilku z nich miało do niego żal, że wyjeżdża. Inni trochę się bali lub niepokoiili. Codzienne pięćdziesięciminutowe sesje były potężnym nałogiem, więc kilka osób czuło się nieswojo, wiedząc, że przez krótki czas będą musieli obejść się bez nich. Mimo to i oni, i on wiedzieli, że przerwa w terapii może zaowocować ważnymi spostrzeżeniami. Wszystko, każda chwila, każde wydarzenie życia codziennego dawały szansę na postępy.

To właśnie czyniło cały proces tak fascynującym zarówno dla pacjenta, jak i dla terapeuty.

Minutę przed piątą Ricky wyjrzał przez okno. Świat wciąż był we władaniu jasno świecącego słońca, a temperatura dochodziła do trzydziestu kilku stopni. Miejski skwar przytłaczał. Ricky wsłuchał się w szum klimatyzatora i nagle przypomniał sobie czasy, kiedy zaczynał praktykę lekarską. Jediną ochroną przed otumaniającym lipcowym upałem miasta, na jaką było go wtedy stać, był grzechoczący wentylator i otwarte okno.

Oderwał wzrok od okna, kiedy usłyszał trzy dzwonki. Podeszedł do drzwi i otworzył je szybkim ruchem, chcąc od razu wpuścić zniecierpliwionego Zimmermana, który nie lubił czekać w przedsionku. Przychodził dosłownie na kilka sekund przed rozpoczęciem sesji i spodziewał się, że zostanie natychmiast przyjęty. Ricky zobaczył go kiedyś, jak chodził w tę i z powrotem przed domem w mroźny zimowy wieczór, co i raz wściekle spoglądając na zegarek, jakby próbował przyspieszyć upływ czasu tak, by nie musieć czekać w środku. Kilka razy Ricky'ego kusilo, by przetrzymać go kilka minut i sprawdzić, czy w ten sposób uda mu się skłonić go do zrozumienia, dlaczego czuje taki przymus bycia punktualnym. Nie zrobił tego jednak. Codziennie, równo z wybiciem piątej, otwierał drzwi, pozwalając rozgniewanemu mężczyźnie wtoczyć się do gabinetu, rzucić na kanapę i natychmiast zacząć wylewać z siebie wściekłość na wszystko, co spotkało go tego dnia. Ricky brał zawsze głęboki oddech i przybierał swój najlepszy kamienny wyraz twarzy. Niezależnie od tego, jak się czuł, Zimmermana witał zawsze takim samym obojętnym spojrzeniem.

– Dzień dobry... – zaczął swoje zwyczajowe powitanie.

Ale w poczekalni nie było Rogera Zimmermana.

Ricky stanął twarzą w twarz z uderzająco piękną kobietą.

Miała na sobie długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy, ściągnięty paskiem, zdecydowanie nie na miejscu w gorący letni dzień. Zdjęła ciemne okulary, ukazując zielone oczy o przeszywającym spojrzeniu. Ricky ocenił ją na około trzydzieści lat; jej uroda była właśnie w pełnym rozkwicie.

– Przepraszam... – zaczął niepewnie – ale... – Och – powiedziała beztrąsko kobieta, odrzucając długie blond włosy i wykonując płynny gest dłonią. – Zimmermana dzisiaj nie będzie. Przyszłam zamiast niego.

– Ale on... – Już nie będzie pana potrzebował – oznajmiła. – Postanowił dzisiaj zakończyć terapię. Dokładnie o czternastej trzydzieści siedem. Interesującym zbiegiem okoliczności był akurat na stacji metra przy Dziewięćdziesiątej Drugiej, kiedy podjął tę decyzję, po krótkiej rozmowie z panem R. To właśnie pan R. przekonał go, że już nie chce ani nie potrzebuje pana usług.

Ku naszemu zaskoczeniu, Zimmerman dość szybko się z nim zgodził.

To powiedziawszy, kobieta precyzyjnie się obok Ricky'ego i weszła do gabinetu.

Rozdział 4

No i tajemnica się wyjaśniła – powiedziała lekko.

Zaczęła rozglądać się po niewielkim pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na kanapie, biurku i fotelu. Podeszła do biblioteczki i obejrzała książki, kiwając z uznaniem głową na widok poważnych tytułów. Przesunęła palcem po grzbiecie jednej z nich i zobaczyła kurz na jego opuszkach.

– Rzadko używana... – mruknęła i spojrzała na Ricky'ego z wyrzutem.

– Co? Ani jednego tomiku wierszy, żadnej beletrystyki?

Podeszła do pomalowanej na kremowo ściany, na której powiesił swoje dyplomy i kilka małych obrazków oraz nieduży, oprawiony w dębową ramę portret Zygmunta Freuda. Kobieta postukała w szkło długim palcem. Paznokcie pomalowane miała jaskrawoczerwonym lakierem.

– To ciekawe. Przedstawiciele każdej profesji mają na ścianie coś takiego. To znaczy, gdybym poszła do księdza, wisiałby u niego Jezus albo krucyfiks. Rabin miałby gwiazdę Dawida albo menorę. Każdy, najmarniejszy nawet polityk wiesza na ścianie Lincolna lub Waszyngtona.

Naprawdę, powinno się tego zabronić. Lekarze lubią mieć gdzieś pod ręką małe plastikowe modele serc, kolan albo innych narządów. Programiści z Doliny Krzemowej na pewno wieszają portret Billa Gatesa na ściankach swoich boksów. Psychoanalityk zaś musi mieć obraz świętego Zygmunta. Dzięki temu każdy, kto tu wchodzi, wie, kto ustalił podstawowe zasady. A tobie daje tę odrobinę wiarygodności, którą w innym razie można by podać w wątpliwość, jak sądzę.

Ricky Starks w milczeniu postawił przed biurkiem krzesło, po czym obrócił i wskazał gestem kobiecie.

– Co – spytała z ożywieniem – nie zaproponujesz mi swojej sławnej kanapy?

– Na to chyba za wcześnie – odparł chłodno i ponowił zaproszenie.

Młoda kobieta jeszcze raz omiotła wzrokiem pokój, jakby starając się wszystko zapamiętać, po czym rozsiadła się wygodnie, jednocześnie sięgając do kieszeni czarnego płaszcza i wydając paczkę papierosów.

Wyciągnęła jednego, pstryknęła zapalniczką, ale zatrzymała płomień kilka centymetrów od koniuszka papierosa.

– Och – powiedziała, uśmiechając się – to nieładnie z mojej strony.

Masz ochotę zapalić, Ricky?

Potrząsnął głową. Nie przestawała się uśmiechać.

– Oczywiście, że nie. Kiedy rzuciłeś? Piętnaście lat temu? Dwadzieścia?

Właściwie, Ricky, wydaje mi się, że to było w siedemdziesiątym siódmym, jeśli pan R. dobrze mnie poinformował. Trzeba było odwagi, żeby wtedy rzucić palenie. Palili wszyscy, chociaż wiedzieli, że to szkodzi.

Zabija. Choć firmy tytoniowe temu zaprzeczały. Strusia polityka: wsadź głowę w piasek i ignoruj fakty. Poza tym tyle się działo: wojny, zamieszki, skandale. Słyszałam, że wspaniale było wtedy żyć. Ale Ricky, młody, przyszły lekarz rzucił palenie, kiedy było o wiele popularniejszym i bardziej akceptowanym nałogiem niż dzisiaj. To wiele o tobie mówi.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i leniwie wypuściła dym.

– Popielniczka? – spytała.

Ricky sięgnął do szuflady biurka i wyjął popielniczkę. Kobieta natychmiast zgasła papierosa.

– Wystarczy – powiedziała. – Gryzący zapach dymu przypominał nam o tamtych czasach.

Ricky odczekał chwilę.

– Dlaczego mamy przypominać sobie tamte czasy?

Kobieta przewróciła oczami, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem. To było zupełnie nie na miejscu, jak chichotanie w kościele albo klawesyn na lotnisku. W końcu uspokoiła się i zmierzyła Ricky'ego uważnym spojrzeniem.

– Bo to ważne. Jak cała moja wizyta, Ricky. Czy nie jest tak w przypadku każdego pacjenta? Nie wiesz, co i kiedy powiedzą, otwierając przed tobą swój świat, prawda? Więc przez cały czas musisz być czujny, bo nie wiesz, kiedy otworzą się drzwi do ukrytych tajemnic. Przez cały czas musisz czuwać. Czekać na przypadkowe słowo czy historię, która dużo ci powie, mam rację? Czy dobrze opisałam ten proces?

Skinął głową.

– Dobrze – powiedziała szorstko. – Dlaczego wydaje ci się, że ta wizyta różni się od wszystkich innych?

Milczał przez chwilę i patrzył na kobietę, mając nadzieję, że wyprowadzi ją tym z równowagi. Była jednak zadziwiająco opanowana i spokojna, a niezręczna cisza w ogóle nie robiła na niej wrażenia.

– Masz przewagę – powiedział w końcu cicho. – Wygląda na to, że dużo o mnie wiesz i przynajmniej trochę o tym, co się dzieje w moim gabinecie, a ja nie wiem nawet, jak się nazywasz. Co masz na myśli, mówiąc, że pan Zimmerman zakończył terapię? Nie skontaktował się ze mną, co jest bardzo dziwne. Chciałbym też wiedzieć, co cię łączy z osobą, którą nazywasz panem R., a która, jak sądzę, jest autorem listu z pogrózkami, podpisującym się Rumpelstiltskin. Chciałbym to jak najszybciej usłyszeć. W przeciwnym wypadku zadzwonię po policję.

Uśmiechnęła się ponownie, zupełnie nieporuszona.

– Przechodzimy do konkretów?

– Odpowiedzi – powtórzył.

– Czy nie tego wszyscy szukamy, Ricky? Wszyscy, którzy przekraczają próg tego gabinetu. Odpowiedzi?

Sięgnął po słuchawkę.

– Wyobraź sobie, że na swój sposób pan R. również tego szuka. Odpowiedzi na pytania, które dręczą go od lat. Daj spokój, Ricky. Chyba zgodzisz się ze mną, że nawet najsroższa zemsta zaczyna się od prostego pytania?

Starksa coraz bardziej irytował sposób bycia tej kobiety. Okazywała wyłącznie arogancką pewnością siebie.

– Proszę natychmiast odpowiedzieć na moje pytania – powiedział, nie zdejmując dłoni z słuchawki. – W przeciwnym razie opowiem wszystko policji i pozwolę, żeby sami to rozpracowali.

– Nie ma w tobie sportowego ducha? Nie jesteś zainteresowany grą?

– Nie znam żadnej gry, która polegałaby na wysyłaniu obrzydliwej pornografii niewinnej dziewczynce. Ani na żądaniu, żebym się zabił.

– Ależ Ricky – kobieta uśmiechnęła się szeroko – czy to nie największa gra? Wygrać ze śmiercią? Możesz wygrać, Ricky, ale nie podnosząc słuchawkę i wykręcając numer policji. Wtedy ktoś gdzieś przegra. Taką złożono ci obietnicę i wierz mi, zostanie dotrzymana. Jakikolwiek jest pan R., dotrzymuje słowa. A kiedy ktoś przegra, przegrasz i ty. To dopiero pierwszy dzień, Ricky. Poddanie się teraz byłoby jak pogodzenie się z porażką tuż po rozpoczęciu meczu. Nie czekając nawet na pierwszą sytuację podbramkową.

Odsunął rękę.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Na dzień dzisiejszy i na potrzeby gry nazywaj mnie Wergiliusz*.[* Wergiliusz w Boskiej komedii Dantego był przewodnikiem bohatera po piekle.]

Każdy poeta potrzebuje przewodnika.

– Wergiliusz to męskie imię.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Mam przyjaciółkę, na którą wszyscy mówią Rikki. Jaka to różnica?

– Żadna. A co cię łączy z Rumpelstiltskinem?

– To mój pracodawca. Jest bardzo bogaty i może wynająć, kogo chce.

Zrobi wszystko, by zdobyć środki, jakie mogą mu być potrzebne do wykonania każdego planu, jaki postanie mu w głowie. Obecnie zajmuje się tobą.

– A więc zakładam, że jako jego pracownik znasz jego nazwisko i adres? Mogłabyś mi je podać i skończyć z tymi wygłupami?

Wergiliusz potrzęsła głową.

– Niestety nie, Ricky. Pan R. nie jest aż tak naiwny, by ujawnić swoją tożsamość przed zwykłymi pionkami, takimi jak ja. A nawet gdybym mogła ci pomóc, nie zrobiłabym tego. Nie byłoby w tym nic emocjonującego. Wyobraź sobie, co by było, gdyby poeta i jego przewodnik

zobaczyli napis: TY, KTÓRY WCHODZISZ, ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ, a Wergiliusz wzruszyłby ramionami i powiedział: „nie ma mowy, ja tam nie wchodzę”. To by wszystko zepsuło. Nie można napisać dzieła o zawróceniu spod bram piekła, prawda, Ricky? Trzeba przez nie przejść.

– W takim razie, po co tu przysłaś?

– Powiedziała ci. Pomyślał, że możesz wątpić w jego szczerłość – chociaż to, co się przydarzyło tej młodej damie, córeczce sztywnego i całkowicie przewidywalnego tatuśka z Deerfield, powinno być dla ciebie wystarczającym ostrzeżeniem. Ale wątpliwości rodzą wahanie, a tobie zostały tylko dwa tygodnie, czyli niewiele. Dlatego właśnie przysłał ci przewodnika, żeby pomóc ci ruszyć z miejsca.

– W porządku – powiedział Ricky. – Wciąż mówisz o grze. Dla pana Zimmermana to nie jest gra. Jego terapia trwa prawie rok i weszła właśnie w ważną fazę. Ty i twój pracodawca, tajemniczy pan R., możecie się przypieprzać do mnie, ale nie macie prawa mieszać do tego moich pacjentów.

To przekracza granice... Wergiliusz podniosła dłoń.

– Ricky, spróbuj nie być taki pompatyczny.

Starks popatrzył na nią ostro.

Zignorowała go i machnęła lekko ręką.

– Zimmerman został wybrany, by wziąć udział w grze.

Ricky musiał wygłądać na oszołomionego, ponieważ dodała:

– Z tego, co wiem, początkowo niezbyt chętnie, ale po jakimś czasie z podejrzanym entuzjazmem. Nie brałam jednak udziału w tej konkretnej rozmowie, więc nie mogę ci służyć szczegółami. Moja rola polegała na czymś innym. Mimo to powiem ci, kto jeszcze jest w to zamieszany. Nieco upośledzona kobieta w średnim wieku, nazywająca się LuAnne. To ładne imię, niespotykane i nie bardzo do niej pasujące, biorąc pod uwagę jej niezbyt pewną pozycję na tej planecie. W każdym razie, Ricky, byłoby mądrze porozmawiać z LuAnne, kiedy stąd wyjdę. Kto wie, czego się dowiesz? Jestem też pewna, że będziesz chciał uzyskać wyjaśnienia od pana Zimmermana, ale powiem ci, że raczej nie będzie osiągalny. Jak już mówiłam, pan R. jest bardzo bogaty i przyzwyczajony do stawiania na swoim.

Ricky miał zażądać dokładniejszych wyjaśnień, ale Wergiliusz wstała.

– Czy będziesz miał coś przeciwko – spytała lekko ochryłym głosem – żebyś zdjęła płaszcz?

Machnął ręką w geście przyzwolenia.

– Proszę bardzo – powiedział.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, powoli rozpięła zatrzaski i rozwiązała pasek. Potem jednym gwałtownym ruchem strząsnęła płaszcz z ramion i pozwoliła mu opaść na podłogę.

Była naga.

Oparła rękę na biodrze i wygięła się prowokująco w jego stronę.

Obróciła się, stając na chwilę tyłem, potem jeszcze raz. Ricky jednym spojrzeniem ocenił jej figurę; jego wzrok pracował jak aparat fotograficzny, rejestrując piersi, łono i długie nogi, wreszcie wracając do oczu, lśniących oczekiwaniem.

– Widzisz, Ricky – powiedziała cicho Wergiliusz – nie jesteś taki stary. Czujesz, jak twoja krew zaczyna szybciej krążyć? Może coś się poruszyło między nogami? Nie? Mam niezłą figurę, prawda? – Zachichotała. – Nie musisz nic mówić. Znam odpowiedź. Widziałam ją już wiele razy.

Przez cały czas patrzyła mu w oczy, jakby dając do zrozumienia, że ma kontrolę nad jego spojrzeniem.

– Cudowny jest moment, Ricky – powiedziała, uśmiechając się szeroko – kiedy mężczyzna po raz pierwszy widzi ciało kobiety. Zwłaszcza ciało, którego wcześniej nie oglądał. Taki widok to czyste wyzwanie. Jego wzrok spływa po niej jak woda z urwiska. Potem, tak jak ty teraz, chociaż wolałbyś gapić mi się między nogi, z poczucia winy nawiązuje kontakt wzrokowy. Jakby chciał powiedzieć, że cały czas widzi we mnie człowieka.

Patrzy mi w twarz, chociaż tak naprawdę myśli jak zwierzę, nieważne, czy jest wykształcony i dobrze wychowany. Czy nie to właśnie się dzieje?

Nie odpowiedział. Zdał sobie sprawę, że minęły lata, odkąd patrzył na nagą kobietę. Każde słowo Wergiliusz dzwoniło mu w uszach i czuł, że jest mu gorąco, jakby do gabinetu wtargnął upał z ulicy.

Wciąż się do niego uśmiechała. Obróciła się jeszcze raz i stanęła jak modelka pozująca artyście. Każdy jej ruch wydawał się podnosić temperaturę w pokoju o kolejne kilka stopni. Potem schyliła się powoli i podniosła z podłogi płaszcz. Trzymała go przez chwilę w wyciągniętej ręce, jakby nie miała ochoty go założyć, potem jednak szybkim ruchem wsunęła rękę w rękawy i zaczęła zapinać zatrzaski. Kiedy jej nagość zniknęła, Ricky poczuł się jakby wychodził z hipnotycznego transu, a przynajmniej, jak pacjent budzący się po narkozie. Chciał coś powiedzieć, ale Wergiliusz podniosła rękę, powstrzymując go.

– Przykro mi, Ricky – powiedziała szorstko. – Na dzisiaj koniec sesji.

Dałam ci mnóstwo wskazówek, a teraz pora, żebyś zaczął działać.

Nie jesteś w tym dobry, prawda? Ty słuchasz. Ale te czasy się skończyły.

Teraz musisz ruszyć w świat i coś zrobić. W przeciwnym razie... Nie, nie myślmy na razie o tym, co się może stać. Kiedy przewodnik wskazuje ci drogę, ty musisz nią podążyć. I nie próżnuj. Kto rano wstaje, temu coś tam coś tam. To bardzo dobra rada. Posłuchaj jej.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę wyjścia.

– Zaczekaj – powiedział nagle Ricky. – Wrócisz?

– Kto wie? – odparła z lekkim uśmiechem. – Może się jeszcze spotkamy.

Zobaczymy, jak sobie będziesz radził.

I wyszła.

Ricky słuchał przez chwilę stukania jej obcasów na korytarzu, po czym zerwał się i pobiegł do drzwi. Otworzył je, ale kobiety już nie było.

Po chwili wahania wrócił do gabinetu. Podeszedł do okna, przycisnął nos do szyby i wyjrzał na ulicę, w samą porę, by dostrzec, jak wychodzi frontowymi drzwiami. Przed dom zajechała czarna limuzyna i Wergiliusz do niej wsiadła. Samochód ruszył w dół ulicy, znikając zbyt szybko, by Ricky zauważył tablicę rejestracyjną czy jakikolwiek inny szczegół, nawet gdyby był w stanie o czymś takim pomyśleć.

Przy plażach Cape Cod, niedaleko letniego domu Ricky'ego w Wellfleet występują silne prądy zwrotne. Są niebezpieczne, czasem nawet zabójcze. Powstają w wyniku ciągłego uderzania fal o brzeg. W piasku na dnie powstają bruzdy, woda niespodziewanie trafia na nową drogę powrotną i płynie bruzdą niczym kanałem, na powierzchni zaś powstaje prąd zwrotny. Dostanie się w taki prąd jest bardzo nieprzyjemne, trochę straszne, a na pewno męczące. No i można stracić życie. Aby wyjść z tego cało, trzeba się trzymać kilku zasad. Przede wszystkim nie można walczyć z prądem. Wystarczy po prostu płynąć równoległe do brzegu, a po kilku sekundach siła wody słabnie. Wtedy wystarczy kilka ruchów ramion, by wrócić na plażę. Bruzdy są zazwyczaj krótkie, więc można też dać ponieść się prądowi, a kiedy osłabnie, popłynąć do brzegu. Kiedy się mówi o tym na przyjęciu, albo nawet stojąc na sypkim i miękkim piasku plaży, wydaje się, że wyrwanie się z objęć prądu zwrotnego jest równie łatwe, jak strzepnięcie ze skóry natrętnego owada.

W rzeczywistości to o wiele bardziej skomplikowane. Kiedy coś nieuchronnie znosi człowieka na otwarte morze, daleko od bezpiecznego brzegu, natychmiast wpada się w panikę. Dostanie się we władanie tak potężnej siły jest przerażające. Strach i ocean to zabójcza kombinacja.

Szybko dają znać o sobie panika i wyczerpanie. Ricky'emu wydawało się, że każdego lata czytał w „Cape Cod Timesie” o przynajmniej jednym przypadku, kiedy pływak ginął zaledwie kilka metrów od brzegu.

Teraz starał się zapanować nad sobą, ponieważ czuł, że porwał go prąd.

Wziął głęboki oddech i spróbował nie myśleć o tym, że znosi go w stronę czegoś mrocznego i niebezpiecznego. Kiedy tylko limuzyna wioząca Wergiliusz zniknęła mu z oczu, złapał notes i odszukał numer Zimmermana. Zapisał go na pierwszej stronie, a potem o nim zapomniał, ponieważ ani razu nie musiał do niego dzwonić. Wybrał numer, ale Zimmermana nie było. Jego nadopiekuńczej matki też. Ani automatycznej sekretarki. Tylko regularny irytujący sygnał.

Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli porozmawia z nim osobiście.

Nawet jeśli Zimmerman został przekupiony przez Rumpelstiltskina, by zakończyć terapię,

być może zdradzi coś na temat jego prześladowcy.

Ricky wiedział, że Zimmerman nie jest w stanie dochować tajemnicy, niezależnie od tego, co kazano mu zrobić. Rzucił słuchawkę i porwał z krzesła marynarkę. Po chwili był już na ulicy.

Miasto, mimo późnego popołudnia, wciąż skąpane było w promieniach słońca. Na ulicach wciąż były korki, chociaż tłumy przechodniów nieco się przerzedziły. Nowy Jork, jak każde wielkie miasto, chociaż chełpi się tym, że nigdy nie śpi, funkcjonował według tych samych rytmów, co reszta świata: energia rano, determinacja w południe, głód wieczorem.

Ricky nie zwracał uwagi na pełne ludzi restauracje, chociaż więcej niż raz wyłowił zapraszające do środka zapachy.

Zrobił coś, czego nie robił prawie nigdy. Zamiast zatrzymać taksówkę, ruszył przez Central Park na piechotę. Pomyślał, że czas i zmęczenie pomogą mu uspokoić emocje, dojść do ładu z tym, co się wokół niego działo. Jednak mimo zdolności koncentracji, z której był tak dumny, miał kłopoty z przypomnieniem sobie tego, co powiedziała Wergiliusz, choć bez trudu przywoływał obraz jej ciała, od igrającego na ustach uśmiechu, poprzez krzywiznę piersi, po kształt jej łona.

Upał nadal doskwierał, mimo że popołudnie przeszło w wieczór. Po przejściu kilkuset metrów Ricky poczuł klejące się plamy potu na karku i pod pachami. Rozluźnił krawat, zdjął blezer i zarzucił go na ramię; nadało mu to nieco zawiadziaki wygląd, zupełnie niepasujący do tego, jak się czuł.

W parku wciąż było sporo ludzi. Kilka razy musiał schodzić z drogi grupom biegaczy. Widział starsze osoby spacerujące z psami i minął kilka grup grających w bejsbol. Boiska zachodziły na siebie i Ricky zauważył, że często prawy zawodnik jednej drużyny stał obok lewego z drugiej, biorącego udział w innym meczu. Obowiązywała tu szczególna etykieta: wszyscy starali się koncentrować na grze, jednocześnie nie przeszkadzając innym.

Zdarzało się, że wybita piłka wpadała na sąsiednie boisko. Grająca na nim drużyna natychmiast odsuwała się na bok, żeby nie przeszkadzać, po czym wznawiała mecz. Ricky pomyślał, że życie rzadko kiedy jest tak proste i nieczęsto przypomina grę. Zwykle wchodzimy sobie nawzajem w drogę.

Dotarcie do domu Zimmermana zajęło mu kolejne dwadzieścia pięć minut szybkiego marszu. Był spocony i żałował, że nie założył starych tenisówek zamiast skórzanych pantofli, które wydawały mu się za ciasne i straszły odciskami. Czuł lepką wilgoć, którą przesiąkł podkoszulek.

Włosy przykleiły mu się do czoła. Przystanął przed witryną sklepową i spojrzął na swoje odbicie. Zamiast spokojnego i opanowanego lekarza, który z kamienną twarzą witał pacjentów w drzwiach gabinetu, ujrzał spoconego, potarganego i wyraźnie zmartwionego mężczyznę. Jestem rozczochrany, wyglądam na udręczonego i prawdopodobnie trochę przerażonego,

pomyślał i spróbował doprowadzić się do porządku.

Nigdy w ciągu prawie trzydziestu lat praktyki Ricky nie naruszył sztywnej i sformalizowanej relacji między pacjentem i terapeutą. Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy pójść do kogoś do domu i sprawdzić, co u niego słyhać. Nieważne, w jak głębokiej depresji znajdował się pacjent, zawsze przywoził ją do jego gabinetu. To oni go znajdowali. Kiedy mieli kłopoty i czuli się przybici, dzwonili i umawiali się na wizytę. Była to nieodłączna część procesu wychodzenia na prostą. Nieważne, jak było to trudne, już samo przyjscie na wizytę było ważnym krokiem. Szukanie pomocy poza gabinetem psychoanalityka należało do rzadkości. Czasami sztuczne bariery i dystans stworzony przez relację pacjent-doktor wydawały się okrutne, to one jednak umożliwiały wgląd w motywacje pacjenta.

Ricky przystanął na rogu, kilka ulic od mieszkania Zimmermana, trochę onieśmieszony faktem, że znalazł się w tym miejscu. To, że wahanie to niewiele się różniło od nerwowego chodzenia Zimmermana pod drzwiami gabinetu, umknęło jego uwagi.

Przeszedł kilka kroków, po czym znów stanął.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić – oznajmił, głośno, bez tchu.

Przechodząca obok para młodych ludzi musiała go usłyszeć.

– Pewnie, że możesz, stary. To nie takie trudne – rzucił mężczyzna.

Dziewczyna wisząca na jego ramieniu wybuchnęła śmiechem, a potem żartobliwie klepnęła go w ramię, jakby karząc za to, że był jednocześnie dowcipny i niegrzeczny. Minęli Ricky'ego i poszli dalej, na spotkanie tego, co oferował im wieczór, a on stał, kołysząc się jak łódź szarpiąca cumy, unieruchomiona, ale podatna na wiatr i prąd wody.

– Co ona powiedziała? – szepnął.

Zimmerman postanowił zakończyć terapię dokładnie o czternastej trzydzieści siedem na pobliskiej stacji metra.

To nie miało sensu.

Ricky obejrzał się przez ramię i dostrzegł budkę telefoniczną. Wszedł do niej i wsunął dwadzieścia pięć centów w szczelinę aparatu, pospiesznie wystukując numer Zimmermana. Znów usłyszał kilka dzwonek i znów nikt nie podniósł słuchawki.

Tym razem jednak Ricky poczuł ulgę. Brak odpowiedzi zwalniał go z konieczności zastukania do drzwi Zimmermana, chociaż był zaskoczony, że nie odebrała jego matka. Według syna, większość dnia spędzała w łóżku, chora i niedołączna, bez ustanku zasypując go złośliwymi zadaniami i upokarzającymi komentarzami.

Wszedł z budki. Spojrzał w stronę mieszkania Zimmermana, po czym potrząsnął głową. Musisz zapanować nad sytuacją, powiedział sobie. List z pogrózkami, dziecko, do którego wysłano pornografię, niespodziewane pojawienie się w gabinecie nagiej i oszałamiająco pięknej

kobiety, wszystko to wytrąciło go z równowagi. Musiał przywrócić ustalony bieg rzeczy, a potem wytyczyć prosty kurs w grze, do której został zmuszony. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, pomyślał, jest przekreślenie prawie roku pracy z Rogerem Zimmermanem, bo jestem przerażony i działam bez zastanowienia.

Ta myśl podniosła go na duchu. Odwrócił się, gotów wracać do domu i zacząć pakowanie przed wyjazdem na wakacje.

Jego wzrok padł jednak na zejście do stacji metra przy Dziewięćdziesiątej Drugiej ulicy, oznaczone niedużym żółtym znakiem. Ricky ruszył w tamtą stronę, zatrzymał się na chwilę, po czym zszedł na dół, gnany strachem, jakby coś powoli wyłaniało się z mgły i ciemności, i stawało coraz bardziej wyraźne. Jego buty stukały głośno na stopniach. Lampy jarzeniowe szumiały i brzęczały, a wyłożone kafelkami ściany odbijały światło. Gdzieś w tunelu zajechał pociąg. Ricky'ego ogarnął zapach stęchlizny, kojarzący się z otwarciem zamkniętej przez wiele lat szafy. Na peronie stało zaledwie kilka osób. Ricky zauważył samotną czarnoskórą kobietę, siedzącą w kiosku z żetonami. Poczekał na chwilę, kiedy nie była zajęta wydawaniem reszty, i podeszedł do okienka.

– Przepraszam bardzo... – zaczął.

– Potrzebujesz pan rozmienić na drobne? Informacji? Tam, na ścianie wisi mapa.

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Zastanawiam się, przepraszam, jeśli to dziwnie zabrzmiało, ale... – O co chodzi?

– Cóż, zastanawiam się, czy dzisiaj nie wydarzyło się tu coś dziwnego?

Dzisiaj po południu... – Musisz pan o tym pogadać z glinami – powiedziała szorstko kobieta.

– To się stało przed moją zmianą.

– Ale co... – Nie było mnie tu. Nic nie widziałam.

– Ale co się stało?

– Jakiś facet skoczył pod pociąg. Albo wpadł, pojęcia nie mam. Gliniarze przyjechali i pojechali, zanim zaczęłam zmianę. Posprząтали wszystko i zebrali kilku świadków. I tyle.

– Jacy gliniarze?

– Komunikacyjni. Dziewięćdziesiąta Szósta i Broadway. Pogadaj pan z nimi. Ja nie znam żadnych szczegółów.

Ricky odsunął się ze ściśniętym żołądkiem. Kręciło mu się w głowie, czuł mdłości. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, a na stacji go nie było. Nadjechał pociąg, wypełniając perony piskliwym zgrzytem, jakby zwalnianie sprawiało mu potworny ból. Ten dźwięk uderzył Ricky'ego jak zaciśnięta pięść.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zawołała kobieta z budki, przekrzykując hałas. – Marnie pan wygląda.

Ricky kiwnął głową i wyszeptał odpowiedź, której pewnie nie usłyszała.

– Nic mi nie jest – powiedział, choć było to kłamstwo. Zatoczył się do wyjścia jak pijany.

Rozdział 5

Cały świat otaczający Ricky'ego tego wieczoru wydawał się obcy.

Widoki, dźwięki i zapachy siedziby Zarządu Komunikacji na skrzyżowaniu Dziewięćdziesiątej Szóstej i Broadwayu były dla niego jak okno na miasto, przez które nigdy dotąd nie wyglądał i z którego istnienia ledwie zdawał sobie sprawę. Tuż za drzwiami uderzył go słaby odór moczu i wymiocin, walczący z ostrym zapachem środków dezynfekujących. Smród sprawił, że Ricky się zawahał. Nagle ogarnął go dziwaczny zgiełk; jakiś mężczyzna wykrzykiwał z ukrytej celi niezrozumiałe ciągi słów, odbijających się echem w całym pomieszczeniu i niemających związku z niczym, co się w nim działo. Rozzłoszczona kobieta, trzymając za rękę płaczące dziecko, stała przed solidnym drewnianym biurkiem dyżurnego sierżanta, wyrzucając z siebie z prędkością karabinu maszynowego potoki hiszpańskiego. Obok Ricky'ego przechodzili policjanci; ich jasnoblękitne koszule były mokre od potu, a skórzane pasy z pistoletami skrzypiały, wtórując stukotowi czarnych wypolerowanych butów. Skądś dobiegał dzwonek telefonu, którego nikt nie odbierał. Ludzie wchodzili i wychodzili, śmiali się i płakali, a wszystko to podkreślały erupcje przekleństw, ciskanych przez niebawiających się w subtelności policjantów albo gości, niektórych w kajdankach, przepychanych pod nieczułymi jarzeniówkami recepcji.

Ricky stał w przejściu, nie wiedząc, co ma zrobić. Nagle obok niego przepchnął się jakiś policjant.

– Odsuń się, człowieku, stoisz w przejściu – rzucił niecierpliwie.

Ricky zrobił krok do przodu, jak szarpnięty liną.

Kobieta przy biurku podniosła zaciśniętą pięść i pogroziła nią oficerowi dyżurnemu, wyrzuciła z siebie kolejny potok słów, tym razem obelg, po czym szarpnęła dziecko za rękę i odwróciła się. Z wykrzywioną twarzą minęła Ricky'ego, jakby nie znaczył więcej od karalucha. Potykając się, Starks podszedł do biurka. Ktoś wyrył na blacie napis „pierdol się”, którą to propozycją nikt nie przejął się na tyle, by ją usunąć.

– Przepraszam... – zaczął Ricky, ale natychmiast mu przerwano.

– Nikt nigdy tak naprawdę nie przeprosza, kolego. Tak tylko mówią.

Nigdy nie mają tego na myśli. Ale ja wysłucham każdego. A więc dlaczego uważasz, że powinieneś za coś przeproszać?

– Nie, pan mnie źle zrozumiał. Mam na myśli... – Nikt też nigdy nie mówi tego, co naprawdę myśli. To ważna życiowa lekcja. Byłoby dobrze, gdyby więcej ludzi się tego nauczyło.

Policjant miał czterdzieści parę lat, a na twarzy uśmiech, który zdawał się mówić, że jego właściciel zobaczył już prawie wszystko, co warto w życiu obejrzeć. Był mocno zbudowany; kark kulturysty i lśniące czarne włosy, zaczesane równo nad czołem. Błat biurka zaścielały formularze i raporty. Policjant co jakiś czas składał kilka razem, spinał staromodnym głośnym

zszywaczem, po czym wrzucał do drucianego kosza.

– Zacznę od początku – powiedział ostro Ricky.

Policjant znów uśmiechnął, kręcąc głową.

– Nie da się zacząć od początku, a przynajmniej ja się z czymś takim nie spotkałem. Wszyscy powtarzamy, że chcemy zacząć nowe życie, ale tak się po prostu nie da. Ale spróbujmy. Może pan będzie pierwszy, któremu się uda. W czym mogę pomóc?

– Dzisiaj wydarzył się wypadek na stacji metra przy Dziewięćdziesiątej Drugiej. Mężczyzna wpadł... – Słyszałem, że skoczył. Jest pan świadkiem?

– Nie. Ale znałem go, jak przypuszczam. Byłem jego lekarzem. Potrzebuję informacji... – Lekarzem? Jakim lekarzem?

– Przez ostatni rok chodził do mnie na psychoterapię.

– Jest pan lekarzem od świrów?

Ricky skinął głową.

– Ciekawa praca – stwierdził policjant. – Ma pan leżankę?

– Kanapę.

– Bez jaj! I ludzie mają o czym gadać? Ja bym chyba zasnął, jak bym się tylko położył. Jedno ziewnięcie i już śpię. Ale ludzie dużo gadają, co?

– Czasami.

– Fajnie. No, ten już sobie nie pogada. Lepiej niech pan porozmawia z detektywem. Przez te podwójne drzwi, korytarzem po lewej. Sprawą zajmuje się Riggins. A raczej tym, co z niej zostało po tym, jak ekspres z Ósmej Alei przejechał przez stację na Dziewięćdziesiątej Drugiej z prędkością sto na godzinę. Chce pan poznać szczegóły, niech pan tam idzie i porozmawia z detektywem.

Policjant machnął ręką w kierunku drzwi prowadzących w głąb komisariatu.

Kiedy to zrobił, Ricky usłyszał wibrujący dźwięk, dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Sierżant dyżurny uśmiechnął się.

– Ten koleś mnie do rana zdenerwuje – powiedział, odwracając się i zszywając kolejny plik papierów z odgłosem przypominającym wystrzał.

– Jak się nie zamknie, sam pewnie będę potrzebował psychiatry, zanim noc się skończy. Potrzebuje pan przenośnej kanapy, doktorze.

Zaśmiał się i machnął ręką, wskazując Ricky'emu kierunek. Papiery na biurku zaszeleściły, poruszone podmuchem.

Ricky Starks otworzył drzwi po lewej z napisem BIURO DETEKTYWÓW.

Wszedł do małego pomieszczenia zastawionego brudnymi stalowymi biurkami i zalanego sinawym światłem jarzeniówek. Zamrugał, jasność zakłuła go w oczy niczym morska woda. Detektyw w białej koszuli i czerwonym krawacie, siedzący najbliżej wejścia, podniósł wzrok.

– W czym mogę pomóc?

– Detektyw Riggins?

Policjant pokręcił głową.

– Nie, to nie ja. Jest tam z tyłu, kończy rozmawiać z ludźmi, którzy obejrzeni sobie dzisiaj jakiegoś samobójcę.

Ricky spojrział w głąb pomieszczenia i zobaczył kobietę po trzydziestce, ubraną w męską jasnoniebieską koszulę i jedwabny krawat w prążki, zawiązany niedbale na szyi i przypominający pętlę, szare spodnie, zlewające się kolorem ze ścianą i białe adidas z pomarańczowymi odblaskowymi paskami. Ciemnoblond włosy związała ciasno w kucyk, co sprawiało, że wyglądała na więcej niż na trzydzieści kilka lat, choć na tyle ocenił ją Ricky. W kącikach oczu miała kurze łapki. Rozmawiała z dwójką nastolatków, ubranych w śmiesznie luźne dzinsy i czapki bejsbolowe, wyglądające, jakby ktoś krzywo przykleił im je do głów. Gdyby Ricky był choć trochę bardziej zorientowany, wiedziałby, że są po prostu modnie ubrani. Ale jemu ich wygląd wydał się tylko dziwaczny i niepokojący.

Gdyby spotkał takich chłopaków na ulicy, pewnie by się przestraszył.

– Pan w sprawie tego samobójcy z Dziewięćdziesiątej Drugiej? – spytał nagle siedzący przed nim detektyw.

Ricky skinął głową. Policjant podniósł słuchawkę i gestem wskazał kilka krzeseł pod ścianą. Tylko jedno z nich było zajęte. Siedziała na nim zaniedbana brudna kobieta w nieokreślonym wieku. Szywne jak druty siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Ricky’emu wydawało się, że mówi sama do siebie. Miała na sobie wytarty płaszcz, którym coraz ciaśniej się opatulą. Kołysała się lekko. Bezdomna schizofreniczka, zdiagnozował natychmiast. Nie zajmował się nikim takim od czasów studiów, chociaż często mijał podobnych ludzi na ulicy, przyspieszając kroku jak każdy nowojorczyk. W ostatnich latach liczba bezdomnych wydawała się zmniejszać, ale Starks podejrzewał, że po prostu przenoszono ich w inne miejsca, żeby turyści i zamożni mieszkańcy nie musieli ich tak często spotykać.

– Niech pan usiądzie obok LuAnne – powiedział detektyw. – Powiem Riggins, że ma jeszcze jednego żywego do pogadania.

Ricky zeszywniał, kiedy usłyszał imię kobiety. Wziął głęboki oddech i podszedł do krzeseł.

– Mogę tu usiąść? – spytał, pokazując miejsce obok bezdomnej.

Spojrzała na niego, lekko zaskoczona.

– Chce wiedzieć, czy może tu usiąść. Kim ja jestem? Królową krzeseł? Co powinnam powiedzieć? Tak? Nie? Może usiąść, gdzie mu się podoba...

LuAnne miała brudne połamane paznokcie. Jej ręce pokryte były bliznami i odciskami, a na jednej z nich widać było skaleczenie, które wyglądało na zakażone – bordowy strup otaczała spuchnięta purpurowa skóra.

Ricky pomyślał, że rana musi być bolesna, ale nic nie powiedział. LuAnne pocierała palec o palec, jak kucharz, solący jakieś danie.

Starks usiadł obok niej. Wiercił się, jakby szukał wygodnej pozycji.

– A więc, LuAnne – zapytał – byłeś na stacji metra, kiedy ten człowiek wpadł pod pociąg?

LuAnne spojrzała na świecąca jasno jarzeniową lampę. Wzruszyła lekko ramionami.

– Chce wiedzieć, czy byłam tam, kiedy ten człowiek wpadł pod pociąg? Powinam powiedzieć mu, co widziałam. Krew i wrzeszczących ludzi, to było okropne, potem przyjechała policja.

– Mieszkasz na stacji?

– Chce wiedzieć, czy tam mieszkam, no, czasami, powinienam mu powiedzieć, czasami tam mieszkam.

LuAnne w końcu odwróciła wzrok od świetlówek, mrugając i kręcąc głową, jakby nagle w całym pomieszczeniu zobaczyła duchy. Po chwili odwróciła się do Ricky'ego.

– Widziałam – powiedziała. – Też tam byłeś?

– Nie – odparł. – Ten człowiek, który zginął, to ktoś, kogo znałem.

– O, to smutne. – Pokręciła głową. – Takie smutne. Znałam ludzi, którzy umarli. Smutne.

– Tak – powiedział. – To smutne. – Uśmiechnął się do niej z przymusem.

Odpowiedziała tym samym. – Powiedz mi, LuAnne, co widziałaś?

Odkaslnęła kilka razy.

– Chce wiedzieć, co widziałam – powiedziała, patrząc na Ricky'ego.

– Chce się dowiedzieć o człowieku, który zginął, a potem o ładnej pani.

– Co to za ładna pani? – spytał Starks, starając się nad sobą panować.

– Nie wie o bardzo ładnej pani.

– Nie, nie wiem. Ale jestem ciekawy – wyjaśnił, próbując ostrożnie skłonić ją do mówienia.

LuAnne wpatrywała się w dal, jakby chciała przebić wzrokiem ściany, dostrzec jakiś miraż.

– Chce wiedzieć, czy ładna pani przyszła do mnie, zaraz po tym, jak jego łupnęło! – powiedziała bezpośrednim i przyjacielskim tonem. – I mówi do mnie bardzo cicho, mówi, widziałaś to, LuAnne? Widziałaś, jak ten człowiek skoczył pod pociąg? Widziałaś, jak zeskoczył z peronu tuż pod przejeżdżający pociąg? To był ekspres, rozumiesz, i się nie zatrzymuje, nie, nigdy się nie zatrzymuje, trzeba łapać lokalny, jeśli chcesz wsiąść, a on skacze! Okropne, okropne! Mówi do mnie, LuAnne, widziałaś, jak się zabił? Nikt go nie popchnął, LuAnne, mówi. Zupełnie nikt.

Możesz być całkiem pewna, LuAnne, nikt go nie popchnął. Łup! Po prostu zrobił krok, mówi pani. Takie smutne. Pewnie nagle chciał strasznie umrzeć. Łup! A zaraz obok niej jest człowiek, zaraz obok bardzo ładnej pani, i mówi, LuAnne, musisz opowiedzieć policji, co widziałaś, powiedz im, że widziałaś, jak minął wszystkich innych panów i panie i skoczył.

Łup! Nie żyje. A wtedy ładna pani mówi do mnie, ona mówi, powiesz policji, LuAnne, że to twój obywatelski obowiązek, powiedzieć im, że widziałaś, jak skoczył. A potem ona daje mi dziesięć dolarów. Ale każe mi obiecać. LuAnne, mówi, obiecasz, że pójdziesz do policjantów i powiesz im, że widziałaś, jak skoczył? Tak, mówię do niej. Obiecuję. I przyszłam powiedzieć policji, tak, jak kazała, i tak, jak obiecałam. Tobie też dała dziesięć dolarów?

– Nie – powiedział wolno Ricky. – Nie dała.

– O, szkoda – odparła LuAnne. – Masz pecha.

– Tak. Szkoda – zgodził się Starks. – Mam pecha.

Podniósł wzrok i zobaczył, że pani detektyw idzie w ich stronę.

Detektyw Riggins wyglądała na zmęczoną. Poruszała się wolno, jakby bolały ją mięśnie, jakby była wykończona upałem, a na pewno popołudniem, spędzonym na pracowitym zbieraniu resztek nieszczęsnego pana Zimmermana i ustalaniu przebiegu jego kilku ostatnich chwil przed skokiem z peronu.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się lekko. – Pan w sprawie pana Zimmermana?

Zanim zdążył odpowiedzieć, detektyw Riggins odwróciła się do LuAnne.

– LuAnne, każe policjantowi odwieźć cię na noc do przytułku na Sto Drugiej. Dziękuję, że przyszłaś. Bardzo nam pomogłaś. Zostań w przytułku, LuAnne, dobrze? Na wypadek, gdybym musiała jeszcze z tobą porozmawiać.

– Mówi zostań w przytułku, ale nie wie, że nie znosimy przytułku.

Pełno tam niedobrych i szalonych ludzi, którzy zadźgają cię i okradną, jak się dowiedzą, że masz dziesięć dolarów od ładnej pani.

– Nikt się nie dowie, będziesz bezpieczna. Proszę.

LuAnne pokręciła głową, ale obiecała:

– Spróbuję, pani detektyw.

Riggins pokazała gestem drzwi, przy których czekało dwóch policjantów.

– Oni cię odwiozą, dobrze?

LuAnne wstała, kręcąc głową.

– Będzie fajnie. Jak chcesz, poproszę ich, żeby włączyli koguta i syrenę.

LuAnne uśmiechnęła się i pokiwała głową z dziecinnym entuzjazmem.

Detektyw wskazała ręką policjantów.

– Panowie, specjalne traktowanie dla naszego świadka. Kogut i akcja przez całą drogę, dobra?

Mundurowi uśmiechnęli się i wzruszyli ramionami. To nie było trudne zadanie i nie mieli na co narzekać, jeśli tylko LuAnne będzie przebywała w ich samochodzie wystarczająco krótko, by gryzący smród potu, brudu i zakażenia, który roztaczała wokół siebie niczym woń perfum, nie został, kiedy wysiądzie.

Ricky patrzył, jak obłąkana kobieta, szurając, kiwając głową i mówiąc do siebie, idzie z policjantami do wyjścia. Odwrócił się i zobaczył, że detektyw Riggins też im się przygląda. Policjantka westchnęła.

– Nie jest z nią aż tak źle, jak z niektórymi. I trzyma się jednego miejsca. Albo za winiarnią na Dziewięćdziesiątej Siódmej, na stacji, tam, gdzie była dzisiaj, albo przy wejściu do Riverside Park na Dziewięćdziesiątej Szóstej. To znaczy, jest wariatką, ale nie tak paskudną, jak niektórzy.

Ciekawa jestem, kim jest naprawdę. Jak pan myśli, doktorze, może gdzieś ktoś się o nią martwi? Gdzieś w Cincinnati albo Minneapolis.

Rodzina, przyjaciele, krewni zastanawiają się, co się stało z ich ekscentryczną ciotką albo kuzynką. Może jest spadkobierczynią fortuny jakiegoś magnata naftowego albo wygranej na loterii. Fajnie by było, prawda?

Ciekawe, co jej się stało, że tak skończyła. Te wszystkie chemikalia w mózgu po prostu zaczęły bulgotać. Ale to już pana terytorium, nie moje.

– Nie jestem dobry z leków – powiedział Ricky. – Nie tak, jak niektórzy moi koledzy. Schizofrenia tak poważna jak jej naprawdę wymaga leczenia farmakologicznego, ale to, czym ja się zajmuję, nie pomogłoby LuAnne.

Detektyw Riggins wskazała mu swoje biurko, do którego przysunięto krzesło.

– Pan zajmuje się słuchaniem, tak? Ktoś ma problem i o nim opowiada?

Mówi, mówi, mówi, a w końcu wszystko się wyjaśnia?

– To uproszczenie, pani detektyw. Ale dość trafne.

– Moja siostra po rozwodzie chodziła do terapeuty. Pomogło jej to wyjść na prostą. Z drugiej strony moja kuzynka Marcie – taki typ, co zawsze ma czarną chmurę nad głową – chodziła do jakiegoś faceta przez trzy lata i skończyła jeszcze bardziej popieprzona niż na początku.

– Przykro mi to słyszeć. Jak w każdym zawodzie zdarzają się różne stopnie kompetencji. – Ricky i detektyw usiedli przy biurku. – Ale...

– Był pan terapeutą Zimmermana, tak? – przerwała mu Riggins.

Wyjęła notes i ołówek.

– Tak. W ciągu ostatniego roku poddawał się psychoanalizie. Ale... – Wykrył pan u niego wzrost tendencji samobójczych w przeciągu ostatnich kilku tygodni?

– Nie. Absolutnie nie – powiedział stanowczo Ricky.

Detektyw uniosła brwi, lekko zaskoczona.

– Naprawdę? Nic a nic?

– Właśnie to powiedziałem – odparł Starks. – Właściwie... – A więc w takim razie robił postępy?

Ricky zawahał się.

– Więc? – ponagliła go policjantka. – Polepszało mu się? Zyskiwał kontrolę nad sobą? Czuł

się pewniej? Gotów stawić czoło światu? Wychodził z depresji? Uspokajał się?

Starks odpowiedział po chwili milczenia:

– Powiedziałbym, że nie doszedł do tego, co pani czy ja nazwalibyśmy przełomem. Wciąż borykał się z problemami, które zatruwały mu życie.

Detektyw Riggins uśmiechnęła się smutno. W jej słowach brzmiała jednak lekka irytacja.

– Więc po prawie roku intensywnej terapii, pięćdziesiąt minut dziennie, pięć dni w tygodniu – czyli... chwileczkę... czterdzieści osiem tygodni w roku – można powiedzieć, że ciągle miał depresję i był sfrustrowany?

Ricky przygryzł wargę, po czym skinął głową.

Riggins zapisała coś w notesie.

– Czy desperacja byłaby za mocnym słowem?

– Tak – powiedział z irytacją.

– Nawet jeśli było to pierwsze słowo, którego użyła jego matka i które pojawiło się w zeznaniach kilku jego współpracowników?

– Tak – powiedział stanowczo Ricky.

– Więc nie sądzi pan, że miał skłonności samobójcze?

– Powiedziałem już, pani detektyw. Nie miał żadnego z klasycznych symptomów. Gdyby tak było, przedsięwziąłbym kroki... – Jakie kroki?

– Spróbowałibyśmy podczas sesji skupić się na innych sprawach.

Może zastosowałbym leki, gdybym uważał, że naprawdę istnieje takie ryzyko... – Zdawało mi się, że właśnie pan powiedział, iż nie lubi przepisywać pigułek?

– Nie lubię, ale... – Wyjeżdża pan na wakacje?

– Jutro, a przynajmniej taki miałem zamiar, ale co to ma... – Więc jutro jego terapeutyczne koło ratunkowe miało wyjechać na wakacje?

– Tak, ale nie dostrzegam... Detektyw uśmiechnęła się.

– To interesujące stwierdzenie, jak na terapeutę.

– Jakie stwierdzenie? – spytał Ricky, czując wzbierającą złość.

– „Nie dostrzegam...” – odpowiedziała Riggins. – Czy to nie jest prawie to, co nazywacie freudowskim przejęzyczeniem?

– Nie.

– Więc nie uważa pan, że popełnił samobójstwo?

– Nie, nie uważam. Po prostu... – Stracił pan kiedyś pacjenta w ten sposób?

– Tak. Niestety. Ale w tamtym przypadku oznaki były wyraźne. Moje wysiłki jednak nie były adekwatne do rozmiarów depresji pacjenta.

– Musiał pan mieć poczucie klęski... – Tak – skwitował chłodno Ricky.

– Byłoby niekorzystne dla pana zarobków i fatalne dla reputacji, gdyby kolejny pacjent

postanowił wyjść na czołówkę z ekspresem z Ósmej Alei, prawda?

Ricky odchylił się na krześle i skrzywił.

– Nie podoba mi się to, co pani sugeruje, pani detektyw.

Riggins uśmiechnęła się, lekko kręcąc głową.

– W takim razie idźmy dalej. Skoro nie sądzi pan, że sam się zabił, pozostaje tylko możliwość, że ktoś wepchnął go pod pociąg. Czy pan Zimmerman mówił panu o kimś, kto go nienawidził lub żywił do niego urazę, albo miał jakiś inny motyw do popełnienia morderstwa? Rozmawiał z panem codziennie, więc zakładam, że gdyby czyhał na niego jakiś nieznany morderca, mógłby o tym wspomnieć. Wspomniął?

– Nie. Nigdy nie wspomniął o nikim, kto pasowałby do tych kategorii.

– Nigdy nie powiedział „taki a taki chce mnie zabić...”?

– Nie.

– A pan zapamiętałby, gdyby tak powiedział?

– Oczywiście.

– W porządku, więc nikt oczywisty nie próbował go załatwić. Żaden partner w interesach? Porzucona kochanka? Mąż, któremu przyprawił rogi? Dlaczego pana zdaniem ktoś wepchnął go pod pociąg? Dla zabawy?

Z jakiegoś innego tajemniczego powodu?

Ricky zawahał się. Zrozumiał, że ma szansę opowiedzieć policji o liście, w którym domagano się jego samobójstwa, o wizycie nagiej kobiety o imieniu Wergiliusz, o grze, w którą kazano mu grać. Musiał tylko przekonać panią detektyw, że popełniono przestępstwo i że Zimmerman był tu poniekąd przypadkową ofiarą. Ricky już otworzył usta, by powiedzieć to wszystko, ale zobaczył przed sobą znudzoną panią detektyw, pragnącą jedynie zakończyć nieprzyjemny dzień wypełnieniem formularza, w którym nie było rubryki na informacje, jakie chciał jej przekazać.

W tym momencie postanowił radzić sobie sam. Odezwała się jego natura psychoanalityka; nie umiał publicznie spekulować ani wygłaszać opinii.

– Być może – powiedział. – Co pani wie o tej drugiej kobiecie? Tej, która dała LuAnne dziesięć dolarów?

Detektyw zmarszczyła czoło, jakby nie rozumiejąc pytania.

– Co z nią?

– Czy jej zachowanie nie wydaje się pani choć trochę podejrzane?

Nie sądzi pani, że zasugerowała, co LuAnne ma mówić?

Riggins wzruszyła ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kobieta i jej towarzysz widzą, że jeden z mniej szczęśliwych obywateli naszego wspaniałego miasta może być ważnym świadkiem, więc zachęcają go, by

pomógł policji. To może być mniej podejrzane, niż się wydaje, ponieważ LuAnne przychodzi do nas i nam pomaga, przynajmniej częściowo z powodu interwencji tamtej pary.

– Nie dowiedziała się pani przypadkiem, kim byli?

Detektyw pokręcił głową.

– Przykro mi. Pokazali LuAnne jednemu z pierwszych policjantów, jacy się pojawili, po czym zniknęli, wyjaśniając, że sami niewiele widzieli.

Policjant nie spisał ich, ponieważ nie byli świadkami. Dlaczego pan pyta?

Ricky nie był pewien, czy chce odpowiadać na to pytanie. Coś krzyczało w nim, że powinien zrzucić z siebie ciężar, powiedzieć, co wie. Nie miał jednak pojęcia, na ile może to się okazać niebezpieczne. Próbował kalkulować, zgadywać, oceniać i badać, ale nagle wszystko, co się wokół niego działo, stało się zagmatwane i niemożliwe do rozszyfrowania, niewyraźne i złudne. Potrząsnął głową, jakby w ten sposób chciał uporządkować myśli.

– Wątpię, by pan Zimmerman popełnił samobójstwo. Jego stan z całą pewnością nie był aż tak poważny – powiedział. – Proszę to zapisać, pani detektyw, i umieścić w raporcie.

Detektyw Riggins wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ze źle ukrywanym zmęczeniem i sarkazmem.

– Tak zrobię, doktorze. Pana opinia zostanie wzięta pod uwagę.

– Czy byli jacyś inni świadkowie? Może ktoś zauważył Zimmermana, jak wychodzi z tłumu na peronie? Ktoś, kto widział, że nikt go nie popycha?

– Tylko LuAnne, doktorze. Wszyscy inni widzieli jedynie jakąś część zajścia. Nikt nie zauważył, czy ktoś go nie popchnął. Za to dwóch nastolatków widziało, jak stał sam, z boku. Zestaw świadków, doktorze, jest dość typowy dla takich wypadków. Wszyscy patrzą przed siebie, w głąb tunelu, z którego ma nadjechać pociąg. Samobójcy wybierają zazwyczaj miejsce za tłumem, nie przed. Chcą ze sobą skończyć z powodów osobistych, a nie urządzać przedstawienie dla całej stacji, więc w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto ustawiają się z tyłu. Mniej więcej tam, gdzie pan Zimmerman. – Uśmiechnęła się. – Założę się, że gdzieś w jego rzeczach znajdę list. A może pan dostanie go w tym tygodniu pocztą? Jeśli tak, niech pan zrobi dla mnie kopię, dobrze? Oczywiście, skoro wyjeżdża pan na wakacje, list może pana nie zastać. Mimo to, byłabym wdzięczna.

Ricky miał ochotę się odgryźć, ale utrzymał gniew na wodzy.

– Mogę poprosić o pani wizytówkę, pani detektyw? Na wypadek, gdybym musiał się z panią kiedyś skontaktować – spytał tak chłodno, jak tylko umiał.

– Oczywiście. Proszę dzwonić, kiedy tylko będzie pan chciał – powiedziała pogardliwie, sugerując coś wręcz przeciwnego.

Sięgnęła do pudełka, wyjęła wizytówkę i podała mu ją nieco teatralnym gestem. Ricky nie spojrzał na nią, lecz od razu schował do kieszeni i wstał, by wyjść. Szybkim krokiem przeszedł

przez biuro detektywów.

Obejrzał się tylko raz, gdy był już przy drzwiach, i zobaczył detektyw Riggins pochyloną nad starą maszyną do pisania, zaczynającą wystukiwać słowa raportu na temat oczywistej, zwyczajnej i pozornie nieistotnej śmierci Rogera Zimmermana.

Rozdział 6

Ricky trzasnął drzwiami do mieszkania. Huk odbił się echem od ścian słabo oświetlonego korytarza. Pospiesznie zamknął wszystkie zamki, których do tej pory rzadko używał. Nacisnął klamkę, żeby sprawdzić, czy zabezpieczenia działają jak należy. Potem, wciąż nieprzekonany, czy to wystarczy, podniósł krzesło i zaklinował je pod klamką starym sprawdzonym sposobem. Trochę wysiłku kosztowało go powstrzymanie się od zastawienia drzwi barykadą z komody, pudeł, półek na książki – wszystkiego, co miał pod ręką. Pot szczypał go w oczy. Chociaż niewidoczny klimatyzator w oknie gabinetu szumiał pracowicie, Ricky wciąż czuł powracające fale gorąca. Żołnierz, policjant, pilot czy alpinista – ktokolwiek, mający do czynienia z niebezpieczeństwem – bez trudu rozpoznałby w nich ataki strachu. Ricky jednak przeżył tyle lat z daleka od jakiegokolwiek ryzyka, że nie rozpoznawał najbardziej oczywistych objawów.

Odsunął się od drzwi i odwrócił, by badawczo przyjrzeć się mieszkaniu.

Pojedyncza słaba żarówka nad wejściem, z trudem rozpraszająca nocny mrok, tworzyła dziwaczne cienie w kątach poczekalni. Ricky słyszał szum klimatyzatora i stłumione odgłosy ulicy, lecz poza tym wszędzie panowała przytłaczająca cisza.

Drzwi do gabinetu były otwarte, ziejąc ciemnością. Nagle ogarnęło go przeświadczenie, że opuszczając bezpieczny azyl swojego domu po wizycie Wergiliusz, zamknął je za sobą. Ogarnął go strach. Patrzył na otwarte drzwi, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie zrobił przed wyjściem.

Widział siebie, jak zawiązuje krawat i zakłada marynarkę, jak przystaje, by poprawić prawe sznurowadło, klepie się po kieszeni, żeby sprawdzić, czy wzięł portfel, jak wrzuca klucze do kieszeni i potrząsa nią, upewniając się, że nie wypadną. Widział, jak przechodzi przez mieszkanie, wychodzi frontowymi drzwiami, czeka, aż winda zjedzie z drugiego piętra, i wychodzi na rozgrzaną ulicę. Pamiętał wszystko wyraźnie. To wyjście niczym nie różniło się od tysięcy innych. Dopiero powrót spowodował, że rzeczywistość zaczęła wydawać się wypaczona i zniekształcona jak odbicie w gabinecie krzywych luster. Czy zamknąłeś te drzwi? – krzyknął w duchu.

Przygryzł usta, próbując przypomnieć sobie chłodny dotyk klamki, stuknięcie drewna za plecami. Pamięć go zawodziła; stał, sparaliżowany niemożnością przypomnienia sobie prostej codziennej czynności. A potem zadał sobie przerażające pytanie: dlaczego nie pamiętasz?

Odetchnął głęboko. Musiałeś zostawić je otwarte. Przez roztargnienie.

Wciąż stał bez ruchu. Poczul nagły odpływ sił, zupełnie jakby właśnie skończył bójkę, a przynajmniej tak to sobie wyobrażał, bo przecież nigdy się nie bił. W każdym razie nie jako dorosły. Chłopięce przepychanki przecież się nie liczyły.

Ciemność z niego drwiła. Wytężył słuch.

Nikogo tam nie ma, uspokajał się.

– Halo? – zawołał, zaprzeczając samemu sobie.

Dźwięk tego słowa wypowiedzianego w niewielkim pomieszczeniu sprawił, że Ricky trochę się uspokoił. Wiedział, że zachowuje się niedorzecznie.

Cieni boją się dzieci, nie dorośli. Zwłaszcza tacy, którzy spędzili całe życie, mając od czynienia z tajemnicami i skrywaną grozą, jak on.

Zrobił krok do przodu, próbując nad sobą zapanować. Jestem we własnym domu, powtarzał. Jestem bezpieczny.

Mimo to szybkim ruchem sięgnął do włącznika światła na ścianie.

Stojąc w szaroczarnej otworze drzwi, macał na oślep, aż go znalazł i natychmiast wcisnął.

Nic się nie stało. Ciemność pozostała nietknięta.

Ricky sapnął gwałtownie, wciągając ją do płuc. Pstryknął kilka razy włącznikiem, nie mogąc uwierzyć, że światło nie działa.

– Cholera jasna... – zaklął głośno, ale nie wszedł do środka.

Począł, aż oczy przywykną do mroku, cały czas uważnie nasłuchując jakiegoś dźwięku, który powiedziałby mu, że nie jest sam. Kiedy przeżywa się coś tak niepokojącego jak to, co przytrafiło się jemu, umysł zawsze płata takie figle. Mimo to odczekał jeszcze kilka sekund, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, i rozejrzał się. Potem ruszył przed siebie, zmierzając w kierunku biurka i stojącej na nim lampy. Wyciągnął ręce jak ślepiec. Źle wymierzył odległość i mocno uderzył kolaniem o biurko.

Z ust wyrwał mu się stek przekleństw – kilka choler i pojedyncza kurwa; żadne z nich nie pasowało do Ricky’ego, który aż do tej pory prawie nie klął.

Przesunął się wzdłuż biurka, w końcu wymacując lampę i włącznik.

Z westchnieniem ulgi pstryknął nim, oczekując światła.

Lampa również nie działała.

Ricky chwycił się mocno krawędzi blatu, by zachować równowagę.

Przekonywał się, że musiało dojść do jakiejś awarii prądu, spowodowanej upałem, ale za oknem widział świecące jasno uliczne latarnie i słyszał buczenie klimatyzatora. Ostatecznie mogły przepalić się dwie żarówki.

To niespotykane, ale możliwe.

Wciąż trzymając się biurka, odwrócił się w stronę trzeciego źródła światła, lampy z lanego żelaza, którą jego żona kupiła wiele lat temu z myślą o letnim domu w Wellfleet, lecz którą on wolał postawić w rogu gabinetu, za fotelem, u wezgłowia kanapy. Używał jej do czytania, a w deszczowe ciemne dni rozświetlała ponury listopadowy półmrok.

Lampa stała jakieś pięć metrów od niego, ale w tej chwili odległość ta wydawała mu się znacznie większa. Wyobraził sobie swój gabinet. Wiedział, że dzieli go od niej zaledwie kilka

kroków i że nic nie stoi na drodze między nim a fotelem, koło którego stała. Żałował, że uliczne latarnie nie rozjaśniają bardziej pokoju, ale ich światło wydawało się zatrzymywać na szybach, jakby nie miało siły przebić się dalej. Cztery kroki, oszacował.

Nie uderz kolanem w fotel.

Z wyciągniętymi rękami ruszył ostrożnie przed siebie. Pochylił się lekko, szukając dodającego otuchy skórzanego oparcia. Przejście tego kawałka zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał, ale fotel stał na swoim miejscu. Ricky wymacał poręcz i usiadł, z wdzięcznością słysząc znajome skrzywienie skóry. Dłońmi odszukał niewielki stolik, na którym trzymał notes i zegarek, po czym sięgnął do stojącej za nim lampy. Włącznik znajdował się tuż pod żarówką; po chwili znalazł go i bez wahania przekręcił. Rozległo się głośnie kliknięcie.

Wciąż ciemność.

Ricky zaczął kręcić nerwowo przełącznikiem.

Nic.

Zamarł w fotelu, próbując wymyślić jakieś oczywiste i spokojne wytłumaczenie faktu, że żadne źródło światła w jego gabinecie nie działało. Nie udało mu się.

Oddychając głęboko, wsłuchał się w odgłosy nocy. Nerwy miał napięte jak postronki; wyteżał słuch, próbując ustalić, czy naprawdę jest sam. Miał ochotę rzucić się do drzwi, wybiec na korytarz i znaleźć kogoś, kto wróciłby z nim do mieszkania. Zwalczył jednak tę pokusę, dostrzegając kryjącą się za nią panikę. Siłą zmuszał się do zachowania spokoju.

Nie usłyszał niczego podejrzanego, ale to wcale go nie uspokoiło. Spróbował wyobrazić sobie, gdzie mógł się schować intruz, w której szafie, w którym kącie, pod którym stołem. Ten wysiłek jednak również nie przyniósł żadnych efektów. Usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest latarka albo świece. Doszedł do wniosku, że gdyby coś takiego miał, trzymałby to na półce w kuchni, prawdopodobnie obok zapasowych żarówek. Siedział jeszcze przez minutę, z niechęcią myśląc o opuszczeniu bezpiecznego fotela.

Wstał tylko dlatego, że było to jedyne rozsądne wyjście.

Wyszedł ostrożnie na środek pokoju, znów niczym ślepiec wyciągając przed siebie ręce. Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy na biurku zadzwonił telefon.

Ricky podskoczył.

Potyając się, zawrócił, potracił kubek z piórami i długopisami, które rozsypały się po biurku i złapał słuchawkę tuż przed szóstym dzwonkiem, po którym włączyłaby się automatyczna sekretarka.

– Halo? Halo?

Cisza.

– Halo? Jest tam kto?

Połączenie nagle zostało przerwane.

Ricky stał w ciemności ze słuchawką w rękę i cicho kłął.

– Niech to cholera! – powiedział głośno. – Cholera, cholera, cholera... Odłożył słuchawkę i oparł się rękami o blat biurka, jakby wyczerpany po długim biegu, musiał złapać oddech. Zaklął, tym razem łagodniej.

Telefon znów zadzwonił.

Ricky wzdrygnął się, zaskoczony, po czym wyciągnął rękę. Nie trafił, słuchawka spadła na blat, złapał ją i podniósł do ucha.

– To nie jest śmieszne – powiedział.

– Doktorze Ricky – zamruczała Wergiliusz niskim kocim głosem. – Nikt nie mówił, że to ma być dowcip. Z tego, co mi powiedziano, pan R. nie ma poczucia humoru.

Ricky z trudem powstrzymał wszystkie przekleństwa, jakie cisnęły mu się na usta. Zamiast tego pozwolił, by mówiła za niego cisza.

Po kilku sekundach Wergiliusz roześmiała się.

– Ciągłe siedzisz po ciemku, prawda, Ricky?

– Tak – powiedział. – Byłaś tu. Ty albo ktoś podobny włamał się, kiedy mnie nie było... –

Ricky – zanuciła niespodziewanie Wergiliusz, niemal uwodzicielsko – jesteś psychoanalitykiem. Kiedy coś spowija mrok, co robisz?

Nie odpowiedział. Znów się roześmiała.

– Daj spokój, Ricky. I ty uważasz się za mistrza rozszyfrowywania symboliki, rozwiązywania psychologicznych zagadek? Skąd bierzesz światło, które rozświetla ciemności? Przecież to twoja praca.

Nie pozwoliła mu odpowiedzieć.

– Odpowiedź jest śmiesznie prosta.

– Co?

– Ricky, widzę, że naprawdę będziesz potrzebował mojej pomocy, jeśli masz zamiar podjąć jakieś wysiłki, by ocalić życie. A może wolisz siedzieć po ciemku aż do dnia, w którym będziesz musiał się zabić?

– Nie rozumiem – powiedział zagubiony.

– Za chwilę zrozumiesz – zapewniła go i rozłączyła się.

Odczekał kilka sekund, zanim odłożył słuchawkę na widełki. Ciemność pokoju wydawała się go otulać, okrywać rozpaczą. Zastanowił się nad słowami Wergiliusz, które brzmiały zagadkowo i niezrozumiale.

Chciał krzyknąć, że nie ma pojęcia, o co jej chodziło, sfrustrowany zarówno otaczającym go mrokiem, jak i poczuciem, że ktoś wdarł się tak gwałtownie w jego życie. Zazgrzytał ze złości zębami, zaciskając dłonie na krawędzi biurka i charcząc z wściekłości.

– Prosta droga – krzyknął. – W życiu nie ma prostych dróg!

Dźwięk własnych słów, znikających w mroku pokoju, podziałał na niego uspokajająco.

– Prosta, prosta... – mruzczał.

I wtedy wpadł na pewien pomysł.

– Niemożliwe... – powiedział, sięgając lewą ręką do lampy na biurku.

Wymacał podstawę i znalazł wychodzący z niej przewód. Trzymając go między palcami, opadł na kolana i po kilku sekundach znalazł wtyczkę.

Ktoś wyciągnął ją z gniazdka. Kolejną chwilę zajęło mu szukanie po omacku końcówki przedłużacza. Włożył wtyczkę do kontaktu i pokój zalało światło. Ricky wstał z podłogi, spojrzał na lampę za kanapą i od razu spostrzegł, że ją też odłączono od prądu. Podniósł wzrok na żyrandol; domyślił się, że żarówkę pod kloszem po prostu wykręcono.

Na biurku po raz trzeci zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

– Jak tu weszliście?

– Myślisz, że pana R. nie stać na wynajęcie sprawnego ślusarza? – powiedziała nieśmiało Wergiliusz. – Albo zawodowego włamywacza?

Kogoś, kto zna się na przestarzałych zasuwkach, jakie masz we frontowych drzwiach? Nie zastanawiałeś się nigdy nad czymś bardziej nowoczesnym?

Elektrycznym zamkiem z laserem i detektorem ruchu? Technologia odczytywania odcisków palców albo jednym z tych systemów rozpoznawania siatkówki oka, które mają w instytucjach rządowych?

Wiesz, coś takiego można kupić, trzeba tylko mieć trochę podejrzanych znajomości. Nigdy nie czułeś potrzeby modernizacji osobistych zabezpieczeń?

– Nigdy nie potrzebowałem takich głupot – powiedział wyniośle Ricky.

– Nigdy nikt się do ciebie nie włamał? Nigdy cię nie okradli? Przez tyle lat mieszkania na Manhattanie?

– Nie.

– Pewnie nikomu nie przyszło do głowy, że możesz mieć coś, co warto ukraść – stwierdziła.

– Ale teraz nie o to chodzi, prawda, doktorze? Mój pracodawca tak nie uważa i jest bardziej niż skłonny podjąć wszelkie ryzyko.

Ricky nie odpowiedział. Spojrzał na okno gabinetu.

– Widzisz mnie – stwierdził podekscytowany. – Przez cały czas mnie obserwujesz, prawda? Inaczej skąd byś wiedziała, że udało mi się zapalić światło?

Wergiliusz wybuchła śmiechem.

– Bardzo dobrze, Ricky. Robisz postępy, skoro w końcu zauważasz rzeczy oczywiste.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Blisko. Jestem tuż za tobą, Ricky. Jestem twoim cieniem. Jaki byłby pożytek z przewodnika po piekle, gdyby nie było go przy tobie, kiedy jest potrzebny?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Dam panu małą podpowiedź, doktorze – ciągnęła Wergiliusz, wracając do śpiewnego tonu, który zaczynał Ricky'ego irytować. – Pan R. ceni rywalizację. Myślisz, że zadałby sobie tyle trudu, planując swoją małą zemstę tylko po to, żeby grać według zasad, których nie byłbyś w stanie pojąć? Czego się dziś wieczorem nauczyłeś, Ricky?

– Że ty i twój pracodawca jesteście chorzy i obrzydliwi. I że nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

Śmiech Wergiliusz był zimny i suchy.

– Tego się nauczyłeś? A jak doszedłeś do tego wniosku? Zwróć uwagę, że nie zaprzeczam. Ale ciekawi mnie, na podstawie jakiej psychoanalitycznej lub medycznej teorii postawiłeś taką diagnozę, chociaż wcale nas nie znasz. Przecież odbyliśmy razem tylko jedną sesję. Nadal nie masz pojęcia, kim jest Rumpelstiltskin, prawda? Ale za szybko wyciągasz wnioski. Biorąc pod uwagę twoją sytuację, myślę, że pochopne wyciąganie wniosków nie jest dla ciebie bezpieczne. Myślę, że powinieneś mieć otwarty umysł.

– Zimmerman... – zaczął Ricky, starając się nadać głosowi chłodny ton. – Co się stało Zimmermanowi? Byłaś tam. To ty zepchnęłaś go z peronu?

A może tylko potrąciłaś, żeby stracił równowagę? Myślisz, że morderstwo ujdzie ci na sucho?

Wergiliusz milczała przez chwilę.

– Tak, Ricky, tak myślę – powiedziała w końcu. – Myślę, że w dzisiejszych czasach ludziom uchodzą na sucho różne zbrodnie, łącznie z morderstwem.

Ale w przypadku twojego nieszczęsnego pacjenta – a może powinnam powiedzieć byłego pacjenta? – większość dowodów wskazuje na to, że skoczył sam. Jesteś całkowicie pewien, że tak nie było? To nie tajemnica, że miał poważne kłopoty. Dlaczego uważasz, że sam się nie zabił, korzystając z bajecznie taniego i skutecznego sposobu, tak popularnego w Nowym Jorku? Być może sam niedługo będziesz musiał się zastanowić nad tą metodą. Kiedy o tym pomyśleć, nie jest aż taka straszna.

Chwila strachu i wątpliwości, decyzja, jeden odważny krok, zgrzyt, błysk i błogosławione zapomnienie.

– Zimmerman nie popełniłby samobójstwa. Nie wykazywał żadnych klasycznych objawów. Ty albo ktoś twojego pokroju wepchnęliście go pod pociąg.

– Podziwiam twoją pewność, Ricky. Musisz być szczęśliwy, nie mając wątpliwości.

– Mam zamiar wrócić na policję.

– Proszę bardzo, daj im drugą szansę, jeśli sądzisz, że to ma sens.

Uważasz, że chętnie wysłuchają twojej analitycznej interpretacji wydarzenia, przy którym cię nawet nie było?

– W porządku – powiedział po chwili milczenia. – Co teraz?

– Dostałeś prezent. Leży na kanapie. Widzisz go?

Ricky zobaczył średniej wielkości jasnożółtą kopertę, leżącą w miejscu, gdzie pacjenci zazwyczaj kładli głowy.

– Widzę.

– Świetnie – powiedziała Wergiliusz. – Poczekam, aż otworzysz.

Zanim odłożył słuchawkę na stół, usłyszał, jak nuci jakąś melodię. Znał ją, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Gdyby oglądał telewizję, od razu rozpoznałby muzykę z teleturnieju Koło fortuny. Podeszedł do kanapy i podniósł kopertę. Była cienka; rozdarł ją pospiesznie i wyjął pojedynczą kartkę.

Była to strona z kalendarza. Na dzisiejszej dacie, pierwszym sierpnia, narysowano dużą czerwoną literę X. Trzydzieści kolejnych dni było pustych, piętnasty zakreślony czerwonym kółkiem, a pozostałe dni miesiąca zamalowano na czarno.

Ricky'emu zaschło w ustach. Zajrzał do koperty, ale nie było w niej nic więcej.

Wrócił powoli do biurka i wziął słuchawkę.

– Jasne – powiedział. – To nie było trudne do zrozumienia.

Głos Wergiliusz wciąż był słodki.

– Małe przypomnienie, Ricky, to wszystko. Coś, co pozwoli ci zacząć. Ricky, Ricky, już pytałam, czego się nauczyłeś?

Pytanie rozwścieczyło go; niewiele brakowało, a eksplodowałby.

Powstrzymał jednak gniew i odpowiedział:

– Nauczyłem się, że nie ma żadnych granic.

– Dobrze, Ricky, dobrze. Robisz postępy. Co jeszcze?

– Nauczyłem się nie lekceważyć tego, co się dzieje.

– Doskonale, Ricky. I jeszcze coś?

– Nie. Na razie to wszystko.

Wergiliusz zasmakowała, udając, że jest rozczarowana.

– Nieprawda, Ricky. Nauczyłeś się, że wszystkie elementy tej gry, łącznie z jej zakończeniem, rozgrywane są na boisku wymyślonym specjalnie dla ciebie. Myślę, że mój pracodawca był wyjątkowo hojny, biorąc pod uwagę, jakie miał możliwości. Dostałeś szansę, chociaż niewielką, na ocalenie czyjogoś i swojego własnego życia, odpowiadając na proste pytanie: kim on jest? A ponieważ nie chce być niesprawiedliwy, dał ci alternatywne rozwiązanie, mniej atrakcyjne, oczywiście, ale takie, dzięki któremu twoja żałosna egzystencja nabierze w ostatnich dniach jakiegoś znaczenia. Niewielu ludzi ma taką możliwość, Ricky. Pójść do

piachu, wiedząc, że nasza ofiara uratowała kogoś od przerażającego losu. Przecież to zakrawa na świętość, Ricky, a ty dostajesz ją bez trzech cudów, których zazwyczaj wymaga Kościół, chociaż jestem pewna, że nagięliby zasady, gdyby kandydat był tego wart. Tak więc, powinieneś zająć się wskazówkami, które otrzymałeś. Czas ucieka i nie zostało go wiele. Zajmowałeś się kiedyś analizą na czas, Ricky? Ponieważ o to właśnie chodzi.

Będę w kontakcie. Pamiętaj, Wergiliusz jest zawsze w pobliżu. – Odetchnęła głęboko. – Wszystko jasne, Ricky? – dodała.

– Tak – powiedział. Ale kiedy odkładał słuchawkę, wiedział, że wcale tak nie jest.

Rozdział 7

Duch Zimmermana śmiał się z niego.

Po niespokojnej nocy nastał poranek. Ricky prawie nie spał, ale sny miał plastyczne i żywe – siedział z żoną w czerwonym, dwuosobowym, sportowym aucie, którego marki nie rozpoznawał, ale które należało do niego. Stali nad brzegiem oceanu, na znajomej plaży, niedaleko ich domku na Cape. Ricky’emu wydawało się, że szarozielone wody Atlantyku, które przybierały taki kolor przed burzą, rozbijały się coraz bliżej, grożąc porwaniem samochodu. Szarpał się z drzwiami, ale kiedy złapał za klamkę, zobaczył Zimmermana, zakrwawionego i wyszczerzonego w uśmiechu, trzymającego drzwi i niepozwalającego ich otworzyć. Samochód nie chciał zapalić; Ricky w jakiś sposób wiedział, że koła zaryły się głęboko w piach. We śnie jego żona była spokojna i przyjazna. Nie miał problemów z interpretacją tego snu, kiedy stał pod prysznicem, pozwalając letniej wodzie spływać po swojej głowie. Było to trochę nieprzyjemne, ale pasowało do jego parszywego nastroju.

Założył spłowiałe wytarte spodnie khaki z postrzępionymi nogawkami.

Nosiły wszystkie ślady używania, za które młodzi ludzie płacili spore pieniądze w centrach handlowych, lecz które w tym wypadku były efektem długoletniego wakacyjnego użytkowania – tylko wtedy je zakładał.

Stroju dopełniały równie znoszone tenisówki i stara błękitna koszula, zbyt wysłużona, by nosić ją na co dzień. Przeciągnął grzebieniem po włosach, spojrzął w lustro i pomyślał, że wygląda jak typowy człowiek sukcesu, przygotowujący się do wakacji. Od wielu lat budził się pierwszego sierpnia i zakładał to stare, wygodnie znoszone ubranie, które było znakiem, że na następny miesiąc chłodny i zdyscyplinowany psychoanalityk z Upper West Side zamienia się w kogoś innego. Wakacje były dla Ricky’ego czasem, kiedy brudził ręce pracą w ogrodzie, chodził boso po plaży, czytał powieści sensacyjne i romanse i pijał obrzydliwą mieszanekę zwaną Cape Codder – nieudany mariaż wódki i soku żurawinowego. Te wakacje nie obiecywały mu niczego przyjemnego, jednak wbrew wszystkiemu, Ricky założył to, co zwykle zakładał w pierwszy dzień urlopu.

Pokręcił głową i powlókł się do małej kuchni. Na śniadanie zjadł kromkę suchego chleba tostowego i wypił czarną kawę, gorzką niezależnie od tego, ile sypał do niej cukru. Żuł tosta. Zupełnie nie miał apetytu.

Zaniósł szybko stygnącą kawę do gabinetu, gdzie rozłożył na biurku list Rumpelstiltskina. Co jakiś czas rzucał okiem za okno, jakby miał nadzieję zobaczyć na chodniku albo w oknie mieszkania po drugiej stronie wąskiej ulicy nagą Wergiliusz. Wiedział, że jest gdzieś blisko, a przynajmniej w to wierzył.

Zadrżał i wpatrzył się w słowa podpowiedzi.

Przez chwilę czuł zawrót głowy, połączony z nagłą falą gorąca.

– Co się dzieje? – spytał głośno.

W tej chwili wydało mu się, że do pokoju wchodzi Roger Zimmerman, po śmierci tak samo irytujący, jak za życia. Jak zwykle chciał odpowiedzi na niewłaściwe pytania.

Ricky wykręcił numer jego telefonu, mając nadzieję, że kogoś zastanie.

Wiedział, że musi z kimś porozmawiać o śmierci Zimmermana, nie był tylko pewny, z kim. Jego matka wciąż była niewytłumaczalnie nieuchwytna.

Ricky żałował, że nie miał głowy, by spytać o to detektyw Riggins. Podejrzewał, że kobieta przebywa teraz u któregoś z sąsiadów albo w szpitalu. Zimmerman miał w Kalifornii młodszego brata, z którym utrzymywał nieregularny kontakt. Pracował w przemyśle filmowym w Los Angeles i nie chciał mieć nic wspólnego z trudną i częściowo niepełnosprawną matką. To sprawiało, że Ricky wciąż wysłuchiwał skarg Zimmermana, który rozkoszował się tym, jak ciężkie ma życie, wołając skamleć i narzekać niż cokolwiek zmienić. Właśnie dlatego nie nadawał się na samobójcę, pomyślał Starks. Desperacja, o której mówiła policja i jego koledzy z pracy, była jego jedyną prawdziwą radością. Żył tym, czego nienawidził. Zadaniem Ricky'ego jako psychoanalityka było natchnąć go wolą zmian. Spodziewał się, że w końcu nadejdzie czas, kiedy Zimmerman zrozumie, że naprawdę jest kaleką miotanym napadami bezsilnej wściekłości. Moment, w którym możliwa byłaby zmiana, był niebezpieczny, ponieważ popadłby w głęboką depresję, uświadomiwszy sobie, że do tej pory marnował życie. Wtedy mógłby paść ofiarą prawdziwej i być może zabójczej rozpacz.

Ale od tej chwili dzieliły go miesiące, a nawet lata.

Zimmerman wciąż przychodził codziennie na sesję, uważając pięćdziesięciminutową analizę jedynie za wentyl bezpieczeństwa czy gwizdek lokomotywy, czekający, aż konduktor pociągnie za sznurek. Wszystkie wnioski, do których dochodził, wykorzystywał do ubijania nowych traktów swojej złości.

Narzekać było dla niego zabawą. Nie był przytłoczony rozpaczą.

Ricky pokręcił głową. W ciągu dwudziestu pięciu lat praktyki trzech jego pacjentów popełniło samobójstwo. Dwoje z nich trafiło do niego z klasycznymi objawami depresji i odebrało sobie życie wkrótce po rozpoczęciu terapii. Czuł się wtedy bezradny, ale nie miał poczucia winy.

O trzeciej śmierci jednak nie lubił myśleć, ponieważ był to pacjent, którego leczył bardzo długo. Ricky nie był w stanie powstrzymać jego upadku, nawet zapisując mu środki na poprawienie nastroju, do czego rzadko się uciekał. Przez wiele lat nie myślał o tym pacjencie i nie podobało mu się, że wspominał o nim nieuprzejmej i niezbyt zainteresowanej detektyw Riggins.

Zadrzał, jakby w pokoju nagle zrobiło się zimno. To był typowy samobójca, pomyślał.

A Zimmerman nie.

Ale myśl, że Zimmerman został wepchnięty pod pociąg tylko po to, by przesłać Ricky'emu wiadomość, była przerażająca. Mroziła serce. Przypominała iskrę wpadającą do kałuży benzyny.

Ricky wyobraził sobie, że wraca do zbyt jaskrawo oświetlonego i niezbyt czystego biura detektyw Riggins i oświadcza jej, że jacyś nieznajomi z premedytacją zamordowali człowieka, którego nie znali i który zupełnie ich nie obchodził, tylko po to, by zmusić Ricky'ego do udziału w jakiejś śmiertelnej grze.

Taka jest prawda, pomyślał, ale nikt w to nie uwierzy, zwłaszcza źle opłacana i przepracowana detektyw z Zarządu Komunikacji.

W tej samej chwili zrozumiał, że oni doskonale o tym wiedzieli.

Człowiek o przezwisku Rumpelstiltskin i kobieta, każąca mówić do siebie Wergiliusz rozumieli, że z wyjątkiem mętnych wyjaśnień Ricky'ego nie ma żadnych dowodów, które łączyłyby ich z tą zbrodnią. Nawet gdyby Riggins go nie wyśmiała – choć pewnie by to zrobiła – dlaczego miałyby zajmować się badaniem nieprawdopodobnej opowieści lekarza, który, jak całkiem słusznie sądziła, usiłowałby wyjaśnić zagadkę czyjejś śmierci w sposób, w jaki robią to autorzy powieści sensacyjnych, zamiast przyjąć do wiadomości samobójstwo, które stawiało go w tak złym świetle?

Śmierć Zimmermana była częścią planu zabicia Ricky'ego. Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy.

Prostując się w fotelu, Starks zdał sobie sprawę, że nadszedł krytyczny moment. Analiza opiera się na cierpliwości, a jemu zaczynało jej brakować.

Wymagała czasu, a on go nie miał. Zerknął na kalendarz, który dostał od Wergiliusz. Czternaście dni, które mu pozostały, wydawały się nieprawdopodobnie krótkim okresem. Ricky'emu przyszedł na myśl człowiek skazany na karę śmierci, wiedzący, że gubernator podpisał już wyrok i ustalił datę, godzinę i miejsce egzekucji. Była to przytłaczająca myśl.

Ricky wyrzucił ją z umysłu. Nawet w więzieniu ludzie walczą o życie.

Odetchnął głęboko. To największy luksus naszej egzystencji, pomyślał, nawet najędzniejszej – że nie wiemy, ile zostało nam dni. Kalendarz na biurku zdawał się z niego drwić.

– To nie gra – rzucił Ricky w przestrzeń. – To nigdy nie była gra.

Sięgnął po list Rumpelstiltskina i przyjrzał się krótkiemu wierszykowi.

To wskazówka. Wskazówka od psychopaty. Przyjrzyj jej się uważnie!

...Matka, ojciec i małe dziecię... Interesujące, pomyślał, że piszący użył słowa „dziecię”, które nie wskazuje na płęć.

...Kiedy mój ojciec w dal odpłynął... Ojciec odszedł. „Odpłynął” mogło być dosłowne lub symboliczne, ale tak czy inaczej ojciec zostawił rodzinę. Niezależnie od przyczyny,

Rumplestiltskin musiał przez lata żywić urazę. Na pewno podsycala ją porzucona matka. Ricky odegrał jakąś rolę w narodzinach gniewu, który po latach stał się morderczy. Ale jaką? Tego musi się dowiedzieć.

Rumplestiltskin z pewnością był dzieckiem któregoś pacjenta. Ale którego?

Najwyraźniej nieszczęśliwego. Leczenie nie przyniosło efektów i ten ktoś być może przerwał terapię. Kogo należało jednak szukać: matki, zostawionej z dziećmi i urazą, czy ojca, który porzucił rodzinę? Czy Ricky zawiódł samotną kobietę, czy stał się impulsem, który kazał mężczyźnie zostawić swoich bliskich? Pomyślał, że sytuacja przypomina trochę japoński film *Rashomon*; to samo zdarzenie przedstawiono w nim z diametralnie różnych punktów widzenia i krańcowo odmiennie interpretowano.

Ricky miał swój udział w powstaniu morderczej nienawiści, ale nie był w stanie określić, na czym on polegał. Tak czy inaczej na pewno miało to miejsce dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat temu, ponieważ Rumplestiltskin musiał mieć czas, by dorosnąć i zdobyć środki konieczne do zaplanowania szczegółów gry.

Ile czasu, pomyślał Ricky, trzeba, żeby stworzyć mordercę? Dziesięć lat? Dwadzieścia? Jedną chwilę?

Nie wiedział, ale podejrzewał, że się dowie.

Ta myśl spowodowała ukłucie satysfakcji, pierwsze, odkąd otworzył list. Nie była to pewność siebie, raczej wiara we własne umiejętności.

Odzyskał rezon. W świecie emocji i psychologii czuł się o wiele pewniej niż w świecie prawdziwym, do którego zdecydowanie nie pasował.

Zimmerman, nieszczęśliwy człowiek potrzebujący pomocy, która nie nadeszła, zniknął z jego myśli. W tej samej jednak chwili Ricky przeoczył kolejną rzecz, która ostudziłaby jego zapał: zaczął właśnie grać na boisku zaprojektowanym specjalnie dla niego, tak jak powiedział Rumplestiltskin.

Chirurg może spojrzeć na przykład na kardiogram pacjenta i z ekranu monitora wyczytać swój sukces lub porażkę. W przypadku psychoanalityka pomiary są o wiele bardziej subiektywne. Słowo „wyleczony”, o znaczeniu zabarwionym ostatecznością, w psychoanalizie nie występuje, mimo że profesja ta zaliczana jest do dziedzin medycyny.

Ricky wrócił do sporządzania listy. Zajmował się okresem dziesięciu lat, od 1975, kiedy zaczął staż, do osiemdziesiątego piątego. Zapisywał nazwiska wszystkich, których w tym czasie leczył. Odkrył, że gdy przypominał sobie rok po roku, było mu stosunkowo łatwo wymienić osoby, które leczył długo i poddawał tradycyjnej psychoanalizie. Nazwiska same pojawiały się w pamięci; cieszył się, że potrafi dopasować do nich twarze, głosy oraz sporo szczegółów i sytuacji. W kilku przypadkach był w stanie przypomnieć sobie również imiona małżonków, rodziców i dzieci pacjentów, gdzie pracowali i gdzie dorastali. Było to bardzo przydatne, ale

wątpił, by poddając kogokolwiek długotrwałej terapii, stworzył człowieka, który teraz mu zagraża.

Rumplestiltskin był dzieckiem kogoś, z kim Ricky miał raczej pobieżny kontakt. Kogoś, kto nagle przerwał leczenie. Kogoś, kto przestał przychodzić do jego gabinetu po kilku sesjach.

Przypomnienie sobie tych pacjentów było o wiele trudniejszym zadaniem.

Ricky siedział przy biurku nad kartką papieru, miesiąc po miesiącu próbując przywoływać twarze ludzi sprzed ćwierć wieku. Był to psychoanalityczny odpowiednik podnoszenia ciężarów – nazwiska, twarze i problemy powoli do niego wracały. Żałował, że nie prowadził bardziej uporządkowanego archiwum, ale wszystko, co znalazł, wszystkie notatki i dokumenty, jakie zachował z tamtych czasów, dotyczyły osób poddawanych długiej terapii, które wyłobiły ślady w jego pamięci.

A musiał znaleźć człowieka, który zostawił na niej bliznę.

Ricky podchodził do problemu w jedyny znany sobie sposób; wiedział, że nie jest to najskuteczniejsza metoda, ale nie miał pojęcia, jak inaczej się za to zabrać.

Szło mu wolno. Minuty poranka wyparowywały w ciszy. Lista powiększała się chaotycznie. Gdyby ktoś popatrzył na Ricky'ego, zobaczyłby, że siedzi lekko pochylony, z długopisem z dłoni, jak poeta, szukający nieistniejącego rymu.

Zbliżało się południe, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Dźwięk wyrwał Starksa z zamyślenia. Wyprostował się gwałtownie, czując, jak sztywnieją mu mięśnie pleców i zasycha w gardle. Dzwonek odezwał się po raz drugi. Najwyraźniej pod drzwiami czekał ktoś, kto nie wiedział o ustalonym kodzie pacjentów.

Ricky wstał, przeszedł przez gabinet i poczekalnię, i powoli zbliżył się do rzadko zamykanych na klucz dębowych drzwi z judaszem; nie pamiętał, kiedy ostatni raz z niego korzystał. Przyłożył oko do kółka, kiedy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci.

Po drugiej stronie stał młody mężczyzna w przepoconej, niebieskiej koszuli Federal Express, ściskający w ręku kopertę i elektroniczny notatnik.

Wyglądał na lekko poirytowanego i już miał odejść, kiedy Ricky otworzył drzwi. Pozostawił jednak łańcuch.

– Tak? – spytał.

– Mam tu list do doktora Starksa. To pan?

– Tak.

– Proszę pokwitować.

Ricky zawahał się.

– Ma pan jakiś dokument tożsamości?

– Co? Uniform panu nie wystarcza? – Westchnął i wypiął pierś, pokazując przypiętą do koszuli laminowaną plakietkę identyfikacyjną. – Widzi pan? Potrzebne mi tylko pokwitowanie

i znikam.

Ricky niechętnie otworzył drzwi.

– Gdzie mam podpisać?

Kurier podał mu notatnik i pokazał dwudziestą drugą pozycję.

Ricky podpisał się. Poślaniec sprawdził podpis i przesunął elektronicznym czytnikiem nad kodem paskowym. Maszyna zapiszczała. Kurier wręczył mu niedużą kartonową kopertę.

– Miłego dnia – powiedział tonem, który wskazywał, że tak naprawdę zupełnie go nie obchodzi, jaki dzień będzie miał Ricky.

Ricky zawahał się w drzwiach, ujrawszy naklejkę na kopercie. Adres zwrotny należał do Nowojorskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego, organizacji, której od dawna był członkiem, lecz z którą miał niewiele do czynienia. Towarzystwo było czymś w rodzaju ciała zarządzającego nowojorskimi psychoanalitykami, ale Ricky zawsze stronił od politykierstwa i koneksji, które były nieodłączną częścią każdej tego typu organizacji.

Chodził na sponsorowane przez nie odczyty i przeglądał wydawaną co pół roku broszurę, by być na bieżąco, ale unikał urządzanych przez towarzystwo dyskusji panelowych tak samo, jak wakacyjnych przyjęć.

Wszedł do poczekalni i zamknął drzwi na klucz, zastanawiając się, dlaczego napisano do niego właśnie teraz. Podejrzywał, że sto procent członków towarzystwa i tak w sierpniu wyjeżdża. Sierpniowe wakacje były świętością.

Ricky otworzył kopertę. Wypisano na niej na maszynie jego nazwisko, a pod nim dopisek: POCZTA KURIERSKA – PILNE.

W kopercie były dwie kartki. Pierwsza miała nagłówek towarzystwa.

Natychmiast zorientował się, że pochodzi od przewodniczącego, lekarza o jakieś dziesięć lat starszego od niego, którego słabo znał. Nie pamiętał, by kiedykolwiek z nim rozmawiał, nie licząc przypadkowego uścisku ręki i zdawkowych uprzejmości.

Zaczął szybko czytać:

Drogi doktorze Starks!

Mam przykry obowiązek poinformować Pana, że do Towarzystwa Psychoanalitycznego wpłynęła poważna skarga, dotycząca Pana stosunków z byłą pacjentką. Załączam kopię tego listu.

Zgodnie z zasadami towarzystwa i po przedyskutowaniu zagadnienia ze zwierzchnictwem tej organizacji przekazałem całą sprawę Stanowej Komisji Etyki Lekarskiej. Pracownicy tej instytucji powinni się z Panem niedługo skontaktować.

Zachęcam, aby postarał się Pan o kompetentnego adwokata. Mam nadzieję, że uda się nam nie dopuścić do tego, by sprawa nabrała rozgłosu, ponieważ tego rodzaju zarzuty przynoszą złą sławę naszej profesji.

Ricky ledwie spojrział na podpis i zajął się drugą kartką. To również był list, ale zaadresowany do przewodniczącego towarzystwa, z kopiami dla wiceprzewodniczącego, prezesa Komisji Etyki, każdego z sześciu lekarzy w niej zasiadających, sekretarza i skarbnika.

Szanowny/a Panie/Pani Ponad sześć lat temu rozpoczęłam terapię u doktora Fredericka Starksa, członka Państwa organizacji. Po trzech miesiącach odbywających się cztery razy w tygodniu sesji zaczął zadawać mi pytania, które można uznać za niestosowne. Zawsze dotyczyły moich stosunków seksualnych z różnymi partnerami, łącznie z moim nieudanym małżeństwem. Przyjęłam, że pytania te są częścią procesu psychoanalizy. Jednak z upływem czasu doktor Starks zaczął domagać się ode mnie coraz bardziej intymnych szczegółów. Ton tych pytań stawał się coraz bliższy pornografii. Za każdym razem, kiedy próbowałam zmienić temat, doktor Starks wracał do niego, żądając bardziej szczegółowych opisów. Protestowałam, ale twierdził, że korzenie mojej depresji tkwią w niechęci do pełnego zaangażowania się w stosunek. Niedługo potem po raz pierwszy mnie zgwałcił. Powiedział, że jeśli się mu nie oddam, nigdy nie poczuję się lepiej.

Stosunki seksualne podczas sesji terapeutycznych stały się warunkiem kontynuowania leczenia. Doktor był nienasycony. Po sześciu miesiącach poinformował mnie, że terapia dobiegła końca i że nic więcej nie może dla mnie zrobić. Powiedział, że moje zahamowania wymagają prawdopodobnie hospitalizacji i leczenia farmakologicznego. Polecił mi zgłosić się do prywatnej kliniki psychiatrycznej w Vermont, ale nie chciał nawet zadzwonić do jej dyrektora. Tego samego dnia zmusił mnie do odbycia z nim stosunku analnego.

Odzyskanie równowagi psychicznej zajęło mi kilka lat. Byłam w tym czasie trzykrotnie hospitalizowana, za każdym razem przez ponad pół roku.

Mam blizny po dwóch nieudanych próbach samobójczych. Tylko dzięki stałej pomocy prawdziwego terapeuty udało mi się zacząć proces powrotu do zdrowia. List do Państwa organizacji jest jego częścią.

Uważam, że chwilowo powinnam pozostać anonimowa, chociaż doktor Starks będzie wiedział, kim jestem. Jeśli postanowią Państwo zająć się tą sprawą, proszę kontaktować się z moim adwokatem i/lub terapeutą.

List nie był podpisany, ale zawierał nazwisko prawnika z adresem w centrum miasta i psychiatry z przedmieść Bostonu.

Ricky'emu trzęsły się ręce, miał zawroty głowy. Oparł się ciężko o ścianę. Czuł się jak bokser po serii ciosów – zdezorientowany, obolały, gotowy paść na deski, kiedy dzwonek obwieści jego klęskę, ale wciąż trzymający się na nogach.

W liście nie było ani słowa prawdy.

Zastanawiał się, czy ktokolwiek mu uwierzy.

Rozdział 8

Patrzył na kłamstwa w liście. Był zrezygnowany i jednocześnie zdesperowany.

Jakby coś wyszło z niego całą wolę walki, a jednocześnie przepełniło wściekłością, tak obcą jego naturze. Drżały mu dłonie, twarz nabiegła krwią, a po czole spływała cienka strużka potu. Czuł, że pali go kark i gardło. Oderwał wzrok od listu i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby rozbić i połamać. Niczego jednak nie znalazł, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

Przez kilka chwil chodził w tę i z powrotem po gabinecie. W końcu usiadł gwałtownie w fotelu i pozwolił, by uspokoiło go znajome skrzywienie tapicerki i dotyk wyświeconego obicia.

Nie miał cienia wątpliwości, kto stoi za tą skargą. Upewniła go co do tego fałszywa anonimowość ofiary. Jednak o wiele ważniejsze było ustalenie powodu, dla którego napisano ten list.

Ricky wziął książkę telefoniczną i w kilka sekund znalazł numer biura przewodniczącego Towarzystwa Psychoanalitycznego. Wystukał go z wściekłością i odchylił się do tyłu, czekając, aż ktoś się zgłosi.

W słuchawce usłyszał znajomy głos kolegi po fachu, brzmiał on jednak płasko i bezosobowo, jak każde nagranie.

– Dzień dobry. Dodzwoniliście się państwo do biura doktora Martina Rotha. W dniach od pierwszego do dwudziestego dziewiątego sierpnia będę nieobecny. Jeśli to pilna sprawa, proszę zadzwonić pod numer 555-17-16. Połączycie się państwo z sekretariatem, mającym możliwość skontaktowania się ze mną. Możecie również zadzwonić pod numer 555-24-36 i porozmawiać z doktorem Albertem Michaelsem ze szpitala Columbia Presbyterian, który w tym miesiącu mnie zastępuje. Jeśli uważacie państwo, że nastąpił prawdziwy kryzys, zadzwonicie pod oba numery, doktor Michaels i ja skontaktujemy się z państwem.

Ricky rozłączył się i wykręcił pierwszy z podanych numerów. Wiedział, że drugi należy do drugo– bądź trzeciorocznego stażysty psychiatrii.

W czasie wakacji stażysty zastępowali lekarzy o ustalonej reputacji.

Pierwszy numer należał jednak do sekretarki.

– Sekretariat doktora Rotha – odezwał się w słuchawce zmęczony damski głos.

– Muszę przekazać doktorowi wiadomość – powiedziała szorstko Ricky.

– Doktor jest na urlopie. W razie nagłej potrzeby powinien pan zadzwonić do doktora Alberta Michaelsa w... – Mam tamten numer – przerwał jej Ricky – ale to nie tego typu potrzeba i nie taka wiadomość, jak pani myśli.

Kobieta zamilkła na chwilę, bardziej zaskoczona niż zmieszana.

– Nie wiem – powiedziała – czy mogę dzwonić do niego w czasie urlopu, jeśli nie ma nagłej

potrzeby... – Będzie zainteresowany – powiedział Ricky, z trudem zachowując chłodny ton.

– Nie wiem – powtórzyła kobieta. – Mamy tu ustaloną procedurę.

– Każdy ma procedurę – stwierdził ostro Ricky. – Procedury istnieją po to, żeby zapobiec kontaktowi, a nie go ułatwić. Ludzie o małych umysłach i bez wyobraźni chowają się za rozkładami i procedurami. Ludzie z charakterem wiedzą, kiedy je zignorować. Czy pani jest taką osobą?

Kobieta zawahała się.

– Co to za wiadomość? – spytała w końcu.

– Proszę przekazać doktorowi Rothowi, że doktor Frederick Starks... niech pani to zapisze, bo chcę, żeby mnie pani dokładnie zacytowała... – Zapisuję – powiedziała ostro kobieta.

– ...że doktor Starks otrzymał jego list, zapoznał się z załączoną do niego skargą i chce go poinformować, że nie ma w niej słowa prawdy. To wymysły.

– ...nie ma słowa prawdy... Mam. Wymysły. Zapisalam. Chce pan, żebym z tym do niego zadzwoniła? Jest na urlopie.

– Wszyscy jesteśmy na urlopie. Niektórzy ludzie mają po prostu bardziej interesujące wakacje niż inni. Ta wiadomość na pewno sprawi, że jego takie będą. Proszę mu ją przekazać dokładnie w takiej formie albo obiecuję pani, że przed Świętem Pracy będzie pani szukała nowej posady.

Zrozumiano?

– Zrozumiałam – odparła kobieta. Najwyraźniej groźba nie zrobiła na niej wrażenia. – Ale powiedziałam panu, mamy jasne i ustalone procedury.

Nie sądzę, żeby to podpadało... – Niech się pani postara nie być tak przewidująca – powiedział Ricky.

– W ten sposób zachowa pani pracę.

Odłożył słuchawkę i odchylił się na krześle. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak nieuprzejmy ani by komuś groził. To było sprzeczne z jego naturą. Po chwili zrozumiał jednak, że w przeciągu kilku następnych dni będzie musiał o wiele częściej postępować wbrew niej.

Spojrzał na list od doktora Rotha i po raz drugi przeczytał skargę, próbując odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Uważał, że Rumpelstiltskin chciał osiągnąć jakiś konkretny efekt. Ale jaki?

Kiedy się nad tym zastanawiał, zwrócił uwagę na kilka rzeczy.

Skarga była o wiele bardziej wyrafinowana, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Anonimowa autorka donosiła o gwałcie, ale miał on miejsce na tyle dawno, że Starksowi nie groziły żadne konsekwencje prawne. Nie było potrzeby wszczynania policyjnego śledztwa. Zamiast tego list wywoływał powolne, uciążliwe dochodzenie Stanowej Komisji Etyki Lekarskiej – nieskuteczne, długie i nieprzeszkadzające w grze.

Doniesienie o przestępstwie, które miało miejsce niedawno, spowodowałoby

natychmiastową reakcję policji, a Rumpelstiltskin w oczywisty sposób nie chciał mieć do czynienia z organami ścigania. Czyniąc donos prowokującym, a jednocześnie anonimowym, autorka zachowywała dystans.

Nikt z Towarzystwa Psychoanalitycznego nie zadzwoniłby do niej, by sprawdzić prawdziwość skargi. Przekazaliby ją, jak to już najwyraźniej zrobili, trzeciej instytucji, umywając ręce najszybciej, jak się dało, by uniknąć poważniejszych kłopotów.

Ricky przeczytał oba listy jeszcze raz i znalazł odpowiedź.

– Chce, żebym został sam – parsknął.

Siedział przez chwilę, wpatrując się w sufit, jakby biała płaszczyzna nad jego głową mogła udzielić mu jakichś wyjaśnień. Mówił do siebie; jego głos odbijał się głuchym echem od ścian gabinetu.

– Chce, żebym nie miał się do kogo zwrócić o pomoc. Chce, żebym stanął do gry zupełnie sam, więc załatwił to tak, że nie mogę porozmawiać z żadnym kolegą po fachu.

Diaboliczna natura działań Rumpelstiltskina wywołała na jego ustach cień uśmiechu. Prześladowca Ricky'ego wiedział, że ten będzie zadawał sobie mnóstwo pytań związanych ze śmiercią Zimmermana. Wiedział, że przeraziło go włamanie do mieszkania, kiedy szukał na nie odpowiedzi.

Wiedział, że Ricky'ego dręczyła niepewność i strach, może też panika i szok, wywołane błyskawicznym tempem wydarzeń. Rumpelstiltskin przewidział to wszystko i domyślił się, jaki może być pierwszy ruch Starksa – szukanie pomocy. Chciałby porozmawiać – nie działać – ponieważ taka była natura jego zawodu, więc poszedłby do innego psychoanalityka.

Kolegi, przed którym mógłby się wygadać. Do kogoś, kto wysłuchałby jego opowieści i pomógł mu ułożyć wszystko w logiczną całość.

Ale teraz to niemożliwe, pomyślał Ricky.

Skarga dotycząca gwałtu, zawierająca niepotrzebny i szokujący obraz ostatniej sesji, została wysłana do wszystkich członków zarządu Towarzystwa Psychoanalitycznego, kiedy szykowali się do wyjazdu na sierpniowe urlopy. Ricky nie miał okazji, by się bronić, bo pozbawiono go forum, przed którym mógłby to zrobić. Ohyda zarzutu rozniesie się w nowojorskim światku psychiatrycznym jak plotka na hollywoodzkim przyjęciu.

Ricky miał wielu kolegów, ale bardzo mało przyjaciół i zdawał sobie z tego sprawę. Koledzy zaś nie będą chcieli kłaść się znajomością z doktorem, który naruszył największe zawodowe tabu. Zarzut, że nadużył swojej pozycji jako terapeuta i analityk, by zaspokoić najbardziej prymitywne seksualne zachcianki, a potem odwrócił się plecami do cierpienia, które wywołał, był psychoanalitycznym odpowiednikiem dżumy, a sam Ricky natychmiast został poddany kwarantannie. Dopóki wisiało nad nim oskarżenie, nikt nie miał zamiaru mu pomagać, niezależnie od tego, jak bardzo by o to prosił, jak usilnie zaprzeczałby zarzutom. A oczyszczenie

się z nich mogło potrwać wiele miesięcy.

Skarga odniosła również inny skutek; ludzie, którzy myśleli, że znają Ricky'ego, teraz mieli zacząć się zastanawiać, co tak naprawdę o nim wiedzą. Kłamstwo było doskonałe, ponieważ samo zaprzeczenie z jego strony skłoni wszystkich do podejrzeń, że się maskował.

Był całkiem sam. Odizolowany. Opuszczony.

Jeszcze raz spojrzął na oba listy. W zmyślonej skardze anonimowa autorka zamieściła nazwiska prawnika z Manhattanu i terapeuty z Bostonu.

Te nazwiska są dla mnie, pomyślał. To trasa, której mam się trzymać.

Przypomniała mu się przerażająca ciemność gabinetu poprzedniego wieczoru. Musi pójść najprostszą drogą i połączyć to, co zostało rozłączone, by pokój zalało światło.

Resztę dnia spędził na badaniu każdego szczegółu listu Rumpelstiltskina, próbując rozszyfrować rymowankę i sporządzając dokładne notatki na temat wszystkiego, co mu się przydarzyło, przykładając wagę do każdego wypowiedzianego słowa, odtwarzając dialogi, bezskutecznie szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Odkrył, że najwięcej kłopotu sprawia mu przypomnienie sobie dokładnych słów Wergiliusz, co było niepokojące. Bez trudu przywoływał wspomnienie jej figury i przebiegłości w głosie; jej uroda działała jak zasłona dymna. Zmartwiło to Ricky'ego i jak każdy dobry psychoanalityk zastanawiał się, dlaczego nie był w stanie się skupić, podczas gdy prawda była tak oczywista, że pierwszy lepszy piętnastolatek mógłby mu to powiedzieć.

Gromadził notatki i spostrzeżenia, szukając schronienia w świecie, w którym czuł się najpewniej. Następnego ranka jednak, kiedy założył garnitur i krawat, i wykreślił kolejny dzień w kalendarzu, znów odczuł presję upływającego czasu. Pomyślał, że powinien chociaż wymyślić pierwsze pytanie, zadzwonić do „Timesa” i zamieścić je w dziale ogłoszeń.

Gdy tylko wyszedł na ulicę, zrobiło mu się potwornie gorąco. Założył, że jest śledzony, ale znowu się nie odwrócił. W filmach, pomyślał, główny bohater z łatwością wykrywa tropiących go agentów złych sił.

Noszą czarne kapelusze i mają złe spojrzenie. Dla Ricky'ego każdy wyglądał podejrzanie: mężczyzna na rogu, wnoszący towar do sklepu spożywczego, idący szybkim krokiem biznesmen, bezdomny w zaułku, ludzie w restauracji i w przejeżdżających samochodach. Każdy z nich mógł go obserwować albo nie. Nie był w stanie tego stwierdzić. Był przyzwyczajony do bezpiecznego świata gabinetu, w którym podział ról był o wiele jaśniejszy. Na ulicy nie potrafił powiedzieć, kto bierze udział w grze i go obserwuje, a kto jest tylko nic nieznaczącym przechodniem.

Ricky wzruszył ramionami i zatrzymał taksówkę. Kierowca nosił niemożliwe do wymówienia zagraniczne nazwisko i słuchał stacji, nadającej dziwną orientalną muzykę. Śpiewająca kobieta miała przenikliwy wysoki głos, modulowany w rytm zmian tempa. Kolejna piosenka różniła się od pierwszej jedynie szybkością, ćwierkające zaśpiewy pozostawały bez

zmian. Ricky nie był w stanie rozróżnić słów, ale kierowca z zadowoleniem wybijał rytm, bębniąc palcami w kierownicę. Chrząknął, kiedy Starks podał mu adres i natychmiast ruszył, włączając się do ruchu. Ricky był ciekaw, ilu ludzi wsiadało każdego dnia do jego taksówki. Siedzący za plastikową przegrodą kierowca nie mógł wiedzieć, czy u celu czeka ich coś znaczącego i przełomowego, czy zwykła codzienność. Raz czy dwa zatrafił na skrzyżowaniu, w milczeniu wioząc Ricky'ego przez zatłoczone miasto.

Większą część bocznej ulicy, przy której znajdowała się kancelaria adwokata, zajmowała biała furgonetka firmy przeprowadzkowej. Kilku krzepkich mężczyzn przechodziło w tę i z powrotem przez frontowe drzwi niewyróżniającego się niczym biurowca, dźwigając brązowe kartonowe pudła, meble, krzesła, sofy i inne tego rodzaju rzeczy i wnosząc je ostrożnie do samochodu po stalowej rampie. Z boku stał mężczyzna w błękitnym blezerze z odznaką firmy ochroniarskiej, pilnując ich pracy, przyglądając się czujnie przechodniom, jak ktoś, kto ma tylko jedno zadanie i jest zdecydowany wykonać je jak najlepiej. Ricky wysiadł z taksówki, która odjechała, kiedy tylko trzasnął drzwiami i podszedł do człowieka w blezerze.

– Szukam kancelarii pana Merlina. To adwokat... – Szóste piętro, na samej górze – powiedział mężczyzna, nie odrywając wzroku od robotników. – Jest pan umówiony? Tam na górze wszyscy są zajęci przeprowadzką.

– Przeprowadza się?

Człowiek w blezerze machnął ręką.

– Jak pan widzi. Wchodzi w wielki świat i wielkie pieniądze, tak słyszałem. Może pan iść na górę, tylko niech pan nie przeszkadza.

Winda buczała głośno, ale na szczęście nie grała w niej muzyka. Kiedy otworzyła się na szóstym piętrze, Ricky natychmiast zauważył biuro prawnika. W otwartych szeroko drzwiach dwaj mężczyźni mocowali się z biurkiem, próbując wypchnąć je na korytarz, pod czujnym okiem kobiety w średnim wieku, ubranej w dżinsy, adidas i firmowy t-shirt.

– To moje biurko, cholera jasna, i znam na nim każdą plamę i zadrapanie.

Zróbcie jeszcze jedno, a kupicie mi nowe.

Mężczyźni przystanęli i skrzywili się. Biurko przeszło przez drzwi, mając po obu stronach po kilka milimetrów luzu. Ricky spojrzął w głąb i zobaczył ustawione w wewnętrznym korytarzu stosy pudeł, puste szafki i stoły. Z wnętrza kancelarii dobiegł głośny huk i seria przekleństw. Kobieta w dżinsach potrząsnęła grzywą kasztanowych włosów, wyraźnie zirytowana. Wyglądała na osobę, która ceni porządek, a przejściowy chaos sprawia jej niemal fizyczny ból. Ricky podszedł do niej szybkim krokiem.

– Szukam pana Merlina – powiedział. – Jest gdzieś tutaj?

Kobieta odwróciła się gwałtownie.

– Jest pan klientem? Nie mamy na dziś umówionych żadnych wizyt.

Przeprowadzamy się.

– Muszę z nim porozmawiać – odparł Ricky.

– W jakiej sprawie?

– Jestem doktor Frederick Starks. Myślę, że można powiedzieć, iż pan Merlin i ja mamy coś do omówienia. Jest tutaj?

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia; po chwili uśmiechnęła się nieprzyjemnie, kiwając głową.

– Znam to nazwisko. Ale pan Merlin nie spodziewał się pana wizyty tak szybko.

– Czyżby? – powiedział Ricky. – Myślałem, że wręcz przeciwnie.

Kobieta zatrzymała się, kiedy kolejny robotnik wyszedł z kancelarii, niosąc w ręku lampę, a pod pachą pudełko książek.

– Po jednym, po jednym. Jak bierzecie za dużo, zawsze się coś psuje.

Niech pan odłoży jedną rzecz i wróci po nią następnym kursem.

Mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem, wzruszył ramionami i niezbyt delikatnie odstawił lampę na podłogę.

Kobieta odwróciła się do Ricky'ego.

– Jak pan widzi, doktorze, pojawił się pan w mało dogodnym momencie... Starks myślał już, że kobieta go odprawi, kiedy z kancelarii wyszedł mężczyzna koło trzydziestki, z lekką nadwagą i łysiną. Miał na sobie zaprasowane w kant spodnie khaki, drogą sportową koszulę i mokasyny z frędzelkami. Wyglądał dziwnie – za dobrze ubrany do przeprowadzki, zbyt nieformalnie do prowadzenia interesów. Strój był ostentacyjnie drogi; najwyraźniej mężczyzna, nawet w takiej sytuacji, ubierał się według sztywnych zasad. Jego swobodne w zamyśle ubranie nie miało w sobie nic swobodnego.

– Jestem Merlin – powiedział, wyjmując z kieszeni złożoną lnianą chustkę i wycierając w nią dłonie, przed podaniem ręki Ricky'emu. – Proszę wybaczyć ten bałagan. Możemy porozmawiać w sali konferencyjnej.

Wciąż jest tam większość mebli, chociaż nie wiadomo, jak długo tam postoją.

Wskazał gestem drzwi.

– Mam robić notatki, panie Merlin? – spytała kobieta.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie potrwa aż tak długo.

Ricky został zaprowadzony do pomieszczenia zdominowanego przez długi wiśniowy stół i krzesła. Pod ścianą w głębi stał nieduży stolik, na nim ekspres do kawy, dzbanek i filiżanki. Prawnik wskazał mu krzesło, po czym poszedł obejrzeć ekspres. Wzruszając ramionami, odwrócił się do Ricky'ego.

– Przykro mi, doktorze – powiedział. – Kawa się skończyła, dzbanek na wodę też jest pusty.

Nie mam pana czym poczęstować.

– Nie szkodzi – odparł Starks. – Nie przyszedłem tu dlatego, że chciało mi się pić.

Merlin uśmiechnął się, słysząc taką odpowiedź.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział. – Nie wiem, jak mogę panu... – Merlin to niespotykane nazwisko – przerwał mu Ricky. – Można pomyśleć, że jest pan czarodziejem.

Prawnik znów się uśmiechnął.

– W moim zawodzie, doktorze Starks, takie nazwisko to zaleta. Bardzo często klienci oczekują od nas przysłowiowego wyciągnięcia królików z kapelusza.

– A pan to potrafi? – spytał Ricky.

– Niestety nie – odparł Merlin. – Nie mam magicznej różdżki. Z drugiej strony jednak jestem wyjątkowo skuteczny w zmuszaniu opornych i grających na zwłokę królików do wychodzenia z kryjówek we wszelkiego rodzaju kapeluszach, opierając się, oczywiście, na dokumentach, a nie na magii. Ale może to to samo? Niektóre procesy rządzą się chyba tymi samymi prawami, co klątwy i czary mojego imiennika.

– I przeprowadza się pan?

Adwokat sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małe skórzane etui. Wyciągnął z niego wizytówkę i podał ją Ricky'emu.

– Nowe zadania – powiedział lekko. – Sukces wymaga rozwoju. Zatrudniam nowych pracowników. Potrzebuję więcej miejsca.

Starks spojrział na wizytówkę. Widniał na niej adres w centrum miasta.

– A ja mam być kolejnym trofeum na pana ścianie?

Merlin skinął głową i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Możliwe – powiedział. – Prawdę mówiąc, to całkiem prawdopodobne.

Właściwie nie powinienem z panem rozmawiać, doktorze, zwłaszcza pod nieobecność pańskiego adwokata. Niech się ze mną skontaktuje, zajmiemy się pana ubezpieczeniem... Jest pan ubezpieczony, prawda?

A potem załatwimy całą sprawę szybko i z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych.

– Jestem ubezpieczony, ale wątpię, czy polisa obejmuje przypadki takie jak ten, który wymyśliła pańska klientka. Od kilkadziesiąt lat nie miałem potrzeby tego sprawdzać.

– Nie jest pan ubezpieczony? Niedobrze... A słowem „wymyśliła” mogę się poczuć urażony.

– Kim jest pana klientka? – spytał ostro Ricky.

Prawnik pokręcił głową.

– Nie wolno mi wyjawiać jej nazwiska. Wciąż dochodzi do zdrowia i... – Nic takiego nie miało miejsca – wpadł mu w słowo Starks. – To czysty wymysł. Fantazja. Ani słowa prawdy. Pana prawdziwym klientem jest ktoś inny, prawda?

Adwokat zawahał się.

– Zapewniam pana, że moja klientka jest prawdziwa – powiedział. – Tak jak jej skarga. Panna X jest bardzo nieszczęśliwą młodą kobietą... – Dlaczego nie nazwiemy ją panną R.? – spytał Ricky. – R jak Rumpelstiltskin.

Czy to nie bardziej odpowiedni skrót?

Merlin wyglądał na nieco zmieszanego.

– Chyba nie nadażam za panem, doktorze. X, R, wszystko jedno.

Przecież nie o to chodzi.

– Słusznie.

– Chodzi o to, że ma pan poważne kłopoty. I proszę mi wierzyć, powinno panu zależeć, żeby te kłopoty zniknęły tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli będę musiał wnieść oskarżenie, szkody będą nieodwracalne.

To puszka Pandory. Całe zło wydostanie się na wolność. Wszystko trafi do publicznej wiadomości. Zarzuty i zaprzeczenia. Chociaż z mojego doświadczenia wynika, że zaprzeczenie nigdy nie jest tak efektywne, jak oskarżenie. Ludzie pamiętają o zarzutach.

– Nigdy nie wykorzystałem pacjenta w sposób, jaki mi się zarzuca.

Nie wierzę nawet, że ta osoba istnieje. Nie miałem takiej pacjentki.

– To świetnie, doktorze. Mam nadzieję, że jest pan tego pewien w stu procentach. Ponieważ – głos adwokata obniżył się o oktawę, a każde słowo nabrało ostrości brzytwy – kiedy skończę przepytawać każdego pacjenta, którego leczył pan przez ostatnie, powiedzmy, dziesięć lat i rozmawiać z każdym kolegą, z którym miał pan okazję dyskutować, i badać każdy aspekt pana życia – oby był pan takim świętoszkiem, za jakiego się pan podaje – każdą sekundę, jaką spędził pan w gabinecie... Wtedy to, czy moja klientka istnieje, czy nie, będzie zupełnie bez znaczenia, ponieważ pan nie będzie już miał ani życia osobistego, ani nienagannej reputacji.

Ricky chciał odpowiedzieć, ale nie zrobił tego.

Merlin patrzył mu w oczy bez mrugnięcia.

– Ma pan jakichś wrogów, doktorze? Może zazdrosnych kolegów?

Myśli pan, że któryś z pana pacjentów był niezadowolony z wyników terapii? Kopnął pan kiedyś psa? Może nie zahamował pan, kiedy na drodze do letniego domku na Cape Cod wyskoczyła panu pod koła wiewiórka?

Prawnik uśmiechnął się, tym razem jednak był to paskudny uśmiech.

– Wiem o tym miejscu – powiedział. – Miły wiejski domek na skraju lasu, z ogrodem i widokiem na ocean. Kupiony od pewnej kobiety w średnim wieku, której mąż zmarł w osiemdziesiątym czwartym roku. Skorzystał pan na jej żałobie, co, doktorze? Zdaje pan sobie sprawę, o ile wzrosła wartość tej ziemi? Jestem pewien, że tak. Powiem coś panu, doktorze Starks. Jedną, jedyną rzecz. Czy w oskarżeniu mojej klientki jest choć jedno słowo prawdy, czy nie, to wszystko będzie moje, zanim ta sprawa się skończy. Pana mieszkanie, konto bankowe

w Chase, fundusz emerytalny w Dean Witter, którego jeszcze pan nie naruszył, i pana skromny kapitał giełdowy. Ale zacznę od letniego domu. Dwanaście akrów. Chyba będę mógł to podzielić i nieźle zarobić. Jak pan sądzi, doktorze?

Ricky słuchał go i kręciło mu się w głowie.

– Skąd pan wie... – zaczął.

– Wiedzieć to mój zawód – przerwał mu Merlin. – Gdyby nie miał pan niczego, czego mógłbym chcieć, nie zawracałbym sobie głowy. Ale ma pan, i proszę mi wierzyć, doktorze, bo pana prawnik powie panu to samo, walka nie jest tego warta.

– Moja godność jest warta – odparł Ricky.

Merlin wzruszył ramionami.

– Pan nie rozumie, doktorze. Próbuję panu powiedzieć, w jaki sposób może pan wyjść z tego z twarzą. Dość niemądrze wierzy pan, że to wszystko ma coś wspólnego z kategoriami dobra i zła. Że prawda zwycięży kłamstwo. To intrygujące, że coś takiego wymyślił psychoanalityk.

Czy często słyszy pan prawdę, taką szczerą i prawdziwą? Czy raczej prawda pozostaje ukryta, schowana pod wszelkiego rodzaju psychologicznymi obciążeniami, a kiedy zostaje odnaleziona, jest nieuchwytna? I nigdy nie jest czarna ani biała. Szarawa, owszem, brązowa, nawet czerwona.

Czy nie tak właśnie twierdzicie?

Ricky czuł się jak idiota. Słowa prawnika trafiały go jak ciosy pięści w nierównym bokserskim pojedynku. Odetchnął głęboko. Pomyślał, że głupotą było przychodzenie tu i że najlepiej zrobi, jeśli jak najszybciej stąd wyjdzie. Miał już wstać, kiedy Merlin dodał:

– Piekło może przybierać różne formy, doktorze Starks. Proszę o mnie myśleć jako o jednej z nich.

– Słucham? – powiedział Ricky. Przypomniał sobie to, co podczas pierwszej wizyty powiedziała mu Wergiliusz: że będzie jego przewodnikiem po piekle.

Prawnik uśmiechnął się.

– W czasach arturiańskich – powiedział przyjaźnie, tonem człowieka, który zmierzył się z przeciwnikiem i stwierdził, że ma nad nim wyraźną przewagę – piekło było czymś bardzo realnym, nawet dla ludzi wykształconych i oświeconych. Naprawdę wierzyli w demony, diabły i opętanie przez złe duchy. Czuli czekający na grzeszników ogień i siarkę, uważali, że płonące czeluście i wieczne tortury były zupełnie logicznym efektem niewłaściwie przeżytego życia. Dzisiaj wszystko jest bardziej skomplikowane, prawda? Nie wierzymy, że czekają nas rozpalone kleszcze i wieczne potępienie w ognistej otchłani. Co więc mamy w zamian? Prawników. I proszę mi wierzyć, doktorze, jestem w stanie z łatwością zamienić pana życie w coś, co będzie przypominało średniowieczną rycinę jednego z tych koszmarnych artystów. Potrzebne panu łatwe wyjście, doktorze. Jak najłatwiejsze.

Lepiej niech pan jeszcze raz sprawdzi to ubezpieczenie.

W tym momencie drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się i na progu stanęło dwóch robotników.

– Chcielibyśmy zacząć wynosić te rzeczy – powiedział jeden z nich.

– Już tylko to zostało.

Merlin wstał.

– Nie ma problemu. Myślę, że doktor Starks właśnie zamierzał wyjść.

Ricky również się podniósł.

– Tak. – Skinął głową i spojrzał na wizytówkę prawnika. – Mój adwokat ma pana szukać pod tym adresem?

– Tak.

– W porządku. A pan będzie uchwytany... – Kiedy tylko będzie mnie pan potrzebował, doktorze. Myślę, że najrozsądniej byłoby załatwić sprawę szybko. Nie chciałby pan marnować swoich cennych wakacji, martwiąc się mną, prawda?

Ricky nie odpowiedział, chociaż przypomniał sobie, że nie wspominał prawnikowi o swoich planach urlopowych. Skinął głową, odwrócił się i wyszedł z biura, ani razu się nie oglądając.

Ricky wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do hotelu Plaza, kilka przecznic dalej. Było to najlepsze miejsce do tego, co zamierzał zrobić.

Samochód przemykał wśród ulicznego ruchu w charakterystyczny dla taksówek sposób, przyspieszając, wciskając się, hamując, zmieniając pasy i pokonując całą drogę w dokładnie takim samym czasie, co inne samochody, jadące równo i powoli. Ricky spojrzał na identyfikator taksówkarza, na którym, tak jak się spodziewał, widniało kolejne niewymawialne nazwisko. Usiadł wygodnie, myśląc o tym, jak ciężko jest czasami złapać taksówkę na Manhattanie i że to ciekawe, że kiedy wyszedł wstrząśnięty z biura adwokata, od razu mu się to udało. Zupełnie, jakby na niego czekała.

Kierowca zahamował ostro przed wejściem do hotelu. Ricky wsunął pieniądze w otwór w pleksiglasowej szybie i wysiadł. Zignorował odźwiernego, wbiegł po schodach i przez obrotowe drzwi wszedł do hotelu.

Westybul był pełen ludzi. Starks przedarł się przez kilka grup turystów, omijając stosy bagaży i spieszących się, nie wiadomo dokąd, gońców.

Wszedł do restauracji Palm Court. Zatrzymał się, przez chwilę patrzył na menu, po czym lekko skulony, skierował się na korytarz. Szedł najszybciej, jak mógł, by nie zwracać na siebie uwagi, krokiem kogoś, kto spieszy się na pociąg. Skierował się bezpośrednio do wyjścia od strony południowego Central Parku i wyszedł na ulicę.

Stał tam odźwierny, zatrzymujący taksówki dla gości. Ricky wyminął czekającą na krawężniku rodzinę.

– Przepraszam bardzo – powiedział do mężczyzny w średnim wieku, ubranego w hawajską koszulę i starającego się uspokoić troje rozbrykanych dzieci. Obok stała myszowata kobieta, czuwająca nad rodziną jak kwoka. – Trochę mi się spieszy. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale... Oszołomiony ojciec spojrział na Ricky'ego, jakby w przeświadczeniu, że wycieczka z Idaho do Nowego Jorku nie może się obyć bez kradzieży taksówki, po czym bez słowa wskazał drzwi. Ricky wskoczył do środka i zatrzasnął je za sobą.

– Ralph, co ty robisz? – usłyszał. – To nasza... Kierowca nie jest przynajmniej człowiekiem wynajętym przez Rumpelstiltskina, pomyślał. Podał mu adres kancelarii Merlina.

Tak jak podejrzewał, przed budynkiem nie było już furgonetki. Strażnik w niebieskim blezerze również zniknął.

Ricky zastukał w przegrodę z pleksi.

– Zmieniłem zdanie – powiedział. – Jedźmy pod ten adres, proszę. – Odczytał go z wizytówki prawnika. – Kiedy będziemy blisko, proszę się zatrzymać przecnicę wcześniej, dobrze? Nie chcę podjeżdżać pod same drzwi.

Kierowca w milczeniu wzruszył ramionami i skinął głową.

Przebiecie się przez korki zajęło piętnaście minut. Adres z wizytówki Merlina znajdował się niedaleko Wall Street. Okolica aż ociekała prestiżem.

Kierowca zatrzymał się przecnicę wcześniej.

– To tam – powiedział. – Mam podjechać?

– Nie – odparł Ricky. – Tak jest dobrze. – Zapłącił i wysiadł.

Przed dużym biurowcem nie było śladu furgonetki. Nie był tym zaskoczony.

Popatrzył w górę i w dół ulicy, ale nie zobaczył ani adwokata, ani szyldu firmy, ani biurowych mebli. Jeszcze raz sprawdził adres na wizytówce, upewniając się, że jest we właściwym miejscu, po czym podszedł do budynku i dostrzegł tuż za drzwiami siedzącego w recepcji strażnika w mundurze, czytającego powieść w miękkiej oprawie. Przed nim znajdowało się kilka monitorów i panel wind. Ricky wszedł do środka. Najpierw skierował się do wiszącego na ścianie spisu instytucji. Szybko stwierdził, że nie ma na nim nikogo o nazwisku Merlin. Podszedł więc do strażnika.

– W czym mogę pomóc? – spytał strażnik, podnosząc wzrok.

– Chyba się pomyliłem. Mam tu wizytówkę prawnika, z tym adresem, ale nie mogę go znaleźć w spisie. Powinien się tu dziś wprowadzać.

Strażnik spojrział na wizytówkę, zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– To ten adres – powiedział – ale nie mamy tu nikogo o tym nazwisku.

– Może jakieś puste biuro? Jak mówiłem, miał się tu wprowadzić.

– Nikt nie uprzedzał o tym ochrony. Tu nie ma żadnych pustych lokali.

Od lat nie było.

– To dziwne – powiedział Ricky. – Pewnie ktoś się pomylił w drukarni.

– Możliwe.

Strażnik oddał mu wizytówkę.

Starks schował ją do kieszeni z przeświadczeniem, że właśnie wygrał pierwszą potyczkę ze swoim prześladowcą. Nie wiedział tylko, co z tego wyniknie.

Kiedy dotarł do domu, wciąż czuł się pewnie. Nie wiedział, kogo spotkał w kancelarii. Zastanawiał się, czy człowiek, który podawał się za Merlina, to nie sam Rumpelstiltskin. Możliwe, pomyślał, ponieważ na pewno chciałby się spotkać z Rickym twarzą w twarz. Starks nie wiedział, dlaczego jest o tym przekonany, ale brzmiało to sensownie. Trudno było wyobrazić sobie kogoś, kto czerpał przyjemność z dręczenia go i nie skorzystałby z pierwszej sposobności, by zobaczyć skutki swojego działania na własne oczy.

Spostrzeżenie to nie wniosło jednak nic do portretu, który musiał sporządzić, by dowiedzieć się, kim jest Rumpelstiltskin.

– Co wiesz o psychopatach? – mruknął do siebie, wchodząc po schodach.

Niewiele. Znał się na dolegliwościach i neurozach. Na kłamstwach, jakie opowiadali ludzie okaleczeni psychicznie, by usprawiedliwić swoje zachowanie. Nie wiedział jednak nic o kimś, kto był zdolny do stworzenia całego świata kłamstw po to, by doprowadzić do jego śmierci.

W jednej chwili satysfakcja, jaką odczuł na myśl, że wyprowadził Rumpelstiltskina w pole znikła. Pamiętaj, o co toczy się gra, upomniał się zimno.

Zobaczył, że dostarczono mu pocztę. Otworzył skrzynkę i wyjął ze środka podłużną kopertę z pieczętką Zarządu Komunikacji miasta Nowy Jork. Rozdarł ją.

W środku była nieduża kartka, przypięta do większej kserokopii. Przeczytał najpierw ją.

Drogi doktorze Starks!

Ten list znaleziono w osobistych rzeczach pana Zimmermana. Ponieważ jest w nim wzmianka o Panu i komentarz dotyczący Pana terapii, przesyłam ją Panu. Nawiasem mówiąc, sprawa jego śmierci została zamknięta.

Z poważaniem detektyw J. Riggins List Zimmermana – krótki, napisany na maszynie – przeraził go.

Do wszystkich zainteresowanych.

Mówię i mówię, ale wcale nie jest lepiej. Nikt mi nie pomaga.

Nikt nie słucha prawdziwego mnie. Zająłem się matką. Wszystkie ustalenia znajdują się razem z testamentem, ubezpieczeniem i innymi dokumentami w moim biurku w pracy. Przepraszam wszystkich oprócz doktora Starksa. Żegnajcie.

Roger Zimmerman List został podpisany na maszynie. Ricky czuł, jak spływają z niego wszystkie uczucia.

Rozdział 9

Ten list nie może być prawdziwy.

W duchu wciąż żywił niezłomne przekonanie, że Zimmerman nie był bardziej skłonny odebrać sobie życia niż on sam. Nie wykazywał tendencji samobójczych ani autodestrukcyjnych. Był upartym neurotykiem, dopiero zaczynającym rozumieć istotę psychologicznego wglądu, człowiekiem, którego trzeba było popchnąć, by zaczął coś robić. Ricky wierzył, że Zimmerman został wepchnięty pod pociąg. Zaczynał jednak mieć problemy z odróżnieniem rzeczywistości od iluzji. Mimo listu od detektyw Riggins, wizyty na stacji metra i na komisariacie, wciąż nie mógł uwierzyć w śmierć Zimmermana. Wydawała mu się czymś nierealnym. Spojrzał na list pożegnalny i spostrzegł, że był jedyną osobą wymienioną w nim z nazwiska, a podpis nie był odręczny. Ktoś, kto go napisał, wystukał nazwisko Zimmermana na maszynie. Albo zrobił to sam Zimmerman, jeśli faktycznie on był autorem listu.

Ricky'emu wirowało w głowie.

Cała radość, jaką czuł po przechytrzeniu adwokata, zniknęła, ustępując miejsca mdłościom. Jechał windą, czując przygniatający ciężar. Pojawiły się też pierwsze nutki żalu nad sobą. Dlaczego ja? Do gabinetu dotarł zupełnie wyczerpany.

Opadł ciężko na fotel i wziął do ręki list od Towarzystwa Psychoanalitycznego.

Wykreślił w myślach nazwisko prawnika, chociaż nie był tak lekkomyślny, by zakładać, że było to jego ostatnie spotkanie z Merlinem, kimkolwiek on był. W liście podano też nazwisko terapeuty z Bostonu, do którego chodziła jego rzekoma ofiara. Ricky zrozumiał, że to kolejne zadanie. Przez chwilę miał ochotę je zlekceważyć, nie robić tego, czego od niego oczekiwano, zdał sobie jednak sprawę, że zaniechanie stanowczej obrony swojej niewinności uczyni go winnym, więc chociaż spodziewał się, że krok ten został przewidziany i będzie całkowicie bezużyteczny, musiał zadzwonić.

Wciąż czując ból żołądka, Ricky sięgnął po słuchawkę i wystukał numer terapeuty. Po jednym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka.

Spodziewał się tego.

– Tu doktor Martin Soloman. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu.

Proszę zostawić nazwisko, numer i krótką wiadomość, a oddzwonię jak najszybciej. – Przynajmniej, pomyślał Ricky, nie wyjechał jeszcze na urlop.

– Doktorze Soloman – powiedział szorstko, jak aktor, próbujący nadać swojemu głosowi ton oburzenia i urazy – mówi doktor Frederick Starks z Manhattanu. Zostałem oskarżony przez pańską pacjentkę o poważne nadużycie. Chciałbym pana poinformować, że zarzuty te są całkowicie nieprawdziwe. To wymysły, niemające oparcia w rzeczywistości. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Siła wiadomości pozwoliła mu odzyskać trochę nadziei. Spojrzał na

zegarek. Pięć minut, pomyślał. Maksymalnie dziesięć, zanim oddzwoni.

Nie pomylił się. Z wybiciem siódmej minuty telefon zadzwonił.

– Doktor Starks – przedstawił się Ricky niskim pewnym głosem.

Mężczyzna po drugiej stronie odetchnął gwałtownie.

– Doktorze, tu Martin Soloman. Otrzymałem pana wiadomość i uznałem, że rozsądnie będzie się do pana odezwać.

Ricky odczekał chwilę, zanim zaczął mówić.

– Kim jest pana pacjentka, która zarzuca mi tak naganne zachowanie?

Odpowiedziała mu chwila ciszy.

– Nie wiem, czy wolno mi już wyjawic jej tożsamość – powiedział w końcu Soloman. – Powiedziała mi, że kiedy skontaktują się ze mną przedstawiciele odpowiednich władz medycznych, ujawni się. Wniesienie skargi do Nowojorskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego było pierwszym krokiem na jej drodze do psychicznego zdrowia. Musi postępować ostrożnie. To, co pan mówi, brzmi niewiarygodnie, doktorze.

Z pewnością pamięta pan, kto był pana pacjentem tak niedawno. A szczegóły, o jakich mi opowiedziała, dodają wiarygodności temu, co mówi.

– Szczegóły? – spytał Ricky. – Jakie szczegóły?

Doktor zawahał się.

– Nie wiem, na ile mogę... – Niech pan nie będzie śmieszny. Ani przez sekundę nie uwierzyłem, że ktoś taki w ogóle istnieje – przerwał mu ostro Ricky.

– Zapewniam pana, że jest całkowicie realna. I bardzo cierpi – powiedział terapeuta, powtarzając słowa prawnika Merlina. – Szczerze mówiąc, doktorze, pana zaprzeczenia nie wydają mi się przekonujące.

– Jakie szczegóły?

– Opisała pana, fizycznie i intymnie. Opisała pana gabinet. Potrafi naśladować pana głos, bardzo wiernie, jak się właśnie przekonuję... – Niemożliwe – parsknął Ricky.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze – podjął Salomon po chwili milczenia – czy na ścianie gabinetu, obok portretu Freuda, wisi mały niebieskożółty obrazek, przedstawiający zachód słońca na Cape Cod?

Ricky omal się nie udławił. Była to jedna z niewielu ozdób, które zostały w jego pustelnicznym świecie. Dostał go od żony na piętnastą rocznicę ślubu i jako jeden z nielicznych przedmiotów przetrwał czystkę po jej śmierci.

– Jest tam, prawda? Moja pacjentka twierdzi, że skupiała się na nim, próbując siłą woli przenieść się do niego, kiedy wykorzystywał ją pan seksualnie. Jak w doświadczeniu pozacielesnym. Wiem, że inne ofiary przestępstw seksualnych robią tak samo; wyobrażają sobie, że są gdzieś indziej. To częsty mechanizm obronny.

Ricky z trudem przełknął ślinę.

– Nic takiego nie miało miejsca.

– Nie mnie będzie pan musiał przekonać – powiedział szorstko Soloman.

Ricky zamyślił się.

– Jak długo leczy pan tę pacjentkę? – zapytał w końcu.

– Sześć miesięcy. A przed nami cholernie długa droga.

– Kto ją przysłał?

– Słucham?

– Kto ją do pana skierował?

– Nie wiem, czy pamiętam... – Chce pan powiedzieć, że kobieta cierpiąca na tego rodzaju traumę emocjonalną wybrała pana nazwisko z książki telefonicznej?

– Musiałbym sprawdzić w notatkach.

– Pańska pamięć powinna wystarczyć.

– Mimo to musiałbym zajrzeć do notatek.

Ricky parsknął.

– Wyczyta pan w nich, że nikt jej nie przysłał. Wybrała pana z jakiegoś oczywistego powodu. Więc spytam jeszcze raz: dlaczego pan, doktorze?

– W moim mieście jestem znany z sukcesów w terapii ofiar przestępstw seksualnych.

– Co to znaczy „znany”?

– Lokalna prasa napisała o mnie kilka artykułów.

Ricky myślał szybko.

– Często zeznaje pan w sądzie?

– Niezbyt. Ale nie jest mi to obce.

– Co to znaczy „niezbyt często”?

– Dwa czy trzy razy. Wiem, do czego pan zmierza. Tak, to były głośne sprawy.

– Brał pan kiedyś udział w rozprawach jako ekspert?

– Tak. W kilku procesach cywilnych, w tym w jednym, dotyczącym psychiatry oskarżonego o podobną rzecz, co pan. Wykładam w Centrum Medycznym Uniwersytetu Massachusetts, prowadzę zajęcia z terapii ofiar przestępstw... – Czy pana nazwisko pojawiło się w gazetach niedługo przed tym, jak zgłosiła się do pana pacjentka? W widocznym miejscu?

– Tak, w artykule w „Boston Globe”. Ale nie widzę związku... – I twierdzi pan, że pana pacjentka jest wiarygodna?

– Tak. Prowadzę jej terapię od sześciu miesięcy. Dwie sesje tygodniowo.

Jest bardzo konsekwentna. Nic, co powiedziała do tej pory, nie wzbudziło we mnie najmniejszych wątpliwości. Doktorze, obaj wiemy, że prawie niemożliwe jest okłamywać terapeutę, zwłaszcza przez tak długi czas.

Jeszcze kilka dni temu Ricky na pewno by się z nim zgodził.

– Gdzie ona jest teraz?

– Wyjechała na wakacje, wróci w trzecim tygodniu sierpnia.

– Zostawiła panu numer telefonu, pod którym można się z nią skontaktować?

– Nie. Umówiliśmy się na spotkanie po jej powrocie.

Ricky myślał gorączkowo. Zadał następne pytanie:

– Czy pana pacjentka ma niesamowite, wyjątkowe, przesywające zielone oczy?

Soloman milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, w jego głosie słychać było lodowatą rezerwę.

– A więc pan ją zna?

– Nie. Zgadywałem.

Odłożył słuchawkę.

Wergiliusz, pomyślał.

Ricky popatrzył na obrazek, który zajmował tak istotne miejsce w fałszywych wspomnieniach rzekomej pacjentki z Bostonu. Nie wątpił, że doktor Soloman jest prawdziwy i że został starannie wybrany. Nie miał również złudzeń, że owa tak piękna i tak okaleczona psychicznie młoda kobieta, która zwróciła się po pomoc do znanego terapeuty, jeszcze kiedyś się u niego pokaże. Ale nie w okolicznościach, jakich Soloman mógłby oczekiwać. Ricky pokręcił głową. Bardzo niewielu psychoterapeutów było aż tak zarozumiałych, by rozmiłować się w prasowej popularności i uwielbieniu pacjentów. Zachowywali się, jakby posiadali niezwykle magiczny wgląd w sprawy świata i ludzi, bez namysłu wygłaszając niewiele warte opinie i oświadczenia. Ricky podejrzewał, że Soloman był bliższy psychologom występującym w telewizji, którzy otaczali się nimbem wiedzy, lekceważąc ciężką codzienną pracę psychoanalityka. Łatwiej jest wysłuchać kogoś pobieżnie i wystawić szybką diagnozę, niż siedzieć z nim dzień po dniu, przekopując się przez warstwy przyziemnych spraw w poszukiwaniu istoty problemu. Ricky gardził przedstawicielami swojego zawodu, którzy tytułami naukowymi sygnowali opinie wygłaszane na salach sądowych i na łamach prasy.

Problemem było jednak to, że reputacja Solomana przydawała wiarygodności oskarżeniom. Jego nazwisko na dole listu sprawiło, że nabrał on wagi wystarczającej, by nikt nie przeszedł nad nim do porządku dziennego.

Czego się dzisiaj nauczyłeś? – zadał sobie pytanie Ricky.

Bardzo dużo. Przede wszystkim jednak tego, że nici sieci, w którą się zaplątał, zostały utkane już wiele miesięcy temu.

Jeszcze raz spojrzął na obrazek na ścianie. Byli tu, pomyślał. Już dawno. Rozejrzał się po gabinecie. Nie był tu bezpieczny. Nie mógł niczego ukryć. Weszli tu wiele miesięcy temu, a ja o tym nie wiedziałem.

W pierwszym odruchu wstał, podszedł do ściany, zerwał obrazek i cisnął go do kosza na śmieci, łamiąc ramkę i tłukąc szkło. W małym pomieszczeniu huk przypominał wystrzał. Z ust Ricky'ego posypały się przekleństwa, wulgarne i zupełnie do niego niepasujące. Odwrócił się i obiema rękami złapał oparcie fotela, jakby bał się, że straci równowagę.

Gniew minął tak samo szybko, jak się pojawił, zastąpiony kolejną falą nudności. Ricky'emu zakręciło się w głowie, tak jak to się dzieje, kiedy wstanie się zbyt szybko, zwłaszcza przy grypie albo poważnym przeziębieniu. Oddychał spazmatycznie, jakby ktoś zacisnął mu sznur na piersi.

Odzyskanie równowagi zajęło mu kilka minut. Lecz nadal czuł się słaby, prawie wyczerpany.

Rozglądał się po gabinecie. Miał wrażenie, że pokój się zmienił.

Wszystkie przedmioty stały się złe i groźne. Nie mógł już ufać niczemu, co widział. Zastanawiał się, co jeszcze Wergiliusz opisała terapeutce z Bostonu, jakie jeszcze szczegóły zawierała skarga, złożona w Stanowej Komisji Etyki Lekarskiej. Przypomnił sobie, jak przychodzili do niego pacjenci, załamani po włamaniu albo obrabowaniu, jak opowiadali, że stracili grunt pod nogami. Słuchał ich ze współczuciem, z klinicznym dystansem, ale nigdy naprawdę nie rozumiał, co czują.

Teraz już wiedział.

On też czuł się okradziony.

Zobaczył, że na automatycznej sekretarce mruga czerwone światełko. Były cztery nowe wiadomości. Ricky wcisnął przycisk uruchamiający urządzenie. Natychmiast rozpoznał głos pacjenta, starszego dziennikarza z „New York Timesa”, który utknął na dobrze płatnej, lecz nudnej posadzie redaktora działu naukowego, do którego pisali młodszy i bardziej energiczni koledzy. Chciał osiągnąć w życiu coś więcej, zrobić coś twórczego i oryginalnego, ale obawiał się zakłócenia porządku swojej starannie ułożonej egzystencji.

Był jednak inteligentny, wyrobiony i robił spore postępy w terapii.

Zaczynał rozumieć związek między tym, jak był wychowywany, będąc dzieckiem pary wykładowców akademickich, a obawą przed przygodą.

Ricky lubił go i uważał za kandydata do zakończenia terapii i odzyskania wolności, co dla każdego terapeuty było powodem do satysfakcji.

– Doktorze Starks – zaczął mężczyzna powoli, z wahaniem, kiedy już się przedstawił. – Przepraszam, że zostawiam wiadomość na pana sekretarce. Wiem, że jest pan na urlopie. Nie mam zamiaru niepokoić pana podczas wakacji, ale rano otrzymałem bardzo niepokojący list.

Ricky odetchnął gwałtownie.

– List był kopią skargi, złożonej na pana w Stanowej Komisji Etyki Lekarskiej i w Nowojorskim Towarzystwie Psychoanalitycznym. Rozumiem, że anonimowa natura zarzutów sprawia, iż są bardzo trudne do odparcia. Kopia została przysłana do mnie do domu, nie do pracy,

i nie było na niej żadnego adresu zwrotnego ani niczego, co mogłoby pomóc zidentyfikować nadawcę.

– Znalazłem się w obliczu poważnego konfliktu interesów – ciągnął po chwili wahania. – Nie mam wątpliwości, że skarga ta jest ciekawym tematem na artykuł i powinna zostać przekazana któremuś z naszych reporterów.

Z drugiej strony zrobienie tego naruszyłoby poważnie nasze relacje. Bardzo mnie zmartwiły te zarzuty, którym, jak zakładałem, pan zaprzecza... Mężczyzna przerwał, by złapać oddech, a potem w jego głosie pojawiła się nutka gorzkiego gniewu.

– ...Wszyscy zaprzeczają, kiedy zrobią coś złego. „Ja tego nie zrobiłem, to nie ja, to nie ja”. Dopóki wydarzenia i okoliczności nie przycisną ich tak bardzo, że nie mogą już dłużej kłamać. Prezydenci. Członkowie rządu. Biznesmeni. Lekarze. Harcmistrze i trenerzy ligi dziecięcej. Na litość boską! W końcu są zmuszeni powiedzieć prawdę i oczekują, że wszyscy rozumieją, że musieli kłamać, jakby to było w porządku, że się kłamie, dopóki się da... Pacjent zamilkł i po chwili odłożył słuchawkę. Wiadomość wydawała się niepełna, urwana tuż przed zadaniem pytania, na które Ricky miał odpowiedzieć.

Jego dłoń drżała lekko, gdy po raz drugi wcisnął przycisk odtwarzania.

Usłyszał szlochanie jakiejś kobiety. Rozpoznał swoją pacjentkę. Ona też, jak się domyślał, otrzymała kopię listu. Szybko przewinął taśmę. Dwie pozostałe wiadomości również pochodziły od osób, które się u niego leczyły. Znany choreograf broadwayowskich przedstawień kipiał z trudem powstrzymywaną wściekłością, a dość popularna fotograficzka wydawała się równie zmieszana, co oburzona.

Ricky był zrozpaczony. Po raz pierwszy w swoim zawodowym życiu nie wiedział, co powiedzieć pacjentom. Ci, którzy jeszcze nie zadzwonili, prawdopodobnie nie zdążyli odebrać poczty.

Jednym z najważniejszych elementów psychoanalizy jest specyficzna relacja między pacjentem a terapeutą. Pacjent wyrzuca z siebie wszystkie, szczegóły swojego życia przed kimś, kto nie odwzajemnia się tym samym i rzadko kiedy reaguje nawet na najbardziej prowokujące wyznania.

W dziecięcych zabawach zaufanie gwarantowane jest wspólnie ponoszonym ryzykiem. Ty powiesz mnie, ja powiem tobie. Psychoanaliza wypacza tę relację, czyniąc ją całkowicie jednostronną. Ricky wiedział, że fascynacja pacjentów jego osobą, zaciekawienie tym, co myślał, czuł i jak reagował, były istotnymi czynnikami zachodzącego w gabinecie procesu przeniesienia. Siedząc w milczeniu poza polem widzenia pacjentów, leżących z uniesionymi wysoko stopami na kanapie, symbolizował wiele rzeczy, głównie to, co każdego z nich męczyło. Przyjmując tę rolę, inną dla każdego pacjenta, przeprowadzał ich przez ich problemy. Jego milczenie zaczynało być milczeniem matki któregoś z nich, ojca drugiego, zwierzchnika trzeciego. Reprezentowało

miłość i nienawiść, gniew i smutek. Mogło stać się stratą albo odrzuceniem. Psychoanalityk jest jak kameleon; zmienia kolor zależnie od tła, na jakim się znajdzie.

Nie zadzwonił do żadnego z pacjentów, którzy nagrali się na sekretarkę, a do wieczora zrobili to wszyscy. Myślał gorzko, że godziny, składające się na tygodnie, miesiące i lata, które spędził z każdym z pacjentów, zostały zniszczone jednym zmyślnym kłamstwem. Nie wiedział, jak ma zareagować i czy w ogóle powinien to robić. Tkwiący w nim lekarz klinicysta rozumiał, że badanie reakcji poszczególnych pacjentów na zarzuty byłoby owocne, ale jednocześnie bezsensowne.

Na kolację tego wieczoru Ricky przyrządził sobie rosół z puszki.

Jedząc gorący wywar, zastanawiał się, czy jego osławione regenerujące i wzmacniające działanie dotyczy również duszy.

Rozumiał, że potrzebny mu plan działania. Rozkład, według którego mógłby postępować. Diagnoza, a po niej leczenie. Aż do tej chwili Rumpelstiltskin wydawał się Ricky'emu czymś w rodzaju zdradzieckiego nowotworu, atakującego kolejne części jego osobowości. Musiał zastanowić się nad swoim podejściem. Problem tkwił w fakcie, że było to sprzeczne z tym, czego go nauczono. Gdyby był onkologiem albo choćby dentystą, mogącym znaleźć spróchniały ząb i wyrwać go, tak właśnie by zrobił. Ricky'ego nauczono jednak czegoś zupełnie innego. Psychoanalityk, chociaż rozpoznaje pewne określone oznaki i symptomy, pozwala, by pacjent sam wynalazł lek, w toku procesu leczenia. Podejście Ricky'ego do Rumpelstiltskina i jego gróźb było niewłaściwe z powodu zasad, którym hołdował przez tak wiele lat i które tak dobrze mu służyły. Bierność, będąca znakiem firmowym jego zawodu, nagle okazała się niebezpieczna.

Tej nocy po raz pierwszy zaczął się martwić, że może przez nią zginąć.

Rozdział 10

Rankiem wykreślił kolejny dzień z kalendarza Rumpelstiltskina i napisał:

Szukam poprzez kurz i mgłę, lecz oglądam wszystko na dwadzieścia lat wstecz.

Czy dobrze robię, szukając właśnie tam?

(Niewiele czasu już przecież mam).

I chociaż proces ten nie jest gładki, Czy może szukam pana R matki?

Ricky zdał sobie sprawę, że nagina zasady, jakie ustanowił Rumpelstiltskin, po pierwsze zadając dwa pytania, zamiast jednego, po drugie, nie formułując ich tak, by odpowiedź brzmiała „tak” lub „nie”. Sądził jednak, że używając takiej samej rymowanki, jak jego prześladowca, sprawi, że zapomni on o pogwałceniu zasad i udzieli szczegółowszej odpowiedzi.

Ricky wiedział, że jeśli chce wydedukować, kto zastawił na niego sidła, potrzebuje informacji. Znacznie więcej informacji. Nie łudził się, że Rumpelstiltskin zdradzi się z jakimś szczegółem, który powie Ricky’emu, gdzie go szukać, albo poprowadzi go wprost do jego nazwiska, z którym można by pójść do władz. Gdyby tylko Starks wiedział, do których. Zemsta została zaplanowana zbyt precyzyjnie, by poszło mi tak gładko, stwierdził Ricky. Analitycy jednak uchodzą za specjalistów od niejasności i tajemnic.

Powinienem być ekspertem w tych sprawach. Jeśli miał odkryć, kim jest Rumpelstiltskin, musiał to zrobić, wykorzystując błąd, którego tamten nie przewidział, niezależnie od tego, jak misterną uknuł intrygę.

Kobieta w biurze ogłoszeń „Timesa”, która przyjmowała ogłoszenie, była zaintrygowana wierszykiem.

– Takie rzeczy nie zdarzają się często – stwierdziła lekko. – Zazwyczaj ludzie zamieszczają ogłoszenia w rodzaju „szczęśliwej pięćdziesiątej rocznicy ślubu, mamó i tato” albo reklamówki nowych produktów, które ktoś chce sprzedać. To jest inne. Co to za okazja?

Ricky starał się być uprzejmy.

– To taka letnia zabawa. Ja i moi przyjaciele lubimy łamigłówki i gry słowne.

– To miłe – stwierdziła kobieta.

Ricky nie odpowiedział, bo w tym, co robił, nie było nic miłego.

Kobieta przeczytała wierszyk jeszcze raz, żeby upewnić się, że dobrze wszystko zapisała i poprosiła go o konieczne do wystawienia rachunku dane. Spytała, czy chce być obciążony bezpośrednio, czy zapłaci kartą kredytową. Wybrał kartę. Słyszał, jak kobieta stuka w klawiaturę komputera, kiedy odczytywał jej numer swojej Visy.

– To wszystko – powiedziała w końcu. – Ogłoszenie ukaże się jutro.

Powodzenia w grze – dodała. – Mam nadzieję, że pan wygra.

– Ja też. – Podziękował jej i odłożył słuchawkę, wracając do stosów notatek i zapisków.

Zawężaj i eliminuj, pomyślał. Bądź systematyczny i dokładny.

Odrzuć mężczyzn albo kobiety. Odrzuć starych, skup się na młodych.

Znajdź właściwą sekwencję czasową. Właściwe powiązanie. To doprowadzi cię do nazwiska, a ono do następnego.

Ricky spędził życie, próbując pomagać ludziom w zrozumieniu emocji, stojących za tym, co ich spotykało. Analityk stara się wyizolować poczucie krzywdy i przekształcić je w coś, z czym można sobie poradzić.

Dla niego żądza zemsty to najbardziej okaleczająca z neuroz. Jego zadaniem jest skłonić pacjenta do porzucenia tej potrzeby, spojrzenia ponad swój gniew. Często zdarzało się, że ludzie zaczynali terapię w stanie furii, chcieli działać. Leczenie miało wyeliminować to pragnienie, aby mogli żyć dalej nieobciążeni przymusem odgrywania się na wszystkim i wszystkich.

W jego świecie zemsta była słabością. Może nawet chorobą.

Ricky pokręcił głową.

Kiedy zastanawiał się, jak poukładać to, czego się dowiedział, i jak zastosować to do sytuacji, zadzwonił telefon. Przestraszyło go to; niepewnie sięgając po słuchawkę, zastanawiał się, czy usłyszy głos Wergiliusz.

Nie usłyszał. Dzwoniła kobieta z „Timesa”.

– Doktor Starks?

– Tak.

– Przepraszam, że dzwonię, ale mamy mały problem.

– Problem? Jaki problem?

Kobieta zawahała się, jakby nie była pewna, czy chce mówić dalej.

– Numer karty Visa, który mi pan podał – powiedziała w końcu – okazał się nieważny. Jest pan pewien, że podał mi właściwy numer?

Ricky zaczerwienił się, chociaż był sam.

– Nieważna? To niemożliwe – powiedział oburzony.

– Może źle zapisałam... Sięgnął do portfela, wyjął kartę i powoli przeczytał ciąg cyfr.

– Nie, to ten sam numer. Przyszła odpowiedź, że karta została niedawno unieważniona.

– Nie rozumiem. – Ricky czuł narastającą frustrację. – Niczego nie unieważniałem. I co miesiąc płacę wszystkie rachunki... – Firmy kredytowe mylą się częściej, niż się panu zdaje – powiedziała kobieta przeproszającym tonem. – Ma pan inną kartę? A może woli pan, żebym wysłała panu rachunek, a pan zapłaci czekiem?

Ricky zaczął wyjmować z portfela drugą kartę, ale nagle się zatrzymał. Z trudem przełknął ślinę.

– Przepraszam za kłopot – powiedział wolno, z trudem nad sobą panując. – Będę musiał skontaktować się z moim bankiem. Proszę przysłać mi rachunek, tak jak pani powiedziała.

Kobieta jeszcze raz sprawdziła jego dane.

– To się zdarza bez przerwy – dodała. – Zgubił pan portfel? Czasami złodzieje spisują numery z wyrzuconych pokwitowań. Albo kupuje pan coś, a sprzedawca posyła numer oszustowi. Jest milion sposobów, żeby dobrać się komuś do karty, doktorze. Ale lepiej niech pan zadzwoni do banku i wszystko wyjaśni. Po co ma się pan użerać o pieniądze, których pan nie wydał. Na pewno jutro wydadzą panu nową kartę.

– Na pewno – powiedział Ricky i odłożył słuchawkę.

Powoli wyjął z portfela wszystkie karty. Są bezużyteczne, pomyślał.

Wszystkie zostały unieważnione. Nie wiedział jak, ale wiedział przez kogo.

Telefoniczna obsługa klienta we wszystkich bankach była przyjazna, ale mało pomocna. Kiedy próbował wyjaśniać, że wcale nie unieważniał kart, dowiadywał się, że to właśnie zrobił. Tak twierdziły ich komputery, a wszystko, co pokazywały komputery, musiało być prawdą. Za każdym razem pytał, w jaki sposób to zrobiono, i za każdym razem mówiono mu, że operację przeprowadzono elektronicznie, przez stronę internetową banku. Tego rodzaju proste transakcje, przypominali mu usłudze konsultanci, można było przeprowadzić za pomocą kilku stuknięć w klawiaturę.

Bank oferował tę usługę, mówili, aby ułatwić klientom obracanie pieniędzmi, chociaż w chwili obecnej Ricky mógłby z tym polemizować.

We wszystkich bankach zaproponowano mu otwarcie nowego rachunku.

Za każdym razem mówił, że jeszcze się zastanowi. Potem wyjął z najwyższej szuflady biurka nożyczki i poprzecinał nimi na pół wszystkie bezużyteczne plastikowe prostokąty. Nie uszedł jego uwagi fakt, że do tego samego byli zmuszeni niektórzy pacjenci, kiedy zapominali o ograniczeniach kredytu i popadali w długi.

Ricky nie wiedział, jak głęboko w jego finanse sięgnęła ręka Rumpelstiltskina.

Nie wiedział też, w jaki sposób się to stało. Dług jest pojęciem bliskim stworzonej przez niego grze, pomyślał. Wierzy, że jestem mu winien zapłatę, i to taką, której nie mogę uiścić czekiem ani kartą kredytową.

Ricky postanowił, że nazajutrz pójdzie do lokalnej filii swojego banku.

Zatelefonował również do człowieka, który zajmował się jego skromnym portfelem inwestycji; zostawił wiadomość u sekretarki, prosząc, by makler jak najszybciej do niego oddzwonił. Potem opadł na oparcie fotela, próbując wyobrazić sobie, jak Rumpelstiltskinowi udało się wtargnąć w tę sferę jego życia.

Ricky był komputerowym analfabeta. Jego wiedza o Internecie, stronach sieci Web, czatach i cyberprzestrzeni ograniczała się do powierzchowniej znajomości tych pojęć, ale nie tego, co się za nimi kryje. Pacjenci często opowiadali mu o życiu powiązanim z klawiaturą i w ten sposób Ricky nabrał trochę szacunku dla możliwości komputerów, choć nie podobało mu się to, co

potrafią zrobić z ludźmi. Sam nigdy nie czuł potrzeby nauczenia się obsługi komputera. Jeśli musiał napisać list, używał do tego starej elektrycznej maszyny do pisania. Miał jednak komputer.

Jego żona kupiła go w pierwszym roku choroby i zmodernizowała na rok przed śmiercią. Wiedział, że używała go do elektronicznych odwiedzin w grupach wsparcia dla chorych na raka i do rozmów z innymi jego ofiarami w intrygująco bezcielesnym świecie Internetu. Nie towarzyszył jej w tym, uważając, że powinien uszanować jej prywatność i nie przeszkadzać, choć ktoś mógłby powiedzieć, że nie okazywał wystarczającego zainteresowania. Wkrótce po jej śmierci Ricky zabrał komputer z biurka w rogu sypialni, zapakował do pudła i zniósł do piwnicy. Zamierzał go wyrzucić albo podarować jakiejś szkole czy bibliotece, ale nigdy się za to nie zabrał. Teraz przyszło mu do głowy, że komputer może mu się przydać.

Rumplestiltskin na pewno umie się nim posługiwać.

Ricky wstał z postanowieniem przyniesienia komputera z piwnicy.

W górnej szufladzie biurka, po prawej stronie trzymał klucz do kłódki, który teraz wyjął.

Upewnił się, że zamknął za sobą frontowe drzwi, po czym zjechał windą na dół. Minęły miesiące, odkąd był tu po raz ostatni. Zmarszczył nos, czując zapach stęchlizny. Piwnica cuchnęła zastarzałym brudem, zapieczonym dodatkowo codziennymi upałami. Tuż po wyjściu z windy Ricky miał wrażenie, że coś dusi go, jakby miał atak astmy. Zastanawiał się, dlaczego administracja nigdy tu nie sprząta. Pstryknął włącznikiem światła. Mrok rozświetliła wisząca u sufitu stuwatowa żarówka. Każde z sześciu mieszkań miało własną piwnicę. Trzymano tu połamane krzesła i pudła ze starymi papierami, nieużywane i pordzewiałe rowery, narty i garnki, niepotrzebne walizki. Większość przedmiotów uznana została za zbyt cenne, by je wyrzucić, ale nie dość istotne, by trzymać je pod ręką w mieszkaniu. A może gromadzono je w myśl zasady: to się może jeszcze przydać. Wszystko pokrywał kurz i pajęczyny.

Ricky zgarbił się, chociaż pomieszczenie nie było niskie. Zrobił to raczej z powodu dusznej atmosfery zamkniętej przestrzeni. Gdy podszedł do swojego boksu, stwierdził, że kłódka jest otwarta. Wisiała na klamce jak zapomniana ozdoba choinkowa.

Ricky przyjrzał się jej uważnie i stwierdził, że przecięto ją przecinakiem.

Cofnął się, jakby nagle przebiegł przed nim szczur.

W pierwszym odruchu chciał odwrócić się i uciec, w drugim ruszyć do przodu. To właśnie zrobił – podszedł wolno do drzwi z siatki i otworzył je. Natychmiast spostrzegł, że pudło z komputerem żony zniknęło.

Wszedł do środka i stwierdził, że nie ma jeszcze jednej rzeczy – dużego, plastikowego pojemnika na akta, w którym trzymał kopie zeznań podatkowych.

Reszta gratów wyglądała na nietkniętą.

Niemal uginając się pod brzemieniem poczucia klęski, Ricky skierował się do windy.

Dopiero kiedy wyjechał na światło dzienne, odetchnął czystszy powietrzem i znalazł się z dala od brudu i kurzu zebranych na dole wspomnień, zaczął zastanawiać się nad konsekwencjami zniknięcia komputera i zeznań.

Co ukradziono?

Nagle zadrżał. Być może wszystko.

Zniknięcie zeznań podatkowych sprawiło, iż żołądek skręcił mu się boleśnie, a w ustach poczuł kwaśny smak. Nic dziwnego, że Merlin wiedział tak dużo o jego majątku. Zeznanie podatkowe jest jak mapa, prowadząca od numeru ubezpieczenia po darowizny na cele charytatywne. Pokazuje wszystkie ścieżki czyjejś egzystencji, nie mówiąc nic o ich historii.

Brakuje tylko kolorów i legendy.

Zaginięcie komputera też wystraszyło Ricky'ego. Nie miał pojęcia, co było na twardym dysku, był jednak pewien, że coś na nim zostało. Próbował przypomnieć sobie godziny spędzone przez jego żonę nad klawiaturą, zanim choroba osłabiła ją tak bardzo, że nie była nawet w stanie pisać. Ile z jej bólu, wspomnień, przemyśleń i elektronicznych podróży wciąż tam było, Ricky nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że dobry technik komputerowy potrafi wydobyć najróżniejsze dane. Zakładał, że Rumpelstiltskin był w stanie wycisnąć z jego komputera wszystko, co było mu potrzebne.

Ricky dowlókł się do mieszkania. Uczucie naruszenia jego prywatności przypominało cięcie rozgrzaną brzytwą. Rozejrzał się i zrozumiał, że wszystko, co uważał za bezpieczne i osobiste, mogło zostać zaatakowane.

Nic nie można było ukryć.

Gdyby był dzieckiem, zalałby się łzami.

Tej nocy śniło mu się, że cięto go nożami. Widział, jak próbuje przejść przez słabo oświetlone pomieszczenie, wiedząc jednocześnie, że jeśli potknie się i upadnie, ogarnie go ciemność i zapomnienie. Kiedy jednak szedł przed siebie, poruszał się niezgrabnie, wyciągając palce ku prawie niewidocznym ścianom. Obudził się w nieprzeniknionych ciemnościach swojej sypialni, przepełniony strachem, towarzyszącym zawsze przejściu ze snu do jawy. Piżamę miał mokrą od potu, oddychał gwałtownie. W gardle zaschło mu tak, jakby przez kilka godzin krzyczał bez przerwy z rozdzierającej rozpacz. Przez chwilę nie był pewien, czy zostawił koszmar za sobą. Przekonał się o tym dopiero, kiedy zapalił nocną lampkę. Rozejrzał się po sypialni, a bicie jego serca wróciło powoli do normalnego tempa. Ricky opadł na poduszkę, desperacko pragnąc odpoczynku i wiedząc, że się go nie doczeka. Nie miał problemów z interpretacją własnych snów. Były tak samo przerażające jak jawa.

Ogłoszenie ukazało się następnego ranka na pierwszej stronie „Timesa”, na samym dole, tak jak kazał Rumpelstiltskin. Ricky przeczytał je kilka razy, po czym doszedł do wniosku, że jego prześladowca będzie miał przynajmniej nad czym się zastanawiać. Nie wiedział, jak dużo czasu

zajmie mu odpowiedź, ale liczył na to, że ukaże się w jutrzejszej porannej gazecie.

Ogarnęło go iluzoryczne poczucie sukcesu, jakby umieszczając ogłoszenie, zrobił ważny krok do przodu. Poczul przyływ determinacji.

Wszechogarniająca rozpacz po wczorajszym odkryciu kradzieży komputera i zeznań podatkowych została jeśli nie zapomniana, to przynajmniej zepchnięta na bok. Ogłoszenie dało Ricky'emu poczucie, że tego dnia przynajmniej nie jest ofiarą. Stwierdził, że łatwiej mu się skupić. Dzień mijał szybko, a Ricky łączył kolejne wspomnienia i równym marszem przemierzał swój wewnętrzny krajobraz.

Przed południem stworzył dwie listy. Wciąż ograniczając się do dziesięcioletniego okresu między siedemdziesiątym piątym a osiemdziesiątym piątym rokiem, na pierwszej z nich umieścił nazwiska siedemdziesięciu trzech osób, które w tym czasie leczył. Długość terapii wahała się od siedmiu lat, jak w przypadku pewnego mężczyzny, do trzech miesięcy w przypadku kobiety, przeżywającej kryzys małżeński. Średnia wynosiła trzy do pięciu lat. Większość pacjentów wymagała standardowej freudowskiej psychoanalizy, czterech lub pięciu sesji w tygodniu. W kilku przypadkach były to spotkania twarzą w twarz, przypominające zwykłe rozmowy, podczas których zachowywał się raczej jak zwykły terapeuta, a nie psychoanalityk, udzielając opinii i porad, czego zazwyczaj analitycy starają się unikać. Zdał sobie sprawę, że od połowy lat osiemdziesiątych pozbył się większości takich pacjentów i zaczął skupiać wyłącznie na klasycznej głębokiej psychoanalizie.

W przeciągu tego dziesięcioletniego okresu trafiło mu się również około dwudziestu osób, które zaczęły terapię i szybko ją przerwały. Przyczyny były złożone. Niektórzy nie mieli pieniędzy albo wystarczającego ubezpieczenia, by pokryć koszty leczenia, inni musieli się przeprowadzić w związku ze zmianą pracy bądź uczelni. Parę osób uznało ze złością, że im nie pomaga albo pomaga nie dość szybko, lub tak nienawidziły świata i tego, co miał im do zaoferowania, że postanowiły nie kontynuować leczenia.

Takie przypadki były rzadkie, niemniej się zdarzały.

Z nich składała się druga lista, znacznie trudniejsza do sporządzenia.

Ricky szybko zrozumiał, że są na niej ludzie, których gniew mógł się zamienić w obsesję na jego punkcie, a ta zostać przekazana dalej.

Przez cały ranek czekał na telefon od swojego maklera. Jego milczenie trochę go zaskoczyło, ponieważ do tej pory zajmował się pieniędzmi Ricky'ego z nużącą pilnością i odpowiedzialnością. Starks ponownie wykręcił numer i połączył się z sekretarką.

Kiedy usłyszała jego głos, sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– O, doktor Starks, pan Williams miał właśnie do pana dzwonić. Mamy mały kłopot z pana kontem – powiedziała.

Ricky poczuł skurcz żołądka.

– Kłopot? Jakie kłopoty mogą mieć pieniądze? Ludzie mogą mieć kłopoty. Pieniądze nie.

– Połączę pana z panem Williamsem – odparła sekretarka.

Zapadła cisza, a potem Starks usłyszał głos maklera. Wszystkie inwestycje Ricky'ego były konserwatywnymi nudnymi funduszami i obligacjami.

Nie było tam niczego śmiałego ani agresywnie nowoczesnego; po prostu skromny stały przychód. Nie były też duże. Ze wszystkich lekarzy, psychoanalitycy byli najbardziej ograniczeni wysokością pobieranych opłat i liczbą pacjentów. Nie mogli tak jak radiolodzy zapisywać po trzy osoby na tę samą godzinę i badać je w trzech różnych salach, ani jak anestezjolodzy biegać od operacji do operacji. Psychoanalitycy rzadko dorabiali się fortuny i Ricky nie był wyjątkiem. Miał domek na Cape Cod, mieszkanie, i to wszystko. Nie jeździł mercedesem ani dwusilnikowym piperem, nie pływał piętnastometrową łodzią cumowaną w porcie na przesmyku Long Island. Tylko trochę inwestycji, mających zapewnić mu spokojną emeryturę, gdyby kiedyś zdecydował się ograniczyć liczbę pacjentów. Ricky rozmawiał ze swoim maklerem raz lub dwa razy do roku; zawsze uważał się za jednego z jego najmniej znaczących klientów.

– Doktor Starks? – Makler mówił szybko, szorstkim głosem. – Przepraszam, że musiał pan czekać, ale próbujemy rozwiązać tu pewien problem... Żołądek Ricky'ego zwinął się w ciasną kulę.

– Jakiego rodzaju?

– Czy otwierał pan osobiste konto handlowe przez Internet? Ponieważ... – Nie, nie otwierałem. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

– Tu właśnie sprawa robi się niejasna. Wygląda na to, że z pana konta dokonywano day-tradingu.

– Co to jest day-trading?

– To szybki obrót akcjami, próba przewidzenia wahań rynku.

– W porządku, rozumiem. Ale nie robiłem niczego takiego.

– Czy ktoś jeszcze ma dostęp do pana kont? Może żona... – Moja żona zmarła trzy lata temu – oznajmił zimno Ricky.

– Oczywiście – odparł pospiesznie makler. – Pamiętam. Proszę mi wybaczyć. Ale może ktoś inny. Ma pan dzieci?

– Nie, nie mam. Gdzie są moje pieniądze? – spytał Starks ostro.

– Cóż, szukamy ich. Może się okazać, że to sprawa dla policji, doktorze.

Prawdę mówiąc, tak właśnie zaczynam sądzić. Jeśli komuś udało się nielegalnie uzyskać dostęp do pana konta... – Gdzie są pieniądze? – spytał ponownie Ricky.

Makler zawahał się.

– Nie mogę udzielić dokładnej odpowiedzi. Nasi rewidenci zajmują się właśnie pana kontem. Mogę tylko powiedzieć, że panowała na nim spora aktywność... – Co to znaczy

„aktywność”? Te pieniądze po prostu tam leżały... – Niezupełnie. Miały miejsce dziesiątki, może setki drobnych transakcji, przelewów, sprzedaży, inwestycji... – Gdzie są teraz?

Makler kontynuował:

– Naprawdę niesamowity ciąg niesłychanie skomplikowanych i agresywnych operacji finansowych... – Nie odpowiada pan na moje pytanie – powiedział Ricky. W jego głosie pojawiło się rozdrażnienie. – Moje finanse. Mój fundusz emerytalny, rezerwy gotówki... – Szukamy. Przydzieliłem do tego moich najlepszych ludzi. Szef naszej ochrony skontaktuje się z panem, kiedy tylko zrobimy jakieś postępy.

Nie mogę uwierzyć, że przy takiej aktywności nikt tutaj nie zauważył niczego podejrzanego...

– Ale moje wszystkie pieniądze... – W tej chwili – powiedział powoli makler – nie ma żadnych pieniędzy.

A przynajmniej nie możemy żadnych znaleźć.

– To niemożliwe.

– Chciałbym, żeby tak było. Ale nie jest. Proszę się nie martwić, doktorze Starks. Nasi detektywi wyśledzą wszystkie operacje. Dotrzemy do sedna sprawy. A pana konta są ubezpieczone, przynajmniej częściowo.

W końcu wszystko się wyjaśni. Może to trochę potrwać, możliwe też, że będziemy musieli włączyć w sprawę policję i SEC[* Security and Exchange Commission – komisja nadzorująca działalność giełdy papierów wartościowych], ponieważ z tego, co pan mówi, wnioskuję, że możemy mieć do czynienia z kradzieżą.

– Ile czasu?

– Jest lato i część pracowników pojechała na urlopy. Moim zdaniem nie więcej niż kilka tygodni. Maksymalnie.

Ricky odłożył słuchawkę. Nie miał kilku tygodni.

Pod koniec dnia ustalił, że jedynym jego kontem, które nie zostało splądrowane i wypatroszone, był mały rachunek bieżący w First Cape Bank w Wellfleet. Założył go tylko po to, by ułatwić sobie wakacje. Znajdowało się na nim zaledwie dziesięć tysięcy dolarów, z których to pieniędzy korzystał, płacąc na tamtejszym targu rybnym i w sklepie spożywczym.

Płacił też nimi za narzędzia ogrodnicze, rośliny i nasiona. Dzięki temu wakacje upływały mu bez zgrzytów.

Był trochę zdziwiony, że Rumpelstiltskin nie dobrał się również do tych funduszy. Ricky miał wrażenie, jakby zostawiono mu je tylko po to, by się z nim podrażnić. Mimo to doszedł do wniosku, że musi jakoś je wydostać, zanim też znikną w jakiejś przerażającej finansowej otchłani.

Zadzwoił do kierownika First Cape Bank i powiedział mu, że będzie zmuszony zamknąć

konto i że pieniądze podejmie w gotówce.

Kierownik poinformował Ricky'ego, że będzie musiał pojawić się osobiście, by dokonać takiej transakcji, co Starksowi odpowiadało. Żałował, że inne instytucje obracające jego pieniędzmi nie uznawały takich samych zasad. Wyjaśnił kierownikowi, że miał pewne problemy z pozostałymi kontami i że to ważne, by nikt oprócz niego samego nie miał dostępu do pieniędzy. Kierownik zaproponował, że każe wypisać czek bankowy, który przechowa osobiście do przyjazdu Ricky'ego. To było dobre rozwiązanie.

Pozostawał problem, jak podjąć pieniądze.

Na biurku leżał zapomniany otwarty bilet lotniczy z La Guardi do Hyannis. Ricky zastanowił się, czy jego rezerwacja wciąż jest aktualna.

Otworzył portfel; miał w nim około trzystu dolarów. W górnej szufladzie komody leżało kolejne półtora tysiąca w czekach podróżnych. To był anachronizm; w erze dostępnych niemal wszędzie bankomatów to, że ktoś trzyma pieniądze na czarną godzinę w czekach podróżnych, było absurdem.

Ricky poczuł ukłucie zadowolenia z faktu, że jego przestarzałe metody mogą okazać się przydatne. Przyszło mu do głowy, że być może powinien wziąć to sobie bardziej do serca.

Mógł dostać się na Cape. I wrócić. Zajęłoby mu to co najmniej dobę.

Jednocześnie opadła go nagła niemoc, która ogarnęła całe ciało. Poczł się nudny, głupi i zmęczony.

Ricky zakołysał się w fotelu, odchylił głowę i spojrzł na sufit. Rozpoznał u siebie pierwsze objawy klinicznej depresji tak samo szybko, jak matka rozpoznaje nadchodzące przeziębienie po pierwszym kichnięciu dziecka. Wyciągnął ręce, chcąc sprawdzić, czy nie drżą. Nie drżały. Ale jak długo jeszcze?

Rozdział 11

Ricky otrzymał odpowiedź w porannym „Timesie”, ale nie taką, jakiej się spodziewał. Gazetę dostarczono mu pod drzwi jak każdego dnia oprócz niedzieli, kiedy to miał w zwyczaju udawać się do delikatesów i kupować ją, przed pójściem do pobliskiej kawiarni, dokładnie tak, jak opisał to Rumpelstiltskin w pierwszym liście. Nie spał dobrze, więc ciche stuknięcie gazety, rzuconej na podłogę przez roznosiciela, zupełnie go rozbudziło. Kilka sekund później rozłożył ją na kuchennym stole. Jego wzrok natychmiast odszukał drobne ogłoszenia na dole pierwszej strony, ale zobaczył tam tylko życzenia rocznicowe, reklamę internetowego biura matrymonialnego i trzecią ramkę, z napisem OFERTY SPECJALNE, PATRZ STRONA B-16.

Ricky cisnął gazetę w kąt; zatrzepotała jak ptak, próbujący latać ze złamanym skrzydłem i plasnęła o ścianę. Był wściekły, dusił się i pluł.

Spodziewał się rymowanki, kolejnej zagadkowej i prowokującej podpowiedzi na dole pierwszej strony, tam, gdzie umieścić pytanie. Nie ma wierszyka, nie ma odpowiedzi.

– Jak możesz się spodziewać, że zmieszczę się w tym cholernym terminie, skoro nie odpowiadasz na czas? – podniósł głos na kogoś, kogo fizycznie nie było w pobliżu, lecz czyją obecność wyraźnie czuł.

Zauważył, że kiedy parzył kawę, jego ręce drżały. Gorący płyn nie pomógł mu się uspokoić. Ricky próbował się odprężyć, robiąc głębokie wdechy, ale jedynie spowolnił puls bijącego wściekle serca. Gniew zaciskał go w swoich kleszczach. Głowa pulsowała bólem, a mieszkanie, dotąd będące domem, teraz wydawało się pułapką.

Siedział przez kilka godzin jak w transie, nie wiedząc, jaki ma być jego następny krok. Musi ułożyć jakiś plan, podjąć jakieś decyzje, działać, ale brak odpowiedzi zupełnie go sparaliżował. Wydawało mu się, że nie może się poruszyć, jakby stawy jego rąk i nóg zesztyniały i przestały słuchać poleceń.

Ricky nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim podniósł wzrok, spojrzał na „Timesa” wciąż leżącego na podłodze i spostrzegł w nim jasnoczerwony pasek. Dotarło do niego, że to niezwykle – „Timesa” nie bez przyczyny nazywano niegdyś Szarą Damą. Skupił wzrok na czerwonym pasku. W „Timesie” nie używa się jaskrawoczerwonej farby drukarskiej, stwierdził. Tylko czerni i bieli; siedem kolumn, dwa działy na stronie, regularnie jak w zegarku. Nawet kolorowe fotografie prezydenta czy modelek, prezentujących nowości paryskiej mody, wydawały się nabierać ponurych i szarych odcieni pozostałych stron.

Ricky wstał z fotela, przeszedł przez kuchnię i nachylił się nad pogniecioną gazetą, wyciągając ze stosu papieru kolorowy fragment.

Była to strona B-16. Nekrologi.

Dramatyczną fluorescencyjną czerwienią ktoś napisał na zdjęciach, artykułach

i zawiadomieniach o czyjejś śmierci następujący wierszyk:

Właściwy trop cię zachęci do szukania w pamięci.

Dwadzieścia wystarczy aż nadto i dobrze odgadłeś z matką.

Ale jej nazwiska się nie dowiesz, jeżeli trochę ci nie podpowiem.

Więc weź pod uwagę starannie, że znałeś ją jako pannę.

A w dniach, które potem nastąpiły, jej śmiechu już nie słyszałeś.

Obiecałeś, nie pomogłeś i w tym przyczyna, że zemsta została dla jej syna.

Ojciec odszedł, matka nie żyje dlatego właśnie zginiesz.

Na tym wierszyk ten się kończy, bo widzę, że możesz nie zdążyć.

Pod rymowanką widniało duże R, a jeszcze niżej, już czarnym flamastrem, zakreślono czyjś nekrolog. Twarz zmarłego wskazywała strzałką, a obok napisano: Będziesz tu pasował idealnie.

Ricky wpatrywał się w wierszyk, przetrawiał każde słowo jak smakosz, próbujący wyśmienitej francuskiej kuchni, z tą różnicą, że w ustach czuł słono-gorzki smak. Wreszcie zrozumiał oczywistą rzecz: Rumpelstiltskin dobrał się do gazety po tym, jak przywieziono ją pod dom Starksa, a przed dostarczeniem jej pod jego drzwi. Złapał za słuchawkę i w ciągu kilku minut zdobył numer do firmy rozwijającej prasę. Telefon zadzwonił dwa razy, a potem Ricky usłyszał nagranie:

– Nowi subskrybenci, proszę wybrać jeden. Zażalenia w sprawie dostawy lub jej braku, proszę wybrać dwa. Informacje na temat rozliczeń, proszę wybrać trzy.

Żadna z opcji nie wydawała się do końca odpowiednia, ale doszedł do wniosku, że zażalenia najpewniej obsługiwane są przez człowieka, więc wybrał dwójkę. Po chwili w słuchawce usłyszał kobiecy głos:

– Proszę podać adres – powiedziała bez żadnego wstępu.

Ricky zawahał się, po czym podał adres swojego domu.

– Wszystkie egzemplarze w tym budynku zostały dostarczone.

– Tak – powiedział Ricky. – Dostałem gazetę, ale chciałbym się dowiedzieć, kto ją przywiózł... – O co panu chodzi? Nie chce pan ponownej dostawy?

– Nie... – To linia dla osób, które nie dostały gazety... – Rozumiem – powiedział Ricky, czując narastające zniecierpliwienie – ale mam pewien problem związany z dostawą... – Nie dostał pan gazety na czas?

– Nie. Była o czasie... – Czy roznosiciel za bardzo hałasował?

– Nie.

– To linia dla osób, które mają zażalenia w związku z dostawą.

– Tak. Już to pani mówiła. To znaczy niedosłownie to, ale rozumiem... – O co panu chodzi?

Ricky zawahał się, nie wiedząc, jak rozmawiać z młodą kobietą.

– Moja gazeta została zniszczona – powiedział nagle.

– Była podarta albo nieczytelna?

– Chodzi mi o to, że ktoś coś z nią robił.

– Czasami gazety wychodzą z drukarni z błędami paginacji albo łamania.

Czy to coś takiego?

– Nie – powiedział Ricky dobitnie. – Chcę powiedzieć, że ktoś napisał na niej coś obraźliwego.

Kobieta milczała przez chwilę.

– Tego jeszcze nie miałam – powiedziała powoli. Mówiła nareszcie jak żywy człowiek, a nie jak bezosobowy głos biura zażaleń. – O czymś takim jeszcze nie słyszałam. Co tam napisano?

Ricky nie chciał mówić wprost.

– Jest pani Żydówką? – zapytał szybko. – Jak by się pani czuła, gdyby na pani gazecie ktoś narysował swastykę? A może Portorykanką? Co by było, gdyby zobaczyła pani napis „wracaj do San Juan!”? Afroamerykanką? Zna pani słowo, które wywołuje nienawiść, prawda?

Kobieta milczała przez chwilę, próbując zrozumieć, o co mu chodzi.

– Ktoś narysował na pana gazecie swastykę?

– Coś w tym rodzaju – odparł Ricky. – Dlatego właśnie muszę porozmawiać z człowiekiem odpowiedzialnym za dostawy.

– Myślę, że powinien pan porozmawiać z moim przełożonym.

– Oczywiście – zgodził się Starks. – Ale najpierw proszę mi podać nazwisko i numer telefonu osoby, która zajmuje się dostawą gazet do mojego domu.

Ricky słyszał, jak kobieta przerzuca papiery, a potem stuka w klawiaturę komputera. Kiedy znów się odezwała, podała mu nazwisko kierownika trasy, kierowcy, ich numery telefonów i adresy.

– Chciałabym jednak, żeby porozmawiał pan z moim przełożonym – powtórzyła, kiedy skończyła odczytywać wszystkie informacje.

– Niech do mnie zadzwoni – odparł Ricky i odłożył słuchawkę.

Natychmiast wystukał numer, który mu podała. Odebrał kolejny damski głos.

– Kierownik doręczania prasy.

– Poproszę z panem Ortizem – powiedział uprzejmie Ricky.

– Ortiz jest przy rampie. O co chodzi?

– O problem z doręczaniem.

– Dzwonił pan do centrali?

– Tak. Stąd mam ten numer. I jego nazwisko.

– Co to za problem?

– Wolałbym porozmawiać o tym z panem Ortizem.

Kobieta zawahała się.

– Może poszedł już do domu... – Może pani pójdzie i sprawdzi – odparł chłodno Ricky. – W ten sposób unikniemy nieprzyjemności.

– Jakich nieprzyjemności? – spytała obronnym głosem kobieta.

Starks zablefował.

– Jeśli pani tego nie zrobi, pojawię się u państwa w towarzystwie policji, a może i mojego adwokata – oznajmił tonem, mówiącym „jestem biały, bogaty i cały świat należy do mnie”.

Kierowniczka milczała przez chwilę.

– Niech pan poczeka, pójdę po Ortiza.

Kilka sekund później w słuchawce odezwał się męski głos, mówiący z hiszpańskim akcentem.

– Tu Ortiz. O co chodzi?

– Około piątej czterdzieści rano dostarczył pan egzemplarz „Timesa” pod moje drzwi. Ktoś umieścił w tej gazecie wiadomość. W tej sprawie dzwonię.

– Nie, ja nic o tym... – Panie Ortiz, nie złamał pan żadnego prawa i nie to mam na myśli.

Ale jeśli nie będzie pan ze mną współpracował, narobię dookoła tej sprawy smrodu. Innymi słowy, jeszcze pan nie ma kłopotów, ale załatwię je panu, jeśli nie zacznie pan udzielać odpowiedzi, o które mi chodzi.

Doręczyciel zamilkł, przetrawiając w myślach groźbę Ricky’ego.

– Nie wiedziałem, że to jakiś problem – powiedział. – Facet powiedział, że nie będzie żadnego problemu.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – rzekł cicho Ricky.

– Zatrzymałem się na ulicy. Doręczamy gazety do kilku budynków w tym kwartale, ja i Carlos, mój siostrzeniec, to nasza trasa. A tam stoi wielka czarna limuzyna, na środku ulicy, z silnikiem na chodzie i czeka na nas. Wysiada jakiś facet i pyta, kto idzie do tego budynku. Pytam:

„A o co chodzi?”, a on mówi, że to nie moja sprawa, a potem uśmiecha się, mówi, że to nic takiego, że chce zrobić niespodziankę na urodziny przyjacielowi. Że chce mu coś napisać w gazecie.

– Proszę mówić dalej.

– Mówi mi, które mieszkanie. Które drzwi. Potem bierze gazetę i pisak, i pisze na całej stronie. Rozłożył ją na masce limuzyny, ale nie widziałem, co pisze... – Ktoś tam jeszcze był?

Ortiz zastanowił się.

– No, musiał być kierowca. To na pewno. Wszystkie okna w limuzynie były przyciemniane, ale facet zajrzał do środka, jakby pytał kogoś, czy dobrze zrobił, potem coś dopisał. Oddał mi gazetę, dał dwudziestaka... – Ile?

Ortiz zawahał się.

- A może stówę... – I co dalej?
- Zrobiłem, jak kazał. Rzuciłem ją pod drzwi.
- Czekał na pana, kiedy pan skończył?
- Nie, zaraz odjechał.
- Może mi pan opisać tego człowieka?
- Biały, w ciemnym garniturze, chyba granatowym. Pod krawatem.

Nieźle ciuchy, musiał być przy kasie. Odwinął tę setkę z rulonika, jakby rzucał ćwierć dolara w czapkę jakiegoś bezdomnego.

- A jak wyglądał?
- Okulary, nie za wysoki, miał takie śmieszne włosy, jakby mu krzywo rosły na głowie... –

Jak peruka?

– Właśnie tak. To mogła być peruka. I miał małą bródkę. Może też sztuczną. Nieduży. Widać było, że trochę za dużo je. Może koło trzydziestki... Ortiz zawahał się.

- O co chodzi?
- Pamiętam, że światło latarni odbijało mu się w butach. Wyglansowane. Drogie. Takie pantofle z frędzelkami z przodu. Jak one się nazywają?
- Nie wiem. Poznałby go pan?
- Nie wiem. Może. Pewnie nie. Na ulicy było ciemno. Tylko latarnie. A może patrzyłem bardziej na tę stówę niż na niego.

Dla Ricky'ego zabrzmiało to logicznie. Spróbował z innej strony.

- Może przypadkiem zapamiętał pan numer rejestracyjny limuzyny?

Doręczyciel milczał przez chwilę.

- Nie, szefie, nie pomyślałem. Cholera. To by było sprytne, co?
- Tak – powiedział Ricky, ale wiedział, że zupełnie niepotrzebne.

Już kiedyś spotkał się z człowiekiem z limuzyny. Był pewien, że był to prawnik o nazwisku Merlin.

Przed południem zadzwonił do niego wiceprezes First Cape Bank, ten sam, który miał dla Ricky'ego czek bankowy z resztą jego gotówki.

Był zdenerwowany. Starks próbował przypomnieć sobie jego twarz, ale nie potrafił, chociaż był pewien, że już się spotkali.

– Doktor Starks? Mówi Michael Thompson z banku. Rozmawialiśmy wczoraj... – Tak – odparł Ricky. – Ma pan dla mnie pieniądze... – Mam. Zamknięte w szufladzie biurka. Nie dlatego dzwonię. Coś niezwykłego stało się z pana kontem.

- Co takiego? – spytał Ricky.

– Cóż, nie chciałbym spekulować, ale wygląda na to, że ktoś nieupoważniony próbował uzyskać do niego dostęp.

– W jaki sposób?

– Jak pan wie, dopiero kilka lat temu wprowadziliśmy usługi elektroniczne, jak wszyscy inni. Ponieważ jesteśmy małą instytucją, lokalną, wie pan, w wielu sprawach wolimy być trochę staroświeccy... Ricky wiedział, że to hasło reklamowe banku. Wiedział również, że jego zarząd przyjąłby z otwartymi ramionami każdą próbę przejęcia ze strony któregoś z megabanków, gdyby tylko była wystarczająco korzystna.

– Tak – powiedział. – To zawsze był jeden z państwa najmocniejszych punktów... – Dziękuję panu. Uważamy, że dostosowujemy się do klienta... – A ta próba dostępu?

– Niedługo po tym, jak zamknęliśmy pana konto według pana instrukcji, ktoś próbował wprowadzić w nim zmiany, korzystając z naszych usług elektronicznych. Dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że ten ktoś zadzwonił do nas, kiedy odmówiono mu dostępu do konta.

– Zadzwonił?

– Ktoś, kto podawał się za pana.

– Co powiedział?

– Wyglądało to na zażalenie. Kiedy tylko dowiedział się, że konto zostało zamknięte, rozłączył się. Cała sprawa była bardzo tajemnicza i trochę niejasna, ponieważ zapis komputerowy ujawnił, że ten ktoś był w posiadaniu pana hasła. Podawał je pan komuś?

– Nie.

Ricky poczuł się jak idiota. Jego hasłem były cyfry trzy-siedem-trzy-osiem-trzy, co przekładało się na FREUD i było tak rażąco oczywiste, że prawie się zaczerwienił. Chyba tylko data urodzin byłaby głupsza.

– Cóż, chyba postąpił pan mądrze, zamykając konto.

– Czy państwa ochrona może w jakiś sposób wyśledzić numer telefonu albo komputer, z którego próbowano dostać się do moich pieniędzy?

– Tak. Mamy taką możliwość. Ale większość elektronicznych złodziei potrafi wymykać się tropiącym. Używają kradzionych komputerów, nielegalnych numerów i innych tego rodzaju rzeczy, by ukryć swoją tożsamość.

Czasami FBI udaje się ich namierzyć, ale oni mają najnowocześniejsze systemy ochrony komputerowej na świecie. My mamy mniej zaawansowane, a przez to mniej efektywne. Prawo wymaga od nas zgłaszania prób włamań odpowiednim służbom, ale muszę z przykrością powiedzieć, że na ogół trafiają one do archiwum. Mimo to mogę kazać naszemu specowi uruchomić dla pana ten program. Chociaż nie sądzę, żeby to coś dało. Elektroniczni rabusie banków są cwani. Zazwyczaj śledztwo kończy się w ślepych zaułku.

– Proszę spróbować i dać mi znać. Natychmiast. Mam pewne ograniczenia czasowe – powiedział Ricky.

– Spróbujemy i jak najszybciej się odezwiemy – odparł bankier i odłożył słuchawkę.

Ricky opadł na oparcie fotela. Przez chwilę fantazjował, że ochrona banku poda mu nazwisko i numer telefonu, a on tą drogą dotrze do swojego prześladowcy. Potem potrząsnął głową, wiedząc, że Rumpelstiltskin, jak dotąd niezwykle ostrożny i dokładny, nie pozwoliłby sobie na tak prosty błąd. O wiele bardziej prawdopodobne było, że ktoś próbował włamać się na jego konto i zadzwonił do banku po to, by wskazać mu drogę, którą ma podążać. Ta myśl go przybiła.

Mimo to w miarę upływu dnia Ricky zdał sobie sprawę, że teraz wie o wiele więcej o swoim prześladowcy. W rymowance Rumpelstiltskin podpowiedział zadziwiająco dużo, zwłaszcza jak na kogoś, kto początkowo nalegał, by na pytania można było odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Odpowiedź zmniejszyła dystans między Rickym a przeciwnikiem. Dwadzieścia lat, plus minus dwa, dawało okres od siedemdziesiątego ósmego do osiemdziesiątego trzeciego. A pacjentem była niezamężna kobieta, co eliminowało sporą liczbę osób. Doszedł do wniosku, że musi odtworzyć pięć lat terapii. Przyjrzeć się każdej pacjentce z tego okresu. Wśród nich znajdowała się ta, która cierpiała na odpowiednią kombinację neuroz i problemów i która przekazała je swojemu dziecku. Znajdź zarodek psychozy, powiedział sobie Ricky.

Usiadł wygodnie, skupił się i spróbował sobie przypomnieć, kim był dwadzieścia lat temu i kogo leczył. Podstawą terapii jest jedna z zasad psychoanalizy – każdy pamięta wszystko. Można nie pamiętać czegoś z dziennikarską dokładnością czy ze wszystkimi szczegółami, wspomnienia mogą być zafałszowane przez emocje, ale kiedy już się przebrnie przez żmudny proces przypominania, okazuje się, że każdy pamięta wszystko.

Rany i obawy mogą czaić się głęboko pod warstwami stresu, ale są tam i można je odnaleźć, nieważne, jak bardzo chce się je wyprzeć ze świadomości.

Ricky potrafił odzierać wspomnienia ze skóry aż do kości i znajdować to, co się w nich kryło.

Teraz zaczął przeszukiwać własną pamięć. Co jakiś czas zerkał na strzępy notatek i zapisków, z których składało się jego prywatne archiwum, zły na siebie, że nie był bardziej dokładny. Każdy inny lekarz, który stanąłby przed zagadnieniem z przeszłości, zdmuchnąłby po prostu kurz z jakiegoś starego segregatora i wyjął z niego kartę z nazwiskiem i diagnozą. Przed Rickym stało o wiele trudniejsze zadanie, ponieważ wszystkie karty pacjentów tworzył i przechowywał w pamięci. Mimo to czuł pewność, że mu się uda. Koncentrował się z notesem na kolanach i rekonstruował przeszłość.

Jedna po drugiej postacie nabierały kształtu. Przypominało to trochę rozmowę z duchami.

Skupił się na kobietach. Powoli wracały do niego imiona i nazwiska; dziwnym trafem łatwiej było mu przypomnieć sobie to, na co kobiety się skarżyły. Każdą informację o pacjentce, każdy szczegół terapii zapisywał w notesie. Efekt wciąż był niespójny i bezładny, przypadkowy i niewiele dający, ale mimo tego robił jakieś postępy.

Kiedy oderwał wzrok od notesu, zauważył, że gabinet wypełnił się cieniami. Gdy siedział pogrążony w myślach, dzień przepłynął obok niego.

Na żółtych kartkach Ricky zapisał dwanaście osobnych przypadków z okresu, którym się zajmował. W tym czasie prowadził terapię przynajmniej osiemnastu kobiet. Była to spora liczba, ale martwiło go, że kilku z nich nie był w stanie sobie przypomnieć. Pamiętał raczej pacjentki poddane długotrwałej terapii, a miał niepokojące wrażenie, że matka Rumpelstiltskina była kimś, z kim spotykał się krótko.

Wspomnienia były kochankami Ricky'ego, a teraz wydawały się niezdecydowane i kapryśne.

Wstał z fotela, czując tępy ból w zeszywniałych kolanach i karku.

Przeciągnął się, pochylił i pomasował kolano, jakby mógł je w ten sposób rozgrzać i ożywić. Zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nic nie jadł.

Wiedział, że w kuchni nie ma nic, co mógłby sobie przyrządzić. Wyrzał przez okno; miasto szybko spowijał mrok. Będzie musiał wyjść i coś kupić.

Myśl o opuszczeniu mieszkania niemal stłumiła głód i sprawiła, że zaschło mu w gardle.

Uświadomił sobie ciekawą rzecz: przez całe życie tak rzadko się bał, tak rzadko miał wątpliwości, a teraz zastanawiał się nad zwykłym wyjściem z domu. Przygotował się jednak na wszelkie myśli, jakie mogły mu przyjść do głowy i postanowił pójść dwie przecznice na południe; był tam mały bar, w którym mógł kupić kanapkę. Zadawał sobie pytanie, czy będzie obserwowany, ale uznał, że nie będzie się nad tym zastanawiał i po prostu wyjdzie.

Żar rozgrzanego chodnika uderzył go jak gorąco zapalonego palnika kuchenki gazowej. Przemaszerował jak żołnierz dwie przecznice, patrząc tępo przed siebie. Wreszcie dotarł do baru. Latem wystawiano na zewnątrz małe stoliki. Wnętrze było wąskie i ciemne. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się kontuar, a środek zajmowało kolejne dziesięć stołów. Na ścianach wisiała niezwykle kolekcja ozdób, od pamiątek sportowych po plakaty przedstawień z Broadwayu, fotografie aktorów, aktorek i kilku polityków. Wyglądało to jakby bar nie wyrobił sobie jeszcze własnej tożsamości jako miejsce relaksu jakiejś określonej grupy i próbował uszczęśliwić każdego. Niewielka kuchnia, jak wiele podobnych miejsc na Manhattanie, oferowała dość dobre hamburgery i kanapki. Czasami dodawano do menu dania z makaronu. Do tego wszystko po przystępnych cenach, co Ricky odnotował z radością, ponieważ nie miał już karty kredytowej, a jego rezerwy gotówki były niewielkie. Zanotował w pamięci, żeby zacząć nosić ze sobą czeki podróżne.

Wewnątrz restauracyjki panował półmrok. Starks zamrugnął, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do stłumionego światła. Przy barze siedziało kilka osób, było też parę wolnych stolików. Kelnerka w średnim wieku zauważyła wahanie Ricky'ego i podeszła do niego.

– Przyszedł pan na kolacyjkę? – spytała z poufałością, która zupełnie nie pasowała do

skłaniającego do anonimowości baru.

– Zgadła pani – powiedział.

– Sam? – zapytała. Ton jej głosu wskazywał, że wie, iż jest sam, i że co wieczór jada samotnie, ale jakaś staroświecka, prowincjonalna, niepasująca do wielkiego miasta uprzejmość kazała jej o to zapytać.

– Znów pani zgadła.

– Chce pan usiąść przy barze czy przy stoliku?

– Przy stoliku, jeśli można. Najchętniej w głębi.

Kelnerka odwróciła się, zauważyła miejsce z tyłu sali i skinęła głową.

– Proszę za mną – powiedziała. Wskazała Ricky’emu krzesło i otworzyła przed nim menu. – Coś z baru? – spytała.

– Poproszę kieliszek wina. Czerwonego.

– Już podaję. Specjalność wieczoru to linguini z łososiem. Niezłe.

Ricky patrzył, jak kelnerka idzie w stronę baru. Zalaminowane menu było duże, znacznie większe, niż wymagałby tego oferowany przez nie wybór. Starks otworzył je i przyjrzał się liście hamburgerów i dań, opisanych z kwiecistością, mającą ukryć ich rzeczywistą prostotę. Po chwili odłożył menu, spodziewając się widoku kelnerki z jego winem. Zniknęła, prawdopodobnie w kuchni.

Zamiast niej przed Rickim stała Wergiliusz.

W dłoniach trzymała dwa kieliszki czerwonego wina. Miała na sobie wytarte dzinsy i czerwoną sportową bluzkę, pod pachą zaś kosztowną skórzaną torebkę. Postawiła wino na stole, przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko Ricky’ego.

– Zamówiłam już dla nas specjalność wieczoru – powiedziała z lekkim uwodzicielskim uśmiechem. – Kelnerka miała sto procent racji, jest zupełnie niezła.

Rozdział 12

Ricky zeszywniał z zaskoczenia, ale nie dał tego po sobie poznać. Patrzył na młodą kobietę spojrzeniem bez wyrazu, tak dobrze znanym wielu jego pacjentom.

– Myślisz, że łośoś będzie świeży? – powiedział w końcu.

– Rzucający się i dyszący – odparła lekko Wergiliusz.

– To pasuje do sytuacji – rzekł cicho Ricky.

Kobieta upiła łyk wina, zwilżając wargi ciemnoczerwonym płynem.

Starks odsunął swój kieliszek i napił się wody.

– Do ryby i makaronu powinniśmy zamówić białe – powiedziała Wergiliusz – ale nie jesteśmy w miejscu, w którym przywiązuje się wagę do takich rzeczy, prawda? Trudno mi sobie wyobrazić tutaj jakiegoś purystę, który podchodzi, żeby uprzytomnić nam niewłaściwość zamówienia.

– Nie, ja też tak nie sędzę – odparł Ricky.

Wergiliusz mówiła szybko, ale spokojnie. Zachowywała się jak podekscytowane urodzinami dziecko.

– Poza tym picie czerwonego wina ma w sobie jakąś zadziorność, nie uważasz, Ricky? Przekorność, sugerującą, że nie obchodzi nas, co wypada.

I tak zrobimy, co będziemy chcieli. Czuje pan to, doktorze Starks?

Szczypta przygody i anarchii, gry poza przyjętymi zasadami. Co o tym sądzisz?

– Sędzę, że zasady wciąż się zmieniają.

– Zasady etykiety?

– A o tym rozmawiamy?

Wergiliusz pokręciła głową, a jej jasne włosy zafalowały kusząco.

Odchyliła się lekko do tyłu i zaśmiała, odsłaniając smukłą szyję.

– Nie, oczywiście, że nie, Ricky. Masz rację.

W tym momencie podeszła kelnerka, niosąc wiklinowy koszyk z bułeczkami i masłem. Oboje zamilkli jak spiskowcy. Kiedy odeszła, Wergiliusz sięgnęła po pieczywo.

– Umieram z głodu.

– Rujnowanie mojego życia pomaga spalać kalorie? – spytał Ricky.

Wergiliusz znów się roześmiała.

– Na to wygląda – przyznała. – Podoba mi się to, naprawdę. Jak to nazwiemy, doktorze? Może dietą rujnacyjną? Podoba ci się? Moglibyśmy zbić na tym fortunę i wyjechać na jakąś rajską wyspę.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – powiedział ostro Ricky.

– Tak myślałam – odparła Wergiliusz, obficie smarując bułeczkę masłem i wgryzając się

w nią z chrupnięciem.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał Ricky cicho, ale zdecydowanie. – Przyszłaś ze mnie drwić? A może trochę mnie pomęczyć?

– Nikt jeszcze nie nazwał mojego towarzystwa męką – wyznała Wergiliusz z udawanym zaskoczeniem. – Myślałam raczej, że będzie dla ciebie jeśli nie przyjemne, to przynajmniej intrygujące. Pomyśl o swojej sytuacji, Ricky. Przyszedłeś tu sam, stary, zdenerwowany, pełen niepokoju i wątpliwości. Jeśli ktoś w ogóle na ciebie spojrzeł, poczuł ukłucie winy i żalu, a potem wrócił do jedzenia i picia, ignorując starszego pana, którym się stałeś. Wszystko się zmieniło, kiedy usiadłam naprzeciwko ciebie. Nagle nie jesteś już tak przewidywalny, prawda? – Uśmiechnęła się.

Ricky pokręcił głową.

– Moje życie... – zaczął.

– Twoje życie się zmieniło. I nadal będzie się zmieniać. Przynajmniej przez kilka następnych dni. A potem... No właśnie, co potem?

– A więc tobie się to podoba? – zaatakował ją Ricky. – Przyglądanie się mojemu cierpieniu. To dziwne, bo nie podejrzewałbym cię o taki zdeklarowany sadyzm. Twojego pana R. prędeż, ale nie jestem jeszcze pewien, bo on wciąż jest dla mnie nieco odległy. Chociaż coraz bliższy, jak sądzę. Ale ty, panno Wergiliusz, nie wydajesz mi się cierpieć na odpowiednie schorzenie psychiczne. Oczywiście mogę się mylić. I o to w tym wszystkim chodzi, prawda? O to, kiedy się co do czegoś pomyliłem?

Ricky upił łyk wody, mając nadzieję, że skłonił młodą kobietę do wyjawienia jakichś informacji. Przez ułamek sekundy widział w jej oczach narastający gniew. Jej usta lekko drżały. Po chwili jednak opanowała się i machnęła lekceważąco nadgryzioną bułeczką.

– Nie rozumiesz, jaka jest moja rola, Ricky.

– To mi wyjaśnij.

– Każdy potrzebuje przewodnika na drodze do piekła. Już ci to mówiłam.

Starks skinął głową.

– Pamiętam.

– Kogoś, kto pokieruje tobą między skalistymi brzegami i ukrytymi mieliznami świata zmarłych.

– A tym kimś jesteś ty. Wiem. Powiedziałaś mi to.

– Jesteś już w piekle, Ricky?

Wzruszył ramionami, próbując wyprowadzić ją z równowagi. Nie udało mu się.

– Więc może pukasz do jego bram? – Uśmiechnęła się szeroko.

Potrząsnęła głową, ale zignorowała jego zaprzeczenie.

– Dumny z ciebie człowiek, doktorze Ricky. O wiele za dumny. Boli cię utrata kontroli nad

własnym życiem, prawda? Wszyscy wiemy, do czego prowadzi duma. Wiesz, to wino jest naprawdę niezłe. Mógłbyś spróbować.

Starks podniósł do ust kieliszek, zamiast się jednak napić, powiedział:

– Jesteś szczęśliwa, Wergiliusz? Szczęśliwa, że jesteś kryminalistką?

– Dlaczego uważasz, że popełniłam jakieś przestępstwo?

– Wszystko, co ty i twój pracodawca zrobiliście, to przestępstwo.

Wszystko, co zaplanowaliście, to przestępstwo.

– Naprawdę? Myślałam, że specjalizujesz się w luksusowych nerwicach i niepokojach wyższej klasy średniej. Wygląda na to, że ostatnio zainteresowałaś się psychiatrią sądową.

Ricky zamilkł. Zwykle nie tak odkrywał karty. Analityk wyklada je powoli, czekając na reakcję, starając się sprowokować podróże w głąb wspomnień. Miał jednak mało czasu. Widząc, jak siedząca naprzeciw niego młoda kobieta porusza się na krześle, stracił pewność, czy to spotkanie przebiega dokładnie tak, jak wyobrażał to sobie nieuchwytny pan R. Poczul satysfakcję, że popsuł zaplanowany bieg wypadków, choćby nawet odrobinę.

– Oczywiście – powiedział ostrożnie. – Do tej pory popełniliście szereg przestępstw, od prawdopodobnego morderstwa Rogera Zimmermana... – Policja uznała jego śmierć za samobójstwo...

– Udało wam się sprawić, żeby to wyglądało na samobójstwo.

– Skoro się przy tym upierasz, nie będę cię przekonywała. Myślałam jednak, że otwarty umysł to cecha charakterystyczna dla ludzi twojej profesji.

Ricky zignorował docinek i ciągnął:

– ...rabunek i oszustwo... – Och, wątpię, czy gdziekolwiek istnieją na to dowody. To trochę tak, jak w tym starym powiedzeniu o drzewie padającym w lesie; jeśli nikogo nie ma w pobliżu, to czy naprawdę robi ono hałas? Jeśli nie ma dowodów, czy przestępstwo istnieje? A jeśli jest dowód, to gdzieś w cyberprzestrzeni, razem z twoimi pieniędzmi... – Nie wspominając o twoim fałszywym liście do Towarzystwa Psychoanalitycznego.

To byłaś ty, prawda? Zamydliłaś oczy temu idiotcie w Bostonie wymyśloną opowieścią. Przed nim też się rozebrałaś?

Wergiliusz odgarnęła włosy z twarzy i poprawiła się na krześle.

– Nie musiałam. Jest jednym z tych mężczyzn, którzy zachowują się jak szczeniaczki, kiedy im się poskarżyć. Przewraca się na grzbiet i odsłania genitalia, wydając żalosne popiskiwanie. To niesamowite, w jakie rzeczy człowiek może uwierzyć, jeśli chce... – Odzyskam moją reputację – powiedział z naciskiem Ricky.

Wergiliusz uśmiechnęła się.

– Najpierw musisz przeżyć, a w tej chwili mam co do tego pewne wątpliwości.

Ricky nie odpowiedział, bo on też je miał. Podniósł wzrok i zobaczył zbliżającą się kelnerkę.

Postawiła talerze na stoliku i spytała, czy podać coś jeszcze. Wergiliusz poprosiła o drugi kieliszek wina, a Starks pokręcił głową.

– Słusznie – powiedziała Wergiliusz, kiedy kelnerka zniknęła. – Musisz mieć jasny umysł.

Ricky patrzył na parujące jedzenie.

– Dlaczego mu pomagasz? – spytał nagle. – Co z tego masz? Dlaczego nie porzucisz tych pretensjonalnych głupot i nie pójdziesz ze mną na policję? Moglibyśmy natychmiast przerwać tę grę, a ja zadbałbym, żebyś odzyskała chociaż pozory normalnego życia. Nie oskarżyłbym cię o nic.

To mogę zrobić.

Wergiliusz również patrzyła w swój talerz, dziobiąc widelcem makaron i kawałek łososia. Kiedy spojrzała Ricky'emu w oczy, widać było, że z trudem hamuje gniew.

– Sprawisz, że wrócę do normalnego życia? Jesteś czarodziejem?

A poza tym, dlaczego uważasz, że normalne życie jest aż tak wspaniałe?

Ricky zignorował to pytanie i dalej naciskał.

– Skoro nie jesteś kryminalistką, dlaczego pomagasz przestępcy? Jeśli nie jesteś sadystką, dlaczego pracujesz dla sadysty? Jeśli nie jesteś psychopatką, po co zadajesz się z psychopatą? A skoro nie jesteś morderczynią, dlaczego pomagasz komuś popełnić morderstwo?

Wergiliusz wciąż na niego patrzyła. Cała zwiewna ekscentryczność i energia zniknęły, zastąpione lodowatym chłodem.

– Może dlatego, że dobrze mi płaci – powiedziała wolno. – W dzisiejszych czasach wielu ludzi jest gotowych zrobić wszystko dla pieniędzy.

Możesz uwierzyć, że tak jest w moim przypadku?

– Z trudem – skłamał Ricky.

Wergiliusz pokręciła głową.

– A więc odrzucasz pieniądze jako motyw mojego postępowania, chociaż nie jestem pewna, dlaczego. Może jakiś inny? Jakie jeszcze mogłabym mieć motywy? Powinieneś być ekspertem w tej dziedzinie? Czy pojęcie „szukania motywów” nie określa dobrze tego, czym się zajmujesz? I czy nie jest integralną częścią gry, w którą gramy? Dalej, Ricky. Mamy za sobą już dwie sesje. Jeśli to nie pieniądze, to co mnie motywuje?

Ricky spojrzał na nią poważnie.

– Nie wiem o tobie wystarczająco dużo... – zaczął.

– Wymyśl coś lepszego. Dla mnie. W końcu na swój sposób jestem tu, by cię poprowadzić. Problem w tym, że słowo „przewodnik” ma pewne pozytywne konotacje, które w tym wypadku mogą być nie na miejscu.

Być może mam naprowadzić cię na kierunek, w którym nie chcesz iść.

Ale jedno jest pewne: beze mnie nie zbliżysz się do odpowiedzi, co zabije albo ciebie, albo

kogoś ci bliskiego, kto żyje w zupełnej nieświadomości.

A umieranie na ślepo jest głupie, Ricky. To na swój sposób jeszcze gorsza zbrodnia. Więc odpowiedz na moje pytanie: jakie mogę mieć inne motywy?

– Nienawidzisz mnie. Tak samo, jak pan R., chociaż nie wiem, dlaczego.

– Nienawiść to bardzo ogólne uczucie, Ricky. Myślisz, że ją rozumiesz?

– Słyszę o niej prawie codziennie... Wergiliusz pokręciła głową.

– Nie, nie, nie. Wcale nie. Słyszysz o gniewie i frustracji, które są drobnymi elementami nienawiści. O wykorzystywaniu i okrucieństwie, ważniejszych aktorach w tej sztuce, ale wciąż nie pierwszoplanowych.

Przede wszystkim jednak słyszysz o kłopotach. Nudnych, starych, szarych kłopotach. A to ma tyle wspólnego z czystą nienawiścią, co samotna czarna chmurka z tornadem. Ta chmurka musi połączyć się z innymi i szybko urosnąć, zanim zamieni się w chmurę burzową.

– Ale ty... – Nie nienawidzę cię, Ricky. Chociaż być może mogłabym się tego nauczyć. Spróbuj czegoś innego.

Starks odetchnął gwałtownie.

– W takim razie miłość – powiedział nagle.

Wergiliusz znów się uśmiechnęła.

– Miłość?

– Robisz to, bo kochasz Rumpelstiltskina.

– To interesujący pomysł. Zwłaszcza po tym, jak ci powiedziałam, że nie wiem, kim jest.

Nigdy go nie spotkałam.

– Tak, pamiętam, że to mówiłaś. Ale ci nie wierzę.

– Miłość. Nienawiść. Pieniądze. Tylko takie motywy jesteś w stanie wymyślić?

– Może jeszcze strach – dodał Ricky z wahaniem.

Wergiliusz skinęła głową.

– Strach pasuje, Ricky. Może spowodować bardzo różne zachowania, prawda?

– Tak.

– Twoja analiza tej zależności sugeruje, że być może pan R. kieruje mną przez zastraszenie.

Jak porwacz, który zmusza ofiary do płacenia okupu w żalosnej nadziei, że odda im ich psa, dziecko czy cokolwiek tam porwał. Czy zachowuję się jak ktoś zmuszany do działania wbrew woli?

– Nie – odparł Ricky.

– Dobrze. Wiesz, myślę, że jesteś człowiekiem, który nie chwyta nadarzających się okazji. Już drugi raz siedzę naprzeciwko ciębie, a ty, zamiast starać się pomóc sobie, błagasz o pomoc mnie, nie zrobiwszy nic, by na nią zasłużyć. Powinnam była to przewidzieć, ale łudziłam się... Naprawdę. Tylko chyba już przestałam... Machnęła ręką, ignorując jego odpowiedź, zanim zdołał

jej udzielić.

– Wracajmy do interesów. Dostałeś odpowiedź w porannej gazecie?

– Tak.

– Dobrze. Dlatego przysłał mnie tutaj dziś wieczorem. Żeby się upewnić.

Pomyślał, że nie byłoby fair, gdybyś nie dostał odpowiedzi, których szukasz. Byłam oczywiście zaskoczona. Pan R. postanowił pozwolić ci się do siebie zbliżyć. Bardziej niż uważałam to za rozsądne. Wybierz mądrze kolejne pytania, Ricky, jeśli chcesz wygrać. Wydaje mi się, że trafiła ci się wielka szansa. Ale od jutra rana licząc, został ci tylko tydzień.

Siedem dni i dwa pytania do wykorzystania.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Czyżby? Wydaje mi się, że nie rozumiesz. Jeszcze nie. Ale skoro mowa o motywacji; pan R. przysłał ci coś, co pomoże ci przyspieszyć dochodzenie.

Wergiliusz podniosła torebkę, która stała na podłodze. Otworzyła ją i wyjęła żółtą kopertę, podobną do tych, które Ricky już widział. Podała mu ją nad stołem.

– Otwórz – powiedziała. – Dostarczy ci motywacji.

Starks rozdarł kopertę. W środku znajdowało się sześć czarno-białych fotografii. Były na nich trzy różne osoby. Na pierwszych dwóch młoda dziewczyna, szesnasto-, może siedemnastoletnia, w dzinsach i przepoconym podkoszulku, z pasem z narzędziami na biodrach i dużym młotkiem w ręku. Wyglądała, jakby pracowała na jakiejś budowie. Na kolejnych dwóch widać było młodszą dziewczynkę, może dwunastoletnią, siedzącą na rufie kanoe i wiosłującą przez jezioro. Pierwsze zdjęcie było nieco ziarniste, na drugim, najwyraźniej zrobionym teleobiektywem, widać było niemal aparat korekcyjny na zębach dziewczynki, z wysiłku oddychającej przez otwarte usta. Na trzecim zestawie widniał chłopak o długich włosach i szelmowskim uśmiechu, gestykulujący do jakiegoś sprzedawcy na ulicy, wyglądającej na paryską.

Wszystkie sześć zdjęć zrobiono bez wiedzy fotografowanych.

Ricky przyjrzał się im dokładnie, po czym popatrzył na Wergiliusz.

Już się nie uśmiechała.

– Rozpoznajesz kogoś? – spytała chłodno.

Pokręcił głową.

– Żyjesz w tak doskonałej izolacji, Ricky. Wszystko jest przez to takie cholernie łatwe. Spójrz uważnie. Wiesz, kim są ci młodzi ludzie?

– Nie. Nie wiem.

– To zdjęcia twoich dalekich krewnych. Każde z tych dzieci znajduje się na liście nazwisk, którą pan R. przysłał ci na początku gry.

Ricky jeszcze raz popatrzył na fotografie.

– Paryż, Francja, Habitat for Humanity, Honduras i jezioro Winnepesaukee w New Hampshire. Troje dzieci na wakacjach. Tak jak ty.

Skinął głową.

– Widzisz, jakie są bezbronne? Myślisz, że trudno było zrobić te zdjęcia?

Czy dałoby się zamienić aparat na karabin snajperski albo pistolet?

Jak łatwo byłoby usunąć jedno z nich z sielskiego otoczenia, w którym tak dobrze się bawią. Myślisz, że którekolwiek zdaje sobie sprawę, jak blisko czai się śmierć? Potrafisz sobie wyobrazić, że mają choćby mgliste pojęcie o tym, że ich życie może się krwawo zakończyć już za siedem dni?

Wergiliusz wskazała gestem fotografie.

– Przyjrzyj się dobrze, Ricky – powiedziała. Poczekała chwilę, aż zapamięta zdjęcia. Potem sięgnęła nad stolikiem, żeby wyjąć mu je z rąk.

– Myślę, że wystarczy, jeśli zostaną tylko w twojej pamięci. Wbij sobie dobrze do głowy uśmiechy tych dzieci. Spróbuj wyobrazić sobie, jakie będą, gdy dorosną. Jakie mogłyby wybrać życie? Jakimi stać się ludźmi?

Ukradniesz przyszłość jednemu z nich – albo komuś podobnemu – uparcie trzymając się tych kilku lat, jakie ci zostały?

Przerwała, po czym z prędkością atakującej zmił wyrwała mu zdjęcia.

– Zabiorę je. – Schowała fotografie do torebki i odsunęła się od stolika, rzucając jednocześnie studolarowy banknot na talerz z rozgrzebanym jedzeniem. – Odebrałeś mi apetyt – powiedziała – ale wiem, że pogorszyła się twoja sytuacja finansowa. Dlatego zapłacę za kolację.

Odwróciła się do kelnerki, kręcącej się przy pobliskim stoliku.

– Macie może czekoladowy sernik? – spytała.

– Czekoladowy sernik – powtórzyła kobieta. Wergiliusz skinęła głową.

– Proszę przynieść kawałek mojemu przyjacielowi – powiedziała. – Jego życie nagle nabrało gorzkiego smaku i potrzebuje trochę słodczy, żeby przetrwać kilka następnych dni.

Potem obróciła się na pięcie i wyszła. Starks sięgnął po szklankę wody i zauważył, że jego dłoń lekko drży, sprawiając, że kostki lodu cicho grzechoczą.

Kiedy szedł do domu, wydawało mu się, że jest niewidzialny. W jakiś dziwny sposób, pomyślał, jestem niemal przezroczysty. Nikt, kto przechodził albo przejeżdżał obok niego, nie rejestrował jego istnienia. Jego twarz, wygląd, to, że żył, nie miały dla nikogo znaczenia. Jedyne dla człowieka, który go prześladował. Jego śmierć za to miała decydujące znaczenie dla jakiejś anonimowej bliskiej mu osoby. Rumpelstiltskin, a co za tym idzie Wergiliusz, Merlin i prawdopodobnie inni ludzie, których jeszcze nie spotkał, byli pomostami między życiem a śmiercią. Ricky miał wrażenie, że znalazł się w jakimś dziwnym świecie po drugiej stronie lustra, zamieszkanym przez ludzi, którym lekarz wystawił najgorszą diagnozę albo sędzia

wyznaczył datę egzekucji; nielicznych, którzy poznali dzień swojej śmierci. Był zrozpaczony. Przypomniała mu się postać z kreskówki, którą pamiętał z dzieciństwa, skazana na wędrowanie pod osobistą chmurą deszczową, lejącą na nią strugi wody i strzelającą piorunami wszędzie, gdzie się udała. Dla niego taką chmurą była właśnie rozpacz.

Twarze trójki młodych ludzi z fotografii wydawały mu się ulotne i przezroczyste niczym duchy. Żałował, że nie zna ich imion, i wiedział, że musi coś zrobić, by ich ochronić. Przyspieszył kroku. Widział aparat na zębach, długie włosy, pot bezinteresownego wysiłku. Przed oczami miał wszystkie zdjęcia, tak samo wyraźnie jak wtedy, kiedy Wergiliusz pchnęła je po stole w jego stronę. Wydłużył krok. Słyszał stukot swoich butów o chodnik. Zaczął biec. Coś w nim pękło i zawładnęło nim uczucie, którego nie rozpoznawał, ale które dla każdego, kto schodził mu z drogi, musiało wyglądać jak atak paniki.

Ricky biegł. Jedna przecznica, potem druga, nie zatrzymując się przy przejściach dla pieszych, zostawiając za sobą eksplozje klaksonów i przekleństw, nie widząc, nie słysząc, w głowie mając tylko obrazy śmierci.

Nie zwolnił, dopóki nie zobaczył wejścia do swojego domu. Zatrzymał się i zgiął w pół, z trudem łapiąc oddech. Przez kilka minut czuł jedynie ból i gorąco, słyszał tylko pracę własnych płuc.

Kiedy podniósł wzrok, pomyślał: nie jestem sam.

Odwrócił się gwałtownie, próbując wypatrzyć kogoś, kto go obserwował. Jego oczy skakały od idących ulicą ludzi do okien budynków.

Obrócił się, jakby w ten sposób mógł dostrzec jakiś wyraźny ruch, zdradzający człowieka, któremu kazano go śledzić, ale niczego nie zobaczył.

Odwrócił się i znów popatrzył na swój dom. Przyszło mu do głowy, że kiedy rozmawiał z Wergiliusz, ktoś był w jego mieszkaniu. Rzucił się przed siebie, lecz po chwili stanął. Olbrzymim wysiłkiem woli zdołał opanować miotające nim emocje, starając się skupić się i myśleć racjonalnie.

Wziął głęboki oddech i pomyślał, że za każdym razem, kiedy opuszczał swoje mieszkanie, istniało duże prawdopodobieństwo, że Rumpelstiltskin lub któryś z jego pachołków wdzierał się do środka. Nie można było temu zapobiec, montując nowe zamki, o czym przekonał się poprzedniego dnia.

Jego dom nie jest już bezpiecznym miejscem.

Stojąc na ulicy pod oknami mieszkania, w którym przeżył większość dorosłego życia, miał wrażenie, że mógł nie zostać już żaden zakamarek, którego jego prześladowca by nie spenetrował.

Po raz pierwszy pomyślał: muszę znaleźć schronienie.

Nie mając pojęcia, gdzie należy go szukać – w sobie czy na zewnątrz – Ricky wszedł na

schody.

Ku swojemu zaskoczeniu, nie znalazł żadnych oznak włamania. Drzwi nie były otwarte. Światło działało. Klimatyzator szumiał. Ricky nie miał przytłaczającego, niewytłumaczalnego wrażenia, że ktoś był w środku.

Zamknął drzwi na klucz i poczuł ulgę. Mimo to jego serce wciąż biło szybko, a ręce wydawały się drżeć tak samo, jak w restauracji po wyjściu Wergiliusz.

Był śmiertelnie wyczerpany. Oddychał ciężko, choć przecież nie pracował fizycznie.

– Potrzebujesz snu – powiedział na głos, tonem, jakim mówił do pacjentów.

– Musisz odpocząć, zebrać myśli i pchnąć sprawy do przodu.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, żeby znaleźć bloczek recept i wypisać sobie coś, co pomogłoby mu się odprężyć. Wiedział, że musi się skupić, a to było coraz trudniejsze. Nie znosił pigułek, ale pomyślał, że teraz mogą być konieczne. Coś na poprawienie nastroju. Środek nasenny, żeby odpocząć. Potem może odrobina amfetaminy, żeby się skoncentrować rano i przez tydzień, jaki pozostał mu do terminu, który wyznaczył Rumpelstiltskin.

Ricky przechowywał w biurku rzadko używany skorowidz leków.

Ruszył w tamtą stronę z myślą, że całonocna apteka, położona dwie przecznice dalej, przyśle mu wszystko, co zamówi. Nawet nie będzie musiał wychodzić z domu.

Ustalenie, czego potrzebuje, nie zabrało mu czasu. Znalazł bloczek recept i zadzwonił do apteki, po raz pierwszy od lat, jak mu się zdawało, podając komuś swój numer zezwolenia na wykonywanie zawodu. Trzy różne lekarstwa.

– Nazwisko pacjenta? – spytał aptekarz.

– Są dla mnie – odparł Ricky.

Mężczyzna zawahał się.

– Mieszanie tych środków to kiepski pomysł, doktorze Starks – powiedział. – Musi pan bardzo uważać... – Dziękuję za troskę. Będę ostrożny... – Chcę tylko, żeby pan wiedział, że przedawkowanie może być śmiertelne.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Ricky. – W za dużych ilościach wszystko może zabić.

Aptekarz uznał to za żart i roześmiał się.

– Pewnie tak, ale w przypadku niektórych rzeczy przynajmniej umiera się z uśmiechem na twarzy. Posłaniec będzie u pana najdalej za godzinę.

Mam to doliczyć do pana rachunku? Dawno pan z niego nie korzystał.

Ricky myślał przez chwilę, po czym powiedział:

– Tak. Oczywiście.

Poczuł nagle ukłucie bólu, jakby aptekarz nieświadomie trafił go tym niewinnym pytaniem w samo serce. Ricky po raz ostatni korzystał z rachunku w aptece, kiedy jego żona umierała, a on

kupował morfinę, by złagodzić jej ból. Czyli co najmniej trzy lata temu.

Odpędził to wspomnienie i wziął głęboki oddech.

– Proszę powiedzieć posłańcowi, żeby zadzwonił dokładnie tak: trzy razy krótko, trzy razy długo, trzy razy krótko. Będę wiedział, że to on, i otworzę.

Aptekarz zastanawiał się chwilę.

– Czy to nie S.O.S. w alfabecie Morse'a?

– Zgadza się – powiedział Ricky.

Odłożył słuchawkę i ciężko opadł na fotel, mając głowę przepełnioną obrazami żony w ostatnich dniach życia. Sprawiało mu to zbyt wiele bólu, więc odwrócił się i spojrzął na biurko. Zauważył, że na samym środku leży lista krewnych, którą przysłał mu Rumplestiltskin. Ricky zawahał się; nie pamiętał, żeby kładł ją w tym miejscu. Powoli przyciągnął kartkę do siebie, a przed oczami stanęły mu zdjęcia, które pokazała mu Wergiliusz. Zaczął przyglądać się nazwiskom, próbując połączyć twarze z literami, drgającymi jak rozgrzane powietrze nad asfaltem. Starał się skupić, wiedząc, że musi odnaleźć związek, że to ważne, że czyjeś życie może być w niebezpieczeństwie.

Czuł narastający niepokój.

Zaczął podnosić notatki, papiery i inne śmieci, leżące na biurku, i szukał.

Ale natychmiast zrozumiał, że to, o co mu chodzi, zniknęło.

Pierwszy list Rumplestiltskina, opisujący zasady gry i zawierający pierwszą odpowiedź został zabrany. Dowód, że Ricky jest w niebezpieczeństwie, zniknął. Wszystko, co zostało, rozumiał Starks, to rzeczywistość.

Rozdział 13

Przekreślił kolejny dzień w kalendarzu, po czym zapisał w notesie dwa numery telefonów. Pierwszy do detektyw Riggins, drugiego nie używał od lat i nie był pewien, czy wciąż jest aktualny, ale postanowił i tak pod niego zadzwonić. Był to numer doktora Williama Lewisa. Dwadzieścia pięć lat temu doktor Lewis był terapeutą Ricky'ego, jego psychoanalitykiem, kiedy ten starał się o certyfikat. Interesującym aspektem psychoanalizy jest fakt, że ktokolwiek chce się nią zajmować, najpierw sam musi poddać się terapii.

Oba numery, pomyślał Ricky, były przeciwnymi biegunami pomocy.

Nie był pewien, czy uzyska ją pod którymś z nich, ale pomimo zalecenia Rumpelstiltskina, by zatrzymał wszystko dla siebie, nie mógł już tego dłużej robić. Musiał z kimś porozmawiać. Ale z kim?

Detektyw odebrała telefon po drugim dzwonku.

– Riggins – rzuciła szorstko.

– Mówi doktor Frederick Starks. Pamięta pani, rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu o śmierci jednego z moich pacjentów... W słuchawce zapadła cisza, spowodowana raczej zaskoczeniem niż niemożnością przypomnienia sobie faktów.

– Jasne, doktorze. Wysłałam panu kopię listu pożegnalnego, który znaleźliśmy następnego dnia. Myślałam, że to wyjaśnia sprawę. Co pana teraz dręczy?

– Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy porozmawiać o pewnych okolicznościach śmierci pana Zimmermana?

– Jakiego rodzaju okolicznościach, doktorze?

– Wolalbym nie mówić o tym przez telefon.

Detektyw zaśmiała się krótko.

– To brzmi strasznie melodramatycznie. Ale oczywiście. Przyjedzie pan tutaj?

– Zakładam, że jest tam miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

– Oczywiście. Mamy tu paskudny mały pokój przesłuchań, w którym wyciągamy zeznania z różnej maści podejrzanych. Mniej więcej tak samo, jak pan w swoim gabinecie, tylko w o wiele szybszy i mniej cywilizowany sposób... Ricky złapał na rogu taksówkę, która zawiozła go dziesięć przecznic dalej, na róg Madison i Dziewięćdziesiątej Szóstej. Wszedł do sklepu z damskim obuwem, spędził dokładnie dziewięćdziesiąt sekund na oglądaniu pantofli, zerkając jednocześnie ukradkiem przez szybę wystawową i czekając na zmianę świateł. Kiedy tylko zapaliło się czerwone, przeszedł przez ulicę i zatrzymał następną taksówkę. Kazał kierowcy jechać na południe, do stacji Grand Central.

Jak na środek letniego dnia, nie było tam tłumów. Równy strumień ludzi przelewał się przez przypominające jaskinię wnętrze dworca, zmierzając do podmiejskich pociągów i metra,

omijając śpiewających i bełkoczących bezdomnych, którzy włączyli się w okolicach wejścia. Wielkie jaskrawe reklamy zalewały stację niezziemskim światłem. Ricky wmieszał się w paradę krocących zdecydowanie podróżnych; wszyscy mieli specyficzny, śródmijski, obojętny wyraz twarzy, odgradzający ich od innych tak, że każdy człowiek stanowił małą emocjonalną wysepkę. Ricky nie czuł zdecydowania, ale je udawał. Wsiadł w pierwszy pociąg metra, jaki odjeżdżał na zachód, przejechał jeden przystanek, po czym wyszedł z dusznego podziemia na rozgrzaną ulicę, gdzie zatrzymał kolejną taksówkę. Upewnił się, że jechała z północy, czyli z kierunku, w którym się udawał. Kazał kierowcy objechać kwartał boczną uliczką. Przez cały czas wyglądał przez tylną szybę, wypatrując, czy nikt za nimi nie jedzie.

Pomyślał, że jeśli Rumpelstiltskin, Wergiliusz, Merlin czy ktoś, kto dla nich pracuje, był w stanie śledzić go przez całą drogę, pozostając niezauważonym, to Ricky nie miał żadnych szans. Skulił się na tylnym siedzeniu i tak dojechał do komisariatu Policji Zarządu Komunikacji na skrzyżowaniu Dziewięćdziesiątej Szóstej i Broadwayu.

Kiedy wszedł do biura detektywów, Riggins wstała. Wyglądała na znacznie mniej zmęczoną, niż kiedy spotkali się po raz pierwszy, chociaż jej strój specjalnie się nie zmienił; miała na sobie modne ciemne spodnie, kontrastujące z adidasami, męską jasnoniebieską koszulę i luźno zawiązany czerwony krawat, zaczepiony o paski kabury, którą nosiła pod pachą.

Wygląda bardzo intrygująco, pomyślał Ricky. Ubierała się jak mężczyzna, ale podkreślała równocześnie swoją kobiecość, malowała się i perfumowała. Włosy opadały jej falami na ramiona, ale sportowe buty dawały do zrozumienia, że ich właścicielka jest osobą bezpośrednią i nie traci czasu.

– Cieszę się, że pana widzę, doktorze – powiedziała, uściskawszy Ricky’emu dłoń – chociaż muszę przyznać, że nie spodziewałam się, że jeszcze pana spotkam. – Zlustrowała go szybko od stóp do głów, jak krawiec, oglądający niezbyt urodziwego dżentelmena, chcącego wcisnąć się w modny garnitur.

– Dziękuję, że zgodziła się pani... – zaczął Ricky, ale detektyw nie dała mu dokończyć.

– Marnie pan wygląda. Chyba źle pan zniósł konfrontację Zimmermana z metrem.

Pokiwał głową, uśmiechając się lekko.

– Źle sypiam – przyznał.

– Niemożliwe – odparła Riggins i wskazała mu drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, wspomnianego wcześniej pokoju przesłuchań.

Pokój był ponury i nieprzytulny; na środku stał metalowy stół i trzy składane krzesła. Oświetlała go zawieszona u sufitu jarzeniówka. Błat stołu pokryty był linoleum, poznaczonym zadrapaniami i plamami. Ricky pomyślał o swoim gabinecie, a w szczególności o kanapie, o tym, jak każdy przedmiot w zasięgu wzroku pacjenta miał wpływ na jego zwierzenia.

Ten pokój, surowy jak powierzchnia Księżycy, był okropnym miejscem na wyjaśnianie

czegokolwiek, z drugiej jednak strony wszystkie wyjaśnienia, których tu udzielano, musiały być okropne same w sobie.

Riggins zauważyła jego krytyczne spojrzenie.

– Tegoroczny budżet miasta na wystrój wnętrza jest bardzo szczupły.

Musieliśmy odpuścić sobie Picassa i meble Roche Bobois. – Wskazała jedno z krzesel. – Proszę siadać. Niech mi pan opowie, co pana dręczy. – Riggins próbowała powstrzymać uśmiech. – Czy nie to mniej więcej pan mówi?

– Mniej więcej – odparł Ricky. – Nie rozumiem tylko, co panią tak śmieszy.

Detektyw skinęła głową, a z jej głosu zniknęło rozbawienie.

– Przepraszam – powiedziała. – To po prostu odwrócenie ról. Zazwyczaj nie trafiają tu ważni zawodowcy z centrum. Policja komunikacyjna zajmuje się rutynowymi i raczej paskudnymi przestępstwami. Głównie napady. Gangi. Bezdomni, którzy wszczynają bójki, kończące się morderstwami. Co pana dręczy? Obiecuję, że spróbuję potraktować to jak najbardziej poważnie.

– Bawi panią widzieć mnie... – W stresie. Tak, przyznaję, bawi mnie to.

– Nie ceni pani psychiatrów?

– Nie. Mój brat cierpiał na depresję i schizofrenię. Trafiał kolejno do wszystkich zakładów w mieście, a lekarze tylko gadali i gadali, i ani trochę mu nie pomogli. To doświadczenie mnie uprzedziło. I tak to zostawmy.

Ricky milczał przez chwilę.

– Moja żona zmarła kilka lat temu na raka jajników, ale nie zacząłem nienawidzić onkologów, którzy nie mogli jej pomóc. Nienawidziłem choroby.

Riggins znów skinęła głową.

– Punkt dla pana – powiedziała.

Ricky nie wiedział, od czego zacząć, ale uznał, że Zimmerman nadaje się do tego tak samo, jak wszystko inne.

– Przeczytałem list samobójczy – powiedział. – Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby był dziełem mojego pacjenta. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie go znaleźliście?

Riggins wzruszyła lekko ramionami.

– Jasne. Leżał na poduszce jego łóżka, w jego mieszkaniu. Ładnie złożony, umieszczony tak, że nie dało się go przeoczyć.

– Kto go znalazł?

– Ja. Po przesłuchaniu świadków, rozmowie z panem i skończeniu papierkowej roboty pojechałam do mieszkania Zimmermana i znalazłam to, kiedy tylko weszłam do jego sypialni.

– Matka Zimmermana to inwalidka... – Po pierwszym telefonie poczuła się tak źle, że musiałam wezwać karetkę, żeby zabrała ją na kilka dni do szpitala. O ile wiem, jutro czy jakoś

niedługo przeprowadza się do domu spokojnej starości w Rockland County. Wszystkim zajmuje się brat Zimmermana. Telefonicznie, z Kalifornii.

Wygląda na to, że to wszystko nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia i że nie jest specjalnie wrażliwy, szczególnie kiedy chodzi o matkę.

– Czy ja dobrze zrozumiałem – powiedział Ricky – matka trafia do szpitala, a pani następnego dnia znajduje list... – Zgadza się.

– Więc nie wie pani, kiedy ktoś go zostawił w tej sypialni, prawda?

Mieszkanie dość długo było puste.

Detektyw Riggins uśmiechnęła się blado.

– Wiem, że Zimmerman nie położył go tam po piętnastej, bo wtedy właśnie złapał pociąg, zanim ten zdążył zwolnić.

– Mógł go tam położyć ktoś inny.

– Jasne. Jeśli wszędzie wietrzy się spiski. Doktorze, on był nieszczęśliwy i rzucił się pod pociąg. To się zdarza.

– Ten list – zaczął Ricky – został wydrukowany. Nie jest podpisany, jeśli nie liczyć podpisu drukowanego.

– Tak. To się zgadza.

– I napisany na komputerze, jak przypuszczam.

– Znow odpowiesz brzmi tak. Doktorze, zaczyna pan mówić jak detektyw.

Ricky myślał przez chwilę.

– Pamiętam skądś, że maszynę do pisania można wyśledzić, że każda uderza w papier w niepowtarzalny charakterystyczny sposób. Czy to samo odnosi się do drukarek komputerowych?

Riggins potrząsnęła głową.

– Nie.

– Nie znam się specjalnie na komputerach – przyznał. – Nie potrzebuję ich do pracy... – Spojrzał na detektyw, która wyglądała na nieco zniecierpliwioną. – Ale czy nie zachowują one zapisu wszystkiego, co na nich wydrukowano?

– Tu też ma pan rację. Zazwyczaj na twardym dysku. I wiem, do czego pan zmierza. Nie, nie sprawdziłam komputera Zimmermana, żeby się upewnić, że to on napisał list pożegnalny na komputerze stojącym w jego sypialni. Nie sprawdziłam też komputera w jego pracy. Facet rzuca się pod pociąg, a ja znajduję list pożegnalny na jego łóżku. Coś takiego zniechęca do dalszych poszukiwań.

– Ten komputer w pracy... miało do niego dostęp wiele osób, prawda?

– Przypuszczam, że jego pliki były chronione hasłem. Ale krótka odpowiedź brzmi „tak”.

Ricky skinął w milczeniu głową.

– Wspominał pan, że istnieją jakieś okoliczności jego śmierci, o których chce pan ze mną porozmawiać. Jakie? – przerwała ciszę detektyw Riggins.

Ricky wziął głęboki oddech.

– Krewny jednej z moich dawnych pacjentek zagroził mnie i członkom mojej rodziny jakąś niesprecyzowaną krzywdą. Do tej pory przedsięwziął kroki, mające uprzykrzyć mi życie – fałszywe zarzuty, godzące w moją reputację zawodową, elektroniczne zamachy na moje finanse, włamania do domu, ingerencje w życie osobiste i sugestie, bym się zabił.

Mam powody wierzyć, że śmierć Zimmermana to część planu, jaki ułożył, żeby mnie nękać. Nie wierzę, że to było samobójstwo.

Riggins uniosła brwi.

– Jezu, doktorze Starks. Wygląda na to, że nieźle się pan wpakował.

Była pacjentka?

– Nie. Jej dziecko. Nie wiem jeszcze, czyje.

– I uważa pan, że ta osoba namówiła Zimmermana, żeby rzucił się pod pociąg?

– Nie namówiła. Raczej wepchnęła.

– Było tam pełno ludzi i nikt nie widział popchnięcia. Zupełnie nikt.

– Brak świadków naocznych nie wyklucza, że tak było. Kiedy nadjeżdża pociąg, wszyscy na peronie automatycznie patrzą w jego stronę.

Jeśli Zimmerman stał z tyłu, co sugeruje brak dokładnych zeznań świadków naocznych, jak trudno byłoby popchnąć go lub szturchnąć?

– Cóż, doktorze, oczywiście, ma pan rację. Nietrudno. Całkiem łatwo.

I oczywiście scenariusz, który pan przedstawił, jest nam znajomy.

W ciągu kilku ostatnich lat spotkaliśmy się z kilkoma zabójstwami, których dokonano w ten sposób. Ma pan również rację, że kiedy zbliża się pociąg, głowy wszystkich zwrócone są w jego kierunku, przez co prawie wszystko, co dzieje się z tyłu peronu, uchodzi niezauważone. Ale mamy zeznania LuAnne, która mówi, że skoczył, a mimo tego, że trudno na niej polegać, zawsze to coś. Mamy też list i nieszczęśliwego rozgniewanego człowieka z depresją i z despotyczną matką, patrzącego na życie z czymś, co można by uznać za rozczarowanie.

Ricky pokręcił głową.

– Teraz mówi pani, jakby szukała wymówek. Mniej więcej o to samo oskarżyła mnie pani, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy.

– Doktorze, wydaje mi się, że powinien pan pójść z tą historią do kogoś, kto będzie w stanie panu pomóc.

– A kto to taki? – spytał. – Jest pani policyjnym detektywem. Opowiedziałem pani o przestępstwach. Może niedosłych. Czy nie powinna pani napisać jakiegoś raportu?

– Nie chce pan złożyć oficjalnego doniesienia?

Ricky spojrział na nią poważnie.

– A powinienem? Co się wtedy stanie?

– Przekażę je mojemu przełożonemu, który pomyśli, że to jakieś wariactwo, a potem kanałami policyjnej biurokracji prześle dalej, aż za kilka dni zadzwoni do pana jakiś inny detektyw, jeszcze bardziej sceptyczny niż ja. Komu mówił pan o tych wydarzeniach?

– Kierownictwom banków i Towarzystwu Psychoanalitycznemu... – Jeśli uznają, że to działalność przestępcza, to chyba przekazują takie sprawy FBI albo stanowym służbom śledczym. Wydaje mi się, że powinien pan porozmawiać z kimś z wydziału wymuszeń i oszustw departamentu policji. Gdyby chodziło o mnie, postarałabym się też o jakiegoś prywatnego detektywa. I cholernie dobrego prawnika.

– Jak mam to zrobić? Skontaktować się z departamentem policji... – Podam panu nazwisko i numer telefonu.

– Nie sądzi pani, że to pani powinna się tym zająć? Jako kontynuacją sprawy Zimmermana?

– Mogłabym – powiedziała ostrożnie. – Ale muszę się nad tym zastanowić.

Ciężko jest otworzyć sprawę, która została już zamknięta.

– Ale nie jest to niemożliwe?

– Trudne, ale nie niemożliwe.

– Może pani uzyskać zgodę przełożonego... – zaczął Ricky.

– Nie wiem, czy chcę znowu otwierać te drzwi – przerwała mu detektyw.

– Kiedy powiem szefowi oficjalnie, że jest problem, będzie musiał uruchomić biurokrację. Myślę, że sama trochę poszperam. Może. Wie pan co, doktorze, zróbmy tak: przyjrzę się kilku sprawom, a potem się z panem skontaktuję. Mogę przynajmniej sprawdzić komputer w sypialni Zimmermana. Plik z listem ma pewnie datę. Zrobię to dzisiaj wieczorem albo jutro. Może być?

– Świetnie – powiedział Ricky. – Dzisiaj byłoby lepiej. Mam pewne ograniczenia czasowe. A pani może mi podać nazwisko i numer właściwego człowieka w departamencie policji.

To była rozsądna umowa. Detektyw skinęła głową. Ricky czuł satysfakcję, widząc, że jej lekko sarkastyczny ton zmienił się, kiedy tylko zasugerował, że mogła zaważyć sprawę. Nawet jeśli tak nie było, w świecie, w którym awanse i podwyżki były powiązane ze skutecznością w rozwiązywaniu spraw, myśl, że przeoczyła morderstwo i zakwalifikowała je jako samobójstwo, była czymś, czego obawiałby się każdy biurokrata.

– Czekam na pani telefon jak najszybciej – powiedział.

Ricky wstał z poczuciem, że zadał cios przeciwnikowi. Nie było to poczucie tryumfu, ale przynajmniej nie miał już wrażeń, że jest na świecie sam.

Taksówką podjechał do Lincoln Center, do opery. Była pusta, nie licząc kilku turystów i strażników. Naprzeciwko toalet znajdował się tam szereg automatów telefonicznych. Ich zaletą było to, że rozmawiając, mógł jednocześnie widzieć, czy ktoś wszedł za nim do budynku. Wątpił,

by komukolwiek udało się podejść wystarczająco blisko, by podsłuchać, do kogo dzwoni.

Tak jak podejrzewał, numer do doktora Lewisa okazał się nieaktualny.

Podano mu jednak nowy, z innym kodem kierunkowym. Na połączenie z nim Ricky zużył większość posiadanych dwudziestopięciocentówek.

Słuchając sygnału, pomyślał, że doktor Lewis musi mieć już osiemdziesiąt kilka lat; nie było pewne, czy obywa się bez żadnej pomocy. Ricky wiedział jednak, że to jedyny sposób, w jaki może wyrobić sobie jakiś pogląd na sytuację, a biorąc pod uwagę, jak rozpaczliwy był każdy jego krok, musiał to zrobić.

Telefon zadzwonił co najmniej osiem razy, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Poproszę z doktorem Lewisem.

– Przy telefonie.

Ricky nie słyszał tego głosu od dwudziestu lat, a mimo to wywołał on w nim niespodziewane uczucia. Zalała go nienawiść, obawa, miłość i frustracja.

Z trudem zmusił się do zachowania chociaż odrobiny spokoju.

– Doktorze Lewis, mówi doktor Frederick Starks... Obaj milczeli przez chwilę, jakby przytłoczył ich sam fakt rozmowy przez telefon po tak wielu latach.

Doktor Lewis odezwał się pierwszy.

– No, niech mnie. Miło cię słyszeć, Ricky, nawet po tylu latach. A oto niespodzianka.

– Przepraszam, doktorze, że odzywam się tak nagle, ale nie wiedziałem, do kogo się zwrócić.

Znów zapadła krótka cisza.

– Masz kłopoty, Ricky?

– Tak.

– A narzędzia autoanalizy nie wystarczają?

– Nie. Miałem nadzieję, że poświęci mi pan trochę czasu i że porozmawiamy.

– Nie przyjmuję już pacjentów – powiedział Lewis. – Emerytura.

Wiek. Zniedołężnienie. Starzenie się, które jest straszne. Wszystko po prostu ucieka.

– Spotka się pan ze mną?

– W twoim głosie słyszę zniecierpliwienie. Masz kłopoty?

– Jestem w wielkim niebezpieczeństwie i mam mało czasu.

– No, no, no... – Ricky wyczuł, że stary człowiek się uśmiechnął. – To brzmi naprawdę intrygująco. Myślisz, że będę w stanie ci pomóc?

– Nie wiem. Może.

– To słowa prawdziwego terapeuty. Obawiam się, że będziesz musiał tu przyjechać. Nie mam już gabinetu w centrum.

– Gdzie jest to „tutaj”? – spytał Ricky.

– Rhinebeck, przy River Road. Wspaniałe miejsce na emeryturę, jeśli nie liczyć cholernych zim. Ale teraz jest tu uroczo. Możesz podjechać pociągiem z Pennsylvania Station.

– Jeśli przyjadę dziś po południu... – Porozmawiamy, kiedykolwiek przyjedziesz. To jedna z niewielu zalet emerytury. Brak istotnych spraw do załatwienia. Weź taksówkę z dworca. Oczekuję cię na kolacji.

Ricky wcisnął się w róg siedzenia na samym końcu ostatniego wagonu i spędził większość popołudnia, wyglądając przez okno. Pociąg jechał na północ, wzdłuż rzeki Hudson, czasami tak blisko brzegu, że od wody dzieliły go zaledwie metry. Ricky patrzył na nią, zafascynowany odcieniami błękitu i zieleni, jakie przybierała, od niemal czarnego przy brzegach, do jaśniejszego, żywszego niebieskiego na środku nurtu. Po rzece płynęły żaglówki, tryskające spod dziobów białymi wachlarzami piany, a środkiem od czasu do czasu przesuwała się wielka barka towarowa.

W oddali wznosiły się szarobrazowe kolumny skał, zwieńczone ciemną zielenią drzew. Ricky widział otoczone trawnikami posiadłości, tak ogromne, że ich wartość trudno było sobie wyobrazić. Przy West Point mignęła mu akademia wojskowa, położona wysoko na szczycie wzgórza. Kanciaste budynki robiły wrażenie szarych i wyprężonych na baczność niczym szereg umundurowanych kadetów. Rzeka była szeroka i gładka; Ricky bez trudu wyobraził sobie odkrywcę, który nadał jej imię pięćset lat temu.

Przez jakiś czas patrzył na wodę, niepewny, w którą stronę płynie, czy do miasta i leżącego za nim oceanu, czy pnie się na północ, pchana przyływem i siłą obrotu Ziemi. Zmartwiło go trochę, że patrząc na powierzchnię rzeki, nie potrafi ustalić kierunku prądu.

W Rhinebeck wysiadło zaledwie kilka osób. Ricky zatrzymał się na chwilę na peronie, przyglądając się każdej z osobna, wciąż dręczony myślą, że mimo jego wysiłków komuś udało się go wyśledzić. Zobaczył kilkoro roześmianych młodych ludzi, studentów college'u w dzinsach i szortach, matkę z trójką dzieci, próbującą nie stracić cierpliwości do małego jasnowłosego chłopca, oraz dwóch zaferowanych biznesmenów, rozmawiających przez telefony komórkowe. Żadne z nich nawet nie spojrzało na Ricky'ego, z wyjątkiem chłopca, który zatrzymał się, pokazał mu język, po czym pobiegł w górę długimi schodami prowadzącymi do budynku dworca. Ricky zaczekał, aż pociąg ruszy, i przekonany, że nikt więcej nie wysiadł, opuścił peron. Gdy wyszedł na ulicę, zobaczył pobijany samochód z napisem TAXI i wgniecionym przodem. Kierowca miał właśnie odjeżdżać, kiedy zobaczył Ricky'ego, i z piskiem zahamował przy krawężniku.

– Podwieźć pana, szefie? – spytał.

– Tak, poproszę – odparł Ricky.

– Tylko ja zostałem. Miałem już jechać, kiedy zobaczyłem, jak pan wychodzi. Wskakuj pan.

Ricky wsiadł i podał adres doktora Lewisa.

– O, okolica pierwsza klasa – stwierdził taksówkarz, przyspieszając z cichym piskiem opon.

Droga była krętą, wąską, dwukierunkową wiejską szosą. Majestatyczne dęby osłaniały ją sklepieniem liści, tak że słabe wieczorne światło wydawało się opadać na ziemię jak mąka przesiana przez sito. Teren wznosił się lekko i opadał niczym fale na spokojnym oceanie. Ricky widział stadka koni na łąkach, a w dali imponujące rezydencje. Domy stojące bliżej drogi były stare, często drewniane, z małymi tabliczkami z datą powstania wywieszonymi w widocznych miejscach, żeby przejeżdżający wiedzieli, że ten dom został zbudowany w 1788 roku, a ten w 1802. Ricky widział kolorowe kwietniki i ubranych w T-shirty właścicieli, siedzących na przypominających małe traktorki kosiarkach i przycinających zagony zielonych traw. To doskonała okolica, by się ukryć, pomyślał. Życie większości mieszkańców toczy się zapewne w jaskiniach Manhattanu, gdzie pracują nad zdobyciem pieniędzy, władzy albo prestiżu, a często wszystkich tych trzech rzeczy jednocześnie. Tutaj przyjeżdżają na weekendy i urlopy, absurdalnie drogie, ale za to z muzyką świerszczy w nocy.

Taksówkarz zauważył jego wzrok.

– Nieźle, co? Niektóre z tych posiadłości kosztowały parę dolarów.

– Założę się, że w weekendy nie można znaleźć wolnego miejsca w restauracji – odparł Ricky.

– W lecie albo w czasie ferii, tu ma pan rację. Ale nie każdy jest miastowy. Niektórzy zapuszczają tu korzenie. Wystarczy ich, żeby nie zrobiło się miasto duchów. To ładna okolica. – Zwolnił i ostro skręcił w podjazd po lewej. – Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Dom doktora Lewisa był jedną ze starych odnowionych farm – prostą dwukondygnacyjną budowlą, pomalowaną na kłującą w oczy biel, z wymalowaną na jednym z narożników datą 1791. Nie była to jedna z tych okazałych rezydencji, jakie mijali po drodze. Front pokrywała winorośl, przy ścieżce do drzwi rosły kwiaty, a na końcu podwórka widać było niewielkie oczko wodne. Między drzewami rozpięty był hamak i stało kilka obłożonych z farby białych krzeseł. Przed dawną stajnią, teraz służącą za garaż, zaparkowane było dziesięcioletnie volvo kombi.

Taksówka odjechała, a Ricky przystanął na skraju żwirowego podjazdu.

Nagle zdał sobie sprawę, że ma puste ręce. Nie niesie torby, żadnego upominku, nawet pospolitej butelki średnio drogiego, białego wina.

Owładnęły nim sprzeczne uczucia. Nie był to strach; to samo czuje dziecko, które wie, że musi powiedzieć rodzicom o tym, że coś popsuło. Ricky uśmiechnął się, zrozumiawszy, że uczucia, które przyprawiły go o drżenie kolan i przyspieszony puls były zupełnie normalne. Relacja między analitykiem i analizowanym jest głęboka, prowokująca i działa na wiele sposobów, z których jeden przypomina stosunki dziecka z dorosłym. Ricky wiedział, że to integralna część procesu przeniesienia, podczas którego psychoanalityk powoli zaczyna

odgrywać rolę kogoś innego, co w efekcie prowadzi do zrozumienia. Mimo to, pomyślał Starks, niewielu lekarzy ma taki wpływ na pacjentów. Ortopeda po upływie wielu lat i obejrzeniu setek stawów prawdopodobnie nie pamiętałby żadnego właściciela kolana czy biodra, które operował. Analityk jednak pamięta, jeśli nie wszystko, to przynajmniej dużo; umysł jest większym wyzwaniem niż kolano, chociaż czasami działa mniej skutecznie.

Ricky ruszył powoli przed siebie, rozglądając się uważnie. To jeden z kolejnych kluczy do psychoanalizy: lekarz wie niemal wszystko o uczuciach i intymnych przeżyciach pacjenta, ten zaś nie wie prawie nic o terapii.

Ta niewiedza odzwierciedla najważniejsze niewiadome życia i rodziny, a wkraczaniu w nieznane zawsze towarzyszy uczucie fascynacji i lęku. Doktor Lewis mnie zna, pomyślał Ricky, a teraz ja dowiem się czegoś o nim, a to zmieni sytuację. To spostrzeżenie sprawiło, że zaczął się pocić z nerwów.

Kiedy był w połowie drogi do schodów na ganek, frontowe drzwi otworzyły się szeroko.

– Przypuszczam, że czujesz się trochę nieswojo – usłyszał, zanim jeszcze zobaczył doktora.

– Czyta pan w moich myślach – odparł Starks. Był to stary dowcip psychoanalityków.

Weszli do gabinetu. Ricky rozglądał się ciekawie, dodając szczegóły do tego, co sobie wyobrażał. Książki. Klosz lampy od Tiffany’ego. Orientalny dywan. Jak w przypadku wielu starych domów, wewnątrz utrzymane było w ciemnej tonacji, kontrastującej ze ścianami. W środku panował chłód, jakby na noc zostawiano otwarte okna, a dom zapamiętał niższą temperaturę. Ricky poczuł słaby zapach bzu, miesząc się z zapachami kuchni.

Doktor Lewis był szczupłym mężczyzną, nieco przygarbionym. Z uszu sterczały mu kępki włosów, co sprawiało, że wyglądał trochę dziwnie.

Okulary zsunięte miał na czubek nosa, tak że rzadko kiedy przez nie patrzył. Na dłoniach widać było plamy wątrobowe, a palce lekko mu drżały.

Poruszał się powoli, nieco utykając. Usiadł w wielkim, obitym czerwoną skórą fotelu, wskazując Ricky’emu nieco mniejszy, stojący metr czy dwa dalej. Starks osunął się w jego miękkie objęcia.

– Cieszę się, że cię widzę, Ricky, nawet po tylu latach. Ile to już minęło?

– Ponad dziesięć. Dobrze pan wygląda, doktorze.

Lewis uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie powinieneś chyba zaczynać rozmowy od oczywistego kłamstwa, chociaż w moim wieku chętniej się je przyjmuje niż prawdę. Prawda zawsze jest tak cholernie nieprzyjemna. Potrzebne mi nowe biodro, nowy pęcherz, nowa prostata, para nowych oczu i uszu, do tego kilka nowych zębów. Przydałyby się też nowe stopy. Prawdopodobnie również nowe serce, ale niczego takiego nie dostanę. W garażu chciałbym mieć nowy samochód, a dom potrzebuje wymiany rur. Właściwie ja też. Ale z dachem wszystko w porządku – postukał się w czoło. – Moim też. –

Zachichotał. – Jestem pewien, że nie znalazłeś mnie dlatego, że chciałeś się dowiedzieć, co u mnie słychać. Zapomniałem zarówno o szkoleniu, jak i dobrych manierach. Dołączysz do mnie, oczywiście, przy kolacji.

Kazałem przygotować dla ciebie pokój gościnny. A teraz zamknę się już – wszyscy uważamy, że w tym jesteśmy dobrzy – a ty powiesz mi, co cię sprowadza.

Ricky zawahał się, nie wiedząc, jak zacząć. Spojrzał na staruszkę zatopionego w głębokim fotelu i poczuł, że coś w nim pęka. Samokontrola zniknęła, a słowa przecisnęły się między drżącymi wargami.

– Sądzę, że zostałem mi tylko tydzień życia – wykrztusił.

– Jesteś chory, Ricky?

Starks pokręcił głową.

– Chyba muszę się zabić.

Stary analityk pochylił się w jego stronę.

– To poważna sprawa – rzekł.

Rozdział 14

Ricky mówił bez przerwy przez ponad godzinę. Doktor Lewis ani razu mu nie przerwał. Siedział nieruchomo w fotelu z brodą opartą na dłoni. Raz czy dwa Starks wstawał, by przejść się po gabinecie, jakby ruch stóp mógł przyspieszyć opowieść, po czym wracał na fotel. Kilka razy czuł spływający spod pach pot, chociaż przez otwarte okna wpadał przyjemny chłód wieczoru.

Słyszał dochodzący zza rzeki odległy grzmot Catskills, brzmiący jak łoskot artylerii. Przypomnił sobie, że według miejscowej legendy odgłos ten wydawały skrzaty i elfy, grające w kręgle pod zielonymi wzgórzami.

Opowiedział doktorowi Lewisowi o pierwszym liście, o wierszach i groźbach, o stawce, o jaką toczyła się gra. Opisał Wergiliusz i Merlina, i nieistniejącą kancelarię adwokacką. Starał się niczego nie opuszczać; od elektronicznych napadów na jego konta bankowe i inwestycje, po pornograficzną wiadomość, wysłaną jego odległej krewnej na urodziny, które obchodzili tego samego dnia. Długo opisywał Zimmermana, jego leczenie, śmierć i dwie wizyty u detektyw Riggins. Opowiedział o sfabrykowanym oskarżeniu o molestowanie seksualne, lekko się przy tym czerwieniąc. Chwilami mówił nieskładnie, na przykład, gdy opisywał włamania do swojego gabinetu i braku poczucia bezpieczeństwa, albo opowiadając o swoim pierwszym pytaniu zamieszczonym w „Timesie” i odpowiedzi Rumpelstiltskina. Skończył trochę niezgodnie z chronologią wydarzeń, mówiąc o wrażeniu, jakie zrobiły na nim fotografie trojga młodych ludzi, które pokazała mu Wergiliusz. Potem zamilkł, opadł na oparcie fotela i po raz pierwszy spojrzał prosto na starego lekarza, który siedział zamyślony, jakby próbując ogarnąć ogrom zła, które spadło na Ricky’ego.

– Bardzo interesujące – powiedział w końcu, odchylając się do tyłu i wzdychając. – Zastanawiam się, czy ten Rumpelstiltskin jest filozofem.

Czy to nie Camus twierdził, że jedynym wyborem, jaki człowiek ma w życiu, to decyzja, czy popełnić samobójstwo, czy nie? Ostateczna kwestia egzystencjalna.

– Myślałem, że to Sartre. – Ricky wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że to podstawowe pytanie, Ricky, pierwsze i najważniejsze, jakie zadał Rumpelstiltskin.

– Przepraszam, co... – Zabijesz się, żeby ratować kogoś innego?

– Nie jestem pewien – wymamrotał Starks zaskoczony. – Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek poważnie brał to pod uwagę.

Doktor Lewis poruszył się w fotelu.

– To nie jest takie znów nierozsądne – powiedział. – Jestem pewien, że twój prześladowca poświęcił wiele godzin, zastanawiając się, jaka będzie twoja odpowiedź. Jakim jesteś człowiekiem? Jakim lekarzem?

Ponieważ to jest podstawowe pytanie: zabijesz się? Szczerość jego gróźb wydaje się być udowodniona; przekonał cię, że popełnił już jedno morderstwo, więc do następnego też będzie zdolny. A są to, wybac mi cynizm, niezwykle łatwe morderstwa. Ofiary nic dla niego nie znaczą. To po prostu środki, dzięki którym może się zbliżyć do ciebie. Do tego dokonał zbrodni w taki sposób, że prawdopodobnie żaden agent FBI ani detektyw, nawet Maigret, Hercules Poirot, panna Marple czy inny Holmes nie byłiby w stanie ich rozwiązać. Pomyśl o tym, Ricky, bo to naprawdę diabelskie i cudownie egzystencjalne zagadnienie. Akt zadania śmierci ma miejsce w Paryżu, Gwatemali albo Bar Harbor w Maine. Jest nagły, spontaniczny, a ofiary nie mają pojęcia, co je czeka. Zostają po prostu zlikwidowane. Jak trafione piorunem. A osoba, która ma z tego powodu cierpieć, znajduje się setki, tysiące kilometrów dalej. To koszmar każdego policjanta, który musiałby cię odszukać, znaleźć mordercę stworzonego w twojej przeszłości i w jakiś sposób połączyć go z wydarzeniem, mającym miejsce nawet w dalekim kraju, użerając się z biurokracją i utrudniającymi wszystko dyplomatami. I to zakładając, że znajdą mordercę.

Prawdopodobnie zabezpieczył się fałszywymi tożsamościami i zwodniczymi tropami tak dobrze, że będzie to niemożliwe. Policja ma problemy z wykryciem sprawcy, nawet dysponując zeznaniami naocznych świadków i próbkami DNA. Nie, Ricky, wydaje mi się, że to przekracza ich możliwości.

– Więc mówi pan... – Odpowiedz sobie na proste pytanie: czy możesz wygrać? Uda ci się ustalić tożsamość człowieka, zwanego Rumpelstiltskinem w ciągu kilku dni, które ci zostały? Jeśli nie, czy zabijesz się, żeby uratować kogoś innego? To najbardziej intrygujące pytanie, jakie można zadać lekarzowi.

Zajmujemy się w końcu ratowaniem życia, ale posługujemy się lekami, wiedzą, zręcznością w operowaniu skalpelem. W tym wypadku czymś lekarstwem jest twoje życie. Jesteś zdolny do takiej ofiary? A jeśli nie, to czy będziesz mógł dalej żyć? Zewnętrznie, przynajmniej to nie jest trudne. Skomplikowane rzeczy dzieją się, hmm, w środku.

– Sugeruje pan... – zaczął Ricky, jękając się lekko.

Spojrzał na staruszkę i zobaczył, że cień, rzucany przez stojącą na biurku lampę podzielił jego twarz na pół. Lewis gestykułował dłonią o długich, przypominających szpony, wychudzonych palcach.

– Niczego nie sugeruję. Wykazuję ci jedynie, że zrobienie dokładnie tego, czego zażądał ten dżentelmen, jest realną alternatywą. Ludzie poświęcają się, żeby inni mogli żyć. Żołnierze w walce. Strażacy w płomieniach.

Policjanci na ulicach miast. Czy twoje życie jest aż tak słodkie i produktywne, że automatycznie możemy założyć, iż jest więcej warte od życia kogoś innego?

Ricky poruszył się w fotelu, jakby skórzane obicie nagle nabrało twardości drewna.

– Nie mogę uwierzyć... – urwał.

Doktor Lewis spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Przykro mi. Oczywiście nie zastanawiałeś się nad tym świadomie.

Ale ciekaw jestem, czy nie zadawałeś sobie tych pytań podświadomie i czy nie to właśnie skłoniło cię, by mnie odnaleźć.

– Przyjechałem po pomoc – powiedział Ricky, może trochę za szybko.

– Potrzebuję pomocy w grze.

– Naprawdę? Może na jednym poziomie. Być może na innym przyjechałeś po coś innego.

Przyzwolenie? Błogosławieństwo?

– Muszę zbadać okres, kiedy matka Rumpelstiltskina była moją pacjentką. Musi mi pan w tym pomóc, ponieważ zablokowałem ten etap swojego życia. Wydaje się, jakby czekał tuż poza zasięgiem ręki. Musi mi pan pomóc się z tym uporać. Wiem, że potrafię zidentyfikować pacjentkę, która połączy mnie z Rumpelstiltskinem, ale sam nie dam rady.

Wierzę, że ta kobieta to ktoś, z kim spotykałem się w tym samym czasie, kiedy pan był moim terapeutą. Musiałem panu o niej wspominać w czasie naszych sesji. To, czego potrzebuję, to kogoś, z kim będę mógł omówić swoje pomysły. Kogoś, od kogo będę mógł odbić te stare wspomnienia.

Jestem pewien, że rozmawiając, wydobędę to nazwisko z podświadomości.

Doktor Lewis znów skinął głową.

– To rozsądna prośba i inteligentne podejście. Analityczne. Lekarstwem jest rozmowa, nie działanie. Czy jestem okrutny, Ricky? To pewnie starość. Oczywiście, pomogę ci. Ale wydaje mi się, że mądrze będzie przyjrzeć się również terażniejszości, bo w końcu będziesz musiał poszukać odpowiedzi także w niej. A może też w przyszłości. Dasz radę?

– Nie wiem.

Staruszek uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Oto klasyczna odpowiedź psychoanalityka. Piłkarz, prawnik albo biznesmen powiedziałby: „Jasne, że mogę!” Ale my, analitycy, zawsze się asekurujemy. Pewność nie jest czymś, z czym czujemy się dobrze, prawda? – Odetchnął głęboko i wiercił się przez chwilę w fotelu. – Problem w tym, że ten facet, który chce dostać twoją głowę na talerzu, nie wydaje się tak niezdecydowany i targany wątpliwościami, prawda?

– Tak – odparł szybko Ricky. – Wszystko ma zaplanowane i przemyślane.

Mam wrażenie, że przewidział każdy mój ruch.

– Też mi się tak wydaje.

Ricky skinął głową. Doktor Lewis wrócił do zadawania pytań.

– Czy powiedziałbyś, że jest przebiegły i zna się na psychologii?

– Takie odnoszę wrażenie.

– W niektórych grach to podstawa wygranej. Na przykład w futbolu.

Na pewno w szachach.

– Sugeruje pan... – Żeby wygrać partię szachów, musisz planować z większym wyprzedzeniem niż twój przeciwnik. Ten pojedynczy ruch, wykraczający poza to, co sobie wyobraził, oznacza szach-mat i twoje zwycięstwo. Myślę, że powinieneś zrobić to samo.

– Jak... Lewis wstał.

– Nad tym będziemy się zastanawiać podczas skromnej kolacji i przez resztę wieczoru. – Uśmiechnął się, z igrzącą w kącikach ust drwiną. – Oczywiście, przyjmujesz za pewnik pewien bardzo ważny czynnik.

– Jaki? – spytał Ricky.

– Wydaje się oczywiste, że ten Rumpelstiltskin spędził miesiące, a prawdopodobnie lata, na planowaniu tego wszystkiego, co ci się przydarzyło. Zemsta wymaga rozważenia wielu spraw, a jak słusznie zauważyłeś, przewidział każdy twój ruch.

– Tak. To prawda.

– Zastanawiam się więc – ciągnął wolno Lewis – dlaczego zakładasz i wierzysz, że nie zwerbował mnie, być może groźbą lub w jakiś inny sposób, do pomocy w osiągnięciu swojego celu? Może jakoś mi zapłacił?

Dlaczego zakładasz, Ricky, że jestem po twojej stronie?

Nie czekając na odpowiedź, doktor pokuśtykał do kuchni.

Na starym stole na środku kuchni leżały dwa nakrycia, stał dzbanek wody z lodem, a w wiklinowym koszyku pokrojony na kromki chleb.

Doktor Lewis zdjął z kuchenki zapiekankę, po czym wyjął z lodówki sałatkę. Stawiając garnek na stole, mrucał jakąś melodię. Ricky rozpoznał w niej kilka taktów Mozarta.

– Siadaj, Ricky. To, co stoi przed nami, to kurczak. Częstuj się.

Ricky nalał sobie szklankę wody i wypił ją jak człowiek, który właśnie przeszedł przez pustynię. Nie ugasiło to jego pragnienia.

– Zrobił to? – spytał nagle ostro, z trudem rozpoznając własny głos, bo brzmiał wysoko i piskliwie.

– Zrobił co?

– Czy Rumpelstiltskin się z panem skontaktował? Bierze pan udział w tym wszystkim?

Doktor Lewis usiadł, starannie rozłożył serwetkę na kolanach, nałożył sobie sporą porcję zapiekanki i sałatki.

– Zapytam w ten sposób, Ricky – powiedział w końcu powoli. – Jaka to różnica?

– Ogromna – wyjąkał Starks. – Muszę wiedzieć, czy mogę panu ufać.

Staruszek pokiwał głową.

– Doprawdy? Zaufanie, moim zdaniem, jest trochę przereklamowane.

Co do tej pory zrobiłem, by utwierdzić cię w twoim zaufaniu do mnie?

– Nic.

– W takim razie jedź. Zapiekankę zrobiła moja gosposia i zapewniam cię, że jest całkiem niezła, chociaż, niestety, nie tak dobra jak ta, którą robiła moja świętej pamięci żona. Wyglądasz, Ricky, jakbyś zupełnie o siebie nie dbał.

– Muszę wiedzieć. Czy Rumpelstiltskin pana zwerbował?

Doktor Lewis potrząsnął głową, ale nie była to przecząca odpowiedź na pytanie Ricky'ego, a raczej komentarz sytuacji.

– Ricky, uważam, że to, czego potrzebujesz, to wiedza. Informacje.

Zrozumienie. Nic, co według ciebie zrobił do tej pory ten człowiek, nie miało na celu wprowadzenia cię w błąd. Kiedy skłamał? Może kancelarii adwokata nie było tam, gdzie powinna być, ale wygląda to na proste i konieczne oszustwo. W rzeczywistości wszystko, co zrobił, ma cię do niego doprowadzić. A przynajmniej tak to zostało zaplanowane. Daje ci wskazówki.

Przysłała atrakcyjną młodą kobietę, żeby ci pomogła. Uważasz, że naprawdę chce, żebyś nie był w stanie ustalić, kim jest?

– Pomaga mu pan?

– Staram się pomóc tobie, Ricky. Pomaganie tobie może oznaczać pomaganie jemu. Istnieje taka możliwość. Teraz jedź. To bardzo dobra rada.

– Muszę wiedzieć, że jest pan po mojej stronie.

Lewis wzruszył ramionami.

– Czy odpowiedź na to pytanie nie stanie się oczywista, kiedy gra dobiegnie końca? – Pokroił zapiekankę i włożył spory kawałek do ust.

– Przyjechałem do pana jako przyjaciel. Jako były pacjent. To pan pomógł mi w szkoleniu, a teraz... Lewis machnął widelcem jak stojący przed niezgraną orkiestrą dyrygent.

– Czy uważasz ludzi, których leczysz, za swoich przyjaciół?

Ricky zawahał się, po czym pokręcił głową.

– Nie. Oczywiście, że nie. Ale szkolenie analityka to nie to samo.

– Doprawdy? Nie masz w tej chwili jednego czy dwóch pacjentów w podobnej sytuacji?

Obaj zamilkli, pozwalając pytaniu zawisnąć w powietrzu. Ricky wiedział, że odpowiedź na nie brzmi „tak”, ale nie chciał wypowiedzieć jej na głos. Po chwili Lewis machnął ręką.

– Muszę wiedzieć – rzucił ostro Ricky.

Lewis miał denerwująco obojętny wyraz twarzy, idealny do pokerowego stolika. Ricky zagotował się, rozpoznając go. Takiego samego spojrzenia, nie aprobującego i nie ganiącego, nie okazującego szoku, zaskoczenia, strachu ani złości używał w kontaktach z pacjentami. Była to jedna z głównych broni psychoanalityka, najważniejszy element jego pancerza.

Stary człowiek pokręcił wolno głową.

– Wcale nie musisz, Ricky. Jedyne, co musisz wiedzieć, to to, czy chcę ci pomóc. Moje motywy nie mają znaczenia. Może Rumpelstiltskin coś na mnie ma. Może nie ma. To, czy zagraża mnie czy komuś z moich bliskich, w ogóle się nie liczy. W naszym świecie pytanie, czy jesteśmy bezpieczni, jest wszechobecne, prawda? Czy żaden związek nie jest zagrożony?

Czy nie ranią nas częściej ci, których kochamy i szanujemy, niż ci, których nienawidzimy i obawiamy się?

Ricky nie odpowiedział, ale Lewis zrobił to za niego.

– Odpowiedź, której nie jesteś w stanie z siebie wydusić, brzmi „tak”.

A teraz zjedz kolację. Przed nami długa noc.

Jedli w milczeniu. Zapiekanka była doskonała; po niej spróbowali szarlotki domowej roboty z lekkim posmakiem cynamonu. Gorąca czarna kawa przypominała im o nadchodzących godzinach, kiedy będą potrzebowali energii. Ricky pomyślał, że nigdy nie jadł tak zwyczajnego, a zarazem dziwnego posiłku. Był jednocześnie straszliwie głodny i wściekły. Jedzenie w jednej chwili smakowało wspaniale, a w następnej wydawało się zimne i suche. Po raz pierwszy od lat, jak mu się zdawało, przypomniał sobie samotne posiłki, spożywane w momentach, kiedy leki przeciwbólowe wprawiały jego żonę w przypominające sen odrętwienie, w ostatnich dniach jej życia. Ta kolacja, pomyślał, smakowała bardzo podobnie.

Doktor Lewis wstawił talerze do zlewu. Dolał sobie kawy, po czym zaprosił Ricky’ego do gabinetu. Wrócili na poprzednio zajmowane miejsca, siadając twarzą w twarz.

Ricky opanował złość, w jaką wprawiło go niejasne i zagadkowe zachowanie doktora. Postanowił obrócić frustrację na swoją korzyść. Było to jednak dość trudne. Wiercił się w fotelu jak dziecko, które dostaje reprimendę za coś, czego nie zrobiło.

Lewis przyglądał mu się uważnie. Ricky wiedział, że staruszek doskonale zdaje sobie sprawę ze wszystkich emocji, jakie nim miotają.

– Gdzie chciałbyś zacząć, Ricky?

– W przeszłości. Dwadzieścia trzy lata temu. Kiedy po raz pierwszy do pana przyszedłem.

– Pamiętam, że byłeś pełen nadziei i entuzjazmu.

– Wierzyłem, że mam moc ocalenia świata od rozpacz i szaleństwa.

W pojedynkę.

– I udało ci się to?

– Nie. Przecież pan wie. Nigdy się nie udaje.

– Ale kogoś uratowałeś?

– Mam nadzieję. Tak myślę.

Doktor uśmiechnął się jak kot.

– Znow mówisz jak psychoanalityk. Odpowiadasz niezobowiązująco i wymijająco. W moim wieku interpretuje się to już inaczej. Wraz ze sztywnieniem żył i stawów, kosztują też poglądy.

Zadam ci bardziej szczegółowe pytanie: kogo uratowałeś?

Ricky chciał zdławić pierwszą odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy, ale nie potrafił. Słowa wyslizgiwały się z jego ust jak wysmarowane oliwą.

– Nie umiałem ocalić osoby, na której najbardziej mi zależało.

Lewis skinął głową.

– Mów dalej, proszę.

– Nie. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Stary analityk uniósł lekko brwi.

– Doprawdy? Domyślałem się, że mówimy o twojej żonie?

– Tak. Poznaliśmy się. Zakochaliśmy w sobie. Pobraliśmy. Przez lata byliśmy nierozłączni. Zachorowała. Nie mieliśmy dzieci z powodu jej choroby. Zmarła. Ja zostałem sam. Koniec opowieści. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Lewis. – Ale kiedy się poznaliście?

– Na krótko przed tym, jak zacząłem terapię. Spotkaliśmy się na przyjęciu.

Oboje dopiero zaczynaliśmy pracę w swoich zawodach – ona jako adwokat, ja jako lekarz. Chodziliśmy ze sobą podczas mojej terapii. Powinien pan to pamiętać.

– Pamiętam. A kim była z zawodu?

– Adwokatem. Właśnie to powiedziałem. To też powinien pan pamiętać.

– Pamiętam. Ale jakiego rodzaju adwokatem? Dokładnie.

– Kiedy się poznaliśmy, wstąpiła właśnie do Kancelarii Obrońców Publicznych Manhattanu, jako obrońca w sprawach kryminalnych niskiego szczebla. Wypracowywała sobie powoli drogę w górę, do wydziału ciężkich przestępstw, ale potem miała już dość przyglądania się, jak jej klienci idą do więzienia, albo, co gorsza, nie idą. Otworzyła więc skromną i mało popularną prywatną kancelarię. Zajmowała się głównie sprawami cywilnymi i pracą dla Związku Praw Obywatelskich. Pozywała kamieniczników ze slumsów i składała apelacje dla niesłusznie skazanych. Starła się czynić dobro. Lubiła żartować, że jest jedną z niewielu absolwentów prawa z Yale, którzy nigdy się nie dorobili. – Ricky uśmiechnął się, słysząc w głowie głos żony. Ten żart bawił ich przez wiele lat.

– Rozumiem. W okresie, w którym zacząłeś terapię, kiedy zacząłeś chodzić ze swoją żoną, ona zajmowała się broniem przestępców. Stykała się z wieloma wściekłymi osobnikami z marginesu, których bez wątplenia rozwścieczała jeszcze bardziej, prowadząc sprawy przeciwko nim.

A teraz ty masz do czynienia z kimś, kto wygląda na przestępcę, chociaż o wiele bardziej sprytnego niż ci, których znała ona. Jesteś całkowicie pewny, że nie ma tu żadnego związku?

Ricky zamarł z otwartymi ustami. Ta myśl go zmroziła.

– Rumpelstiltskin nie wspominał nic... – Tylko się zastanawiam – powiedział Lewis,

machnąwszy ręką.

Ricky zamilkł, gorączkowo przetrząsając pamięć. Próbował wyobrazić sobie siebie jako młodego człowieka. Czuł się, jakby w granitowym głazie w jego wnętrzu otworzyła się szczelina. Widział siebie, o wiele młodszego, pełnego energii. W chwili, kiedy świat wydawał się stać przed nim otworem. Tamto życie miało niewiele punktów wspólnych z jego obecną egzystencją. Ten rozdźwięk, tak skrzętnie ignorowany i wypierany ze świadomości, teraz go przeraził.

Doktor Lewis musiał to wyczytać z jego twarzy.

– Porozmawiajmy o tym, jaki byłeś dwadzieścia parę lat temu. Ale nie o Rickym Starksie, który z optymizmem patrzył w przyszłość, na swoje życie, pracę i małżeństwo. Porozmawiajmy o Rickym Starksie targanym wątpliwościami.

Miał ochotę zbyć ten pomysł machnięciem ręki, jednak się powstrzymał. Zanurkował głęboko we wspomnienia, przywołując niezdecydowanie i niepokój, przypominając sobie dzień, kiedy po raz pierwszy wszedł do gabinetu doktora Lewisa na Upper East Side. Próba przypomnienia sobie rozterek, które przywiodły go do psychoanalityka tak wiele lat temu, przypominała widmowy ból, jaki czuje się w uciętej nodze, bardzo rzeczywisty i zarazem nieprawdziwy. Kim wtedy byłem? – zastanawiał się Ricky.

– Pamiętam, że dręczyły mnie wtedy ogromne wątpliwości, ogromny niepokój i ogromna obawa – zaczął ostrożnie. – To mogło zrobić ze mnie psychicznego kalekę. To wszystko miało źródło w nadmiernie uwodzicielskiej matce, wymagającym i oschłym ojcu, który młodo umarł oraz w dzieciństwie pozbawionym miłości, a pełnym osiągnięcia cudzych celów.

Byłem najmłodszym dzieckiem, ale zamiast traktować mnie jak skarb, wszyscy stawiali mi niemożliwe do spełnienia wymagania. Tak to wygląda w wielkim skrócie. Tym zajmowaliśmy się podczas terapii. Ale problemy te odbijały się na moich kontaktach z pacjentami. Podczas leczenia widywałem ich w trzech miejscach: w klinice szpitala Columbia Presbyterian; przez krótki czas zajmowałem się poważnie chorymi w Bellevue...

– Tak – skinął głową Lewis. – Badania kliniczne. Pamiętam, że nie podobało ci się specjalnie leczenie ciężko chorych umysłowo... – Tak. Zgadza się. Podawanie psychotropów i pilnowanie, żeby nie robili sobie nawzajem krzywdy. – Ricky pomyślał, że pytanie było trochę zaczepne, ale nie dał się sprowokować. – A potem, przez te lata, dwunastu do osiemnastu pacjentów, poddających się terapii; moje pierwsze psychoanalizy.

O tych przypadkach pan słyszał, kiedy do pana przychodziłem.

– Tak, tak. Z tym bym się zgodził. Nie miałeś przypadkiem opiekuna, człowieka, który nadzorowałby twoje postępy z tymi pacjentami?

– Tak. Doktora Martina Kaplana. Ale on... – Zmarł – przerwał starzec. – Znałem go. Atak serca. Bardzo smutne.

Ricky już miał mówić dalej, kiedy przyszło mu do głowy, że Lewis powiedział to dziwnie

niecierpliwym tonem. Zapamiętał ten fakt i kontynuował:

- Mam problemy z dopasowaniem nazwisk do twarzy.
- Są zablokowane?
- Tak. Powinienem to doskonale pamiętać, a nie mogę ich połączyć.

Przypominam sobie twarz i przypadek, ale nie mogę przypomnieć sobie nazwiska. Albo na odwrót.

– Jak sądzisz, dlaczego?

– Stres. To proste. W napięciu, w jakim ostatnio żyję, trudno przypomnieć sobie proste rzeczy. Pamięć zawodzi.

Lewis znów skinął głową.

– Myślisz, że Rumpelstiltskin o tym wie? Nie sądzisz, że jest ekspertem od psychologii stresu? Być może nawet, na swój sposób, lepszym niż ty, lekarz. Czy to nie mówi ci wiele o tym, kim może być?

- Człowiekiem, który wie, jak ludzie reagują na napięcie i niepokój?
- Oczywiście. Żołnierzem? Policjantem? Prawnikiem? Biznesmenem?
- Albo psychologiem.
- Tak. Kimś takim jak my.
- Ale doktor nigdy by... – Nigdy nie mów nigdy.

Ricky, skruszony, opadł na oparcie.

– Nie jestem wystarczająco dokładny – powiedział. – Trzeba wyeliminować ludzi, których badałem w Bellevue, ponieważ byli zbyt chorzy, by stworzyć kogoś aż tak złego. Pozostaje prywatna praktyka i osoby, które leczyłem w klinice.

– W takim razie najpierw klinika.

Ricky zamknął oczy. Klinika Columbia Presbyterian była labiryntem małych gabinetów na parterze ogromnego szpitala, położonym niedaleko głównego wejścia. Większość pacjentów trafiała tam z Harlemu albo południowego Bronksu. Byli to przeważnie biedni i zapracowani ludzie, wszelkich kolorów skóry i zawodów, dla których choroby umysłowe i nerwice były czymś egzotycznym i odległym. Zajmowali ziemię niczyją psychiatrii, pomiędzy klasą średnią a bezdomnymi. Ich problemy były bardzo realne. Ricky spotykał się z nadużywaniem narkotyków, wykorzystywaniem seksualnym i przemocą. Widział wiele samotnych matek, porzuconych przez mężów, z zahartowanymi dziećmi o zimnym spojrzeniu, których sukcesy kończyły się na wstąpieniu do ulicznego gangu. W tym tłumie zdesperowanych i pozbawionych perspektyw ludzi znalazło się więcej niż kilka osób, które zostały groźnymi przestępcami.

Handlarzami narkotyków, alfonsami, złodziejami i mordercami.

Pamiętał, że niektórzy z pacjentów przychodzących do kliniki roztaczali wokół siebie aurę okrucieństwa, spowijającą ich niczym zapach.

Były to matki i ojcowie, dokładający starań, by wychować następne pokolenie miejskich psychopatów-kryminalistów. Ricky wiedział jednak również, że ludzie ci wyładowywali swój gniew na sobie podobnych.

Jeśli atakowali kogoś spoza swojej grupy społecznej, działo się to przypadkiem.

Biznesmena, którego mercedes zepsuł się na autostradzie wiodącej przez Bronx, nadzianego turystę ze Szwecji, który o niewłaściwej porze wsiadł do niewłaściwego pociągu metra, jadącego w niewłaściwym kierunku.

Widziałem wiele zła, pomyślał Ricky. Ale odsunąłem się od niego.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Wszyscy ludzie, których widziałem w klinice, byli społecznie upośledzeni. Pochodzili z marginesu.

Myślę, że osoba, której szukam, jest jedną z pierwszych, które analizowałem. A Rumpelstiltskin powiedział mi już, że to jego matka. Ale wtedy nosiła panieńskie nazwisko. „Panna” – powiedział.

– Interesujące – stwierdził doktor Lewis. W jego oczach błysnęło zaintrygowanie tym, co powiedział Ricky. – Rozumiem, dlaczego tak myślisz, i uważam, że to ważne, by zawęzić krąg poszukiwań. Ile z tych pacjentek nie miało mężów?

Ricky milczał przez chwilę, przypominając sobie kilka twarzy.

– Siedem – odparł.

– Siedem. Dobrze. A teraz przyszedł czas na próbę wiary. Pierwszy moment, kiedy naprawdę musisz podjąć decyzję.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

Lewis uśmiechnął się słabo.

– Do tej pory, Ricky, zaledwie reagowałeś na potworność sytuacji, w której się znalazłeś. Twoje finanse. Twoja reputacja zawodowa. Pacjenci.

Kariera. Krewni. W całym tym zamieszaniu zdołałeś wymyślić zaledwie jedno pytanie do swojego prześladowcy, a on pokazał ci kierunek: matka dziecka, które wyrosło na chcącego cię zabić psychopatę. Ale czekająca cię próba wiary to pytanie: czy powiedziano ci prawdę?

Ricky z trudem przełknął ślinę.

– Muszę tak założyć.

– Czy to bezpieczne założenie?

– Oczywiście, że nie. – Starks był już zdenerwowany. – Ale jaki mam wybór? Jeśli Rumpelstiltskin prowadzi mnie w całkowicie niewłaściwym kierunku, nie mam żadnej szansy, prawda?

– Nie pomyślałeś, że może tak właśnie ma być? Że masz nie mieć szansy?

Stwierdzenie to było tak brutalne i przerażające, że Ricky poczuł pot na karku.

– Jeśli tak jest, to powinienem się po prostu zabić.

– Tak przypuszczam. Albo nie zrobić nic, żyć dalej i zobaczyć, co się stanie komuś innemu. Może to wszystko bluff? Może nic się nie stanie?

Może twój pacjent, Zimmerman, naprawdę rzucił się pod pociąg? Może, może, może. Może zasady gry są takie: nie masz żadnych szans. Ja tylko głośno myślę, Ricky – zastrzegł.

– Nie mogę dopuścić takiej możliwości.

– To ciekawa odpowiedź, jak na psychoanalitka – powiedział szyderczo Lewis. – „Nie mogę dopuścić możliwości”. Na przekór wszystkiemu, w co wierzymy.

– Chodzi mi o to, że nie mam czasu.

– Czas to elastyczne pojęcie. Może masz. Może nie masz.

Ricky poruszył się niespokojnie. Zaczerwienił się i poczuł jak nastolatek, myślący i czujący jak dorosły, ale ciągle traktowany jak dziecko.

Lewis potarł dłonią podbródek, wciąż się zastanawiając.

– Sądzę, że twój przeciwnik to jakiś psycholog – powiedział lekceważąco, jakby komentował pogodę. – Albo ktoś bliski temu zawodowi.

– Chyba się z tym zgadzam – odparł Ricky. – Ale pana rozumowanie... – Gra, w takiej postaci, w jakiej przedstawił ją Rumpelstiltskin, jest jak sesja na kanapie. Tylko trwa nieco dłużej niż pięćdziesiąt minut. W ciągu każdej godziny ze swoimi pacjentami musisz przedzierać się przez oszałamiające ilości prawd i fikcji.

– Muszę pracować z tym, co mam.

– Czy nie to jest podstawowy problem? Ale nasza praca często polega na zbadaniu, czego pacjent nie mówi.

– Prawda.

– A więc... – Może to wszystko kłamstwo. Będę wiedział za tydzień. Tuż przed tym, jak się zabiję albo wykupię następne ogłoszenie w „Timesie”. Jedno albo drugie.

– To interesujący pomysł. Mógł osiągnąć to samo i uniknąć wykrycia przez policję albo inne władze, po prostu kłamiąc. Nikt by nie doszedł prawdy. A ty byłbyś martwy albo zniszczony. To naprawdę diaboliczne.

I na swój sposób bardzo zmyślne.

– Te spekulacje mi nie pomagają – powiedział Ricky. – Siedem pacjentek, jedna z nich stworzyła potwora. Która?

– Opowiedz mi o nich – poprosił Lewis, wskazując dłonią ciemność za oknem, jakby zapraszał wspomnienia Ricky’ego, by wychyły z mroku i pojawiły się w jasno oświetlonym pokoju.

Rozdział 15

Siedem kobiet.

Z siedmiu, które w tym okresie przychodziły do niego na leczenie, dwie były zamężne, trzy w stałych związkach, a dwie spotykały się z kimś okazjonalnie. Miały od dwudziestu do trzydziestu kilku lat. Wszystkie były kobietami robiącymi karierę, jak to się wtedy nazywało: maklerami giełdowymi, szefowymi sekretariatów, prawniczkami i handlowcami.

Pojawiała się wśród nich również redaktorka i wykładowca uniwersytecki.

W miarę, jak się koncentrował, Ricky przypominał sobie neurozy, które je do niego sprowadziły. Wraz z przypomnieniem problemów, w jego pamięci pojawiały się także sposoby leczenia, jakie stosował.

Powoli przypominał sobie ich głosy, słowa, które wypowiadały w jego gabinecie. Charakterystyczne momenty, przełomy, chwile zrozumienia, wszystko to wracało do niego, ponaglone pytaniami starego doktora, przycupniętego jak kruk na krawędzi fotela. Otoczyła ich już ciemność nocy, pochłaniająca wszystko, z wyjątkiem małego gabinetu i wspomnień Ricky'ego. Nie wiedział, ile minęło czasu, ale wyczuwał, że musi być późno. Zamilkł w pół zdania i spojrzał na siedzącego naprzeciw niego człowieka. Oczy doktora Lewisa wciąż lśniły jakąś dziwną energią, czerpaną częściowo z kawy, ale przede wszystkim ze wspomnień, a może czegoś jeszcze innego, jakiegoś ukrytego źródła.

Starks czuł pot na karku. Przypisywał go wilgotnemu powietrzu, wślizgującemu się przez otwarte okna; zdawało się obiecywać chłodny deszcz, ale nie dotrzymywało słowa.

– Nie ma jej tam, prawda, Ricky? – zapytał nagle Lewis.

– To wszystkie kobiety, które leczyłem – odparł Starks.

– Z tego, co mówisz, i z tego, co zapamiętałem z twoich sesji, wszystkie zakończyły terapię z mniejszym lub większym powodzeniem. Przypuszczam, że żyją sobie w miarę spokojnie. Dodam, że akurat to można stosunkowo łatwo sprawdzić.

– Ale co... – Pamiętasz każdą z nich. Dokładnie, ze szczegółami. I to jest właśnie problem, prawda? Ponieważ kobieta, której szukasz w pamięci, jest kimś, kto się nie wyróżnia. Kimś, o kim pamięć twój umysł zablokował.

Ricky już chciał odpowiedzieć, ale urwał, ponieważ prawda tego stwierdzenia była oczywista także dla niego.

– Nie możesz sobie przypomnieć żadnych porażek, Ricky? Bo to wśród nich musisz szukać ogniwa łączącego cię z Rumplestiltskinem.

– Nie w sukcesach.

– Wydaje mi się, że pomogłem wszystkim tym kobietom stawić czoło problemom, które je nękały. Nie pamiętam nikogo, kogo zostawiłbym w kłopotach.

– Och, przemawia przez ciebie pycha. Skup się. Co pan R. powiedział ci w swojej podpowiedzi?

Ricky był zaskoczony, że stary analityk użył tego samego skrótu, którym lubiła posługiwać się Wergiliusz. Spróbował sobie szybko przypomnieć, czy w trakcie rozmowy mówił o swoim prześladowcy „pan R.”, ale nie pamiętał ani jednego razu. Nagle stracił pewność. Poczł się zmieszany i rozkojarzony, zastanawiał się, gdzie tak nagle zniknęła jego zdolność przywoływania najdrobniejszych szczegółów. Poruszył się w fotelu, mając nadzieję, że nie widać po nim przestradchu.

– Powiedział mi – oparł chłodno – że kobieta, której szukam, nie żyje. I że złożyłem jej obietnicę, której nie dotrzymałem.

– Skupmy się na drugiej części. Czy odmówiłeś leczenia jakichś kobiet, które przyszły do ciebie w tym okresie? Może na krótko, kilkanaście sesji, a potem się wycofały? Wciąż chcesz zastanawiać się nad kobietami, od których zacząłeś praktykę? Może to ktoś z kliniki, w której pracowałeś?

– To możliwe, ale jak...

– Ta grupa pacjentów wydawała ci się gorsza, prawda? Żyli mniej dostatnio? Mniej osiągnęli w życiu? Byli gorzej wykształceni? Nie zaznaczyli się dość mocno na radarze młodego doktora Starksa.

Ricky powstrzymał ciętą odpowiedź, ponieważ w tym, co powiedział stary lekarz, widział zarówno prawdę, jak i uprzedzenie.

– Czy nie w tym tkwi istota obietnicy, kiedy pacjent wchodzi do gabinetu i zaczyna mówić? Żeby zrzucić ciężar. Ty, jako psychoanalityk, bierzesz na siebie odpowiedzialność, a co za tym idzie, składasz obietnicę, czy nie tak? Niesiesz nadzieję na poprawę, przystosowanie się, ulgę w męczarni, jak każdy inny lekarz.

– Oczywiście, ale... – Kto przychodził, ale przestał?

– Nie wiem... – Kogo spotkałeś na piętnastu sesjach, Ricky? – Ton głosu starego doktora zrobił się nagle ostry i natarczywy.

– Piętnastu? Dlaczego na piętnastu?

– Ile dni dał ci Rumpelstiltskin na odkrycie jego tożsamości?

– Piętnaście.

– Dwa tygodnie plus jeden. Niezwykła i anachroniczna miara czasu.

Myślę, że powinieneś zwrócić większą uwagę na tę liczbę, ponieważ to ona kryje powiązanie. A co chce, żebyś zrobił?

– Zabił się.

– A więc, Ricky, kto przyszedł do ciebie piętnaście razy, a potem się zabił?

Ricky'emu zakręciło się w głowie. Powinienem był to dostrzec. Powinienem był to dostrzec,

bo to oczywiste, myślał gorączkowo.

– Nie wiem – wyjąkał.

– Wiesz – powiedział staruszek z nutką gniewu. – Po prostu nie chcesz wiedzieć. A to ogromna różnica.

Wstał.

– Jest już późno, a ja jestem zawiedziony. Kazałem przygotować dla ciebie pokój gościnny. Na górze, na prawo od schodów. Mam kilka spraw, którymi muszę się jeszcze zająć. Może rano, kiedy już się zastanowisz, uda nam się poczynić jakieś znaczące postępy.

– Chyba potrzebuję większej pomocy – powiedział słabo Ricky.

– Otrzymałeś ją – odparł doktor Lewis i wskazał schody.

Sypialnia była schludna i sterylna jak pokój hotelowy, co nasunęło Ricky'emu myśl, że rzadko z niej korzystano. Łazienka w głębi korytarza robiła takie samo wrażenie. Ani jedno, ani drugie nie rzucało światła na życie doktora Lewisa. Żadnych buteleczek z lekarami w szafce nad lustrem, żadnych pism przy łóżku ani książek na półkach, żadnych zdjęć rodziny na ścianach. Ricky rozebrał się do bielizny i rzucił na łóżko. Było grubo po północy. Czuł ogromne zmęczenie, potrzebował snu, ale nie miał poczucia bezpieczeństwa. Rozmyślał gorączkowo i nie mógł zasnąć.

Cykanie świerszczy i odgłosy uderzających w siatkę w oknie ciem i chrabąszczy były dwa razy głośniejsze niż zgiełk miasta. Leżąc w ciemnościach, Ricky wyteżył słuch i usłyszał odległy wyraźny głos doktora Lewisa. Spróbował się skoncentrować i po chwili zrozumiał, że stary analityk jest na coś zły, że jego głos, podczas godzin spędzonych z Rickim tak równy i modulowany, teraz był szybki i wysoki. Starks usiłował wychwycić spośród innych dźwięków jakieś słowa, ale nie był w stanie. Potem usłyszał odgłos rzucanej na widełki słuchawki. Po kilku sekundach na schodach rozległy się kroki doktora, po czym otworzyły się i zamknęły drzwi.

Nie wiedział, kiedy zapadł w sen, ale obudziły go jasne promienie słońca, padające przez okno. Letni poranek był piękny, ale Ricky'emu ciążyły wspomnienia i rozczarowanie. Miał nadzieję, że stary lekarz pomoże mu dotrzeć bezpośrednio do nazwiska, czuł się jednak kompletnie zagubiony w morzu wspomnień. Poczucie klęski łomotało mu w skroniach niczym kac. Założył spodnie, buty i koszulę, wzięł marynarkę, po czym spryskawszy twarz wodą i przygładziwszy dłonią włosy, zszedł na dół. Miał tylko jeden cel – skupić się na nazwisku matki Rumpelstiltskina.

Czuł, że spostrzeżenie doktora Lewisa łączące dni i sesje jest trafne.

Nie potrafił jedynie uzmysłowić sobie kontekstu, w którym ta kobieta istniała. Przyznał, że zdecydowanie za szybko i zbyt arogancko odrzucił mniej zamożne osoby, którymi zajmował się w klinice psychiatrycznej, wołąc skupić się na swoich pierwszych analizach. Widywał ją w tym samym czasie, w którym podejmował ważne decyzje, dotyczące swojej drogi zawodowej. Został

psychoanalitykiem, zakochał się i miał zamiar ożenić. Był to czas, kiedy myślał o przyszłości, a porażka przydarzyła mu się w świecie, który pragnął opuścić.

Dlatego był tak zablokowany, pomyślał. Schodząc po schodach, dodawał sobie animuszu myślą, że może dostać się do tych wspomnień metodą wysadzającego tamę sapera – wystarczy podłożyć odpowiednio duży ładunek pod beton tłumionej przeszłości, a sama wytryśnie przez wyłom. Był pewien, że z pomocą doktora Lewisa uda mu się tego dokonać.

Wiejskie słońce i ciepło przenikające do domu rozproszyło nękające go wątpliwości. Niepokojące aspekty rozmowy z doktorem Lewisem rozplynęły się w blasku poranka. Ricky zajrzał do gabinetu, szukając gospodarza, ale pokój był pusty. Głównym korytarzem przeszedł do kuchni, z której dochodził aromat kawy.

Doktora Lewisa również tam nie było.

– Dzień dobry! – zawołał Ricky, ale nie usłyszał odpowiedzi. Spojrzał na ekspres do kawy i zobaczył, że w dzbanku parzy się świeża kawa, a obok stoi kubek, o który oparta jest złożona kartka, z wypisanym ołówkiem imieniem Ricky’ego. Starks nalał sobie kawy i popijając gorący gorzki napój, zaczął czytać:

Ricky!

Musiałem nieoczekiwanie wyjechać i raczej nie wrócę przed upływem czasu, jaki Ci został. Sądzę, że powinieneś skupić się na arenie, jaką zostawiłeś dla osoby, która jest dla Ciebie najważniejsza, a nie na tej, na której się znalazłeś.

Zastanawiam się również, czy wygrywając grę, nie przegrasz, i odwrotnie, czy przegrywając, nie możesz wygrać. Rozważ dokładnie wszystkie możliwości, jakie masz.

Proszę, nie kontaktuj się ze mną pod żadnym pozorem.

W. Lewis, dr med.

Ricky zachwiał się jak uderzony w twarz.

Kawa paliła mu język i gardło. Zaczerwienił się ze zmieszania i gniewu.

Przeczytał wiadomość trzykrotnie, ale za każdym razem słowa wydawały się mniej zrozumiałe, chociaż powinno być odwrotnie. W końcu zmiął kartkę i wcisnął do kieszeni. Podeszedł do zlewu i spostrzegł, że naczynia z poprzedniego wieczoru zostały pozmywane i ułożone w równy stosik. Wylał kawę na białą porcelanę, odkręcił wodę i patrzył, jak brązowy płyn znika w odpływie. Potem wyplukał kubek i odstawił go na suszarkę. Nagle przytrzymał się krawędzi blatu, bo na żwirowym podjeździe usłyszał koła samochodu.

W pierwszej chwili pomyślał, że to wraca doktor Lewis, więc podbiegł do frontowych drzwi. To, co zobaczył, zaskoczyło go.

Pod domem stała ta sama taksówka, którą poprzedniego dnia jechał ze stacji. Taksówkarz pomachał mu i opuścił szybę.

– Hej, dzień dobry, doktorze! Niech pan się zbiera, jeśli mamy zdążyć na pana pociąg.

Ricky zawahał się, myśląc, że powinien coś zrobić, zostawić wiadomość, porozmawiać z kimś, ale dom był pusty. Spojrzał na zamienioną w garaż stajnię i spostrzegł, że samochód doktora Lewisa również zniknął.

– Poważnie, doktorze, następny pociąg ma pan dopiero późno po południu. Jeśli pan przegapi ten, będzie pan tu siedział cały dzień. Niech pan wskakuje, jeszcze zdążymy.

– Skąd pan wiedział, że ma mnie zabrać? – spytał Ricky. – Nie dzwoniłem... – No, ktoś zadzwonił. Pewnie facet, który tu mieszka. Dostałem wiadomość na pager: Przyjeżdżaj po doktora Starksa, macie zdążyć na ten o dziewiątej piętnaście. No to depnąłem w gaz i jestem. Ale jak pan zaraz nie wsiądzie, nie złapie pan pociągu, a niech mi pan wierzy, doktorze, tu nie ma co robić przez cały dzień.

Ricky wahał się jeszcze przez chwilę, po czym wsiadł do auta. Poczł ukłucie winy, że zostawia dom otwarty, ale szybko je zdusił. Mam cię w dupie, pomyślał.

– W porządku – powiedział. – Jedźmy.

Kierowca ruszył ostro, wzbijając tuman kurzu i strzelając żwirem spod kół.

Po kilku minutach taksówka dojechała do skrzyżowania River Road z podjazdem do łączącego brzegi rzeki Hudson mostu Kingston-Rhinecliff.

Na środku stał policjant, wstrzymując ruch. Był to młody mężczyzna; patrzył bez wyrazu i miał znudzony wyraz twarzy, kontrastujący z jego wiekiem. Natychmiast zaczął machać ręką, nakazując taksówce skręcać w lewo. Kierowca opuścił szybę i wychylił się przez okno.

– Panie władzo! Mogę przejechać? Spieszmy się na pociąg!

– Nie ma mowy. Droga będzie zablokowana, dopóki pogotowie i pomoc drogowa nie skończą. Musicie pojechać naokoło. Jak się pospieszycie, zdążycie.

– Co się stało? – spytał z tylnego fotela Ricky.

Taksówkarz wzruszył ramionami.

– Panie władzo! – zawołał. – Co się stało?

– Jakiemuś dziadkowi się spieszyło. Nie wyrobił się na zakręcie i owinął na drzewie. Może miał atak serca i zemdlął.

– Nie żyje? – spytał taksówkarz.

Policjant pokręcił głową, jakby chciał podkreślić, że nie wie.

– Pogotowie już tam jest. Wezwali strażaków, żeby rozcięli samochód.

Ricky pochylił się gwałtownie do przodu.

– Jaki samochód? – zapytał. – Jaki samochód? – krzyknął przez otwarte okno kierowcy.

– Stare niebieskie volvo – odparł policjant, kierując taksówkę na lewo.

Taksówkarz przyspieszył.

– Cholera – powiedział. – Musimy jechać naokoło. Możemy nie zdążyć.

Ricky wiercił się na fotelu.

– Muszę zobaczyć! – zawołał. – Ten samochód... – Jak będziemy podziwiać widoki, nie zdążymy na pociąg.

– Ale ten samochód, doktor Lewis... – Myśli pan, że to pana przyjaciel? – spytał kierowca.

– Miał stare, niebieskie volvo... – Cholera, tu są takich dziesiątki.

– Nie, to nie... – Gliny pana tam nie dopuszczają. A nawet gdyby, co pan zrobi?

Ricky nie miał na to odpowiedzi. Opadł na fotel, jakby ktoś uderzył go w twarz. Taksówkarz pokiwał głową. Samochód grzechotał i wył.

– Niech pan wraca do miasta, a potem zadzwoni na komisariat policji stanowej w Rhinebeck. Podadzą panu szczegóły. Chyba że chce pan teraz do nich pojechać, ale ja bym nie radził. Będzie pan siedział i czekał na lekarza pogotowia albo przedsiębiorcę pogrzebowego, gliniarze będą badać sprawę, a pan dalej nie będzie nic wiedział. Nie spieszy się panu?

– Spieszy – powiedział Ricky, chociaż nie był tego pewien.

– Ten facet w samochodzie, to pana dobry przyjaciel?

– Nie – odparł Starks. – Żaden przyjaciel. Po prostu ktoś, kogo znałem. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– No proszę – powiedział kierowca – chyba zdążymy.

Znów przyspieszył, przeskoczył na żółtym świetle w chwili, kiedy zamieniało się na czerwone i zaśmiał się. Ricky siedział spokojnie i tylko raz obejrzał się przez ramię, patrząc na ukryte za drzewami miejsce wypadku, irytująco niewidoczne. Próbował dojrzeć miganie świateł i usłyszeć syreny, ale mimo wysiłków, niczego takiego nie zauważył.

Zdążył na stację na minutę czy dwie przed odjazdem pociągu. Pośpiech uniemożliwił mu zastanowienie się nad wszystkim, co wydarzyło się podczas wizyty u starego analityka. Biegł przez pusty dworzec, stukot jego butów odbijał się echem od ścian, zagłuszany przez zgrzyt hamulców podjeżdżającego pociągu. Tak jak wczoraj przed południem, na peronie czekała zaledwie garstka ludzi. Kilku biznesmenów rozmawiających przez telefony komórkowe, trzy kobiety, najwyraźniej wybierające się na zakupy, kilku nastolatków.

Ricky czuł się jak zerwana z kotwicy boja, niegdyś oznaczająca mielizny i niebezpieczne prądy, teraz dryfująca i bezużyteczna. Nie wiedział, co myśleć o wyprawie do doktora Lewisa. Sądził, że poczynił jakieś postępy, ale nie był pewien, jakie. Nie czuł się bliżej ogniwa łączącego go z jego prześladowcą, niż przed wyjazdem. To nieprawda, zreflektował się po chwili. Problemem była blokada oddzielająca go od właściwego wspomnienia. Rozwiązanie było w zasięgu ręki, ale nieważne, jak bardzo się starał i wysiłał, nie mógł się do niego zbliżyć.

Jedno wiedział na pewno: wszystko, czym stał się w życiu, nie miało teraz znaczenia.

U podstaw wściekłości Rumplestiltskina leżał błąd, który popełnił, gdy dopiero wypłynął na głęboką wodę psychiatrii i psychoanalizy. Zaczynał się w chwili, w której zrezygnował z trudnego i frustrującego leczenia społecznie upośledzonych i zajął się intelektualnie

stymulującym leczeniem inteligentnych i bogatych. Neurotycznie bogatych, jak określał ich pewien znajomy lekarz. Zakłopotanych beztroskich.

To spostrzeżenie rozwścieczyło Starksa. Młodzi ludzie popełniają błędy. To nieuniknione w każdym zawodzie. Teraz nie był już młody i nie popełniłby go po raz drugi. Do szału doprowadzała go myśl, że ktoś obciąża go odpowiedzialnością za coś, co zrobił ponad dwadzieścia lat temu, za decyzję, którą podejmowały dziesiątki młodych lekarzy. To było niesprawiedliwe i nielogiczne. Gdyby Ricky nie był tak skołatany, zauważyłby może, że cała jego praca opiera się na założeniu, że czas jedynie jątrzy rany. Zmienia je w coś innego, ale nigdy nie leczy.

Za oknem pociągu przesuwała się rzeka. Ricky nie wiedział, jaki ma być jego następny krok, ale jedno było pewne: chciał wrócić do swojego mieszkania. Chciał znaleźć się w bezpiecznym miejscu, choćby na chwilę.

Jak w transie patrzył na krajobraz za oknem. Ostatnim przystankiem przed miastem było Crotonnad-Houston, odległe o mniej więcej kwadrans jazdy od Pennsylvania Station. Wagon wciąż był prawie pusty, więc Ricky przestraszył się, kiedy z tyłu nadszedł jakiś pasażer i ciężko opadł na miejsce obok niego.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział energicznie. – Czy to miejsce jest wolne?

Rozdział 16

Merlin oddychał ciężko, a jego twarz była nieco zaczerwieniona, jak u człowieka, który przebiegł ostatnie pięćdziesiąt metrów, chcąc złapać pociąg. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął białą lnianą chusteczkę, którą otarł pot z twarzy.

– Prawie mi uciekł – wyjaśnił niepotrzebnie. – Muszę więcej trenować.

Ricky wziął głęboki oddech.

– Po co pan tu przyszedł? – spytał, choć uważał, że zważywszy na okoliczności, było to dość głupie pytanie.

Adwokat skończył wycierać czoło, rozpostarł chustkę na kolanach, wygładził ją, po czym złożył i schował do kieszeni. Na podłodze obok jego nóg stała skórzana teczka i nieduży marynarski worek.

– Jak to, żeby pana zachęcić, doktorze Starks. Zachęcić.

Ricky obrócił się tak, żeby lepiej widzieć siedzącego obok mężczyznę.

– Okłamał mnie pan wtedy. Pojechałem pod ten nowy adres... – zaczął.

Adwokat miał lekko zdezorientowaną minę.

– Pojechał pan do nowej kancelarii?

– Zaraz po naszej rozmowie. Nie słyszeli o panu. Nikt w całym budynku.

A na pewno nie wynajmowali pomieszczeń nikomu o nazwisku Merlin. A więc kim pan jest, panie Merlin?

– Jestem, kim jestem – odparł prawnik. – To niesłychane.

– Tak – powiedział szorstko Ricky. – Niesłychane.

– I nieco niezrozumiałe. Po co pan tam pojechał? Jaki miał pan cel, doktorze Starks? – Pociąg przyspieszył i zaczął kołysać. Mężczyźni, chcąc nie chcąc, ocierali się ramionami.

– Ponieważ nie uwierzyłem, że jest pan tym, za kogo się podaje, ani w nic, co pan powiedział. Moje podejrzenia szybko się potwierdziły, ponieważ kiedy przyjechałem pod adres wydrukowany na pana wizytówce... – Dałem panu wizytówkę? – Merlin pokręcił głową i uśmiechnął się nieznacznie. – W dzień przeprowadzki? To wiele wyjaśnia.

– Tak – powiedział z irytacją Ricky. – Dał pan. Jestem pewien, że pan to pamięta... – To był ciężki dzień. Dezorientujący. Jak to się mówi? Śmierć, rozwód i przeprowadzka to trzy rzeczy, które najbardziej szkodzą na serce.

Na psychikę też, jak sądzę.

– Tak słyszałem.

– Pierwsza partia wizytówek, które zamówiłem, przyszła z wydrukowanym złym adresem. Nowa kancelaria znajduje się przecnicę dalej.

Człowiek w drukarni pomylił jedną cyfrę i niestety nie zauważyliśmy tego od razu.

Rozdałem ich chyba z tuzin, zanim spostrzegłem błąd. Zdarza się. Pewnie biedak stracił pracę, bo drukarnia musiała wyrzucić całą partię i drukować od początku. – Merlin sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe skórzane etui. – Proszę – powiedział. – Ta jest w porządku.

– Wręczył wizytówkę Ricky’emu, który spojrzał na nią tępo, po czym machnął odmownie ręką.

– Nie wierzę panu – powiedział. – Nie zamierzam uwierzyć w nie, cokolwiek pan powie. Ani teraz, ani nigdy. Poza tym pan tam był, pod moim mieszkaniem, z wiadomością w „Timesie” kilka dni później. Wiem, że to pan.

– Pod pana mieszkaniem? Dziwne. Kiedy to było?

– O piątej rano.

– Niesamowite. Skąd ma pan pewność, że to byłem ja?

– Roznosiciel dokładnie opisał pana buty. I resztę.

Merlin znów pokręcił głową i uśmiechnął się drwiąco. Ricky pamiętał ten uśmiech z ich pierwszego spotkania. Adwokat sprawiał wrażenie przekonanego, że nie można go na niczym przyłapać. To pożyteczna umiejętność, kiedy jest się prawnikiem.

– Cóż, chciałbym uważać, że wyróżniam się strojem i wyglądem, doktorze Starks, ale proszę sobie wyobrazić, że prawda jest nieco bardziej prozaiczna. Moje buty, chociaż sztywne, można kupić w dziesiątkach sklepów, a w centrum Manhattanu są całkiem popularne. Noszę standardowe, granatowe, prążkowane garnitury szyte seryjnie. Eleganckie, ale dostępne również dla pana czy kogokolwiek, kto ma w kieszeni pięćset dolarów. Być może w niedalekiej przyszłości dołączę do grona osób ubierających się u znanych krawców. Mam takie aspiracje. Na razie jednak wciąż należę do populacji kupującej garnitury na metaforycznym czwartym piętrze, w dziale z męską odzieżą. Czy roznosiciel opisał moją twarz? Może moje rzednące, niestety, włosy? Nie? Odpowiedź widzę w wyrazie pana twarzy. Wątpię więc, czy rozpoznanie to wytrzyma konfrontację z jakimkolwiek skrupulatnym profesjonalistą. Chociaż widzę, że pana przekonało całkowicie. To pewnie pana zawodowy odruch. Zbyt wysoko ceni pan to, co mówią inni. Słowa uważa pan za nitki prowadzące do prawdy. Ja widzę w nich środki do jej ukrycia. – Adwokat patrzył na Ricky’ego z lekkim uśmiechem. – Wygląda pan na zestresowanego, doktorze – dodał.

– Nie powinno to pana dziwić, panie Merlin. Bo to pan albo pana pracodawca stworzył te okoliczności.

– Już panu mówiłem, że moim pracodawcą jest młoda kobieta, którą pan wykorzystał. Dlatego się z panem spotkałem.

– Jasne. Wie pan co, panie Merlin? – W głosie Ricky’ego pojawiły się pierwsze oznaki gniewu. – Wie pan co? Niech pan sobie znajdzie inne miejsce. To jest zajęte. Przeze mnie. Nie mam ochoty już z panem rozmawiać.

Nie lubię kłamstw tak samo, jak pan je lubi, i nie zamierzam ich dłużej wysłuchiwać. W tym pociągu jest dużo wolnych miejsc... – Ricky szerokim gestem pokazał pusty wagon. – Niech pan sobie jedno wybierze i zostawi mnie w spokoju. Albo chociaż przestanie kłamać.

Merlin nawet nie drgnął.

– To nie byłoby rozsądne – powiedział wolno.

– Może mam już dość rozsądnego zachowania – odparł Ricky. – Może powinienem zacząć zachowywać się pochopnie.

– Tak się pan zachowywał? – spytał Merlin. – Rozsądnie? Skontaktował się pan z adwokatem, jak panu radziłem? Powziął pan kroki, by chronić siebie i swój majątek przed pozwem i zniesławieniem? Czy to, co pan robił, było racjonalne i inteligentne?

– Powziąłem pewne kroki – mruknął wymijająco Ricky.

Prawnik najwyraźniej mu nie uwierzył.

– Cieszy mnie to niezmiernie – uśmiechnął się. – Może w takim razie dojdziemy do ugody. Pan, pana adwokat i ja?

– Wie pan, jaki jest warunek ugody, panie Merlin, czy jak się pan naprawdę nazywa – wycodził Ricky. – Więc dajmy sobie spokój z tą przebieranką i porozmawiajmy o tym, dlaczego siedzi pan obok mnie w tym pociągu.

– Ach, doktorze Starks, wyczuwam w pana głosie także desperację.

– Jak się panu wydaje, panie Merlin, ile zostało mi czasu?

– Czasu, doktorze Starks? Ma pan mnóstwo czasu... – Niech mi pan wyświadczy przysługę i przesiądzie się albo przestanie kłamać. Wie pan, o czym mówię.

Merlin przyglądał się Ricky'emu uważnie, wciąż uśmiechając się kącikami ust niczym kot z Cheshire z Alicji w Krainie Czarów. Pomimo tego jednak zrzucił częściowo maskę obłudy.

– Cóż, doktorze, tik-tak, tik-tak. Odpowiedź na pana ostatnie pytanie brzmi: sądzę, że został panu niecały tydzień.

– Powiedział pan prawdę. Nareszcie. A teraz, kim pan jest?

– Nieważne. Pionkiem. Kimś wynajętym. A na pewno nie kimś, kim ma pan nadzieję, że jestem.

– W takim razie po co pan tu przyszedł?

– Powiedziałem panu: żeby pana zachęcić.

– Rozumiem. Więc proszę to zrobić.

Merlin zastanawiał się przez chwilę.

– Jest taki cytat ze wstępu do książki Rodzicom o dzieciach doktora Spocka, który, jak sądzę, pasuje do tej sytuacji...

– Nie miałem okazji przeczytać tej książki – stwierdził gorzko Ricky.

– Cytat brzmi: „Wiesz więcej, niż ci się wydaje”.

– Wspaniale. Świetnie. Postaram się zapamiętać.

– Opłaci się.

Ricky zignorował te słowa.

– Niech pan przekaże mi to, co ma do przekazania. Przecież jest pan chłopcem na posyłki.

No, dalej. Co chce mi pan powiedzieć?

– Pośpiech, doktorze. Tempo. Szybkość.

– Czyli?

– Niech pan ich nabierze – powiedział Merlin, uśmiechając się szeroko i przechodząc na dziwny slang. – Musisz pan zadać drugie pytanie w jutrzejszej gazecie. Musisz pan nabrać tempa, doktorku. Jeśli nie marnujesz pan czasu, to przynajmniej przelatuje on panu między palcami.

– Jeszcze nie wiem, jakie będzie moje drugie pytanie.

Prawnik skrzywił się lekko, jakby było mu niewygodnie albo czuł, że zaczyna go boleć ząb.

– Tego właśnie się obawiano w pewnych kręgach – westchnął. – Stąd decyzja, żeby pana popchnąć.

Podniósł z podłogi skórzaną teczkę, położył ją na kolanach i otworzył. Ricky zobaczył, że w środku jest laptop, kilka kopert i telefon komórkowy, a także mały, stalowoniebieski, półautomatyczny pistolet w skórzanej kaburze. Adwokat odepchnął go na bok, wyszczerzył się wesoło, widząc, że Ricky na niego patrzy, po czym wyjął telefon. Otworzył klapkę, a ekran rozbłysł zielonym światłem. Odwrócił się do Starksa.

– Czy po dzisiejszym ranku nie chodzi panu po głowie jakieś pytanie?

Ricky patrzył jeszcze przez chwilę na pistolet.

– Co ma pan na myśli?

– Co pan rano widział, jadąc na stację?

Ricky zawahał się. Nie był pewny, czy Merlin, Wergiliusz czy Rumpelstiltskin wiedzieli o jego wizycie u doktora Lewisa, ale po chwili, w nagłym olśnieniu zrozumiał, że musieli wiedzieć, w przeciwnym wypadku nie wysłaliby Merlina na spotkanie w pociągu.

– Co pan widział? – powtórzył pytanie adwokat.

– Wypadek – powiedział pewnym głosem.

Prawnik pokiwał głową.

– Jest pan pewien, doktorze?

– Tak.

– Pewność jest tak cudownie zwodnicza – powiedział Merlin. – Przewaga bycia prawnikiem nad, dajmy na to, psychoanalitykiem polega na tym, że prawnicy działają w świecie pozbawionym pewności. Żyjemy w świecie perswazji.

– Do rzeczy.

Prawnik znów się uśmiechnął.

– Założę się, że nigdy nie powiedział pan tak do pacjenta.

– Pan nie jest moim pacjentem.

– To prawda. A więc wierzy pan, że widział wypadek. Z udziałem... Ricky nie miał pewności, jak dużo Merlin wie o doktorze Lewisie.

Było możliwe, że wszystko. Albo nic. Milczał.

– ...z udziałem kogoś, kogo kiedyś pan znał i komu ufał – dokończył adwokat. – I kogo odwiedził pan, żywiąc nadzieję, że będzie w stanie panu pomóc. Proszę... – Wystukał numer na klawiaturze telefonu i podał go Ricky'emu. – Niech pan spyta. Proszę wcisnąć OK, żeby zadzwonić.

Ricky zawahał się, po czym wziął telefon i zrobił to, o co prosił Merlin.

Usłyszał pojedynczy dzwonek, potem ktoś podniósł słuchawkę.

– Policja stanowa Rhinebeck. Funkcjonariusz Johnson. W czym mogę pomóc?

Ricky milczał na tyle długo, że policjant powtórzył:

– Policja stanowa, halo?

– Dzień dobry, mówi doktor Frederick Starks. Kiedy dziś rano jechałem w stronę stacji River Road, miał miejsce wypadek. Obawiam się, że jego ofiarą był ktoś, kogo znałem. Może mi pan powiedzieć, co się stało?

– Na River Road? – spytał zaskoczony policjant. – Dzisiaj rano?

– Tak. Stał tam policjant i kierował samochody na objazd... – Dzisiaj, mówi pan?

– Tak. Jakies dwie godziny temu.

– Przykro mi, doktorze, ale nie mamy zgłoszenia o żadnym wypadku dzisiaj rano.

Ricky opadł ciężko na oparcie siedzenia.

– Ale ja widziałem... Niebieskie volvo. Ofiara nazywa się doktor William Lewis. Mieszka na River Road.

– Nie dzisiaj. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy tu wypadku od kilku tygodni, co jak na lato jest dość niezwykle. Jestem na służbie od szóstej rano, więc wszystkie wezwania policji albo karetki odbierałbym ja. Jest pan pewien, że to widział?

Ricky wziął głęboki oddech.

– Musiałem się pomylić. Dziękuję panu.

– Nie ma sprawy – powiedział policjant i rozłączył się.

Starksowi wirowało w głowie.

– Ale ja widziałem... – zaczął.

Merlin pokręcił głową.

– Co pan widział? Tak naprawdę? Niech pan pomyśli, doktorze Starks.

Niech się pan dobrze zastanowi.

– Widziałem policjanta... – Widział pan radiowóz?

– Nie. Policjant stał, kierował ruchem i powiedział... – „Powiedział...”, co za wspaniałe stwierdzenie. A więc „powiedział...” coś, a pan uznał to za prawdę. Widział pan człowieka ubranego nieco podobnie do policjanta i uznał pan, że nim jest. Kiedy był pan na tym skrzyżowaniu, widział pan, żeby wskazywał objazd innym pojazdom?

Ricky musiał pokręcić głową.

– Nie.

– A więc tak naprawdę mógł to być ktokolwiek w czapce z daszkiem.

Jak dokładnie przyjrzał się pan jego mundurowi?

Ricky przypomniał sobie młodego człowieka; pamiętał oczy, patrzące obojętnie spod daszka czapki. Innych szczegółów nie potrafił sobie przypomnieć.

– Wyglądał na policjanta – powiedział.

– Pozory mylą. W pana zawodzie i w moim, doktorze – powiedział Merlin. – Skąd ta pewność, że miał miejsce wypadek? Widział pan karetkę?

Wóz strażacki? Innych policjantów albo członków ekipy ratunkowej?

Słyszał pan syreny? Może łopot śmigła helikoptera?

– Nie.

– A więc uwierzył pan jednemu człowiekowi na słowo, że był wypadek, w którym brał udział ktoś, z kim widział się pan poprzedniego dnia, ale nie czuł pan potrzeby zbadania sprawy dokładniej? Po prostu uciekł pan, żeby złapać pociąg, bo wierzył, że musi wrócić do miasta, tak? Ale do czego tak naprawdę się panu spieszyło?

Ricky nie odpowiedział.

– Z tego, co pan teraz wie, tak naprawdę na drodze nie było żadnego wypadku.

– Nie wiem. Może nie. Nie mam pewności.

– Nie, nie ma pan – powiedział Merlin. – Ale możemy być pewni co do jednego: czuł pan, że cokolwiek ma do zrobienia, jest ważniejsze niż sprawdzenie, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Niech pan to sobie zapamięta, doktorze.

Merlin wciąż się uśmiechał, sprawiając irytujące wrażenie, że całkowicie nad wszystkim panuje.

– Być może powinien pan zadzwonić do osoby, którą pan odwiedził?

– Wskazał ręką telefon. – Sprawdzić, czy wszystko w porządku?

Ricky szybko wystukał numer doktora Lewisa. Nikt nie odbierał.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, co nie uszło uwagi Merlina.

Zanim Starks zdążył coś powiedzieć, prawnik znów zaczął mówić:

– Dlaczego jest pan tak pewny, że doktor Lewis naprawdę mieszkał w tym domu? – spytał z nieco wymuszoną uprzejmością. – Co pan widział, co łączyłoby naszego doktora z tym miejscem? Były tam jakieś zdjęcia rodzinne na ścianach? Ślady bytności innych ludzi? Jakie

papiery i drobiazgi – to, co nazywamy umeblowaniem życia – przekonały pana, że naprawdę był pan w domu doktora? Nie licząc, oczywiście, jego obecności.

Ricky skupił się, ale nie pamiętał niczego takiego. Gabinet, w którym siedzieli, był zupełnie zwyczajny. Regały z książkami. Fotele. Lampy.

Dywan. Jakieś papiery na biurku, którym się jednak nie przyjrzał.

Nic, co jakoś by się wyróżniało. Kuchnia była po prostu kuchnią. Korytarze łączyły pokoje. Gościenna sypialnia, w której spędził noc, była zdecydowanie bezosobowa.

Znów nic nie powiedział, ale zdawał sobie sprawę, że jego milczenie wystarczy za odpowiedź.

Merlin odetchnął głęboko, uniósł brwi w oczekiwaniu na reakcję Ricky'ego, po czym opuścił je i uśmiechnął się z wyższością. Starksowi przypomniało się, jak za czasów studenckich grywał w pokera, patrzył w twarz przeciwnikowi i wiedział, że cokolwiek ma w ręku, nie wystarczy, by go pokonać.

– Zróbmy małe podsumowanie, doktorze – powiedział Merlin. – Nauczyłem się, że mądrze jest co jakiś czas zastanowić się, podliczyć punkty i dopiero iść dalej. To może być właśnie taka chwila. Jedyna rzecz, której może pan być pewien, to to, że spędził pan kilka godzin w towarzystwie lekarza, którego znał pan z dawnych czasów. Nie wie pan, czy to naprawdę był jego dom, czy nie, ani czy brał udział w wypadku. Nie wie pan, czy pański niegdysiejszy analityk jeszcze żyje, prawda?

Ricky chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Merlin kontynuował, ścisząc nieco głos, co brzmiało trochę konspiracyjnie.

– Co było pierwszym kłamstwem? Najważniejszym? Co pan widział?

– Nagle podniósł dłoń i pokręcił głową jak ktoś, kto próbuje upomnieć niegrzeczne dziecko.

– Ricky, Ricky, Ricky, zadam panu jedno pytanie: czy rano miał miejsce wypadek?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Właśnie rozmawiałem z policją stanową. Ten facet powiedział...

– Skąd pan wie, że rozmawiał z policjantem?

Ricky zawahał się, a Merlin uśmiechnął się szeroko.

– Wykręciłem numer i podałem panu telefon. Wcisnął pan OK, tak?

Przecież mogłem wykręcić dowolny numer, pod którym ktoś mógł czekać.

Może to też oszustwo? Może pana przyjaciel doktor Lewis leży w lodówce w kostnicy hrabstwa Dutchess, czekając na jakiegoś krewnego, który przyjdzie go zidentyfikować?

– Ale... – Nie rozumie pan, o co chodzi, Ricky.

– W porządku – warknął Starks. – O co chodzi?

Adwokat zmrużył lekko oczy, jakby ta szorstka odpowiedź go zirytowała. Wskazał torbę na

podłódze.

– Może doktor nie uległ wypadkowi, ale za to w tym worku mam jego obciętą głowę. Czy to możliwe?

Starks odsunął się, zaskoczony.

– Czy to możliwe? – wysyczał prawnik.

Ricky spojrzał na torbę. Po jej kształcie nie można było domyślić się zawartości. Była na tyle duża, by pomieścić ludzką głowę i wodoodporna, tak że nie byłoby na niej widać plam. Ricky przyglądał się jej i czuł, że zasycha mu w gardle. Nie wiedział, co przeraża go bardziej: myśl, że w torbie jest ludzka głowa, czy to, że nie jest tego pewien.

Spojrzał na Merlina.

– To możliwe – powiedział.

– To bardzo ważne, żeby pan zrozumiał, że wszystko jest możliwe.

Można zainscenizować wypadek samochodowy. Można sfabrykować zarzut o molestowanie seksualne i wysłać go do pana zwierzchniej organizacji.

Można wypatroszyć pana konta bankowe. Pana krewni i przyjaciele, a nawet tylko znajomi mogą zostać zamordowani. Musi pan działać, Ricky. Działać!

– Nie uznajecie żadnych granic? – zapytał Starks drżącym głosem.

Merlin pokręcił głową.

– Absolutnie żadnych. To sprawia, że gra jest ciekawa dla wszystkich, którzy biorą w niej udział. Mój pracodawca obmyślił zasady tak, że wszystko może stać się jej częścią. To samo, śmiem twierdzić, odnosi się do pana zawodu, doktorze Starks, nie mam racji?

Ricky poruszył się niespokojnie.

– Załóżmy – powiedział zachrypniętym głosem – że w tej chwili sobie pójdę. Zostawię pana z tym, co jest w tej torbie... Merlin znów się uśmiechnął. Obrócił lekko worek, odsłaniając wyszyte na nim litery F.A.S. Ricky patrzył na swoje inicjały.

– Nie sądzi pan, że oprócz głowy jest w nim coś jeszcze, co pana z nim łączy? Nie sądzi pan, że został zakupiony przy użyciu jednej z pana kart kredytowych, zanim zostały unieważnione? I nie sądzi pan, że taksówkarz, który odebrał pana rano, będzie pamiętał, że pana jedynym bagażem był średniej wielkości marynarski worek? I że powie to detektywom wydziału zabójstw, jeśli go zapytają?

Ricky zwilżył językiem usta.

– Oczywiście – ciągnął Merlin – zawsze mogę zabrać go ze sobą.

A pan może się zachowywać, jakby nigdy go nie widział.

– Jak... – Proszę zadać drugie pytanie, Ricky. Niech pan natychmiast dzwoni do „Timesa”.

– Nie wiem, czy... – Teraz, Ricky. Dojeżdżamy do Penn Station. Kiedy wjedziemy do tunelu, telefon straci zasięg, a ta rozmowa się skończy. Niech się pan decyduje, teraz! –

Podkreślając te słowa, Merlin zaczął wystukiwać numer. – Proszę. Wykręciłem dla pana numer do „Timesa”. Proszę zadać pytanie!

Ricky wziął telefon i wcisnął OK. Po chwili połączył się z tą samą kobietą, z którą rozmawiał w poprzednim tygodniu.

– Mówi doktor Starks – powiedział powoli. – Chciałbym umieścić kolejne ogłoszenie na pierwszej stronie.

Jego umysł pracował gorączkowo, starając się ułożyć tekst.

– Oczywiście, doktorze. Jak idą podchody? – spytała kobieta.

– Przegrywam – odparł Ricky. – Oto, co ma być w ogłoszeniu... Przerwał, wziął głęboki oddech i powiedział:

Dwadzieścia lat, tu nie mam złudzeń, leczyłem w szpitalu biednych ludzi.

Szukając lepszej pracy, niektórych zostawiłem.

To dlatego samotnie dzieciństwo spędziłeś?

Na leczeniu innych się skupiłem.

Czy w ten sposób twoją matkę zabiłem?

Kobieta powtórzyła słowa Ricky'ego.

– To dość niezwykła odpowiedź – powiedziała.

– Bo to niezwykła gra – odparł Starks. Podał jej adres, na który ma przysłać rachunek i rozłączył się.

Merlin skinął głową.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – powiedział. – Bardzo sprytnie, biorąc pod uwagę, w jakim pan jest stresie. Potrafi pan być bardzo opanowany, doktorze Starks. Prawdopodobnie bardziej, niż się panu wydaje.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoni pan do swojego pracodawcy i nie powie mu... – zaczął Ricky, ale Merlin pokręcił głową.

– Nie domyśla się pan, że jesteśmy od niego tak samo odizolowani, jak pan? Uważa pan, że człowiek o takich możliwościach nie postawił wszelkiego rodzaju zapór, oddzielających go od tych, którzy wykonują jego wolę?

Ricky pomyślał, że to może być prawda.

Pociąg zwalniał. Po chwili wjechał do tunelu, zostawiając za sobą południowe słońce. W wagonie zapaliły się światła, nadając wszystkiemu bladeżółty odcień. Za oknem przemykały ciemne kształty pociągów i betonowych wsporników. Ricky pomyślał, że czuje się, jakby został pochowany.

Merlin wstał, kiedy pociąg się zatrzymał.

– Czytuje pan „New York Daily News”, Ricky? Nie, przypuszczam, że nie lubi pan brukowców. Pan woli wyrafinowany świat „Timesa”. Ja osobiście mam skromniejsze

wymagania. Lubię „Posta” i „Daily News”.

Czasami pisują w nich o rzeczach, którymi „Times” się nie interesuje.

Wie pan, „Times” pisze o wydarzeniach w Kurdystanie, a „News” i „Post” o tym, co się stało w Bronksie. Ale dzisiaj, przypuszczam, wyjdzie panu na zdrowie, jeśli przeczyta pan te dwie gazety, zamiast „Timesa”. Czy wyrażam się jasno? Niech pan przeczyta dzisiejsze „Post” i „News”, ponieważ będą w nich artykuły, które na pewno uzna pan za bardzo interesujące. Powiedziałbym nawet, że za bardzo istotne.

Merlin pomachał ręką.

– To była ciekawa podróż, nie sądzi pan, doktorze? Przeleciała, jak z bicza strzelił.

Wskazał worek.

– To dla pana, doktorze. Prezent. Zachęta, jak powiedziałem.

Potem odwrócił się i skierował do wyjścia.

– Czekaj! – krzyknął Starks. – Stój!

Merlin nie zatrzymał się jednak. Chciał krzyknąć jeszcze raz, lecz wołał nie zwracać na siebie uwagi. Miał ochotę zanurzyć się w mrok stacji i stać jednym z cieni. Marynarski worek z jego inicjałami blokował mu drogę niczym góra lodowa.

Nie mógł go zostawić ani ze sobą zabrać.

Z drżącym sercem pochylił się i podniósł worek z podłogi. Jego zawartość się przesunęła, a Ricky’emu zawirowało w głowie.

Złapał suwak torby, zawahał się, wziął głęboki oddech i powoli go rozsunął. Zajrzał do środka.

Wewnątrz była dynia wielkości ludzkiej głowy.

Ricky roześmiał się. Przepeliło go poczucie ulgi. Zdenerwowanie minęło. Świat, który przed chwilą wirował, stanął.

Zapiął torbę i wstał. Pociąg był pusty, tak samo jak peron, nie licząc kilku bagażowych i dwóch konduktorów w niebieskich mundurach.

Zarzuciwszy worek na ramię, Ricky ruszył peronem, zastanawiając się, co robić. Był pewien, że Rumpelstiltskin potwierdzi, gdzie i w jakich okolicznościach spotkał jego matkę. Pozwolił sobie na luksus nadziei, że klinika przechowuje akta pacjentów sprzed dwudziestu lat. Nazwisko, które umykało jego pamięci, mogło znajdować się w szpitalnym archiwum.

Ricky maszerował przed siebie. Ciemność dookoła rozbrzmiewała echem jego kroków. Widział światła dworca Penn Station. Kroczył z wojskową determinacją w stronę kłębiących się w świetle tłumów, zauważył bagażowego, siedzącego na wózku i czytającego „Daily News”, w oczekiwaniu na następny pociąg. W tym właśnie momencie mężczyzna przewrócił stronę i Ricky dostrzegł ogromny nagłówek: **POTRĄCONA PRZEZ SAMOCHÓD POLICJANTKA W ŚPIĄCZCE.**

I podtytuł: TROPY PROWADZĄ DO NIEUDANEGO MAŁŻEŃSTWA.

Rozdział 17

Ricky siedział na twardej drewnianej ławce na środku Pennsylvania Station. Nie zauważając obecności innych ludzi, nachylał się nad trzymanymi na kolanach egzemplarzami „News” i „Posta” jak przygięte wichurą drzewo. Każde czytane słowo przemykało w jego głowie jak samochód, nad którym kierowca stracił panowanie.

W obu artykułach podawano mniej więcej te same szczegóły: Joanne Riggins, trzydziestoczteroletnia detektyw nowojorskiej Policji Zarządu Komunikacji, została zeszłego wieczoru potrącona przez samochód, niecałe pół przecznicy od swojego mieszkania, kiedy przechodziła przez ulicę. Kierowca uciekł. Detektyw natychmiast operowano, lecz znajdowała się w śpiączce, podłączona do aparatury podtrzymującej życie w Brooklyn Medical Center. Prognozy były złe. Świadkowie widzieli uciekającego z miejsca wypadku czerwonego pontiaca firebirda. Taki sam samochód należał do byłego męża detektywa. Chociaż auta wciąż nie odnaleziono, mężczyznę przesłuchiwała policja. „Post” donosił, że według niego charakterystyczny samochód skradziono w nocy poprzedzającej wypadek.

„News” informowała, że były mąż detektywa Riggins miał sądowy zakaz zbliżania się do niej, wydany w czasie procesu rozwodowego, a także do innej, niewymienionej z nazwiska policjantki, która podobno podbiegła do Riggins tuż po tym, kiedy potrącił ją jadący z dużą szybkością samochód. Gazeta donosiła także, że były mąż podczas ostatniego roku ich małżeństwa publicznie groził detektyw.

Była to wymarzona historia dla każdego brukowca, pełna tanich insynuacji i sugestii istnienia seksualnego trójkąta, niewierności i szalejących namiętności, które skończyły się tragicznie.

Ricky wiedział, że to nieprawda.

Nie wszystko, oczywiście, jedynie niewielki aspekt wydarzenia: kierowcą samochodu nie był mężczyzna, którego przesłuchiwała policja, chociaż był on oczywistym i wygodnym podejrzanym. Ricky wiedział, że minie sporo czasu, zanim ktokolwiek uwierzy w zapewnienia o niewinności byłego męża, a jeszcze więcej, zanim jego alibi zostanie zweryfikowane.

Starks podejrzewał, że mężczyzna był winien każdej myśli i pragnienia, które mogły stać za wypadkiem, i wierzył, że ten, kto naprawdę za nim stoi, o tym wie.

Ze złością zmiął gazetę i cisnął na ławkę, szarpiąc papier, jakby skręcał kark jakiemuś małemu zwierzęciu. Przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić do zajmujących się sprawą detektywów. Do szefa Riggins.

Próbował sobie wyobrazić, jak zareagowałiby na jego opowieść.

Potrząsnął głową, czując rosnącą rozpacz. Nie istniała najmniejsza szansa, pomyślał, że ktoś uwierzy w choć jedno jego słowo.

Powoli podniósł głowę, ogarnięty nagłym wrażeniem, że jest obserwowany.

Że jego reakcje są badane i zapisywane, jak wyniki jakiegoś koszmarnego eksperymentu. Oblał go zimny pot. Dostał gęziej skórki. Rozejrzał się po wielkiej hali dworca. W przeciągu kilku sekund minęły go dziesiątki, setki, nawet tysiące osób. Ale Ricky czuł się przeraźliwie samotny.

Wstał i powoli, jakby był ranny, ruszył w kierunku wyjścia i postoju taksówek. Przy drzwiach stacji stał bezdomny mężczyzna, zebrzący o drobne.

Zdziwiło to Ricky'ego; większość takich ludzi policja przeganiała z miejsc publicznych. Zatrzymał się i wrzucił wszystkie monety, jakie miał przy sobie, do styropianowego kubka żebraka.

– Proszę – powiedział. – Nie są mi niepotrzebne.

– Dziękuję panu, dziękuję – odparł bezdomny. – Niech Bóg pana błogosławi.

Ricky popatrzył na niego. Zobaczył wrzody na rękach i blizny na twarzy, skrywane częściowo przez skołtunioną brodę. Brud, pot i szmaty.

Zniszczenie życiem na ulicy i chorobą umysłową. Mężczyzna mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak sześćdziesiąt lat.

– Dobrze się czujesz? – spytał Ricky.

– Tak, proszę pana, tak, proszę pana. Dziękuję. Niech Bóg pana błogosławi za hojność. Niech Bóg pana błogosławi. Drobne? – Bezdomny odwrócił się do następnej osoby wychodzącej ze stacji. – Jakies drobne?

– Powtarzał to niemal jak refren piosenki, ignorując Ricky'ego, który wciąż przed nim stał.

– Skąd jesteś? – spytał nagle Starks.

Żebrak spojrzał na niego z nagłą nieufnością.

– Stąd – powiedział ostrożnie, pokazując swoje miejsce na chodniku.

– Stamtąd – wskazał ulicę. – Wszędzie – dodał, zataczając ręką koło nad głową.

– Gdzie jest dom? – spytał Ricky.

Bezdomny pokazał na czoło. To Ricky potrafił zrozumieć.

– W takim razie miłego dnia – powiedział.

– Tak, proszę pana, tak jest, proszę pana. Niech Bóg pana błogosławi – zanucił mężczyzna. – Jakies drobne?

Ricky odsunął się, nie wiedząc nagle, czy samą rozmową z bezdomnym nie skazał go na śmierć. Ruszył w kierunku postoju, zastanawiając się, czy każda osoba, z którą się skontaktuje, stanie się celem ataku tak samo jak detektyw Riggins czy być może doktor Lewis. Jak Zimmerman.

Ranna, zaginiony, nie żyje. Gdybym miał przyjaciela, uzmysłowił sobie nagle, nie mógłbym do niego zadzwonić. Gdybym miał kochankę, nie mógłbym do niej pojechać. Gdybym miał

prawnika, też nie mógłbym się z nim spotkać, a nawet wstawić sobie plomby, nie narażając dentysty na niebezpieczeństwo. Wszyscy, z którymi się stykam, są narażeni na atak.

Wstrząśnięty tą myślą, minął rząd czekających taksówek. Szedł Park Avenue. Rytm i zgiełk ulicy, ruch i dźwięki w ogóle do niego nie docierały. Wydawało mu się, że idzie w całkowitej ciszy, nieświadom otaczającego świata, a jego rzeczywistość kurczy się z każdym krokiem. Od domu dzieliło go prawie sześćdziesiąt przecznic. Przeszedł całą drogę, nie zdając sobie nawet sprawy, że oddycha.

Zamknął drzwi na klucz i ciężko opadł na fotel w gabinecie. Siedział w nim przez resztę dnia i całą noc – bał się wyjść, bał się siedzieć nieruchomo, bał się pamiętać i mieć pusty umysł. Obawiał się jawy i snu.

Nad ranem musiał zasnąć. Kiedy się obudził, za oknami był dzień.

Zesztywniał mu kark, a wszystkie stawy protestowały po nocy spędzonej w fotelu. Wstał niezgrabnie i poszedł do łazienki. Umył zęby i opryskał twarz wodą. Patrząc w lustro, dostrzegł, że napięcie wykrzywiło jego rysy.

Od czasu śmierci żony nie wyglądał na tak zrozpaczonego.

W kalendarzu na jego biurku było coraz więcej iksów.

Jeszcze raz zadzwonił do doktora Lewisa, ale znów zgłosiła się automatyczna sekretarka. Sprawdził w informacji, czy numer się nie zmienił, ale nic takiego nie miało miejsca. Pomyślał, czy nie zadzwonić do szpitala albo kostnicy, spróbować ustalić, co jest prawdą, a co fikcją, ale powstrzymał się. Nie był pewien, czy naprawdę chce znać odpowiedź.

Jedyną rzeczą, jaka wciąż chodziła mu po głowie, była uwaga, którą poczynił doktor Lewis; wszystko, co robił Rumpelstiltskin, miało pomóc Ricky'emu się do niego zbliżyć.

Nie wiedział tylko, w jakim celu.

Pod jego drzwiami leżał „Times”. Podniósł go i na dole pierwszej strony, tuż obok ogłoszenia o mężczyznach poszukiwanych do badań nad impotencją, zobaczył swoje pytanie. Cichy i pusty korytarz był zakurzony i pogrążony w półmroku. Ze zgrzytem przejechała winda. Wszystkie drzwi, przepisowo czarne ze złotymi numerami, pozostawały zamknięte.

Ricky domyślał się, że wielu lokatorów wyjechało na wakacje.

Szybko przejrzał gazetę, mając słabą nadzieję, że gdzieś w środku znajdzie odpowiedź; ostatecznie Merlin słyszał pytanie i prawdopodobnie przekazał je swojemu szefowi. Ricky jednak nie natrafił na żadne ślady działalności Rumpelstiltskina. Nie zaskoczyło go to. Nie spodziewał się, że jego prześladowca użyje dwa razy tego samego sposobu, ponieważ to uczyniłoby go słabszym, być może łatwiejszym do rozpoznania.

Myśl, że na odpowiedź będzie musiał czekać dwadzieścia cztery godziny, była dla Ricky'ego nie do zniesienia. Wiedział, że musi zrobić jakieś postępy, nawet bez niej. Jedynym sposobem, jaki przychodził mu do głowy, było znalezienie akt osób, które leczył w klinice

dwadzieścia lat temu. Wiedział, że szanse są niewielkie, ale przynajmniej miałby wrażenie, że coś robi, a nie siedzi i czeka, aż minie jego czas. Ubrał się szybko i ruszył do drzwi. Kiedy jednak położył rękę na klamce, zawahał się.

Poczuł opadającą go nagle falę strachu. Coś w nim krzychało, ostrzegało, żeby nie wychodził, że za drzwiami mieszkania nie będzie bezpieczny.

Uległ temu głosowi i cofnął się.

Oddychał głęboko, próbując opanować panikę.

Wiedział, co się z nim dzieje. Leczył wielu pacjentów z podobnymi atakami. Xanax, prozac, środki poprawiające samopoczucie pomagały i chociaż nie lubił ich przepisywać, kilka razy nie miał wyjścia.

Przygryzł wargę, rozumiejąc, że leczyć to jedno, ale samemu być chorym to coś zupełnie innego. Cofnął się jeszcze o krok, patrząc na grube drewno drzwi, wyobrażając sobie, że tuż za nimi, może w korytarzu, a na pewno na ulicy czekają na niego wszelkiego rodzaju potworności.

Ricky pomyślał, że jeśli przekroczy próg, na pewno umrze.

Rozpaczliwie pragnął zawrócić, zaszyć się w swoim gabinecie, schować.

Rozumiał kliniczną naturę swojej paniki.

W niczym mu to jednak nie pomagało.

Zwalczył w końcu chęć zawrócenia i jak spadochroniarz skaczący w nieznaną i wrogą ciemność, otworzył drzwi i wyszedł z mieszkania.

Krok przez próg sprawił mu niemal fizyczny ból.

Kiedy znalazł się na ulicy, był zlany potem, z wyczerpania kręciło mu się w głowie. Musiał wyglądać jak szaleniec, blady, o dzikim spojrzeniu, potargany, ponieważ jakiś młody mężczyzna odwrócił się i patrzył na niego przez chwilę, zanim poszedł dalej. Ricky, zataczając się, ruszył w stronę skrzyżowania, gdzie łatwiej było zatrzymać taksówkę.

Dotarł na róg, otarł spoconą twarz i podszedł do krawężnika, podnosząc rękę. W tej samej chwili tuż przed nim zmaterializowała się taksówka, z której właśnie ktoś wysiadał. Ricky przytrzymał wysiadającemu drzwi i tym samym, uświęconym miejską tradycją sposobem, zajął samochód dla siebie.

Ze środka wyszła Wergiliusz.

– Dzięki, Ricky – powiedziała beztrąsko. Poprawiła ciemne okulary, uśmiechając się szeroko na widok konsternacji na jego twarzy. – Zostawiłam dla ciebie gazetę – dodała.

Potem odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w dół ulicy. Kilka sekund później skręciła za róg i zniknęła.

– Wsiadasz, człowieku? – burknął taksówkarz.

Ricky stał na krawężniku, trzymając otwarte drzwi samochodu. Zajrzał do środka i zobaczył na siedzeniu złożony egzemplarz dzisiejszego „Timesa”. Niewiele myśląc, wsiadł.

– Dokąd jedziemy? – spytał taksówkarz.

– Ta kobieta, która właśnie wysiadła – spytał Ricky. – Skąd pan ją zabrał?

– Dziwna jakaś – powiedział kierowca. – Zna ją pan?

– Tak... Tak jakby.

– No więc, zatrzymała mnie dwie przecznice dalej, kazała zatrzymać się o tam i czekać z włączonym licznikiem. Patrzyła przez okno i trzymała komórkę przy uchu, ale nic nie mówiła, tylko słuchała. Nagle mówi:

„Niech pan podjedzie tam!” i pokazuje na pana. Podała mi dwudziestaka przez szybę i powiedziała: „Ten człowiek to pana następnego klient, jasne?”

„Ja na to: „Jak pani sobie życzy” i zrobiłem, co kazała. No i pan wsiadł. Niezła była, ta kobieta. Gdzie jedziemy?”

Ricky zawahał się.

– Nie powiedziała panu?

Kierowca uśmiechnął się.

– Cholera, jasne, że powiedziała. Ale kazała mi i tak spytać, zobaczyć, czy pan zgadnie.

Ricky pokiwał głową.

– Szpital Columbia Presbyterian. Klinika na rogu Sto Pięćdziesiątej Drugiej i West End.

– Bingo! – powiedział taksówkarz, włączył licznik i ruszył.

Ricky sięgnął po gazetę. Nagle przyszło mu do głowy pytanie; nachylił się do plastikowej przegrody, oddzielającej pasażera od kierowcy.

– Czy ta kobieta powiedziała, co zrobić, jeśli podam inny adres? – spytał.

Taksówkarz uśmiechnął się.

– Co to, jakaś gra?

– Można tak powiedzieć – odparł Ricky. – Ale nie chciałby pan w nią grać.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zagrać w kilka rzeczy z tą kobitką, jeśli pan wie, o co mi chodzi.

– Miałby pan – powiedział Ricky. – Może się panu wydawać, że nie, ale proszę mi wierzyć, miałby pan.

Kierowca kiwnął głową.

– Jasne, wiem, o co chodzi – stwierdził. – Niektóre babki, co tak wyglądają, to same kłopoty. Nie warto ceny biletu, że tak powiem... – Ma pan świętą rację – powiedział Ricky.

– No, w każdym razie, miałem pana zawieźć do szpitala, co by pan nie powiedział. Powiedziała, że sam pan się domyśli, jak tam dojedziemy.

Dała mi pięćdziesiątkę, żebym pana tam zawiózł.

– Jest bogata. – Ricky opadł na oparcie. Ciężko oddychał, pot wciąż szczypał go w oczy i plamił koszulę. Otworzył gazetę.

Znalazł to, czego szukał, na stronie A-13. Napisane tym samym czerwonym flamastrem, duże, drukowane litery pokrywały reklamę sklepu z bielizną damską Lord & Taylor, oplatając szczupłą figurę modelki i zasłaniając bikini, które miała na sobie.

RICKY PODAŻA TROPEM, ZBLIŻA SIĘ, IDZIE Z POWROTEM.

AMBICJA OCZY CI ZASŁANIAŁA, ZLEKCEWAŻYŁEŚ, CO KOBIETA CI POWIEDZIAŁA.

NIE CHCIAŁEŚ JEJ ULŻYĆ W CIERPIENIU, WIĘC MASZ JĄ NA SUMIENIU.

JEJ DZIECKO TEN BŁĄD ODKRYŁO I NA ŚCIEŻKĘ ZEMSTY WKROCZYŁO.

KIEDYŚ BYŁO BIEDNE, TERAZ JEST BOGATE, MOŻE SPEŁNIAĆ SWOJE ZACHCIANKI WSZELAKIE.

MOŻE JĄ ZNAJDZIESZ W AKTACH CHORYCH, MÓJ DOKTORZE, ALE CZY TO WYSTARCZY, CZY COŚ CI POMOŻE?

BO, MÓJ DROGI RICKY, WRAZ Z KOŃCEM TEGO DNIA ZOSTANĄ DWIE I PÓŁ DOBY, I SKOŃCZY SIĘ GRA.

Prosta rymowanka przypominała obraźliwe piosenki, które wymyślają dzieci w przedszkolu. Jednak efekt, o jaki chodziło Rumpelstiltskinowi, nie miał w sobie nic infantylnego. Ricky wydarł tę stronę, złożył ją i wsunął do kieszeni spodni, a resztę gazety rzucił na podłogę taksówki.

Kierowca kłął pod nosem na ruch uliczny, prowadząc nieprzerwany dialog z każdą ciężarówką, samochodem osobowym, rowerzystą czy pieszym, który pojawiał się na jego drodze. Interesujące było to, że nikt nie słyszał jego monologu. Nie opuścił szyby i nie wykrzykiwał przekleństw przez otwarte okno ani nie trąbił bez przerwy, jak to robią niektórzy taksówkarze, gdy jest korek. Mężczyzna po prostu mówił, kierując, dając wskazówki i wyzywając. Musiało mu to na swój sposób dawać poczucie związku ze wszystkim, co pojawiało się zasięgu jego wzroku, a przynajmniej wrażenie, że ma na to jakiś wpływ. W zasięgu wzroku albo na celowniku, pomyślał Ricky. Zależy, jak na to spojrzeć. To musiało być niezwykle; przez całe życie, każdego dnia prowadzić dziesiątki rozmów, których nikt nie słyszy. Przyszło mu do głowy, że może wszystkie takie są.

Ricky wysiadł przed olbrzymim kompleksem szpitala. Widział wejście do izby przyjęć, opatrzone wielkim czerwonym napisem. Przed nim stała karetka. Pomimo upału Starks poczuł na plecach zimny dreszcz.

Przypomniało mu się, że ostatni raz był w tym szpitalu z chorą żoną, kiedy miała jeszcze siłę walczyć z chorobą, poddawała się naświetlaniom i chemioterapii, i wszystkim innym sposobom przeciwdziałania zdradzieckim zmianom w jej organizmie. Gabinet onkologa znajdował się w innej części kompleksu, ale Ricky i tak czuł powracające wrażenie niemocy i grozy, takich samych, jak ostatnim razem, kiedy stał na ulicy przed szpitalem. Spojrzał na ogromne ceglane

budynki. Pomyślał, że widział je trzy razy w życiu: pierwszy, kiedy przez sześć miesięcy pracował w klinice, zanim otworzył prywatną praktykę; drugi, kiedy szpital stał się jednym z wielu, do których przychodziła jego żona, tocząc daremną walkę ze śmiercią; trzeci teraz, poszukując nazwiska pacjentki, którą zlekceważył lub zaniedbał, a która teraz zagrażała jego życiu.

Archiwum obsługiwał grubawy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jaskrawą hawajską koszulę i spodnie khaki, poplamione atramentem albo resztkami obiadu. Kiedy Ricky wyjaśnił, o co mu chodzi, archiwista spojrzał na niego z rozbawionym zdumieniem.

– Czego konkretnie pan szuka? – spytał, nie kryjąc niedowierzania.

– Wszystkich akt kliniki psychiatrycznej z sześciomiesięcznego okresu, kiedy tu pracowałem – powiedział Ricky. – Każdy pacjent, który tu trafiał, dostawał swój numer i zakładano mu kartę, nawet jeśli pojawiał się tylko raz. W tych kartach są opisy przypadków, którymi się zajmowano.

– Nie jestem pewien, czy te dane zostały przeniesione do komputera – powiedział z powątpiewaniem archiwista.

– Założę się, że tak – odparł Ricky. – Sprawdźmy.

– To potrwa, doktorze – ociągał się urzędnik. – Mam mnóstwo innych zleceń... Starks pomyślał przez chwilę, uświadamiając sobie w końcu, jak łatwo było Wergiliusz i Merlinowi skłonić ludzi do robienia tego, co im kazali. W portfelu miał dwieście pięćdziesiąt dolarów. Wyjął dwieście i położył je na blacie.

– To rozwiąże problem – powiedział. – Może umieści mnie pan na początku kolejki.

Archiwista rozejrzał się, sprawdził, czy nikt nie patrzy i zgarnął pieniądze.

– Doktorze – powiedział z lekkim uśmiechem – moja wiedza należy do pana.

Schował banknoty do kieszeni i pstryknął palcami.

– Zobaczmy, co znajdziemy. – Zaczął stukać w klawiaturę komputera.

Stworzenie listy numerów kart trwało do południa. Chociaż udało im się wyodrębnić właściwy rok, na podstawie numerów nie sposób było określić, czy dana karta należy do mężczyzny czy kobiety, ani który lekarz zajmował się danym pacjentem. Ricky pracował w klinice od marca do początku września. Archiwista był w stanie wyeliminować przypadki zaczynające się przed i po tym terminie. Zawężając dalej wybór, Ricky domyślił się, że matka Rumpelstiltskina trafiła do niego w ciągu trzech letnich miesięcy. W tym okresie założono nowe karty dwustu siedemdziesięciu dziewięciu osobom.

– Jeśli chce pan znaleźć jedną osobę – powiedział archiwista – będzie pan musiał wyciągnąć ich karty i każdą przejrzeć. Mogę je panu przynieść, ale potem zostawiam pana samego. To nie będzie łatwe.

– Nie spodziewałem się, że będzie – odparł Ricky.

Urzędnik zaprowadził go do małego metalowego stolika pod ścianą.

Ricky usiadł na twardym drewnianym krześle, a archiwista zaczął mu przynosić karty. Zebranie wszystkich dwustu siedemdziesięciu dziewięciu trwało prawie dziesięć minut. Mężczyzna układał je na podłodze obok stolika. Przyniósł Ricky'emu żółty notatnik i stary długopis.

– Niech pan ich za bardzo nie pomiesza – poprosił. – I niech pan wkłada wszystko do właściwych teczek. Oczywiście nie spodziewam się, że ktoś kiedyś będzie jeszcze chciał to czytać. Nie mam pojęcia, po co się to trzyma. Ale nie ja ustalam zasady. – Spojrzał na Ricky'ego. – Wie pan, kto ustala zasady? – spytał.

– Nie – odparł Starks, sięgając po pierwszą teczkę. – Nie wiem. Pewnie administracja szpitala.

Archiwista zaśmiał się z pogardą.

– Jest pan psychiatrą, doktorze – powiedział, wracając do swojego biurka i komputera. – Wydawało mi się, że cała wasza praca polega na tym, żeby pomagać ludziom tworzyć własne zasady.

Ricky nie odpowiedział, ale pomyślał, że to mądra ocena tego, co robił. Problem tkwił w tym, że według własnych zasad grali bardzo różni ludzie. Zwłaszcza Rumpelstiltskin. Wziął pierwszą teczkę z wierzchu pierwszego stosu i otworzył ją. To jest, pomyślał nagle, jak otwieranie szuflady w pamięci.

W każdej karcie zapisane było nazwisko pacjenta, adres, dane najbliższej osoby i informacje dotyczące ubezpieczenia, jeśli był ubezpieczony.

Oprócz tego znajdowały się tam sugerowane metody leczenia.

Każde nazwisko sprawnie i szybko rozbijano na psychologiczne czynniki pierwsze. Suche słowa w karcie nie były jednak w stanie ukryć gorzkiej prawdy, będącej powodem trafienia danej osoby do kliniki. Wykorzystywanie seksualne, szal, bicie, uzależnienie od narkotyków, schizofrenia, zwidy – istna puszka Pandory chorób umysłowych. Klinika była pozostałością po aktywistach z lat sześćdziesiątych, którzy pragnęli pomóc mniej zamożnym i otworzyć szpital dla społeczeństwa. W tamtych czasach oficjalnym określeniem było „oddać”. Rzeczywistość była znacznie brutalniejsza i odarta z utopii. Miejska biedota cierpiała na wiele chorób, a klinika szybko odkryła, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Ricky trafił tam na ostatni etap szkolenia. Przynajmniej taki był oficjalny powód.

Kiedy dołączył do personelu kliniki, przepełniony był właściwymi młodym ludziom idealizmem i determinacją. Pamiętał, jak przekraczał próg szpitala, czując w sercu pogardę dla elitaryzmu profesji, której przedstawicielem miał się stać, pragnąc pomóc jak największej liczbie potrzebujących. Ten altruizm utrzymał się w nim około tygodnia.

Podczas pierwszych pięciu dni biurko Ricky'ego zostało przetrząśnięte przez jednego

z pacjentów w poszukiwaniu próbek narkotyków; napadł go szaleniec, słyszający głosy i wymachujący pięściami; jedna z jego sesji z młodą kobietą została przerwana przez jej alfonsa, który wtargnął do gabinetu z brzytwą i zdołał pociąć twarz jej i ramię ochroniarzowi, zanim go obezwładniono; musiał odesłać nieletnią dziewczynkę na izbę przyjęć, żeby opatrzone jej poparzenia od papierosa na rękach i nogach, a ona i tak nie chciała powiedzieć, kto ją skrzywdził. Pamiętał ją dość dobrze: Portorykanka, miała piękne oczy, tak samo kruczoczarne jak jej włosy. Rozumiała zasadę, według której przemoc rodzi przemoc, o wiele lepiej niż którykolwiek z badaczy i naukowców, zajmujący się tym problemem za rządowe pieniądze. Nie miała ubezpieczenia i nie była w stanie zapłacić za leczenie, więc Ricky spotkał się z nią pięć razy, czyli tyle, ile pozwalało mu prawo, i próbował wydusić z niej informacje, a ona wiedziała, że mówiąc, kto ją torturuje, podpisuje na siebie wyrok. Ricky pamiętał beznadziejność tej sytuacji i wiedział, że jeśli dziewczynka przeżyła, i tak była skazana na śmierć.

Biorąc do ręki kolejną kartę, zdziwił się, jakim cudem udało mu się tu wytrwać aż sześć miesięcy. Przez większość tego czasu czuł się całkowicie bezradny. Potem zrozumiał, że bezsiła, jakiej doświadczył za sprawą Rumplestiltskina, nie różniła się za bardzo od tamtej.

Z tą myślą zaczął przeglądać dwieście siedemdziesiąt dziewięć kart ludzi, których spotkał i leczył tak wiele lat temu.

Dwie trzecie z tych osób stanowiły kobiety. Jak w przypadku wielu poślubionych nędzy, ich choroby psychiczne były tak samo widoczne i oczywiste, jak skaleczenia i siniaki od codziennego bicia. Ricky widział wszystko, od uzależnień po schizofrenię, i pamiętał, jak bezsilny się czuł.

Uciekł z powrotem do górnej klasy średniej, z której pochodził, gdzie niska samoocena i problemy z nią związane dawały się zaakceptować, a nawet wyleczyć. Czuł się głupio, próbując rozmawiać z którymś z pacjentów z kliniki, jakby rozmowa mogła ulżyć ich męce, podczas gdy w rzeczywistości lepszym rozwiązaniem byłby prawdopodobnie rewolwer i chwila odwagi, wybór, na który kilka osób się zdecydowało, uznawszy, że więzienie więzieniu nierówne.

Ricky otworzył kolejną teczkę i zobaczył swoje pismo. Spróbował połączyć nazwisko ze słowami, które nagryzmolił. Twarze jednak pozostawały niewyraźne, mgliste, jak gorące powietrze nad asfaltem w upalny letni dzień. Kim jesteś? Potem dodał drugie pytanie: co się z tobą stało?

Kilka metrów dalej archiwista upuścił ołówek i wymamrotawszy pod nosem przekleństwo, schylił się, żeby go podnieść.

Ricky patrzył na niego przez chwilę. Mężczyzna wyprostował się i wrócił do jaśniejącego przed nim ekranu komputera. W tej sekundzie Starks coś zauważył. Lekkie przygarbienie urzędnika, nerwowe stukanie ołówkiem w blat biurka, to, jak opierał się na łokciach, wszystko to przemawiało językiem, który Ricky powinien był zrozumieć od razu, a przynajmniej w chwili,

w której zobaczył, jak mężczyzna zgarnia jego pieniądze. W tej okolicy jednak Ricky był jedynie turystą i dlatego zrozumienie zabrało mu tak wiele czasu. Po cichu wstał od stolika i zaszedł archiwistę od tyłu.

– Gdzie to jest? – zapytał cicho, łapiąc go mocno za ramię.

– Au! Co? – Mężczyzna był zaskoczony. Próbował się odwrócić, ale ból, jaki sprawiały mu wbijające się w ciało palce Ricky’ego, ograniczał swobodę jego ruchów. – Au! Co jest, do cholery!?

– Gdzie to jest? – powtórzył Starks, tym razem ostrzejszym tonem.

– O czym pan mówi? Cholera! Puszczaj pan!

– Nie, dopóki nie powiesz mi, gdzie to jest – powiedział Ricky. Lewą ręką ścisnął archiwistę za gardło. – Nie powiedzieli ci, że jestem zdesperowany?

Nie powiedzieli ci, pod jaką jestem presją? Że mogę być niezrównoważony?

Że mogę być nieobliczalny?

– Nie! Proszę! Au! Nie, cholera, nie powiedzieli! Puszczaj!

– Gdzie to jest?

– Oni to zabrali!

– Nie wierzę ci.

– Zabrali!

– Dobrze. Kto zabrał?

– Mężczyzna i kobieta. Jakies dwa tygodnie temu.

– Mężczyzna dobrze ubrany, gruby, mówił, że jest prawnikiem? Kobieta była bardzo ładna?

– Tak! To oni. O co tu chodzi, do cholery?

Ricky puścił archiwistę, który natychmiast się od niego odsunął.

– Jezu! – powiedział urzędnik, masując obojczyk. – Jezu, o co chodzi?

– Ile ci zapłacili?

– Więcej niż pan. Dużo więcej. Nie sądziłem, że to tak cholernie ważne. To była zwykła stara karta, do której nikt nie zajrzał od dwudziestu lat. W czym problem?

– Powiedzieli ci, po co im ona?

– Facet powiedział, że to ma związek z postępowaniem spadkowym.

Nie rozumiałem, wie pan? Goście, którzy tu trafiają, zwykle nie mają za bardzo czego zostawiać w spadku. Ale facet dał mi wizytówkę, powiedział, że odda kartę, kiedy przestanie mu być potrzebna. Nie widziałem żadnego problemu.

– Zwłaszcza kiedy dał ci pieniądze.

Archiwista zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

– Tysiąc pięćset w nowych setkach. Odwinął je z rulonika jak jakiś gangster. Wie pan, ja muszę pracować na takie pieniądze dwa tygodnie.

Wielkość sumy nie umknęła uwagi Ricky'ego. Piętnaście dni, każdy wart sto dolarów. Zerknął na stos teczek; zmarnował tyle godzin. Potem spojrzął na archiwistę i zmrużył oczy.

– A więc karta zniknęła?

– Przykro mi, doktorze, nie wiedziałem, że to będzie jakiś problem.

Chce pan wizytówkę tego faceta?

– Już ją mam. – Ricky nadal wpatrywał się w urzędnika, który zaczął się wiercić na krześle.

– A więc zabrali teczkę i ci zapłacili, ale ty nie jesteś taki głupi, co?

Archiwista drgnął.

– O co panu chodzi?

– O to, że nie jesteś głupi. Pracujesz w archiwum na tyle długo, żeby nauczyć się kryć własny tyłek, prawda? Więc jednej karty brakuje, ale najpierw się zabezpieczyłeś, prawda?

– O czym pan mówi?

– Nie oddałeś jej, nie robiąc najpierw kopii, mam rację? Nieważne, ile ci ten człowiek zapłacił, pomyślałeś sobie, że może ktoś inny, kto mógłby jej jeszcze szukać, będzie miał więcej forsy niż prawnik i kobieta, prawda?

A może nawet ci powiedzieli, że ktoś przyjdzie jej szukać, myślę się?

– Mogli tak powiedzieć.

– I może pomyślałeś, że zarobisz następne półtora tysiąca, a może i więcej, jeśli zrobisz kopię, zgadza się?

Archiwista skinął głową.

– Pan też mi zapłaci?

– Uznaj za zapłatę fakt, że nie powiadomię o wszystkim twojego szefa.

Urzędnik westchnął, jakby oceniając prawdziwość groźby. W oczach Ricky'ego dostrzegł jednak wystarczająco dużo gniewu i desperacji.

– W teczce nie było za dużo dokumentów – powiedział wolno. – Formularz przyjęcia i kilka stron notatek i zaleceń, przypiętych do formularza diagnozy. To skserowałem.

– Dawaj.

Archiwista zawahał się.

– Nie chcę więcej kłopotów – powiedział. – A jak ktoś jeszcze po to przyjdzie... – Już nikt nie przyjdzie – odparł Starks.

Mężczyzna schylił się, otworzył szufladę i wyjął z niej kopertę, którą podał Ricky'emu.

– Proszę – powiedział. – A teraz niech mi pan da spokój.

Ricky zajrzał do koperty i zobaczył dokumenty, których szukał. Zwalczył pragnienie obejrzenia ich natychmiast, mówiąc sobie, że musi być sam, by sondować swoją przeszłość. Wsunął kopertę do kieszeni marynarki.

– To wszystko? – spytał.

Archiwista zawahał się, po czym wyjął z szuflady kolejną, mniejszą kopertę.

– Jeszcze to – powiedział. – Ale to było przypięte do samej teczki, wie pan, zszywaczem. Nie dałem tego tamtym. Nie wiem, dlaczego. Pomyślałem, że ten facet pewnie to ma, bo robił wrażenie, jakby wiedział wszystko o tej sprawie.

– Co to jest?

– Raport policji i świadectwo zgonu.

Ricky odetchnął gwałtownie, nabierając do płuc zatęchłego piwnicznego powietrza.

– Co jest tak ważnego w jakiejś biedaczce, która trafiła do szpitala dwadzieścia lat temu? – spytał nagle archiwista.

– Ktoś popełnił błąd – odparł Ricky.

– A teraz ktoś musi za niego zapłacić? – spytał urzędnik.

– Na to wygląda – powiedział Starks, wychodząc.

Rozdział 18

Gdy Ricky wychodził z budynku szpitala, wciąż czuł mrowienie rąk, zwłaszcza palców, które wbił pod obojczyk archiwisty. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek użył siły fizycznej, by coś osiągnąć. Żył w świecie perswazji i dyskusji. To, że w taki sposób zastraszył urzędnika, było znakiem, że przekraczał jakąś granicę. Był człowiekiem słowa, a przynajmniej tak o sobie myślał aż do chwili otrzymania listu od Rumpelstiltskina.

Przyszło mu do głowy, że być może stoi na początku drogi, prowadzącej do stania się kimś innym.

Szedł w stronę rzeki Hudson przez olbrzymi teren kompleksu. Niedaleko wejścia do Pawilonu Harknessa, w którym leżeli wyjątkowo bogaci i wyjątkowo ciężko chorzy pacjenci, znajdował się niewielki placyk.

Budynki były wielkie, wielopiętrowe, zbudowane z cegły i kamienia.

Ricky pamiętał placyk jako ciche miejsce, gdzie można było usiąść na ławce, odpocząć od zgiełku miasta i spokojnie pomyśleć.

Po raz pierwszy od dwóch tygodni Starks nie czuł się śledzony. Był pewien, że jest sam, ale nie spodziewał się, że potrwa to długo.

Wypatrzył pustą ławkę i usiadł, kładąc na kolanach kartę pacjentki i kopertę. Dla kogoś przechodzącego wyglądał jak jeszcze jeden lekarz albo krewny chorego, który wyszedł na zewnątrz, żeby rozważyć jakąś kwestię lub zjeść szybki lunch. Po krótkim wahaniu Ricky sięgnął do teczki.

Nazwisko pacjentki, którą zajmował się dwadzieścia lat temu, brzmiało Claire Tyson.

Nic mu ono nie mówiło.

W pamięci nie pojawiła się żadna twarz, w uszach nie rozbrzmiało echo głosu. Żadne gesty, wyrazy twarzy, sposób mówienia nie wychynęły zza zasłony lat. Pamięć milczała. Było to po prostu jedno z wielu nazwisk z tamtego okresu.

Szybko przeczytał formularz przyjęcia. Kobieta trafiła do kliniki w stanie głębokiej depresji, cierpiała na ataki panicznego lęku. Skierowano ją tam z ostrego dyżuru, gdzie opatrywano jej stłuczenia i skaleczenia. Wyraźne dowody wskazywały na wykorzystywanie i przemoc ze strony mężczyzny, z którym była związana, lecz który nie był ojcem jej dzieci, mających dziesięć, osiem i pięć lat, niewymienionych w karcie z imienia. Pacjentka miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i mieszkała niedaleko szpitala. Ricky wiedział, że to bardzo nieprzyjemna część miasta. Nie miała ubezpieczenia zdrowotnego i pracowała na pół etatu jako ekspedientka w sklepie spożywczym.

Nie pochodziła z Nowego Jorku, jej najbliższa rodzina mieszkała w niewielkim miasteczku na północnej Florydzie. Poza tymi skąpymi danymi, był tylko numer ubezpieczenia społecznego

i telefon.

Ricky przewrócił kartkę i na formularzu diagnozy ujrzał własne pismo.

Słowa napełniły go przerażeniem. Pisał krótko, zwięźle i na temat.

Bez współczucia.

Panna Tyson, lat dwadzieścia dziewięć, jest matką trojga nieletnich dzieci i przebywa w być może patologicznym związku z mężczyzną, który nie jest ich ojcem. Twierdzi, że ojciec dzieci zostawił ją kilka lat temu i podjął pracę na platformie wiertniczej na południowym zachodzie kraju. Nie posiada ubezpieczenia zdrowotnego i może pracować jedynie w niepełnym wymiarze godzin, ponieważ nie ma wystarczających środków, by zatrudnić odpowiednią opiekę do dzieci. Otrzymuje zasiłek stanowy i federalny, talony żywnościowe i zapomogę mieszkaniową. Twierdzi, że nie może wrócić na rodzinną Florydę, ponieważ nie utrzymuje kontaktów z rodzicami z powodu związku z ojcem dzieci. Twierdzi też, że nie posiada funduszy pozwalających na przeprowadzkę.

Klinicznie panna Tyson wydaje się być kobietą o ponadprzeciętnej inteligencji, troszczącą się o swoje dzieci i ich byt. Ma ukończoną szkołę średnią i dwa lata studiów, które przerwała, kiedy zaszła w ciążę. Wygląda na mocno niedożywioną, ma tik prawej powieki. Rozmawiając o swojej sytuacji, unika kontaktu wzrokowego, podnosi wzrok tylko zapytana o dzieci, które są jej bardzo bliskie. Twierdzi, że nie słyszy głosów, ale przyznaje się do nagłych niekontrolowanych wybuchów płaczu. Twierdzi, że żyje tylko dla dzieci, nie przejawia tendencji samobójczych. Nie przyznaje się do uzależnienia od narkotyków, nie zaobserwowano śladów używania narkotyków, ale zaleca się badanie toksykologiczne.

Wstępna diagnoza: trwała depresja spowodowana nędzą. Zaburzenia osobowości. Możliwe używanie narkotyków.

Zalecenia: leczenie ambulatoryjne w postaci przepisowych pięciu sesji terapeutycznych.

Pod spodem widniał jego podpis. Ricky pomyślał, że podpisał wtedy swój wyrok śmierci.

Z drugiego formularza wynikało, że Claire Tyson pojawiła się w klinice cztery razy i nie przyszła na ostatnią, piątą darmową sesję. Przynajmniej tu dawny nauczyciel, doktor Lewis, nie miał racji, pomyślał Ricky.

Potem jednak, tknięty nagłą myślą, otworzył kopię świadectwa zgonu, poświadczonego przez koronera i porównał datę jego wystawienia z datą rozpoczęcia leczenia na formularzu klinicznym.

Piętnaście dni.

Opadł ciężko na oparcie ławki. Kobieta przyszła do szpitala, została skierowana do niego, a dwa tygodnie później już nie żyła.

Akt zgonu wydawał się świecić w jego ręku. Ricky szybko go przeczytał. Claire Tyson powiesiła się w łazience w swoim mieszkaniu, na męskim skórzanym pasku, przywiązany do

poprowadzonej po suficie rury. Autopsja wykazała, że bezpośrednio przedtem została pobita i że była w trzecim miesiącu ciąży. Według załączonego raportu policyjnego mężczyzna nazwiskiem Rafael Johnson został przesłuchany w sprawie pobicia, ale nie aresztowano go. Troje dzieci przekazano Departamentowi do Spraw Nietletnich.

To wszystko.

Żadne ze słów wydrukowanych na formularzu nie oddawało grozy życia i śmierci Claire Tyson. „Nędza” nie była w stanie opisać szcurów, brudu i rozpaczy. „Depresja” zaledwie sugerowała istnienie mrocznego ciężaru, przygniatającego barki młodej kobiety. W wirze życia, który uwięził młodą Claire Tyson, tylko jedna rzecz dawała jej powód, by się nie poddawać: jej dzieci.

Najstarsze z nich, pomyślał Ricky. Musiała mu powiedzieć, że idzie do szpitala na spotkanie z nim, że to jej pomoże. Czy powiedziała, że jestem jej ostatnią szansą? Że mogę odmienić jej los? Co takiego powiedziałem, co dało jej nadzieję, którą przekazała trójce dzieci?

Cokolwiek to było, nie wystarczyło, ponieważ się zabiła.

Ricky był pewien, że samobójstwo Claire Tyson musiało być punktem zwrotnym w życiu tych dzieci. A na jego własne zupełnie nie wpłynęło. Kiedy nie pojawiła się na ostatniej sesji, nie zrobił nic. Nawet nie przypomniał sobie, by choć zadzwonił. Wypełnił tylko kartę pacjentki i zapomniał o niej. I o dzieciach.

A teraz jedno z nich po niego wróciło.

Znajdź to dziecko, a znajdziesz Rumpelstiltskina, pomyślał.

Wstał z ławki z uczuciem, że ma wiele do zrobienia, właściwie zadowolony, że nie zostało mu już wiele czasu, ponieważ w przeciwnym wypadku musiałby przemyśleć to, co zrobił – albo czego nie zrobił – dwadzieścia lat temu.

Resztę dnia Ricky spędził w piekle nowojorskiej biurokracji.

Znając jedynie nazwisko i adres sprzed dwudziestu lat, miotał się między biurami i urzędnikami Departamentu do Spraw Nietletnich w centrum Manhattanu, próbując ustalić, jak potoczyły się losy trójki dzieci Claire Tyson. Najbardziej frustrujący był fakt, że zarówno on, jak i wszyscy pracownicy biura wiedzieli, że gdzieś istnieje zapis tego, co się z nimi stało. Odnalezienie go w niekompletnych komputerowych bazach danych i pomieszczeniach pełnych teczek wydawało się niemożliwe, przynajmniej na początku. Oczywiście było, że poszukiwania zajmą wiele godzin i będą wymagały ogromnej wytrwałości. Ricky żałował, że nie jest reporterem albo prywatnym detektywem, który ma cierpliwość do niekończącego się przesiadywania wśród zakurzonych akt. On jej nie miał.

Nie miał też czasu.

Kruchy ślad łączący ze mną trzy osoby może mnie kosztować życie, pomyślał, wędrując od urzędnika do urzędnika. Myśl ta sprawiła, że zaczął spieszyć się jeszcze bardziej.

Stał przed otyłą sympatyczną Latynoską, pracującą w archiwum sądu dla nieletnich. Kobieta miała kruczoczarne gęste włosy, które ściągnęła z tyłu głowy, pozwalając, by jej twarz zdominowały dziwaczne okulary w srebrnych oprawkach.

– To niewiele, doktorze – powiedziała.

– To wszystko, co mam – odparł.

– Jeśli ta trójka została adoptowana, ich akta prawdopodobnie zapieczętowano.

Można je otworzyć tylko z wyroku sądu. Nakaz da się zdobyć, ale to trudne, rozumie pan, o co mi chodzi? Najczęściej przychodzą do nas dorosłe dzieci, szukające swoich prawdziwych rodziców. Mamy w takich przypadkach ustaloną procedurę. Ale to, o co pan prosi, to co innego.

– Rozumiem. Ale nie mam wiele czasu... – Każdemu się spieszy. Nic, tylko szybko i szybko. Skąd ten pośpiech po dwudziestu latach?

– To nagły wypadek natury medycznej.

– No, sędziego to pewnie przekona, dostanie pan papiery. Niech się pan postara o nakaz. Wtedy poszukamy.

– Zdobycie nakazu potrwa wiele dni.

– Zgadza się. Tutaj nic nie dzieje się szybko. Chyba że zna pan jakiegoś sędziego osobiście. Niech pan takiego znajdzie i załatwi sobie szybko jakiś papier.

– Czas jest dla mnie bardzo ważny.

– Dla wszystkich jest. Przykro mi. Ale wie pan, co można zrobić?

– Co?

– Niech pan zdobędzie trochę więcej informacji o tych ludziach, skorzysta z wyszukiwarki komputerowej. Może coś się znajdzie. Wiem, że niektóre sieroty w ten sposób szukają rodzin. To da się zrobić. Każdy prywatny detektyw od tego zaczyna, jak tylko dostanie pieniądze.

– Nie używam za często komputera.

– Nie? Doktorze, świat poszedł do przodu. Mój trzynastoletni syn potrafi znaleźć takie rzeczy, że by pan nie uwierzył. Znalazł moją kuzynkę Violetę, z którą nie miałam kontaktu przez dziesięć lat. Pracowała w szpitalu w Los Angeles, a on ją znalazł. Zabrało mu to kilka dni. Powinien pan spróbować.

– Zapamiętam to – rzekł Ricky.

– Bardzo by pomogło, gdyby miał pan numer ubezpieczenia albo coś w tym rodzaju – powiedziała urzędniczka.

Mówiła ze śpiewnym akcentem. Było jasne, że rozmowa z Rickym jest przyjemną odmianą w jej codziennej rutynie. Zachowywała się tak, jakby informując go, że szuka rzeczy nieosiągalnych, jednocześnie nie chciała pozwolić mu odejść. Zbliżał się wieczór i prawdopodobnie, pomyślał, będzie mogła iść do domu, kiedy skończy go obsługiwać, dlatego chciała przytrzymać go jak najdłużej. Ricky doszedł do wniosku, że powinien już iść, ale nie

wiedział, co robić dalej.

– Jakim pan jest lekarzem? – spytała niespodziewanie kobieta.

– Psychoanalitykiem – odparł Starks.

Urzędniczka przewróciła oczami.

– Umie pan czytać w myślach?

– To tak nie działa – powiedział.

– Nie, może i nie. Byłby pan wtedy szamanem, co? – zachichotała. – Ale założę się, że jest pan niezły w przewidywaniu, co ludzie robią, prawda?

– Trochę. Ale nie aż tak, jak pani pewnie myśli.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– W dzisiejszych czasach wystarczy mieć trochę informacji, wiedzieć, jakie klawisze nacisnąć i można sporo odgadnąć. Tak to wszystko działa. – Wskazała klawiaturę komputera i ekran monitora.

– Pewnie ma pani rację. – Ricky zawahał się i popatrzył na dokumenty, które zdobył w szpitalu. Spojrzał na raport policyjny i zobaczył coś, co mogło mu pomóc. Policjanci, którzy przesłuchiwali Rafaela Johnsona, brutalnego chłopaka zmarłej, zapisali jego numer ubezpieczenia społecznego.

– A jeśli podam pani nazwisko i numer ubezpieczenia – powiedział nagle Ricky – znajdzie mi pani kogoś w tym komputerze?

– Ten ktoś wciąż tu mieszka? Głosuje? Może został aresztowany?

– Prawdopodobnie odpowiedź na wszystkie trzy brzmi „tak”. Przynajmniej na dwa. Nie wiem, czy głosuje.

– Może da się zrobić. Nazwisko?

Ricky pokazał kobiecie nazwisko i numer z raportu. Urzędniczka rozejrzała się szybko, jakby sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje.

– Nie powinnam tego robić – mruknęła – ale skoro jest pan lekarzem i tak dalej, no, zobaczymy.

Zaczęła stukać w klawiaturę palcami o czerwonych paznokciach.

Komputer zawarczał i wydał z siebie kilka elektronicznych pisków.

Ricky zobaczył, że na ekranie pojawiają się dane. W tym samym momencie kobieta uniosła brwi.

– To bardzo niegrzeczny chłopiec, doktorze. Jest pan pewien, że to o niego chodzi?

– Co tam jest?

– Napad, następny napad, pobicie, podejrzany o przynależność do gangu złodziei samochodów, przesiedział sześć miesięcy w Sing Singu za brutalne pobicie. Rany, paskudny ma życiorys.

Kobieta czytała dalej.

– O! – powiedziała nagle.

– Co?

– Już panu nie pomoże.

– Dlaczego?

– Ktoś go dopadł.

– I?

– Nie żyje. Pół roku temu.

– Nie żyje?

– Tak jest. Napisali tu „zmarł” i datę. Sześć miesięcy. Krzyżyk na drogę. Jest raport policyjny i nazwisko detektywa z czterdziestego pierwszego komisariatu w Bronksie. Sprawa ciągle jest otwarta. Wygląda na to, że ktoś zatłukł Rafaela Johnsona na śmierć.

– Co napisali?

– Po tym, jak go pobili, powiesili go na rurze, na jego własnym pasku.

Nieładnie. Bardzo nieładnie. – Kobieta potrząsnęła głową, ale na twarzy miała złośliwy uśmieszek. Zupełnie nie współczuła Rafaelowi Johnsonowi. Przypuszczalnie spotkała w życiu o jednego takiego mężczyznę za dużo.

Ricky zachwiał się. Bez trudu domyślił się, kto znalazł Rafaela Johnsona.

I dlaczego.

Z automatu telefonicznego w holu zadzwonił do detektywa, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Johnsona. Nie wiedział, czy ta rozmowa coś mu da, ale pomyślał, że musi ją przeprowadzić. Policjant mówił szorstko, ale energicznie, a kiedy Ricky się przedstawił, z zaciekawieniem spytał, o co chodzi.

– Nieczęsto dzwonią do mnie lekarze ze śródmieścia. Zazwyczaj nie obracają się w tych samych kręgach, co świętej pamięci pożegnany bez żalu Rafael Johnson. Dlaczego interesuje się pan tą sprawą, doktorze Starks?

– Johnson był związany z moją byłą pacjentką, około dwudziestu lat temu. Próbuję skontaktować się z jej rodziną i miałem nadzieję, że Johnson mnie jakoś naprowadzi.

– Wątpię, doktorze, chyba że był pan gotów mu zapłacić. Rafi zrobiłby wszystko dla każdego, pod warunkiem, że wiązała się z tym gotówka.

– Znał pan Johnsona, kiedy żył?

– Powiedzmy, że był na radarach miejscowych gliniarzy. Trzymały się go kłopoty. Myślę, że ciężko by panu było znaleźć tu w okolicy kogoś, kto dobrze by go wspominał. Trochę narkotyków. Mięśniak do wynajęcia.

Włamanie, napady, napastowanie seksualne raz czy dwa. Typowy żaloszny oprych. Skończył tak, jak można było się spodziewać i szczerze mówiąc, doktorze, nie sądzę, żeby ktoś płakał na

jego pogrzebie.

– Wie pan, kto go zabił?

– Doktorze, to pytanie za milion dolarów. Ale odpowiedź brzmi: domyślamy się.

Słyszac to, Ricky drgnął.

– Naprawdę? – spytał z podnieceniem. – Aresztowaliście kogoś?

– Nie. I raczej tego nie zrobimy. Przynajmniej nieprędko.

Tak samo szybko, jak dał się ponieść nadziei, Starks wrócił na ziemię.

– Dlaczego?

– W tego rodzaju sprawach nie ma zbyt wielu dowodów. Można ewentualnie zbadać ślady krwi, ale nie było ich, bo stary Rafi został mocno związany, zanim dostał łomot, a ten, co go załatwił, nosił rękawiczki.

Więc pozostaje nam przycisnąć któregoś z jego kumpli, wydusić z niego nazwisko, zebrać poszlaki i od jednego gadatliwego typa do drugiego dojść do mordercy.

– Tak, rozumiem.

– Ale nikt nie chce wsypać gościa, który załatwił Rafaela Johnsona.

– Dlaczego?

– To kwestia więziennej lojalności. Kodeks honorowy Sing Singu.

Szukamy faceta, z którym Rafael miał jakieś kłopoty, kiedy jechali razem na państwowym wickie. Poważny problem. Pewnie pokłócili się o kontrolę nad handlem prochami. Próbowali się nawzajem wykończyć. Robili sobie noże, nazywali je majchrami. Podobno to paskudna śmierć, tak słyszałem. Wygląda na to, że swoje zatargi zabrali ze sobą na ulicę. To może być najstarsza historia na świecie. Znajdziemy gościa, który wykończył starego Rafiego, kiedy wyciągniemy coś z któregoś z jego kumpli z odsiadki.

Prędzej czy później któryś się złamie, a wtedy ruszymy jak charty.

Musimy mieć możliwość przyciśnięcia ich trochę mocniej, rozumie pan.

– Więc sądzi pan, że mordercą był ktoś, kogo Johnson znał z więzienia?

– Oczywiście. Facet nazwiskiem Rogers. Spotkał pan kiedyś kogoś, kto się tak nazywa? Paskudny gość. Równie paskudny, jak Rafael Johnson, a może nawet gorszy, bo wciąż chodzi po świecie, a Johnson nawozi glebę na Staten Island.

– Skąd ma pan pewność, że to on?

– Nie powinienem panu tego mówić...

– Zrozumiem, jeśli nie będzie pan skłonny wyjawiać szczegółów – powiedział Ricky.

– To dziwna sprawa – ciągnął policjant. – Ale chyba nic się nie stanie, jak pan się dowie, pod warunkiem, że zatrzyma to pan dla siebie. Ten Rogers zostawił wizytówkę. Widać chciał, żeby wszyscy kumple Johnsona wiedzieli, kto go tak urządził. Taka mała wiadomość dla chłopaków w mamrze.

Stara, więzienna mentalność. W każdym razie, kiedy już obił Johnsona solidnie, zrobił mu miazgę z twarzy, złamał obie nogi i sześć palców, a zanim jeszcze go powiesił, wyciął mu na klatce piersiowej swój inicjał. Wielkie zakrwawione R. Paskudne, ale zrobiło wrażenie, na kim trzeba.

– Literę R?

– Tak jest. Niezła wiadomość, co?

Faktycznie, pomyślał Ricky. A osoba, do której była adresowana, właśnie ją otrzymała.

Ricky starał się nie wyobrazać sobie ostatnich chwil Rafaela Johnsona.

Zastanawiał się, czy były naciągacz i drobny opryszek w ogóle wiedział, kto go zabija. Każdy cios, który Johnson zadał nieszczęsnej Claire Tyson dwadzieścia lat wcześniej, został oddany z nawiązką. Starks wolał nie rozmyślać nad tym, czego się dowiedział, ale jedno było pewne: człowiek, który ukrywał się pod pseudonimem Rumpelstiltskin, zaplanował swoją zemstę z nadzwyczajnym zaangażowaniem, a jej zasięg był większy, niż Ricky się spodziewał.

Po raz trzeci zadzwonił do działu drobnych ogłoszeń „New York Timesa”, by zadać ostatnie pytanie. Wciąż stał przy automacie telefonicznym w holu sądu, zatykając palcem ucho, by wytłumić zgiełk, jaki robili opuszczający biura ludzie. Człowiek, który przyjął zlecenie, był zły, że Ricky zdążył zadzwonić tuż przed osiemnastą, w ostatniej chwili.

– W porządku, doktorze – powiedział krótko. – Co ma być w ogłoszeniu?

Ricky pomyślał chwilę i podyktował:

Czy ten, kogo szukam, to jeden z trojga?

Osierocony, lecz teraz butny, znajduje każdego, kto był kiedyś okrutny?

Mężczyzna powtórzył ogłoszenie bez komentarza, jakby był uodporniony na ciekawość. Pospiesznie zapisał dane Ricky’ego i równie szybko się rozłączył. Starks nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego czekało na tego człowieka w domu, że nie skomentował treści ogłoszenia, ale był mu za to wdzięczny.

Wyszedł na ulicę, podniósł rękę, żeby zatrzymać taksówkę, a potem pomyślał, że jednak pojedzie metrem. Ulice były zakorkowane, a równy strumień ludzi zniknął w podziemiach Manhattanu, by złapać pociąg do domu.

Ricky wmieszał się w tłum, niespodziewanie czując się bezpiecznie w tłoku.

Metro było zapchane i nie miał gdzie usiąść, więc jechał na północ uwieszony na metalowej poręczy, szarpany i podrzucany rytmem pociągu i bezwładem ludzi. Uczucie anonimowości wydawało mu się niemal luksusem.

Starał się nie myśleć o tym, że licząc od rana, zostało mu tylko czterdzieści osiem godzin. Uznał, że chociaż zamieścił w gazecie pytanie, znał już na nie odpowiedź, co dawało mu dwa dni na odkrycie imion i nazwisk osieroconych dzieci Claire Tyson. Nie wiedział, czy da radę, ale przynajmniej miał się na czym skupić. Były to konkretne informacje, które mógł zdobyć lub nie,

lecz które istniały w świecie dokumentów i sądów, choć nie czuł się w nim zbyt pewnie. Był to jednak przynajmniej świat poznawalny, i to dawało mu odrobinę nadziei. Przetrzęsał pamięć, wiedząc, że jego zmarła żona przyjaźniła się z kilkoma sędziami, i myśląc, że może jeden z nich wystawi mu nakaz, pozwalający przeszukać archiwa biura adopcji. Uśmiechnął się na myśl, że może mu się to udać i że tego manewru Rumpelstiltskin nie przewidział.

Pociąg zatrząsł się i zakołysał, po czym zahamował. Ricky musiał mocniej chwycić się metalowej poręczy. Nie udało mu się utrzymać równowagi i wpadł na młodego mężczyznę z długimi włosami i plecakiem, który zupełnie go zignorował.

Stacja metra znajdowała się dwie przecznice od domu Ricky'ego.

Wyszedł na ulicę, zadowolony, że znów znalazł się na powietrzu. Stał, wdychając bijący od chodnika żar, a potem szybkim krokiem ruszył ulicą. Nie był zbyt pewny siebie, ale przepełniało go poczucie celu. Postanowił znaleźć w piwnicy notes żony i zacząć wieczór od telefonów do sędziów, których znała. Któryś z nich musi być skłonny do pomocy. To skromny plan, pomyślał Ricky, ale daje jakieś szanse. Zastanawiał się, idąc szybko przed siebie, czy dotarł do tego punktu dlatego, że jego prześladowca tego chciał, czy dlatego, że okazał się sprytny. W jakiś sposób podniósł go na duchu fakt, że Rumpelstiltskin tak strasznie zemścił się na Rafaelu Johnsonie, człowieku, który bił jego matkę. Ricky pomyślał, że była spora różnica między zwykłym zaniedbaniem, które sam popełnił, a przemocą Johnsona. Pozwolił sobie na optymistyczną nadzieję, że może wszystko, co mu się przydarzyło, kłopoty z praktyką, kontami bankowymi i pacjentami, całe to zamieszanie posiane w jego życiu teraz skończy się podaniem nazwiska i jakimś zadośćuczynieniem, i będzie mógł zająć się naprawianiem szkód.

Nie zastanawiał się ani przez chwilę nad prawdziwą naturą zemsty, ponieważ było to coś zupełnie mu obcego. Nie dopuszczał też do siebie myśli o niebezpieczeństwie, jakie groziło któremuś z jego krewnych, wciąż mającego w tle.

Przepełniony jeśli nie pozytywnymi myślami, to chociaż namiastką wiary, że właśnie ma szansę zakończyć wszystko pomyślnie, Ricky skręcił za róg koło swojego domu i stanął jak wryty.

Przed domem stały, migając światłami, trzy radiowozy, duży wóz strażacki i dwa żółte samochody robot publicznych. Wirujące koguty wtapiały się w zapadający zmrok.

Ricky zatoczył się do tyłu jak pijany. Zobaczył stojących na schodach policjantów, wyklócających się z robotnikami w kaskach budowlanych i przepoconych kombinezonach. Kilku strażaków wsiadło właśnie do strażackiego wozu, który z niskim rykiem silnika i wyciem syreny odjechał.

Ricky podbiegł, nie zwracając uwagi na fakt, że stojący na schodach mężczyźni nigdzie się nie spieszyli. Kiedy znalazł się przed domem, z trudem łapał oddech. Jeden z policjantów odwrócił się do niego:

- Zwolnij, kolego.
- Co się stało? – wysapał Ricky.
- Pan tu mieszka? – spytał policjant.
- Tak – powtórzył Starks. – Co się dzieje?

Policjant nie odpowiedział wprost.

- O, rany. Lepiej niech pan pogada z tamtym gościem – powiedział.

Ricky spojrział w stronę drugiej grupy ludzi. Zobaczył swojego sąsiada, mieszkającego dwa piętra wyżej maklera, przewodniczącego luźnej społeczności mieszkańców, który kłócił się, gestykulując, z pracownikiem Departamentu Robót Publicznych w żółtym kasku. Obok stało dwóch innych mężczyzn. Ricky rozpoznał w jednym z nich nadzorcę budynku, a w drugim człowieka odpowiedzialnego za sprawy techniczne.

Mężczyzna w żółtym kasku mówił coś głośno. Ricky podszedł bliżej.

– Gównu mnie obchodzi, co pan sądzi o utrudnianiu życia mieszkańcom – usłyszał. – To ja decyduję o tym, kto może przebywać w budynku, i mówię, że, kurwa, nie ma mowy!

Makler odwrócił się zniechęcony w stronę Ricky'ego. Pomachał mu ręką i podszedł, zostawiając kłócących się robotników.

– Doktorze Starks – powiedział, podając mu dłoń – miałem nadzieję, że zdążył pan wyjechać na urlop.

- Co tu się dzieje? – spytał szybko Ricky.
- Bałagan – ciągnął makler. – Jeden wielki bałagan.
- Co?
- Policja panu nie powiedziała?
- Nie. Co się stało?

Makler westchnął i wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że na drugim piętrze nastąpiła poważna awaria kanalizacji.

Kilka rur pękło jednocześnie z powodu jakiegoś wzrostu ciśnienia.

Wybuchły jak bomby. Parter i pierwsze piętro zalały setki litrów wody, a ludzie na drugim i trzecim nie mają prądu, gazu, wody, telefonów – wszystko wysiadło.

Makler musiał dostrzec zaskoczenie na twarzy Ricky'ego, ponieważ dodał pocieszająco:

– Przykro mi. Wiem, że pana mieszkanie oberwało najbardziej. Nie widziałem go, ale... – Moje mieszkanie... – Tak. A teraz ten idiota z departamentu chce ewakuować i zamknąć cały budynek, dopóki ekipa remontowa nie wejdzie do środka i wszystkiego nie sprawdzi... – Ale moje rzeczy... – Jeden z robotników wprowadzi pana i pomoże zabrać wszystko, czego pan będzie potrzebował. Mówią, że cała konstrukcja jest zagrożona.

Ma pan do kogo zadzwonić? Gdzie zamieszkać? Miałem wrażenie, że sierpień spędza pan na Cape. Sądziłem, że będzie pan tam... – Ale jak?

– Nie wiedzą. Najwidoczniej wszystko zaczęło się w mieszkaniu nad panem. A Wolfsonowie są w Adirondack przez całe lato. Cholera, muszę do nich zadzwonić. Mam nadzieję, że ich telefon jest w książce. Zna pan jakąś dobrą firmę remontową? Kogoś, kto zajmie się sufitami, podłogą i całą resztą? I lepiej niech pan zadzwoni do firmy ubezpieczeniowej, chociaż nie będą zadowoleni, jak usłyszą, co się stało. Niech pan ściągnie ich tu jak najszybciej, żeby zabezpieczyć odszkodowanie, chociaż paru gości robi już tam na górze zdjęcia.

– Ciągle nie rozumiem... – Ten facet powiedział, że kanalizacja po prostu wybuchła. Może się zatkała. Dowiemy się dopiero za kilka tygodni. Może gdzieś zbierał się gaz. Tak czy inaczej wszystko wybuchło. Jak bomba.

Ricky cofnął się o krok, patrząc w górę na miejsce, które od ćwierć wieku było jego domem. Czuł się trochę tak, jakby ktoś powiedział mu o śmierci starego przyjaciela, bliskiego i ważnego. Miał wrażenie, że musi sam wszystko zobaczyć, zbadać i dotknąć, żeby uwierzyć. Tak jak wtedy, kiedy pogładził policzek żony, a jej skóra była zimna jak porcelana i uwierzył, że to się wreszcie stało. Machnął ręką na mężczyznę odpowiedzialnego za stan techniczny budynku.

– Proszę mnie wprowadzić – zażądał. – I wszystko pokazać.

Technik pokiwał smutno głową.

– Nie będzie pan zachwycony – powiedział. – Ani trochę. I zniszczy pan sobie buty.

Z wahaniem podał Ricky'emu porysowany srebrny kask.

Kiedy weszli do środka, woda wciąż kapłała z sufitu w holu i spływała po ścianach, powodując, że farba pokrywała się bąblami i łuszczyła.

Powietrze było gęste, wilgotne i cuchnęło stęchlizną jak w dżungli. Wszędzie czuć było słaby smród ludzkich odchodów. Na marmurowej posadzce potworzyły się kałuże, sprawiając, że zrobiła się śliska jak zamrznięty staw zimą. Technik szedł kilka kroków przed Rickym, patrząc uważnie, gdzie stąpa.

– Czuje pan ten smród? Lepiej, żebyśmy nie złapali jakiejś infekcji – powiedział przez ramię.

Powoli zaczęli wspinać się na schody, unikając w miarę możliwości stojącej wody, chociaż buty Ricky'ego już zaczęły skrzypieć przy każdym kroku, a on sam czuł, że ich skóra nasiąka wilgocią. Na pierwszym piętrze dwóch młodych mężczyzn w kombinezonach, kaloszach, gumowych rękawicach i maskach wielkimi mopami próbowało wycierać co większe kałuże. Przeciągane przez szambo mopki wydawały mlaszczące dźwięki. Mężczyźni pracowali powoli i metodycznie. Trzeci, również w gumiakach i masce, ale ubrany w tani brązowy garnitur i luźno zawiązany krawat, stał z boku. W rękach trzymał polaroid i fotografował rozmiary katastrofy. Flesz aparatu rozbłysł, a Ricky zobaczył w jego świetle przypominający nabrzmiały wrzód spory bąbel na suficie, w miejscu, gdzie zebrała się woda. Fotografowi groziło zalanie.

Drzwi do mieszkania Ricky'ego były otwarte na oścież.

– Przepraszam, musieliśmy je otworzyć – powiedział technik. – Próbowaliśmy znaleźć źródło głównego problemu... – Przerwał, jakby dalsze wyjaśnienia były zbędne, lecz dodał jedno słowo: – ...gówno... – co również nie wymagało rozwinięcia.

Ricky przestąpił próg i stanął jak wryty.

Mieszkanie wyglądało jak po przejściu tornada. Podłogę pokrywała kilkucentymetrowa warstwa wody. Światła nie było, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Wszystkie meble i wykładziny były przesiąknięte wilgocią, większość nadawała się do wyrzucenia. Sufit w wielu miejscach powyginał się i powybrzuszał, spore fragmenty odpadły, obsypując wszystko białym gipsowym pyłem. Obluzowane płyty wełny mineralnej leżały jak bryły papier-mache. Wszystko ociekało brązowym cuchnącym szambem. Im głębiej Ricky wchodził, tym bardziej przytłaczający stawał się smród, który czuć było już w holu na dole.

Na kanapę spadł spory kawał gipsu. Biurko przywalił zwinięty płat ocieplenia. W suficie ziały co najmniej trzy ociekające wodą dziury, z których niczym stalaktyty wisiały kikuty powyginanych rur. Podłogę pokrywała warstwa wody. Niektóre obrazy, dyplomy Ricky'ego i portret Freuda spadły, więc w kilku miejscach pełno było potłuczonego szkła.

– Jak po ataku terrorystów, prawda? – powiedział technik.

Kiedy Ricky zrobił krok do przodu, mężczyzna złapał go za ramię.

– Nie tam – ostrzegł.

– Moje rzeczy... – zaczął Starks.

– Podłoga chyba nie jest już stabilna – powiedział technik. – A te rury mogą się w każdej chwili urwać. Zresztą wszystko, co by pan mógł zabrać, i tak jest zniszczone. Lepiej to zostawić. Tu jest o wiele bardziej niebezpiecznie, niż się panu wydaje. Niech pan pociągnie nosem, doktorze.

Czuje pan? To nie tylko gówna. Chyba czuję gaz.

Ricky zawahał się, po czym skinął głową.

– Sypialnia? – spytał.

– Tak samo. Wszystkie ubrania też. A łóżko zmiażdżył wielki kawał sufitu.

– Mimo to muszę tam zajrzeć – powiedział Starks.

– Wcale pan nie musi – odparł mężczyzna. – Żaden koszmar, jaki pan sobie wyobrazi, nie może się równać z rzeczywistością, więc lepiej to zostawić i się stąd wynieść. Ubezpieczenie zapłaci za wszystko.

– Moje rzeczy... – Rzeczy to tylko rzeczy, doktorze. Para butów, garnitur – można kupić nowe. Nie warto dla nich ryzykować choroby albo kalectwa. Musimy stąd wyjść i wpuścić ekspertów. Nie ufam tym resztkom sufitu. Podłódze zresztą też nie. Będą musieli wypatroszyć to wszystko od góry do dołu.

Ricky tak się właśnie czuł – wypatroszony od góry do dołu. Odwrócił się i wyszedł za

mężczyzną z mieszkania. W tej samej sekundzie, jakby dla podkreślenia słów technika, oderwał się mały kawałek sufitu.

Kiedy znalazł się na chodniku, podeszli do niego makler, człowiek z Departamentu Robót Publicznych i mężczyzna odpowiedzialny za techniczny stan budynku.

– Bardzo źle? – spytał makler. – Widział pan kiedyś coś gorszego?

Ricky potrząsnął głową.

– Ludzie z agencji ubezpieczeniowej już tu jadą – powiedział sąsiad i podał Ricky’emu wizytówkę. – Niech pan zadzwoni do mojego biura za parę dni. Ma pan się gdzie zatrzymać?

Starks skinął głową i schował wizytówkę do kieszeni. Pozostało mu już tylko jedno nietknięte miejsce. Nie miał jednak nadziei, że takim pozostanie.

Rozdział 19

Resztki nocy otulały go jak niedopasowany garnitur, ciasno i niewygodnie.

Ricky przycisnął policzek do szyby, czując przenikający przez nią chłód poranka, niemal wnikający w niego razem z ciemnością, mieszający się z ponurą szarością w jego duszy. Z utęsknieniem wyczekiwał świtu, mając nadzieję, że promienie słońca rozświetlą mrok tego, co go czeka, lecz jednocześnie wiedząc, że to mrzonka. Oddychał wolno, czując na języku stęchłe powietrze, próbując stłumić przepełniającą go rozpacz.

Nie był w stanie tego zrobić.

Jechał nocnym autobusem linii Bonanza Bus z Port Authority do Provincetown szóstą godzinę. Wsluchiwał się w mruczenie dieslowskiego silnika, wznoszące się i opadające, kiedy kierowca zmieniał biegi. Po przystanku w Providence autobus wyjechał wreszcie na drogę numer na Cape Cod, powoli i nieustępliwie zbliżając się do celu. Część pasażerów wysiadła już w Bourne, Falmouth, Hyannis, i Eastham. W końcu autobus dotarł do Provincetown na końcu przylądka.

W tej chwili był pełny zaledwie w jednej trzeciej. Pasażerami byli młodzi mężczyźni i kobiety, w wieku od nastolatka do studenta ostatniego roku college'u, jadący na weekend. Prognoza pogody musiała być dobra, pomyślał Ricky. Czyste niebo, ciepło. Początkowo młodzi ludzie zachowywali się głośno; podekscytowani podróżą śmiali się, trajkotali i poznawali w sposób, który młodym wydaje się zupełnie automatyczny, ignorując Ricky'ego, który siedział samotnie z tyłu, odizolowany od nich znacznie większą barierą niż wiek. Monotonny szum silnika podziałął jednak na wszystkich oprócz niego; młodzi ludzie spali w różnorodnych pozycjach, a on przyglądał się, jak spod kół autobusu uciekają kolejne kilometry. Jego myśli pędziły równie szybko, co przesuwały się za oknami krajobraz.

Ricky nie miał wątpliwości, że jego mieszkanie nie zostało zniszczone przez przypadkową awarię kanalizacji. Miał nadzieję, że to samo nie spotkało jego letniego domu.

Który był wszystkim, co mu zostało.

W myślach wyliczał swój skromny dobytek; dom pełen zakurzonych wspomnień, lekko poobijana i rdzewiejąca dziesięcioletnia honda accord, którą trzymał w stodole za domem i używał tylko w czasie wakacji, nie potrzebując samochodu na Manhattanie. Trochę znoszonych ubrań, szorty, koszulki polo i swetry z postrzępionymi mankietami i dziurami po molach. Czek na dziesięć tysięcy dolarów (mniej więcej), czekający na niego w banku. Zrujnowana kariera. Zrujnowane życie.

I około trzydziestu sześciu godzin do upływu terminu Rumpelstiltskina.

Po raz pierwszy od wielu dni zastanowił się nad czekającym go wyborem: nazwisko albo nekrolog. W przeciwnym razie ktoś niewinny ucierpi w sposób, który Ricky dopiero zaczynał

sobie wyobrażać. Nie wątpił już w szczerą gróźbę swojego dręczyciela ani w jego możliwości i determinację.

Mimo całego mojego biegania, pomyślał, prób rozwiązania stawianych przede mną zagadek, wybór wciąż pozostał ten sam. Jestem w takim samym położeniu jak wtedy, kiedy dostałem pierwszy list.

Pokręcił głową, ponieważ nie była to do końca prawda. Jego położenie było znacznie gorsze. Doktor Frederick Starks, który otworzył list w swoim gabinecie, otoczony poukładanymi starannie sprawami, kontrolujący każdą minutę każdego dnia, już nie istniał. Spojrzał na swoje odbicie w ciemnej szybie. Patrzący na niego mężczyzna ledwie przypominał kogoś, kim kiedyś był. Rumpelstiltskin chciał rozgrywki, ale w tym, co przydarzyło się Ricky'emu, nie było nic sportowego.

Autobus szarpnął lekko, a silnik zwolnił obroty, sygnalizując zbliżanie się kolejnego przystanku. Ricky zerknął na zegarek i stwierdził, że do Wellfleet dotrze mniej więcej o świcie.

Jedną z najcudowniejszych rzeczy w początku jego wakacji, rok po roku, była ich niezmiennosc. Rytuał przyjazdu był za każdym razem taki sam i stał się w końcu ciągiem drobnych zdarzeń, przypominających ujrzenie starego dobrego przyjaciela po długiej rozłące. Kiedy zmarła żona, Ricky postanowił trzymać się tego zwyczaju. Co roku, pierwszego sierpnia, leciał tym samym lotem z La Guardii do małego lotniska w Provincetown, gdzie wsiadał w taksówkę zawsze tej samej korporacji i jechał tymi samymi znanymi drogami do domu. Proces otwierania go również się nie zmienił, od otwarcia okien i wpuszczenia do środka świeżego powietrza, po złożenie starych dzierganych narzut okrywających meble z wikliny i bawełny, i wytarcie kurzu, który zebrał się przez zimę na blatach i półkach. Kiedyś dzielili się obowiązkami. Przez ostatnie kilka lat robił wszystko sam. Przeglądając skromną pocztę, która nieodmiennie na niego czekała – głównie zaproszenia na otwarcia galerii i przyjęcia, które odrzucał – zawsze miał wrażenie, że robienie samemu tego, co kiedyś robili we dwójkę, przywołuje ducha zmarłej żony. Nie przeszkadzało mu to. W dziwny sposób czuł się wtedy mniej samotny.

Tego roku wszystko wyglądało inaczej. Przybywał z pustymi rękami, ale bagaż, który ze sobą przywiózł, był najcięższy ze wszystkich, jakie pamiętał, nawet tego z pierwszych wakacji po śmierci żony.

Wsiadł na czarnym asfalcie parkingu restauracji Lobster Shanty.

Przez wszystkie lata przyjeżdżania na Cape Cod ani razu tam nie jadł, odrzucany, jak sądził, szyldem z uśmiechniętym, wymachującym nożem i widelcem homarem z serwetką na szyi. Na parkingu stały dwa samochody.

Oba odjechały, zabrawszy kilku współtowarzyszy podróży Ricky'ego.

Poranne powietrze było nieco wilgotne, a nad wzgórzami tu i ówdzie unosiły się kłęby mgły.

Świt sprawiał, że świat dookoła wydawał się szary i na wpół przezroczysty, jak lekko nieostra fotografia. Ricky zadrżał, stojąc na krawężniku i czując, jak chłód przenika jego koszulę.

Wiedział dokładnie, gdzie jest – około pięciu kilometrów od domu, w miejscu, koło którego przejeżdżał setki razy. Widziane jednak o tej porze i w takich okolicznościach wydawało się obce i nienaturalne, jak instrument, grający właściwe dźwięki w nieodpowiedniej tonacji. Ricky zastanawiał się przez chwilę nad wezwaniem taksówki, ale w końcu powlókł się autostradą niepewnym krokiem znużonego walką żołnierza.

Dotarcie do drogi gruntowej prowadzącej do jego domu zabrało mu niecałą godzinę. Sierpniowy poranek spełnił obietnicę nieuniknionego upału i słońca, rozpraszając mgły wiszące nad pobliskimi wzgórzami.

Stojąc na skrzyżowaniu z podjazdem do domu, Ricky zobaczył trzy czarne gawrony, siedzące jakieś dwadzieścia metrów dalej na jezdni i agresywnie szarpiące ścierwo przejechanego szopa. Zeszłej nocy zwierzę wybrało nieodpowiedni mroczny moment na przejście przez drogę i w tym samej chwili stało się śniadaniem dla innych. Gawrony pożywiały się w sposób, który przykuł uwagę Ricky'ego: stały obok martwego szopa, obracając głowami w lewo i w prawo, wypatrując niebezpieczeństwa, jakby zdawały sobie sprawę z ryzyka, jakie niesło stanie na jezdni, a żaden głód, choćby nie wiadomo jak dotkliwy, nie był usprawiedliwieniem dla zaniechania czujności nawet na sekundę. Kiedy upewniły się już, że nic im nie zagraża, długimi okrutnymi dziobami zaczynały szarpać i drzeć ścierwo. Dziobały też siebie nawzajem, jakby nie chcąc dzielić się tym, co zostawiło na drodze mknące bmw czy volvo. Był to pospolity widok i w normalnych okolicznościach Ricky nie zwróciłby na niego uwagi, ale tego ranka rozwścieczyło go to, jakby ptaki urządziły swoje przedstawienie specjalnie dla niego. Ścierwojady, pomyślał. Pożerają trupy. Nagle zaczął wymachiwać dziko ramionami. Ptaki ignorowały go, dopóki nie zrobił w ich stronę kilku kroków. Wtedy, wrzeszcząc, wzbiły się w powietrze.

Krażyły przez chwilę nad wierzchołkami drzew, a kiedy tylko Ricky wrócił na podjazd, znów opadły na ziemię. Są bardziej zdeterminowane niż ja, pomyślał. Odwrócił się plecami do rozgrywającej się na jezdni sceny i ruszył równym, choć nieco niepewnym krokiem przez tunel drzew, z każdym krokiem wzbijając niewielki kłęb kurzu.

Jego dom znajdował się zaledwie kilkaset metrów od szosy, ale nie był z niej widoczny.

Większość nowych budynków na Cape jest położona i zaprojektowana w sposób, który arogancko daje do zrozumienia, że ich właściciele są bogaci. Wielkie domy, zbudowane na wszystkich zboczach wzgórz i wzniesieniach, ustawione były tak, by zapewnić mieszkańcom jak najlepszy widok na Atlantyk. Jeśli zaś z któregoś miejsca nie było widać wody, spoglądały na łąki albo gęste kępy poskręcanych od wiatru drzew, dominującego elementu krajobrazu. Nowe domy projektowano tak, by na coś patrzyły. Dom Ricky'ego był inny. Zbudowany ponad sto lat temu, kiedyś był małą farmą, stał więc na skraju pola. Kiedyś uprawiano na nim kukurydzę, teraz

stanowiło część rezerwatu, miejsce więc było ustronne.

Dom czerpał spokój i samotność nie tyle z widoku, jaki się z niego roztaczał, co ze związku z ziemią, na której stał. Teraz przypominał nieco starego siwego mieszkańca domu spokojnej starości, nieco niechlujnego i w poprzecieranym ubraniu, który w święta przypinał do piersi stare medale, ale najbardziej lubił spędzać czas, drzemiąc na słońcu. Dom wypełniał swoje obowiązki przez wiele dziesiątków lat, a teraz odpoczywał. Nie miał energii nowoczesnych budynków, które wydają się narzucać relaks i surowo go egzekwować.

Ricky szedł w cieniu drzew, aż las się skończył i jego oczom ukazał się dom przycupnięty na skraju pola. To, że wciąż stał, niemal go zaskoczyło.

Starks znalazł klucz pod szarym obłuzowanym otoczakiem. Zawahał się, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka. Stęchły zapach zastalego powietrza powitał niemal z ulgą. Szybko rozejrzał się po wnętrzu. Wszędzie kurz i cisza.

Kiedy zdał sobie sprawę z pracy, która go czeka – sprzątania, zamiatania, przygotowania domu do wakacji – poczuł zmęczenie tak wielkie, że zakręciło mu się w głowie. Wąskimi schodami wszedł na górę, do sypialni.

Drewniana podłoga, wypaczona ze starości, skrzypiała pod jego stopami.

Ricky otworzył okno, wpuszczając do środka ciepłe powietrze. W szufladzie komody trzymał zdjęcie żony, choć było to niezwykle miejsce na wspomnienia i fotografie. Wyjął je, po czym ściskając jak dziecko swojego misia, padł na łóżko, prawie natychmiast zapadając w głęboki niespokojny sen.

Kiedy późnym popołudniem otworzył oczy, poczuł, że dzień jest nasycony słońcem. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, jednak kiedy rozbudził się trochę, wszystko wróciło na swoje miejsce. To, co zobaczył, było znane i kochane, ale sprawiało swoim widokiem ból, przypominając, że to, czego najbardziej pożąda, jest poza jego zasięgiem. Jak zdjęcie żony, które wciąż ściskał w dłoni, dom wydawał mu się odległy i w jakiś sposób stracony.

Ricky poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Oparł dłonie o krawędź umywalki i popatrzył na siebie. Wyglądał staro. Miał dużo do zrobienia i bardzo mało czasu.

Zajął się zwykłymi letnimi obowiązkami. Poszedł do stodoły, żeby ściągnąć plandekę ze starej hondy i podłączyć do akumulatora prostownik, trzymany w schowku z myślą o tej właśnie chwili. Kiedy samochód powoli ożywał, Ricky wrócił do domu. Zaczął zdejmować z mebli narzuty, trochę pozamiatął. W schowku znalazł starą miotełkę do kurzu; wyjął ją i natychmiast zamienił wnętrze domu w królestwo wirujących w powietrzu drobinek.

Zgodnie z wakacyjnym zwyczajem, wychodząc, zostawił drzwi otwarte.

Nie chciał, by Wergiliusz, Merlin czy ktokolwiek powiązany z Rumpelstiltskinem musiał się włamywać, jeśli go śledzili. W ten sposób próbował zminimalizować poczucie krzywdy. Nie był pewien, czy zniósłby zniszczenie kolejnej rzeczy w swoim życiu. Jego dom w Nowym Jorku,

kariera, reputacja, wszystko, co związane było z tym, za kogo się uważał, co stworzył w swoim życiu, było systematycznie rujnowane. Ricky czuł się coraz delikatniejszy, wrażliwszy i bardziej kruchy. Każda rysa na framudze okna, zadrapanie drewno, stłuczona filiżanka czy wygięta łyżka mogły okazać się ponad jego siły.

Odetchnął z ulgą, kiedy honda zapaliła. Wcisnął kilka razy hamulec; on również wydawał się działać. Ricky wyjechał tyłem ze stodoły, cały czas myśląc: tak właśnie musi się czuć człowiek bliski śmierci.

Uprzejma recepcjonistka skierowała Ricky'ego do szklanego gabinetu kierownika banku. First Cape Bank zajmował niewielki budynek, podobnie jak wiele starszych budowli w okolicy pokryty drewnianym sidingiem. Wnętrze jednak było nowoczesne, a wystrój gabinetów był mieszanką nowości i staroświeckiego zużycia. Jakiś architekt wymyślił, że to będzie dobry pomysł, ale Ricky uważał, że powstałe w wyniku tego wnętrze zupełnie nie miało charakteru. Mimo to jednak cieszył się, że bank był tak blisko i że wciąż był otwarty.

Kierownik był trochę otyłym, niskim, sympatycznym człowiekiem, a jego łysina zdecydowanie zbyt często przypiekała się na słońcu. Potrząsnął energicznie dłonią Ricky'ego, po czym odsunął się o krok i zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Nic panu nie jest, doktorze? Był pan chory?

Ricky zawahał się.

– Nic mi nie jest. Dlaczego pan pyta?

Bankier zmieszał się i machnął lekceważąco ręką, jakby chciał unieważnić swoje pytanie.

– Przepraszam. Nie chciałem być wścibski.

Ricky pomyślał, że stres ostatnich dni musiał się odbić na jego wyglądzie.

– Miałem to letnie przeziębienie. Naprawdę dało mi się we znaki.

Kierownik skinął głową.

– To potrafi być uciążliwe. Mam nadzieję, że przebadał się pan na chorobę Lyme'a. To pierwsza rzecz, jaka przychodzi nam do głowy, kiedy widzimy kogoś marnie wyglądającego.

– Nic mi nie jest – skłamał ponownie Ricky.

– Spodziewaliśmy się pana, doktorze Starks. Myślę, że nie dopatrzy się pan żadnych uchybień, ale przyznaję, że to najdziwniejsza likwidacja rachunku, jaką kiedykolwiek przeprowadzałem.

– Dlaczego?

– Najpierw miała miejsce ta próba nieupoważnionego dostępu do pana konta. Jak na naszą okolicę samo to było dziwne. A dzisiaj kurier przywiózł przesyłkę dla pana, z adresem banku.

– Paczkę?

Kierownik podał mu kopertę. Widniało na niej jego nazwisko, zaraz obok nazwiska Starksa. Paczka została wysłana z Nowego Jorku. Zamiast adresu nadawcy wydrukowany był tylko numer

skrytki pocztowej i nazwisko R.S. Skin. Ricky wziął ją z rąk bankiera, ale nie otworzył.

– Dziękuję – powiedział. – Przepraszam za te niezwykłości.

Kierownik wyjął z szuflady biurka kopertę.

– Czek bankowy – powiedział. – Na sumę dziesięciu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu dwóch dolarów. Przykro nam, że tracimy pana konto, doktorze. Mam nadzieję, że nie zabiera pan tych pieniędzy do któregoś z naszych konkurentów.

– Nie. – Ricky zerknął na czek.

– Sprzedaje pan dom, doktorze? Możemy zapewnić pomoc w transakcji... – Nie, nie sprzedaję.

Kierownik miał zaskoczoną minę.

– W takim razie dlaczego zamyka pan rachunek? W przypadku długo istniejących kont zazwyczaj robi się to z powodu jakiejś dużej życiowej zmiany. Śmierci albo rozwodu. Czasami bankructwa. Kiedy wydarza się coś tragicznego albo trudnego, ludzie się przegrupowują. Zaczynają coś od początku. Ale w tym wypadku... – sondował kierownik.

Ricky nie zamierzał udzielać mu odpowiedzi. Patrzył na czek.

– Zastanawiam się, czy dałoby się zrobić tak, żebym dostał to w gotówce?

Bankier przewrócił oczami.

– Noszenie przy sobie tylu pieniędzy może być niebezpieczne. Może czeki podróżne?

– Nie, dziękuję, ale to miło, że się pan o mnie troszczy. Wolałbym gotówkę.

Kierownik pokiwał głową.

– W takim razie zaraz ją przyniosę, proszę poczekać. W setkach?

– Tak, doskonale.

Ricky siedział przez kilka minut samotnie. Śmierć, rozwód, bankructwo.

Choroba, rozpacz, depresja, szantaż, wymuszenie. Pomyślał, że każde z tych słów, a może i wszystkie, można zastosować do niego.

Kierownik wrócił i wręczył mu kopertę z gotówką.

– Przeliczy pan? – spytał.

– Nie, mam do pana zaufanie – odparł Ricky, chowając pieniądze do kieszeni.

– Cóż, doktorze Starks, gdybym kiedykolwiek jeszcze mógł służyć pomocą, oto moja wizytówka... Ricky schował ją również, mamrocząc pod nosem podziękowania.

Odwrócił się do wyjścia, lecz nagle stanął i spojrzał na kierownika.

– Mówił pan, że dlaczego ludzie zazwyczaj zamykają konta?

– Cóż, najczęściej dlatego, że przytrafiło im się coś bardzo nieprzyjemnego.

Muszą przenieść się w inne miejsce, znaleźć nową pracę. Stworzyć od początku życie dla siebie i swoich rodzin. Często zamykamy konta dlatego, że starsi klienci umierają, a ich majątek, którym się zajmowaliśmy, zostaje przeniesiony na bardziej agresywne rynki albo zainwestowany

w akcje przez ich spadkobierców. Powiedziałbym, że prawie dziewięćdziesiąt procent zamknięć rachunków wiąże się z czyjąś śmiercią. Może nawet więcej. Dlatego zainteresowały mnie pańskie powody, doktorze. Nie pasuje pan do wzorca, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

– Interesujące – powiedział Ricky. – Nie wiedziałem o tym. Może pan być spokojny – jeśli kiedyś będę jeszcze potrzebował usług bankowych, zwrócę się do państwa.

To nieco uspokoiło kierownika.

– Będziemy do usług – powiedział.

Ricky, zamyślony nad tym, co właśnie usłyszał, odwrócił się i wyszedł. Zapadał wieczór jego przedostatniego dnia.

Kiedy Ricky dotarł do domu, było już ciemno. Latem naprawdę ciężka gęsta ciemność nie nadchodzi aż do północy. Otaczające dom pola rozbrzmiewały ćwierkaniem świerszczy, a na niebie pojawiły się już pierwsze kropeczki gwiazd. Wszystko wydawało się ciche i spokojne. W taką noc nikt nie powinien mieć żadnych zmartwień ani trosk.

Ricky nie zdziwiłby się, gdyby w domu zastał czekających na niego Wergiliusz lub Merlina. Nie było jednak nikogo. Włączył światło i poszedł do kuchni zrobić sobie kawy. Potem usiadł przy drewnianym stole, przy którym przez tyle lat jadali z żoną posiłki, i otworzył paczkę. Wewnątrz kurierskiego opakowania znajdowała się pojedyncza koperta, na której wydrukowano jego nazwisko.

Ricky rozdarł ją i wyjął ze środka złożoną kartkę. Oficjalny nagłówek nadawał jej wygląd urzędowego pisma.

R.S. Skin Prywatne Biuro Detektywistyczne „Wszystkie transakcje ściśle poufne” P.O. Box 66-

Church Street Station Nowy Jork, N.Y. 1

Pod nagłówkiem znajdowała się krótka, utrzymana w zwięzłym i oficjalnym tonie notka:

Szanowny doktorze Starks!

W związku z zapytaniem, jakie wysłał Pan pod naszym adresem, mamy przyjemność poinformować Pana, że nasi agenci potwierdzili prawdziwość Pana przypuszczeń. W tej chwili jednak nie jesteśmy niestety w stanie dostarczyć Panu szczegółowych informacji o osobach, których rzecz dotyczy.

Zdajemy sobie sprawę, że obowiązują Pana ograniczenia czasowe. W związku z tym uprzedzamy, że nie będziemy w stanie udzielić Panu żadnych dodatkowych informacji. Jeżeli okoliczności ulegną zmianie, proszę kontaktować się z naszym biurem.

Rachunek za usługi zostanie dostarczony w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Z poważaniem R.S. Skin, prezes Ricky przeczytał list trzy razy, zanim odłożył go na stół.

To naprawdę niezwykły dokument, stwierdził. Potrząsnął głową niemal z podziwem. Adres i biuro były z całą pewnością wymyślone. Nie na tym jednak polegał geniusz autora. Tkwił

w tym, że dla każdego, oprócz Ricky'ego, wiadomość zupełnie nic nie znaczyła. Wszystkie inne dowody prowadzące do Rumpelstiltskina zostały wymazane z życia Starksa.

Krótkie wierszyki, pierwszy list, wskazówki i podpowiedzi, wszystko to zostało zniszczone lub skradzione. To pismo mówiło Ricky'emu wszystko, co musiał wiedzieć, ale utrzymane było w takim tonie, że nikt inny nie zwróciłby na nie uwagi, a każdy, kto próbowałby dociekać prawdy, trafiłby na mur nie do przebiccia, ślepią uliczkę.

To bardzo inteligentne, pomyślał Ricky.

Wiedział, kto chce, żeby się zabił, nie znał tylko ich nazwisk. Wiedział, dlaczego pragnął jego śmierci. Wiedział również, że jeśli nie spełni tego żądania, zrobią dokładnie to, co obiecali mu na samym początku.

Rachunek za usługi.

Zdawał sobie sprawę, że piekło, jakie mu urządzili przez ostatnie dwa tygodnie, zniknie bez śladu, kiedy on sam przestanie istnieć. Oskarżenie o molestowanie seksualne, które zaciążyło na jego karierze, pieniądze, mieszkanie, wszystko, co spotkało go przez ostatnie dwa tygodnie, natychmiast się wyjaśni, kiedy tylko Ricky umrze.

Ale najgorsze było to, że nikt się tym nie przejmie.

W ciągu ostatnich kilku lat Starks odizolował się zawodowo i towarzysko.

Krewni byli mu jeśli nie obcy, to odlegli. Nie miał prawdziwej rodziny ani przyjaciół. Na jego pogrzebie pojawiłby się tłum ludzi w czarnych garniturach, z twarzami wyrażającymi udawany żal i fałszywą troskę.

Jego koledzy. W ławkach kościoła siedziałoby kilkoro jego byłych pacjentów, którym naprawdę pomógł, okazujących właściwe emocje. Podstawą psychoanalizy jest jednak to, że terapia ma uwalniać ludzi od depresji i zmartwień. To właśnie zapewnił im latami codziennych spotkań.

Dlatego nierozsądnie byłoby wymagać, by naprawdę go opłakiwali.

Jedyną osobą, która ścisnęłaby twardą drewnianą ławkę z prawdziwym uczuciem, byłby człowiek, który doprowadził do jego śmierci.

Jestem przeraźliwie samotny, pomyślał Ricky.

Co by osiągnął, gdyby zakreślił na czerwono nazwisko R.S. Skin i zostawił list dla jakiegoś detektywa z dopiskiem: to człowiek, który zmusił mnie do samobójstwa?

Ten człowiek nie istniał. Przynajmniej nie w świecie, w którym mógłby go odnaleźć lokalny policjant z Wellfleet w Massachusetts, w środku sezonu urlopowego, kiedy przestępczość ograniczała się do wracających po pijanemu z przyjęć ludzi w średnim wieku, domowych kłótni między bogaczami i rozochoconych nastolatków, próbujących kupić różne nielegalne substancje.

A co gorsza, kto by w to uwierzył? Każdy, kto przyjrzałby się dokładniej życiu Ricky'ego, dowiedziałby się natychmiast, że jego żona zmarła, jego kariera legła w gruzach z powodu

oskarżenia o molestowanie seksualne, jego finanse były w opłakanym stanie, a mieszkanie zostało zniszczone przez przypadkową awarię. Wszystko to razem stanowiło idealną pożywkę dla samobójczej depresji.

Jego śmierć byłaby logiczna i zrozumiała dla każdego, kto by się nad nią zastanawiał, wliczając w to wszystkich jego kolegów z Manhattanu.

Byłaby przypadkiem wprost podręcznikowym. Nikt, nawet przez sekundę, nie pomyślałby, że było w niej coś niezwykłego czy tajemniczego.

Ricky poczuł ukłucie złości na samego siebie, za to, że stał się tak łatwym celem. Zaciśnął dłonie w pięści i uderzył nimi w stół.

– Chcesz żyć? – spytał głośno.

Dookoła panowała cisza. Ricky nasłuchiwał, jakby oczekując jakiejś upiornej odpowiedzi.

– Czy zostało coś, dla czego warto żyć?

I znów jedyną odpowiedzią był szum letniej nocy.

– Możesz żyć, jeśli ktoś będzie musiał przez to umrzeć?

Odetchnął głęboko i zapytał, kręcąc głową:

– Masz jakiś wybór?

Cisza.

Ricky zrozumiał z przejmującą wyrazistością, że w przeciągu dwudziestu czterech godzin doktor Frederick Starks musi umrzeć.

Rozdział 20

Ostatni dzień życia Ricky spędził na gorączkowych przygotowaniach.

W sklepie żeglarskim Harbor Marine kupił dwa dwudziestolitrowe kanistry do silnika zaburtowego, czerwone, montowane na dnie łodzi.

Wybrał najtańszy zestaw, nieuprzejmie każąc sobie pomóc pracującemu w sklepie chłopakowi. Sprzedawca próbował skłonić go delikatnie do kupienia droższych kanistrów, wyposażonych we wskaźniki poziomu paliwa i zawór bezpieczeństwa, ale Ricky z pogardą odmówił. Chłopak zapytał też, po co mu dwa, na co Starks odpowiedział, że jeden nie wystarczy do tego, co chce zrobić. Udawał gniew i zdecydowanie, i starał się być tak nieprzyjemny, jak mógł, aż do samego momentu zapłaty gotówką.

Kiedy tylko transakcja dobiegła końca, Ricky zawahał się, jakby coś sobie przypomniał i niespodziewanie kazał sprzedawcy pokazać sobie wybór żeglarskich raketnic. Chłopak przyniósł ich sześć. Ricky znów wybrał najtańszą, chociaż sprzedawca ostrzegł go, że pistolet ma bardzo mały zasięg i nie wystrzeli racy wyżej niż na piętnaście metrów w górę.

Próbował zachęcić Ricky'ego do zakupu czegoś droższego, o większym zasięgu i marginesie bezpieczeństwa. Starks znów potraktował go lekceważąco i obraźliwie, powiedział, że zamierza użyć raketnicy tylko raz i zapłacił gotówką, narzekając na wysoką cenę.

Ricky wyobrażał sobie, jak chłopak musiał się ucieszyć, kiedy wreszcie wyszedł.

Jego następnym przystankiem była duża apteka. Przeszedł na tył sklepu i kazał poprosić kierownika. Z zaplecza wyszedł mężczyzna w białym kitlu, roztaczający wokół siebie atmosferę nadgorliwości. Ricky przedstawił się.

– Chciałbym zrealizować receptę – powiedział. – Elavil. Trzydziestodniowy zapas trzydziestomiligramowych tabletek. Razem dziewięć tysięcy miligramów.

Mężczyzna pokręcił głową, nie był to jednak gest odmowy, raczej zaskoczenia.

– Od dawna nie sprzedałem nikomu takiej ilości, doktorze. Na rynku pojawiły się już nowsze leki, znacznie skuteczniejsze, wywołujące znacznie mniej efektów ubocznych, o wiele bezpieczniejsze niż elavil. To już prawie antyk. Mało kto go używa. Mam go jeszcze trochę z ważną datą przydatności, ale jest pan pewien, że o to właśnie panu chodzi?

– Całkowicie – odparł Ricky.

Aptekarz wzruszył ramionami, jakby oznajmiając, że zrobił, co mógł, by przekonać go do skutecznego środka na poprawę samopoczucia.

– Jakie nazwisko mam wypisać na etykiecie? – spytał.

– Moje – powiedział Starks.

Z apteki Ricky udał się do niewielkiego sklepu papierniczego. Nie zwracając uwagi na rzędy gotowych kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, kondolencjami, gratulacjami z okazji

narodzin dziecka, urodzin i rocznic, nabył tani zeszyt w linie, kilkanaście grubych kopert i dwa pióra kulkowe. Kiedy płacił za to wszystko, kupił jeszcze znaczki pocztowe.

Potrzebował jedenastu. Młoda kobieta obsługująca kasę nawet na niego nie spojrzała.

Ricky wrzucił zakupy na tylny fotel starej hondy i pojechał drogą numer 6 w stronę Provincetown. Miasto na końcu przylądka Cape pozostawało w niezwykłym związku z pobliskimi miejscowościami wypoczynkowymi.

Przyjeżdżali tu młodzi i rozrywkowi ludzie, często geje i lesbijki, czyli biegunowe przeciwieństwo konserwatywnych lekarzy, prawników, pisarzy i wykładowców, których przyciągały Wellfleet czy Truro. Miasteczka te swoją atmosferą skłaniały do relaksu, popijania koktajli i rozprawiania o książkach, polityce, rozwodach i romansach, przez co sprawiały wrażenie ociężałych i przewidywalnych. Provincetown latem rozbrzmiewało muzyką i pulsowało seksualną energią. Nie szukało relaksu i rytmu, wołało bawić się i łączyć. Było miejscem, w którym królowała młodość. Ricky wiedział, że szansa na spotkanie tu kogoś, kto go zna, jest minimalna. Dlatego też Provincetown było doskonałym miejscem na zakup tego, czego jeszcze potrzebował.

W sklepie z artykułami sportowymi kupił mały czarny plecak, z rodzaju tych, w których studenci lubią nosić książki, a także najtańszą szaszetkę na pasku, jaką znalazł, i adidas. Robiąc zakupy, starał się ograniczyć do minimum rozmowę ze sprzedawcą i unikać kontaktu wzrokowego.

Nie zachowywał się tajemniczo, bo to mogło zwrócić uwagę, ale podejmował decyzje szybko i sprawnie, tak by jego obecność w sklepie robiła wrażenie zwyczajnej i nie zapadała w pamięć.

W następnej aptece kupił czarną farbę do włosów, tanie okulary przeciwsłoneczne i aluminiowe kule o regulowanej długości, nie takie sięgające do pach, jakich używali kontuzjowani sportowcy, lecz przeznaczone do długotrwałego użytku dla ludzi okaleczonych chorobą, wyposażone w uchwyt na przedramię.

W Provincetown zatrzymał się w jeszcze jednym miejscu – na dworcu autobusowym linii Bonanza, niewielkim budynku z jedną kasą, trzema krzesłami w poczekalni i asfaltowym parkingiem, mieszczącym dwa lub trzy autobusy. Założywszy okulary przeciwsłoneczne, zaczekał na zewnątrz, aż jeden z nich podjedzie, po czym, wmieszawszy się w grupę pasażerów, szybkim krokiem wszedł do środka i kupił to, co miał kupić.

Jadąc do domu, pomyślał, że zostało mu niewiele czasu. Przez przednią szybę hondy wpadało słońce, otwarte okna wpuszczały do środka gorące powietrze. O tej porze wczasowicze kończyli wylegiwanie się na plaży, wołali dzieci bawiące się na płyciźnie, zbierali ręczniki, turystyczne lodówki, kolorowe plastikowe wiaderka i łopatki, po czym zaczynali niezręczną wędrówkę do samochodów. Był to moment przejściowy przed kolacją i kinem, zabawą czy

wieczorem spędzonym nad wygniecioną tanią powieścią zabraną z domu. O tej porze Ricky zwykł odprężać się pod ciepłym prysznicem, a potem rozmawiać z żoną o zwykłych przyziemnych sprawach, na przykład o wyjątkowo trudnym etapie terapii któregoś z pacjentów czy kliencie, który nie potrafił się zmienić mimo jej starań.

Były to małe chwile, zwyczajne, lecz fascynujące elementy spokojnego życia we dwoje. Pamiętał te czasy i zastanawiał się, dlaczego nie myślał o nich po śmierci żony. Wspomnienia nie zasmuciły go, jak to się często dzieje, lecz dodały otuchy. Uśmiechnął się, bo po raz pierwszy od wielu miesięcy przypomniał sobie brzmienie głosu żony. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiedy przygotowywała się na śmierć, myślała o tych samych rzeczach, nieważnych i znaczących momentach życia, lecz spokojnych i małych, graniczących z nudną rutyną i tak szybko zapominanych. Pokręcił głową. Przypuszczał, że się starała, ale że ból był zbyt wielki, a tłumiąca go morfina odbierała jej także wspomnienia. Ricky pożałował, że o tym pomyślał.

Moje umieranie jest inne, pomyślał.

Zupełnie inne.

Zatrzymał się na stacji benzynowej Texaco, przy rzędzie dystrybutorów.

Wyjął z bagażnika kanistry, po czym zaczął je napełniać benzyną.

Zobaczył to pracujący na stacji chłopak.

– Proszę pana, jeśli to ma iść do zaburtowego silnika, musi pan zostawić miejsce na ropę. Niektóre wymagają mieszanki pięćdziesiąt do jednego, inne sto do jednego, ale musi pan to wlać od razu do kanistra... Ricky pokręcił głową.

– To nie idzie do silnika, dziękuję.

Nastolatek wzruszył ramionami. Pewnie pracuje tu przez cały rok, pomyślał Starks. To dzieciak ze szkoły średniej; nie potrafi sobie wyobrazić innego zastosowania kanistrów niż to, do którego je zaprojektowano.

Chłopak natychmiast zakwalifikował Ricky'ego do specjalnej kategorii ludzi, zarezerwowanej dla mieszkańców Cape. Czuł do nich łagodną pogardę i był przekonany, że ktoś z Nowego Jorku czy Bostonu nigdy nie wie, co robi. Ricky zapłacił, schował kanistry do bagażnika – nawet on zdawał sobie sprawę, że to niebezpieczne – po czym pojechał do domu.

Postawił kanistry w salonie i poszedł do kuchni. Poczł się nagle spragniony, jak po długim biegu. W lodówce znalazł butelkę wody mineralnej, którą łąpczywie wypił. Im bardziej dzień miał się ku końcowi, tym szybciej biło mu serce. Upomniał się, że musi zachować spokój.

Usiadł przy stole, rozłożył przed sobą koperty i papier, sprawdził jedno z piór i napisał następujący list:

Do Towarzystwa Ochrony Przyrody!

Proszę przyjąć załączoną darowiznę. Proszę nie zwracać się o więcej, ponieważ więcej nie mam, a po dzisiejszym wieczorze już mnie nie będzie.

Z poważaniem Frederick Starks, dr med.

Następnie wyjął z portfela banknot studolarowy i włożył go razem z listem do koperty ze znaczkiem.

Potem powkładał podobne notki i sumy pieniędzy do wszystkich pozostałych kopert, z wyjątkiem jednej. Przekazał darowizny Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Walki z Rakiem, Klubowi Sierra, Zrzeszeniu Ochrony Przyrody Wybrzeża, CARE i Narodowemu Komitetowi Demokratycznemu.

Za każdym razem po prostu pisał nazwę organizacji na kopercie.

Kiedy skończył, spojrzął na zegarek i zobaczył, że zbliża się godzina zamknięcia biura ogłoszeń „Timesa”. Podeszedł do telefonu i zadzwonił, tak jak robił to już trzy razy.

Tym razem jednak wiadomość, którą przekazał Ricky, była inna. Żadnych rymowanek i pytań. Po prostu zwykłe stwierdzenie:

Panie R., wygrałeś. Przeczytaj „Cape Cod Timesa”.

Kiedy to załatwił, wrócił do kuchni i zabrał się za pisanie ostatniego listu. Przez chwilę gryzł koniec pióra, układając w myślach jego treść.

Potem napisał szybko:

Do wszystkich zainteresowanych!

Zrobiłem to, ponieważ byłem sam i miałem dość pustki w moim życiu.

Nie mogłem już dłużej krzywdzić innych.

Zostałem oskarżony o rzeczy, których nie zrobiłem. Popelniłem jednak wiele błędów w stosunku do ludzi, których kochałem, i przez to właśnie zdecydowałem się na ten krok.

Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś wysłał pocztą listy z darowiznami. Cały majątek i fundusze będące w moim posiadaniu mają być sprzedane, a zyski przekazane tym samym instytucjom charytatywnym. To, co zostało z mojego domu w Wellfleet, ma zostać włączone do rezerwatu przyrody.

Do moich przyjaciół, jeśli jakichś mam: Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Do moich pacjentów: Mam nadzieję, że zrozumiecie.

A co do pana R., który przyczynił się do doprowadzenia mnie do tego stanu: Mam nadzieję, że jak najszybciej trafisz do piekła, bo będę tam na Ciebie czekał.

Podpisał się zamasyście, zamknął ostatnią kopertę i zaadresował ją do Departamentu Policji Wellfleet.

Z plecakiem i farbą do włosów poszedł do łazienki na piętrze. Zastosował się do instrukcji na opakowaniu barwnika i wyszedł po chwili z kruczoczarnymi włosami. Zerknął w lustro i pomyślał, że wygląda trochę głupio. Z komody wyjął trochę znoszonych letnich ubrań i wepchnął je do plecaka, wraz z postrzępioną wiatrówką. Na wierzchu ułożył starannie złożone ubranie na zmianę. Potem założył rzeczy, które nosił przez cały dzień. Do zewnętrznej kieszeni

plecaka wsunął fotografię żony, do innej ostatnią wiadomość od Rumpelstiltskina i pozostałe dokumenty, zawierające wszystko, co o nim wiedział.

Zaniósł do samochodu plecak i ubranie, aluminiowe kule i plik listów, i położył na miejscu pasażera, razem z tanimi okularami przeciwsłonecznymi i adidasami. Potem wrócił do kuchni i usiadł w milczeniu, pozwalając upłynąć pozostałym mu godzinom. Był podekscytowany, trochę zaintrygowany, co jakiś czas przeszywał go dreszcz strachu. Starał się o niczym nie myśleć; mruzczał jakieś melodie, usiłując oczyścić umysł.

Bezskutecznie.

Ricky wiedział, że nie jest w stanie przyczynić się do czyjejs śmierci.

Nawet śmierci kogoś, kogo nie zna, z kim był spokrewniony jedynie przez przypadkowe więzy krwi i małżeństwo. Co do tego Rumpelstiltskin miał rację od samego początku. Żaden element jego życia i przeszłości, żadna chwila, która ukształtowała go takim, jakim był, kim się stał i w kogo mógł się zamienić, nie znaczyły nic w obliczu takiej groźby. Pokręcił głową. Pan R. zna mnie o wiele lepiej niż ja sam, pomyślał. Od samego początku miał mnie na widelcu.

Ricky nie wiedział, kogo ratuje. Wystarczyło, że była to istota ludzka.

Pomyśl o tym, powiedział sobie.

Tuż po północy wstał. Obszedł dom po raz ostatni, przypominając sobie, jak bardzo kochał każdy kąt, każdy sęk i skrzypnięcie podłogi.

Kiedy wносił na piętro pierwszy zbiornik z benzyną, drżały mu ręce.

Wylał ją na podłogę i łóżko.

To samo zrobił na parterze.

W kuchni zgasił płomyki starej gazowej kuchenki, po czym odkręcił wszystkie kurki. Pomieszczenie natychmiast wypełniło się charakterystycznym odorem zgniłych jaj. Kuchenka syczała ostrzegawczo. Smród mieszał się z zapachem benzyny, którym zdążyło przesiąknąć ubranie Ricky'ego.

Z raketnicą w dłoni wyszedł przed dom. Odpalił hondę i odjechał spory kawałek od budynku. Zostawił ją na podjeździe z włączonym silnikiem.

Potem stanął na wprost okien salonu. Smród rozlanej wewnątrz benzyny mieszał się z jej odorem na jego rękach i ubraniu. Wszystkie te zapachy wydawały się zupełnie obce w zestawieniu z ciepłem lata i aromatem kapryfolium i polnych kwiatów, z delikatną domieszką słonego powiewu oceanu, obecnego w każdym podmuchu przemykającego między drzewami wiatru. Wziął głęboki oddech, starając się nie zastanawiać nad tym, co robi, wycelował dokładnie, odciągnął kurek, po czym wystrzelił pojedynczą racę w środkowe okno. Pocisk pomknął przez noc, zostawiając w czarnym powietrzu lśniąca białą smugę światła między nim a domem, i wpadł do środka z brzękiem tłuczonego szkła. Ricky spodziewał się eksplozji, jednak usłyszał tylko stłumiony huk, a zaraz po nim trzaskanie i blask. Kilka sekund później zobaczył

pierwsze płomienie tańczące nad podłogą i zaczynające ogarniać salon.

Ricky odwrócił się i pobiegł do hondy. Kiedy siadał za kierownicą, cały parter ogarnął już pożar. Jadąc podjazdem, usłyszał eksplozję; ogień doszedł do gazu w kuchni.

Postanowił nie oglądać się za siebie. Przyspieszył, jadąc przez gęstniejący mrok.

Jechał ostrożnie i spokojnie. Zatrzymał się w miejscu, które znał od lat, a które nosiło nazwę Hawthorne Beach. Leżało na końcu kilkukilometrowej asfaltowej drogi, z dala od ludzkich siedzib, jeśli nie liczyć kilku starych farm, podobnych do jego domu. Przejeżdżając wolno obok każdego budynku, który mógł być zamieszkany, Ricky wyłączał światła.

W okolicach Wellfleet było kilka plaż, które nadawały się do tego, co chciał zrobić, ale ta była najbardziej odizolowana. Szansa na to, że młodzi ludzie urządzili sobie na niej nocną imprezę, była niewielka. Przy zejściu na brzeg oceanu znajdował się mały parking, zarządzany przez Towarzystwo Rezerwatów, stowarzyszenie zajmujące się ochroną najmniej zasiedlonych miejsc stanu Massachusetts. Parking mógł pomieścić najwyżej dwadzieścia samochodów i zapełniał się zazwyczaj około wpół do dziesiątej rano, ponieważ z plaży roztaczał się wspaniały widok; szeroki pas piasku ciągnął się u podnóża piętnastometrowej skarpy, porośniętej zieloną trawą morską. Przybój był tu najsilniejszy na całym przylądku i ściągał w to miejsce surferów, którzy doceniali fale i siłę przyływu, sprawiające, że ich sport zawsze niósł ze sobą posmak ryzyka. Na skraju parkingu stała ostrzegawcza tablica: UWAGA! SILNY PRĄD. ZAKAZ KĄPIELI POD NIEOBECNOŚĆ RATOWNIKA.

Ricky zaparkował obok znaku. Zostawił kluczyki w samochodzie.

Koperty z darowiznami położył na desce rozdzielczej, a list do policji na kierownicy.

Oddalił się od auta, niosąc kule, plecak, adidas i ubranie na zmianę, które położył na krawędzi urwiska, kilka metrów od drewnianej bariery biegnącej wzdłuż wąskiej ścieżki prowadzącej na plażę. Wyjął z plecaka zdjęcie żony i wsunął je do kieszeni spodni. Słyszał rytmiczny huk przyboju, a na twarzy czuł powiew bryzy. Ucieszył się z tego; po zapadnięciu zmroku fale przybrały na sile i rzucały się na brzeg jak sfrustrowany zapaśnik.

Plaża skąpana była w bladym świetle księżyca w pełni, dzięki czemu zejście stromą ścieżką było łatwiejsze, choć Ricky i tak potykał się i ślizgał.

Tak jak się spodziewał, zobaczył przed sobą przybój, ryczący jak pijany mężczyzna, eksplodujący po każdym uderzeniu o brzeg i chlapiący białą pianą na piasek.

Chłodny wiatr sprawił, że Ricky zawahał się i odetchnął głęboko.

Zdjął ubranie i bieliznę, i ułożył w równy stosik powyżej linii, którą zostawił na piasku wieczorny przybój. Ubranie będzie dobrze widoczne dla pierwszej osoby, która rano stanie na urwisku. Wysypał na dłoń pigułki z fiołki. Dziewięć tysięcy miligramów elavilu. Po połknięciu takiej dawki człowiek tracił przytomność w przeciągu trzech do pięciu minut.

Na koniec położył na piasku fotografię żony i przycisnął ją krawędzią buta. Zrobiłaś dla

mnie tak wiele, pomyślał. Zrób jeszcze tę jedną rzecz.

Podniósł głowę i spojrzał na bezmiar czarnego oceanu. Gwiazdy świeciły tak jasno, jakby wyznaczenie granicy między wodą a niebem uważały za swój obowiązek.

To piękna noc, pomyślał Ricky. Idealna noc na śmierć.

Nagi, ruszył wolno w kierunku spienionych fal.

Część 2

CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE BYŁO

Rozdział 21

Dwa tygodnie po swojej śmierci Ricky siedział na krawędzi łóżka, które skrzypiało przy każdym jego ruchu i słuchał odgłosów ulicy przebijających się przez cienkie ściany motelu. Szum samochodów mieszał się z dźwiękiem nastawionego zbyt głośno telewizora w sąsiednim pokoju. Ricky domyślił się, że to mecz. Red Sox grali w Fenway, a sezon jeszcze się kończył, co oznaczało, że byli blisko, ale nie dość blisko mistrzostwa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie włączyć własnego telewizora, stojącego w rogu, ale rozmyślił się. Przegrają, pomyślał, a on nie chciał już doświadczać więcej porażek, nawet tych, które były udziałem wiecznie sfrustrowanej drużyny bejsbolowej. Spojrzał w okno. Nie zaciągnął zasłony, więc widział przecinające mrok światła samochodów na pobliskiej autostradzie. Przy podjeździe stał czerwony neon, informujący kierowców, że motel przyjmuje opłaty dzienne, tygodniowe i miesięczne oraz wynajmuje pokoje z kuchenkami, takie jak ten, w którym mieszkał Ricky, chociaż on sam nie pojmował, po co ktokolwiek miałby się tu zatrzymywać na dłużej niż jedną noc. Oprócz mnie, pomyślał smutno.

Wstał z łóżka i poszedł do małej łazienki. Przejrzał się w lustrze nad umywalką. Czarna farba powoli schodziła, a Ricky zaczynał odzyskiwać swój dawny wygląd. Wydało mu się to nieco ironiczne, ponieważ wiedział, że nawet jeśli będzie wyglądał jak człowiek, którym był, nigdy już nim nie będzie.

Przez dwa tygodnie prawie nie opuszczał pokoju. Początkowo był w szoku, jak narkoman, który odstawił prochy, drżąc, pocąc się i zwijając z bólu. Potem pojawił się gniew, biała gorączka furii, która kazała Ricky'emu chodzić w tę i z powrotem po ciasnym pokoiku i zaciskać zęby.

Kilka razy zdarzyło mu się okładać pięściami ściany. Raz, w łazience, zgniół szklanę, rozcinając sobie dłoń odłamkami szkła. Nachylił się wtedy nad sedesem i patrzył na czerwoną wodę, pragnąc, by tak kropla po kropli wypłynęła z niego cała krew. Ból w pokaleczonej ręce przypomniał mu jednak, że żyje. W następnej fazie najpierw strach, a potem gniew zniknęły jak wiatr cichnący po burzy. Ten nowy etap wydawał się Ricky'emu chłodny niczym dotyk wypolerowanego metalu w zimowy poranek.

Wtedy zaczął planować.

Pokój był zapuszczony i brudny. Korzystali z niego kierowcy ciężarówek, akwizytorzy i miejscowe nastolatki, potrzebujące kilku godzin prywatności z dala od oczu dorosłych. Motel leżał na przedmieściach Durham w New Hampshire, w miejscu, które Ricky wybrał ze względu na jego akademicki charakter; znajdował się tu uniwersytet stanowy, więc w mieście mieszkali bardzo różni ludzie. Ricky pomyślał, że na uczelni będzie miał dostęp do potrzebnych mu gazet spoza miasta. Poza tym mógł się dobrze ukryć. To założenie jak dotąd okazało się słuszne.

Pod koniec drugiego tygodnia śmierci zaczął wypuszczać się w świat.

Początkowo ograniczał się do miejsc, do których mógł dojść na piechotę.

Z nikim nie rozmawiał, unikał kontaktu wzrokowego, trzymał się pustych ulic i cichych okolic, jakby w obawie, że zostanie rozpoznany albo, co gorsza, usłyszy za plecami drwiący śmiech Wergiliusz albo Merlina. Pozostawał jednak anonimowy i nabierał pewności siebie. Szybko zwiększył zasięg – jeździł autobusem po tym małym mieście, wysiadając w przypadkowych miejscach i poznając świat, w którym się znalazł.

Podczas jednej z takich wycieczek znalazł sklep z używaną odzieżą, w którym kupił tani niebieski blezer, trochę znoszone spodnie i kilka koszul.

W pobliskim sklepie trafił na używaną skórzaną teczkę. Zamienił ciemne okulary na szkła kontaktowe. Wszystko to nadawało mu wygląd człowieka związanego z uczelnią, szanowanego, ale mało ważnego. Uznał, że dobrze wtapia się w otoczenie i z zadowoleniem powitał swoją niewidzialność.

Na blacie w kuchence leżały egzemplarze „Cape Cod Timesa” i „New York Timesa” z kilku dni po jego śmierci. Gazeta z Cape opisała całą historię na dole pierwszej strony, z nagłówkiem: **WYBITNY LEKARZ POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO; POŻAR TRAWI ZABYTKOWY DOM.**

Reporterowi udało się dotrzeć do większości śladów, które zostawił Ricky, od rozlania po domu benzyny po list pożegnalny i darowizny na cele charytatywne. Zdołał także dowiedzieć się, że na Rickym ciążyły „niepotwierdzone zarzuty niewłaściwego postępowania”, chociaż nie wgłębił się w szczegóły afery wymyślonej przez Rumpelstiltskina i tak dramatycznie poprowadzonej przez Wergiliusz. Artykuł wspominał również o „finansowych niepowodzeniach” Ricky’ego i sugerował, że mogły być jednym z powodów samobójstwa. Całość była doskonale napisana, sprawę dokładnie zbadano i opisano przekonująco i ze szczegółami, właśnie tak, jak tego pragnął. Nekrolog w „New York Timesie”, który ukazał się następnego dnia, był przygnębiająco zdawkowy. Zawierał jedynie niewyraźne sugestie przyczyny jego samobójstwa. Ricky patrzył na niego z irytacją, zły i rozczarowany tym, że wszystkie jego życiowe dokonania opisano prostym dziennikarskim stylem w czterech akapitach. Uważał, że dał światu nieco więcej, potem jednak zastanowił się i doszedł do wniosku, że może wcale tak nie było. W nekrologu napisano także, że nie planowano żadnych uroczystości pogrzebowych, co o wiele bardziej skłaniało do zastanowienia. Ricky podejrzewał, że miało to związek z zarzutami o molestowanie seksualne, które sfabrykowali Rumpelstiltskin i Wergiliusz.

Żaden z jego kolegów z Manhattanu nie chciał brać udziału w ceremonii upamiętniającej osobę i dokonania Starksa, skoro tak niespodziewanie zostały one podane w wątpliwość. Domyślał się, że wielu analityków na widok wiadomości o jego śmierci pomyślało, że jest ona ostatecznym dowodem potwierdzającym zarzuty, i jednocześnie poczuło ulgę, że środowisku zawodowemu oszczędzono nieprzyjemności, które zaczęłyby się w momencie, kiedy cała sprawa trafiłaby do „New York Timesa”. Co było nieuniknione. Myśl ta wywołała w Rickym gniew

i przez chwilę nawet przekonywał się, że zerwanie z zawodem psychoanalityka i wszystkim, co się z nim łączyło, wyszło mu na dobre.

W obu artykułach pisano, że się utopił i że Straż Przybrzeżna szuka jego ciała. „Cape Cod Times” zamieścił też wypowiedź jej miejscowego dowódcy, który twierdził, że biorąc pod uwagę silne prądy w rejonie Hawthorne Beach, odnalezienie go jest bardzo mało prawdopodobne.

Ricky stwierdził z zadowoleniem, że była to najlepsza śmierć, jaką mógł zorganizować w tak krótkim czasie.

Miał nadzieję, że zebrano wszystkie dowody na to, iż popełnił samobójstwo; od recepty na zbyt dużą dawkę leku, po zapadającą w pamięć, niezwykłą, jak na niego nieuprzejmość dla sprzedawcy z sklepie żeglarskim.

To powinno wystarczyć lokalnej policji, nawet przy braku ciała do autopsji. Miał też nadzieję, że wystarczy do przekonania Rumpelstiltskina o powodzeniu jego planu.

Czytanie o własnym samobójstwie wywołało w Rickym burzę uczuć, z którymi nie bardzo potrafił sobie poradzić. Ciężar stresu ostatnich piętnastu dni, od chwili, kiedy dostał pierwszy list Rumpelstiltskina, po moment, gdy szedł plażą ku krawędzi wody, starannie zostawiając ślady w świeżo naniesionym piasku, sprawił, że był w stanie, którego nie opisywał żaden podręcznik psychiatrii.

Strach, radość, zmieszanie, ulga – sprzeczne uczucia zalały go niemal od pierwszego kroku, kiedy czując liżące mu stopy fale, rzucił pastylki w morze, po czym odwrócił się i oddalił sto metrów od brzegu, na tyle daleko, by ślady, jakie zostawił, gdy wychodził z wody, uszły uwagi policji czy kogokolwiek, kto badałby miejsce jego zniknięcia.

Następne godziny wydawały się Ricky’emu, siedzącemu samotnie w motelowej kuchence, wytworem nocnego koszmaru, jak szczegóły snu, które dręczą po przebudzeniu i napawają niepokojem przez cały dzień.

Ricky pamiętał, jak w gorączkowym pośpiechu zmieniał na urwisku ubranie, chcąc uciec z plaży, zanim ktoś go zobaczy. Przymocował kule do plecaka i zarzucił go na ramiona. Od parkingu restauracji Lobster Shanty dzieliło go dziesięć kilometrów, a wiedział, że musi tam dotrzeć przed świtem, by złapać ekspres do Bostonu o szóstej.

Pamiętał wrażenie ognia w płucach, kiedy biegł. Świat dookoła wciąż był ciemny, stopy Ricky’ego uderzały miarowo o asfalt, a on sam myślał, że tak właśnie musi wyglądać bieg tunelem kopalni. Zauważenie przez choć jedną parę oczu odebrałoby mu tę niewielką szansę przeżycia, o którą walczył. Pośpiech i obawa dodawały sił każdemu krokowi, który stawiał na czarnym asfalcie.

Kiedy dobiegł na miejsce, parking był pusty. Ricky stanął w cieniu za rogiem restauracji. Tam odpiął z plecaka kule. Kilka chwil później usłyszał w oddali wycie syren. Poczł małe ukłucie satysfakcji, że dopiero teraz ktoś zauważył pożar jego domu. Niedługo potem na parking

zaczęli przybywać pierwsi podróżni. Byli to w większości młodzi ludzie, wracający do pracy w Bostonie, ale też kilku starszych biznesmenów, wyraźnie zniesmaczonych koniecznością jazdy autobusem, nawet tak wygodnym. Ricky trzymał się od nich z daleka, zdając sobie sprawę, że jest jedyną osobą czekającą na przystanku w ten zimny, wilgotny poranek, która spływa potem ze strachu i wyczerpania. Kiedy spóźniony dwie minuty autobus podjechał, Ricky, kuśtykając, ustawił się w kolejce. Przepuścili go dwaj młodzi mężczyźni. Starks pokazał kierowcy kupiony poprzedniego dnia bilet i usiadł na swoim miejscu, myśląc, że nawet jeśli Wergiliusz, Merlin czy ktokolwiek wyznaczony przez Rumplestiltskina do zbadania samobójstwa miałby jakieś wątpliwości i przepytywał kierowcę i pasażerów rannego kursu, będą oni pamiętali jedynie ciemnowłosego mężczyznę o kulach.

Autobus do Durham był opóźniony o godzinę. W tym czasie Ricky przeszedł dwie przecznice od dworca na South Street, aż przed jakimś biurowcem znalazł kontener na śmieci. Wrzucił do niego kule, po czym wrócił na dworzec i wsiadł do autobusu.

Durham, pomyślał, miało jeszcze jedną zaletę: nigdy wcześniej tam nie był, nie znał nikogo, kto tam mieszkał i zupełnie nic nie wiązało go z tym miastem. Podobały mu się za to tablice rejestracyjne New Hampshire, z mottem: ŻYJ WOLNY LUB UMRZYJ. Pomyślał, że to wymarzona sentencja dla niego.

Czy ja uciekłem? – zastanawiał się.

Wydawało mu się, że tak, ale nie był do końca pewien.

Ricky podszedł do okna i ponownie wyjrzał w nieznaną ciemność.

Miał dużo do zrobienia. Wciąż wpatrując się w spowijającą motel noc, widział w szybie swoje odbicie. Doktor Frederick Starks już nie istnieje, pomyślał. Narodził się ktoś inny. Odetchnął głęboko i zrozumiał, że jego pierwszym zadaniem jest stworzenie sobie nowej tożsamości. Potem będzie mógł poszukać jakiegoś domu na nadchodzącą zimę. Wiedział, że powinien znaleźć sobie pracę, jako stałe uzupełnienie gotówki, która mu została. Musiał utwierdzić swoją anonimowość i zniknąć na dobre.

Spojrzał na stół. Zatrzymał akt zgonu matki Rumplestiltskina, raport policji w sprawie morderstwa jej dawnego kochanka i kopię karty z kliniki Columbia Presbyterian.

Zapłaciłem wysoką cenę za jeden jedyny akt zaniedbania, stwierdził smutno, patrząc na dokumenty.

Teraz jednak to ja mam dług do odebrania.

Znajdę go. A potem zrobię mu to samo, co on zrobił mnie.

Zgasił światło. Pokój spowity ciemności, rozcinane co jakiś czas reflektorami przejeżdżających samochodów. Położył się na łóżku, które zaskrzypiało nieprzyjemnie pod jego ciężarem.

Kiedyś, pomyślał, pilnie uczyłem się, jak ratować ludzkie życie.

Teraz muszę się nauczyć, jak je odebrać.

Ricky był zaskoczony tym, jak doskonale potrafił kontrolować swoje myśli i uczucia. Psychoanaliza, zawód, który właśnie porzucił, jest być może najbardziej kreatywną ze wszystkich dziedzin medycyny właśnie z powodu zmienności ludzkiej osobowości. Choć psychiatria rozpoznaje choroby i zna metody ich leczenia, każdy przypadek traktuje indywidualnie, ponieważ nie ma dwóch dokładnie takich samych smutków.

Ricky poświęcił wiele lat na naukę i doskonalenie terapeutycznej elastyczności, rozumiejąc, że każdy z przychodzących do niego pacjentów może przejść przez jego drzwi z tym samym problemem, co zwykle, albo z czymś zupełnie innym. Wiedział, że przez cały czas musi być gotowy na najdziwsze zmiany nastroju i wrażliwości. Problem tkwił w tym, jak znaleźć siłę w umiejętnościach, które wyrobił w sobie przez lata słuchania ludzi i wykorzystać je do naprawienia własnego życia.

Nie pozwalał sobie na fantazjowanie, że kiedykolwiek będzie znów tym, kim był. Nie marzył ani nie miał nadziei, że znów zamieszka w Nowym Jorku i podejmie przerwana praktykę. Rozumiał, że nie o to chodzi.

Chodzi o to, by człowiek, który zniszczył mu życie, zapłacił za radość, jaką z tego miał.

Zdał sobie sprawę, że dopiero kiedy dług zostanie spłacony, będzie mógł zostać tym, kim tylko zapragnie. Dopóki widmo Rumpelstiltskina nie zniknie z jego życia, nie będzie miał ani chwili spokoju i ani sekundy wolności.

Co do tego miał całkowitą pewność.

Nie wiedział natomiast, czy Rumpelstiltskin był przekonany o jego śmierci. Istniała możliwość, że Ricky kupił jedynie trochę czasu dla siebie albo dla kogoś z krewnych. To bardzo intrygująca sytuacja. Rumpelstiltskin jest mordercą, a Ricky musi pokonać go jego własną bronią.

Wiedział jedno – musi stać się kimś nowym, całkowicie różnym od osoby, którą był przez całe życie.

Musi stworzyć tę nową osobowość bez najmniejszych oznak, że człowiek, który kiedyś był doktorem Frederickiem Starksem, nadal istnieje.

Musi odciąć się od przeszłości. Nie wiedział, gdzie Rumpelstiltskin mógł zastawić na niego pułapkę, ale był pewien, że taka pułapka istnieje i że morderca czeka na najmniejszy dowód na to, iż jego ciało nie pływa w oceanie u wybrzeża Cape Cod.

Wiedział, że potrzebne mu nowe nazwisko i wiarygodny życiorys.

W tym kraju jesteśmy przede wszystkim numerami, pomyślał Ricky.

Numerami ubezpieczenia społecznego. Numerami kont bankowych i kart kredytowych. Identyfikacji podatkowej. Prawa jazdy. Numerami telefonów i adresami. Te numery to sprawa najważniejsza. Musi więc znaleźć sobie pracę i dom, stworzyć wokół siebie rzeczywistość

wiarygodną, a zarazem anonimową. Musi być jak najmniejszy i najmniej znaczący, by móc znaleźć i zlikwidować człowieka, który zmusił go do samobójstwa.

Nie martwił się stworzeniem sobie historii i nowej osobowości. Ostatecznie był ekspertem od powiązań między zdarzeniami a wrażeniem, jakie na kimś wywierały. Większym problemem było zdobycie numerów, które uwiarygodniłyby jego istnienie.

Jego pierwsze podejście do tej sprawy zakończyło się niepowodzeniem.

Udał się do biblioteki Uniwersytetu New Hampshire tylko po to, by dowiedzieć się, iż żeby wejść do środka, potrzebuje legitymacji uniwersyteckiej. Przez chwilę patrzył tęsknym wzrokiem na studentów, wędrujących między półkami książek. Na Jones Street jednak znajdowała się druga, znacznie mniejsza biblioteka, utrzymywana przez władze okręgu.

Chociaż nie była tak duża i cicha jak uniwersytecka, posiadała to, co było Ricky'emu potrzebne – książki i informacje. Miała także inną zaletę: była ogólnodostępna. Każdy mógł wejść i przeczytać dowolnie wybraną gazetę, czasopismo czy książkę, siedząc w jednym ze skórzanych foteli, porozstawianych w całym niskim piętrowym budynku. Wypożyczenie książki wymagało jednak posiadania karty. Kolejną zaletą biblioteki były ustawione pod ścianą cztery komputery. Na ścianie nad nimi wisiała tablica, na której wypisano zasady korzystania ze sprzętu, zaczynające się od „kto pierwszy, ten lepszy” oraz instrukcję obsługi.

Ricky zerknął na komputery i pomyślał, że mogą mu się przydać. Nie wiedząc, od czego zacząć, staromodnie uprzedzony do nowoczesnych urządzeń, wszedł między półki, szukając działu „komputery”. Zajął mu to tylko kilka minut. Przekrzywił głowę, żeby móc czytać tytuły książek i po chwili znalazł Korzystanie z domowego komputera – przewodnik dla niewtajemniczonych.

Usiadł w skórzanym fotelu i zaczął czytać. Książka była napisana irytującym, przesłodzonym stylem, jakim mówi się do idiotów. Zawierała jednak konkretne informacje. Gdyby Ricky był trochę bardziej spostrzegawczy, zorientowałby się, że dziecinne zbitki słów przeznaczone są dla ludzi takich jak on, ponieważ przeciętny amerykański jedenastolatek wiedział już o komputerach wszystko.

Po godzinie lektury Ricky podszedł do komputerów. Było przedpołudnie, środek tygodnia i późne lato, więc biblioteka była prawie pusta.

Miał cały sprzęt do swojej dyspozycji. Usiadł przy jednym z terminali.

Na ścianie, jak wcześniej zauważył, wisiały instrukcje; znalazł fragment dotyczący łączenia się z Internetem. Postąpił według wskazówek i monitor przed nim ożył. Zaczął wciskać kolejne klawisze, wpisywać polecenia i po chwili zanurzył się w elektroniczny świat. Otworzył wyszukiwarke i wpisał słowa „fałszywa tożsamość”.

Niecałe dziesięć sekund później komputer poinformował go, że znalazł ponad sto tysięcy haseł z tej kategorii.

Pod koniec dnia wiedział już, że tworzenie fałszywych tożsamości kwitnie. Dziesiątki firm z całego świata mogły zaopatrzyć go w prawie każdy podrobiony dokument, z zastrzeżeniem: TYLKO DO CELÓW REKLAMOWYCH. Ricky pomyślał, że było coś jawnie przestępczego w fakcie, że firma z Francji chciała mu sprzedać kalifornijskie prawo jazdy. Mimo tej jawności, było to legalne.

Sporządził listę miejsc i dokumentów, układając fikcyjny życiorys.

Wiedział, czego potrzebuje, ale zdobycie tego stanowiło pewien problem.

Szybko zorientował się, że ludzie szukający fałszywych tożsamości już kimś byli.

On nie.

Miał pieniądze i znał miejsca, w których mógłby je wydać. Kłopot tkwił w tym, że wszystkie istniały w elektronicznym świecie. Jego gotówka była bezużyteczna. Chciano od niego numeru karty kredytowej, a on go nie miał. Adresu e-mailowego, którego nie posiadał i domu, do którego mogliby przysłać zamówione materiały.

Ricky zmienił temat poszukiwań i zaczął penetrować dział „kradzieże tożsamości”. Odkrył, że w Stanach Zjednoczonych była to kwitnąca gałąź przestępczej działalności. Czytał jedną przerażającą opowieść po drugiej o ludziach, którzy budzili się pewnego dnia i stwierdzali, że ich życie pograżyło się w chaosie, bo ktoś pozbawiony skrupułów zaciągnął w ich imieniu jakiś dług.

Ricky przypomniał sobie od razu, w jaki sposób obrabowano jego konta bankowe i inwestycyjne; podejrzewał, że Rumpelstiltskin dokonał tego z łatwością, zdobywszy jedynie kilka jego numerów. Wyjaśniało to zniknięcie skrzynki z jego starymi zeznaniami podatkowymi. W elektronicznym świecie nietrudno było podszyć się pod kogoś innego. Ricky obiecał sobie, że kimkolwiek się stanie, nigdy nie wyrzuci do śmieci wypełnionego podania o przyznanie karty kredytowej, które często dostawał pocztą.

Gdy wyszedł z biblioteki, słońce świeciło jasno, a w powietrzu wciąż wisiał letni żar. Ricky szedł bez celu, aż znalazł się w dzielnicy domków jednorodzinnych, niedużych, piętrowych budynków o drewnianej konstrukcji, z niewielkimi podwórkami, na których często leżały dziecięce zabawki. Skądś dobiegały go młode głosy. Pies nieokreślonej rasy spojrzał na Ricky’ego z małego trawnika, na którym leżał, uwiązany linką do grubego dębu. Pomachał energicznie ogonem, jakby zapraszając, żeby podejść i podrapać go za uszami. Ricky popatrzył na rosnące wzdłuż ulic drzewa, rzucające cienie na chodniki. W liściach zielonych koron szeleściła lekka bryza, sprawiając, że ciemne pasma i plamy co chwilę poruszały się i zmieniały kształty, by za moment ponownie znieruchomieć.

Przeszedł kilka kroków i we frontowym oknie jednego z domów zobaczył kartkę z ręcznie wypisanym ogłoszeniem: POKÓJ DO WYNAJĘCIA, PYTAĆ W ŚRODKU.

Tego mi właśnie trzeba, pomyślał.

Nagle stanął.

Przecież nie mam nazwiska. Historii. Referencji.

Zapamiętał adres domu i poszedł dalej, myśląc: muszę być kimś.

Muszę być kimś, kogo nie można wyśledzić. Kimś samotnym, ale prawdziwym.

Martwy może wrócić do życia, ale w ten sposób powstają wątpliwości, niewielkie zmarszczki w tkaninie rzeczywistości, które można odkryć.

Osoba wymyślona może wychynąć z czyjejs wyobraźni, ale to też rodzi pytania.

Ricky borykał się z innym problemem niż przestępcy, ludzie uciekający przed alimentami, byli członkowie sekt, bojący się wyśledzenia, kobiety, kryjące się przed brutalnymi mężami.

Musiał stać się kimś, kto równocześnie żyje i jest martwy.

Pomyślał o tej sprzeczności i uśmiechnął się. Odchylił głowę, spoglądając w słońce.

Już wiedział, co ma robić.

Znalezienie sklepu z ubraniami Armii Zbawienia nie zajęło mu wiele czasu. Mieścił się wśród niewielkich, nierzucających się w oczy obskurnych pawilonów handlowych przy trasie głównej linii autobusowej. Pomalowany był na matową, odbijającą światło biel, sprawiającą, że lśnił w popołudniowym słońcu. Wnętrze przypominało niewielki magazyn; na półkach stały tostery i gofrownice, a na wieszakach zajmujących środek wisały ubrania. Przebierało w nich kilku nastolatków, szukając luźnych wojskowych spodni i innych nijakich ciuchów. Ricky przysunął się do nich i zaczął przeglądać te same stosy odzieży. Odniósł wrażenie, że wszystko, co oddawano Armii Zbawienia, było czarne albo brązowe.

Szybko znalazł to, czego szukał – długi podarty płaszcz z wełny, sięgający mu do kostek, wyciągnięty sweter i spodnie, za duże na niego o dwa numery. Wszystko było tanie, ale Ricky wybrał najtańsze rzeczy, jakie można było kupić, a także najbardziej zniszczone i nieodpowiednie na wciąż panujące w Nowej Anglii upały końca lata.

Kasjerem był starszy wolontariusz, noszący okulary o grubych szklach i czerwoną sportową koszulę, zupełnie niepasującą do burej odzieży z darów.

Uniósł płaszcz do nosa i powąchał.

– Na pewno chce pan to kupić?

– Tak – odparł Ricky.

– Cuchnie, jakby leżało w jakimś paskudztwie – ciągnął sprzedawca.

– Czasami dostajemy tu takie rzeczy, trafiają na wieszaki, chociaż nie powinny. Mamy sporo lepszego towaru, niech pan dobrze poszuka. To trochę śmierdzi, a ktoś powinien zaszyć to rozdarcie na boku, zanim wystawił to na sprzedaż.

Ricky pokręcił głową.

– Dokładnie czegoś takiego potrzebuję.

Mężczyzna wrzucił ramionami, poprawił okulary i spojrzął na metkę.

– Nie policzę panu dziesięciu dolarów. Mogą być trzy? Tak będzie sprawiedliwiej. Może

być?

– To bardzo miło z pana strony – powiedział Ricky.

– Na co panu właściwie ta szmata? – spytał sprzedawca z ciekawością, ale uprzejmie.

– Do przedstawienia – skłamał Ricky.

Starszy mężczyzna skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie dla gwiazdy wieczoru, bo jak to powąchają, poszukają sobie nowego garderobianego. – Zaśmiał się z własnego dowcipu, wydając z siebie serię dychawicznych odgłosów, bardziej wymuszonych niż wesołych. Ricky również roześmiał się trochę sztucznie.

– Reżyser powiedział: „znajdź jakąś szmatę”, więc pewnie będzie w sam raz – wyjaśnił. – Ja tylko robię, co kazał. To teatr w domu kultury, wie pan. Mały budżet... – Dać panu torbę?

Ricky przytaknął i wyszedł ze sklepu z zakupami pod pachą. Zobaczył autobus, podjeżdżający do przystanku pod pawilonami i podbiegł, żeby go złapać. Spocił się, więc kiedy usiadł na tylnym siedzeniu, wyjął z torby stary sweter i wytarł nim czoło i pachy.

Zanim dotarł pod wieczór do motelu, zaszedł do niewielkiego parku, gdzie starannie wybrudził wszystko, co kupił, ziemią spod drzew.

Rano zapakował nowe-stare ubrania do brązowej papierowej torby, całą resztę zaś – dokumenty na temat Rumpelstiltskina, gazety i pozostałą odzież – do plecaka. Uregulował rachunek za motel, mówiąc recepcjoniście, że wróci za kilka dni. Informacja ta nie skłoniła mężczyzny do oderwania wzroku od działu sportowego gazety, którą czytał.

Przed południem do Bostonu odjeżdżał autobus linii Trailways, z którą Ricky czuł się już trochę związany. Jak zwykle wcisnął się w fotel na samym tyle, unikając kontaktu wzrokowego z nielicznym pasażerami, na każdym kroku strzegąc swojej samotności i anonimowości. Postarał się, żeby na miejscu wysiadać jako ostatni. Zakaszłał, kiedy odetchnął skwarem wymieszany ze spalinami, unoszącymi się nad chodnikiem. Wnętrze dworca było jednak klimatyzowane, chociaż nawet tam powietrze wydawało się brudne. Do wyłożonej linoleum podłogi przymocowane były rzędy jaskrawopomarańczowych i żółtych krzesełek. Wiele z nich nosiło blizny i znaki po ludziach, którzy próbowali jakoś zabić nudę wielogodzinnego oczekiwania na odjazd lub przyjazd autobusu. W powietrzu unosił się zapach starego oleju, bo tuż koło dworca stała budka z hamburgerami i sklep z pączkami. W kiosku z prasą sprzedawano gazety i magazyny oraz popularną pseudopornografię. Ricky'ego zaciekawiło, ile osób na dworcu kupowało „U.S. News”, „World Report” i „Hustlera” jednocześnie.

Usiadł blisko wejścia do męskiej toalety, wypatrując przerwy w strumieniu wchodzących i wychodzących z niej ludzi. Po dwudziestu minutach nabrał przekonania, że toaleta jest pusta, zwłaszcza po tym, jak bostoński policjant w przepoconej koszuli wszedł do niej i wyszedł, głośno opisując swojemu wyraźnie rozbawionemu partnerowi paskudne efekty, jakie dało niedawne spożycie kanapki z kiełbasą. Kiedy policjanci odeszli, Ricky wpadł do środka.

Szybko zamknął się w kabinie i zdjął ubranie, które miał na sobie, zamieniając je na rzeczy kupione w sklepie Armii Zbawienia. Kiedy zakładał płaszcz, skrzywił się, czując mieszaninę smrodu potu i piżma. Zapakował ubranie do plecaka wraz ze wszystkim, co miał, także gotówką.

Zostawił sobie sto dolarów w dwudziestkach i wsunął głęboko w rozdarcie płaszcza. Trochę drobnych wrzucił do kieszeni spodni. Wychodząc z kabiny, spojrzął w lustro nad umywalką. Nie golił się od kilku dni i zarost pasował do jego obecnego wyglądu.

Pod jedną ze ścian dworca stał rząd niebieskich metalowych skrytek.

Ricky wepchnął swój plecak do szafki, chociaż zostawił sobie papierową torbę po starych ubraniach. Wcisnął do zamka dwie dwudziestcentówki i przekręcił kluczyk. Zamknięcie nawet tych nielicznych przedmiotów, które miał, nie przyszło mu łatwo. Pomyślał, że w tej właśnie chwili jest bardziej zagubiony niż kiedykolwiek w życiu. Nie licząc trzymanego w dłoni kluczyka do szafki numer 569, nic nie łączyło go ze światem. Nie miał żadnych dokumentów. Żadnych związków z kimkolwiek.

Odetchnął głęboko i schował kluczyk do kieszeni.

Szybkim krokiem wyszedł z dworca, zatrzymując się tylko raz, by upewnić się, że nikt go nie widzi. Zebrał z chodnika trochę piachu i wtarł go w twarz i włosy.

Zanim przeszedł dwie przecznice, na czole i pod pachami skropił mu się pot. Wytarł go rękawem płaszcza.

Przed trzecią przecznicą pomyślał: teraz wyglądam jak ktoś, kim jestem.

Jak bezdomny.

Rozdział 22

Przez dwa dni Ricky snuł się po ulicach.

Wyglądał jak bezdomny, alkoholik, narkoman lub schizofrenik, albo nawet wszystkie te rzeczy naraz, choć gdyby ktoś spojrział mu w oczy, zobaczyłby w nich wyraźne poczucie celu, rzecz niezwykłą wśród wyrzutków społeczeństwa. Ricky obserwował ludzi, wyobrażając sobie, kim są i co robią, zazdrosny o prosty luksus posiadania tożsamości. Idąca szybkim krokiem siwowłosa kobieta, niosąca zakupy w torbach ze znakami firmowymi butików z Newbury Street, nastolatek z plecakiem, w obciętych džinsach i przekrzywionej czapce Red Sox – każde z nich opowiadało Ricky'emu jakąś historię. Przyglądał się biznesmenom i taksówkarzom, kurierom i technikom komputerowym. Widział maklerów, lekarzy, serwisantów i człowieka sprzedającego gazety w kiosku na rogu. Wszyscy, od wynędzniałej, samotnej, bełkoczącej i słyszającej głosy wariatki po biznesmena w garniturze od Armaniego, wsiadającego właśnie do limuzyny, posiadali tożsamość. Ricky nie.

Uzmysłowił sobie, że to jednocześnie luksus i zagrożenie. Miał wrażenie, że jest niewidzialny. Chociaż czuł ulgę, wiedząc, że ukrył się przed człowiekiem, który chciał go zniszczyć, wiedział, że to zwodnicze uczucie.

Jego istnienie było nierozzerwalnie związane z Rumpelstiltskinem, dzieckiem kobiety nazwiskiem Claire Tyson, którą zawiódł w potrzebie, wskutek czego był teraz sam.

Pierwszą noc spędził pod ceglany łuk mostu na rzece Charles. Ciągłe spocony po upalnym dniu owinał się płaszczem i oparł o ścianę, próbując złapać kilka godzin snu. O świcie obudził go skurcz szyi i ból mięśni pleców i nóg. Wstał, prostując się ostrożnie, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni spał na dworze i dochodząc do wniosku, że nie zdarzyło mu się to od czasów dzieciństwa. Zesztywniałe stawy dawały do zrozumienia, że nie ma w tym nic pociągającego. Wyobraził sobie, jak wygląda, i pomyślał, że nawet Robert De Niro nie zdecydowałby się na takie wczuwanie się w rolę.

Nad rzeką unosiła się mgła, szary opar wiszący nad brzegami brudnej wody. Ricky wyszedł spod mostu na biegnącą wzdłuż brzegu ścieżkę rowerową. Stał na niej i pomyślał, że woda wygląda jak czarna taśma do starej maszyny do pisania. Widok rzeki wczesnym rankiem działał na Ricky'ego hipnotyzująco; stał przez jakiś czas zupełnie nieruchomo, podziwiając rozciągający się przed nim widok.

Z zamyślenia wyrwał go rytmiczny odgłos kroków. Ricky podniósł wzrok i zobaczył dwóch biegnących obok siebie mężczyzn, którzy szybko się do niego zbliżali. Obaj mieli na sobie błyszczące spodenki gimnastyczne i buty do joggingu z najnowszych kolekcji. Starks stwierdził, że muszą być w tym samym wieku, co on.

Jeden z nich machnął ręką.

– Z drogi! – krzyknął.

– Złaż ze ścieżki, człowieku – powiedział drugi opryskliwie, wykręcając się, by uniknąć kontaktu z Rickym.

Ricky odsunął się pospiesznie, ale zdążył usłyszeć:

– Pieprzona łajza. Znajdź sobie pracę!

Drugi biegacz zaśmiał się i coś powiedział, ale Starks nie dosłyszał już co. Ogarnięty nagłym gniewem, ruszył za mężczyznami.

– Hej! – krzyknął. – Zaczekajcie!

Nie zatrzymali się. Jeden z nich zerknął przez ramię, a potem obaj przyspieszyli. Ricky zrobił kilka kroków.

– Nie jestem... – zaczął. – To nie tak... Ale potem stwierdził, że równie dobrze mogło być właśnie tak.

Odwrócił się w stronę rzeki. W tym momencie pojął, że bliżej mu było do tego, jak wyglądał, niż do tego, kim był kiedyś. Uzmysłował sobie, że znalazł się w sytuacji bardzo niebezpiecznej z psychologicznego punktu widzenia. Zabił człowieka, którym był, żeby uciec człowiekowi, który postanowił go zniszczyć. Jeśli dłużej będzie pozostawał nikim, anonimowość go pochłonie.

Przez cały dzień chodził od przytułku do przytułku i szukał.

Była to podróż po świecie odrzuconych: niedogotowane jajka i zimne grzanki na wczesne śniadanie w kuchni kościoła w Dorchester, godzina spędzona przed urzędem pracy na pobliskiej ulicy, wśród mężczyzn, czekających na przydział do grabienia liści i opróżniania kubłów na śmieci.

Stamtąd udał się do państwowego przytułku w Charlestown, gdzie mężczyzna za biurkiem upierał się, że Ricky nie może wejść do środka bez dokumentów z opieki społecznej, co wydało mu się tak samo niedorzeczne, jak majaczenia chorych psychicznie. Tupnął gniewnie i wyszedł na ulicę, gdzie został wyśmiany przez dwie obsługujące przedpołudniowych klientów prostytutki, które próbował spytać o drogę. Szedł dalej, mijając zaułki i opuszczone budynki, mamrocząc coś do siebie za każdym razem, kiedy ktoś za bardzo się do niego zbliżył. Majaczenia szaleńca i bijący od niego smród skutecznie chroniły go przed kontaktem ze wszystkimi, z wyjątkiem innych bezdomnych. Czuł sztywnienie mięśni, bolały go stopy, ale nie przestawał szukać. Raz, na skrzyżowaniu, jakiś policjant popatrzył na niego podejrzliwie, ruszył w jego stronę, ale szybko się rozmyślił i zawrócił.

Było już późne popołudnie, choć słońce wciąż prażyło, a nad asfaltem falowało powietrze, kiedy Ricky zobaczył to, czego szukał.

Mężczyzna grzebał w koszu na śmieci na skraju parku, niedaleko rzeki. Był mniej więcej wzrostu i postury Ricky'ego. Miał wełnianą czapkę, spod której wystawały brudne,

przerzedzone, ciemne włosy, postrzępione szorty i sięgający do kostek wełniany płaszcz. Całości dopełniały dwa różne buty – brązowy mokasyn i czarny bucior za kostkę. Mamrotał do siebie, skupiony na zawartości kubła. Ricky podszedł wystarczająco blisko, by dostrzec rany na jego twarzy i dłoniach. Mężczyzna pokasływał, nie zdając sobie sprawy z obecności Starksa. Dziesięć metrów dalej stała ławka. Ricky usiadł na niej i wziął do ręki pozostawiony przez kogoś kawałek gazety. Udając, że czyta, obserwował bezdomnego. Po chwili mężczyzna wyciągnął z kosza aluminiową puszkę po coli i wrzucił ją do starego wózka sklepowego, zaprojektowanego do ciągnięcia, a nie pchania, wypełnionego prawie po brzegi puszkami.

Ricky przyglądał się uważnie mężczyźnie. Jeszcze kilka tygodni temu byłeś lekarzem, pomyślał. Wystaw diagnozę.

Włóczęga niespodziewanie wybuchnął gniewem, wyciągnąwszy z kosza uszkodzoną puszkę. Rzucił ją na ziemię i kopnął w pobliskie krzaki.

Dwubiegunowy. I schizofrenik. Słyszy głosy, nie ma leków, a przynajmniej nie takie, jakie chciałby brać. Cierpi na wybuchy maniakalnego ożywienia. Prawdopodobnie skłonny do przemocy, ale niebezpieczny bardziej dla siebie niż innych. Rany mogły być otwartymi wrzodami, spowodowanymi życiem na ulicy, ale równie dobrze mięsakami Kaposiego.

Może AIDS. Także gruźlica albo rak płuc, sądząc po ostrym kaszlu. Ewentualnie zapalenie płuc, chociaż to nie był sezon na tę chorobę. Mężczyzna balansował na granicy życia i śmierci.

Po kilku minutach włóczęga uznał, że wybrał ze śmietnika wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i ruszył do następnego. Ricky nadal siedział na ławce, nie spuszczać z niego wzroku. Bezdomny przebierał chwilę w drugim pojemniku, po czym odszedł, ciągnąc za sobą wózek.

Ricky ruszył za nim.

Wkrótce dotarli do ulicy w Charlestown, pełnej obskurnych, brudnych sklepów. Tutaj zaopatrywali się wszelkiego rodzaju biedacy. Punkt sprzedaży mebli wielkimi literami wymalowanymi na witrynie oferował zniżki i tanie kredyty. Były tu dwa lombardy, sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego i drugi z odzieżą. Manekiny na wystawie nie miały ręki albo nogi i wyglądały jak ofiary wypadków. Ricky patrzył, jak mężczyzna idzie prosto do kwadratowego budynku, pomalowanego spłowiałą żółtą farbą. Duży szyld nad drzwiami głosił: U ALA. TANIE NAPOJE I ALKOHOL.

Pod nim wisiał drugi, tej samej wielkości, wypisany takimi samymi drukowanymi literami: PUNKT SKUPU SUROWCÓW WTÓRNYCH. Strzałka kierowała na tył budynku.

Mężczyzna zniknął za rogiem. Ricky poszedł za nim.

Z tyłu sklepu były niewielkie drzwi z napisem PUNKT SKUPU nad futryną. Z boku, na ścianie, widać było przycisk dzwonka, który bezdomny nacisnął. Starks przywarł do ściany, by pozostać niezauważonym.

Po chwili w drzwiach pojawił się kilkunastoletni chłopak. Transakcja trwała zaledwie parę

minut. Mężczyzna oddał puszkę, nastolatek policzył je, po czym wyjął z kieszeni zwitek banknotów i odwinął z niego kilka. Bezdomny wziął je i wyciągnął z głębokiej kieszeni płaszcza gruby stary portfel, wypchany papierami. Schował do niego pieniądze, jeden banknot oddając chłopakowi. Ten zniknął i wrócił po chwili z butelką, którą dał włóczędze.

Ricky skulił się i usiadł na betonie, czekając, aż mężczyzna go minie.

Butelka zawierająca, jak przypuszczał, tanie wino już zniknęła w fałdach płaszcza. Bezdomny zerknął na Starksa, ale ten spuścił głowę. Przez następne kilka sekund oddychał ciężko, po czym wstał i ruszył za mężczyzną.

Na Manhattanie Ricky był myślą dla Wergiliusz, Merlina i Rumpelstiltskina.

Teraz to on stał się kotem. Został w tyle, po czym przyspieszył, starając się nie tracić mężczyzny z oczu, trzymać się dość blisko, by go śledzić, i wystarczająco daleko, żeby nie dać się zauważyć. Uzbrojony w schowaną w płaszczu butelkę, bezdomny maszerował szybko przed siebie, jak żołnierz, mający do wykonania ważne zadanie. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby obawiał się, że ktoś go śledzi. Ricky pomyślał, że paranoja mężczyzny ma konkretne podstawy.

Przeszli tak kilkadziesiąt przecznicy, zagłębiając się w coraz bardziej zapuszczone okolice. Zachodzące słońce rzucało cienie na jezdnię, a luszcząca się farba i niechlujne witryny sklepów wydawały się dostosowywać do wyglądu Ricky'ego i jego celu.

Mężczyzna zawahał się w połowie drogi między kolejnymi przecznicami i odwrócił w stronę Ricky'ego, który pospiesznie przywarł do ściany.

Kącikiem oka dostrzegł, że włóczęga znika nagle w wąskim zaułku między dwoma ceglanyymi budynkami. Starks wziął głęboki oddech i poszedł za nim.

Zatrzymał się u wejścia do zaułka i ostrożnie zajrzał za róg. Uliczka wyglądała tak, jakby mrok zapadał tu na długo przed nadejściem nocy.

Było to ponure i przytłaczające miejsce, z rodzaju tych, które nigdy nie nagrzewają się w zimie ani nie chłodzą w lecie. Ricky dostrzegł na jej przeciwległym końcu kilka kartonowych pudeł i zielony kontener na śmieci.

Zaułek kończył się ścianą kolejnego budynku.

Przecznice wcześniej minął sklep spożywczy i tani monopolowy.

Zostawił swoją ofiarę i skierował się w tamtą stronę. Spod podszewki płaszcza wyciągnął jedną ze swoich bezcennych dwudziestodolarówek.

Zacisnął ją w dłoni. Natychmiast zrobiła się wilgotna.

Najpierw poszedł do monopolowego. Był to mały sklepik, reklamujący oferowane specjalny wymalowanym czerwoną farbą napisem na witrynie.

Ricky nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Zajrzał do środka i zobaczył siedzącego za ladą sprzedawcę. Pociągnął jeszcze raz, drzwi zagrzechotały. Sprzedawca spojrzał

w jego kierunku, pochylił się i powiedział coś do mikrofonu. Z głośniczka niedaleko drzwi dobiegł Ricky'ego zniekształcony metaliczny głos:

– Zjeżdżaj, stary chuju, chyba że masz pieniądze.

Ricky skinął głową.

– Mam – powiedział.

Sprzedawca był brzuchatym mężczyzną w średnim wieku, prawdopodobnie niewiele młodszym od Starksa. Kiedy się poruszył, Ricky zobaczył przypiętą do jego pasa kaburę z wielkim pistoletem.

– Masz pieniądze? Jasne. Pokaż.

Ricky podniósł do góry dwudziestodolarówkę. Mężczyzna przyjrzał się jej ze swojego miejsca za ladą.

– Skąd to masz? – spytał.

– Znalazłem na ulicy – odparł Starks.

Zamek w drzwiach zabrzączał. Ricky pchnął je i wszedł do środka.

– Jasne, znalazłeś – powiedział sprzedawca. – Dobra, masz dwie minuty. Czego chcesz?

– Butelkę wina.

Mężczyzna sięgnął na półkę za sobą i wziął z niej butelkę. Nie wyglądała jak żadne wino, które Ricky miał okazję dotąd pić. Miała nakrętkę i nalepkę z napisem SREBRNA SATYNA. Kosztowała dwa dolary. Ricky skinął głową i dał sprzedawcy dwudziestkę. Mężczyzna włożył butelkę do papierowej torby, otworzył kasę i wyjął z niej dziesięciodolarówkę i dwa pojedyncze dolary.

– Jest mi pan winien trochę więcej – zaprotestował Starks.

Sprzedawca uśmiechnął się paskudnie i położył dłoń na kolbie rewolweru.

– Wczoraj dałem ci na krechę, dziadu. Należy mi się coś za uprzejmość.

– Kłamiesz – powiedział ze złością Ricky. – Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– Naprawdę chcesz się wyklócać, pieprzona łajzo? – Mężczyzna machnął pięścią w stronę twarzy Ricky'ego. Starks cofnął się i spojrzał ostro na sprzedawcę, który wybuchnął śmiechem. – Wydałem ci resztę.

Nawet więcej niż zasługujesz. Teraz zjeżdżaj. Spierdalaj stąd, zanim cię wykopię. A jeśli będę musiał wyjść z za tej lady, zabiorę ci butelkę i tę resztę, i jeszcze skopię dupę. To jak będzie?

Ricky ruszył powoli do drzwi. Odwrócił się, próbując wymyślić jakąś ripostę, ale sprzedawca tylko warknął na niego:

– Co? Co jest? Masz jakiś problem?

Ricky pokręcił głową i wyszedł, ściskając butelkę i słysząc za plecami śmiech mężczyzny.

Poszedł przecnicę dalej, do sklepu spożywczo-przemysłowego. Powitało go tam to samo

pytanie: „Masz pieniądze?” Pokazał dziesięć dolarów.

Kupił paczkę najtańszych papierosów, dwa batoniki, dwie babeczki i małą latarkę. Sprzedawcą był kilkunastoletni chłopak, który wrzucił wszystko do plastikowej torebki.

– Smacznego – rzucił sarkastycznie.

Zapadła noc. Słaby blask witryn otwartych jeszcze sklepów wycinał z ciemności małe prostokąty światła. Ricky wrócił do zaułka. Najciszej jak mógł, wślizgnął się do środka, przycupnął na betonie i oparł o ścianę, cały czas myśląc o tym, że aż do tej pory nie miał najmniejszego pojęcia, jak łatwo jest zasłużyć na czyjąś nienawiść.

Powoli otoczyła go ciemność. Była to gęsta jak syrop, sięgająca w głąb duszy czern. Ricky odczekał kilka godzin. Siedział w półśnie, mając przed oczami obrazy kogoś, kim był, ludzi, którzy pojawili się w jego życiu, by je zniszczyć, i rozmyślając o planie, który ułożył, by je odzyskać. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł przypomnieć sobie zmarłą żonę albo zapomnianego przyjaciela, jakieś wspomnienie z dzieciństwa, szczęśliwy moment – wigilijny poranek, zakończenie roku szkolnego, pierwszy smoking założony na bal maturalny albo próbną kolację przed ślubem. Wszystkie te chwile wydawały się jednak należeć do kogoś innego. Ricky nigdy nie był zwolennikiem teorii reinkarnacji, ale teraz czuł się prawie tak, jakby powrócił na ziemię w nowym wcieleniu. Włóczkowski płaszcz śmierdział coraz bardziej. Starks podniósł w ciemnościach dłoń i wyobraził sobie, że paznokcie ma czarne od brudu. Kiedyś kojarzyło mu się to ze szczęściem; brudne ręce oznaczały, że spędził kilka godzin w ogrodzie za domem na Cape. Żołądek zacisnął mu się w kulę. Ricky znów usłyszał huk stojącej w płomieniach benzyny. Wspomnienie to wydawało się pochodzić z jakiejś pradawnej ery, z przeszłości, z której wykopał ją archeolog.

Podniósł wzrok i wyobraził sobie siedzących po przeciwnej stronie alejki Wergiliusz i Merlina. Przysadzisty adwokat i posągowa młoda kobieta.

Widział ich twarze, każdy gest. Przewodnik na drodze do piekła, tak mi powiedziała, przypomniał sobie. Miała rację. W większym stopniu, niż mogła się spodziewać. Ricky wyczuwał też obecność trzeciego członka tego triumwiratu, ale Rumpelstiltskin wciąż był cieniem zlewającym się z ciemnością nocy.

Zesztywniały mu nogi. Nie wiedział, ile przeszedł kilometrów od przybycia do Bostonu. Poczł głód. Rozdarł opakowanie babeczek i zjadł obie w kilku kęsach. Czekolada uderzyła go jak namiastka amfetaminy i dodała trochę energii. Ricky wstał i spojrział w głąb alejki.

Usłyszał jakiś cichy głos i ruszył w jego stronę, zanim rozpoznał, co to jest: ktoś cicho i fałszywie śpiewał.

Zbliżył się ostrożnie do śpiewającego. Usłyszał, jak z boku coś czmychnęło, skrobiąc pazurami. Pewnie szczur. Ricky trzymał w ręku latarkę, ale starał się przyzwyczaić oczy do smolistej czerni zaułka. Nie było to łatwe. Potknął się kilka razy o niewidoczne odpadki. Raz

prawie upadł, ale złapał równowagę i szedł dalej.

O mało nie nadepnął na mężczyznę. Śpiewanie ustało i przez krótką chwilę panowała cisza.

– Kto tam?

– To tylko ja – odpowiedział Ricky.

– Nie podchodź – usłyszał bełkotliwe słowa. – Mogę cię zabić. Mam nóż.

Ricky miał nieśmiałą nadzieję, że mężczyzna z przepicia stracił przytomność, ale ten wciąż był stosunkowo czujny. Za to mało ruchliwy, pomyślał Starks, nie słysząc odgłosów odczołgiwania się czy prób ukrycia.

Nie wierzył, że bezdomny naprawdę ma broń, ale nie miał pewności. Stał bez ruchu.

– To mój zaułek – bełkotał bezdomny. – Wynocha.

– Teraz to też mój zaułek – powiedział Ricky. – Wziął głęboki oddech i zanurzył się w świat, który musiał odnaleźć, chcąc porozumieć się z mężczyzną. Przypomniało to nurkowanie w sadzawce ciemnej wody, bez wiedzy, co jest pod powierzchnią. Witaj szaleństwo, powiedział do siebie, próbując zebrać całe doświadczenie i wykształcenie, jakie zdobył w poprzednim życiu. Stwórz złudzenia. Roznieć niepewność. Pożyw paranoję. – Powiedział mi, że mamy rozmawiać. Tak mi powiedział: „Znajdź człowieka w zaułku i spytaj, jak się nazywa”.

– Kto tak powiedział? – zapytał bezdomny po chwili wahania.

– A jak ci się wydaje? – odparł Ricky. – On. Mówi do mnie, mówi, kogo mam znaleźć, a ja to muszę zrobić, bo on mi kazał, a ja to zrobiłem i jestem tutaj. – Udało mu się wybełkotać to dość sprawnie.

– Kto do ciebie mówi? – Żarliwość padających z ciemności pytań walczyła z oparem alkoholu, zasnuwającym już i tak pomieszany umysł.

– Nie wolno mi wymawiać jego imienia, nie na głos, bo ktoś mógłby podsłuchać, szszszsz! Ale on mówi, że będziesz wiedział, po co przyszedłem, jeśli jesteś właściwym człowiekiem i nie będę musiał nic wyjaśniać.

Mężczyzna zawahał się, próbując zrozumieć to bezsensowne polecenie.

– Ja?

Ricky skinął głową w ciemności.

– Jeśli jesteś tym właściwym. Jesteś?

– Nie wiem – usłyszał odpowiedź. – Tak mi się wydawało – dodał bezdomny po chwili.

Ricky pospiesznie podtrzymał jego złudzenie.

– On daje mi nazwiska, rozumiesz, a ja mam ich znajdować i zadawać pytania, bo muszę znaleźć tego właściwego. To robię, cały czas, znów i znów, i muszę to robić. Jesteś tym właściwym? Muszę wiedzieć, rozumiesz?

Inaczej wszystko się zmarnuje.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? – wyszeptał włóczęga.

Ricky przysunął latarkę pod brodę, jak dziecko, chcące wystraszyć kolegów przy ognisku. Błysnął nią, oświetlając twarz, i omiótł snopem światła mężczyznę, w kilka sekund lustrując otoczenie. Bezdomy leżał oparty plecami o ceglana ścianę, z butelką wina w ręku. Dookoła walały się różnego rodzaju śmiecie, a obok stało kartonowe pudło, które pewnie służyło mężczyźnie za dom.

– Widzisz? – powiedział z mocą. – Potrzebujesz więcej dowodów?

Włóczęga poruszył się.

– Nie mogę myśleć – jęknął. – Głowa mnie boli.

Przez chwilę Ricky miał ochotę po prostu zabrać to, czego potrzebował. Na myśl o przemocy zadrżał. Był sam w opuszczonym zaułku; ludzie, przez których się w nim znalazł, nie zawahaliby się ani chwili przed użyciem siły. Największym wysiłkiem woli zwalczył to pragnienie. Wiedział, czego chce, ale zależało mu, by mężczyzna oddał to dobrowolnie.

– Mów, kim jesteś! – na poły wyszeptał, na poły krzyknął Ricky.

– Chcę być sam – jęknął włóczęga. – Nic nie zrobiłem, nie chcę już tu być.

– Nie jesteś tym właściwym – stwierdził Starks. – Widzę to. Ale muszę być pewny. Powiedz mi, kim jesteś.

Mężczyzna załkał.

– Czego chcesz?

– Wiedzieć, jak się nazywasz.

Ricky słyszał łzy, wzbierające z każdym słowem.

– Nie chcę powiedzieć. Boję się. Chcesz mnie zabić?

– Nie – odparł Ricky. – Nie zrobię ci krzywdy, jeśli powiesz mi, kim jesteś.

Mężczyzna zamilkł, jakby zastanawiając się nad pytaniem.

– Mam portfel – powiedział wolno.

– Dawaj! – zażądał Ricky. – Tylko tak mogę się upewnić!

Bezdomy poruszył się, podrapał, po czym sięgnął w głąb płaszcza.

W ciemności, do której jego oczy nie zdołały się jeszcze przyzwyczaić, Ricky zobaczył, że mężczyzna wyciąga w jego kierunku jakiś przedmiot.

Zabrał mu go i wrzucił do kieszeni.

Włóczęga rozplakał się.

– Nie musisz się już martwić – powiedział Ricky łagodnie. – Zostawię cię w spokoju.

– Proszę – jęknął bezdomy. – Idź już sobie.

Starks sięgnął po wino kupione w sklepie monopolowym i dwadzieścia dolarów z rozcięcia płaszcza.

– Masz – powiedział. – Nie byłeś tym właściwym, ale to nie twoja wina, a on chce, żebym ci wynagrodził to, że zwracałem ci głowę. Może tak być?

Włóczęga wyrwał mu butelkę. Przez chwilę nie odpowiadał, potem chyba skinął głową.

– Kim jesteś? – zapytał. W każdym jego słowie brzmiał strach i zmieszanie.

Ricky uśmiechnął się w duchu i pomyślał, że klasyczne wykształcenie ma swoje zalety.

– Nazywam się Nikt – powiedział.

– Nick?

– Nie. Nikt. Jeśli ktoś zapyta, kto do ciebie przyszedł dzisiaj w nocy, możesz powiedzieć, że Nikt. – Ricky domyślał się, że przeciętny policjant na patrolu będzie miał tyle samo cierpliwości do tej opowieści, co bracia cyklopa Polifema. – Napij się i śpij, a kiedy rano się obudzisz, wszystko będzie takie samo, jak przedtem.

Mężczyzna jęknął, ale pociągnął długi łyk z butelki.

Ricky wstał i ostrożnie ruszył do wylotu zaułka. Nie ukradł tego, czego potrzebował, pomyślał, ale też tego nie kupił. Zrobił, co było konieczne, działając cały czas zgodnie z regułami gry. Rumpelstiltskin oczywiście nie wiedział, że ciągle gra. Ale wkrótce miał się dowiedzieć. Ricky szedł przez ciemność w stronę świateł ulicy.

Rozdział 23

Ricky otworzył portfel dopiero na dworcu autobusowym. Po drodze dwa razy przesiadał się w metrze. Wyjął swoje rzeczy ze skrytki.

W toalecie udało mu się trochę obmyć, zeszkrobać brud i kurz z twarzy i rąk, i wytrzeć się pod pachami i na karku papierowym ręcznikiem, namoczonym w letniej wodzie i ostro pachnącym antybakteryjnym mydle.

Nie mógł nic poradzić na zmatowiałe tłuste włosy i zapach potu, na które jedynym lekarstwem był długi prysznic. Wyrzucił brudne łachy do najbliższego śmietnika i założył spodnie khaki i sportową koszulę. Obejrzał się w lustrze i pomyślał, że przekroczył niewidzialną linię i znów stał się uczestnikiem życia, a nie mieszkańcem jego mrocznych krawędzi. Kilka pociągnięć plastikowego grzebienia poprawiło jego wygląd, ale Ricky pomyślał, że wciąż znajduje się na jakiejś krawędzi, a przynajmniej niebezpiecznie blisko niej.

Wyszedł z toalety i kupił bilet do Durham. Autobus odjeżdżał za godzinę, więc kupił sobie kanapkę i napój gazowany i ukrył się w pustym rogu dworca. Rozejrzawszy się i upewniwszy, że nikt go nie śledzi, Ricky odwinął kanapkę, a potem otworzył portfel.

Pierwsza rzecz, którą zobaczył, wywołała uśmiech na jego twarzy i zalała uczuciem ulgi: pognieciona, wypłowiała, ale ważna karta ubezpieczenia społecznego.

Wydrukowane na niej nazwisko brzmiało: Richard S. Lively*.[* Lively (ang.) – żywy, ożywiony]

Ricky'emu się to spodobało. Po raz pierwszy od kilku tygodni czuł się żywy. Spostrzegł jeszcze jeden dobry znak: nie musiał przyzwyczajać się do nowego imienia. Popularne zdrobnienie od Richarda i Fredericka brzmiało tak samo.

Podniósł głowę i popatrzył na jarzeniowe oświetlenie na suficie.

Zmartwychwstanie na dworcu autobusowym, pomyślał. Podejrzewał, że istniały znacznie gorsze miejsca na ponowne przyjście na świat.

Portfel śmierdział. Ricky szybko przeszukał jego zawartość. Nie było tego wiele, ale to, co znalazł, okazało się nie lada skarbem. Oprócz karty ubezpieczenia społecznego znalazł przeterminowane prawo jazdy z Illinois, kartę z podmiejskiej biblioteki w St. Louis w Missouri i legitymację Amerykańskiego Związku Motorowego z tego samego stanu. Żaden z dokumentów nie był opatrzony zdjęciem, z wyjątkiem prawa jazdy, na którym podano rysopis Richarda Lively'ego – kolor włosów, oczu, wzrost i wagę, tuż obok nieostrej fotografii. W portfelu była również karta identyfikacyjna kliniki w Chicago, oznaczona w rogu czerwonym apostrofem. AIDS, pomyślał Ricky.

Seropozytywny. Miał rację, co do wrzodów na twarzy mężczyzny. Na każdym dokumencie widniał inny adres. Ricky wyjął wszystkie papiery z portfela i przełożył do kieszeni. Znalazł

również dwa poźółkłe i postrzępione wycinki z prasy, które delikatnie rozprostował i przeczytał. Pierwszy był nekrologiem siedemdziesięcioletniej kobiety, drugi artykułem o redukcji etatów w fabryce części samochodowych. Ricky domyślił się, że kobieta była matką Richarda, drugi wycinek dotyczył pracy, którą ten miał, zanim dostał się we władanie alkoholu i trafił na ulicę. Starks nie miał pojęcia, co skłoniło Lively'ego do podróży ze Środkowego Wschodu na Wschodnie Wybrzeże, ale było to posunięcie pasujące do jego planów.

Szansę, że ktoś będzie próbował odnaleźć włóczkę, znacznie zmały.

Ricky przeczytał szybko oba wycinki, zapamiętując szczegóły. Zwrócił uwagę, że wśród krewnych zmarłej wymieniona była jeszcze tylko jedna osoba, kobieta mieszkająca w Albuquerque w Nowym Meksyku.

Siostra, pomyślał, która odrzuciła brata wiele lat temu. Matka pracowała w bibliotece okręgowej, a przedtem była dyrektorką szkoły i dlatego w gazecie zamieszczono jej nekrolog. Napisano w nim, że mąż pani Lively zmarł kilka lat wcześniej. Fabryka, w której pracował Richard Lively, wytwarzała klocki hamulcowe i padła ofiarą decyzji o przeniesieniu produkcji do Gwatemali, gdzie pracownicy dostawali znacznie niższe wynagrodzenie.

Ricky pomyślał, że musiało to zrodzić zrozumiały żal i było więcej niż wystarczającym powodem, by pozwolić alkoholowi przejąć kontrolę nad życiem. W jaki sposób Lively zaraził się wirusem, Ricky nie wiedział. Podejrzał, że przez igłę. Wepchnął wycinki do portfela i wrzucił go do najbliższego kosza na śmieci. Pomyślał o szpitalnej karcie identyfikacyjnej z czerwonym oznaczeniem, po czym sięgnął do kieszeni, wyjął ją, wygiął, aż pękła i przedarł na pół. Szczątki zawiązał w papier po kanapce, a całość wepchnął na spód śmietnika.

Wiem wystarczająco dużo, pomyślał.

Z głośnika rozległa się zapowiedź odjazdu jego autobusu. Ricky wstał, zarzucił plecak na ramię i chowając doktora Starksa w najgłębszej szczelinie umysłu, postawił pierwsze kroki jako Richard Lively.

Jego życie nagle zaczęło nabierać kształtu.

W ciągu tygodnia zdobył dwie posady. Pierwszą w kasie w lokalnym supermarkecie, pięć godzin wieczorem, drugą przy układaniu towarów na półkach w sklepie spożywczym, pięć godzin rano, co zostawiało mu całe popołudnie na inne zajęcia. W żadnym z tych miejsc nie zadawano mu zbyt wielu pytań, chociaż kierownik supermarketu zapytał z naciskiem, czy Ricky brał udział w programie dwunastu kroków[* Program dla ruchu Anonimowych Alkoholików]. Ricky odpowiedział twierdząco. Okazało się, że kierownik również przerabiał ten program; wręczywszy Ricky'emu listę miejsc regularnych spotkań, dał mu obowiązkowy zielony fartuch i posłał do pracy.

Korzystając z numeru ubezpieczenia społecznego Richarda Lively'ego, Ricky otworzył rachunek w banku, na który wpłacił pozostałą mu gotówkę. Nie miał specjalnych problemów

z biurokracją. Wydano mu duplikat karty ubezpieczenia, musiał tylko wypełnić odpowiedni formularz.

Urzędnik w Wydziale Ruchu Drogowego nawet nie spojrzał na zdjęcie, znajdujące się na prawie jazdy z Illinois. Ricky oddał je i otrzymał w zamian nowe, z własnym zdjęciem i podpisem, kolorem oczu, wzrostem i wagą. Wynajął skrytkę pocztową, dzięki czemu uzyskał adres, na który mogły przychodzić wydruki z banku i inna korespondencja. A było jej sporo. Dostawał katalogi firm wysyłkowych. Zapisał się do wypożyczalni kaset wideo i YMCA. Robił wszystko, by potwierdzić nową tożsamość.

Za pomocą kolejnego formularza i czeku na pięć dolarów wszedł w posiadanie kopii aktu urodzenia Richarda Lively'ego, wysłanego z urzędu okręgu pod Chicago.

Starał się nie myśleć o prawdziwym Livelym. Wyłudzenie portfela i tożsamości od zapitego, chorego i szalonego człowieka nie było specjalnie trudnym zadaniem. Przekonywał się, że to, co zrobił, było lepsze od pobicia go i zabrania mu dokumentów siłą, ale miał świadomość, że różnica jest niewielka.

Poszerzając swój świat, otrząsnął się z poczucia winy. Obiecał sobie, że zwróci Richardowi Lively'emu skradzioną tożsamość, kiedy tylko upora się z Rumpelstiltskinem. Nie wiedział tylko, jak długo może to potrwać.

Ricky chciał wyprowadzić się z motelu, wrócił więc w okolice biblioteki, szukając domu z wywieszką o pokoju do wynajęcia. Ku jego uldze, w oknie skromnego drewnianego budynku wciąż wisiało ogłoszenie.

Z boku domu rozciągało się niewielkie podwórkó, ocienione koroną wielkiego dębu. Wszędzie walały się kolorowe zabawki. Żwawy czterolatek bawił się w trawie wywrotką i zestawem żołnierzyków, zaś na krześle kilka metrów dalej siedziała starsza kobieta, zajęta czytaniem gazety.

Co jakiś czas rzucała okiem na chłopca, naśladującego odgłosy pracującego silnika i pola bitwy. Ricky zauważył, że dziecko nosi aparat słuchowy.

– Dzień dobry – powiedział. – To pani dom?

Kobieta skinęła głową, składając gazetę i zerkając na dziecko.

– W rzeczy samej – odparła.

– Zobaczyłem ogłoszenie. O pokoju.

Kobieta spojrzała podejrzliwie na Ricky'ego.

– Zazwyczaj wynajmujemy go studentom.

– Jestem swego rodzaju studentem – powiedział. – To znaczy mam nadzieję, że zacznę pracę nad dyplomem, ale wolno mi idzie, bo muszę pracować na swoje utrzymanie. To nie idzie w parze – dodał z uśmiechem.

Kobieta wstała.

– Jaki kierunek? – spytała.

– Kryminalistyka – odparł bez zastanowienia Ricky. – Powiniennem się przedstawić. Richard Lively, przyjaciele mówią na mnie Ricky.

Nie pochodzę stąd, przyjechałem niedawno i potrzebuję mieszkania.

Kobieta wciąż patrzyła na niego nieufnie.

– Nie ma pan rodziny? Korzeni?

Pokręcił głową.

– Był pan w więzieniu?

Ricky pomyślał, że odpowiedź powinna brzmieć „tak”. W więzieniu stworzonym przez człowieka, którego nigdy nie widziałem, ale który mnie nienawidzi.

– Nie – powiedział. – Ale to rozsądne pytanie. Byłem za granicą.

– Gdzie?

– W Meksyku – skłamał.

– Co pan robił w Meksyku?

– Mój kuzyn wyjechał do Los Angeles, wplątał się w handel narkotykami i zniknął. Pojechałem, żeby go znaleźć. Niestety, przez pół roku wysłuchiwałem kłamstw i trafiałem w ślepe uliczki. Ale przez to zainteresowałem się kryminalistyką.

Kobieta pokręciła głową. Ton jej głosu wskazywał, że nie wierzy w tę nieprawdopodobną opowieść.

– Oczywiście – powiedziała. – A dlaczego przyjechał pan do Durham?

– Chciałem uciec jak najdalej od tamtego świata – odparł Ricky. – Nie zaskarbiłem sobie wielu przyjaciół, wypytyjąc o kuzyna. Uznałem, że to musi być miejsce jak najbardziej oddalone od tamtego, a z mapy wynikało, że mam do wyboru New Hampshire albo Maine. I tak trafiłem tu.

– Nie wiem, czy mam panu wierzyć – westchnęła kobieta. – To brzmi jak wymyśli. Skąd mam wiedzieć, że można panu ufać? Ma pan referencje?

– Każdy może mieć referencje – odparł Ricky. – Wydaje mi się, że zrobiłaby pani o wiele mądrzej, gdyby posłuchała pani mojego głosu, popatrzyła mi w twarz i sama podjęła decyzję.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Podejście z New Hampshire – powiedziała. – Pokażę panu pokój, ale wciąż nie jestem pewna... – Rozumiem.

Pokój był zaadaptowanym strychem. Miał niedużą łazienkę, mieściło się w nim łóżko, biurko i stary fotel. Pod ścianą stał pusty regał i komoda.

Ozdobiona dziewczęcymi falbankami różowa zasłonka okalała okno z widokiem na podwórko i cichą boczną uliczkę. Ściany udekorowano plakatami biur podróży, reklamującymi Florydę i Vail w Kolorado; kobieta w bikini i masce płetwonurka wisiała obok narciarza,

sypiącego spod desek czystym białym śniegiem. W niewielkiej wnęce stała lodówka i stół z kuchenką elektryczną. Na przykręconej do ściany półce leżały białe proste talerze. Ricky rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu i pomyślał, że przypomina celę mnicha. Odpowiadało mu to.

– Nie da się tu tak naprawdę gotować – powiedziała kobieta. – Tylko jakieś podstawowe rzeczy i pizzę. Nie oferujemy kuchni... – Zwykle jadam na mieście – odparł Ricky. – Zresztą i tak mało jem.

Właścicielka ciągle patrzyła na niego z nieufnością.

– Jak długo chciałby pan zostać? Z reguły wynajmujemy na okres roku szkolnego... – To wystarczy. Chce pani podpisać umowę?

– Nie. Zazwyczaj wystarczy uścisk ręki. Płacimy wszystkie rachunki oprócz telefonicznego. Jest tu oddzielna linia. To pana zmartwienie. Firma telekomunikacyjna może ją panu aktywować, kiedy pan zechce. Żadnych gości, żadnych imprez, żadnej głośnej muzyki. Nie wolno siedzieć po nocy przy zapalonym świetle... Ricky uśmiechnął się i przerwał jej:

– I zazwyczaj wynajmujecie państwo ten pokój studentom?

Kobieta dostrzegła sprzeczność.

– Poważnym studentom, jeśli uda nam się takich znaleźć.

– Mieszka tu pani sama z dzieckiem?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko.

– To pytanie mi pochlebia. To mój wnuk. Córka studiuje. Rozwiodła się i chce zostać księgową. Zajmuję się chłopcem, kiedy ona pracuje albo się uczy, czyli właściwie przez cały czas.

Ricky skinął głową.

– Jestem raczej spokojny – powiedział. – I cichy. Pracuję w dwóch miejscach. A w wolnym czasie studiuje.

– Jest pan stary, jak na studenta. Może nawet za stary.

– Nigdy nie jest za późno na naukę, prawda?

Kobieta znów się uśmiechnęła. Nie przestawała przyglądać się Ricky'emu.

– Jest pan niebezpieczny, panie Lively? Ucieka pan przed czymś?

Ricky zastanowił się nad odpowiedzią.

– Przestałem uciekać, pani... – Williams. Janet. Chłopak ma na imię Evan, a córka, której pan nie poznał, Andrea.

– Tu przestaję uciekać, pani Williams. Nie uciekam przed prawem ani byłą żoną i jej prawnikiem, ani żadną pravicową chrześcijańską sektą, chociaż może pani puścić wodze fantazji i zastanawiać się nad którąś z tych możliwości albo nawet nad wszystkimi trzema. A co do niebezpieczeństwa – czy gdybym był niebezpieczny, musiałbym uciekać?

– Słuszna uwaga – powiedziała pani Williams. – To mój dom, rozumie pan. Mieszkają tu dwie kobiety i małe dziecko... – Ma pani rację, że się przejmuję. Nie mam pretensji o pani pytania.

– Nie wiem, czy wierzę w to, co pan powiedział – odparła kobieta.

– Czy to aż tak ważne, pani Williams? Czy zrobiłoby pani różnicę, gdybym powiedział, że jestem przybyszem z obcej planety, badającym zwyczaje mieszkańców Durham w New Hampshire? Albo gdybym powiedział, że jestem rosyjskim szpiegiem albo arabskim terrorystą, któremu FBI depta po piętach, i gdybym spytał, czy nie będzie pani przeszkadzało, jeśli będę robił bomby w łazience? Można wymyślić wiele historii, ale koniec końców nie mają one znaczenia. Prawda jest taka, że chce pani wiedzieć, czy będę się cicho zachowywał, nie wtrącał w nieswoje sprawy, płacił czynsz w terminie i generalnie nie przeszkadzał pani, pani córce i pani wnukowi. Czy nie o to tak naprawdę chodzi?

Pani Williams uśmiechnęła się.

– Zaczynam pana lubić, panie Lively. Nie wiem, czy już panu ufam, a na pewno panu nie wierzę. Ale podoba mi się sposób, w jaki stawia pan sprawę, co oznacza, że zdał pan pierwszy test. Co pan powie na miesięczny okres próbny i czynsz za pierwszy miesiąc z góry? Potem rozliczilibyśmy się co miesiąc, więc gdyby którekolwiek z nas zaczęło się czuć w tym układzie niewygodnie, moglibyśmy szybko rozwiązać problem.

Ricky uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń.

– Z mojego doświadczenia wynika – powiedział – że nie istnieje coś takiego, jak szybkie rozwiązywanie problemów. A jak zdefiniowałaby pani pojęcie „niewygodnie”?

Pani Williams uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nie cofnęła ręki z uścisku.

– Pojęcie „niewygodnie” definiuję wystukanimi na klawiaturze telefonu cyframi 911 i następującą po nich serią nieprzyjemnych pytań od pozbawionych poczucia humoru panów w niebieskich mundurach. Czy to jasne?

– Wystarczająco jasne, pani Williams – powiedział Ricky. – Myślę, że doszliśmy do porozumienia.

– Też tak uważam.

Rutyna w życiu Ricky’ego pojawiła się równie szybko, co jesień w New Hampshire.

W sklepie spożywczym szybko dostał podwyżkę i dodatkowe obowiązki, chociaż kierownik spytał go, dlaczego nie widział go na żadnym spotkaniu AA, więc Ricky wybrał się na kilka, wstając raz czy dwa i przemawiając do alkoholików zgromadzonych w podziemiach kościoła. Wymyślał typowe opowieści o życiu zrujnowanym przez picie. Historie te wywoływały u zgromadzonych mężczyzn i kobiet pomruki zrozumienia, a po jednym ze spotkań kilka osób serdecznie go uściśkało, przez co czuł się trochę jak hipokryta. Lubił swoją pracę w sklepie spożywczym, a stosunki z kolegami układały mu się dość dobrze. Spędzał z nimi przerwy

obiadowe, żartował i starał się zachowywać przyjaźnie. Odkrył, że jest dobrym organizatorem, i doszedł do wniosku, że układanie towarów na półkach nie różni się tak bardzo od tego, co robił ze swoimi pacjentami.

Ich półki również wymagały uporządkowania.

Poważniejsza okazja trafiła mu się w połowie października. Znalazł pracę na pół etatu jako dozorca na uniwersytecie. Rzucił posadę kasjera w supermarkecie i zaczął zamiatać i sprzątać laboratoria, cztery godziny dziennie. Podchodził do swoich obowiązków z powagą, która zrobiła wrażenie na jego zwierzchniku. Ważniejsze jednak było to, że dostał mundur, szafkę w szatni i uniwersytecką kartę identyfikacyjną, która pozwalała mu na dostęp do systemu komputerowego. Przesiadując na zmianę w miejscowej bibliotece i w pracowni komputerowej, Ricky zajął się tworzeniem swojej rzeczywistości.

Wybrał sobie sieciowy pseudonim: Odyseusz.

Dzięki temu założył konto poczty elektronicznej i zdobył dostęp do wszystkiego, co miał do zaoferowania Internet. Otworzył kilka różnych kont bankowych, używając swojej skrytki pocztowej zamiast adresu domowego.

Następnie przeszedł do drugiego etapu: stworzenia zupełnie nowej osoby. Kogoś, kto nigdy nie istniał, ale miał swoje miejsce w świecie – historię kredytową, prawo jazdy i elementy przeszłości, które łatwo udokumentować.

Część z tych rzeczy nietrudno było osiągnąć, jak na przykład fałszywe dokumenty na nowe nazwisko. Ponownie zadziwił go fakt istnienia dosłownie tysięcy firm, które sprzedawały w Internecie podrabiane papiery „tylko do celów reklamowych”. Zaczął zamawiać fałszywe prawa jazdy i legitymacje wyższych uczelni. Udało mu się również zdobyć dyplom Uniwersytetu Iowa, z rocznika 1970, oraz akt urodzenia z nieistniejącego szpitala w Des Moines. Dopisał też swoje nazwisko do listy absolwentów zlikwidowanego katolickiego liceum w tym samym mieście.

Wymyślił sobie fałszywy numer ubezpieczenia społecznego. Uzbrojony w plik nowych dokumentów udał się do banku, konkurencyjnego wobec tego, w którym konto posiadał Richard Lively, i otworzył rachunek bieżący na nowe nazwisko: Frederick Lazarus*[* Lazarus (ang.) – Łazarz]. Wybrał je po starannym namyśle; składało się na nie jego prawdziwe imię, zestawione z imieniem mężczyzny, który zmartwychwstał.

Jego zamierzenie było bardzo proste: Richard Lively miał istnieć naprawdę i prowadzić bezpieczne życie. Miał być domem. Frederick Lazarus był fikcją. Między tymi postaciami nie było żadnego związku. Jedna z nich miała cieszyć się anonimową normalnością. Druga była sztuczna.

Gdyby ktokolwiek zaczął badać Fredericka Lazara, odkryłby, że składa się on jedynie z fałszywych numerów i wymyślonej tożsamości.

Mógł być niebezpieczny. Mógł być przestępcą. Mógł być groźny. A fikcja ta została stworzona wyłącznie w jednym celu.

A było nim znalezienie człowieka, który zrujnował życie Ricky'ego, i odpłacenie mu z nawiązką.

Rozdział 24

Tygodnie zamieniły się w miesiące. Ricky pozwolił ogarnąć się jesieni, która otuliła New Hampshire, i zniknął w zimnie i ciemności, chowając się przed wszystkim, co go spotkało. Jego życie jako Richarda Lively'go z każdym dniem stawało się pełniejsze, zarazem jednak wzbogacał o nowe szczegóły osobowość Fredericka Lazarusza. Richard Lively w wolne wieczory chodził na uczelniane mecze koszykówki, czasami opiekował się dzieckiem swoich gospodyń, które szybko nabrały do niego zaufania, miał doskonałą frekwencję w pracy i zyskał szacunek kolegów ze sklepu i uniwersytetu. Zachowywał się w stosunku do nich żartobliwie, niemal niepoważnie, jakby nie traktował na serio niczego, z wyjątkiem ciężkiej pracy. Pytany o przeszłość wymyślał jakieś nieskomplikowane historie, na tyle banalne, by wszyscy w nie uwierzyli, albo odpowiadał pytaniem na pytanie. Ricky odkrył, że jest ekspertem w tworzeniu sytuacji, w których ludziom wydawało się, że mówi o sobie, podczas gdy w rzeczywistości mówił o nich. Był zaskoczony tym, z jaką łatwością przychodziły mu te wszystkie kłamstwa.

Najpierw pracował jako wolontariusz w przytułku, a potem przez dwie noce w tygodniu, od dwudziestej drugiej do drugiej w nocy, czyli w zdecydowanie najbardziej interesującym czasie, obsługiwał lokalny telefon zaufania. Spędził niejedną noc, rozmawiając cicho ze studentami narażonymi na różne stresy. Nawet taki związek z anonimowymi, ale mającymi kłopoty ludźmi, dodawał Ricky'emu energii. Uważał, że to dobry sposób, by nie pozwolić zardzewieć swoim umiejętnościom. Za każdym razem, kiedy odkładał słuchawkę, przekonawszy kogoś, żeby nie działał pochopnie, tylko poszedł do uniwersyteckiej kliniki i poszukał pomocy, myślał, że odprawia pokutę za swój brak uwagi sprzed dwudziestu lat, kiedy przyszła do niego Claire Tyson, a on nie wysłuchał jej skarg i nie dostrzegł grożącego jej niebezpieczeństwa.

Frederick Lazarus był kimś zupełnie innym. Ricky stworzył tę postać z zimną krwią, która zaskoczyła jego samego.

Frederick Lazarus chodził na siłownię, gdzie przebiegał kolejne kilometry na mechanicznej bieżni i podnosił ciężary, z dnia na dzień poprawiając kondycję i nabierając siły. Niegdyś szczupłe ciało nowojorskiego psychoanalityka zmieniało się; zmniejszył się obwód pasa, poszerzyły ramiona.

Ćwiczył samotnie, w ciszy, przerywanej jedynie chrząknięciem z wysiłku i odgłosem stóp, uderzających o mechaniczną bieżnię. Zaczesał włosy do tyłu, zapuścił brodę. Czerpał lodowatą satysfakcję z wysiłku, do którego się zmuszał, zwłaszcza gdy zauważył, że nie dostaje już zadyszki, kiedy musi gdzieś podbiec. W klubie sportowym organizowano zajęcia z samoobrony, głównie dla kobiet, ale Ricky zmienił nieco swój rozkład dnia i zapisał się na nie, poznając tajniki przerzutów i szybkich skutecznych ciosów w gardło, twarz i krocze. Kobiety z grupy początkowo czuły się niezręcznie w jego towarzystwie, ale ochota, z jaką zgłaszał się na

ochotnika jako cel ich ataków, zaskarbiła mu w końcu ich akceptację. Przynajmniej okładały go bez poczucia winy. Traktował to jako sposób na zahartowanie się.

Późnym popołudniem pod koniec stycznia, ślizgając się na oblodzonych, zawianych śniegiem chodnikach, Ricky udał się do sklepu z artykułami sportowymi R & R, położonego dość daleko od uniwersytetu, w jednym z tanich pawilonów, z rodzaju tych, które mieszczą stoiska z oponami i warsztaty samochodowe. R & R – trudno było określić, co oznaczają te litery – był niedużym, niskim, kwadratowym sklepem, zastawionym plastikowymi jeleniami, jaskrawopomarańczowymi ubraniami dla myśliwych oraz stojakami pełnymi wędek, łuków i strzał. Na jednej ze ścian wisiał duży wybór sztucerów, strzelb i zmodyfikowanych karabinów szturmowych, nieposiadających nawet namiastki piękna drewnianych kolb i polerowanych luf swoich pobratymców. AR-15 i AK-47 wyglądały zimno i militarnie, a ich konstrukcja miała na celu wyłącznie efektywność. Pod oszkloną ladą leżały rzędy pistoletów. Błękitna stal.

Błyszczący chrom. Czarny metal.

Ricky spędził przyjemną godzinę, dyskutując o zaletach różnych modeli broni ze sprzedawcą, brodatym i łysym mężczyzną w średnim wieku, w czerwonej kraciatej koszuli, z przypiętym do pasa krótkolufowym pistoletem kalibru 38. Omówili zalety rewolwerów i pistoletów, ich wielkość, siłę odrzutu, celność i szybkostrzelność. W piwnicy sklepu znajdowała się strzelnica: dwa wąskie tory przedzielone przepierzeniem, przypominające trochę ciemną opuszczoną kręgielnię. Elektryczny system wielokrażków przynosił tarczę w kształcie ludzkiej sylwetki pod odległą o jakieś piętnaście metrów ścianę, obłożoną brązowymi pięćdziesięciokilogramowymi workami trocin. Sprzedawca z ochotą pokazał Ricky’emu, który nigdy w życiu nie strzelał z broni palnej, jak celować wzdłuż lufy, jak stać, trzymając pistolet w obu rękach, by cały świat ograniczał się do linii wzroku, nacisku palca na spust i widoku celu. Ricky wystrzelił kilka tuzinów pocisków, od małych, kaliber 22, przez magnum 357 i dziewięćmilimetrowe, popularne wśród stróżów prawa, po czterdziestki, rozpowszechnione podczas drugiej wojny światowej, których odrzut czuło się aż w klatce piersiowej.

Ricky zdecydował się na coś uniwersalnego, półautomatycznego rugera kaliber 38, z piętnastonabojowym magazynkiem. Była to broń pośrednia między wielkimi grzmiącymi pistoletami policji a małymi zabójczymi dwudziestkami dwójkami, których używały kobiety i zawodowi mordercy. Wybrał tę samą broń, którą widział w teczce Merlina. Pomyślał, że dobrze jest wyrównać szanse, choćby w kwestii broni palnej.

Wypełnił podanie o pozwolenie jako Frederick Lazarus, wpisując fałszywy numer ubezpieczenia społecznego, o który postarał się w tym właśnie celu.

– To zajmie kilka dni – powiedział sprzedawca. – Chociaż u nas i tak jest z tym o wiele łatwiej niż w Massachusetts. Jak ma pan zamiar zapłacić?

- Gotówką – odparł Ricky.
- Przeteterminowany towar – uśmiechnął się rusznikarz. – Nie lepiej plastikiem?
- Plastik tylko komplikuje życie.
- Ruger 38 je upraszcza.

Ricky skinął głową.

- O to z grubsza chodzi, prawda?
- Chce pan uprościć kogoś konkretnego, panie Lazarus?

– To dość niezwykle pytanie – zauważył Ricky. – Czy wyglądam na kogoś, kto nienawidzi swojego szefa? Albo sąsiada, który o jeden raz za dużo wypuścił swojego psa na mój trawnik? Albo żony, która nie wie, kiedy przestać zrzedzić?

- Nie – wyszczerzył się w uśmiechu sprzedawca. – Nie wygląda pan.

Ale wie pan, nie ma tu za wielu ludzi, którzy dopiero zaczynają poznawać broń. Większość klientów kojarzę z twarzy, jeśli nie z nazwiska. – Spojrzał na formularz. – Gotowe?

- Jasne. Dlaczego nie?
- O to mniej więcej chciałem zapytać. Nie cierpię tych bzdurnych przepisów.
- Przepisy to przepisy.
- Cholerna racja.

– A co z ćwiczeniami? – spytał Ricky. – To znaczy, jaki jest sens kupować tak dobrą broń, jeśli człowiek nie nauczy się z niej naprawdę dobrze strzelać?

Sprzedawca pokiwał głową.

– Ma pan stuprocentową rację, panie Lazarus. Wielu ludzi myśli, że kupienie broni wystarczy, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. A według mnie to dopiero początek. Trzeba wiedzieć, jak się nią posługiwać, zwłaszcza kiedy sytuacja zrobi się, nazwijmy to, napięta, na przykład gdy w kuchni buszuje jakiś kryminalista, a ty siedzisz na górze w piżamce... – Otóż to – przerwał mu Ricky. – Nie chcesz być tak wystraszony... Sprzedawca dokończył za niego:

– ...że rozwalasz swoją żonę albo kota. – Zaśmiał się. – Chociaż może to nie byłoby takie złe. Zabrałby pan jeszcze włamywacza na piwo, gdyby był pan żonaty z moją kobitą. I jej cholernym puchatym kotem, przez którego ciągle kicham.

- A więc strzelnica?

– Może pan z niej korzystać zawsze, kiedy jesteśmy otwarci i nikt jej akurat nie zajmuje. Cele kosztują pięćdziesiąt centów. Wymagamy tylko, żeby amunicję kupował pan tu, na miejscu. I nie wolno wchodzić z naładowaną bronią. Proszę ją trzymać w futerale. Magazyneki mają być puste.

Ładuje je pan tak, żeby ktoś to widział. Potem może pan wystrzelać, ile pan będzie chciał. Na wiosnę organizujemy kursy przetrwania w lesie.

- Może chciałby się pan zapisać?

– Jak najbardziej – powiedział Ricky.

– Mam do pana zadzwonić, kiedy przyjdzie pozwolenie, panie Lazarus?

– Czterdzieści osiem godzin? Nie, sam przyjdę. Albo zadzwonię.

– Jak pan woli. – Sprzedawca uśmiechnął się ostrożnie. – Czasami podanie wraca z odmową z powodu jakiejś bzdury. Wie pan, na przykład może być jakiś problem z numerami, które mi pan podał. Coś może się pojawić na czyimś komputerze, rozumie pan... – Pomyłki się zdarzają, prawda?

– Wygląda mi pan na równego gościa, panie Lazarus. Nie chciałbym, żeby odrzucili pana podanie przez jakieś biurokratyczne pierdoły.

To by było nie fair. – Sprzedawca wymawiał słowa powoli, niemal ostrożnie.

Ricky słuchał uważnie, co mówi ton jego głosu. – Wszystko zależy od tego, jaki urzędnik zajmie się pana podaniem. Niektórzy tylko wstukują numery, nie patrzą, jakie. Inni podchodzą do tego bardzo poważnie... – Mówi pan, jakby panu zależało, żeby to podanie trafiło do odpowiedniego człowieka.

Sprzedawca skinął głową.

– Nie powinniśmy wiedzieć, kto sprawdza podania, ale mam tam kilku przyjaciół... Ricky wyjął portfel i położył na ladzie sto dolarów.

Mężczyzna znów się uśmiechnął.

– To nie było konieczne – powiedział, ale przykrył banknot dłonią. – Dziękuję. Chciałbym, żeby trafił się panu odpowiedni urzędnik. Taki, co załatwia wszystko szybko i sprawnie... – Bardzo mi pan pomoże – stwierdził Ricky. – Naprawdę. Będę panu winien przysługę.

– Nie ma sprawy. Chcemy, żeby klient był zadowolony, to wszystko.

– Sprzedawca schował banknot do kieszeni. – Nie interesuje pana karabin?

Mam tu piękny sztucer, kaliber 30, z lunetą, do polowań na jelenie.

Po specjalnej cenie. Mamy też strzelby... – Może – powiedział Ricky. – Muszę sprawdzić, co będzie mi potrzebne.

To znaczy, kiedy będę już wiedział, że nie ma żadnych problemów z pozwoleniem, ocenię swoje potrzeby. Robią wrażenie – pokazał na kolekcję karabinów szturmowych.

– Pistolet maszynowy uzi albo ingram 45, albo AK-47 z długim magazynkiem zdecydowanie pomagają w każdej dyskusji – podkreślił sprzedawca.

– Zniechęcają do spierania się i ułatwiają osiągnięcie kompromisu.

– Będę o tym pamiętał – zapewnił Ricky.

Ricky nabrał wprawy w posługiwaniu się komputerem.

Używając swojej elektronicznej tożsamości, podróżował po sieci w poszukiwaniu krewnych i uświadomił sobie błyskawicznie, jak łatwo było Rumpelstiltskinowi ułożyć ich listę. Pięćdziesięcioro kilkoro członków rodziny doktora Fredericka Starksa udało się znaleźć

w Internecie w przeciągu zaledwie kilku godzin. Ricky przekonał się, że jeśli ma się nazwiska, zdobycie adresów nie zajmuje dużo czasu. Nietrudno było wyobrazić sobie, w jaki sposób Rumpelstiltskin, który miał mnóstwo czasu i środków, dowiedział się, kim byli ci ludzie, i wybrał spośród nich najbardziej podatnych na atak.

Kiedy na ekranie pojawiło się jego nazwisko, a drugi z programów genealogicznych poinformował go, że niedawno zmarł, zeszywniał. Czuł to samo, co kierowca jadący nocą, któremu przed maskę wyskakuje jakieś zwierzę i natychmiast znika w zaroślach po drugiej stronie drogi.

Uklucie strachu, który mija tak samo szybko, jak się pojawił.

Dziesiątki lat pracował w świecie prywatności, pomagał ludziom odkrywać tajemnice zagłuszone wspomnieniami, latami zaprzeczania i depresji. Jeśli analiza przypomina powolne zdzieranie warstw frustracji, by odsłonić prawdę, to komputer można porównać do skalpela.

Detale i fakty po prostu pojawiały się na ekranie, wywoływane kilkoma stuknięciami w klawiaturę. Ricky'emu nie podobało się to, ale zarazem fascynowało.

Jednocześnie uzmysłowił sobie, jak przestarzała może się wydawać jego profesja.

Szybko zrozumiał, że szansa na wygraną w grze Rumpelstiltskina jest minimalna. Kiedy odtworzył w pamięci piętnaście dni od otrzymania listu do swojej śmierci, zdał sobie sprawę, jak łatwo było przeciwnikowi przewidzieć każdy jego ruch. Reakcje Ricky'ego na każde zdarzenie były zupełnie oczywiste.

Spokoju nie dawał mu jeszcze jeden aspekt gry: każda jej chwila została zaplanowana z wyprzedzeniem, każdy moment pchał go w kierunku, który przewidziano. Rumpelstiltskin znał go równie dobrze, jak on siebie. Wergiliusz i Merlin mieli rozpraszać go i nie pozwolić, żeby spojrzał na sprawę z dystansu. To oni nadali tempo wydarzeniom, wypełnili jego ostatnie dni żądaniami, uczynili groźbę namacalną i prawdziwą.

Każdy ruch został zapisany w scenariuszu. Od śmierci Zimmermana w metrze, przez wyprawę do Rhinebeck do doktora Lewisa, po archiwum w szpitalu, w którym spotkał Claire Tyson. Co robi analityk? Ustanawia proste, ale nieprzekraczalne zasady. Raz dziennie, pięć dni w tygodniu pacjenci pojawiali się w jego drzwiach, w ustalony sposób dając znak dzwonkiem. Poczynając od tego, ich życie zaczynało wychodzić z chaosu i przybierać rozpoznawalne kształty, a co za tym idzie, pozwalało się kontrolować.

Wniosek był prosty: musi przestać zachowywać się przewidywalnie.

Nie, niezupełnie. Richard Lively może być normalny, zachowywać się tak jak musi i chce. Jest zwyczajnym facetem. Ale Frederick Lazarus powinien być kimś innym.

Człowiek bez przeszłości, pomyślał Ricky, może zaplanować sobie dowolną przyszłość.

Frederick Lazarus wyrobił sobie kartę biblioteczną i zagłębił się w kulturze zemsty. Każda strona, którą czytał, ociekała przemocą. Pochłaniał legendy, sztuki teatralne, wiersze i literaturę

naukową, koncentrując się na prawdziwej zbrodni. Czytał powieści, od najnowszych, ubiegłorocznych, po dziewiętnastowieczne powieści gotyckie. Przerobił najważniejsze dzieła teatru, ucząc się niemal na pamięć Otella, a potem jeszcze dokładniej studiując Oresteję. Przypomniawszy sobie i przeczytał jeszcze raz fragmenty, które pamiętał z czasów studiów. Kilka razy przeczytał ustęp mówiący o tym, jak Odyseusz zamyka drzwi do sali, w której uczują jego rywale i morduje każdego, kto uznał go za martwego.

Ricky nie wiedział wiele o zbrodni i przestępstwach, ale szybko stał się w tych sprawach ekspertem w stopniu, jaki mógł osiągnąć za pośrednictwem literatury. Uczył się od Thomasa Harrisa i Roberta Parkera, Normana Mailera i Trumana Capote'a. Edgar Allan Poe i sir Arthur Conan Doyle znaleźli się w towarzystwie podręczników instruktażowych FBI, dostępnych w księgarniach internetowych. Ricky przeczytał Maskę normalności Herveya Cleckleya i wyniósł z tej lektury o wiele lepszą znajomość natury psychopatów. Czytał Dlaczego zabijają i Encyklopedię Seryjnych Morderców. Czytał o masowych morderstwach i eksplodujących pułapkach, zbrodniach namiętności i zabójstwach w zamyśle doskonałych. Głowę wypełniały mu nazwiska i przestępstwa, od Kuby Rozpruwacza do Billy Kida, od Johna Wayne'a po Zodiakalnego Zabójcę. Od przeszłości po teraźniejszość. Czytał o zbrodniach wojennych i snajperach, o płatnych mordercach i satanistycznych rytuałach, o mafiosach i zagubionych nastolatkach, które przynosiły do szkoły karabiny i zabijały kolegów, którzy dokuczali im o jeden raz za dużo.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że był w stanie odciąć się od wszystkiego, co czytał. Zamykając książkę, opisującą ze szczegółami kolejne okropieństwa, jakie człowiek zrobił człowiekowi, zapominał o Fredericku Lazarusie i stawał się Richardem Livelym. Jeden z nich uczył się, jak zadusić niespodziewającą się niczego ofiarę garotą oraz dlaczego nóż nie nadaje się na narzędzie mordy, drugi czytał bajki czteroletniemu wnukowi gospodyni i uczył się na pamięć historyjki Jajka na szynce, której chłopiec nigdy nie miał dość i mógł słuchać o każdej porze dnia i nocy. Podczas gdy jeden poznawał znaczenie badania DNA w analizie sceny przestępstwa, drugi rozmawiał w nocy ze studentem, który przedawkował i właśnie wychodził z fazy euforii.

Jak Jekyll i Hyde, pomyślał Ricky.

Odkrył, że w jakiś perwersyjny sposób towarzystwo obu tych mężczyzn sprawia mu przyjemność.

Może nawet bardziej niż człowieka, którym był, zanim Rumpelstiltskin pojawił się w jego życiu.

Wczesną wiosną, dziewięć miesięcy po swojej śmierci, Ricky spędził trzy nocne godziny na rozmowie z młodą kobietą w głębokiej depresji.

Zadzwoniła do niego zrozpaczona, przed sobą miała buteleczkę pigułek nasennych. Opowiadał, czym stało się jej życie i czym jeszcze może się stać. Namalował obraz przyszłości

wolnej od trosk i wątpliwości, które doprowadziły ją do stanu, w jakim była teraz. Wplatał nitki nadziei we wszystko, co mówił, a kiedy razem powitali pierwsze światło poranka, dziewczyna zapomniała o pigułkach i umówiła się na wizytę u lekarza w klinice.

Kiedy Ricky wyszedł tego ranka na ulicę, bardziej napompowany energią niż zmęczony, uznał, że nadszedł czas, by rozpocząć poszukiwania.

Tego samego dnia, kiedy skończył pracę na uniwersytecie, za pomocą elektronicznej karty-kłucza dostał się do sali ćwiczeń wydziału informatyki.

Pomieszczenie podzielone było na niewielkie boksy; w każdym z nich stał komputer, podłączony do ogólnouniwersyteckiej sieci. Ricky włączył jeden z nich, wpisał hasło i wślizgnął się do systemu. W teczce leżącej przy jego lewej ręce znajdowały się zgromadzone w poprzednim życiu skąpe informacje o kobiecie, którą zlekceważył. Zawahał się przed rozpoczęciem elektronicznych poszukiwań. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie mógł znaleźć wolność i ciche spokojne życie do końca swoich dni jako Richard Lively. Musiał przyznać, że bycie stróżem nie było złe. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby niczego nie wiedzieć, ponieważ rozumiał, że jeśli już rozpocznie proces odkrywania tożsamości Rumpelstiltskina i jego współpracowników, nie będzie mógł się zatrzymać. Zdarzyłyby się wtedy dwie rzeczy. Owładnęłyby nim zwyczaje i dążenia wszystkich lat, które przeżył jako doktor Starks, hołdujący przekonaniu, że odkrywanie głęboko ukrytej prawdy jest wartościowym zajęciem. Poza tym o swoje prawa upomniałby się Frederick Lazarus, narzędzie jego ataku.

Ricky toczył ze sobą walkę. Nie wiedział, jak długo to trwało. Może sekundy, a może też wpatrywał się w ekran komputera przez kilka godzin, z palcami zastygłymi nad klawiaturą.

W końcu postanowił, że nie będzie tchórzem.

Problem w tym, pomyślał, co to jest tchórzostwo? Ukrywanie się czy działanie?

Kiedy powziął decyzję, poczuł ogarniającą go falę chłodu. Kim byłaś, Claire Tyson?

I gdzie są dzisiaj twoje dzieci?

Istnieje wiele rodzajów wolności. Rumpelstiltskin zabił go, by osiągnąć jeden z nich. Teraz on znajdzie własną.

Rozdział 25

Ricky wiedział tylko tyle: dwadzieścia lat temu w Nowym Jorku zmarła pewna kobieta, a jej troje dzieci zostało oddanych do adopcji.

Pierwsze próby natrafienia na nazwisko Claire Tyson okazały się bezowocne. Wydawało się, że śmierć wymazała ją z akt. Nawet posiadając kopię dwudziestoletniego aktu zgonu, początkowo był bezradny. Programy genealogiczne, które tak szybko wyświełiły jego powiązania rodzinne, w wyszukiwaniu Claire Tyson były zdecydowanie mniej skuteczne. Ricky był nieco zdumiony tym brakiem informacji. Program „Znajdź Swoich Zaginionych Krewnych!” obiecywał odnalezienie niemal każdego i bardzo niepokojący był fakt, że kobiety nie było w żadnym z dostępnych spisów.

Pierwsze wysiłki Ricky’ego nie poszły jednak całkiem na marne.

Jedną z rzeczy, których nauczył się od momentu rozpoczęcia swoich ostatnich wakacji, było bardziej wielotorowe myślenie. Jako psychoanalityk posiadał umiejętność interpretowania symboli i dochodzenia do kryjących się za nimi faktów. Teraz wykorzystywał ją bardziej konkretnie. Kiedy nazwisko Claire Tyson do niczego go nie doprowadziło, spróbował innego podejścia. W komputerowym spisie nieruchomości na Manhattanie znalazł obecnego właściciela budynku, w którym mieszkała. Kolejne wyszukiwania pozwoliły mu poznać nazwiska urzędników i adresy urzędów, do których musiała zgłaszać się po zasiłek i talony żywnościowe.

Najważniejsze było wyobrazenie sobie życia Claire Tyson dwadzieścia lat temu i zrozumienie wszystkich czynników, jakie na nie wtedy oddziaływały. Gdzieś wśród tych informacji musiała znajdować się ogniwo prowadzące do człowieka, który go prześladował.

Ricky przejrzał także książki telefoniczne północnej Florydy. Stamtąd pochodziła. Starks podejrzewał, że jeśli miała rodzinę – oprócz Rumpelstiltskina – mieszka ona właśnie tam. Na akcie zgonu podano adres najbliższego krewnego, jednak kiedy Ricky go sprawdził, okazało się, że mieszka tam ktoś inny. W okolicach Pensacoli mieszkało wielu Tysonów – dojdzie, kto jest kim, wydawało się nie lada wyzwaniem, dopóki Ricky nie przypomniał sobie własnych notatek, sporządzonych podczas sesji z młodą kobietą. Skończyła szkołę średnią i dwa lata college’u, zanim rzuciła go i wyjechała z marynarzem stacjonującym w bazie marynarki, ojcem jej trojga dzieci.

Ricky wydrukował nazwiska potencjalnych członków rodziny i adresy wszystkich szkół średnich w okolicy.

Kiedy patrzył na wydruk, przyszło mu do głowy, że robił to, co powinien był zrobić wiele lat temu: próbował poznać i zrozumieć Claire Tyson.

Dwa światy nie mogły się różnić bardziej. Pensacola na Florydzie leżała w Biblijnym Pasie – tam, gdzie Jezus jest najwyższym autorytetem, młodych upomina się podniesionym głosem,

chwali Pana i chodzi w każdą niedzielę do kościoła. Nowy Jork – dla każdego, kto wychował się w Pensacoli, miasto to musiało być ucieleśnieniem wszystkiego, co złe. To niepokojąca kombinacja, pomyślał Ricky. Był jednak pewien jednego: o wiele prędzej znajdzie Rumpelstiltskina właśnie tam, a nie w małym miasteczku na północy Florydy. Mimo to nie łudził się, że jego intrygi nie sięgały tak daleko na południe.

Tam właśnie postanowił zacząć.

Korzystając z opanowanych już do perfekcji umiejętności, zamówił w jednym z internetowych serwisów fałszywe prawo jazdy z Florydy i legitymację emerytowanego żołnierza. Dokumenty miały zostać wysłane na numer skrzynki pocztowej Fredericka Lazarusza, ale nazwisko na legitymacji brzmiało Rick Tyson.

Ludzie chętnie pomogą dalekiemu krewnemu, z którym rodzina straciła kontakt dawno temu. Zabezpieczył się dodatkowo, wymyślając lecznicę onkologiczną i drukując wystawione w niej zaświadczenie, że dziecko pana Tysona cierpi na chorobę Hodgkina i wymaga przeszczepu szpiku kostnego, więc każda pomoc udzielona przy odnalezieniu członków jego rodziny o pasującym kodzie DNA będzie wartościowa, a może nawet zbawienna.

Pismo było cyniczne, ale na pewno otworzy wiele drzwi.

Zarezerwował bilet na samolot, umówił się z gospodyniami i szefem na uczelni, zamieniając godziny i dni pracy tak, by zyskać trochę wolnego czasu, po czym wstąpił do sklepu z używaną odzieżą i kupił prosty, bardzo tani, letni, czarny garnitur, jaki nosiłby pracownik zakładu pogrzebowego.

Późnym wieczorem przed samym wyjazdem, ubrany w koszulę dozorczy i robocze spodnie udał się na wydział teatralny uczelni. Jedna z jego kart dostępu otworzyła magazyn, w którym przechowywano kostiumy.

Znalezienie tego, czego potrzebował, nie zajęło mu wiele czasu.

W upale, niczym zawołowana groźba, czaiła się ciężka wilgoć.

Pierwsze kilka oddechów po wyjściu z klimatyzowanego chłodu hali lotniska przypominało wdychanie ciepłego oleju; nawet najgorętsze dni na Cape Cod czy Nowy Jork podczas sierpniowego skwaru nie były aż tak przytłaczające. Powietrze wydaje się prawie namacalne, pomyślał Ricky, idąc do wypożyczalni samochodów. Jakby niosło ze sobą coś niewidzialnego i niepokojącego. Może zarazę? Po chwili jednak doszedł do wniosku, że to zbyt ostre skojarzenie.

Jego plan był prosty: zamierzał wynająć pokój w tanim motelu, a potem udać się pod adres wypisany na akcie zgonu Claire Tyson. Zastukać do odpowiednich drzwi, poprosić i wywiedzieć się, czy ktoś, kto obecnie tam mieszka, wie cokolwiek o miejscu pobytu jej rodziny. Potem zamierzał sprawdzić pobliskie szkoły. Nie był to specjalnie wyrafinowany plan, ale miał w sobie coś z dziennikarskiego uporu: pukaj do drzwi i dowiedz się, czy ktoś ma coś do powiedzenia.

Znalazł Motel 6, stojący przy szerokim bulwarze w otoczeniu galerii handlowych, barów

szybkiej obsługi wszelkich możliwych sieci i tanich sklepów. Wyblakły beton ulicy lśnił w jasnym słońcu. Rosnące tu i ówdzie palmy i krzewy przypominały śmiecie wyrzucone przez sztorm na plażę. W powietrzu unosił się zapach pobliskiego oceanu, ale jak okiem sięgnąć, widać było jedynie szeregi niskich dwukondygnacyjnych budynków i jaskrawe szyldy.

Ricky zameldował się pod nazwiskiem Frederick Lazarus i zapłacił gotówką za trzy dni. Powiedział recepcjoniście, że jest akwizytorem, ale ten nie zwrócił na to większej uwagi. Po obejrzeniu skromnego pokoju, Ricky zostawił torbę i przez parking przeszedł na stację benzynową. Tam kupił plan okolic Pensacoli.

Osiedla przy rozległej bazie marynarki miały w sobie jednakowość, która Ricky'emu kojarzyła się z jednym z pierwszych kręgów piekła.

Rzędy domów z podjazdami wyłożonymi kostką otaczały spłachetki parującej w słońcu zielonej trawy, nieustannie zraszanej spryskiwaczami.

Była to porządna okolica. Ricky'emu wydawało się, że każdy kwartał ma w sobie coś, co oddaje aspiracje jego mieszkańców. Te z równo przystrzyżonymi trawnikami i świeżo pomalowanymi białymi domami lśnącymi w słońcu opowiadały o nadziei i możliwościach. Stojące na podjazdach samochody były czyste, wypolerowane do połysku i nowe. Na trawnikach stały huśtawki i leżały porzrzucone zabawki; mimo przedpołudniowego upału tu i ówdzie pod czujnym okiem rodziców bawiły się dzieci. Linia graniczna była jednak wyraźna; kilka przecnic dalej domy nabierały zużytego, zmęczonego wyglądu. Obłaząca farba, brudne odpływy z rynien, łaty brązowego piachu. Za siatkowymi ogrodzeniami stały samochody, często bez kół, rdzewiejące na pustakach. Nie słychać było rozbawionych głosów, z kubłów na śmieci wysypywały się butelki. To kwartały ograniczonych marzeń, pomyślał Ricky.

Zdawał sobie sprawę, że to Zatoka Meksykańska, z błękitnymi wodami i portem, w którym stały wielkie szare okręty floty, była osią, wokół której wszystko się obracało. Im bardziej jednak oddalał się od oceanu i zagłębiał w coraz biedniejsze okolice, tym bardziej świat, przez który jechał, wydawał mu się ograniczony, bezcelowy i beznadziejny.

Znalazł ulicę, na której mieszkała rodzina Claire Tyson, i zadrzał.

Nie była lepsza ani gorsza od otaczających ją kwartałów, ale w swojej przeciętności krzyczała, że jest miejscem, z którego trzeba się wyrwać.

W połowie kwartału Ricky znalazł numer 13. Zatrzymał się przy krawężniku.

Dom niczym się nie wyróżniał. Był to niewielki parterowy budynek.

Z okien wystawały klimatyzatory, za frontowy ganek służyła betonowa płyta, a z boku, pod ścianą stał czarny grill. Ściany pomalowane były na spłowieły róż. Przy drzwiach ktoś ręcznie namalował czarną trzynastkę.

Jedynka była o wiele większa od trójki, co oznaczało niemal na pewno, że autor w trakcie malowania zmienił zdanie co do wielkości numeru.

Nad wjazdem do otwartego garażu wisiał kosz do koszykówki, jak na niewprawne oko Ricky'ego piętnaście do trzydziestu centymetrów za nisko.

Obręcz była wygięta i pozbawiona siatki. Przy słupku leżała spłowiała pomarańczowa piłka. Trawnik przed domem był zaniedbany; zdławiona chwastami trawa rosła między łatami wyschniętej ziemi. Uwiązany łańcuchem do ściany duży żółty pies na widok Ricky'ego zaczął wściekle ujadać zza ogrodzenia boks, w którym był zamknięty. Na chodniku leżała poranna gazeta; Starks podniósł ją i podszedł do frontowych drzwi.

Nacisnął dzwonek. W środku rozpląkało się dziecko, zostało jednak natychmiast uciszone.

– Idę, idę... Drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda czarnoskóra kobieta z niemowlakiem na biodrze. Nie odsunęła zasłony przeciw owadom.

– Czego pan chce? – zapytała z wściekłością. – Przyszedł pan po telewizor? Pralkę? Może meble? Może butelkę dzieciaka? Co tym razem zabierzecie?

Wyjrzała na ulicę, spodziewając się ciężarówki i ekipy komornika.

– Nie przyszedłem niczego zabierać – powiedział Ricky.

– Pan z elektrowni?

– Nie. Nie jestem inkasentem ani komornikiem.

– W takim razie kim? – spytała. W jej głosie wciąż pobrzmiwały agresywne obronne tony.

– Jestem kimś, kto ma parę pytań – powiedział Ricky i uśmiechnął się. – A jeśli będzie pani miała odpowiedzi, może będę miał trochę pieniędzy.

Kobieta wciąż patrzyła na niego podejrzliwie, ale teraz w jej wzroku pojawiła się też ciekawość.

– Co to za pytania? – spytała.

– O kogoś, kto tu mieszkał. Dawno temu.

– Nie wiem za dużo.

– Rodzina Tysonów.

Kobieta skinęła głową.

– To jego właśnie eksmitowali, zanim my się wprowadziliśmy.

Ricky wyjął portfel i wyciągnął z niego banknot dwudziestodolarowy.

Podniósł go do góry. Kobieta odsunęła moskitierę.

– Pan z policji? – spytała. – Jest pan detektywem?

– Nie jestem policjantem – odparł Ricky. – Ale można mnie nazwać swego rodzaju detektywem.

Wszedł do środka.

Zamrugał, przyzwyczajając oczy do ciemności. Z małego dusznego przedpokoju przeszedł za kobietą do saloniku. Wszystkie okna były pootwierane, ale upał i tak zamieniał pomieszczenie w więzienną celę. Na środku stał fotel, kanapa, telewizor i niebiesko-czerwony kojec, w którym

kobieta umieściła niemowlę. Ściany były puste, jeśli nie liczyć kilku zdjęć dziecka i sztywnej ślubnej fotografii młodej kobiety i mężczyzny w marynarskim mundurze. Ricky dawał im dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Zerknął na kobietę. Dziewiętnaście lat, ale szybko się starzeje, pomyślał. Spojrzał na zdjęcie i zadał oczywiste pytanie:

– To pani mąż? Gdzie jest teraz?

– Wypłynął – odparła. Miała melodyjny słodki głos. Mówiła z wyraźnym południowym akcentem. Ricky domyślał się, że kobieta pochodzi z Alabamy albo Georgii, może Missisipi. Zaciągnięcie się do marynarki było sposobem na wyrwanie się z jakiegoś małego miasteczka, a ona pojechała za swoim mężczyzną, nie wiedząc, że zamienia jedynie jeden rodzaj nędzy na drugi. – Jest w jakiejś Arabii, na USS „Essex”. To niszczyciel.

Wraca dopiero za dwa miesiące.

– A jak pani ma na imię?

– Charlene – odparła. – Co to za pytania, za które mam dostać pieniądze?

– Krucho w domu?

Roześmiała się, jakby to był żart.

– A jak pan sądzi? Pensje w marynarce nie starczą na wiele, dopóki nie pójdzie się w górę. Już straciliśmy samochód i zalegamy dwa miesiące z czynszem. Za meble też zalegamy. Tak jest u prawie wszystkich w tej części miasta.

– Właściciel domu grozi pani eksmisją? – spytał Ricky.

Kobieta, ku jego zaskoczeniu, pokręciła głową.

– Właściciel jest w porządku, chyba to jakiś dobry człowiek. Jak mam pieniądze, wpłacam je na konto. Ale człowiek z banku, a może prawnik, zadzwonił do mnie i powiedział, żebym się nie martwiła, żebym zapłaciła, jak będę miała z czego, powiedział, że rozumie, że czasami w rodzinach wojskowych jest ciężko. Mój mąż, Reggie, to prosty marynarz. Musi najpierw zajść trochę wyżej, zanim zacznie zarabiać prawdziwe pieniądze.

Ale właściciel jest w porządku, tylko cała reszta nie. Ci z elektrowni mówią, że wyłączą prąd i dlatego nie możemy włączyć klimatyzacji ani nic.

Ricky usiadł na krześle, a Charlene zajęła miejsce na kanapie.

– Niech mi pani powie, co pani wie o rodzinie Tysonów. Mieszkali tu, zanim się państwo wprowadziliście?

– Tak – powiedziała. – Nie wiem o nich za dużo, znałam tylko tego starego. Mieszkał tu sam. Dlaczego pan się nim interesuje?

Ricky wyjął portfel i pokazał kobiecie prawo jazdy na nazwisko Ricky Tyson.

– To mój daleki krewny. Dostał w spadku trochę pieniędzy – skłamał. – Rodzina wysłała mnie, żebym go znalazł.

– Nie wiem, czy tam, gdzie jest, potrzebne mu jakieś pieniądze – powiedziała Charlene.

– A gdzie jest?

– W domu starców na Midway Road. Jeśli jeszcze dycha.

– A jego żona?

– Nie żyje. Umarła kilka lat temu. Na serce. Tak słyszałam.

– Spotkała się pani z nim?

Charlene pokręciła głową.

– Wiem tylko to, co mi opowiedzieli sąsiedzi.

– Niech mi pani o tym opowie.

– Mieszkali tu razem, sami... – Powiedziano mi, że mieli córkę... – Ja też tak słyszałam, ale ona podobno umarła.

– Rozumiem. Proszę mówić.

– Żyli z emerytury, może jakiejś zapomogi, nie wiem. Ale nie mieli za dużo pieniędzy. Kobieta zachorowała na serce. Nie miała ubezpieczenia, tylko Medicare. Nagle zaczęli dostawać rachunki do płacenia. Kobieta umarła, a on został z tymi rachunkami. Też nie miał ubezpieczenia.

Był wrednym staruchem, sąsiedzi go nie lubili, nie miał przyjaciół ani żadnej rodziny, o której ktoś by coś wiedział. Miał to, co ja – same rachunki.

Ludzie chcieli od niego pieniędzy. Aż któregoś dnia spóźnił się z ratą za hipotekę i dowiedział się, że to już nie bank ma weksel, że ktoś go od niego wykupił. Nie zapłacił raz, może jeszcze raz i przyjechali do niego ludzie szeryfa z nakazem eksmisji. Wyrzucili go na ulicę. Potem trafił do przytułku. Raczej już stamtąd nie wyjdzie, chyba że nogami do przodu.

Ricky zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Wprowadziliście się państwo po jego eksmisji?

– Zgadza się. – Charlene westchnęła i pokręciła głową. – Ta cała okolica była o wiele ładniejsza jeszcze dwa lata temu. Nie było tyle śmieci, picia i bójek. Myślałam, że to dobre miejsce, żeby zacząć, ale teraz nie mam gdzie i za co wyjechać. W każdym razie słyszałam tę historię od ludzi z naprzeciwka. Już tam nie mieszkają. Chyba wszyscy wiedzieli, że starego wyrzucą z domu. Miał pitbulla, uwiązanego za domem tam, gdzie teraz nasz pies. Nasz tylko szczeka, robi dużo hałasu, jak ktoś idzie. Jakbym go spuściła, prędzej by pana polizał, niż ugryzł. Pitbull Tysona był inny. Kiedy stary był młodszy, wystawiał go w walkach psów, wie pan, dla pieniędzy. Razem z innymi spoconymi białymi facetami, co stawiają forszę, której nie mają, klną i piją. To Floryda nie dla turystów i marynarzy. Bardziej jak Alabama czy Missisipi. Floryda wsioków. Wsioki i pitbulle.

– Nieciekawa kombinacja – zauważył Ricky.

– W okolicy jest sporo dzieciaków. Taki pies mógł któreś pogryźć.

Może ludzie go nie lubili jeszcze z jakichś innych powodów... – Jakich?

– Słyszałam różne historie.

– Jakie historie?

– Złe historie, proszę pana. Wstrętne, paskudne, złe historie. Nie wiem, czy to prawda, a mama i tata nauczyli mnie, żeby nie powtarzać rzeczy, których nie wiem na pewno, ale może się pan popyta i znajdzie kogoś mniej bojącego się Boga niż ja, kto z panem porozmawia. Ale nie wiem, kogo. Z tamtych czasów nikt już nie został.

– Ma pani nazwisko, a może adres człowieka, któremu płaci pani czynsz?

Charlene wyglądała na zaskoczoną, ale skinęła głową.

– Jasne. Wysłałam czek prawnikowi w śródmieściu, a ona przesyła go do banku. Jak mam pieniądze. – Podniosła z podłogi kawałek kredki świecowej i zapisała nazwisko i adres na kopercie z wypożyczalni mebli, na której widniała czerwona pieczęć DRUGIE PONAGLENIE.

– Mam nadzieję, że to panu jakoś pomoże.

Ricky wyjął z portfela jeszcze dwie dwudziestodolarówki i dał je kobiecie. Podziękowała skinieniem głowy. Starks zawahał się, po czym dał jej jeszcze jeden.

– To dla dziecka – powiedział.

– To miło z pana strony.

Wychodząc na ulicę, osłonił oczy przed słońcem. Upał jeszcze się wzmógł, a Ricky'emu przypomniały się gorące dni w Nowym Jorku, przed którymi chronił się w chłodniejszym klimacie Cape. Spojrzał na zaparkowany przy krawężniku samochód i spróbował wyobrazić sobie starego człowieka, siedzącego na ulicy wśród swojego skromnego dobytku. Pozbawionego przyjaciół, wyrzuconego z domu, w którym przez wiele lat żył niełatwym, ale własnym życiem. Wyrzuconego szybko i bez zbędnych ceregieli. Pozostawionego na łaskę starości, choroby i samotności. Ricky wepchnął do kieszeni kopertę z nazwiskiem i adresem prawnika. Wiedział, kto go eksmitował. Zastanawiał się tylko, czy starzec siedzący w upale i rozpachy zdawał sobie sprawę z tego, że człowiek, który go wyrzucił na ulicę, był dzieckiem jego córki.

Niecałe siedem przecznic od domu, z którego uciekła Claire Tyson, znajdowała się duża szkoła. Ricky zatrzymał się na parkingu i popatrzył na budynek, zastanawiając się, jak którekolwiek dziecko miało znaleźć w jego ścianach indywidualność, nie wspominając już o edukacji. Był to olbrzymi betonowy moloch w kolorze piasku, ze schowanym za trzymetrowym ogrodzeniem boiskiem do futbolu i bieżnią. Ricky pomyślał, że projektant narysował duży prostokąt, dorysował do niego drugi, jak daszek w literze T i na tym poprzestał, uważając dzieło za ukończone. Różnokolorowe cegły tworzyły na ścianie rysunek hełmu starożytnego Greka, obok zaś widniał nieco spłowiały czerwony napis DOM SPARTAN Z SOUTH SIDE! Cały kompleks piekł się w świecącym na bezchmurnym niebie słońcu niczym ciasto na blasze.

Tuż przy głównym wejściu znajdowała się budka strażnika. Ochroniarz w niebieskiej koszuli i czarnych spodniach, co nadawało mu wygląd policjanta, obsługiwał wykrywacz metalu.

Pokazał Ricky'emu drogę do biur administracji, a potem kazał mu przejść między dwoma słupkami maszyny.

Buty Starksa cmokały o wypolerowane linoleum szkolnego korytarza.

Trwały lekcje, więc szedł między szarymi szafkami sam, z rzadka jedynie mijał go w pośpiechu jakiś uczeń.

Za drzwiami z napisem ADMINISTRACJA zobaczył sekretarkę za biurkiem.

Kiedy wyjaśnił jej, po co przyszedł, zaprowadziła go do gabinetu dyrektorki. Zaczekał, aż skończy krótką rozmowę i pojawi się w drzwiach, by go wpuścić. Wszedł do środka i ujrzał kobietę w średnim wieku, ubraną w zapiętą pod szyję białą bluzkę. Oderwała wzrok od ekranu komputera i znad okularów obdarzyła go prawie ganiącym szkolnym spojrzeniem.

Sprawiła wrażenie niezbyt zadowolonej z jego wizyty. Gestem wskazała mu krzesło, a sama zajęła miejsc za biurkiem zawalonym papierami.

– Jak konkretnie mogę panu pomóc? – spytała szorstko.

– Szukam informacji – powiedział. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś o dziewczynie, która chodziła do tej szkoły pod koniec lat sześćdziesiątych. Nazywała się Claire Tyson... – Szkolne akta są poufne – przerwała mu kobieta. – Ale pamiętam ją.

– Długo już tu pani pracuje... – Całe życie. Ale nie wiem, czy mogę dla pana zrobić coś więcej, niż tylko pokazać księgę pamiątkową rocznika sześćdziesiątego siódmego.

Jak już powiedziałam, akta są zastrzeżone.

– Nie muszę do nich zaglądać – rzekł Ricky, wyjmując z kieszeni sfałszowane zaświadczenie z centrum onkologii i podając je kobiecie. – Tak naprawdę szukam kogoś, kto wiedziałby coś o jej krewnych... Dyrektorka szybko przeczytała pismo. Jej twarz złagodniała.

– Och, tak mi przykro – powiedziała przepraszająco. – Nie zdawałam sobie sprawy... – Nic się nie stało – uspokoił ją Ricky. – Szukam trochę po omacku.

Ale z drugiej strony, kiedy ma się chorą siostrzenicę, człowiek chwyta się każdej szansy.

– Oczywiście. Oczywiście, że tak. Ale nie sądzę, żeby w okolicy mieszkali jeszcze jacyś Tysonowie spokrewnieni z Claire. Przynajmniej nikogo takiego sobie nie przypominam, a pamiętam prawie każdego, kto przeszedł przez te drzwi.

– Jestem zaskoczony, że pamięta pani Claire... – powiedział Ricky.

– Robiła wrażenie. Na wiele sposobów. Byłam wtedy jej opiekunką.

Zaszłam trochę wyżej.

– Najwyraźniej. Ale pani pamięć, zwłaszcza po tylu latach... Kobieta machnęła lekko ręką, jakby chcąc uciąć jego pytanie. Wstała, podeszła do stojącej pod ścianą biblioteczki i wyjęła oprawioną w sztuczną skórę księgę pamiątkową rocznika sześćdziesiąt siedem. Podała ją Ricky'emu.

Księga niczym szczególnym się nie wyróżniała. Na kolejnych stronach przyklejano zdjęcia

uczniów w różnych sytuacjach, okraszone nieco zbyt entuzjastycznymi komentarzami. Większą część książki zajmowały pozowane fotografie młodych ludzi, próbujących wyglądać na starszych i poważniejszych niż byli w rzeczywistości. Ricky przerzucił kilka stron, aż trafił na Claire Tyson. Skojarzenie kobiety, którą widział dziesięć lat później, ze świeżą, ładnie ubraną dziewczyną na zdjęciu przyszło mu z pewnym trudem. Miała długie włosy, spływające falą na ramiona. Uśmiechała się lekko, trochę mniej sztucznie niż jej koledzy i koleżanki z klasy, tak jak uśmiecha się ktoś, kto zna jakiś szczególny sekret. Obok fotografii wypisano jej fakultety – francuski, fizyka i chemia, zajęcia z życia w rodzinie, kółko teatralne – oraz sporty, jakie uprawiała: softball i siatkówkę. Osiągnięcia to osiem kolejnych semestrów ukończonych z wyróżnieniem i stypendium za dobre wyniki w nauce.

Dla żartu obok zdjęcia umieszczono dewizę Claire, która według Ricky’ego brzmiała nieco złowieszczo: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe, bo może ci oddać...”, przepowiednię: „Chcę żyć szybko” oraz spojrzenie w kryształową kulę: „Za dziesięć lat będzie na Broadwayu albo pod nim...” Dyrektorka zaglądała mu przez ramię.

– Nie miała szans – powiedziała.

– Przepraszam?

– Była jedynym dzieckiem... hmm... trudnej rodziny. Żyła na skraju nędzy. Jej ojciec był tyranem. Może nawet czymś gorszym... – To znaczy... – Wykazywała większość klasycznych oznak molestowania seksualnego.

Często z nią rozmawiałam, kiedy miała napady depresji. Płakała, wpadała w histerię, a potem nagle uspokajała się, zamykała w sobie, była nieobecna. Wezwałabym policję, gdybym miała jakikolwiek konkretny dowód, ale Claire nigdy nie przyznała się do niczego, co pozwoliłoby mi to zrobić. Na moim stanowisku trzeba zachowywać ostrożność. A wtedy nie wiedzieliśmy o tych sprawach tyle, co teraz.

– Oczywiście.

– No i byłam pewna, że ucieknie przy pierwszej okazji. Ten chłopak... – Jej chłopak?

– Tak. Myślę, że była w ciąży, i to całkiem zaawansowanej, kiedy skończyła wiosną szkołę.

– Jak się nazywał? Zastanawiam się, czy jakieś dziecko wciąż mogłoby być... To by było bardzo ważne, rozumie pani, geny i te sprawy, nie rozumiem do końca wszystkiego, co mówili mi lekarze, ale... – Urodziło im się dziecko. Ale nie wiem, co się stało. Nie zapuścili tutaj korzeni, to na pewno. Chłopak chciał wstąpić do marynarki, chociaż nie wiem, czy to zrobił, a ona dostała się do miejscowego college’u. Nie wydaje mi się, żeby się pobrali. Spotkałam ją raz na ulicy. Przystanąła, żeby się przywitać, ale nic więcej. Zachowywała się tak, jakby nie mogła o niczym mówić. Claire wciąż się czegoś wstydziła. Problem tkwił w tym, że była bystra. Wspaniała na scenie. Mogła zagrać każdą rolę, od Szekspira po musical, i zrobić to doskonale. Miała talent aktorski. Nie radziła sobie tylko z rzeczywistością.

– Rozumiem... – Była jedną z tych osób, którym człowiek chciałby pomóc, ale nie może. Ciągłe szukała kogoś, kto mógłby się nią zaopiekować, ale zawsze trafiała na nieodpowiednich ludzi. Bez pudła.

– Ten chłopak?

– Daniel Collins? – Dyrektorka wzięła księgę, przewróciła kilka kartek i oddała ją Ricky’emu. – Przystojny, prawda? Kobieciarz. Grał w futbol i bejsbol, ale nigdy jako gwiazda drużyny. Był dość inteligentny, ale nie udzielał się na lekcjach. Wie pan, taki dzieciak, który zawsze wie, gdzie jest jakaś impreza, gdzie kupić gorzałę, trawkę czy cokolwiek innego, i nigdy nie daje się na tym przyłapać. Jeden z tych, co prześlizgują się przez życie. Miał na skinienie wszystkie dziewczyny, a zwłaszcza Claire.

To był jeden z tych związków, których nie da się przerwać, chociaż się wie, że nie wyniknie z tego nic dobrego.

– Nie lubiła go pani?

– A co w nim można było lubić? Był trochę jak drapieżnik. Właściwie bardziej niż trochę. A na pewno nie interesowało go nic oprócz niego samego i tego, co mu sprawiało przyjemność.

– Zna pani adres jego rodziny?

Dyrektorka podeszła do komputera i wstukała nazwisko. Potem wzięła ołówek i przepisała adres na kawałek papieru, który podała Ricky’emu.

– Więc sądzi pani, że ją zostawił... – Oczywiście. Po tym, jak ją wykorzystał. W tym był dobry: w wykorzystywaniu ludzi i odrzucaniu ich. Nie wiem, ile to trwało, rok czy dziesięć lat. Wie pan, w mojej pracy człowiek szybko uczy się przewidywać, co się stanie z tymi dzieciakami. Niektóre potrafią zaskakiwać, w jedną albo drugą stronę, ale nie ma ich wiele. – Wskazała na przepowiednię z księgi. Na Broadwayu albo pod nim. Ricky wiedział, która możliwość stała się faktem. – Dzieciaki zawsze żartują, zgadują przyszłość. Ale życie rzadko kiedy bywa tak zabawne, prawda?

Przed udaniem się do domu starców Ricky zatrzymał się w motelu i przebrał w czarny garnitur. Zabrał też ze sobą to, co pożyczył z magazynu kostiumów. Założył ów przedmiot na szyję i krytycznie obejrzał się w lustrze.

Szpital wyglądał tak samo bezdusznie jak szkoła. Był piętrowym budynkiem z białej lśniącej w słońcu cegły, stojącym na kawałku wolnej przestrzeni między co najmniej sześcioma różnymi kościołami – zielonoświątkowców, baptystów, katolickim, kongregacjonistów, unitariańskim i afrykańskich metodystów. Na trawniku przed każdym z nich stała tablica, głosząca nieskrepowany zachwyty rychłym nadejściem Jezusa, a przynajmniej obiecująca pociechę słowami Biblii, powtarzanymi żarliwie podczas codziennych mszy i dwa razy w niedzielę. Ricky’ego, który podczas swojej praktyki zdążył nabrać lekceważącego stosunku do religii, bardziej bawiło zestawienie szpitala i kościołów: brutalna rzeczywistość porzuconych uosabiana

przez lecznicę równoważyła nieskrępowany optymizm świątyń. Ricky zastanawiał się, czy Claire Tyson chodziła regularnie na msze. Problem w tym, że niedzielne kazania nie powstrzymują ludzi od bicia żon i od molestowania dzieci w pozostałe dni tygodnia.

Przed szpitalem stały dwa maszty, z których zwisały flagi Stanów Zjednoczonych i stanu Floryda. Przed wejściem rośło parę dość przypadkowo posadzonych krzewów. Na bocznym tarasie siedziało kilku pozostawionych bez opieki starców na wózkach, w zmiętych szpitalnych ubraniach.

Nie stanowili grupy ani nawet par; każdy z nich wydawał się przebywać we własnym świecie, określanym przez wiek i chorobę, na którą cierpiał. Ricky wszedł do środka. Wewnątrz panował mrok, kojarzący się z rozdziawionymi ustami. Starks zadrzał. Szpitale, do których woził żonę, były jasne, nowoczesne, zaprojektowane tak, by uwidaczniać wszystkie najnowsze osiągnięcia medycyny. Wydawały się tryskać energią i wolą przeżycia. Albo, jak w jej przypadku, potrzebą walki z nieuniknionym, wykradnięcia chorobie jeszcze kilku dni. Ten szpital był dokładnym przeciwieństwem tamtych. Znajdował się na samym dole medycznej skali, gdzie plany terapii są tak samo nijakie i bezproduktywne jak codzienny jadłospis, a śmierć tak zwykła i prosta jak biały ryż. To smutne miejsce, pomyślał, do którego starzy ludzie trafiają, po to tylko by umrzeć.

Zobaczył siedzącą za biurkiem recepcjonistkę i podszedł do niej.

– Dzień dobry, ojciec – powiedziała pogodnie. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, moje dziecko – odparł Ricky, dotykając koloratki, którą pożyczył z uniwersyteckiego magazynu kostiumów. – Trochę dziś za gorąco na noszenie wybranego stroju Pana – zażartował. – Czasami zastanawiam się, dlaczego nie wybrał na przykład tych kolorowych hawajskich koszul. W taką pogodę byłyby znacznie wygodniejsze.

Recepcjonistka roześmiała się głośno.

– Ciekawe, o co Mu chodziło? – powiedziała, podchwytyjąc dowcip.

– Przyjechałem zobaczyć się z człowiekiem, który jest waszym pacjentem.

Nazwisko Tyson.

– Jest ojciec jego krewnym?

– Nie, niestety nie, moje dziecko. Jego córka poprosiła, żebym zobaczył się z nim, kiedy przyjadę tu załatwiać sprawy Kościoła.

Odpowiedź przekonała kobietę. Nie sądził, by ktokolwiek w tej części Florydy odmówił pomocy duchownemu. Recepcjonistka sprawdziła coś w komputerze. Skrzywiła się lekko, kiedy na ekranie wyświetliło się właściwe nazwisko.

– Dziwna sprawa – powiedziała. – W aktach zapisano, że nie ma żadnych żyjących krewnych. Żadnej rodziny. Jest ksiądz pewien, że to jego córka?

– Nie kontaktowali się od dawna, ponieważ kiedyś odwróciła się od niego. Teraz, być może

z moją pomocą i błogosławieństwem Pana, dostanie szansę na pojednanie... – To byłoby wspaniale, ojcze. Mam nadzieję, że tak będzie. Mimo to, powinna być wymieniona w spisie krewnych.

– Przekażę jej to – powiedział Starks.

– Ojciec pewnie jej potrzebuje... – Bądź błogosławiona, moje dziecko. – Ricky’emu zaczynała podobać się hipokryzja tych słów i wymyślonej opowieści. Czuł się jak artysta na scenie. Lekko spięty, chwilami czujący zwątpienie, ale czerpiący energię z publiczności. Po tylu latach spędzonych w milczeniu, Ricky miał ochotę na trochę kłamstw.

– Wygląda na to, że na pojednanie nie zostało zbyt dużo czasu, ojcze.

Obawiam się, że pan Tyson znajduje się w hospicjum – powiedziała kobieta.

– Przykro mi, ojcze.

– On... – Umiera.

– W takim razie być może zjawiłem się w samą porę. Może udzielę mu pociechy w ostatnich chwilach...

Recepcjonistka wskazała plan szpitala.

– Musi ojciec pójść tędy. Dyżurna pielęgniarka pokaże ojcu drogę.

Ricky kroczył labiryntem korytarzy, zstępując coraz głębiej w otchłanie chłodu i nijakości. Wszystko dookoła wyglądało na postrzępione i zużyte. Przyszła mu na myśl różnica między szykownymi drogimi sklepami odzieżowymi na Manhattanie, które odwiedzał jako psychoanalityk, a używanymi ubraniami z Armii Zbawienia, które poznał, pracując w New Hampshire jako dozorca. W tym szpitalu nic nie było nowe ani nowoczesne, nic pewnie nie działało tak, jak powinno. Nawet biała farba na ścianach z pustaków była poźółkła i wyblakła. To dziwne uczucie, pomyślał, iść korytarzem w miejscu, które powinno być poświęcone czystości i nauce, i mieć wrażenie, że będzie się musiało potem wziąć prysznic.

Druga liga medycyny. Minął oddział kardiologiczny, schorzeń płuc i zamknięte drzwi, opisane jako oddział psychiatryczny. Im dalej szedł, tym szpital wydawał się bardziej zapuszczony i brudny, aż Ricky doszedł do ostatniego etapu – podwójnych drzwi z napisem HOSPICJUM. Ten, kto go wykonywał, zrobił to nierówno i litery na obu połówkach drzwi nie układały się w linię.

Koloratka i strój duchownego spełniły swoje zadanie bez zarzutu.

Nikt nie pytał go o dowód tożsamości, nikt go o nic nie podejrzewał. Po wejściu na oddział dostrzegł biurko dyżurnej pielęgniarki. Gruba czarnoskóra kobieta spojrzała na niego i powiedziała:

– O, ojciec. Zadzwonili do mnie i powiedzieli, że ojciec tu idzie. Pan Tyson leży w pokoju numer 300, pierwsze łóżko przy drzwiach... – Dziękuję – powiedział Ricky. – Gdyby mi pani jeszcze powiedziała, na co cierpi... Pielęgniarka posłusznie podała mu kartę choroby. Rak płuc.

Tysonowi zostało mało czasu, za to przepełnionego bólem. Rick nie czuł współczucia.

Pod przykrywką czynienia dobra, pomyślał, szpitale degradują ludzi.

Na pewno było to prawdą w przypadku Calvina Tysona, podłączonego do kilku różnych urządzeń, ułożonego niewygodnie na łóżku i wpatrującego się w stary telewizor, zawieszony pomiędzy nim a jego sąsiadem.

Oglądał akurat jakąś operę mydlaną, ale ktoś wyłączył fonię. Obraz też był trochę niewyraźny.

Tyson był tak wychudzony, że przypominał szkielet. Co chwila przykładał do twarzy wiszącą na szyi maskę tlenową. Jego nos miał niebieski odcień, świadczący o odmie, a chude nagie nogi wyglądały jak patyki strącone na drogę przez burzę. Mężczyzna w łóżku obok wyglądał podobnie; obaj dyszeli ciężko w agonalnym duecie. Kiedy Ricky wszedł, Tyson spojrzał na niego, obracając głowę.

– Nie chcę rozmawiać z żadnym księdzem – wycharczał.

Ricky uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Ale ten ksiądz chce porozmawiać z tobą.

– Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju.

– Wszystko wskazuje na to – powiedział szorstko Starks – że już niedługo będziesz miał spokój na wieki.

Tyson próbował potrząsnąć głową.

– Nie potrzeba mi kazań, już nie.

– Nie zamierzam ich wygłaszać – odparł Ricky. – A przynajmniej nie takich, jakie masz na myśli.

Zamilkł na chwilę i sprawdził, czy dobrze zamknął za sobą drzwi.

Zauważył wiszące w rogach łóżek słuchawki do słuchania telewizji. Obszedł łóżko z drugiej strony i spojrzał na sąsiada Tysona. Starzec wyglądał na równie ciężko chorego, ale popatrzył na Ricky'ego z wyczekiwaniem.

Starks wskazał słuchawki przy jego łóżku.

– Mógłby pan to założyć, żeby móc porozmawiać z pana sąsiadem?

– zapytał tak, by zabrzmiało to jak żądanie. Starzec wzruszył ramionami i nie bez wysiłku założył słuchawki.

– Świetnie – powiedział Ricky i odwrócił się do Tysona. – Wiesz, kto mnie przysłał? – spytał.

– Nie mam pojęcia – zaskrzeczał mężczyzna. – Nikomu już na mnie nie zależy.

– I tu się mylisz – stwierdził Starks. – Śmiertelnie się mylisz.

Podszedł do łóżka, nachylił nad umierającym i wyszeptał zimno:

– A teraz powiedz mi prawdę, starcze: ile razy zerżnąłeś swoją córkę, zanim uciekła od

ciebie na dobre?

Rozdział 26

Zaskoczony starzec otworzył szeroko oczy i poruszył się na łóżku. Podniósł kościstą dłoń i machnął nią, jakby chciał odepchnąć pytanie.

Zakaszłał, zacharczał i przełknął z trudem.

– Co z ciebie za ksiądz? – spytał.

– Ksiądz pamięci – odparł Ricky.

– Co to ma znaczyć? – W słowach starca słychać było panikę. Rozglądał się gorączkowo po pokoju, jakby szukając kogoś, kto mógłby mu pomóc.

Ricky milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Patrzył na wiercącego się w łóżku przerażonego Calvina Tysona. Podejrzewał, że mężczyzna spędził wiele lat, samotnie dźwigając brzemień wiedzy o tym, co zrobił, a nawet jeśli szkoła, sąsiedzi i jego własna żona o coś go podejrzewali, prawdopodobnie wmówił sobie, że to sekret, który dzieli jedynie z nieżyjącą córką.

Ricky wiedział, że ze swoim pytaniem musiał być dla niego niczym głos zza grobu. Zobaczył, że starzec sięga po wiszący nad głową przycisk na kablu. Wiedział, że to guzik wzywający pielęgniarzkę. Nachylił się nad Tysonem i wyrwał mu go z ręki.

– Nie będzie nam to potrzebne – powiedział. – To ma być rozmowa w cztery oczy.

Ręka starego opadła na łóżko. Tyson chwycił maskę i zaczął łapczywie wdychać tlen. Jego oczy wciąż były okrągłe ze strachu. Staromodna zielona maska zakrywała nieprzezroczystym plastikiem nos i usta. W nowocześniejszej placówce Tyson dostałby mniejsze urządzenie, mocowane pod nosem, ale ten szpital był miejscem, do którego przysyłano stary sprzęt, nienadający się jeszcze na złom.

– Kim jesteś? – spytał przerażony Tyson.

Mówił z silnym południowym akcentem. Ricky pomyślał, że w widniejącym w oczach mężczyzny strachu jest coś dzieciennego.

– Człowiekiem, który ma kilka pytań – odparł. – Szukającym odpowiedzi.

Możemy to załatwić łagodnie albo ostro, to zależy od ciebie, starcze.

Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że groźenie niedołącznemu staremu człowiekowi, który molestował swoją jedyną córkę i odwrócił się od jej osieroconych dzieci, przychodziło mu bez trudu.

– Nie jesteś księdzem – powiedział Tyson. – Nie służysz Bogu.

– Jesteś w błędzie – odparł Ricky. – A biorąc pod uwagę, że niedługo przed Nim staniesz, może powinienes wykazać trochę więcej wiary. Twoja córka... – Ricky nie zdołał dokończyć.

– Moja córka nie żyje. Była zła. Od początku.

– Nie sądzisz, że miałeś z tym coś wspólnego?

Calvin Tyson potrząsnął głową.

– Nic nie wiesz. Nikt nie wie. Cokolwiek się stało, to już historia.

Zamierzcha historia.

Ricky spojrział starcowi w oczy. Zobaczył, że jego wzrok twardnieje niczym beton na słońcu. Szybko ocenił go z psychologicznego punktu widzenia; Tyson był zatwardziałym pedofilem. Nieżałującym niczego i niezdolnym do zrozumienia, jakie zło wyzwolił w swoim dziecku. Teraz leżał na łożu śmierci i prawdopodobnie bardziej obawiał się tego, co go czekało, niż swojej przeszłości. Ricky pomyślał, że spróbuje go podejść z tej strony i zobaczy, dokąd go to zaprowadzi.

– Mogę ci wybaczyć... – zaczął.

Starzec parsknął.

– Żaden ksiądz nie ma takiej mocy. Zaryzykuje.

Ricky zawahał się.

– Twoja córka, Claire, miała troje dzieci... – Była kurwą, uciekła ode mnie z tym chłopakiem, a potem do Nowego Jorku. To ją zabiło. Nie ja.

– Kiedy umarła – ciągnął Ricky – ktoś się z tobą skontaktował. Byłeś jej najbliższym żyjącym krewnym. Ktoś z Nowego Jorku zadzwonił do ciebie, żeby się dowiedzieć, czy zaopiekujesz się dziećmi... – Co miałem zrobić z tymi bękartami? Nie wyszła za mąż. Nie chciałem ich.

Ricky popatrzył na Calvina Tysona i pomyślał, że musiała to być dla niego trudna decyzja. Z jednej strony nie chciał brać na swoje barki utrzymania trójki dzieci, ale z drugiej miałby nowe źródło zaspokajania swoich perwersyjnych zachcianek. Musiała to być dla niego ogromna, niemal przytłaczająca pokusa. Pedofil ogarnięty żądzą jest niemal nie do powstrzymania. Co sprawiło, że odrzucił to nowe źródło przyjemności?

Ricky popatrzył na starca i nagle zrozumiał. Calvin Tyson miał inne sposoby.

Dzieci sąsiadów? Mieszkające na tej samej ulicy, może za rogiem?

Plac zabaw? Czuł, że odpowiedź jest blisko.

– Więc podpisałeś odpowiednie papiery i oddałeś je do adopcji, tak?

– Tak. Dlaczego ojciec chce to wiedzieć?

– Bo muszę je odnaleźć.

– Po co?

Ricky rozejrzał się i gestem wskazał szpitalny pokój.

– Wiesz, kto zajął twój dom i wyrzucił cię z niego tak skutecznie, że trafiłeś tu, by samotnie umrzeć?

Tyson pokręcił głową.

– Ktoś wykupił weksle na dom z banku. Nie dali mi szansy, chociaż zalegałem tylko miesiąc. Bum! I już mnie nie było.

– Co się działo z tobą potem?

Oczy starca nagle wypełniły się łzami. Żałosne, pomyślał Ricky.

Calvin Tyson zasługiwał na coś gorszego.

– Trafiłem na ulicę. Rozchorowałem się. Pobili mnie. A teraz umieram, tak jak ksiądz powiedział.

– Człowiek, przez którego leżysz samotny w tym łóżku, to dziecko twojej córki.

Calvin Tyson wytrzeszczył oczy i pokręcił głową.

– Jak to?

– Wykupił weksel. Wyeksmitował cię. Prawdopodobnie kazał cię pobić. Zostałeś zgwałcony?

Tyson potrząsnął głową. O tym widocznie Rumpelstiltskin nie wiedział. Claire Tyson utrzymywała to w tajemnicy. Szczęśliwie dla starca, jej syn nigdy nie wpadł na to, żeby porozmawiać z sąsiadami albo kimś ze szkoły.

– On mi to wszystko zrobił? Dlaczego?

– Bo odwróciłeś się od niego i jego matki. Więc odpłacił ci tym samym.

Starzec załkał.

– Wszystkie te nieszczęścia... – ...spowodował jeden człowiek – dokończył Ricky. – Właśnie jego próbuję znaleźć. Więc pytam jeszcze raz: podpisałeś papiery i oddałeś dzieci do adopcji, tak?

Tyson pokiwał głową.

– Dostałeś jakieś pieniądze?

Starzec znów pokiwał twierdząco.

– Kilka tysięcy.

– Jak nazywali się ludzie, którzy adoptowali dzieci?

– Mam papier.

– Gdzie?

– W pudełku, w moich rzeczach. – Tyson pokazał odrapaną, szarą, metalową szafkę.

Ricky otworzył ją i zobaczył wiszące na wieszakach dzianinowe ubrania.

Na podłodze stała tania, zamykana na kluczyk kasetka z wyłamanym zamkiem. Starks otworzył ją, przejrzał pospiesznie stare dokumenty i znalazł plik ściśniętych gumką papierów. Dostrzegł na nich nowojorską pieczętkę. Włożył dokumenty do kieszeni marynarki.

– Nie będziesz ich już potrzebował – oznajmił.

Spojrzał na mężczyznę leżącego w brudnej poszarzałej pościeli. Piżama ledwie okrywała jego nagość. Pobladły Tyson oddychał tlenem z maski.

– Wiesz co, starcze? – powiedział Ricky, zaskoczony własnym okrucieństwem.

– Możesz zająć się już swoim zdychaniem. Myślę, że powinieneś załatwić to jak najszybciej,

bo mam wrażenie, że czeka cię jeszcze sporo cierpienia. Całkiem sporo. Sto razy tyle, ile wyrządziłeś przez całe swoje życie. Więc lepiej po prostu zdechnij.

– Co ksiądz chce zrobić? – spytał Tyson. Mówił przerażonym szeptem, przerywanym sapnięciami i dyszeniem, zduszonym przez chorobę wyzerającą mu płuca.

– Odnaleźć te dzieci.

– Ale dlaczego?

– Bo jedno z nich zabiło również mnie – odparł Ricky i wyszedł.

Zbliżała się pora obiadowa, kiedy Ricky zapukał do drzwi niewielkiego domku, stojącego przy cichej, ocienionej palmami ulicy. Wciąż miał na sobie strój duchownego, co dodawało mu pewności siebie, zupełnie jakby koloratka zapewniała niewidzialność i chroniła przed wszystkimi, którzy mogli zadawać pytania. Czekał, słysząc ze środka szuranie stóp. W końcu drzwi się uchyliły i wyjrzała zza nich starsza kobieta. Kiedy zobaczyła koloratkę, otworzyła je szerzej, ale nie odsunęła moskitiery.

– Tak? – spytała.

– Dzień dobry – powiedział wesoło Ricky. – Zastanawiam się, czy będzie mi pani mogła pomóc. Muszę ustalić miejsce pobytu młodego człowieka nazwiskiem Daniel Collins... Kobieta odetchnęła gwałtownie i zakryła usta dłonią, by ukryć zaskoczenie.

Ricky w milczeniu przyglądał się, jak próbuje odzyskać panowanie nad sobą. Próbował czytać w jej twarzy, początkowo wyrażającej szok, a potem stopniowo zastygającej w masce surowości, której chłód zdawał się przenikać przez siatkowe drzwi. Kiedy kobieta w końcu się odezwała, jej słowa brzmiały jak wykute z lodu.

– Dla nas jest już stracony – powiedziała. W kącikach oczu pojawiły się powstrzymywane łzy, przeczące żelaznemu tonowi głosu.

– Przepraszam. – Ricky wciąż zachowywał się swobodnie, starając się ukryć ciekawość. – Nie rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc „stracony”?

Kobieta potrząsnęła głową, nie odpowiadając wprost. Przyjrzała się ubiorowi Ricky’ego.

– Ojczy, dlaczego szuka ojciec mojego syna?

Ricky wyjął fałszywe zaświadczenie z centrum onkologii, domyślając się, że starsza pani nie przeczyta go na tyle dokładnie, by nabrać podejrzeń.

Kiedy spojrzała na pismo, zaczął mówić, zakładając, że nie będzie w stanie skoncentrować się na tym, co czyta, i jednocześnie go słuchać.

Odwrócenie jej uwagi nie wydawało się trudne.

– Widzi pani, pani... Collins, tak? Nasza parafia próbuje skontaktować się z kimkolwiek, kto mógłby zostać dawcą szpiku dla tej młodej osoby, pani dalekiej krewnej. Rozumie pani problem? Poprosiłbym panią o przeprowadzenie badań krwi, ale podejrzewam, że w pani wieku nie można zostać dawcą. Skończyła pani sześćdziesiąt lat, prawda?

Ricky nie miał pojęcia, czy wiek ma jakiegokolwiek znaczenie przy pobieraniu szpiku kostnego, wymyślił więc pytanie, na które odpowiedź była oczywista. Kobieta oderwała wzrok od dokumentu, żeby odpowiedzieć, a Ricky wyjął go z jej rąk, zanim zdążyła zorientować się dokładnie, o co chodzi.

– Jest tam sporo terminologii medycznej. Wyjaśnię pani wszystko, jeśli pani chce. Moglibyśmy gdzieś usiąść?

Kobieta z wahaniem skinęła głową i otworzyła drzwi. Ricky wszedł do domu, robiącego wrażenie tak samo kruchej jak mieszkająca w nim starsza pani. Wszędzie stały małe figurki z chińskiej porcelany, wazy i inne drobiazgi. W powietrzu unosił się zapach starości, walczący o lepsze z zapachem stęchlizny sączącym się z klimatyzatora, pracującego z odgłosem, który sugerował, że w środku obluźowała się jakaś część. Dywany przykryte były folią, kanapa również. Ricky miał wrażenie, że wszystko w tym domu miało swoje ustalone miejsce, a jego właścicielka posiadała moc wyczuwania przedmiotów, które przesunęły się choćby o ułamek centymetra.

Kanapa zaskrzypiała, kiedy na niej usiadł.

– Czy pani syn jest uchwytny? Rozumie pani, może się nadawać... – zaczął Ricky.

– On nie żyje – powiedziała zimno kobieta.

– Nie żyje? Jak to?

Pani Collins potrząsnęła głową.

– Jest martwy dla nas wszystkich. Dla mnie. Martwy i nic nie wart.

Przynosił samo cierpienie, ojczu. Przykro mi.

– Jak... Pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Ale myślę, że już niedługo.

Ricky opadł na oparcie. Kanapa stęknęła.

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem – powiedział.

Kobieta wyjęła z dolnej półki niskiego stolika album z wycinkami.

Otworzyła go i przerzuciła kilka stron. Ricky dostrzegł artykuły z działu sportowego i przypomniał sobie, że Daniel Collins był w liceum sportowcem.

Zobaczył zdjęcie z uroczystości na zakończenie szkoły i pustą stronę. Kobieta podała mu album.

– Niech ojciec przewróci kartkę – powiedziała gorzko.

Na środku strony widniał artykuł wycięty z „Tampa Tribune”. Tytuł głosił: **ŚMIERTELNA OFIARA BÓJKI W BARZE. SPRAWCA ARESZTOWANY.**

Szczegółów było niewiele: Daniel Collins został aresztowany nieco ponad rok temu i oskarżony o morderstwo. Na stronie obok widniał kolejny nagłówek: **OSKARŻYCIEL ŻĄDA KARY ŚMIERCY ZA MORDERSTWO W BARZE.** Ten artykuł, przyklejony na samym środku

kartki, zawierał fotografię, przedstawiającą podstarzałego Daniela Collinsa, wprowadzanego w kajdankach na salę rozpraw. Ricky szybko go przeczytał. Fakty były jasne. Dwóch pijanych mężczyzn wdało się w bójkę. Jeden z nich wyszedł na zewnątrz i czekał tam na drugiego.

Według oskarżenia, z nożem w ręku. Mordercę, Daniela Collinsa, aresztowano na miejscu przestępstwa, pijanego do nieprzytomności i z zakrwawionym nożem w dłoni. Stał kilka metrów od leżącej na ziemi ofiary.

Wszystko wskazywało na to, że Collins zabił mężczyznę, zabrał jego pieniądze, wypił kolejną butelkę taniego alkoholu i stracił przytomność, zanim zdołał uciec.

Ricky przeczytał skrótowe sprawozdania z rozprawy i ogłoszenia wyroku. Collins twierdził, że nie pamięta morderstwa, ponieważ był zbyt pijany. To wyjaśnienie nie zrobiło wrażenia na przysięgłych. Zastanawiali się zaledwie dziewięćdziesiąt minut. Zarekomendowali sądowi wyrok śmierci, uzasadniając go tym samym, czym Collins próbował się usprawiedliwić. Wyrok zapadł szybko, bez niepotrzebnego szumu.

– Mój kochany chłopczyk – westchnęła kobieta, kręcąc głową. – Najpierw zabrała mi go tamta dziwka, potem pijaństwo, a teraz wyrok śmierci.

– Ustalono już datę? – spytał Ricky.

– Nie. Jego prawnik powiedział, że złoży apelację. Będzie odwoływał się w jakichś sądach. Nie rozumiem tego za dobrze. Wiem tylko, że mój chłopiec mówi, że tego nie zrobił, ale to żadna różnica.

Spojrzała surowo na koloratkę Ricky'ego.

– W tym stanie wszyscy kochamy Jezusa, a większość ludzi chodzi w niedzielę do kościoła. Ale przykazanie „Nie zabijaj” nie dotyczy naszych sądów. Floryda, Georgia, Teksas to nie są dobre miejsca na popełnianie przestępstw, w których ktoś umiera, ojcze. Żałuję, że mój chłopiec o tym nie pomyślał, zanim wziął nóż i wdał się w tę bijatykę.

– Mówi, że jest niewinny?

– Tak. Mówi, że w ogóle nie pamięta bójki. Że obudził się cały we krwi, z nożem leżącym obok, kiedy policjanci zaczęli szturchać go pałkami.

Pewnie to, że się czegoś nie pamięta, to kiepska linia obrony.

Ricky przewrócił kartkę. Następna strona była pusta.

– Muszę zostawić jedną pustą – powiedziała kobieta. – Na ostatni artykuł. Mam nadzieję, że umrę, zanim to nastąpi, bo nie chcę tego oglądać. Wie ojciec co?

– Słucham?

– Zawsze mnie to złościło. Wie ojciec, kiedy zdobył przyłożenie w meczu z South Side High w mistrzostwach miasta, umieścili jego zdjęcie na pierwszej stronie. Ale te wszystkie artykuły w Tampie, gdzie mało kto słyszał o moim chłopcu, były krótkie, wciśnięte gdzieś w środek gazety, gdzie nikt niczego nie czyta. Dla mnie wygląda to tak, jakby odbierając komuś życie

z wyroku sądu, nie należało robić z tego wielkiej afery. A to powinno być na pierwszej stronie. Ale nie jest. Piszą o tym krótką notatkę i wciskają między informację o awarii kanalizacji a dział ogrodniczy.

Jakby życie było już nieważne.

Wstała, a Ricky razem z nią.

– Kiedy o tym mówię, boli mnie serce, ojciec. A żadne słowa nie dają mi pociechy, nawet Dobra Księga.

– Myślę, moje dziecko, że powinnaś otworzyć serce na dobro, które pamiętasz i w ten sposób doznać pocieszenia. – Ricky pomyślał, że usiłując naśladować sposób mówienia księdza, sprawił, że jego słowa zabrzmiały jak oklepana formułka, czyli tak jak chciał. Starsza pani wychowała niezłego sukinsyna, pomyślał. Chłopak zaczął swoją nędzną namiastkę życia od uwiedzenia koleżanki z klasy. Włóczył ją ze sobą przez kilka lat, a w końcu porzucił, kiedy razem z dziećmi stała się dla niego niewygodna.

Skończył, zabijając człowieka, prawdopodobnie bez żadnego powodu, jeśli nie liczyć wypicia za dużej ilości whisky. Jeżeli nieistotna, nic niewarta egzystencja Daniela Collinsa miała jakieś zalety, Ricky ich nie dostrzegał. Przepelniający go cynizm podsyciły słowa kobiety:

– Wszystko zaczęło się od tej dziewczyny. Kiedy po raz pierwszy zaszła w ciążę, mój chłopiec nie miał szans. Uwiodła go, użyła swojego kobiecego sprytu, usidliła, a potem wykorzystwała, żeby wyjechać daleko stąd.

Wszystkie kłopoty, jakie miał w życiu, wszystkie przeszkody to jej wina.

Ton głosu kobiety nie dopuszczał jakiegokolwiek dyskusji. Był zimny, ostry i wyrażał całkowite przekonanie, że jej kochany chłopiec nie miał nic wspólnego z kłopotami, w które wpadł. Ricky zdawał sobie sprawę, jak małe były szanse, że pani Collins dostrzeże swój udział w zgotowaniu takiego losu swojemu synowi. Tworzymy, pomyślał, a kiedy to, co stworzyliśmy, nie spełnia naszych nadziei, winimy za to innych, chociaż zazwyczaj winni jesteśmy my.

– Ale pani uważa, że jest niewinny? – spytał, choć znał odpowiedź.

– Oczywiście. Skoro tak powiedział, ja mu wierzę.

Sięgnęła do albumu i znalazła w nim wizytówkę adwokata, którą podała Ricky'emu. Widniał na niej adres obrońcy z urzędu z Tamy. Starks zapisał dane prawnika i pozwolił się odprowadzić do wyjścia.

– Wie pani, co się stało z trójką dzieci? Pani wnuków? – spytał, wskazując na fałszywe zaświadczenie.

Kobieta pokręciła głową.

– Trafiły do adopcji, tak słyszałam. Danny podpisał jakieś papiery, kiedy siedział w więzieniu w Teksasie. Złapali go przy jakimś włamaniu, ale ja w to nie wierzę. Odsiedział kilka lat. Od tamtej pory o nich nie słyszeliśmy. Pewnie są już dorosłe, ale nigdy ich nie

widziałam, ani razu, więc nawet o nich nie myślę. Danny dobrze zrobił, oddając je do adopcji po śmierci tamtej kobiety, bo nie dałby rady wychować trójki dzieci. A ja nie mogłam im pomóc; jestem tutaj sama, schorowana. Więc problemem zajął się ktoś inny, i to teraz jego dzieci. Jak mówiłam, nigdy już o nich nie słyszeliśmy.

Ricky wiedział, że ostatnie zdanie to kłamstwo.

– Poznała pani chociaż ich imiona? – spytał.

Kobieta pokręciła głową. Okrucieństwo tego gestu uderzyło Ricky'ego jak pięść; zrozumiał, gdzie młody Daniel Collins nauczył się egoizmu.

Ricky przystanął na chodniku i zastanowił się, czy zemsta Rumpelstiltskina sięgała aż tak daleko, by wysłać Daniela Collinsa do celi śmierci.

Podejrzewał, że tak. Nie wiedział tylko, jak to się stało.

Rozdział 27

Ricky wrócił do New Hampshire, do życia jako Richard Lively. Wszystko, czego dowiedział się podczas podróży na Florydę, bardzo go zmartwiło.

W krytycznych momentach życia Claire Tyson pojawiło się dwóch ludzi. Pierwszy zostawił ją i jej dzieci, a teraz siedział w celi śmierci, utrzymując, że jest niewinny, w stanie znanym z nieczułości na takie protesty.

Drugi odwrócił się od córki, którą wykorzystywał, i od wnuków, które potrzebowały pomocy. Po latach został wyrzucony na ulicę, a teraz czekał na zbliżający się koniec w ponurym szpitalu, który nie różnił się specjalnie od więzienia.

Ricky dodał to do równania układającego się w jego głowie: chłopak, który pobił Claire Tyson w Nowym Jorku, został pobity na śmierć, a ktoś wyciął mu na piersi krwawe R. Leniwy doktor Starks, który przez własne niezdecydowanie nie pomógł jej, kiedy przyszła błagać o pomoc, został zmuszony do samobójstwa.

Musieli być inni. Uzmysłowanie sobie tego zmroziło mu serce.

Rumplestiltskin zaplanował akty zemsty według prostej zasady: każdemu stosownie do tego, kim był. Osądowi poddane zostały zbrodnie zaniechania, a wiele lat później wykonano wyroki. Chłopak, pospolity opryszek i kryminalista, został potraktowany w sposób, w jaki zwykle traktuje się takich ludzi. Dziadka, który odmówił wsparcia swoim wnukom, ukarano inaczej. Była to unikalna metoda czynienia zła. Gra Ricky'ego została stworzona z myślą o jego osobowości i wykształceniu.

Z innymi policzono się brutalnie, ponieważ w ich świecie brutalność była w cenie. Jeszcze jedna sprawa wydawała się jasna: wyobraźnia Rumplestiltskina nie znała ograniczeń.

Końcowy efekt jednak był za każdym razem taki sam: śmierć lub ruina. Każdy, kto stanął na drodze, jak nieszczęsny pan Zimmerman albo detektyw Riggins, był postrzegany jako szkodnik i usuwany z takim samym brakiem współczucia, z jakim zabija się siedzącego na ręku gza.

Ricky zadrżał, kiedy zrozumiał, jak cierpliwy, oddany sprawie i bezlitosny jest Rumplestiltskin.

Zaczął układać listę osób, które również mogły nie pomóc Claire Tyson i trójce jej małych dzieci. Czy w Nowym Jorku właściciel domu, w którym mieszkała, nie domagał się czynszu od biednej kobiety? Jeśli tak, pewnie wylądował na ulicy, nie mogąc zrozumieć, co się stało z jego kamienicą. Pracownik socjalny, który nie zapisał jej do programu pomocy społecznej. Czy został zrujnowany i musi sam z niego korzystać?

Ksiądz, który zasugerował, że modlitwa może napęścić pusty brzuch?

Teraz pewnie sam się modli. Ricky mógł tylko zgadywać, jak daleko sięgała zemsta Rumplestiltskina. Co się stało z pracownikiem elektrowni, który odciął prąd w domu Claire,

kiedy nie zapłaciła rachunku w terminie?

Ricky nie znał odpowiedzi na te pytania, nie wiedział też, gdzie przebiega linia oddzielająca ludzi, których Rumpelstiltskin uznał za winnych, od tych, którzy byli niewinni. Było to najbardziej przerażające pojęcie sprawiedliwości, o jakim Ricky słyszał.

Zasięg furii Rumpelstiltskina zaskoczył go, a jednocześnie wydawał się całkowicie logiczny.

Psychoanaliza uczy jednego: nic nie dzieje się bez powodu. Zły uczynek może wywołać najrozmaitsze reperkusje. Ricky'emu przypomniła się zabawka, którą mieli niektórzy z jego kolegów – rząd wiszących obok siebie kulek. Wystarczyło podnieść którąś ze skrajnych i puścić ją, a siła uderzenia sprawiała, że ta po przeciwnej stronie odskakiwała i wracała z klikającym dźwiękiem, rozpoczynając proces przekazywania pędu, który można było przerwać jedynie, wkładając między kulki rękę. Zemsta Rumpelstiltskina, której był jedynie małą częścią, przypominała tamto urządzenie.

Ricky poczuł przeszywające go zimno.

Wszystkie te przestępstwa popełnił ktoś całkowicie pewny swojej nietykalności. Jaki detektyw, jaki policjant potrafiłby je ze sobą powiązać, skoro jedyną rzeczą, jaka łączyła wszystkie ofiary, była znajomość z kobietą, która nie żyła od dwudziestu lat?

Jeszcze jedna rzecz była dla niego całkowicie jasna: gdyby Rumpelstiltskin chociaż podejrzewał, że Ricky żyje, natychmiast ruszyłby jego tropem. Starks wątpił, czy miałby możliwość ponownego zagrania w jakąkolwiek grę. Zdawał sobie także sprawę z tego, jak łatwo było zabić jego nową tożsamość. Richard Lively nie istniał. Można było go zastrzelić w środku dnia, przy ludziach, a żadna policja nie powiązałaby go z Rickym Starksem i człowiekiem o pseudonimie Rumpelstiltskin. Dowiedzieliby się tylko, że Richard Lively nie był Richardem Livelym.

Natychmiast zostałby Johnem Doe, pochowanym bez nagrobka na jakimś cmentarzu komunalnym. Być może detektyw rozmyślałby leniwie, kim naprawdę był, ale w nawale innych spraw śmierć Richarda Lively'ego zostałaaby odłożona do akt. Na zawsze.

To, co zapewniało Ricky'emu bezpieczeństwo, czyniło go jednocześnie podatnym na atak.

Dlatego też po powrocie do New Hampshire z entuzjazmem powitał proste codzienne obowiązki, jakby miał nadzieję, że zatraci się w rytmie codziennego wstawania do pracy na uniwersytecie, wycierania podłóg, sprzątania łazienek, pastowania korytarzy i zmieniania żarówek, żartowania z kolegami i przewidywania szans drużyny Red Sox w nadchodzącym sezonie. Jego świat był tak przyziemny i normalny, że należałoby go pomalować na niebiesko i jasnozielono, jak wnętrze budynku użyteczności publicznej. Raz, czyszcząc urządzeniem parowym wykładzinę w sali ćwiczeń, odkrył, że buczenie maszyny, to, jak wibrowała w rękach, i pas czystości, który za sobą zostawiała, były niemal hipnotyzująco przyjemne.

Ricky czuł, że mógłby się ukryć w normalności takiego życia. Taka sytuacja dawała mu

dziwną satysfakcję: był sam, miał nudną pracę, co jakiś czas spędzał noc, obsługując telefon zaufania, przypominając sobie swoje umiejętności terapeuty, dając rady i na swój skromny kontrolowany sposób rzucając ludziom liny ratunkowe. Odkrył, że nie tęskni za codzienną dawką strachu, frustracji i gniewu, która była nieodłącznym składnikiem jego życia jako psychoanalityka. Zastanawiał się czasami, czy ludzie, których znał, włączając w to jego zmarłą żonę, poznaliby go teraz.

Ricky uważał, że Richard Lively był bliższy człowiekowi, którym chciał zostać, człowiekowi, którego odkrywał w sobie podczas wakacji na Cape, niż doktor Starks, leczący ludzi bogatych, wpływowych i znerwicowanych.

Anonimowość, pomyślał, jest taka kusząca.

Ale złudna. W każdej sekundzie, w której kazał sobie polubić to, kim się stał, Frederick Lazarus wykrzykiwał sprzeczne polecenia. Ricky wznowił treningi na siłowni, a wolny czas spędzał na strzelnicy, pracując nad celnością. Kiedy zrobiło się ciepło, a okolica ożyła kolorami, uznał, że musi nauczyć się orientacji i przetrwania w terenie, zapisał się więc do szkoły przetrwania, organizowanej przez biuro turystyczne.

Określał swoją aktualną sytuację życiową tak, jak określa się położenie w lesie; miał trzy punkty odniesienia – to, kim był, kim się stał i kim chciał zostać.

Późno w nocy, siedząc w ledwie nadgryzanych światłem lampki na biurku ciemnościach swojego pokoiku, zadał sobie pytanie: Czy potrafi odwrócić się plecami do wszystkiego, co się wydarzyło? Zerwać wszelką emocjonalną więź ze swoją przeszłością i tym, co się z nim stało, zostać człowiekiem żyjącym prostym życiem, od wypłaty do wypłaty, i czerpać przyjemność z codzienności? Stworzyć się na nowo. Zacząć chodzić na ryby, polować czy choćby czytać. Kontaktować się z jak najmniejszą liczbą ludzi. Żyć jak mnich w pustelniczej samotności. Odrzucić trzydzieści pięć lat życia i powiedzieć sobie, że wszystko zaczęło się od początku w dniu, kiedy podpalił swój dom na Cape. Myśl ta była prowokująca i kusząca.

Ricky mógł wyparować jak kałuża wody w upalny słoneczny dzień.

Możliwość ta przerażała go niemal tak samo, jak jej alternatywa.

Wydawało mu się, że znalazł się w punkcie, w którym musi podjąć decyzję. Jak Odyseusz, wybrać między Scyllą a Charybdą. Obie drogi miały swoje plusy i minusy.

Późną nocą Ricky rozłożył na łóżku wszystkie notatki i ślady prowadzące do człowieka, który zmusił go do samounicestwienia. Strzępy informacji, wskazówki i wypowiedzi, za którymi mógł podążać. Albo nie.

Mógł rozpocząć pościg za człowiekiem, który mu to zrobił, ryzykując odkrycie, albo zapomnieć o całym pomysłu i urządzić się jak najlepiej tu, gdzie już coś osiągnął. Czuł się jak piętnastowieczny hiszpański odkrywca, stojący na rozkołysanym pokładzie małego stateczku i wpatrujący się w bezmiar zielonych wód oceanu, za którym leżał być może nowy i niezbadany

ład.

Na wierzchu leżały dokumenty, które zabrał staremu Tysonowi. Zawierały nazwiska ludzi, którzy adoptowali trójkę dzieci dwadzieścia lat temu. Ricky wiedział, że to jego następny krok.

Pozostawało pytanie: zrobić go czy nie?

Ricky szybko dowiedział się, że nowojorska opieka społeczna przez pierwsze sześć miesięcy po śmierci ich matki umieszczała troje dzieci w kolejnych domach dziecka, aż wreszcie zostały adoptowane przez parę z New Jersey. Raport pracownika socjalnego donosił, że dzieci były trudne i nie licząc ostatniej, niewymienionej z nazwy placówki, wszędzie zachowywały się agresywnie i złośliwie. Pracownik zalecał terapię, zwłaszcza w przypadku najstarszego z nich. Raport był napisany prostym językiem i nie zawierał szczegółów, które mogłyby powiedzieć Ricky'emu coś o człowieku, który go prześladował. Dowiedział się, że adopcję przeprowadziła Diecezja Episkopalna Nowego Jorku, przez swoje skrzydło charytatywne. W papierach nie było nic o pieniądzach zmieniających właściciela, ale Ricky podejrzewał, że coś takiego miało miejsce. Dokumenty zawierały kopie zrzeczenia się jakichkolwiek roszczeń, podpisane przez starego Tysona i Daniela Collinsa, siedzącego wtedy w więzieniu w Teksasie. Ricky'ego uderzyła symetria tej sytuacji: Daniel Collins wyparł się trojga swoich dzieci, siedząc za kratkami. Wiele lat później wrócił za nie za sprawą Rumplestiltskina. Starks pomyślał, że niezależnie od sposobu, w jaki odrzucone dziecko tego dokonało, musiało mu to sprawić ogromną satysfakcję.

Parą, która przyjęła trójkę sierot, byli Howard i Martha Jacksonowie.

W papierach podany był adres w West Windsor, w na połę miejskiej, na połę wiejskiej okolicy kilka kilometrów od Princeton, ale nie było tam żadnych bardziej szczegółowych informacji o rodzicach. Przyjęli całą trójkę, co zastanowiło Ricky'ego. Powstawało pytanie: jakim cudem udało im się zostać razem i nie dać się rozdzielić. Dzieci wymieniono z imion: chłopiec Luke, dwanaście lat; chłopiec Matthew, jedenaście lat; dziewczynka Joanna, dziewięć lat. Biblijne imiona, pomyślał Ricky. Wątpił, czy dzieci wciąż je noszą.

Próbował szukać informacji w komputerze, ale bezskutecznie. Przejrzał elektroniczną książkę telefoniczną i znalazł wielu Jacksonów w środkowym New Jersey, ale żadna rodzina nie pasowała do imion, jakie podawała skąpa dokumentacja.

Miał tylko stary adres, czyli drzwi, do których mógłby zastukać.

Wyglądało to na jego jedyną możliwość.

Zastanawiał się, czy znów nie skorzystać z przebrania księdza i fałszywego zaświadczenia o białacze, ale doszedł do wniosku, że lepiej zachować to na inną okazję. Zamiast tego przestał się golić, szybko zapuszczając rzadką brodę i zamówił przez Internet fałszywą legitymację nieistniejącego biura detektywistycznego. Kolejna nocna inspekcja garderoby wydziału dramatycznego zapewniła mu sztuczny brzuch – przypominający poduszkę gadżet, który mógł

przywiąć pod koszulą i dzięki temu wyglądać na dwadzieścia kilo cięższego. Ku swojej uldze, znalazł tam również obszerny brązowy garnitur. Trochę przydatnych drobiazgów wyjął z pudełek z przyborami do charakteryzacji. Zapakował to wszystko do zielonego worka na śmieci i zabrał do domu. Tam dołożył do tego pistolet i dwa pełne magazynki.

Z miejscowego Rent-A-Wreck, wypożyczalni obsługującej głównie studentów, wypożyczył czteroletni samochód, który swoje najlepsze dni miał już za sobą. Pracownik robił wrażenie bardziej niż chętnego do przyjęcia jego pieniędzy. Nie zadając pytań, spisał dane z fałszywego kalifornijskiego prawa jazdy Ricky'ego. W następnny piątek, po skończeniu zmiany na uniwersytecie, Starks ruszył na południe do New Jersey. Otaczała go noc. Jechał szybko, lecz ze stałą prędkością, o dziesięć kilometrów na godzinę więcej niż wynosiło ograniczenie. Raz opuścił szybę, wpuszczając do samochodu powiew ciepłego powietrza, i pomyślał, że znów zbliża się lato. Gdyby był w mieście, zacząłby już naprowadzanie swoich pacjentów na jakieś wnioski, których mogliby się trzymać podczas jego sierpniowego urlopu. Czasami udawało mu się to osiągnąć, czasami nie. Ricky pamiętał spacer po mieście późną wiosną i wczesnym latem; kwiaty i rozszalała zieleń wydawały się pokonywać kaniony z cegły i betonu, z których składał się Manhattan. To była najlepsza, choć ulotna pora, bo szybko zastępował ją upał i dusząca wilgoć. Trwała tylko tyle, by dać się zapamiętać.

Dojechał do miasta dobrze po północy. Przejeżdżając przez most Waszyngtona, obejrzał się przez ramię. Nawet w środku nocy miasto świeciło. Obok rozciągało się Upper West Side, a tuż poza zasięgiem wzroku leżał szpital Columbia Presbyterian i klinika. Kiedy przejechał przez bramki i znalazł się w New Jersey, załapała go fala dziwnych uczuć.

Miał wrażenie, że śni jeden z tych niepokojących snów, pełnych obrazów i wydarzeń rodem z podświadomości, graniczący z koszmarem, znad którego krawędzi właśnie się cofnął. Miasto przypominało Ricky'emu rozklekotany samochód, którym jechał po autostradzie. Reprezentował to, czym się stał, a ciemność przed nim – kim może jeszcze zostać.

Zatrzymała go informacja o wolnych pokojach w Econo Lodge przy trasie numer jeden. W recepcji siedział smutnooki Hindus czy Pakistańczyk, z przypiętą do piersi plakietką informującą, że jej właściciel nazywa się Omar. Omar wydawał się nieco zdenerwowany pojawieniem się Ricky'ego, które wyrwało go z półsnu. Wręczył mu plan okolicy, po czym wrócił na swoje krzesło, do podręczników chemii i termosu z kawą, który trzymał na kolanach.

Rano Ricky spędził trochę czasu w łazience, malując sobie fałszywego siniaka i bliznę koło lewego oka. Zabarwił je trochę czerwienią i purpurą, co gwarantowało przyciągnięcie uwagi każdego, z kim będzie rozmawiał. Był to bardzo prosty chwyt psychologiczny. Siniak miał przyciągać wzrok i odwracać uwagę od istotnych szczegółów twarzy.

Zmierzwiona broda również maskowała jego rysy. Obrazu dopełniał rysujący się pod podkoszulkiem sztuczny brzuch. Ricky żałował, że nie pomyślał o korkach do butów, ale uznał,

że spróbuje tego kiedy indziej.

Przebrawszy się w tani garnitur, włożył do kieszeni pistolet wraz z zapasowym magazynkiem.

Okolice, przez którą jechał, pełna była ciekawych sprzeczności. Przeważały w niej płaskie zielone łąki pocięte drogami – niegdyś gruntowymi, cichymi i zaniedbanymi, teraz jednak dźwigającymi ciężar dynamicznego rozwoju. Ricky mijał liczne osiedla, od dwu- i trzypokojowych domków klasy średniej, po o wiele bardziej luksusowe posiadłości z portykami, kolumnami, basenami i garażami na trzy samochody, skrywającymi bmw, range rovery i mercedesy. Domy zarządu, pomyślał Ricky.

Bezduśne miejsca dla mężczyzn i kobiet, którzy zarabiali i wydawali pieniądze tak szybko, jak tylko potrafili, i uważali, że ma to jakiś głębszy sens. Stare połączone z nowym robiło dziwne wrażenie, jakby ta część stanu nie potrafiła się zdecydować, jaka chce być. Ricky podejrzewał, że starzy właściciele farm i nowocześni biznesmeni i maklerzy nie dogadują się za dobrze.

Przednią szybę samochodu zalało słońce i Ricky otworzył okno. To wspomniały dzień, pomyślał – ciepły, pełny wiosennej obietnicy. Czuł w kieszeni marynarki ciężar pistoletu i doszedł do wniosku, że jego myśli pasują jednak bardziej do zimy.

Znalazł skrzynkę pocztową o numerze odpowiadającym adresowi, którego szukał, stojącą przy prowadzącej w pole bocznej drodze. Zawahał się, nie wiedząc, czego oczekiwać. Przy podjeździe stała tablica z napisem:

PSIARNIA – BEZPIECZEŃSTWO PONAD WSZYSTKO. PORADY, TRESURA, TRESURA SPECJALNA, HODOWLA NATURALNYCH SYSTEMÓW ZABEZPIECZEŃ. Tuż obok napisu namalowany był rottweiler; Ricky wyczuł w tym nutkę humoru.

Ruszył naprzód, jadąc pod sklepieniem z koron rosnących wzdłuż drogi drzew.

Wkrótce zatrzymał się na półkolistym podjeździe przed stylizowanym na lata pięćdziesiąte parterowym domem z ceglana fasadą. Do budynku w kilku etapach dobudowywano konstrukcję z białej sklejki, łączącą go z labiryntem klatek z siatki. Kiedy tylko Ricky wysiadł z samochodu, powitała go kakofonia psiego ujadania. Poranny upał i słońce wzmaczały wszechobecny smród odchodów. Na jednej z przybudówek Starks zobaczył napis BIURO. Obok wisiała druga tabliczka, podobna do szyldu przy podjeździe. W najbliższej klatce na tylnych łapach stał wielki, szczerzący kły, czarny rottweiler. Ze wszystkich psów w hodowli – a Ricky widział ich kilkadziesiąt, skaczących i biegających po swoich zagrodach – tylko ten jeden nie czekał. Przyglądał się Starksowi uważnie, zupełnie jakby oceniał go jako przeciwnika.

Ricky wszedł do biura i ujrzał siedzącego za starym metalowym biurkiem człowieka w średnim wieku. W powietrzu unosił się zastarzały smród uryny. Mężczyzna był szczupły, łysy i wysoki. Miał potężne przedramiona, umięśnione prawdopodobnie od mocowania się z dużymi zwierzętami.

– Chwileczkę – powiedział, stukając w klawisze kalkulatora.

– Proszę się nie spieszyć – odparł Ricky.

Mężczyzna stuknął jeszcze przez chwilę, po czym skrzywił się na widok wyniku. Wstał i podszedł do Starksa.

– Czym mogę służyć? – powiedział. – Rany, kolego, wygląda pan, jakbyś się z kimś pobił.

Ricky przytaknął.

– Powinienem teraz powiedzieć: „Powinien pan zobaczyć tego drugiego...” Hodowca roześmiał się.

– A ja powinienem w to uwierzyć. Co mogę dla pana zrobić? Dodam tylko, że gdyby miał pan u boku Brutusa, nie byłoby żadnej bijatyki. Mowy nie ma.

– Brutus to ten pies w zagrodzie przy drzwiach?

– Zgadł pan. Zniechęca do dyskusji swoją lojalnością. Spłodził kilka szczeniaków, które za parę tygodni będą się już nadawały do tresury.

– Dzięki, ale nie skorzystam.

Hodowca popatrzył na niego zmieszany.

Ricky wyjął fałszywą legitymację prywatnego detektywa, którą kupił przez Internet. Mężczyzna oglądał ją przez chwilę.

– A więc, panie Lazarus, rozumiem, że nie przyjechał pan tu po szczeniaka?

– Nie.

– Więc co mogę dla pana zrobić?

– Kilka lat temu mieszkała tu pewna para. Howard i Martha Jacksonowie... Kiedy mężczyzna usłyszał to nazwisko, zeszywniał. Cała jego jowialność natychmiast zniknęła, zastąpiona nagłą podejrzliwością, którą podkreślił jeszcze, cofając się o krok. Jego głos nabrał stanowczego i podejrzliwego tonu.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Byli z panem spokrewnieni?

– Kupiłem ten dom od ich agencji nieruchomości. Dawno temu.

– Agencji nieruchomości?

– Oboje zmarli.

– Zmarli?

– Tak jest. Dlaczego to pana interesuje?

– Interesuje mnie ich troje dzieci... Mężczyzna znów się zawahał.

– Nie mieli żadnych dzieci. Umarli bezdzietnie. Mieli tylko brata, który mieszkał dość daleko stąd. To on sprzedał mi ten dom. Nieźle go wyszykowałem. Rozkręciłem tu interes. Ale nie było żadnych dzieci.

Nigdy.

– Nie, myli się pan – powiedział Ricky. – Mieli dzieci. Adoptowali trójkę sierot z Nowego Jorku... – Panie, nie wiem, skąd pan ma takie informacje, ale to nieprawda.

Zupełnie. – W głosie hodowcy pojawiła się nagle słabo skrywana złość. – Jacksonowie nie mieli żadnej bliskiej rodziny z wyjątkiem tego brata, który sprzedał mi dom. To była zwykła para starszaków. Umarli razem.

Nie wiem, o czym pan mówi, i wydaje mi się, że pan też nie.

– Razem? Jak?

– To nie była moja sprawa.

– Ale zna pan odpowiedź, prawda?

– Cała okolica znała odpowiedź. Może pan sprawdzić w gazetach.

Albo iść na cmentarz. Pochowano ich tam, przy tej drodze.

– Ale pan mi nie pomoże?

– Właśnie. Co z pana za detektyw?

– Powiedziałem panu – odparł szybko Ricky. – Taki, który interesuje się trójką dzieci adoptowanych przez Jacksonów w maju osiemdziesiątego trzeciego.

– A ja panu powiedziałem, że nie było żadnych dzieci. Adoptowanych czy innych. Więc o co panu tak naprawdę chodzi?

– Mam klienta. Klient ma pytania. Reszta jest poufna – powiedział Ricky.

Oczy mężczyzny zwęziły się, a ramiona wyprostowały, jakby minął szok, a jego miejsce zajęła agresja.

– Klient? Ktoś zapłacił, żeby pan tu przyjechał i zadawał pytania?

Ma pan jakąś wizytówkę? Numer, pod którym można pana złapać, gdybym coś sobie przypomniał... – Jestem spoza miasta – skłamał szybko Ricky.

Hodowca nadal patrzył na niego podejrzliwie.

– Jest coś takiego, jak połączenia międzystanowe, kolego. Jak się z panem skontaktować? Gdzie mogę pana złapać, gdybym potrzebował?

Tym razem Ricky cofnął się o krok.

– Co takiego mógłby pan sobie przypomnieć, czego nie przypomina pan sobie teraz? – spytał.

Hodowca przyglądał się Starksowi, oceniał go, jakby starał się zapamiętać każdy szczegół jego twarzy i postury.

– Niech spojrzę jeszcze raz na tę legitymację – powiedział chłodno.

– Ma pan jakąś odznakę?

Jego zachowanie pełne było wyraźnych sygnałów ostrzegawczych.

Ricky zrozumiał, że niespodziewanie zbliżył się do czegoś niebezpiecznego, jakby idąc po ciemku, nagle zdał sobie sprawę, że stoi na krawędzi stromego urwiska.

Cofnął się do drzwi.

– Wie pan co, dam panu kilka godzin, żeby pan to sobie przemyślał, a potem do pana zadzwonię. Jeśli będzie pan chciał porozmawiać, coś sobie przypomni, wtedy się spotkamy.

Ricky szybko wyszedł z biura i ruszył w stronę samochodu. Hodowca był o kilka kroków za nim, ale skręcił w bok i w ciągu sekundy znalazł się przy klatce z Brutusem. Otworzył ją, a pies, wciąż nie szczekając, wyskoczył ze środka i stanął przy jego nodze z rozdziawioną paszczą.

Mężczyzna wykonał nieznaczny gest otwartą dłonią, a rottweiler zamarł, wpatrzony w Ricky'ego, czekając na następne polecenie.

Starks odwrócił się do hodowcy i psa, wycofując się powoli w stronę samochodu. Sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki. Brutus w końcu wydał z siebie jakiś dźwięk – zawarczał krótko, napiął mięśnie karku, postawił uszy, czekając na komendę.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy się jeszcze spotkali, proszę pana – powiedział hodowca. – I nie sądzę, żeby wracanie tu i wypytywanie było dobrym pomysłem.

Ricky przełożył kluczyki do lewej ręki i otworzył drzwi. Jednocześnie jego prawa dłoń wślizgnęła się do kieszeni marynarki i zacisnęła na kolbie pistoletu. Nie spuszczać wzroku z psa, skupił się na tym, co być może będzie musiał zrobić. Przesuń bezpiecznik. Wyciągnij pistolet. Przyjmij pozycję i wyceluj. Kiedy robił to na strzelnicy, nigdy nie musiał się spieszyć, a i tak zajmowało to kilka sekund. Nie miał pojęcia, czy zdąży strzelić i czy zdoła trafić w psa. Przyszło mu do głowy, że jeden pocisk może nie zatrzymać zwierzęcia.

Rottweiler mógł prawdopodobnie pokonać dzielącą ich przestrzeń w dwie, najwyżej trzy sekundy. Podpełzł do przodu, gotowy do ataku.

Nie, pomyślał Ricky, mniej. Jedną sekundę.

Hodowca uśmiechnął się.

– Panie prywatny detektywie, nawet jeśli w tej kieszeni ma pan pistolet, proszę mi wierzyć, to nie wystarczy. Nie na tego psa. Nie ma pan szans.

Ricky zacisnęła dłoń na kolbie i położył palec wskazujący na spuście.

Jego oczy zwięziły się, a on sam ledwie poznawał własny głos.

– Być może – powiedział bardzo powoli i ostrożnie. – Może o tym wiem. I może nie będę nawet próbował wpakować kulki w tego psa. Zamiast tego strzelę panu prosto w pierś. To ładny duży cel i proszę mi wierzyć, nie będę miał problemów z trafieniem. A pan będzie martwy, zanim upadnie na ziemię, i nawet nie będzie pan miał satysfakcji z oglądania, jak pana kundel mnie pożera.

Hodowca zawahał się. Położył dłoń na obroży psa.

– Tablice z New Hampshire – powiedział po chwili. – Z mottem „Żyj wolny albo umrzyj”. Zapada w pamięć. A teraz wynoś się pan stąd.

Ricky, nie zwlekając, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Wyjął pistolet z kieszeni

i uruchomił silnik. Kilka sekund później jechał podjazdem, ale w lusterku wciąż widział hodowcę z psem przy nodze, przyglądającego się, jak odjeżdża.

Ciężko oddychał. Czuł się, jakby upał pokonał klimatyzację w samochodzie.

Kiedy wyjechał na czarny asfalt drogi, otworzył okno, zachłystując się pędem powietrza. Było zbyt gorące, by miało jakiś smak.

Zatrzymał się na poboczu, by dojść do siebie. Nieopodal zobaczył bramę cmentarza. Uspokoił się i spróbował przemyśleć to, co zaszło w domu hodowcy. Wzmianka o trzech sierotach wywołała jakąś reakcję. Ricky domyślał się, że było to działanie podświadomości; mężczyzna nie myślał o tych dzieciach przez wiele lat, dopóki nie pojawił się Ricky ze swoim pytaniem, a to spowodowało wybuch, mający swoje źródło głęboko w pamięci hodowcy.

W całym tym spotkaniu było coś o wiele bardziej niebezpiecznego niż pies przy nodze mężczyzny. Ricky miał wrażenie, że hodowca czekał wiele lat na niego lub kogoś podobnego, kto zacznie zadawać pytania, a kiedy minęło zaskoczenie, spowodowane nadejściem tej chwili, dokładnie wiedział, co robić.

Ta myśl wywołała u Ricky'ego lekkie mdłości.

Tuż za bramą cmentarza stał mały biały budynek, odsunięty nieco od drogi przecinającej rzędy grobów. Ricky podejrzewał, że to szopa na narzędzia.

Kiedy się przed nią zatrzymał, ze środka wyszedł siwowłosy mężczyzna, ubrany w niebieski roboczy uniform, podobny do tego, w jakim Ricky pracował na uniwersytecie. Dozorca podszedł do kosiarki stojącej obok szopy, ale na widok wysiadającego z samochodu Starksa zatrzymał się.

– Pomóc panu w czymś? – spytał.

– Szukam grobów.

– Leży tu sporo ludzi, kogo konkretnie pan szuka?

– Jacksonów.

Stary człowiek uśmiechnął się.

– Dawno nikt ich nie odwiedzał. Pewnie ludzie myślą, że to przynosi pecha. Ja osobiście uważam, że nikt z tych, co tu leżą, nie doświadczył pecha czy szczęścia, które ich czekało, więc się nie przejmuję. Groby Jacksonów są w głębi, w ostatnim rzędzie, na prawo. Idzie pan tą ścieżką do końca, potem tam. Łatwo je znaleźć.

– Znał ich pan?

– Nie. Pan z rodziny?

– Nie – powiedział Ricky. – Jestem prywatnym detektywem. Interesują mnie ich adoptowane dzieci.

– Nie mieli żadnej rodziny wartej wzmianki. Nic mi nie wiadomo o żadnych adoptowanych dzieciach. Po ich śmierci byłoby coś o tym w gazetach, ale niczego nie pamiętam, a Jacksonowie byli na pierwszych stronach przez kilka dni.

– Jak umarli?

Mężczyzna wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Myślałem, że pan wie, skoro przyjechał pan na groby... – Jak?

– To było coś, co policja nazywa morderstwem z samobójstwem.

Stary zastrzelił żonę po jednej z ich kłótni, a potem palnął sobie w łeb.

Trupy kisiły się przez kilka dni w domu, aż listonosz zauważył, że nikt nie wyjmuje poczty ze skrzynki i wezwał gliny. Do ciał dobrał się też pies, więc zostały z nich tylko dość nieprzyjemne resztki. W tym domu było sporo złej krwi, może mi pan wierzyć.

– A ten facet, który go kupił... – Nie znam go, ale mówi się, że nie jest lepszy. Tak samo wredny, jak jego psy. Przejął interes, który prowadzili tam Jacksonowie, ale przynajmniej zabił wszystkie zwierzęta, które zjadły poprzednich właścicieli.

Ale myślę sobie, że sam skończy tak samo. Może to mu tak ciąży? Dlatego jest taki wredny.

Starzec zaśmiał się makabrycznie i wskazał w górę pochyłości.

– Tam, na górze – powiedział. – Właściwie to całkiem niezłe miejsce na wieczny spoczynek.

Ricky myślał przez chwilę.

– Nie wie pan przypadkiem, kto kupił miejsce? Kto płaci za utrzymanie grobów?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Po prostu przychodzą czeki. Nie wiem.

Ricky znalazł groby bez problemu. Zatrzymał się na chwilę w ciszy i jasnych promieniach południowego słońca, zastanawiając się, czy ktokolwiek pomyślał o zafundowaniu mu nagrobku po jego własnym samobójstwie.

Wątpił w to. Żył w takim samym osamotnieniu, jak Jacksonowie.

Zastanawiał się również, dlaczego nigdy nie postawił pomnika na grobie żony. Przyczynił się do otwarcia funduszu książkowego na jej uczelni i co roku przekazywał datki dla Towarzystwa Ochrony Przyrody, wmawiając sobie, że to lepsze od zimnego kawałka kamienia. Stojąc jednak nad grobami Jacksonów, nie był już tego taki pewien. Zamyślił się nad śmiercią, przemijaniem i tym, jak cierpią ci, którzy zostali. Kiedy ktoś umiera, pomyślał, dowiadujemy się więcej o żyjących niż o tym, kto odszedł.

Nie wiedział, jak długo tak stał, zanim wreszcie przyjrzał się nagrobkowi.

Był to podwójny pomnik; wykuto na nim tylko imiona i nazwiska, daty urodzenia i śmierci Jacksonów.

Ricky'ego coś jednak zaniepokoiło. Przyjrzał się napisom, próbując zrozumieć, co to jest. Zajęło mu to kilka sekund.

Morderstwo-samobójstwo miało miejsce w tym samym miesiącu, co podpisanie dokumentów adopcyjnych.

Ricky cofnął się o krok. Wtedy zauważył coś jeszcze.

Oboje Jacksonowie urodzili się w latach dwudziestych. W chwili śmierci mieli po sześćdziesiąt kilka lat.

Ricky poczuł kolejną falę gorąca i rozluźnił krawat. Sztuczny brzuch zaczął mu ciążyć, a siniak i blizna zaswędziały.

Nikt w takim wieku nie może adoptować dziecka, a na pewno nie trojga dzieci. Regulamin większości biur adopcyjnych prawie natychmiast wyeliminowałby taką parę na korzyść osób młodszych i mających więcej energii.

Ricky stał przed grobem, przekonany, że patrzy na kłamstwo. Nie dotyczyło ono jednak śmierci Jacksonów. Tu wszystko było prawdą. Kłamstwo tkwiło gdzieś w ich życiu.

Nic nie jest w porządku, pomyślał. Wszystko wygląda inaczej niż powinno. Ricky'ego przytłaczało wrażenie, że właśnie otarł się o coś znacznie większego, niż spodziewał się znaleźć. O zemstę, która nie znała granic.

Uznał, że musi wrócić do bezpiecznego New Hampshire i przemyśleć wszystko, czego się dowiedział, zaplanować następny krok. Zaparkował samochód przed wejściem do Econo Lodge i wszedł do środka.

W recepcji siedział już ktoś inny. Omara zastąpił James, noszący przypinany krawat, który i tak wyglądał na krzywo zawiązany.

– Chcę się wymeldować – powiedział Ricky. – Nazwisko Lazarus.

Pokój dwieście trzydzieści dwa.

Recepcjonista wyświetlił na ekranie komputera rachunek.

– Gotowe. Jest dla pana kilka wiadomości telefonicznych.

Ricky zawahał się.

– Wiadomości telefonicznych?

Recepcjonista James skinął głową.

– Dzwonił jakiś facet z psiarni i pytał, czy pan się tu zatrzymał. Chciał zostawić wiadomość na numer pana pokoju. A potem, tuż przed tym, jak pan przyjechał, był drugi telefon.

– Od tego samego faceta?

– Nie wiem. Ja tylko wciskam guziki. Nie rozmawiałem z tym kimś.

Na wykazie telefonów mam tu numer. Pokój 232. Dwie wiadomości. Jeśli pan chce, może je pan odsłuchać z tamtego telefonu. Proszę wystukać numer pokoju.

Ricky zrobił, jak polecił mu recepcjonista. Pierwsza wiadomość pochodziła od właściciela psiarni.

– Pomyślałem, że zatrzymał się pan gdzieś niedaleko, w jakimś tanim miejscu. Myślałem o pana pytaniach. Niech pan do mnie zadzwoni.

Mam informacje, które mogą się panu przydać. Ale niech pan weźmie książeczkę czekową. To będzie kosztowało.

Ricky wcisnął trójkę, żeby skasować wiadomość. Następna odtworzyła się automatycznie. Dźwięk chłodnego rzeczowego głosu zaskoczył go jak znalezienie latem na chodniku kawałka lodu.

– Panie Lazarus, poinformowano mnie właśnie o pańskim zainteresowaniu świętej pamięci państwem Jackson. Sądzę, że mogę posiadać pewne związane z tą sprawą informacje, które mogą przydać się w pana dochodzeniu. Proszę do mnie zatelefonować pod numer 212-555-17-17.

Umówimy się na spotkanie.

Dzwoniący nie zostawił nazwiska, ale nie było to potrzebne. Ricky rozpoznał głos.

Wergiliusz.

Część 3

NAWET MARNI POECI KOCHAJĄ ŚMIERĆ

Rozdział 28

Ricky uciekał.

Z piskiem opon pędził autostradą, uciekając od motelu w New Jersey i znajomego głosu, zmywszy jedynie bliznę z policzka. W ciągu jednego poranka, zadając kilka pytań w niewłaściwych miejscach, udało mu się zamienić czas z sojusznika we wroga. Planował, że będzie powoli zdrapywał kolejne warstwy dzielące go od tożsamości Rumplestiltskina, a potem, kiedy dowie się wszystkiego, powoli i skrupulatnie zaplanuje zemstę. Upewni się, że wszystko jest na swoim miejscu, że pułapki są zastawione, i stawi czoło przeciwnikowi na znajomym terenie. Rozumiał, że ten luksus nie będzie mu już dany.

Nie wiedział, co łączy hodowcę psów z Rumplestiltskinem, ale taki związek z pewnością istniał. Kiedy Ricky oglądał groby, mężczyzna wykonał kilka telefonów. Łatwość, z jaką znalazł motel, w którym zatrzymał się Starks, zniechęcała do dalszych działań. Ricky zrozumiał, że musi bardzo starannie zatrzeć za sobą ślady.

Jechał szybko, nigdzie się nie zatrzymując. Wracał do New Hampshire, próbując ocenić, w jakim naprawdę znalazł się niebezpieczeństwie.

Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości – Ricky nie może wrócić do bierności psychoanalityka. Do świata, w którym czeka się na rozwój wydarzeń, a potem, zanim zrobi się jakiś krok, próbuje się zinterpretować i zrozumieć wszystkie działające siły. Do świata oczekiwania, opanowania i rozsądku.

Gdyby wpadł w tę pułapkę, kosztowałoby go to życie. Wiedział, że musi działać.

Musi stworzyć iluzję, że jest tak samo niebezpieczny jak Rumplestiltskin.

Mijał właśnie tablicę z napisem WITAMY W MASSACHUSETTS, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zauważył przed sobą zjazd z autostrady, a zaraz za nim typowy amerykański element krajobrazu: centrum handlowe. Skręcił na parking. Kilka minut później znalazł się w tłumie ludzi zmierzających do sklepów, które sprzedawały mniej więcej te same rzeczy po mniej więcej tych samych cenach, jedynie w różnych opakowaniach, co dawało kupującym wrażenie, że znaleźli właśnie coś wyjątkowego w oceanie bylejakości. Ricky w przypływie czarnego humoru pomyślał, że miejsce to idealnie nadaje się do tego, co chce zrobić.

Niedaleko baru znalazł rząd automatów telefonicznych. Pierwszy numer przypomniał sobie bez trudu. Za sobą słyszał gwar rozmów jedzących ludzi; zakrył słuchawkę dłonią i wykręcił numer.

– „New York Times”, dział drobnych ogłoszeń.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie. – Chciałbym zamówić jedno z tych małych ogłoszeń na pierwszej stronie.

Szybko odczytał numer karty kredytowej. Pracownik gazety przyjął informacje.

– Dobrze, panie Lazarus, co to za ogłoszenie?

Ricky zawahał się, po czym powiedział:

– Panie R., gra ruszyła. Nowy „Voice”.

Mężczyzna powtórzył wiadomość.

– To wszystko? – zapytał.

– Tak – powiedział Ricky. – Proszę nie zapomnieć wyróżnić słowa „Voice”, dobrze?

Starks odłożył słuchawkę. Podszedł do baru, kupił kubek kawy i wziął garść serwetek. Znalazł stojący na uboczu stolik i usiadł przy nim z długopisem w ręku, popijając gorący napój. Odciął się od otaczającego go gwaru i skupił na tym, co chciał napisać, na przemian stukając długopisem o zęby i popijając kawę, uspokajając się i planując. Po kilku nieudanych próbach, napisał na serwetce taki wiersz:

Nie wiesz, kim jestem, wiesz tylko, kim byłem, dlatego mnie nie zauważyłeś.

Ricky umarł, zniknął bez echa, teraz jestem ja, a ty masz pecha.

Lazarz zmartwychwstał, ożyłem i ja, a teraz na czyjąś śmierć przyszedł czas.

To nowa gra, lecz zasady znasz, w końcu spotkamy się twarzą w twarz.

I wtedy zobaczymy, kto polegnie, panie R., bo nawet marni poeci kochają śmierć.

Ricky podziwił przez chwilę swoje dzieło, po czym zadzwonił do działu ogłoszeń „Village Voice”.

– Chciałbym zamieścić ogłoszenie towarzyskie – powiedział.

– Nie ma sprawy – powiedział człowiek z gazety. Ricky’ego lekko rozbawił fakt, że osoba obsługująca dział ogłoszeń w „Voice” sprawiała wrażenie znacznie mniej nadętej niż jej odpowiednik w „Timesie”. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że tego właśnie się spodziewał. – Jaki chce pan nagłówek ogłoszenia?

– Nagłówek? – spytał Ricky.

– O, nowicjusz – zażartował mężczyzna. – Wie pan, jakiś skrót, na przykład BM, biały mężczyzna, SM, sadomaso... – Rozumiem – odparł Ricky. Myślał przez chwilę, po czym powiedział: – W nagłówku ma być napisane: BM, 50, szuka pana Rozkosznego do zabaw i gier...

– Okay – powiedział. – Coś jeszcze?

– O tak – powiedział Ricky, po czym podyktował mu wierszyk i kazał powtórzyć go dwa razy, żeby mieć pewność, że mężczyzna wszystko dobrze zapisał.

– No – stwierdził tamten, kiedy skończył czytać – to coś nowego.

Zupełnie nowego. Zleca się do pana tłumami. Przynajmniej ci ciekawsi.

A może kilku świrów. Chce pan zapłacić za skrzynkę? Damy panu jej numer, a pan będzie mógł odsłuchiwać wszystkie odpowiedzi przez telefon.

Dopóki pan płaci, tylko pan ma do niej dostęp.

– Poproszę – powiedział Ricky.

Usłyszał odgłos stukania w klawiaturę komputera.

– W porządku – rzekł w końcu mężczyzna. – Numer pana skrzynki to 1313. Mam nadzieję, że nie jest pan przesądny.

– Ani trochę – odparł Ricky, zapisał numer na serwetce i odłożył słuchawkę.

Przez chwilę kusiło go, żeby zadzwonić pod numer, który podała mu Wergiliusz, ale powstrzymał się. Najpierw musi zająć się kilkoma ważniejszymi sprawami.

W Sztuce wojny Sun Tzu pisze, jak ważny dla dowódcy jest wybór pola bitwy, zajęcie dobrej pozycji, gwarantującej przewagę. Ustawienie armii na wyżej położonym terenie. Umiejętność ukrycia się. Wykorzystanie znajomości topografii. Ricky pomyślał, że te nauki dotyczą także jego. Rymowanka w „Village Voice” była jak ostrzelanie wroga z łuków, salwa na otwarcie, mająca zwrócić na niego uwagę.

Zdawał sobie sprawę, że nie minie wiele czasu, a ktoś przyjedzie szukać go w Durham. Gwarantowała to tablica rejestracyjna, którą zapamiętał hodowca psów. Ricky nie sądził, by odkrycie, że samochód o tych numerach należał do wypożyczalni Rent-A-Wreck, nastęczało wiele trudności.

Ricky musi odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: gdzie chce stoczyć następną bitwę? Musi wybrać dla siebie arenę.

Oddał samochód, wpadł na chwilę do swojego pokoju, po czym poszedł do pracy w telefonie zaufania, nie wiedząc, ile czasu kupił sobie ogłoszeniami w „Timesie” i „Voice”. Podejrzewał, że niewiele. „Times” miał ukazać się następnego dnia, „Voice” pod koniec tygodnia. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Rumpelstiltskin nie zacznie działać, dopóki nie przeczyta obu. Wszystko, co wiedział, to jedynie to, że gruby prywatny detektyw przyjechał do hodowcy psów w New Jersey i zadawał chaotyczne pytania na temat małżeństwa, które według dokumentacji dwadzieścia lat temu adoptowało jakieś dzieci. Człowiek polujący na kłamstwo. Ricky nie łudził się, że Rumpelstiltskin nie dostrzeże związku, nie odkryje innych śladów istnienia Starksa. Istnienie Fredericka Lazarusa księdza wyjdzie na jaw po krótkim śledztwie na Florydzie. Przewagą Ricky’ego było to, że nie istniał wyraźny związek między Frederickiem Lazarusem a doktorem Frederickiem Starksem i Richardem Livelym. Jeden został uznany za zmarłego, drugi nie istniał, a o trzecim pan R. nie wiedział. Ricky usiadł za biurkiem w zaciemnionym biurze, przy telefonie.

Był zadowolony, że semestr ma się ku końcowi. Spodziewał się telefonów od zestresowanych egzaminami studentów, z którymi potrafił sobie radzić. Nie sądził, żeby ktoś chciał się zabić z powodu oblanej chemii, chociaż ludzie zabijali się z głębszych przyczyn.

Musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, co chce osiągnąć.

Czy chce zabić człowieka, który zmusił go do upozorowania samobójstwa, groził jego

rodzinie i zniszczył wszystko, co określało go jako człowieka? W świecie kryminałów i thrillerów, które Ricky przeczytał w ciągu ostatnich miesięcy, odpowiedzią byłoby proste „tak”. Ktoś wyrządził mu krzywdę, więc powinien odpłacić mu tym samym. Zabić. Oko za oko. Naczelna zasada zemsty.

Ricky wiedział, że istnieje wiele sposobów zabijania. Sam doświadczył jednego z nich. Musiały być też inne, od kuli skrytobójcy po atak choroby.

Najważniejszą rzeczą było znalezienie tego właściwego sposobu.

A żeby to zrobić, musiał poznać przeciwnika. Dowiedzieć się nie tylko kim jest, ale czym.

I musiał wyjść z tego bez szwanku. Nie był kamikaze, który po wypiciu rytualnej czarki sake rusza na spotkanie śmierci. Ricky chciał przeżyć.

Nie łudził się, że kiedykolwiek stanie się na powrót doktorem Frederickiem Starksem. Koniec z wygodną praktyką, z codziennym wysłuchiwaniami skamlenia bogatych neurotyków przez czterdzieści osiem tygodni w roku. Te czasy minęły.

Rozejrzał się po małym pokoiku. Przylegał on do głównego korytarza studenckiej przychodni, był wąski i raczej mało wygodny. Stało w nim biurko i trzy telefony, na ścianach wisiały plakaty ze zdjęciami sportowców, upamiętniające osiągnięcia drużyn futbolu, krykieta i piłki nożnej.

Był tam również duży plan kampusu oraz numery telefonów do służb ratowniczych i ochrony. Nieco większy format miał protokół postępowania w przypadku, gdyby osoba odbierająca telefon doszła do wniosku, że ktoś naprawdę próbuje się zabić. Wymienione były w nim kroki, jakie należało podjąć: zadzwonić na policję i kazać centrali zlokalizować numer dzwoniącego. Wolno było to robić jedynie w najpoważniejszych przypadkach, kiedy stawką było ludzkie życie. Ricky nigdy nie musiał korzystać z tej możliwości. Zawsze potrafił przemówić dzwoniącemu do rozsądku, a przynajmniej skłonić do zastanowienia nawet najbardziej zdesperowanych rozmówców. Zastanawiał się, czy ktokolwiek z młodych ludzi, którym pomógł, nie byłby zaskoczony, gdyby dowiedział się, że przekonujący ich spokojny rozsądny głos należał do dozorcy wydziału chemii.

Warto to chronić, pomyślał Ricky.

Wniosek ten skłonił go do podjęcia decyzji. Musi odciągnąć Rumpelstiltskina od Durham. Jeśli miał przeżyć nadchodzącą konfrontację, Richard Lively powinien pozostać bezpiecznie anonimowy.

– Wracamy do Nowego Jorku – szepnął.

Kiedy się nad tym zastanawiał, telefon na biurku zadzwonił.

– Telefon zaufania. W czym mogę pomóc?

W słuchawce zapanowała cisza, a potem usłyszał stłumione chlipnięcie i bezładny ciąg słów, osobno nic nieznaczących, razem jednak dających wyraźny obraz sytuacji.

– Nie mogę, już nie mogę, to za dużo, nie chcę, sama już nie wiem... Młoda kobieta, pomyślał Ricky. Potok szlochu tłumiał jej słowa, więc nie sądził, by w grę wchodziły narkotyki czy alkohol. Po prostu nocna samotność i błaha rozpacz.

– Uspokój się, proszę – powiedział łagodnie. – Spróbuj opowiedzieć mi, co się stało. Gdzie jesteś?

Cisza, potem odpowiedź:

– W moim pokoju, w akademiku.

– Dobrze. – Ricky zaczął łagodnie sondować. – Jesteś sama?

– Tak.

– Nie ma współlokatorów? Przyjaciół?

– Nie.

– Zawsze tak jest? Czy tylko tak się czujesz?

Pytanie skłoniło dziewczynę do zastanowienia.

– Rozstałam się z chłopakiem, zawałam zajęcia, a jak wrócę do domu, starzy mnie zabiją, bo straciłam stypendium. Mogę nie zdać dodatkowych zajęć z literatury i różne rzeczy przychodzą mi do głowy i... – I coś kazało ci tu zadzwonić, tak?

– Chciałam porozmawiać. Nie chciałam sobie nic zrobić... – To brzmi rozsądnie. Wygląda na to, że ostatni semestr nie był najlepszy.

Dziewczyna roześmiała się gorzko.

– Można tak powiedzieć.

– Ale będą następne, prawda?

– No, tak... – A chłopak, dlaczego cię zostawił?

– Powiedział, że nie chce się w tej chwili wiązać... – I jak się poczułaś? Przybiło cię to?

– Tak. To było jak uderzenie w twarz. Poczułam się, jakby mnie wykorzystywał, wie pan, do seksu, a teraz, kiedy zbliżają się wakacje, pomyślał, no, że nie warto tego ciągnąć. Jakbym była jakimś batonikiem.

Nadgryzł i wyrzucił... – Dobrze to ujęłaś – powiedział Ricky. – Mamy więc obrazę. Cios, zadany twojemu poczuciu wartości.

Dziewczyna znów się zawahała.

– Chyba tak, ale nie patrzyłam na to w ten sposób.

– A więc – ciągnął Ricky cichym, ale stanowczym głosem – zamiast czuć się zdołowana i myśleć, że coś jest z tobą nie w porządku, powinnaś być wściekła na tego sukinsyna, bo najwyraźniej to on ma problem. A ten problem to samolubność, prawda?

Dziewczyna przytaknęła. To typowy telefon, pomyślał. Zadzwoniła w stanie szkolno-miłosnej depresji, ale tak naprawdę nawet się do niej nie zbliżyła.

– To chyba słuszne stwierdzenie – powiedziała. – To świnia.

– Więc może to nawet lepiej, że już go nie ma. Nie jest jedynym facetem w okolicy.

– Myślałam, że go Kocham.

– A to trochę boli, prawda? Ale nie dlatego, że naprawdę złamał ci serce. Raczej dlatego, że zaangażowałaś się w kłamstwo. A to zachwiało twoim zaufaniem.

– Ma pan rację – przyznała. Ricky wyobrażał sobie łyzy wysychające na jej policzkach. – Musi pan odbierać strasznie dużo takich telefonów – dodała dziewczyna po chwili. – To wszystko wydawało się takie ważne i takie straszne jeszcze parę minut temu. Płakałam, szlochałam, a teraz... – Jest jeszcze sprawa stopni. Co się stanie, kiedy wrócisz do domu?

– Wścieknę się. Tata powie: „Nie mam zamiaru wywalić ciężko zarobionych pieniędzy na tróje...” Prychnęła i zniżyła głos, naśladując ojca. Ricky roześmiał się razem z nią.

– Przejdzie mu – powiedział. – Bądź tylko szczerą. Powiedz mu o swoich problemach, o chłopaku, i powiedz, że się podciągniesz. Zrozumie.

– Ma pan rację.

– A więc – powiedział Ricky – oto recepta na ten wieczór. Wyśpij się. Odłóż książki. Wstań rano i kup sobie słodką kawę ze śmietanką i mnóstwem kalorii. Wyjdź na dwór, usiądź na ławce i ciesz się ładną pogodą. A gdy zobaczysz tego chłopaka, zignoruj go. Jeśli będzie chciał porozmawiać, odejść. Znajdź inną ławkę. Pomyśl o tym, z czym wiąże się lato. Zawsze jest nadzieja, że będzie lepiej. Musisz ją tylko znaleźć.

– Rozumiem – powiedziała. – Dzięki za rozmowę.

– Jeśli poczujesz, że już nie jesteś w stanie sobie poradzić, powinnaś pójść do poradni. Tam ci pomogą.

– Sporo pan wie o depresji.

– O, tak – powiedział Ricky. – Wiem. Zazwyczaj jest przejściowa.

Czasami nie. Pierwsza to zwykła życiowa przypadłość. Druga to straszna choroba. Myślę, że dopadła cię ta pierwsza.

– Już mi lepiej – odparła dziewczyna. – Może do tej kawy kupię sobie słodką bułkę. Do cholery z kaloriami.

– Tak trzymać. – Ricky miał już odłożyć słuchawkę, kiedy coś przyszło mu do głowy. – Słuchaj, może będziesz mogła mi pomóc... – Co? Pan potrzebuje pomocy? – Dziewczyna była zaskoczona.

– To telefon zaufania w sytuacjach kryzysowych – powiedział Ricky wesoło. – Dlaczego myślisz, że ludzie po tej stronie nie przechodzą żadnych kryzysów?

Dziewczyna zamilkła, jakby przetrawiając oczywistość tego stwierdzenia.

– Jasne – powiedziała. – Jak mogę pomóc?

– Kiedy byłaś mała, w jakie grałaś gry?

– Gry? Planszówki, wie pan, chińczyk... – Nie, nie. Gry na dworze.

– Jak berek?

– Tak. Ale jak nazywałyby się gra, w której jedna osoba goni inne, ale sama też jest goniona?

– To nie do końca chowany? Brzmi trochę brutalniej.

– Właśnie.

Dziewczyna zawahała się, po czym zaczęła głośno myśleć:

– No, były podchody, ale tam chodziło o to, kto będzie pierwszy.

Bawiliśmy się w szukanie różnych schowanych rzeczy. W berka i w Ojca Wergiliusza... – Nie. Potrzebne mi coś, co byłoby większym wyzwaniem... – Najlepsze, co mi przychodzi do głowy, to Lisy i ogary – powiedziała nagle. – Podobne do podchodów, ale trudniej było wygrać.

– Jak się w to grało? – spytał Ricky.

– Latem, w lesie. Były dwie drużyny, lisów i ogarów. Lisy startowały piętnaście minut wcześniej. Miały papierowe torebki ze strzępkami podartej gazety. Co dziesięć metrów musiały zostawić ich garść na ziemi.

Ogary szły ich tropem. Chodziło o to, żeby zostawiać fałszywe ślady, zawracać, wprowadzić ogary w bagno, coś takiego. Lisy wygrywały, jeśli wracały do miejsca startu o wyznaczonym czasie, dwie-trzy godziny później.

Ogary wygrywały, jeśli złapały lisy. Gdy je zobaczyły, mogły zachowywać się jak psy i zacząć je gonić. A lisy musiały się chować. Więc czasami robiły tak, żeby zawsze wiedzieć, gdzie są psy. Wie pan, śledziły je... – O tę grę mi chodziło – powiedział cicho Ricky. – Która strona najczęściej wygrywała?

– To było najfajniejsze – odparła dziewczyna. – Wszystko zależało od sprytu lisów i determinacji ogarów. Więc szanse były równe.

– Dzięki – powiedział Ricky.

– Powodzenia – pożegnała się dziewczyna i odłożyła słuchawkę.

Ricky pomyślał, że tego właśnie mu trzeba: powodzenia.

Następnego ranka zaczął przygotowania. Zapłacił czynsz za następny miesiąc, ale powiedział gospodyniom, że prawdopodobnie wyjedzie w sprawach rodzinnych. Wstawił do pokoju kwiatek i upewnił się, że będą go podlewały. To najprostszy sposób grania na psychice kobiet, pomyślał; mężczyzna, który chce, żeby podlewać jego kwiaty, nie jest podejrzany.

Dogadał się z przełożonym na uniwersytecie, żeby wykorzystać jednocześnie wszystkie należne wolne dni. Szef był wyrozumiały i nie robił trudności, zwłaszcza że rok szkolny właśnie się skończył.

W banku, w którym trzymał pieniądze jako Frederick Lazarus, zrobił przelew na konto otworzone drogą internetową na Manhattanie.

Dokonał też kilku rezerwacji hotelowych w całym mieście na kolejne dni. Wybrał najgorsze

hotele, takie, o których nie wspomina się w przewodnikach.

We wszystkich oprócz jednego zapłacił kartą kredytową Fredericka Lazarusa. Dwa ostatnie hotele znajdowały się na Zachodniej Dwudziestej Drugiej, mniej więcej naprzeciwko siebie. W pierwszym zarezerwował dwie noce jako Frederick Lazarus. Drugi hotel wynajmował jednoosobowe pokoje w systemie tygodniowym. Ricky zamówił dwa tygodnie, zapłacił jednak kartą Richarda Lively'ego.

Pocztę, nadchodzącą na nazwisko Fredericka Lazarusa, przekierował na adres drugiego hotelu.

Spakował pistolet, amunicję i trochę ubrań, po czym udał się do wypożyczalni samochodów. Tak jak ostatnim razem wziął skromny stary wóz. Upewnił się jednak, że zostawia za sobą trochę więcej śladów.

– Nie ma ograniczenia odległości, prawda? – spytał. – Jadę do Nowego Jorku i nie chciałbym nagle dowiedzieć się, że muszę dopłacać trzy centy za kilometr... Pracownikiem wypożyczalni był student, najwyraźniej dorabiający sobie w wakacje i już śmiertelnie znudzony, choć pracował zaledwie kilka dni.

– Tak jest. Nie ma ograniczenia. Jeśli o nas chodzi, może pan pojechać do Kalifornii i z powrotem.

– Nie, mam sprawy do załatwienia na Manhattanie – powiedział z rozmysłem Ricky. – Zostawię swój adres na umowie.

Zapisał nazwę i numer telefonu pierwszego z hoteli, w którym zrobił rezerwację na Fredericka Lazarusa.

Chłopak spojrzał krytycznie na jego džinsy i sportową koszulę.

– Jasne. Sprawy. Wszystko jedno.

– A gdybym musiał zostać na dłużej... – Na umowie jest numer telefonu. Niech pan po prostu zadzwoni.

Obciążymy pana kartę kredytową, ale musimy mieć zgłoszenie, bo w przeciwnym wypadku po czterdziestu ośmiu godzinach powiadamy policję o kradzieży.

– Tego nie chcemy.

– Kto by chciał?

– Jeszcze jedno... – powiedział wolno Ricky.

– Co takiego?

– Zostawiłem przyjacielowi wiadomość, żeby też wypożyczył tu samochód.

Wie pan – niskie ceny, dobre solidne wozy, nie robicie takich trudności, jak duże sieci wypożyczalni... – Jasne – powiedział chłopak, zaskoczony, że ktoś w ogóle zawraca sobie głowę opiniami o wypożyczanych samochodach.

– Ale nie jestem pewien, czy dobrze wszystko zrozumiał... – Kto?

– Mój przyjaciel. Sporo podróżuje w interesach, tak jak ja, więc zawsze szuka dobrych okazji.

– Więc?

– Więc – powiedział Ricky ostrożnie – gdyby zjawił się tu w przeciągu kilku następnych dni, żeby sprawdzić, czy to tu wynajęłam samochód, niech pan mu o mnie opowie i nie zedrze za bardzo, dobrze?

Chłopak skinął głową.

– Jeśli trafi na moją zmianę... – Pracuje pan w dzień, prawda?

Pracownik znów skinął głową, dając do zrozumienia, że siedzenie w wypożyczalni w pierwsze dni lata przypomina pobyt w więzieniu.

– Więc jest spora szansa, że to na pana trafi?

– Jest.

– Więc jeśli o mnie zapyta, niech pan mu powie, że wyjechałam w interesach.

Do Nowego Jorku. Będzie wiedział, jak mnie znaleźć.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy, jeśli spyta. W przeciwnym razie... – Oczywiście. Jeśli ktoś przyjdzie tu i zapyta o mnie, to będzie mój przyjaciel.

– Nazywa się jakoś? – spytał pracownik.

Ricky uśmiechnął się.

– Jasne. R.S. Skin. Łatwo zapamiętać. Pan R. Skin.

Jadąc autostradą do Nowego Jorku, Ricky zatrzymał się w trzech centrach handlowych przy szosie. Pierwsze znajdowało się tuż za Bostonem, dwa pozostałe w Connecticut, niedaleko Bridgeport i New Haven.

We wszystkich trzech przechadzał się powoli między sklepami z odzieżą i cukierniami, aż znajdował punkt sprzedaży telefonów komórkowych.

Kiedy skończył zakupy, miał pięć aparatów, wszystkie zarejestrowane na Fredericka Lazarusa, wszystkie z setkami darmowych minut i tanimi stawkami za połączenia zamiejscowe. Telefony należały do czterech różnych sieci i chociaż każdy wypełniający roczną umowę sprzedawca pytał Ricky'ego, czy ma jakieś inne numery, żaden tego nie sprawdził. Ricky wykupił wszystkie opcje do każdego telefonu, z identyfikacją numeru dzwoniącego, połączeniami oczekującymi i tyłoma dodatkami, ile mógł wymyślić, więc sprzedawcy bardzo chętnie i sprawnie wypełniali formularze.

Zatrzymał się również w galerii handlowej, gdzie po krótkich poszukiwaniach znalazł duży sklep z artykułami biurowymi. Kupił w nim stosunkowo taniego laptopa.

Do pierwszego hotelu dotarł wczesnym wieczorem. Zostawił wypożyczony samochód na parkingu nad rzeką, w okolicach Zachodniej Pięćdziesiątej, po czym metrem pojechał do

Chinatown, gdzie wynajął pierwszy pokój. Zameldował się u recepcjonisty imieniem Ralph, który w dzieciństwie cierpiał na trądzik i miał poznaczone bliznami policzki, co nadawało mu ponury, wredny wygląd. Ralph wyglądał na lekko zdziwionego, kiedy okazało się, że karta kredytowa Fredericka Lazarusa naprawdę działa. Zaskoczyło go również słowo „rezerwacja”. Ricky pomyślał, że nie był to hotel, w którym ktoś coś często rezerwuje. Pracująca w pokoju obok prostytutka uśmiechnęła się do niego, jednocześnie zapraszając i proponując swoje usługi, ale pokręcił głową i otworzył drzwi.

Pokój był tak skromny, jak Ricky przypuszczał. Poza tym w takim miejscu fakt, że wszedł do pokoju bez bagażu i piętnaście minut później go opuścił, nie zwrócił niczyjej uwagi.

Metrem pojechał do ostatniego z hoteli na liście. Tam znów stał się Richardem Livelym, ale z recepcjonistą rozmawiał krótko i zdawkowo.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, poszedł do swojego pokoju.

O północy wyszedł na miasto.

Krótki deszcz sprawił, że ulice lśniły wilgocią. Żółte latarnie rzucały łuki bladego światła na czarny asfalt. Ciepłe powietrze zapowiadało duchotę nadchodzącego lata. Ricky popatrzył na chodnik i pomyślał, że nigdy nie zdawał sobie sprawy, ile cieni pada o północy na Manhattan.

Potem doszedł do wniosku, że sam jest jednym z nich.

Szedł przez miasto, szybko mijając kolejne przecznice, aż znalazł samotną budkę telefoniczną. Czas, pomyślał, sprawdzić wiadomości.

Rozdział 29

Nocne powietrze przeszła syrena. Nie wiedział, czy to policja, czy ambulans. Wiedział, że wozy strażackie wyły niżej, charakterystycznym chrapliwym tonem. Ale policja i karetki miały taki sam sygnał. Przyszło mu do głowy, że niewiele dźwięków na świecie niesie z sobą zapowiedź nieszczęścia; wycie syren swoją niepokojącą przenikliwością niweczy wszelkie nadzieje. Zaczekał, aż dźwięk ucichnie i wróci zwykła manhattańska cisza – szum samochodów i autobusów, akcentowany co jakiś czas stłumionym hukiem metra.

Ricky wykręcił numer „Village Voice” i włączył odtwarzanie wiadomości ze skrzynki 1313. Było ich około trzydziestu.

Większość stanowiły zachęty i obietnice seksualnych przygód. Dzwoniący cytowali ogłoszenie, które trafiło, jak Ricky się spodziewał, do specyficznych odbiorców. Kilka osób spłodziło własne rymowanki w odpowiedzi na jego wierszyk, ale one również obiecywały seks i zabawę. W ich głosach słychać było z trudem hamowaną żądę.

Trzydziesta wiadomość była zupełnie inna. Głos mówiącego był zimny, przepełniony złością. Brzmiał metalicznie, prawie mechanicznie. Ricky domyślił się, że został przepuszczony przez elektroniczne urządzenie maskujące.

Ricky jest mądry, Ricky jest cwany... ale niech weźmie do serca ten wierszyk rymowany:

Myśli, że jest bezpieczny, w grze znów wystartował, ale powinien zostać tam, gdzie się schował.

Raz uciekł i za to uznanie jestem mu winien, ale marnować swojego sukcesu nie powinien.

Następna szansa, kolejna gra, takie samo zakończenie ma.

Tylko że teraz dług wobec mnie zostanie spłacony w całości, chcesz tego, czy nie.

Ricky wysłuchał nagrania trzykrotnie. W brzmieniu głosu mówiącego zaniepokoiło go coś jeszcze – wrażenie, że treść słów nie wystarcza, że nienawiść rozsadza każdy dźwięk. Wydawało mu się poza tym, że jest w nim coś znajomego, co przebiło się przez echo urządzenia maskującego.

Zakłuła go ta myśl, zwłaszcza kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie po raz pierwszy usłyszał Rumpelstiltskina i dźwięk głosu przeciwnika wywołał w Rickym koszmarne wizje. Starks zdrzął. Wiedział, że nie może lekceważyć powagi wyzwania, przed jakim stanął.

Odtworzył pozostałe wiadomości, mając pewność, że usłyszy inny, bardziej znajomy głos. Nie był zaskoczony, kiedy po chwili ciszy, która nastąpiła po rymowance, odezwała się Wergiliusz. Ricky uważnie wsłuchiwał się w każdy niuans, który mógłby mu coś powiedzieć.

– Ricky, Ricky, Ricky, jak to miło, że się odezwałeś. Naprawdę, wyjątkowo miło. Dodam, że to prawdziwe zaskoczenie... – Jasne – wymruczał pod nosem. – Na pewno.

Słuchał dalej. Kobieta mówiła takim samym tonem, jak kiedyś – w jednej chwili twardo,

zaraz potem przymilnie i prowokująco, po chwili znów szorstko i beznamiętnie. Wergiliusz angażuje się w grę tak samo mocno, jak jej pracodawca, pomyślał Ricky. Była niebezpieczna przez swoją zmienność, bo przechodziła płynnie od uczynności do gniewu.

Podczas gdy Rumpelstiltskin niezmordowanie dążył do celu, Wergiliusz była nieprzewidywalna. A Merlin, który jeszcze się nie odezwał, przypominał beznamiętnego i okrutnego księgowego.

– Kiedy uciekłeś, sporo ludzi w pewnych ważnych kręgach musiało zrewidować swój pogląd na pewne sprawy. Przemyśleć gruntownie swoje podejście. To dowodzi, jak płynne może być pojęcie prawdy, nie sądzisz, Ricky? Wiesz, ostrzegałam ich. Naprawdę. Mówiłam: „Ricky jest bardzo sprytny. Ma intuicję i szybko myśli...”, ale nie chcieli mi uwierzyć. Sądziłem, że będziesz tak samo głupi i bez troski jak wszyscy inni. I proszę, dokąd nas to zaprowadziło. Jesteś alfą i omegą luźnych końców, Ricky. Bardzo niebezpiecznym dla wszystkich zainteresowanych...
– Westchnęła głęboko, jakby własne słowa dały jej do myślenia.

– Trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego chcesz się jeszcze raz zmierzyć z panem R. Sądziłam, że widok twojego ukochanego domku idącego z dymem... To było naprawdę niezłe, Ricky, naprawdę sprytne posunięcie.

Spalenie całego szczęścia, wszystkich wspomnień; jaki inny mogliśmy wysnuć z tego wniosek? I do tego zrobił to psychoanalityk.

Nie spodziewaliśmy się tego. Ale sądziłam, że samo to doświadczenie przekona cię, że pan R. jest bardzo trudnym przeciwnikiem, zwłaszcza w konkurencjach, które sam wymyślił. Powinieneś być zostać tam, gdzie byłeś, Ricky, i nie wypęłać spod kamienia, pod którym się schowałeś.

Albo uciekać. Natychmiast. Uciekać i ukryć się na zawsze. Zacząć kopać sobie norę gdzieś, gdzie jest zimno i ciemno. Bo podejrzewam, że tym razem pan R. będzie potrzebował dobitniejszego dowodu swojego zwycięstwa. Ostatecznego dowodu... Jest bardzo sumienny. A przynajmniej tak mi go opisano.

Kobieta nagle odłożyła słuchawkę. Ricky słuchał przez chwilę elektronicznego szumu, po czym odtworzył kolejną wiadomość. To znów była Wergiliusz.

– A więc, Ricky, nie chciałabym, żeby wynik pierwszej gry się powtórzył, ale jeśli tak być musi, cóż, wybór należy do ciebie. Na czym polega „nowa gra”, o której mówiłeś i jakie są jej zasady? Będę czytywała „Village Voice” z większą uwagą. A mój pracodawca jest... cóż, „skory” nie jest tu chyba właściwym słowem. Może „gryzie uprzęż z niecierpliwości”, jak koń wyścigowy. A więc czekamy na pierwszy ruch.

Ricky odłożył słuchawkę.

– Już go zrobiłem – powiedział na głos.

Lisy i ogary, pomyślał. Myśl jak lis. Musisz zostawiać ślady, żeby wiedzieć, gdzie są psy,

ale trzymać się na tyle daleko, żeby nie zostać wykrytym. A potem wpuścić ich w cierniste zarośla.

Rano pojechał metrem do pierwszego hotelu, w którym się zameldował. Oddał klucz znudzonemu recepcjonistce, czytającemu jakiś pornograficzny magazyn. Mężczyzna był zaniedbany – miał niedopasowane ubranie, poznaczoną dziobami twarz i bliznę na policzku. Ricky pomyślał, że hotel nie mógłby znaleźć sobie odpowiedniejszego człowieka na jego miejsce, choćby urządził casting. Recepcjonista wziął klucz bez słowa, nie odrywając wzroku od kolorowych stron czasopisma.

– Hej – powiedział Ricky, z trudem przyciągając odrobinę uwagi mężczyzny. – Możliwe, że przyjdzie mnie szukać człowiek z paczką.

Recepcjonista skinął głową, ale wciąż nie słuchał, wpatrzony w baraszkuje istoty na zdjęciach.

– Paczka coś znaczy – ciągnął Ricky.

– Jasne – odparł dziobaty bez odrobiny zainteresowania.

Ricky uśmiechnął się. Nie mógł wyobrazić sobie sytuacji bardziej odpowiadającej jego zamierzeniom. Rozejrzał się, upewniając, że oprócz nich w zapuszczonym i brudnym westybulu nikogo nie ma, po czym sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął pistolet i trzymając ręce pod blatem, przeładował go z charakterystycznym dźwiękiem.

Recepcjonista natychmiast na niego spojrzał lekko rozszerzonymi oczami.

Ricky uśmiechnął się paskudnie.

– Znasz ten dźwięk, co, dupku?

Mężczyzna położył dłonie na blacie.

– Słuchasz mnie teraz? – spytał Starks.

– Słucham.

Ricky pomyślał, że recepcjonista ma chyba wprawę w byciu obrabowywanym i zastraszanym.

– Spróbuję jeszcze raz – powiedział. – Człowiek z paczką. Dla mnie.

Będzie pytał, a ty dasz mu ten numer. Bierz ołówek i pisz: 212-55-27-98.

Pod tym telefonem mnie zastanie. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Niech ci da pięćdziesiątkę – powiedział Ricky. – Może setkę. To jest tyle warte.

Mężczyzna spojrzał na niego ponuro, ale skinął głową.

– A jak mnie nie będzie? – spytał. – Jak będzie tu siedział ktoś zupełnie inny?

– Chcesz dostać setkę, to będziesz – odparł Ricky. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Teraz zaczynają się schody. Jeśli przyjdzie ktoś inny, ktokolwiek, kto nie ma paczki, powiesz mu, że nie wiesz, gdzie jestem, kim jestem, nic. Ani słowa. Zrozumiałeś?

- Tylko człowiekowi z paczką. Jasne. Co jest w paczce?
- Nie chcesz wiedzieć. I nie spodziewaj się, że ci powiem.

Odpowiedź zabrzmiała groźnie i znacząco.

- A jak nie zobaczę paczki? Skąd będę wiedział, że to ten facet?
- Słuszna uwaga, kolego – pochwalił go Ricky. – Powiem ci coś.

Spytasz go, skąd zna pana Lazarusa, a on powie coś takiego: „Wszyscy wiedzą, że Łazarz zmartwychwstał trzeciego dnia”. Wtedy podasz mu numer. Jak wszystko dobrze pójdzie, może zarobisz więcej niż setkę.

- Trzeciego dnia. Łazarz zmartwychwstał. To jakieś biblijne sprawy?
- Może.
- Dobra, zrozumiałem.

– Świetnie – powiedział Ricky i schował pistolet do kieszeni, opuszczając kurek z odgłosem równie charakterystycznym, jak przeładowanie.

– Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. Jestem teraz o wiele bardziej zadowolony z pobytu w tym hotelu.

Uśmiechnął się i wskazał czasopismo.

- Nie pozwól, żebym dłużej odrywał cię od podręczników – powiedział i wyszedł.

Oczywiście żaden człowiek z paczką nie miał go szukać. W hotelu niedługo pojawi się ktoś inny, pomyślał, a recepcjonista poda wszystkie informacje człowiekowi, który będzie pytał o Ricky’ego, zwłaszcza kiedy stanie przed wyborem gotówka czy pobicie. Kiedy przekaze już wszystko, Rumpelstiltskin będzie miał się nad czym zastanawiać. Nieistniejąca paczka, zawierająca nieistniejące informacje i dostarczona przez człowieka, którego nie było. Ricky’emu podobał się ten pomysł. Niech się martwi o coś, co jest zupełną fikcją.

Pojechał do następnego hotelu.

Jego wystrój nie różnił się od pierwszego, co dodało Ricky’emu otuchy.

Za dużym, odrapanym, drewnianym biurkiem siedział brudny i otepiały recepcjonista. Tu także westybul był przygnębiająco nędzny i zapuszczony.

Ricky minął dwie kobiety w krótkich spódniczkach, pantoflach na obcasach i siatkowych pończochach, co wraz z ostrym makijażem nie pozostawiało wątpliwości co do ich profesji. Przyjrzały mu się wyczekująco. Potrząsnął głową, kiedy jedna z nich rzuciła w jego kierunku zapraszające spojrzenie.

- Glina... – mruknęła, po czym obie wyszły.

Ricky był zaskoczony. Sądził, że dobrze się przystosował do świata, w który zstąpił. Być może jednak, zrzućcie z siebie tego, kim się było przez całe życie, jest trudniejsze, niż można by się spodziewać.

Opadł na łóżko, czując, jak uginają się pod nim stare sprężyny. Ściany pokoju były cienkie,

więc słyszał dochodzące z pomieszczenia obok jęki i głośne stukanie łóżka. Z wentylacji bił słaby smród moczu. Ale o to właśnie mu chodziło. Chciał, by Rumpelstiltskin uwierzył, że Ricky w jakiś sposób zadomowił się w tym brudnym świecie.

Obok łóżka stał telefon. Starks przyciągnął go do siebie.

Najpierw zadzwonił do maklera zajmującego się kiedyś jego inwestycjami.

Odebrała sekretarka.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Dzień dobry. Nazywam się Diogenes... – Przeliterował powoli greckie nazwisko. – Proszę to zapisać – powiedział. – Reprezentuję pana Fredericka Lazarusa, wykonawcę testamentu świętej pamięci doktora Fredericka Starksa. Proszę przyjąć do wiadomości, że wszczęliśmy dochodzenie w sprawie poważnych nieprawidłowości dotyczących jego sytuacji finansowej tuż przed nieszczęśliwą śmiercią.

– Nasi ludzie już zajęli się tą sprawą... – Nie satysfakcjonują nas ich wyniki. Chciałbym poinformować, że przyślemy do państwa kogoś w celu zbadania akt i odnalezienia zaginionych kwot, aby można było przekazać je prawowitym właścicielom. Dodam, że niektóre osoby są bardzo niezadowolone z tego, jak zajęto się tą sprawą.

– Rozumiem, ale kto... – Sekretarka zdenerwowała się, słysząc nieznoszący sprzeciwu, ostry ton głosu Ricky'ego.

– Moje nazwisko Diogenes. Proszę o tym pamiętać. Odezwę się do państwa jutro lub pojutrze. Proszę poinformować swojego pracodawcę, że ma przygotować wszystkie niezbędne dane, zapisy transakcji, zwłaszcza elektronicznych przelewów, żebyśmy nie musieli marnować czasu, kiedy się spotkamy. Wstępne dochodzenie obejdzie się bez inspektorów SEC, ale w przyszłości ich obecność może okazać się konieczna. Rozumie pani, to kwestia współpracy.

Ricky zdawał sobie sprawę, że skrót, którym tak brawurowo się posłużył, musiał wyrzucić wrażenie. Żaden makler nie lubi, kiedy mówi mu się o inspektorach SEC.

– Myślę, że powinien pan porozmawiać z... Przerwał sekretarce.

– Oczywiście. Zadzwonię jutro albo pojutrze. Teraz jestem umówiony i muszę jeszcze wykonać kilka telefonów w tej sprawie, więc się pożegnaj.

Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, czując wkradającą się w jego serce ponurą satysfakcję.

Nie spodziewał się, że jego dawny makler, nudny człowieczek zainteresowany wyłącznie robieniem pieniędzy, rozpozna w jego nazwisku imię postaci, która bezowocnie przemierzała starożytny świat w poszukiwaniu uczciwego człowieka. Ricky wiedział jednak, że rozpozna je natychmiast ktoś inny.

Następny telefon wykonał do Nowojorskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego.

Doktora spotkał tylko raz czy dwa, na zebraniach społeczności medycznej, których tak

zawzięcie unikał, i uznał go za zarozumiałego, zapatrzonego w siebie freudowca, który nawet rozmawiając z kolegami, robił długie przerwy i znaczące pauzy. Mężczyzna był weteranem wśród nowojorskich psychoanalityków i leczył wielu sławnych ludzi. W jakiś sposób wyolbrzymiło to jego poczucie własnej wartości, jakby to, że prowadził terapię zdobywców Oscarów i Pulitzerów, czyniło go lepszym terapeutą albo lepszym człowiekiem. Ricky, który aż do swojego samobójstwa żył i pracował w samotności i izolacji, nie sądził, by istniała jakakolwiek szansa, że doktor rozpozna jego głos, więc nawet nie próbował go zmienić.

Zadzwoił na dziewięć minut przed pełną godziną, kiedy najprawdopodobniej wypada przerwa między jednym pacjentem a drugim.

Doktor podniósł słuchawkę po drugim dzwonku i przedstawił się poważnym szorstkim głosem.

– Doktor Roth, słucham... – Cieszę się, że pana zastałem, doktorze – powiedział wolno Ricky. – Nazywam się Diogenes. Reprezentuję pana Fredericka Lazarusa, wykonawcę testamentu świętej pamięci doktora Fredericka Starksa.

– W czym mogę pomóc? – przerwał Roth.

Ricky zawahał się na tyle długo, by doktor poczuł się nieswojo. Roth sam często tak robił.

– Interesuje nas, jak zakończyła się sprawa zarzutów przeciwko doktorowi Starksowi – powiedział ostro Ricky.

– Zarzutów?

– Tak. Zarzutów. Jak pan doskonale wie, tuż przed śmiercią doktor został oskarżony o molestowanie seksualne swojej pacjentki. Interesuje nas, jak zakończyło się śledztwo w sprawie tej skargi.

– Nie wiem, czy zostało oficjalnie zakończone – odparł opryskliwie Roth. – Na pewno nie ze strony towarzystwa. Samobójstwo doktora Starksa sprawiło, że jakiegokolwiek dalsze dochodzenie stało się bezcelowe.

– Naprawdę? – zdziwił się Ricky. – Czy nie przyszło do głowy panu lub komukolwiek w towarzystwie, którego jest pan przewodniczącym, że jego samobójstwo wynikało z niesprawiedliwości i nieprawdziwości tych zarzutów, a nie było ich potwierdzeniem?

– Oczywiście, rozważyliśmy taką możliwość... Kłamca, pomyślał Ricky.

– Czy zaskoczyłaby pana wiadomość, że młoda kobieta, która wysunęła te zarzuty, niedługo potem zniknęła?

– Słucham...?

– Nie pojawiła się więcej na terapii u lekarza z Bostonu, choć u niego właśnie złożyła zażalenie.

– To ciekawe... – A jego wysiłki, zmierzające do jej odnalezienia, zakończyły się niepokojącym odkryciem, że jej tożsamość – to, za kogo się podawała – była fałszywa.

– Falszywa?

– Wyszło na jaw, że jej zarzuty były częścią szerszej intrygi. Wiedział pan o tym, doktorze?

– Ależ skąd, nie, nie wiedziałem... Jak mówiłem, po samobójstwie nie ciągnęliśmy... –

Krótko mówiąc, umyliście ręce od całej sprawy.

– Została przekazana odpowiednim władzom... – Ale samobójstwo oszczędziło wam negatywnej reklamy i wstydu, prawda?

– Nie wiem... Cóż, z pewnością, ale... – Czy przyszło panu do głowy, że spadkobiercy doktora Starksa będą chcieli przywrócić jego dobre imię? Że rehabilitacja, nawet pośmiertna, może być dla nich ważna?

– Nie rozważałem tego.

– Czy wie pan, że może pan być uznany za współodpowiedzialnego jego śmierci?

Tak jak Ricky się spodziewał, stwierdzenie to wywołało natychmiastowe oburzenie.

– Ależ skąd! My nie... Ricky nie pozwolił Rothowi dokończyć.

– Istnieją inne rodzaje odpowiedzialności niż prawna, nieprawdaż, doktorze?

Podobało mu się to pytanie. Trafiało w sedno tego, o co chodzi w psychoanalizie.

Ricky widział oczami wyobraźni, jak mężczyzna po drugiej stronie porusza się niespokojnie w fotelu. Być może na jego czole i pod pachami zaczynał zbierać się pot.

– Oczywiście, ale... – Ale nikt w towarzystwie nie chciał znać prawdy. Woleli, żeby zniknęła w oceanie razem z doktorem Starksem, zgadza się?

– Chyba nie będę odpowiadał na więcej pytań, panie... – Oczywiście, że nie. Nie w tej chwili. Może kiedy indziej. Ale to ciekawe, nie sądzi pan, doktorze?

– Co?

– To, że prawda jest o wiele potężniejsza niż śmierć.

Ricky odłożył słuchawkę.

Położył się na łóżku i popatrzył na wiszącą pod sufitem żarówkę.

Czuł pot pod pachami, ale nie był zdenerwowany. Miał satysfakcjonujące poczucie, że postąpił słusznie. Para w sąsiednim pokoju zaczęła od nowa. Ricky przysłuchiwał się przez chwilę charakterystycznym odgłosom uprawiania seksu, dość zabawnym i nawet sprawiającym mu przyjemność.

Po chwili wstał, rozejrzał się i znalazł w szufladzie szafki nocnej mały notesik i tani długopis.

Zapisał nazwiska i numery telefonów ludzi, do których zadzwonił. Pod spodem dopisał dwa słowa: „pieniądze” i „reputacja”. Potem napisał nazwę trzeciego hotelu, w którym miał zarezerwowany pokój. Obok dopisał „dom”.

Potem zmiął kartkę i wrzucił ją do metalowego kosza na śmieci.

Wątpił, by w pokoju regularnie sprzątano. Istniała duża szansa, że ktoś, kto przyjdzie go

szukać, znajdzie tę notatkę. Zresztą na pewno sprawdzi wykaz rozmów telefonicznych z pokoju, dzięki czemu pozna numery, pod które przed chwilą zadzwonił. Dopasowanie ich do konkretnych rozmów nie było aż tak trudne.

Najlepsza gra to taka, pomyślał, z udziału w której nie zdajesz sobie sprawy.

Rozdział 30

Idąc przez miasto, Ricky znalazł sklep z używanymi rzeczami i kupił w nim kilka drobiazgów, które mogły mu się przydać podczas następnego etapu rozgrywki. Był to mały łom, tani zamek rowerowy, paczka lateksowych rękawiczek, minilatarka, rolka szarej taśmy samoprzylepnej i tania lornetka. Po chwili namysłu wziął jeszcze spray przeciwko komarom.

Była to dziwna kolekcja, ale Ricky nie wiedział na pewno, co będzie mu potrzebne.

Wczesnym popołudniem wrócił do hotelu i spakował to wszystko, razem z pistoletem i dwoma telefonami komórkowymi do małego plecaka.

Z trzeciej komórki zadzwonił do następnego hotelu na liście, tego, w którym jeszcze się nie zameldował. Zostawił pilną wiadomość dla pana Fredericka Lazarusa, prosząc, by oddzwonił do niego, kiedy tylko się zjawi. Podał recepcjonistce swój numer telefonu, po czym schował komórkę do kieszonki plecaka, oznaczywszy przedtem flamastrem. Kiedy wszedł do samochodu, wyjął telefon i drugi raz zadzwonił do hotelu, zostawiając dla siebie następną wiadomość. Wyjeżdżając z miasta w stronę New Jersey, zrobił to jeszcze trzykrotnie, za każdym razem z większym zniecierpliwieniem w głosie podkreślając, że ma bardzo ważne informacje dla pana Lazarusa i prosząc, by jak najszybciej do niego oddzwonił.

Po trzeciej wiadomości zatrzymał się w barze dla kierowców przy autostradzie. Wszedł do toalety, umył ręce i zostawił telefon na umywalce.

Kiedy wychodził, minęło go kilku nastolatków. Najprawdopodobniej zabiorą telefon i zaczną od razu z niego dzwonić, pomyślał. O to mu właśnie chodziło.

Pod wieczór dotarł do West Windsor. Cały odcinek autostrady był zakorkowany; samochody jechały coraz wolniej, aż w końcu zbiły się w trąbiącą, pokrzykującą i wlokącą ślimaczym tempem gęstwę, mijając wypadek przy zjeździe numer 11. Zwalniały przy tym jeszcze bardziej; kierowcy przyglądali się dwóm ambulansom, kilku radiowozom policji stanowej i poskręcany szczałkom dwóch niewielkich aut. Ricky zobaczył przykucniętego na poboczu mężczyznę w białej koszuli i krawacie, ukrywającego twarz w dłoniach. Pierwszy ambulans ruszył właśnie z wyciem syreny. Policjant z trasometrem zaczynał właśnie mierzyć ślady opon na jezdni. Inny machaniem ręki kazał przyspieszać przejeżdżającym samochodom.

Miał stanowczy i karcący wyraz twarzy, jakby ciekawość, najbardziej ludzkie z uczuć, była w tym momencie nie na miejscu.

Niedaleko Princeton, przy trasie numer jeden znalazł przydrożny bar.

Zatrzymał się w nim i spędził trochę czasu, jedząc cheeseburgera i frytki, przyrządzone przez człowieka, a nie maszyny i zegary. Czerwcowy dzień trwał długo; kiedy Ricky wyszedł z baru, wciąż było jasno. Pojechał na cmentarz, który odwiedził dwa tygodnie temu. Starego dozorcę nie było.

Miał szczęście, brama wjazdowa nie była zamknięta, więc zaparkował za białą szopą z narzędziami, tak by auto nie było widoczne z drogi.

Ricky wysmarował się płynem przeciw komarom i założył gumowe rękawiczki. Powoli zapadał zmrok. Niebo nad New Jersey nabierało niezdrowej szaroburej barwy, jakby krawędzie świata zapaliły się od upału.

Ricky zarzucił plecak na ramię, zerknął na pustą wiejską drogę, po czym ruszył truchtem w stronę psiarni. Wiedział, że tam czekają na niego informacje, których potrzebuje. Oddychał ciężko, ale wiedział, że nie spowodował tego wysiłku.

Skręcił z drogi i skrył się pod sklepieniem drzew, przemykając koło tablicy z reklamą hodowli i obrazkiem rottweilera o beczkowatym korpusie.

Potem zbiegł z podjazdu w krzaki osłaniające psiarnię od strony autostrady i ostrożnie podkradł się do zabudowań. Wciąż ukryty w zaroślach, nie wychodząc z cienia, wyjął z plecaka lornetkę i przyjrzał się okolicy, zapoznając się z rozkładem zabudowań.

Najpierw jego wzrok powędrował w stronę zagrody przy wejściu. Brutus nie spał, tylko chodził nerwowo w tę i z powrotem. Czuje płyn przeciw komarom, pomyślał Ricky, a pod nim mój zapach. Ale na razie nie wie, co z tym zrobić. Starks nie podszedł na tyle blisko, by zostać uznanym za zagrożenie. Przez chwilę zazdrościł psu prostoty jego świata, określanego tylko przez zapachy i instynkty, nieskażonego skomplikowanymi emocjami.

Przeczesując wzrokiem teren, zauważył, że w domu zapala się światło. Po dwóch minutach jeden z frontowych pokoi wypełniła charakterystyczna poświata włączonego telewizora. Biuro hodowli, nieco po lewej, wciąż było ciemne i, jak przypuszczał Ricky, zamknięte na klucz. Po raz ostatni rozejrzał się po placu. Pod gzymsem dachu zauważył duży prostokątny reflektor. Domyślił się, że włącza go fotokomórka i że swoim zasięgiem obejmuje teren przed domem. Ricky schował lornetkę do plecaka i przeszedł równoległe do zabudowań, trzymając się skraj krzaków, aż dotarł do krańca posesji. Od drzwi biura dzielił go krótki sprint. Miał nadzieję, że uda mu się nie włączyć reflektora.

Jego obecność zaalarmowała nie tylko Brutusa. Niektóre psy w innych zagrodach chodziły wzdłuż siatki z nosami w górze. Kilka, zaniepokojonych nowym zapachem, zaszczekało nerwowo.

Ricky zdawał sobie sprawę z faktu, że jak dotąd działał na obrzeżach prawa, ale wiedział też, że Rumpelstiltskin nie uznawał żadnych zasad, a przynajmniej tych, które narzucała znana Ricky'emu moralność.

Wziął głęboki oddech. Dawny Ricky nie umiałby sobie nawet wyobrazić takiej sytuacji. Nowy miał poczucie celu, do którego dążył z zimną krwią.

Zastanowił się, czy kiedykolwiek był chociaż w niewielkim stopniu tym, kim był teraz i kim miał się stać. To trudne pytanie, pomyślał.

Uśmiechnął się w duchu. Kiedyś mógłby zastanawiać się nad nim przez wiele godzin. Teraz już nie.

Spojrzał na niebo i zobaczył, że zgasły resztki dziennego światła, a od zapadnięcia ciemności dzieliły go zaledwie chwile. To najbardziej niepewna część dnia, pomyślał. Idealna do tego, co zamierzał zrobić.

Z tą myślą wyjął z plecaka łom i zamek rowerowy. Zarzucił plecak na ramiona, odetchnął głęboko i wyskoczył z krzaków, biegnąc w stronę frontu domu.

Zapadający mrok eksplodował harmidrem rozdrażnionych psów. Skowyty, wycia, szczeknięcia i warczenia przeszywały powietrze, zagłuszając tupot jego adidasów o zwirowy podjazd. Kątem oka Ricky widział, jak zwierzęta miotają się w klatkach, targane gwałtownym psim podnieceniem.

W kilka sekund dobiegł do zagrody Brutusa. Olbrzymi pies wydawał się jedynym zwierzęciem w hodowli, które nie straciło panowania nad sobą. Z oczu buchała mu wściekłość. Chodził w tę i z powrotem po betonowej podłodze, ale zatrzymał się, kiedy Ricky dobiegł do bramki. Przez chwilę przyglądał mu się z wyszczerzonymi kłami i nagle z szokującą prędkością rzucił się na siatkę. Siła ataku niemal przewróciła Ricky'ego.

Brutus odbił się i z pianą na pysku znów skoczył. Jego kły zagrzechotały na metalowym drucie.

Ricky szybko przełożył zamek rowerowy przez furtkę klatki, szybko cofając ręce, po czym zatrzasnął go i przekręcił kółka szyfru. Brutus natychmiast złapał zębami pokryty czarną gumą łańcuch.

– Pieprz się – szepnął Ricky, udając twardziela. – Przynajmniej nigdzie się stąd nie ruszysz.

Potem wstał i pobiegł do drzwi biura. Domyślał się, że zostało mu zaledwie kilka sekund, zanim właściciel zareaguje wreszcie na coraz głośniejszy harmider. Ricky zakładał, że hodowca będzie uzbrojony, ale nie miał co do tego pewności. Być może z Brutusem u boku czuł się tak pewnie, że nie widział potrzeby noszenia broni.

Ricky wcisnął łom w szczelinę w drzwiach i wyłamał zamek z głośnym jękiem pękającego drewna. Było stare, wypaczone i łatwo się poddało. Starks podejrzewał, że hodowca i tak nie trzyma w biurze nic wartościowego, a poza tym nie wyobraża sobie, żeby jakiś włamywacz chciał stanąć oko w oko z Brutusem. Drzwi otworzyły się i Ricky wpadł do środka. Przesunął plecak na pierś, schował łom i wyjął pistolet, od razu go repetując.

Hałas nie pozwalał mu myśleć, ale Ricky wpadł na pewien pomysł.

Włączył latarkę i pobiegł cuchnącym korytarzem między zagrodami, zatrzymując się przy każdej i otwierając ją.

W przeciagu kilku sekund otoczyła go zgraja skaczących i szczekających psów wszelkich ras. Niektóre były przerażone, inne rozentuzjasmowane, cuchnące, skamlące i zdeorientowane,

ale wszystkie zdawały sobie sprawę, że są wolne. Ponad trzydzieści psów nie wiedziało, co się dzieje, ale miało mniej lub bardziej mocne postanowienie wzięcia w tym udziału. Przepychające się między jego nogami zwierzęta sprawiły, że mimo całego zdenerwowania uśmiechnął się. Otoczony stadem rozdokazywanych psów, Ricky wrócił do biura, machając rękami i opędzając się niczym zniecierpliwiony Mojżesz na brzegu Morza Czerwonego.

Zobaczył, że na zewnątrz zapala się reflektor, i usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Ricky policzył do dziesięciu. Mężczyzna musiał już dojść do klatki Brutusa. Starks usłyszał przebijający się przez szczekanie psów inny dźwięk – hodowca próbował otworzyć zagrodę rottweilera. Zagrzechotał łańcuch. Mężczyzna zaklął, zrozumiał, że bramka się nie otworzy.

W tym momencie Ricky otworzył drzwi do biura.

– Dobra, chłopaki, macie wolne – powiedział, machając rękami.

Trzydzieści psów wyskoczyło w ciepłą noc New Jersey, głośno obwieszczając światu radość z wolności.

Hodowca zaklął wściekle. Ricky wyszedł z biura i stanął w cieniu.

Fala psów sprawiła, że mężczyzna stracił równowagę. Zachwiał się, opadł na jedno kolano, po czym niezgrabnie się podniósł. Próbował łapać psy, które skakały na niego w zamęcie zwierzęcych emocji. Niektóre się bały, niektóre wariowały z radości, inne były zagubione.

Kiedy hodowca spojrział w górę, zobaczył wycelowany w swoją twarz pistolet Ricky'ego. Sapnął i zachwiał się.

– Jesteś sam? – zapytał Ricky, przekrzykując ujadanie.

– Co?

– Jesteś sam? Czy ktoś jeszcze jest w domu?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Czy w domu jest kolega Brutusa? Jego braciszek, mama albo tata?

– Nie. Tylko ja.

Ricky przysunął pistolet tak, by do nozdrzy hodowcy dotarł gryzący zapach stali, oleju, a może i śmierci.

– Przekonanie mnie, że mówisz prawdę, jest bardzo istotne, jeśli chcesz pozostać przy życiu – wycedził.

Był trochę zaskoczony tym, jak łatwo kogoś zastraszyć, ale nie łudził się, że będzie w stanie wprowadzić swoją groźbę w czyn.

Za stalową siatką Brutus miotał się w paroksyzmach furii, rzucał się na ogrodzenie, przyciskając do niego kły. Warczał i toczył pianę z pyska.

Ricky spojrział na niego uważnie. To niełatwe, pomyślał, być splodzionym i wychowanym w jednym, jedynym celu. Kiedy wreszcie trafiła się okazja, by wykorzystać lata tresury, został zamknięty na dziecienny rowerowy zamek. Pies szalał z bezsilności. Ricky'emu przyszło do

głowy, że to w pewnym sensie metafora życia niektórych jego byłych pacjentów.

– Jestem tylko ja.

– Dobrze. Teraz możemy porozmawiać.

– Kim jesteś? – spytał mężczyzna.

Ricky przypomniał sobie w porę, że podczas pierwszej wizyty w psiarni nosił przebranie. Potarł dłonią policzek.

– Jestem kimś, kogo wolałbyś nie znać.

Po kilku sekundach mężczyzna był już tam, gdzie chciał Ricky – siedział na ziemi, oparty o klatkę Brutusa, z rękami na kolanach. Inne psy trzymały się z daleka od rozszalałego rottweilera. Niektóre zniknęły już w zaroślach, inne usiadły koło stóp swojego pana, a jeszcze inne skakały i bawiły się na zwirowym podjeździe.

– Wciąż nie wiem, kim jesteś – stwierdził hodowca. Patrzył na Ricky'ego i mrużył oczy, starając się go sobie przypomnieć. Cień i zmiana wyglądu działały na korzyść Starksa. – O co tu chodzi? Nie trzymam tu żadnej gotówki i... – To nie jest napad, chyba że uznajesz wydostawanie informacji za kradzież. Kiedyś myślałem, że to jedno i to samo – odparł zagadkowo Ricky.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie rozumiem – jęknął. – Czego chcesz?

– Niedawno był u ciebie prywatny detektyw, który zadawał pytania.

– Był. I co z tego?

– Chcę, żebyś mi na nie odpowiedział.

– Kim jesteś? – powtórzył hodowca.

– Powiedziałem ci. Ale w tej chwili jedyne, co musisz wiedzieć, to to, że ja mam broń, a ty nie. A twój jedyny środek obrony jest zamknięty za siatką i chyba cholernie zły z tego powodu.

Mężczyzna skinął głową, ale jednocześnie nabierał ostrożnej pewności siebie.

– Nie mówisz jak ktoś, kto może tego użyć. Więc może nie powiem ci nic o tym, co cię tak cholernie interesuje. Odpieprz się, kimkolwiek jesteś.

– Chcę, żebyś mi opowiedział o małżeństwie, które leży pochowane na cmentarzu niedaleko stąd. I o tym, jak kupiłeś to miejsce. A zwłaszcza o trójce dzieci, które ta para adoptowała, chociaż ty twierdzisz, że wcale tak nie było. Chciałbym się też dowiedzieć czegoś na temat telefonu, który wykonałeś zaraz po wizycie mojego przyjaciela Lazarusa. Do kogo dzwoniłeś?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Powiem ci tyle: zapłacili mi za ten telefon. I za to, żebym spróbował przytrzymać tu tego faceta, kimkolwiek był. Szkoda, że się zmył.

Dostałbym premię.

– Od kogo?

– To moja sprawa, panie twardzielu. Jak już powiedziałem, odpieprz się.

Ricky wymierzył pistolet w twarz mężczyzny. Hodowca uśmiechnął się szeroko.

– Widywałem gości, którzy umieli tego używać i założę się, kolego, że ty do nich nie należysz. – W jego głosie pobrzmiwała jednak nutka niepewności.

Pistolet w dłoni Starksa nawet nie drgnął. Ricky wycelował hodowcy między oczy. Im dłużej tak stał, tym bardziej niepewnie hodowca wyglądał. Starks widział krople potu na jego czole. Z drugiej strony z każdą sekundą mężczyzna coraz lepiej go poznawał. Ricky pomyślał, że być może będzie musiał stać się mordercą, ale nie wiedział, czy potrafi zabić kogoś innego niż swojego głównego wroga. Kogoś, kto stał z boku i tylko pomagał, nawet jeśli był to odrażający typ. Ricky zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnął się do hodowcy.

– Wiesz co? – powiedział wolno. – Masz sto procent racji. Właściwie jeszcze nie byłem w takiej sytuacji. To dla ciebie zupełnie jasne, że nie mam w tym doświadczenia?

– Tak – odparł mężczyzna. – Cholernie jasne.

Poruszył się lekko, jakby rozluźniony.

– Może, w takim razie – powiedział bezbarwnie Ricky – powinienem trochę potrenować.

– Co?

– Powiedziałem, że powinienem poćwiczyć. Bo niby skąd mam wiedzieć, czy będę w stanie do ciebie strzelić, jeśli nie sprawdzę najpierw tego na czymś troszkę mniej znaczącym? Może nawet zdecydowanie mniej znaczącym.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że rozumiesz – powiedział Starks. – Po prostu się nie skupiasz. Mówię ci właśnie, że nie jestem wielkim miłośnikiem zwierząt.

Mówiąc to, uniósł trochę lufę pistoletu i pamiętając o wszystkich lekcjach na strzelnicy w New Hampshire, wziął głęboki oddech, uspokoił się i nacisnął spust.

Ricky zgadł, że trafił w element ogrodzenia. Nie wiedział, czy odłamki rozprysniętej kuli trafiły rottweilera, czy nie. Hodowca popatrzył na niego ze zdumieniem, jakby dostał w twarz, i zasłonił jedno ucho dłonią, sprawdzając, czy nie drasnął go pocisk.

Podwórze rozbrzmiało na nowo mieszaniną wycia, ujadania i odgłosów gonitwy. Brutus, jedyny pies w zamknięciu, zrozumiał niebezpieczeństwo, jakiemu przyszło mu stawić czoło, i znów rzucił się dziko na siatkę.

– Musiałem spudłować – powiedział Starks niedbale. – Cholera, i pomyśleć, że tak dobrze strzelam.

Wycelował w rozwścieczonego psa.

– Jezu Chryste! – wyrzucił z siebie w końcu hodowca.

Ricky znów się uśmiechnął.

– To nie ma nic wspólnego z religią. Ważniejsze jest pytanie, czy kochasz swojego psa?

– Chryste! Czekaj! – Mężczyzna gorączkował się prawie tak samo, jak biegające po

podjeździe psy. Podniósł rękę, jakby chcąc powstrzymać Ricky'ego. – Zaczekaj chwilę!

– Chcesz coś powiedzieć? – spytał Ricky.

– Tak, niech to szlag! Tylko poczekaj.

– Czekam.

– Ten pies jest wart tysiące – dyszał hodowca. – To samiec alfa i tresowałem go godzinami, Chryste, przez pół pierdolonego życia. To pieprzony czempion, a ty chcesz go zastrzelić?

– Nie dajesz mi wyboru. Mógłbym zastrzelić ciebie, ale wtedy niczego bym się nie dowiedział, a poza tym, gdybym jakimś niesłychanym zbiegiem okoliczności trafił w ręce glin, musiałbym odeprzeć poważne zarzuty. Chociaż ty, oczywiście, nie nacieszyłyś się tym, bo byś nie żył.

Z drugiej strony, jak już powiedziałem, nie jestem wielkim miłośnikiem zwierząt. A twój Brutus... Dla ciebie może oznaczać pieniądze, ale dla mnie to po prostu wściekły, zapluty bydlak, który chce mi rozszarpać gardło. Świat będzie o wiele lepszy bez niego. Więc w tych okolicznościach myślę, że może czas, żeby Brutus trafił do wielkiej psiarni w niebie.

Głos Ricky'ego przepełniony był kpiącym rozbawieniem. Starks chciał, by mężczyzna uwierzył, że jest naprawdę okrutny, co nie było trudne.

– Po prostu zaczekaj chwilę – powiedział hodowca.

– Widzisz – odparł Ricky – teraz masz się nad czym zastanawiać.

Czy zatajanie informacji jest warte życia tego psa? Twój wybór, dupku.

Ale decyduj się szybko, bo tracę cierpliwość. Zadaj sobie pytanie: komu jestem winien lojalność? Psu, który był moim towarzyszem i maszynką do robienia pieniędzy przez tyle lat, czy jakimś obcym, którzy zapłacili mi za milczenie? Wybieraj.

– Nie wiem, kto to jest... – zaczął mężczyzna.

Ricky wycelował w psa. Hodowca podniósł tym razem obie ręce.

– W porządku... Powiem ci, co wiem.

– Tak będzie najlepiej. A Brutus najprawdopodobniej odpłaci ci za tę wspaniałomyślność, płodząc wiele miotów równie głupich i cudownie dzikich bestii.

– Nie wiem wiele... – Zły początek – stwierdził Ricky. – Usprawiedliwiasz się, zanim cokolwiek powiedziałaś.

Strzelił po raz drugi w kierunku rozszalałego psa. Pocisk trafił w drewnianą budę w głębi zagrody. Brutus zawył z upokorzenia i wściekłości.

– Cholera! Przestań! Wszystko powiem.

– Więc zaczynaj, proszę. Ta rozmowa i tak trwa już za długo.

– To wszystko zaczęło się dawno temu – zaczął mężczyzna po chwili namysłu.

– Wiem o tym.

– Miałaś rację co do tej pary, która tu mieszkała. Nie wiem dokładnie, jak to było

zorganizowane, ale adoptowali tę trójkę tylko na papierze.

Dzieciaków tu nigdy nie było. Nie wiem, kto za tym stał, bo przyjechałem tu już po ich śmierci. Zginęli w wypadku samochodowym.

Próbowałem kupić od nich to miejsce na rok przed ich śmiercią. Kiedy się rozbili, zadzwonił do mnie wykonawca ich testamentu i spytał, czy dalej jestem zainteresowany. Cena też była niewiarygodna... – Wysoka czy niska?

– Jestem tu, nie? Niska. To była prawdziwa okazja, zwłaszcza że dochodził do tego cały ich interes. Cholernie dobra cena. Szybko podpisaliśmy papiery.

– Z kim zawierałeś umowę? Z jakimś prawnikiem?

– Tak. Jak tylko się zgodziłem, to sprawą zajął się jeden miejscowy.

Idiota. Nadawał się tylko do zamykania spraw majątkowych i wykroczeń drogowych. I też nie wiedział, co się dzieje. Ale trzymał gębę na kłódkę, bo pewnie też ktoś go opłacił.

– Wiesz, kto sprzedał majątek?

– Tylko raz widziałem jego nazwisko. Prawniki chyba powiedzieli, że to jakiś krewny Jacksonów. Kuzyn, raczej daleki. Nie pamiętam, jak się nazywał, tylko to, że był jakimś doktorem.

– Doktorem?

– Tak jest. I powiedzieli mi bardzo wyraźnie jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Że jeśli ktoś kiedyś, kiedykolwiek przyjedzie do mnie wypytywać o kupno domu, starszych państwa albo trójkę dzieci, ktoś, kogo nie znam, mam zadzwonić pod podany numer.

– Podali ci nazwisko?

– Nie, tylko numer na Manhattanie. A potem, jakieś sześć, siedem lat później, ni z tego, ni z owego zadzwonił do mnie jakiś człowiek i powiedział, że numer się zmienił. Podał inny, też nowojorski. Po latach zadzwonił jeszcze raz, ten sam gość, z następnym numerem, ale tym razem na północy stanu. Pytał, czy ktoś się pojawił. Powiedziałem, że nie. On na to: „świetnie”. Przypomniał mi, jak się umówiliśmy, i dodał, że dostanę coś ekstra, jeśli ktoś przyjedzie. Ale pierwszy był ten Lazarus przedwczoraj.

Wypytywał mnie, a ja go przegoniłem. Potem zadzwoniłem pod ten numer. Odebrał jakiś starszy facet, poznałem po głosie, naprawdę stary. Powiedział, że dziękuje za informacje. Jakies dwie minuty później młoda kobieta. Powiedziała, że wysłała mi pieniądze, tysiąc, i że jak znajdę Lazarusa i przytrzymam go na miejscu, dostanę następny tysiąc. Powiedziałem jej, że zatrzymał się prawdopodobnie w jednym z moteli w miasteczku.

I to wszystko, aż ty się pojawiłeś. A ja ciągle nie wiem, kim, do cholery, jesteś.

– Lazarus to mój brat – powiedział cicho Ricky. – Ten numer, pod który dzwoniłeś, podaj mi go – dodał.

Mężczyzna pospiesznie wyrecytował dziesięć cyfr.

– Dziękuję – rzekł zimno Ricky. Nie musiał go zapisywać – już go znał.

Ruchem pistoletu kazał mężczyźnie położyć się na brzuchu.

– Ręce na plecy – poleciał.

– Och, daj spokój, człowieku. Wszystko ci powiedziałem. Nie wiem, o co tu chodzi, ale ja jestem mało ważny, do cholery.

– To na pewno.

– Więc mnie po prostu puść.

– Chcę tylko ograniczyć ci swobodę ruchów na kilka minut, żebym zdążył się oddalić, zanim wstaniesz, znajdziesz nożyce do metalu i wypuścisz Brutusa. Mam wrażenie, że chciałby ze mną spędzić kilka chwil w ciemnościach.

– To jedyny pies, jakiego znam, który potrafi zapamiętać urazę. W porządku. Rób, co musisz – powiedział lodowato ze złośliwym uśmiechem.

Ricky skrupował mu ręce taśmą klejącą i wstał.

– Zadzwonisz do nich, prawda?

– Gdybym powiedział, że nie, tylko byś się wściekł, bo wiedziałbyś, że kłamię.

Ricky uśmiechnął się.

– Mądrze mówisz. Masz rację.

Zamilkł, zastanawiając się, co chce, żeby hodowca powiedział. Pospiesznie układał rymy.

– Dobrze, powiesz im coś takiego:

Lazarus powstał i depcze ci po piętach.

Już niepotrzebna mu żadna zachęta.

Był tu, lecz może być wszędzie.

Gra się szybko toczy i zbliża do końca, Lazarus wierzy, że pokona ostatnich obrońców.

Możesz już tego nie robić swobodnie, ale lepiej przeczytaj „Voice” z tego tygodnia.

– To brzmi jak wiersz – powiedział mężczyzna, leżąc na brzuchu w pyle i wykręcając głowę, żeby widzieć Ricky’ego.

– Coś w tym rodzaju. Teraz się go nauczymy. Powtórz.

Po kilku próbach hodowca potrafił powtórzyć rymowaną prawie bez błędów.

– Nic nie rozumiem – powiedział, kiedy nauczył się wierszyka. – Co tu się dzieje?

– Grasz w szachy? – spytał Ricky.

– Nie za dobrze.

– No to ciesz się, że jesteś tylko pionkiem i nie musisz wiedzieć więcej niż pionek wiedzieć powinien. Ponieważ o co chodzi w szachach?

– Żeby pojmać królową i zabić króla.

Ricky uśmiechnął się.

– Mniej więcej. Miło mi się rozmawiało z tobą i Brutusem. Mogę ci coś poradzić?

– Co?

– Zadzwoń. Wyrecytuj wierszyk. Spróbuj połapać psy, które się rozbiegły. To powinno ci zająć trochę czasu. A rano wstań i zapomnij, że to się w ogóle stało. Wróć do swojego życia i nie myśl o tym więcej.

Hodowca poruszył się. Zazgrzytał zwir.

– To może być trudne.

– Być może – powiedział Ricky. – Ale myślę, że mądrze będzie spróbować.

Wstał, zostawiając mężczyznę na ziemi. Niektóre psy położyły się, ale kiedy się poruszył, wstały gwałtownie. Ricky schował pistolet do plecaka i z latarką w dłoni potruchtał drogą. Kiedy tylko wyszedł z zasięgu frontowej lampy, przyspieszył kroku, skręcając w ciemność i biegnąc w stronę cmentarza. Wyłączył latarkę i biegł dalej w zupełnych ciemnościach.

Przypominało to pływanie w rozhuśtanym burzą oceanie, rozcinanie fal, targających nim na wszystkie strony. Mimo wszechogarniającego mroku czuł blask jednego jedyne fragmentu uzyskanych informacji.

Numeru telefonu. Miał wrażenie, że wszystko, od pierwszego listu, który znalazł w swoim gabinecie, aż po chwilę obecną stało się nagle częścią jednej zagarniającej go fali. Zdał sobie sprawę, że musiała ona sięgać o wiele dalej. Całe miesiące i lata w jego przeszłość, gdzie coś go dopadło, poderwało, a on nawet tego nie zauważył. Wiedza ta powinna była go wyczerpać, ale on czuł dziwny przypływ energii i ulgę. Zrozumienie, że otaczają go kłamstwa, i ujrzenie wśród nich okrucha prawdy, działało jak paliwo, pchające go naprzód.

Miał przed sobą kilometry podróży. Kilometry autostrad i kilometry, które musiało pokonać jego serce. Obie drogi prowadziły w przeszłość i przyszłość. Biegł jak maratończyk wyczuwający bliskość mety, która leży tuż poza zasięgiem wzroku, ale którą zwiastuje ból nóg i wkradające się w każdy oddech wyczerpanie.

Rozdział 31

Było kilka minut po północy, kiedy Ricky dotarł do budki opłat na zachodnim brzegu rzeki Hudson, na północ od Kingston. Jechał szybko, równo, stosując się do ograniczeń prędkości, by nie zatrzymał go jakiś zirytowany policjant stanowy. Przypominało mu to całe jego poprzednie życie; chciał pędzić, ale bał się zaryzykować. Wymyślony Frederick Lazarus rozpędziłby wypożyczony samochód do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale on nie potrafił się na to zdobyć. Czuł się, jakby w samochodzie jechało dwóch mężczyzn – Richard Lively, który się ukrywał, i Frederick Lazarus, palący się do walki. Ricky wiedział, że odkąd sfabrykował własną śmierć, balansował między ryzykiem a bezpiecznym schronieniem. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest tak niewidzialny, jak mu się kiedyś wydawało. Domyślał się, że przeciwnik depcze mu po piętach, że znalazł wszystkie ślady i wskazówki, od New Hampshire po Nowy Jork i New Jersey.

Ale wiedział też, że jest blisko.

Był to śmiertelny wyścig. Duch polujący na martwego człowieka.

Trup ścigający ducha.

Zapłacił za przejazd jako jedyny o tak późnej porze. Obsługujący budkę mężczyzna trzymał egzemplarz „Playboya”. Nie czytał, lecz wpatrywał się w pismo i nie zwrócił uwagi na Ricky’ego. Most był dziwacznym wybrykiem architektury. Wznosił się na dziesiątki metrów nad powierzchnię czarnej wstęgi rzeki, oświetlony rzędem żółto-zielonych lamp próżniowych i opadał po stronie Rhinebeck, w zacisznej i nieco mrocznej lesistej okolicy, tak że z oddali przypominał jaśniejącą kolistą zawieszoną na hebanowej szyi, znikającą w nieprzeniknionej czerni brzegu.

Ricky skręcił w boczną drogę.

Znalazł miejsce, w którym mógł stanąć, i wyjął jeden z dwóch pozostałych mu telefonów komórkowych. Wybrał numer recepcji ostatniego hotelu, w którym miał się zatrzymać Frederick Lazarus. Było to zapuszczone, rozpadające się i podłe miejsce, znajdujące się zaledwie o stopień nad tymi, które wynajmują pokoje prostytutkom i ich klientom. Domyślał się, że recepcjonista na nocnej zmianie nie miał wiele do roboty, zakładając, że nikt nie został w hotelu zastrzelony ani pobity, co wcale nie było takie pewne.

– Hotel Excelsior, w czym mogę pomóc?

– Nazywam się Frederick Lazarus – powiedział Ricky. – Mam rezerwację na dzisiejszą noc, ale mogę przyjechać dopiero jutro.

– Nie ma problemu – powiedział mężczyzna, uśmiechając się pewnie na myśl o rezerwacji.

– Jutro będzie tyle samo wolnych pokoi, co dzisiaj. W tym sezonie nie mamy nadmiaru gości.

– Może pan sprawdzić, czy ktoś nie zostawił dla mnie wiadomości?

– Chwileczkę... – Ricky usłyszał odgłos kładzonej na blacie słuchawki.

Po chwili mężczyzna znów się odezwał: – Chryste, tak. Popularny z pana gość. Są przynajmniej trzy albo cztery... – Proszę mi je przeczytać – powiedział Ricky. – A ja się panu odwdzięczę, kiedy przyjadę.

Recepcjonista odczytał wiadomości. Były to te same, które Starks wysłał sam do siebie. Żadnych innych. Zastanowiło go to.

– Czy ktoś był u państwa i mnie szukał? Byłem z kimś umówiony... Mężczyzna zawahał się, i to wahanie powiedziało Ricky'emu wszystko, co chciał wiedzieć.

– Jest śliczna, prawda? – zapytał. – Z tych, co zawsze dostają to, czego chcą i kiedy chcą, prawda? Ma dużo więcej klasy niż te, które zwykle pan widuje w pracy, co?

Recepcjonista zakaszłał.

– Jest tam? – spytał Ricky.

– Nie – szepnął po chwili mężczyzna. – Wysła. Niecałą godzinę temu, zaraz po tym, jak ktoś zadzwonił do niej na komórkę. Spieszyła się.

Tak samo facet, który z nią był. Przychodzili tu kilka razy i pytali o pana.

– Facet, z którym była? – spytał Ricky. – Taki grubszy, blady, wygląda jak dzieciak, którego się bije w podstawówce?

– Dokładnie tak – zaśmiał się recepcjonista. – To on. Doskonały opis.

Dzień dobry, Merlin.

– Zostawili telefon albo adres?

– Nie. Powiedzieli, że wrócą. I nie chcieli, żebym mówił, że byli.

O co tu chodzi?

– To spotkanie w interesach. Wie pan co, jak się pojawiają, niech im pan poda ten numer... – Ricky podyktował numer ostatniego telefonu. – Ale niech panu za to zapłacą. Stać ich.

– W porządku. Mam im powiedzieć, że przyjeżdża pan jutro?

– Tak. Może pan powiedzieć. I proszę przekazać, że dzwoniłem i pytałem o wiadomości. To wszystko. Czytali je?

Mężczyzna znów się zawahał.

– Nie – skłamał. – To prywatne sprawy. Nie pokażalbym ich komuś obcemu bez pana zgody.

Jasne, pomyślał Ricky. Nie za mniej niż pięćdziesiąt baksów. Był zadowolony, że recepcjonista zachował się dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Rozłączył się i opadł na oparcie fotela. Nie będą pewni, pomyślał.

Nie będą wiedzieli, kto jeszcze szuka Fredericka Lazarusa. Ani dlaczego.

Będą się tym martwić i ich następny krok będzie niepewny. O to właśnie mu chodziło. Spojrzał na zegarek. Hodowca psów na pewno wy dostał się już z oków taśmy klejącej

i uspokoiwszy Brutusa oraz zebrawszy tyle psów, ile mógł, wykonał swój telefon. Ricky spodziewał się, że w domu, do którego jechał, w przynajmniej jednym oknie będzie paliło się światło.

Tak jak wcześniej tej nocy, Ricky zaparkował samochód z dala od drogi. Od celu dzieliło go około dwóch kilometrów, ale uważał, że przejście tego dystansu na piechotę da mu czas na zastanowienie się, co robić dalej. Czuł lekkie podniecenie, jakby wreszcie zbliżył się do odpowiedzi na niektóre z pytań. Równocześnie jednak przepełniało go wzburzenie, łatwo mogące przekształcić się we wściekłość, gdyby go nie hamował.

Zdrada, pomyślał, może mieć o wiele większą siłę niż miłość. Trochę go mdliło. Wiedział, że to efekt rozczarowania, zmieszanego z nieokiełznanym gniewem.

Ricky, niegdyś człowiek myśli, sprawdził, czy jego pistolet jest załadowany.

Teraz zmierzał do konfrontacji. Zdawał sobie sprawę, że zbliża się jedna z tych chwil, kiedy myśli i czyny zlewają się w jedno. Biegł, a tupot jego butów łączył się z odgłosami nocnej przyrody; szuraniem oposa w krzakach, cykaniem świerszczy na pobliskim polu. Chciał wtopić się w powietrze.

Zadał sobie pytanie: czy zabijesz kogoś tej nocy?

Nie znał odpowiedzi.

Czy chcesz kogoś zabić tej nocy?

Odpowiedź na to pytanie wydawała się o wiele łatwiejsza. Wiedział, że człowiek, którym się stał, jest na to gotowy. Człowiek, którego stworzył z odłamków i strzępów różnych osobowości po tym, jak jego życie legło w gruzach. Człowiek, który studiował wszystkie sposoby zabijania, o jakich mógł poczytać w lokalnej bibliotece, i który nauczył się strzelać.

Zatrzymał się, kiedy dobiegł do podjazdu domu. Przypomniawszy sobie, jak był tu prawie rok temu, pełen nadziei i na skraju paniki, oczekując pomocy, desperacko pragnąc jakichkolwiek odpowiedzi. Były tu i czekały na mnie, pomyślał, ukryte za zasłoną kłamstw. Nie dostrzegłem ich.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że człowiek, którego uważałem za swojego największego sprzymierzeńca, jest tym, kto próbuje mnie zabić.

W gabinecie paliło się światło. Tak jak się spodziewał.

Wie, że nadchodzę, pomyślał Ricky. A Wergiliusz i Merlin, którzy mogliby mu pomóc, wciąż są w Nowym Jorku. Nawet gdyby ruszyli na pomoc tuż po jego telefonie, mogli się zjawić dopiero za dobrą godzinę.

Może on wie, że tu jestem? Rozejrzał się, szukając drogi, którą mógłby się wślizgnąć do domu. Nie był jednak przekonany, że element zaskoczenia jest jeszcze potrzebny.

Przełożył pistolet do prawej dłoni i zarepetował. Skierował się w stronę frontowych drzwi, jak zaprzyjaźniony sąsiad w letnie popołudnie. Nie zapukał, po prostu nacisnął klamkę. Tak jak

się spodziewał, drzwi były otwarte.

Wszedł do środka.

– Tutaj, Ricky – dobiegł go głos z gabinetu.

Zrobił krok naprzód, podnosząc pistolet i przygotowując się do strzału.

Po chwili wkroczył w krąg światła.

– Witaj, Ricky. Masz szczęście, że żyjesz.

– Dobry wieczór, doktorze Lewis – odparł Starks.

Starzec stał za biurkiem, oparty o nie rękami, pochylony wyczekująco.

– Mam pana zabić już teraz, czy może za chwilę? – spytał Ricky, tłumiąc wściekłość.

Lewis uśmiechnął się.

– Niektóre sądy uznałyby, jak przypuszczam, twoje powody do zastrzelenia mnie. Ale chcesz uzyskać odpowiedzi na pewne pytania, a ja czekałem całą noc, żeby ci ich udzielić. Ostatecznie tym się właśnie zajmujemy, nieprawdaż, Ricky? Odpowiadaniem na pytania.

– Może kiedyś – odparł Ricky. – Teraz już nie.

Wycelował pistolet w człowieka, który kiedyś był jego mentorem.

Człowieka, który go wyszkolił. Doktor Lewis wyglądał na nieco zaskoczonego.

– Naprawdę przeżyłeś taki szmat drogi tylko po to, żeby mnie zamordować?

– zapytał.

– Tak – odparł Ricky, chociaż wiedział, że to kłamstwo.

– W takim razie zrób to. – Starzec spojrział na niego ostro.

– Rumpelstiltskin – powiedział Starks. – To cały czas był pan.

Lewis pokręcił głową.

– Nie, mylisz się. Ale to ja go stworzyłem. Przynajmniej częściowo.

Ricky wszedł głębiej do gabinetu. Za plecami miał ścianę. Widział te same półki z książkami. Te same obrazy. Przez chwilę był w stanie wyobrazić sobie, że wizyta sprzed roku nie miała miejsca. Pokój był zimny, zdawał się podkreślać neutralność i nieprzeniknioną osobowość właściciela.

Żaden element jego wystroju nie mówił nic o człowieku, który stał za biurkiem, co prawdopodobnie samo w sobie mówiło bardzo wiele. Nie potrzeba dyplomu na ścianie, żeby udowodnić, że jest się potworem. Starks zastanawiał się, dlaczego przeoczył to poprzednim razem. Poruszył pistoletem, dając starcowi znak, by usiadł w skórzanym fotelu.

Doktor Lewis usiadł, wzdychając głęboko.

– Starzeję się i nie mam już tylu sił, co kiedyś – powiedział bezbarwnym głosem.

– Proszę trzymać ręce tak, żebym je widział – ostrzegł Ricky.

Starzec podniósł ręce i postukał się palcem w czoło.

– Tak naprawdę niebezpieczne jest nie to, co trzymasz w rękach, Ricky. Powinieneś to

wiedzieć. Najważniejsze jest co, co tkwi w naszych głowach.

– Kiedyś mógłbym się z panem zgodzić, doktorze, ale teraz mam pewne wątpliwości. Oraz całkowitą entuzjastyczną ufność w to urządzenie.

Na wypadek, gdyby pan nie wiedział: to półautomatyczny pistolet luger. Strzela pociskami kalibru 0.38 z pustą częścią głowicową. W magazynku ma ich piętnaście, a każdy jest w stanie odłupać spory fragment pana czaszki, może nawet ten, w który się pan właśnie postukał. A wie pan, co w tej broni jest najbardziej intrygującego?

– Co takiego?

– To, że znajduje się w rękach człowieka, który już raz umarł. Który już nie istnieje w naszym świecie. Niech pan się zastanowi nad implikacjami tej egzystencjalnej sytuacji.

Lewis milczał przez chwilę, patrząc na broń. Potem się uśmiechnął.

– To ciekawe, co mówisz, Ricky. Ale ja cię znam. Znam to, co w tobie tkwi. Przez prawie cztery lata, cztery razy w tygodniu kładłeś się na mojej kanapie. Znam każdą twoją obawę, każdą wątpliwość, nadzieję, marzenie, aspirację i niepokój. Znam cię tak samo dobrze, jak ty sam, a może nawet lepiej i wiem, że nie jesteś mordercą, mimo wszystkich pozorów. Jesteś jedynie bardzo zagubionym człowiekiem, który w życiu dokonał bardzo złych wyborów. Nie sądzę, żeby zabójstwo udowodniło, że nie mam racji.

Ricky pokręcił głową.

– Na pana kanapie leżał człowiek, którego znał pan jako doktora Fredericka Starksa. Ale on już dawno nie żyje. Mnie pan nie zna. Zupełnie.

Potem wystrzelił.

Huk rozbrzmiał echem w małym pokoju, na chwilę go ogłuszając.

Pocisk przemknął nad głową doktora Lewisa i trafił w stojącą za nim biblioteczkę, rozszarpując grzbiet grubego tomu. Była to praca na temat psychologii klinicznej. Ricky omal nie wybuchnął śmiechem.

Doktor Lewis zbladł i gwałtownie odetchnął.

– Mój Boże – parsknął, gdy odzyskał równowagę. Ricky zobaczył w jego oczach coś, co nie było do końca strachem. To raczej zdumienie, jakby właśnie stało się coś zupełnie nieprzewidzianego. – Nie sądziłem... Ricky przerwał mu ruchem lufy pistoletu.

– Nauczył mnie tego pies.

Lewis obrócił się lekko w fotelu, przyjrzał miejscu, w które trafił pocisk, i pokręcił głową z uznaniem.

– Niezły strzał, Ricky – powiedział wolno. – Imponujący. Bliżej prawdy niż mojej głowy. Zapamiętaj to przez kilka następnych chwil.

Ricky popatrzył na starego lekarza.

– Niech pan przestanie udawać tępego – rzucił szorstko. – Porozmawiamy teraz

o odpowiedziach. To niesamowite, jak taka broń pomaga skupić się na omawianym temacie. Proszę pomyśleć o tych wszystkich godzinach spędzonych z pacjentami, także ze mną. O tych wszystkich kłamstwach, zwodzeniach, uciekaniu od tematu. O tym czasie, spędzonym na mozolnym docieraniu do prawdy. Kto by pomyślał, że to wszystko da się uprościć za pomocą takiego urządzenia? To trochę tak, jak z Aleksandrem i węzłem gordyjskim, nie sądzi pan, doktorze?

Lewis powoli się uspokajał. Teraz patrzył na Ricky'ego spod zmrużonych powiek, jakby wciąż próbował odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Ricky zignorował to spojrzenie. Podobnie jak rok temu, przesunął fotel i usiadł naprzeciwko doktora.

– Jeśli to nie pan – zapytał – to kim jest Rumpelstiltskin?

– Nie wiesz?

– Niech mnie pan oświeci.

– Najstarszym dzieckiem twojej byłej pacjentki. Kobiety, której nie pomogłeś.

– Do tego doszedłem sam. Proszę mówić dalej.

Lewis wzruszył ramionami.

– Moim adoptowanym dzieckiem.

– Tego dowiedziałem się dziś wieczorem. A dwoje pozostałych?

– To jego młodszy brat i siostra. Znasz ich jako Merlina i Wergiliusz.

Oczywiście nazywają się zupełnie inaczej.

– Też pan ich adoptował?

– Tak. Wzięliśmy całą trójkę. Najpierw jako przybrane dzieci, przez państwową agencję. Potem załatwiłem adopcję przez mojego kuzyna w New Jersey. Oszukanie biurokracji było żałośnie proste. Jak sam zapewne odkryłeś, tak naprawdę zupełnie ich nie interesowało, co stanie się z dziećmi.

– Więc noszą pana nazwisko?

– Nie – starzec pokręcił głową. – Nie ma tak dobrze, Ricky. Nie znajdziesz ich w żadnej książce telefonicznej pod nazwiskiem Lewis. Stworzyłem ich od nowa. Każde dostało inne nazwisko, inną tożsamość, inne wykształcenie. Ale w głębi serca wciąż pozostali rodzeństwem, a to jest najważniejsze. Wiesz o tym.

– Po co? Po co tak wymyślnie ukrywał pan ich przeszłość? Dlaczego nie... – Moja żona była już wtedy chora, a oboje przekroczyliśmy dopuszczalny przez prawo wiek. Mój kuzyn idealnie się do tego nadawał. A za drobną opłatą zgodził się pomóc. Pomóc i zapomnieć.

– Jasne – rzucił sarkastycznie Ricky. – A ich mały wypadek? Kłótnia domowa?

Lewis pokręcił głową.

– Zbieg okoliczności – powiedział.

- Freud powiedział, że zbiegi okoliczności nie istnieją.
- Oczywiście – przyznał Lewis. – Ale jest różnica między pragnieniem a działaniem.
- Naprawdę? Myślę, że tu się pan myli. Ale to nieistotne. Dlaczego one? Dlaczego akurat ta

trójka?

Stary psychoanalityk znów wzruszył ramionami.

– Zarozumiałość. Arogancja. Egotyzm.

– To tylko słowa, doktorze.

– Tak. Ale wiele wyjaśniają. Powiedz mi, Ricky, czy morderca – bezlitosny, morderczy psychopata – to ktoś, kogo stworzyło otoczenie? Czy urodził się już taki, bo miał jakąś nieskończenie małą wadę w genach?

Jak to jest, Ricky?

– Otoczenie. Tego nas uczono. Każdy analityk by tak powiedział.

Chociaż genetycy mogliby się z tym nie zgodzić. Ale psychologicznie jesteśmy produktem tego, skąd pochodzimy.

– Zgadzam się z tobą. Więc przyjąłem dziecko – i dwójkę jego rodzeństwa – jako królika doświadczalnego. Porzucony przez rodzzonego ojca. Odrzucony przez resztę rodziny. Nigdy nie doświadczył stabilności.

Był wystawiony na wszelkiego rodzaju seksualne perwersje. Bez przerwy bity przez kolejnych socjopatycznych kochanków matki, która w końcu na jego oczach zabija się z rozpacy i nędzy. Nie potrafił ocalić jedynej osoby na świecie, której ufał. To dobry przepis na zło, nie sądzisz?

– Tak.

– A ja pomyślałem, że mógłbym wziąć to dziecko i wszystko w nim odwrócić. Pomogłem zbudować mu świat, w którym mógłby odciąć się od swojej przerażającej przeszłości. Pomyślałem, że zamienię go w produktywnego członka społeczeństwa. To była z mojej strony arogancja.

– Nie udało się panu?

– Nie. Ale co ciekawe, zaskarbiłem sobie jego lojalność. A może nawet jakieś uczucie. To straszna, a zarazem fascynująca rzecz, Ricky, być kochanym i szanowanym przez człowieka oddanego śmierci. A tak jest z Rumpelstiltskinem. To profesjonalista. Zawodowy morderca. Ma najlepsze wykształcenie, jakie mogłem mu zapewnić. Exeter. Harvard.

Wydział prawa na Columbii. Krótki pobyt w wojsku. Wiesz, co jest w tym najciekawsze?

– Niech mi pan powie.

– Jego praca nie różni się tak bardzo od naszej. Przychodzą do niego ludzie, którzy mają problem i dobrze mu płacą za jego rozwiązanie. Pacjent, który przychodzi do naszego gabinetu, desperacko pragnie pozbyć się swojego ciężaru. Jego klienci też. Tyle że on używa nieco bardziej

bezpośrednich środków. A oprócz tego, że jest bardzo bogaty, wiesz, jaką ma jeszcze zaletę?

– Jaką?

– Jest nieustępliwy. – Lewis westchnął. – Ale być może sam to już zauważyłeś. Czekał wiele lat, przygotowywał się, a potem odnalazł wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek skrzywdzili jego matkę, i zniszczył ich tak, jak oni zniszczyli ją. Myślę, że to nawet trochę wzruszające. Synowska miłość. Czy postąpił źle, karząc wszystkich tych, którzy systematycznie albo przez swoją ignorancję niszczyli jej życie? Którzy zostawili ją na pastwę losu, z trójką małych dzieci, w najokrutniejszym ze światów?

Nie sądzę, Ricky. Nawet najbardziej irytujący politycy mówią bez przerwy, że żyjemy w społeczeństwie, które wymiguje się od odpowiedzialności.

Czy zemsta nie jest po prostu wyegzekwowaniem czyjegoś długu, tyle że przeprowadzonym innymi sposobami? Ludzie, których wybrał, naprawdę zasługiwali na karę. Tak jak ty zignorowali czyjeś błaganie o pomoc.

– Ale dlaczego ja? – wykrzyknął Starks. – Ja nie... – Oczywiście, że tak. Przyszła do ciebie po pomoc, a ty byłeś zbyt zajęty zastanawianiem się nad swoją karierą, żeby jej udzielić. A kiedy samobójstwo popełnia pacjentka, która była pod naszą opieką – choćby tylko przez kilka sesji – nie czujemy wyrzutów sumienia? Nie mamy poczucia winy? Nie zasługujemy na karę?

– Kiedy się pan dowiedział... – O twoim związku z moim adopcyjnym eksperymentem? Pod koniec twojej analizy. Postanowiłem po prostu zaczekać i zobaczyć, jak sprawy się potoczą.

Ricky poczuł wzbierający w nim gniew. Czuł suchość w ustach.

– Kiedy zaczął na mnie polować? Mógł mnie pan ostrzec... – Zdradzić swoje adoptowane dziecko dla jednorazowego pacjenta?

Do tego nawet nieulubionego... Te słowa zabolaty Ricky'ego. Zrozumiał, że starzec jest tak samo zły jak dziecko, które zaadoptował. Może nawet gorszy.

– Pomyślałem, że można to uznać za sprawiedliwość. – Lewis roześmiał się głośno. – Ale to dopiero połowa całości, Ricky.

– Której połowy nie znam?

– Myślę, że tego będziesz musiał dowiedzieć się sam.

– A pozostała dwójka?

– Mężczyzna, którego znasz jako Merlina, naprawdę jest prawnikiem, do tego bardzo dobrym. Wergiliusz jest aktorką u progu wielkiej kariery.

Zwłaszcza teraz, kiedy zakończyli już prawie wszystkie zaległe sprawy. Myślę, Ricky, że ty i ja to ostatnie zaległości, jakie im zostały. Kolejna rzecz, o której powinienes wiedzieć, to to, że oboje wierzą, iż to ich starszy brat, którego znasz jako Rumpelstiltskina, uratował im życie. Nie ja, choć miałem w tym swój udział. To on nie pozwolił, żeby się rozdzielili, to on nalegał, żeby chodzili do szkoły i dostawali same piątki, a potem doszli do czegoś w życiu.

Musisz zrozumieć jedno: są mu bezgranicznie oddani. Całkowicie lojalni wobec człowieka, który zabił cię już raz i zrobi to ponownie. Czy to nie intrygujące z psychiatrycznego punktu widzenia? Człowiek pozbawiony skrupułów, który zaskarbia sobie ślepe i bezgraniczne oddanie... Psychopata, który zabije cię tak samo, jak ty rozdeptujesz pająka, ale który jest kochany i sam kocha. Ale kocha jedynie tę dwójkę. Nikogo innego. Może mnie, odrobinę, bo to ja go uratowałem i ja mu pomogłem. Więc może zaskarbiłem sobie tym samym jego lojalność. Musisz to zapamiętać, Ricky, ponieważ masz bardzo małe szanse przeżyć swój kontakt z Rumpelstiltskinem.

– Kim on jest? – spytał ostro Ricky.

– Chcesz poznać jego nazwisko? Adres? Miejsce pracy?

– Tak. – Ricky wycelował w doktora pistolet.

Doktor Lewis potrząsnął głową.

– Zupełnie jak w tej bajce[* Chodzi o bajkę braci Grimm Rumpelstiltskin], prawda? Posłaniec księżniczki podsłuchuje tańczącego przy ognisku karta i poznaje jego imię. Księżniczka nie robi nic mądrego ani sprytnego, ani nawet skomplikowanego. Po prostu ma szczęście, więc kiedy karzeł wraca po odpowiedź na trzecie pytanie, ona ją zna, przez głupi przypadek, i dlatego przeżywa, zachowuje swoje pierwotne dziecko i żyje długo i szczęśliwie. Myślisz, że z tobą będzie tak samo? Że szczęście, dzięki któremu stoisz tu i wygrażasz bronią staremu człowiekowi, pozwoli ci zwyciężyć w tej grze?

– Imię i nazwisko – powiedział cicho Ricky. – Imiona i nazwiska ich wszystkich.

– Dlaczego sądzisz, że już ich nie znasz?

– Mam już dość gier – odparł Starks.

Doktor Lewis pokręcił głową.

– Całe życie to gry. Jedna po drugiej. A śmierć to największa gra ze wszystkich.

Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

– Zastanawiam się – zaczął ostrożnie doktor, spoglądając na zegar ścienny – ile jeszcze czasu ci zostało?

– Wystarczająco dużo – odparł Ricky.

– Czyżby? – zdziwił się Lewis. – Czas to bardzo elastyczna rzecz, prawda? Chwile mogą trwać wieczność albo mgnienie oka. Czas to tak naprawdę funkcja naszego postrzegania świata. Czy nie tego uczymy się przez analizę?

– Tak – powiedział Ricky. – To prawda.

– A dzisiejszego wieczoru powstało wiele pytań dotyczących czasu.

Spójrz, Ricky, jesteśmy sami w tym domu. Ale jak długo jeszcze? Nie wydaje ci się, że wiedząc o tym, że przyjdiesz, wezwałem pomoc? Ile czasu upłynie, zanim ta pomoc przybędzie?

– Wystarczająco dużo.

– O, nie byłbym tego taki pewny. – Staruszek znów się uśmiechnął. – Ale być może powinniśmy trochę to skomplikować.

– Jak to?

– Założmy, że powiem ci, iż w tym pokoju znajdują się informacje, których szukasz. Zdołasz je znaleźć, zanim przybędzie pomoc?

– Powiedziałem panu, mam dość gierki.

– Są na widoku. A ty już zbliżyłeś się do nich bardziej, niż mógłbyś przypuszczać. Już. Dość wskazówek.

– Nie będę w to grał.

– Cóż, myślę, że się mylisz. Myślę, że będziesz musiał pograć nieco dłużej, ponieważ gra jeszcze się nie skończyła. – Doktor Lewis podniósł gwałtownie obie ręce. – Ricky, muszę coś wyjąć z górnej szuflady biurka.

To coś, co na pewno zmieni bieg rozgrywki. Coś, co będziesz chciał zobaczyć. Mogę?

Ricky wycelował pistolet w czoło doktora.

– Proszę.

Lewis uśmiechnął się paskudnym zimnym uśmiechem, niemającym nic wspólnego z wesołością. Grymasem kata. Wyjął z szuflady kopertę i położył ją na biurku.

– Co to jest?

– Może to informacje, po które tu przyszedłeś? Nazwiska i adresy.

– Proszę mi to podać.

Lewis wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz... Pchnął kopertę po blacie biurka, a Ricky szybko ją złapał. Była zaklejona.

Oderwał na chwilę oczy od doktora, by obejrzeć list. Kiedy tylko to zrobił, zrozumiał, że popełnił błąd.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że doktor trzyma w prawej ręce mały rewolwer z krótką lufą.

– Nie tak duży jak twój, prawda, Ricky? Ale prawdopodobnie równie skuteczny. Widzisz, właśnie popełniłeś błąd, którego nie zrobiłaby żadna z trzech osób, o które ci chodzi. A już na pewno nie człowiek, którego znasz jako Rumpelstiltskina. Nigdy nie oderwałby oczu od celu.

Nawet na sekundę. Nieważne, jak dobrze znałby osobę, w którą celował, nigdy nie zaufałby jej na tyle, by oderwać od niej wzrok. Może to ci uświadomi, jak małe masz szanse.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem nad biurkiem, celując do siebie z pistoletów.

Ricky zmrużył oczy. Zaczynał się pocić.

– To urzeczywistnienie fantazji każdego analityka, prawda? – wyszeptał Lewis. – Czy w układzie przeniesienia nie chcemy zabić psychoanalityka, tak jak chcemy zabić matkę, ojca

i każdego, kto symbolizuje wszystkie niedogodności naszego życia? A czy analityk także nie czuje morderczej pasji, którą chciałby wyładować?

Ricky nie odpowiedział od razu.

– Dziecko mogło być królikiem doświadczalnym, tak jak pan mówi – wymamrotał w końcu.

– Ale można było je z tej drogi zawrócić. Mógł pan to zrobić, ale nie zrobił. Znacznie ciekawsze było obserwowanie, co się zdarzy, jeśli pozwoli mu się zagubić emocjonalnie. A dla pana o wiele łatwiej było zrzucić winę na całe zło świata i zignorować swój współudział.

Lewis pobrał.

– Wiedział pan – ciągnął Ricky – że jest pan takim samym psychopata jak on? Chciał pan mordercy, więc go pan sobie znalazł, bo tym właśnie zawsze chciał pan być. Mordercą.

– Zawsze byłeś sprytny, Ricky. Pomyśl, do czego mógłbyś dojść w życiu, gdybyś miał trochę więcej ambicji i subtelności.

– Niech pan odłoży broń, doktorze. Nie zastrzeli mnie pan – stwierdził Starks.

Lewis nie przestawał celować mu w twarz.

– Przecież nie muszę tego robić. Człowiek, który raz cię już zabił, zrobi to ponownie. A tym razem nie wystarczy mu nekrolog w gazecie.

Myślę, że będzie chciał zobaczyć twoją śmierć na własne oczy. Nie sądzisz?

– Nie, jeśli będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Być może, kiedy znajdę już te wszystkie wskazówki, które podobno tu są, znów zniknę.

Raz mi się to już udało i myślę, że potrafiłbym wyparować po raz drugi. Może Rumpelstiltskin będzie musiał zadowolić się tym, co osiągnął za pierwszym podejściem? Doktor Starks nie żyje. Tamtą rundę wygrał.

Ale ja nie ustane i będę tym, kim zechcę. Mogę wygrać, uciekając. Ukrywając się. Pozostając żywym i anonimowym. Czy to nie dziwne, doktorze?

My, którzy tak ciężko pracowaliśmy, żeby skłonić siebie samych i pacjentów do konfrontacji z własnymi demonami, możemy przetrwać, uciekając. Pomagaliśmy pacjentom stawać się kimś, a ja mogę stać się niczym i wygrać. To ironia, nie sądzi pan?

Lewis przytaknął.

– Przewidziałem tę reakcję – powiedział powoli. – Wyobraziłem sobie odpowiedź, której właśnie mi udzieliłeś.

– A więc – podjął Ricky – powtarzam: niech pan odłoży broń, a ja zniknę. Zakładając, że informacje, których potrzebuję, są w tej kopercie.

– W pewien sposób są – wyszeptał Lewis z paskudnym uśmiechem.

– Ale mam do ciebie jeszcze jedno, ostatnie pytanie, może dwa... Jeśli pozwolisz.

Starks skinął głową.

– Opowiedziałem ci o jego przeszłości. A co powiedziałem o jego związku ze mną?

– Mówił pan o dziwacznej lojalności i miłości. Miłości psychopaty.

– Miłość jednego mordercy do drugiego. Niezwykła rzecz, nie sądzisz?

– Fascynujące – odparł szorstko Ricky. – Gdybym wciąż był psychoanalitykiem, byłbym zaintrygowany i chciał zgłębić ten temat. Ale już nie jestem.

– Och, jesteś w błędzie. Uważam, że nie można przestać być lekarzem.

– Lewis pokręcił głową. – Myślę, że nasz czas dzisiaj dobiegł końca.

Ostatnia sesja. Pięćdziesięciminutowa godzina. Być może teraz twoja własna analiza jest już prawie skończona. Ale ostatnie pytanie, z którym chcę cię zostawić, brzmi tak: skoro tak bardzo chciał cię zabić po tym, jak zawiodłeś jego matkę, co będzie chciał ci zrobić, jeśli uwierzy, że zabiłeś mnie?

– Co pan ma na myśli? – wyksztusił Ricky.

Ale stary lekarz nie odpowiedział. Szybkim ruchem przyłożył pistolet do skroni, uśmiechnął się jak szaleniec i strzelił.

Rozdział 32

Ricky krzyknął, zaskoczony i zaszokowany, a jego głos wtopił się w echo wystrzału.

Starks stał przy biurku, patrząc na człowieka, któremu kiedyś tak bezgranicznie ufał. Wciąż otwarte oczy doktora Lewisa patrzyły przed siebie z makabryczną intensywnością. Szkarłatna mgiełka krwi i mózgu opryskała biblioteczkę, a głęboka bordowa struga spływała z ziejącej rany po policzku i brodzie lekarza, plamiąc koszulę. Rewolwer upadł na podłogę, na gruby perski dywan. Ricky sapnął głośno, kiedy ciało starca drgnęło w ostatnim spazmie.

Nie pierwszy raz widział śmierć. Kiedy był stażystą przechodzącym szkolenie rotacyjne między interną a ostrym dyżurem, wiele razy ktoś umierał w jego obecności. Wtedy jednak dookoła stał sprzęt medyczny i byli ludzie, próbujący ratować życie. Nawet kiedy jego żona uległa w końcu rakowi, było to zakończenie pewnego procesu.

Ta śmierć była zupełnie inna. Nieludzka. Ricky z trudem zwalczył ogarniającą go panikę i chęć ucieczki.

Spróbował zebrać myśli. W pokoju panowała cisza; słyszał własny ciężki oddech, wydawało mu się, że każde ścięgnię w jego ciele skurczyło się i że tylko ucieczka pozwoli mu się rozluźnić. Przytrzymał się krawędzi biurka, odzyskując równowagę.

– Coś ty mi zrobił, starcze? – spytał, a jego głos zabrzmiał obco, jak kaszlnięcie podczas mszy.

Potem odpowiedział na swoje pytanie: próbował mnie zabić. A ja się broniłem. Śmierć starego lekarza miała rozwścieżyć troje ludzi, którzy winą obciążą Ricky'ego, nieważne, jakie dowody samobójstwa będą mieli przed oczami.

Ricky wiedział, że doktor Lewis nie chciał tak po prostu go zabić.

Miał go na muszce i mógł z łatwością pociągnąć za spust. Stary człowiek chciał pogrążyć wszystkich uczestników morderczej gry w moralnym zepsuciu równym swojemu. To było o wiele ważniejsze niż zabicie Ricky'ego i siebie. Od samego początku chodziło o coś więcej niż jego śmierć. Chodziło o sam proces. O to, w jaki sposób dochodzi się do śmierci.

Była to gra godna psychoanalitka.

Jeszcze raz odetchnął głęboko. Rumpelstiltskin mógł być wykonawcą i motywatorem zemsty, ale sam pomysł gry należał do martwego człowieka, rozciągniętego przed nim na fotelu. Był tego pewien.

Co znaczyło, że kiedy Lewis mówił o wiedzy, najpewniej mówił prawdę, a przynajmniej jakiś jej wypaczony, perwersyjny rodzaj.

Dopiero po kilku chwilach Ricky uświadomił sobie, że wciąż ściska w dłoni kopertę. Z trudem oderwał wzrok od ciała doktora, rozerwał kopertę i wyjął z niej kartkę. Zaczął szybko czytać.

Ricky, żniwem zła jest śmierć. Pomyśl o tych ostatnich chwilach jak o podatku, który zapłaciłem od całego zła, jakie wyrządziłem. Informacje, których szukasz, są tuż przed Tobą, ale czy zdołasz je znaleźć? Czy nie tym się zajmujemy?

Sondowaniem oczywistych tajemnic? Znajdowaniem wskazówek, które leżą przed naszymi oczami i głośno zwracają na siebie uwagę?

Zastanawiam się, czy masz dość czasu i sprytu, by zobaczyć to, co zobaczyć musisz. Wątpię. Sądzę, że najprawdopodobniej dziś w nocy umrzesz w podobny sposób, jak ja. Tyle że Twoja śmierć będzie o wiele bardziej bolesna, ponieważ Twoja wina jest o wiele mniejsza niż moja.

List nie był podpisany.

Ricky czuł, że wzbiera w nim panika.

Zaczął rozglądać się po gabinecie. Zegar, cicho tykając, odmierzał mijające sekundy. Ricky próbował szybko obliczyć, ile ma czasu. Kiedy Lewis zadzwonił do Merlina i Wergiliusz, a może i Rumpelstiltskina, żeby powiedzieć im, że Ricky do niego jedzie? Jazda z miasta do Rhinebeck zajmuje dwie godziny. Może trochę krócej. Zostały mu sekundy?

Minuty? Kwadrans? Wiedział, że musi uciekać, oddalić się od siedzącej przed nim śmierci, choćby po to, by zebrać myśli i spróbować ustalić, co robić dalej. O ile mógł jeszcze coś zrobić. Przypominało to grę w szachy z mistrzem; przestawianie figur na chybił trafił ze świadomością, że przeciwnik przewiduje każde posunięcie na dwa, trzy, cztery albo więcej ruchów naprzód.

Tuż przede mną, pomyślał gorączkowo.

Wślizgnął się za biurko, starając się nawet nie otrzeć o trupa, sięgnął do górnej szuflady i zamarł. Co zostawiam, pomyślał? Włosy? Odciski palców? Próbki DNA? Czy w ogóle popełniłem przestępstwo?

Są dwa rodzaje przestępstw. Pierwszy ściąga policję, prokuratorów i powagę państwowej sprawiedliwości. Drugi uderza w serca pojedynczych ludzi. Czasami oba zlewają się w jedno, ale to, co się właśnie stało, należało bez wątpienia do drugiego rodzaju, a jego najbardziej martwiło to, że sędzia, przysięgli i kat są coraz bliżej.

Ricky nie mógł tego zignorować. Uświadomił sobie jednak fakt, że człowiek, który zostawiał w gabinecie zabitego odciski palców i inne ślady, również nie żyje. Dawało mu to pewną ochronę, choćby tylko przed policją, która w końcu musi się tu zjawić. Otworzył szufladę.

Była pusta.

Przeszukał pospiesznie wszystkie pozostałe szuflady i również niczego w nich nie znalazł. Zbadał palcami spód blatu, obejrzał biurko od dołu, ale niczego nie zauważył. Wziął głęboki oddech i przeszukał kieszenie trupa. Były puste. Stary analityk wytarł swój świat do czysta. Ricky pokiwał głową. Psychoanalityk zdaje sobie sprawę o wiele lepiej niż inni, co świadczy o tym, kim się jest. A co za tym idzie, chcąc ukryć swoją tożsamość, lepiej niż inni wie, które rzeczy usunąć.

Starks ponownie omiół wzrokiem gabinet. Przyszło mu do głowy, że może gdzieś jest sejf. Zauważył zegar i to nasunęło mu pewną myśl.

Doktor Lewis mówił o czasie. Być może to była wskazówka. Podbiegł do ściany i zajrzał za zegar.

Nic.

Chciał krzyknąć z wściekłości. To musi tu być!

Znów głęboko odetchnął. A może wcale nie musi, pomyślał, a stary chciał mnie tu zatrzymać, aż przyjadą jego mordercze dzieci? Czy to ciągle gra? Może chciał, żeby tu nastąpił koniec? Ricky ścisnął broń i odwrócił się do drzwi.

Nie, to byłoby proste kłamstwo, a doktor Lewis kłamał w bardziej wyrafinowany sposób. Coś musi tu być.

Ricky odwrócił się do biblioteczki. Na półkach stały zebrane dzieła Freuda i Junga, trochę nowoczesnych opracowań i zapisów eksperymentów medycznych. Książki o depresji. Książki o lękach. O snach. Dziesiątki książek, wypełnionych zaledwie skromną częścią wiedzy o ludzkich emocjach. Między nimi tom, w który trafił pocisk Ricky'ego. Starks spojrzął na jego tytuł. Encyklopedia Psychologii Klinicznej. Kula poszarpała fragment ostatniego słowa, zostawiając Klin... Zamarł, wpatrzony w grzbiet tomu.

Po co psychoanalitykowi książka o psychologii klinicznej? Ich profesja zajmowała się niemal wyłącznie lekko skrzywionymi emocjami. Nie tykali tych najbardziej mrocznych i wypaczonych. Ze wszystkich książek na półkach ta wydawała się nie na miejscu, ale zauważyć to mógł tylko inny psychoanalityk.

Starks podskoczył do biblioteczki i wyrwał książkę z półki. Była gruba i ciężka, ze złotymi literami na czarnej oprawie. Otworzył ją na stronie tytułowej.

Grubym czerwonym flamastrem napisano na niej słowa: Dobry wybór, Ricky. Czy potrafisz znaleźć właściwe hasła?

Nie sądził, że ma dość czasu, by odpowiadać w tej chwili na to pytanie.

Wyjął książkę z innej półki i włożył ją na miejsce tej, którą zabrał.

Zerknął po raz ostatni na zwłoki doktora. Wydawało mu się, że w ciągu tych kilku chwil zdążyły zsinieć. Pomyślał, że powinien coś powiedzieć albo poczuć, ale nie wiedział już co, więc po prostu uciekł.

Kiedy wyslizgnął się z domu doktora Lewisa, ogarnęła go czarna jak onyks noc. Po kilku krokach był już daleko od frontowych drzwi i światła, sączącego się z okna gabinetu. Mrok rozbrzmiewał zwykłą muzyką wiejskiej nocy, pozbawioną dysonansów świadczących o tym, że gdzieś czai się gwałtowna śmierć. Starks zatrzymał się na chwilę i obejrzał przez ramię, by po raz ostatni spojrzeć na dom, a potem równym truchtem ruszył w kierunku samochodu. W jednym ręku ścisnął encyklopedię, w drugim pistolet. Przebył zaledwie połowę drogi, kiedy usłyszał

zbliżający się odgłos jadącego szybko wiejską drogą samochodu. Spojrzał przed siebie i zobaczył wyłaniające się z za odległego zakrętu światła.

Nie wahał się. Natychmiast zrozumiał, kto z takim pośpiechem jedzie w jego stronę. Rzucił się na ziemię i wpętlął między drzewa. Leżał płasko, ale podniósł głowę, kiedy obok przejechał czarny mercedes. Opony zapiszczały na zakręcie.

Ricky zerwał się i ruszył pędem przed siebie. Biegł przez noc ze wszystkich sił, nie zważając na ból mięśni i palenie w płucach. Nadstawiał uszu, nasłuchując odgłosu silnika. Wiedział, że musi uciec jak najdalej.

Nie zostaną długo w domu, pomyślał, zmuszając nogi do większego wysiłku. Tylko tyle, ile potrzeba, żeby zbadać zwłoki i upewnić się, że Ricky'ego już tam nie ma. Będą wiedzieli, że od samobójstwa do ich przybycia minęło zaledwie kilka chwil i będą chcieli je nadrobić.

W kilka minut dobiegł do samochodu. Gorączkowo wyszarpnął z kieszeni kluczyki, upuścił je na ziemię i podniósł, ciężko dysząc ze zdenerwowania.

Wskoczył za kierownicę i zapalił silnik. Instynkt podpowiadał mu, żeby ruszać jak najszybciej. Ricky zwalczył jednak to pragnienie, z całych sił starając się nie tracić głowy.

Zmusił się do myślenia. Nie ucieknę im tym samochodem. Do Nowego Jorku prowadzą stąd dwie trasy: przelotowa na zachodnim brzegu rzeki i Taconic Parkway na wschodnim. Będą mieli pięćdziesiąt procent szans na odgadnięcie, którą wybrałem i zauważenie mojego samochodu.

Tablica rejestracyjna z New Hampshire bezbłędnie wskazywała, kto siedzi za kierownicą taniego wozu z wypożyczalni. Mogli zdobyć opis auta i numer rejestracyjny w wypożyczalni w Durham. Właściwie to całkiem prawdopodobne.

Wiedział, że musi zrobić coś, czego się nie spodziewają.

Myślał gorączkowo, czując, że trzęsą mu się ręce.

Wrzucił bieg i ruszył powoli w stronę domu doktora Lewisa. Zsunął się w fotelu jak najniżej mógł. Uważając, żeby nie przekroczyć dozwolonej prędkości, ruszył wiejską drogą na północ, podczas gdy bezpieczne miasto znajdowało się na południu.

Zbliżał się do podjazdu, kiedy usłyszał chrzęst żwiru pod grubymi oponami i zobaczył przed sobą światła mercedesa zjeżdżającego na drogę.

Zwolnił, dając mu czas na skręcenie na jezdnię, po czym szybko przyspieszył. Kiedy podjechał bliżej mercedesa, wyłączył długie światła, ale tuż przed minięciem go znów je włączył, jak każdy kierowca z irytacją dający znak nadjeżdżającemu z przeciwka samochodowi. W efekcie oba pojazdy minęły się na długich światłach. Ricky'ego na moment oślepiło, ale wiedział, że ich też. Wcisnął pedał gazu i szybko zniknął za zakrętem, mając nadzieję, że nikt nie zdążył się obejrzeć i przyjrzeć tablicy rejestracyjnej.

Skręcił w prawo w pierwszą napotkaną drogę i natychmiast zgasił reflektory. Wykręcił, widząc drogę tylko dzięki światłu księżycy. Nie wciskał pedału hamulca, żeby nie błyskać

czerwonymi światłami. Potem stanął, chcąc się upewnić, że nie jest śledzony.

Droga była pusta. Ricky odczekał około dziesięciu minut, dość długo, by pasażerowie mercedesa zdecydowali, którą trasą pojechać i rozpędzili samochód do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, próbując go dogonić.

On ruszył na północ, wybierając boczne drogi. Jechał bez celu. Po godzinie zawrócił i skierował się do miasta. Była późna noc, więc po drodze spotkał niewiele samochodów. Jechał z umiarkowaną prędkością, myśląc o tym, jak ciasny i mroczny stał się jego świat, i zastanawiając się, jak przywrócić mu światło.

Do Nowego Jorku dojechał tuż przed świtem. O tej porze nocne tłumy pięknych albo obszarpanych poszukiwaczy przygód ustępują miejsca tłumom dnia roboczego, targom rybnym i wielkim ciężarówkom, pragnącym objąć miasto w posiadanie. Taka przemiana wygląda nieco niepokojąco, kiedy zachodzi na lśniących od wilgoci i neonów ulicach. To najniebezpieczniejsza pora nocy, czas, kiedy zahamowania i ograniczenia wydają się słabsze, a świat ma ochotę zaryzykować.

Wrócił do wynajętego pokoju, zwalczając pokusę padnięcia na łóżko i zaśnięcia kamiennym snem. Odpowiedzi. Miał je w ręku, w książce na temat psychologii klinicznej, musiał je tylko odczytać. Pytanie tylko gdzie?

Encyklopedia miała siedemset siedemdziesiąt dziewięć stron. Ricky przerzucił kilka kartek, ale niczego nie znalazł. Siedząc zgarbiony nad książką jak mnich w średniowiecznym klasztorze, wiedział jednak, że gdzieś na jej kartach znajduje się to, czego szuka.

Odchylił się do tyłu i postukał ołówkiem w zęby. Nie wiedział, co może zrobić, oprócz dokładnego zbadania każdej strony. Starał się myśleć jak człowiek, który umarł tej nocy. To gra. Wyzwanie. Łamigłóвка.

Są tutaj, pomyślał. W książce o psychologii klinicznej.

Co mi powiedział? Wergiliusz jest aktorką. Merlin prawnikiem. Rumplestiltskin zawodowym mordercą. Trzy profesje działające razem. Przerzucając strony na chybił trafił, Ricky otworzył książkę na literze W. Na pierwszej stronie tego działu, pięćset pięćdziesiątej dziewiętej, zauważył znaczek. W górnym rogu, tym samym flamastrem, którego doktor Lewis użył do powitania na stronie tytułowej, napisany był ułamek, jedna trzecia.

I nic więcej.

Ricky przekartkował strony do M. W tym samym miejscu widniała tam kolejna para cyfr, zapisana jednak w inny sposób – 1/4. Na pierwszej stronie litery R znalazł trzecią liczbę, dwie piąte.

Ricky nie miał wątpliwości, że były to klucze. Teraz musiał znaleźć do nich zamki.

Skoncentrowany na problemie, nachylił się lekko do przodu i zaczął kołysać, jakby próbował uspokoić bolący żołądek. Miał przed sobą dzieło najbardziej skomplikowanej

osobowości, jaką spotkał przez wszystkie lata pracy psychoanalityka. Człowiek, który zajmował się nim i pomagał odnaleźć we własnym „ja”, który był jego zawodowym przewodnikiem i który zorganizował jego śmierć, przekazał mu ostatnią wiadomość. Ricky czuł się jak starożytny chiński matematyk, pracujący na liczydło, przesuwały szybкими ruchami czarne kamyczki, przeliczający i odrzucający kolejne wyniki w miarę, jak rosło równanie, którym się zajmował.

Zadał sobie pytanie: co tak naprawdę wiem?

W jego wyobraźni zaczął rysować się portret Wergiliusz. Doktor Lewis powiedział, że była aktorką, co miało sens, bo przez cały czas grała. Dziecko nędzy, najmłodsze z trójki, które z oszałamiającą prędkością przeszło od nieposiadania niczego do progu sławy. Jak to na nią wpłynęło? W jej podświadomości musiały czaić się pozostałości tego, kim była naprawdę. Stąd decyzja o wyborze zawodu, który wymagał nieustannych zmian. Kameleon, którego role dominują nad prawdą. Ricky pokiwał głową. Odrobina agresji i szorstkości zdradzające zgorzknienie. Pomyślał o wszystkich czynnikach, które złożyły się na to, kim była, i o tym, jak chętnie odgrywała wiodącą rolę w dramacie, który doprowadził Ricky’ego do śmierci.

Poruszył się w fotelu. Zgaduj, powiedział sobie. Znasz się na tym.

Narcystyczne zaburzenie osobowości.

Otworzył encyklopedię na N i znalazł właściwe hasło.

Serce zabiło mu szybciej. Zobaczył, że doktor Lewis zaznaczył niektóre litery w słowach żółtym flamastrem. Ricky szybko wziął kartkę i je spisał. Potem opadł gwałtownie na oparcie, wpatrzony w bełkot, jaki otrzymał. To nie miało sensu. Zajrzał znów do encyklopedii i przypomniał sobie klucz, jedną trzecią. Tym razem zapisał litery znajdujące się o trzy miejsca od zaznaczonych. Znów nic.

Spróbował jeszcze raz, wyszukując litery oddalone o trzy całe słowa.

Zanim jednak je zapisał, pomyślał o jedynce nad trójką, więc spojrzął trzy linijki w dół.

Pierwsze trzy kropki dały mu słowo „the”.

Kontynuował pospiesznie, konstruując drugie: „Jones”.

Zostało mu sześć kropek. Postępując według tego samego schematu, przełożył je na słowo „agency”.

Agencja Jonesa.

Ricky wstał i podszedł do nocnego stolika. Leżała na nim nowojorska książka telefoniczna. Wyszukał numer działu agencji teatralnych, w masie ogłoszeń znajdując numer telefonu i niewielką reklamę o treści AGENCJA JONESA – PROMOCJA MŁODYCH TALENTÓW, ZAJMUJEMY SI WSCHODZĄCYMI GWIAZDAMI JUTRA... Jedno z głowy. Teraz Merlin, adwokat.

Wyobraził go sobie: starannie zaczesane włosy, garnitury bez jednej fałdki, uszyte na miarę. Nawet jego codzienny strój był oficjalny. Ricky przypomniał sobie ręce Merlina.

Wymanikiurowane paznokcie. Średni brat, który zawsze dbał o porządek, który nie mógł znieść chaosu świata, z jakiego się wywodził. Musiał nienawidzić swojej przeszłości i uwielbiać bezpieczeństwo, jakie zapewnił mu przybrany ojciec, chociaż stary analityk systematycznie go wypaczał. To on wszystko załatwiał i organizował, to on zajmował się groźbami i pieniędzmi.

Diagnoza była łatwa: zaburzenie obsesyjno-kompulsywne.

Ricky otworzył encyklopedię na właściwym dziale i znalazł szereg zaznaczonych liter. Używając znanego mu już klucza, szybko ułożył słowo, które go zaskoczyło: „Arneson”. Nie była to przypadkowa zbitka liter, ale zarazem nic mu to nie mówiło.

Po chwili jednak odkrył, że następną literą było „k”.

Cofnął się, jeszcze raz sprawdził klucz, zmarszczył brwi i nagle zrozumiał, na co patrzy. Pozostałe litery ułożyły się w słowo „Fortier”.

Sprawa sądowa. Arneson kontra Fortier.

Ricky nie wiedział, w którym sądzie ma jej szukać, ale krótka wizyta u urzędnika z komputerem na pewno by to wyjaśniła.

Wracając do encyklopedii, Ricky pomyślał o człowieku, który stał za tym wszystkim: Rumpelstiltskinie. Otworzył encyklopedię na P, jak „psychopaci”.

Znalazł tam podrozdział zatytułowany „Niebezpieczni dla otoczenia”.

A w nim serię kropek.

Szybko odcyfrował litery i je zapisał. Kiedy skończył, wyprostował się i westchnął. Potem zmiął papier w kulkę i ze złością cisnął do kosza.

Wiadomość, którą ułożył, brzmiała: „Nie tym razem”.

Ricky spał krótko, ale energii dodawała mu adrenalina. Wziął prysznic, ogolił się i ubrał. Założył marynarkę i krawat. Krótka wyprawa do sądu w porze lunchu i kilka pochlebstw wygłoszonych pod adresem niecierplivej asystentki za biurkiem pozwoliły mu zdobyć trochę informacji na temat sprawy Arneson kontra Fortier. Była to sprawa cywilna w sądzie wyższej instancji; następnego ranka miała się odbyć wstępna rozprawa.

Z tego, czego się dowiedział, wynikało, że strony spierały się o źle przeprowadzoną sprzedaż nieruchomości. Dwóch nadzianych developerów z centrum Manhattanu obwiniąło się wzajemnie o zaprzepaszczenie dużych sum pieniędzy. To była jedna z tych spraw, w której wszyscy są bogaci, rozeźleni i nieskłonni do kompromisu, co oznaczało, że wszyscy przegrają, z wyjątkiem reprezentujących obie strony prawników, którzy wyjdą z zamieszania z czekami na duże kwoty pieniędzy. Sytuacja była tak przyziemna i zwykła, że Ricky poczuł pogardę. Wiedział jednak, że w środku całego tego udawania, proszenia i wzajemnych wygrażeń, w grupie adwokatów znajdzie Merlina.

Urzędniczka dała mu nazwiska wszystkich stron. Ricky nie rozpoznawał żadnego, ale wiedział, że jedno z nich należy do człowieka, którego szuka.

Wstępne przesłuchanie miało się odbyć dopiero następnego dnia rano, ale Ricky udał się do sądu jeszcze tego samego popołudnia. Zatrzymał się na chwilę przed olbrzymim budynkiem z szarego kamienia, patrząc na schody prowadzące do ukrytego za kolumnami wejścia. Architekci sprzed dziesiątków lat starali się ubrać sprawiedliwość w powagę i majestat, Ricky'emu wydawało się jednak, że jest ona znacznie mniej poważnym pojęciem, w sam raz mieszczącym się w kartonowym pudle.

Wszedł do środka i zagłębił się w labirynt korytarzy i sal rozpraw, zapamiętując rozkład wind i schodów pożarowych. Przyszło mu do głowy, że mógł znaleźć przydzielonego do sprawy Arneson kontra Fortier sędziego i opisując Merlina jego sekretarce, dowiedzieć się, kim jest.

Uświadomił sobie jednak, że szybko wzbudziłoby to podejrzenia.

Ricky – myśląc przez cały czas jak Frederick Lazarus – chciał, by to, co zamierzał zrobić, było całkowicie anonimowe.

Zauważył, że chodzący po budynku sądu ludzie dzielili się na wyraźne kategorie. Trzyczęściowe garnitury oznaczały załatwiających swoje sprawy adwokatów. Nieco mniej elegancko, ale wciąż porządnie prezentowali się policjanci, przysięgli, pozwani i urzędnicy sądowi. Trzecia kategoria, najmniej liczna, najbardziej Ricky'ego intrygowała. Opowiadała mu o nich żona. Byli to emeryci i pieczeniarze, dla których przyglądanie się rozprawom było rozrywką. Działali nieco podobnie jak obserwatorzy ptaków w lesie – chodzili od sprawy do sprawy, polując na dramatyczne zeznania, intrygujące spory, czasami zajmując miejsca w salach, gdzie zapadały głośne, cieszące się zainteresowaniem prasy wyroki.

Wyglądali przeciętnie, czasami tylko odrobinę lepiej od mieszkających na ulicy bezdomnych. Byli o krok od domów spokojnej starości i hospicjów, i niezależnie od pogody, zawsze ubierali się w poliester. Łatwo będzie się między nich wmieszać, pomyślał Ricky.

Kiedy opuszczał gmach sądu, w jego głowie już zaczynał formować się plan. Pojechał taksówką na Times Square, wszedł do jednego z licznych sklepów z pamiątkami i zabawnymi gadżetami, w których można kupić „New York Timesa” z własnym nazwiskiem w nagłówku pierwszej strony. Zamówił tam pół tuzina fałszywych wizytówek. Potem zatrzymał następną taksówkę, która zawiozła go do biurowca ze szkła i stali na East Side. Strażnik przy wejściu kazał mu się wpisać na listę gości, co Ricky zrobił, podpisując się zamaszyście jako Frederick Lazarus, producent.

Dostał plastikową plakietkę z numerem 6, co oznaczało piętro, na które się udawał. Strażnik nawet nie spojrzał na jego podpis. Ochrona, pomyślał Ricky, działa w oparciu o to, co widzi. Zachowywał się więc z szorstką pewnością siebie, która nie szła w parze z odpowiadaniem na pytania odzwiernego. Nie była to wielka sztuka, ale wiedział, że Wergiliusz ją doceni.

Kiedy wszedł do biura Agencji Jonesa, przywitała go atrakcyjna recepcjonistka.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała.

– Rozmawiałem z kimś od państwa – skłamał Starks – na temat reklamy, którą mamy niedługo kręcić. Szukamy nowych twarzy i testujemy niektóre kandydatki. Miałem obejrzeć państwa katalog... Recepcjonistka spojrzała na niego z ukosa.

– Pamięta pan, z kim pan rozmawiał?

– Nie, przykro mi. Dzwoniła moja asystentka – powiedział Ricky.

Kobieta skinęła głową. – Ale może przejrzę kilka zdjęć, a potem mnie pani skieruje do kogo trzeba?

Recepcjonistka uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy – powiedziała. Sięgnęła pod biurko i wyjęła gruby skórzany segregator. – To nasze obecne klientki. Jeśli pan kogoś wybierze, skieruję pana do agenta, który zajmuje się rezerwacjami.

Wskazała gestem skórzaną kanapę stojącą w rogu pomieszczenia.

Ricky zabrał portfolio, usiadł i zaczął je przeglądać.

Wergiliusz znajdowała się na siódmym zdjęciu z kolei.

– Dzień dobry – mruknął.

Przewrócił stronę i zobaczył jej prawdziwe nazwisko, adres, numer telefonu i nazwisko agenta, a także spis ról teatralnych i występów w reklamówkach.

Zapisał to wszystko w notesie. Potem spisał w ten sam sposób dwie inne aktorki. Oddał segregator recepcjonistce, spoglądając na zegarek.

– Przykro mi – powiedział – ale spieszę się na następne spotkanie.

Znalazłem kilka dziewczyn, które dobrze wyglądają, ale zanim do czegokolwiek się zobowiązemy, musimy spotkać się z nimi osobiście.

– Oczywiście – odparła kobieta.

Ricky starał się robić wrażenie zagonionego.

– Wie pani co, mam strasznie mało czasu. Może mogłaby pani zadzwonić do tych trzech pań i umówić je ze mną? Popatrzmy, może tę na lunch jutro w południe u Vincenta, na Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej. Potem te dwie, powiedzmy o drugiej i czwartej w tym samym miejscu. Byłbym wdzięczny. Sama pani rozumie, wszystko w biegu... Recepcjonistka zawahała się.

– Właściwie każde spotkanie umawiają agenci – powiedziała. – Panie... – Rozumiem – przerwał. – Ale jestem w mieście jeszcze tylko jutro, a potem wracam do Los Angeles. Przepraszam, że tak poganiam... – Zobaczę, co da się zrobić... Pana nazwisko?

– Ulisses – powiedział Ricky. – Richard Ulisses. Można się ze mną skontaktować pod tym numerem...

Wyjął jedną ze swoich fałszywych wizytówek z wydrukowanym napisem PENELOPE'S SHROUD PRODUCTIONS*[* Penelope's Shroud (ang.) – szal Penelopy. Aluzja do Odysei Homera.]. Zachowując się, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie, wziął z biurka

długopis, wykreślił nieistniejący numer w Kalifornii i zapisał nad nim numer swojej ostatniej komórki, upewniając się, że dokładnie zamazał pierwszy. Wątpił, czy któryś z agentów ma wykształcenie klasyczne.

– Niech pani zobaczy, co da się zrobić – poprosił. – Jeśli będą jakieś problemy, proszę dzwonić pod ten numer. W końcu gwiazdy zaczynały karierę w jeszcze śmieszniejszych okolicznościach. Pamięta pani Lanę Turner w sklepie? No, muszę lecieć. Czeka na mnie jeszcze sporo zdjęć do obejrzenia, rozumie pani. Dużo w tym mieście aktorek. Głupio by było, gdyby któraś przegapiła swoją szansę, bo odmówiła darmowego lunchu.

Odwrócił się i wyszedł. Nie wiedział, czy jego energiczne luźne podejście zadziała.

Ale miał nadzieję, że tak.

Rozdział 33

Przed wyjściem do sądu następnego ranka Ricky potwierdził umówione spotkanie z agentem Wergiliusz, podobnie jak oba następne, na których nie miał zamiaru się pokazywać. Mężczyzna zadał kilka pytań odnośnie reklamówek, które Ricky zamierzał kręcić. Starks opowiedział mu o nich, wymyślnie kłamiąc o wprowadzeniu nowych produktów na Dalekim Wschodzie i w Europie Wschodniej, nowych rynkach do zdobycia i potrzebie nowych twarzy w reklamie. Pomyślał, że nauczył się mówić dużo w taki sposób, by nic nie powiedzieć, co było jednym z najskuteczniejszych rodzajów kłamstwa. Jeśli agent był nastawiony sceptycznie, sceptycyzm ten błyskawicznie się rozwiął. Ricky wiedział, że gdyby Wergiliusz była bardziej znaną aktorką, mógłby napotkać problemy.

Na razie jednak jeszcze nie była, więc bez poczucia winy grał teraz na jej ambicji.

Po chwili wahania zostawił pistolet w pokoju. Wiedział, że nie może ryzykować włączenia alarmu wykrywacza metali w gmachu sądu, ale przyzwyczyił się już do poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała mu broń, chociaż wciąż nie był pewien, czy potrafiłby jej użyć. Zanim wyszedł, przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Miał na sobie blezer, krawat, elegancką koszulę i spodnie. Wyglądał wystarczająco dobrze, by wmieszać się w tłum na korytarzach sądu, co dawało mu podobne poczucie bezpieczeństwa, co broń. Wiedział dobrze, co chce zrobić, i zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwe.

Linia dzieląca zabójstwo, śmierć i wolność była bardzo cienka.

Patrząc na swoje odbicie, przypomniał sobie jeden z pierwszych wykładów, na jakim był. Prowadzący go lekarz wyjaśniał, że niezależnie od tego, jak dużo wiadomo na temat zachowań i emocji, nieważne, jak pewnym jest się swojej diagnozy i efektów neuroz i psychoz, nigdy nie można z całą pewnością przewidzieć czyjegoś postępowania. Istniały pewne punkty odniesienia, tłumaczył wykładowca, i często ludzie zachowywali się zgodnie z przewidywaniami. Czasami jednak robili coś zupełnie innego, niż wskazywałyby badania, i samo to wystarczyło, by całą ich pracę sprowadzić do zgadywanki.

Ricky zastanawiał się, czy w tym przypadku odgadł właściwie.

Jeśli tak, będzie wolny. Jeśli nie – martwy.

Kim teraz jesteś? – spytał siebie. Kimś czy nikim?

Uśmiechnął się. Wolny lub martwy. Jak na tablicy rejestracyjnej jego wypożyczonego w New Hampshire samochodu. „Żyj wolny lub umrzyj”.

Nareszcie zaczął dostrzegać sens tego hasła.

Jego myśli powędrowały do ścigającej go trójki ludzi. Dzieci jego porażki.

Wychowane w nienawiści do wszystkich, którzy im nie pomogli.

– Ciebie już znam – powiedział na głos, wyobrażając sobie Wergiliusz.

– A ciebie niedługo poznam – dodał, wywołując w pamięci portret Merlina.

Rumplestiltskin jednak wciąż pozostawał wielką niewiadomą, cieniem w jego wyobraźni.

Ricky zrozumiał, że to ostatnia rzecz, jakiej się boi. Strach przed nią był jednak potężny.

Skinął głową swojemu odbiciu w lustrze. Czas działać.

Na rogu znalazł drogerię połączoną ze sklepem papierniczym. To, co szykował dla Merlina, zapamiętał z przeczytanej kiedyś książki o gangsterach z Filadelfii. Znalazł to, czego szukał, w dziale z tanimi zabawkami, drugi zaś element w części sklepu, w której wystawione były artykuły biurowe. Zapłacił za wszystko gotówką, po czym schował kupione rzeczy do kieszeni marynarki, wyszedł na ulicę i złapał taksówkę.

Do gmachu sądu wszedł tak samo jak poprzedniego dnia, robiąc wrażenie człowieka, który przyszedł tam w określonym celu. W łazience na drugim piętrze wyjął z kieszeni zakupione przedmioty i w kilka sekund przygotował je do użytku. Odczekał chwilę i udał się do sali, w której swój wniosek forsował właśnie Merlin.

Tak jak się spodziewał, sala była wypełniona tylko częściowo. W ławkach siedziało kilku adwokatów, czekających na rozpoczęcie swoich rozpraw.

Na środku skupiła się gromadka gapiów. Część z nich spała, część słuchała uważnie. Ricky wślizgnął się po cichu do środka, mijając woźnego pilnującego drzwi, i usiadł za kilkoma starszymi osobami, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Za barierką znajdowało się pół tuzina prawników i powodów, siedzących za masywnymi dębowymi stołami na wprost sędziego. Obie strony miały przed sobą stosy papierów i pudła z wnioskami. Byli to sami mężczyźni.

Wszyscy z uwagą słuchali odpowiedzi sędziego na to, co mieli do powiedzenia. Na tym etapie nie było jeszcze potrzeby zwoływania ławy przysięgłych, co oznaczało, że wszystko, co mówili, mówili w pustkę.

Nie mieli też potrzeby odwracania się i grania na uczuciach publiczności, ponieważ nie miałyby to wpływu na przebieg rozprawy. Co za tym idzie, żaden z mężczyzn nie zwracał uwagi na siedzących w ławkach ludzi.

Zamiast tego robili notatki, sprawdzali cytaty z tekstów prawniczych i koncentrowali się na stojącym przed nimi zadaniu, którym było zdobycie pieniędzy dla swoich klientów, a co ważniejsze, dla samych siebie. Przypominało to awangardowy teatr, w którym nikt nie zwraca uwagi na widzów.

Kiedy wstał Merlin, Ricky ożywił się.

– Zgłasza pan sprzeciw, panie Thomas? – rzucił ostro sędzia.

– W rzeczy samej – odparł pewnym siebie głosem adwokat.

Ricky spojrział na zrobioną przez siebie listę wszystkich biorących udział w sprawie prawników. Mark Thomas z kancelarii w śródmieściu znajdował się w środku grupy.

– O co chodzi? – zapytał sędzia.

Ricky przysłuchiwał się przez chwilę. Adwokat używał tego samego pewnego siebie tonu, który Starks pamiętał z ich spotkań. Mówił z takim samym przekonaniem niezależnie od tego, czy jego twierdzenia miały pokrycie w prawdzie lub prawie, czy nie.

Tyle że teraz Ricky znał jego nazwisko i adres.

Jeszcze raz przypomniał sobie dłonie prawnika. Zwłaszcza wymanikiurowane paznokcie. Uśmiechnął się, ponieważ przypomniał sobie również, że nosił obrączkę. A to oznaczało dom. Żonę. Być może dzieci.

Wszystko to, co niezbędne pnącemu się do góry yuppie, agresywnie dążącemu do sukcesu.

Tyle że w przeszłości Merlina było kilka duchów. Ricky przysłuchiwał się jego słowom. Wsunął rękę do kieszeni i dotknął ukrytej tam zabawki.

Sędzia kręcił głową i zaczynał sugerować, by przenieść dyskusję na popołudniową sesję. Dla Ricky'ego był to sygnał do wyjścia.

Stał przy schodach pożarowych naprzeciwko wind. Kiedy tylko spostrzegł wychodzących z sali prawników, schował się za drzwiami.

Dostrzegł, że Merlin niesie dwie wypchane teczki. Były na pewno zbyt ciężkie, by nieść je dalej niż do najbliższej windy.

Przeskakując po dwa stopnie, Ricky wbiegł na drugie piętro. Przy windach czekało kilka osób. Spojrzał na elektroniczny wskaźnik pokazujący położenie kabiny i zobaczył, że winda zatrzymała się piętro wyżej.

Potem zaczęła zjeżdżać. Starks wiedział jedno: Merlin nie jest typem człowieka, który stanąłby z tyłu i zrobił miejsce innym.

Winda zatrzymała się, a jej drzwi rozsunęły z sykiem.

Ricky zrobił kilka kroków do przodu. Merlin stał na samym środku.

Adwokat podniósł wzrok, a Ricky spojrzał mu prosto w oczy.

Zobaczył, że został rozpoznany, o czym świadczyła panika malująca się na twarzy Merlina.

– Witaj, Merlin – powiedział cicho. – Wiem już, kim jesteś.

W tej samej chwili wyjął z kieszeni zabawkę i wymierzył ją w pierś adwokata. Był to pistolet na wodę, stylizowany na niemieckiego lugera z drugiej wojny światowej. Ricky nacisnął spust. Z lufy wytrysnęła struga czarnego atramentu, trafiając Merlina w pierś.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, drzwi się zamknęły.

Ricky rzucił się do schodów. Nie pobiegł na dół, ponieważ wiedział, że nie jest w stanie prześcignąć windy. Zamiast tego wspiał się na piąte piętro, wyszedł na korytarz i znalazł męską toaletę. Tam wytarł pistolet z odcisków palców i wyrzucił do kosza, tak jak zrobiłby to z prawdziwą bronią. Umył ręce. Odczekał kilka chwil i wyszedł, idąc korytarzem na drugi koniec budynku. Poprzedniego dnia sprawdził, że były tam drugie schody, szyby wind i wyjście.

Wtapiając się niepostrzeżenie w grupę wychodzących z sali rozpraw adwokatów, zszedł na dół. Tak jak się spodziewał, Merlina tam nie było. Adwokat nie miał zapewne ochoty tłumaczyć, skąd wzięła się plama na jego marynarce i koszuli.

A niedługo miał się przekonać, że atramentu nie da się sprać. Starks miał nadzieję, że zniszczył Merlinowi coś więcej niż tylko krawat, koszulę i garnitur.

Restauracja, którą wybrał na lunch z ambitną aktorką, była ulubionym miejscem jego zmarłej żony, choć wątpił, by Wergiliusz o tym wiedziała. Ricky zdecydował się na nią, ponieważ miała jedną ważną cechę: duże okno od strony chodnika. Pamiętał, że oświetlenie restauracji sprawiało, iż trudno było z niej wyjrzeć na zewnątrz, ale łatwo zajrzeć do środka z ulicy. Do tego dochodziło ustawienie stolików, dzięki któremu częściej było się oglądanym, niż widziącym coś samemu. O to właśnie mu chodziło.

Zaczekał, aż grupa niemieckich turystów w jaskrawych koszulach, obwieszonych aparatami fotograficznymi, przejdzie przed frontem restauracji.

Wmieszał się między nich. Wiedział, że trudno jest wyłowić znajomą twarz spośród obcych, gdy się jej człowiek nie spodziewa. Kiedy turyści poszli dalej, obejrzał się szybko i zobaczył siedzącą przy stoliku w kącie Wergiliusz. Była sama.

Minął okno i wziął głęboki oddech.

Telefon może zadzwonić w każdej chwili, pomyślał. Tak jak Ricky się spodziewał, Merlin nie zadzwonił od razu. Najpierw musiał doprowadzić się do porządku i przeprosić zaszokowanych kolegów. Jaką wymyślił wymówkę? Rozsierdzony, pokonany przeciwnik? Wszyscy mogli się z czymś takim utożsamić. Przekonał ich, że nie ma sensu wzywać policji, że skontaktuje się z adwokatem wariata z pistoletem, może wystąpi o zakaz zbliżania się. Ale załatwi to wszystko sam. Pozostali pokiwali głowami i zaoferowali, że mogą złożyć zeznania, a nawet oświadczenia na policji.

To musiało trochę potrwać. Potem Merlin się przebrał, bo choćby nie wiadomo co się działo, musiał być po południu w sądzie. Kiedy w końcu mógłby już zadzwonić, w pierwszej kolejności zadzwonił na pewno do starszego brata. Musiała to być poważna rozmowa. Nie tylko zrelacjonowanie tego, co się stało, ale próba oceny wszystkich implikacji zdarzenia.

Przeanalizowali swoje położenie i zastanowili się nad możliwościami.

W końcu, dalej nie wiedząc, co robić, rozłączyli się. Potem Merlin miał dzwonić do Wergiliusz, ale Ricky go ubiegł.

Uśmiechnął się, zawrócił na pięcie i ruszył szybkim krokiem do drzwi.

Przy wejściu siedziała hostessa; zaczęła zadawać swoje zwyczajowe pytania, ale zbył ją gestem.

– Moja randka już tu jest – powiedział i szybko podszedł do stolika.

Wergiliusz siedziała odwrócona w drugą stronę, ale wyczuła poruszenie i obróciła się.

– Dzień dobry – powiedział Ricky. – Pamiętasz mnie?

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Bo ja ciebie pamiętam – rzekł i usiadł naprzeciwko niej.

Nie odpowiedziała. W oczekiwaniu na spotkanie z producentem rozłożyła na stoliku swoje portfolio. Teraz wolnym ruchem zebrała je i rzuciła na podłogę.

– Chyba nie będą mi potrzebne – powiedziała.

W jej głosie Ricky usłyszał dwie rzeczy – niepewność i próbę odzyskania panowania nad sobą. Uczą tego w szkole aktorskiej, pomyślał, a ona właśnie próbuje to sobie przypomnieć.

Zanim zdążył coś powiedzieć, z jej torebki dobiegło bzyczenie. Telefon komórkowy. Ricky pokręcił głową.

– To twój brat prawnik. Dzwoni, żeby powiedzieć ci, że dziś rano pojawiłem się w jego życiu. Niedługo zadzwoni też drugi brat, ten, który zarabia na chleb zabijaniem. Ponieważ on też będzie chciał cię chronić.

Nie odbieraj.

– Bo co?

– Cóż, powinnaś zadać sobie pytanie: „Jak bardzo zdesperowany jest Ricky?”, a zaraz potem drugie: „Co może zrobić?” Telefon przestał dzwonić.

– Co może zrobić Ricky? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej.

– Ricky już raz umarł. A teraz może nie mieć już niczego, dla czego warto żyć. Co sprawi, że powtórna śmierć będzie zdecydowanie mniej bolesna, a może nawet wyczekiwana, nie sądzisz? – Spojrzał na nią ostro.

– Mogę zrobić wszystko.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Ricky mówił szorstkim, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Przypomniał sobie, że siła jego roli tkwi w tym, że jest kimś innym niż przerażony i wmanipulowany w samobójstwo mężczyzna sprzed roku.

– Nieprzewidywalność. Niestabilność. Odrobina szaleństwa. Niebezpieczna kombinacja, co? Istna mieszanka wybuchowa.

– Tak. To prawda. – Zaczęła już odzyskiwać swoją zwykłą manierę.

– Ale nie zastrzelisz mnie tutaj, w restauracji, przy tych wszystkich ludziach.

Nie sądzę.

Ricky wzruszył ramionami.

– Al Pacino tak zrobił. W Ojcu chrzestnym. Na pewno widziałaś ten film. Każdy, kto chce zostać aktorem, go widział. Wychodzi z toalety z rewolwerem w kieszeni i strzela gangsterowi i skorumpowanemu kapitanowi policji w czoło, a potem rzuca broń na ziemię i wychodzi. Pamiętasz?

– Tak – powiedziała niespokojnie. – Pamiętam.

– Ale ja lubię tę restaurację. Kiedy byłem jeszcze doktorem Starksem, przychodziłem tu z kimś, kogo kochałem, ale kogo towarzystwa nigdy tak naprawdę nie doceniłem. A poza tym dlaczego miałbym psuć obiad tym wszystkim ludziom? Przede wszystkim jednak, Wergiliuszko, nie muszę cię tu zabijać. Mogę cię zastrzelić w wielu innych miejscach, ponieważ wiem już, kim jesteś. Znam twoje nazwisko. Twoją agencję.

Twój adres. A co najważniejsze, wiem, kim chcesz zostać. Jakie masz ambicje. A z tego mogę wydedukować twoje pragnienia i potrzeby. Możesz zmienić adres. Możesz nawet zmienić nazwisko. Ale nie możesz zmienić tego, kim jesteś, ani tego, kim chcesz być. I w tym sęk, prawda?

Jesteś w takiej samej pułapce, jak Ricky. A razem z tobą twój brat Merlin, o czym przekonał się w dość brudny sposób dziś rano. Prowadziliście kiedyś ze mną grę, znając z wyprzedzeniem każdy mój krok. Teraz ja zagram z wami. W nową grę.

– Jaką?

– Nazywa się „Jak zostać przy życiu?” To gra w zemstę. Myślę, że część zasad już znasz.

Wergiliusz pobladała. Sięgnęła po szklanę z wodą i wypła łyk, patrząc na Ricky’ego.

– On cię znajdzie, Ricky – wyszeptała. – Znajdzie i zabije. I ochroni mnie, bo zawsze mnie chronił.

Ricky nachylił się do niej jak ksiądz, wysłuchujący w konfesjonale mrocznego sekretu.

– Jak każdy starszy brat? Może spróbować. Ale, widzisz, teraz nie ma pojęcia, kim jestem. W trójkę ścigaliście pana Lazarusa i wydawało wam się, że go osaczyliście. Ile razy? Raz? Dwa? Może trzy? Sądziście, że minęliście się z nim o sekundy w domu człowieka, który skrzyżował nasze drogi i co? Puf! Zniknął. I może to powtórzyć w każdej chwili. Ale zanim to zrobi, może powie komuś, czego dowiedział się o tobie, Merlinie, a teraz i panu R. A wszystko to razem wzięte... Cóż, Wergiliuszko, myślę, że czyni to ze mnie niebezpiecznego przeciwnika. Kimkolwiek jestem dzisiaj. Kimkolwiek mogę być jutro – dodał.

Odchylił się i przyglądał wrazeniu, jakie jego słowa wywarły na Wergiliusz.

– Co mi kiedyś powiedziałaś, Wergiliuszko? O swoim przybranym imieniu? „Każdy potrzebuje przewodnika na drodze do piekła”.

Pociągnęła jeszcze jeden długi łyk wody i skinęła głową.

– Tak powiedziałam – odparła cicho.

Ricky wstał gwałtownie, odsuwając krzesło.

– Żegnaj, Wergiliuszko – rzucił. – Myślę, że nie zechcesz już nigdy więcej oglądać mojej twarzy, bo mógłby to być ostatni widok w twoim życiu.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i szybko wyszedł z restauracji.

Nie musiał oglądać jej trzęsących się rąk i zaciśniętej szczęki.

Ricky pozwolił się wchłonąć tłumowi i zniknął z oczu Wergiliusz, zostawiając ją, tak jak przedtem jej brata, próbującą ocenić, w jakim naprawdę niebezpieczeństwie się znaleźli.

Przepychał się między ludźmi i myślał: Rumpelstiltskin będzie chciał szybko działać. Będzie chciał załatwić sprawę natychmiast. Żadnych przygotowań, żadnych planów. Pozwoli zapanować nad sobą zimnej wściekłości.

Ale co najważniejsze, nareszcie popełni błąd.

Rozdział 34

Kiedy jego życie biegło jeszcze utartymi torami, raz lub dwa razy każdego lata Ricky robił rezerwację u jednego ze starych i wyjątkowo doświadczonych przewodników wędkarskich, organizujących na wodach u wybrzeży Cape połowy na duże bassy i ławice ryb niebieskich. Nie uważał się za eksperta w łowieniu ryb ani nie był wyjątkowym entuzjastą rozrywek na świeżym powietrzu. Podobało mu się jednak wypływanie małą otwartą łodzią wczesnym rankiem, kiedy nad szarocznym oceanem unosiła się jeszcze mgła, a w powietrzu czuć było zimną wilgoć, odpierającą ataki pierwszych promieni wychodzącego słońca, lubił patrzeć, jak przewodnik manewruje skifem przez kanały, w drodze na łowiska.

Doceniał, że człowiek ten potrafi wśród bezkresu zmiennej wody znaleźć rybę ukrytą w głębinie. Umieszczenie przynęty, z uwzględnieniem wszystkich zmiennych przyprływu i prądu, temperatury i oświetlenia, a potem znalezienie celu było czynem, który Ricky jako psychoanalityk podziwiał i był nim zafascynowany.

Zbierając myśli w pokoju taniego nowojorskiego hoteliku, doszedł do wniosku, że rozpoczął bardzo podobny proces. Przynęta była już w wodzie.

Teraz musi naostrzyć hak. Nie sądził, by miał więcej niż jedną szansę.

Przyszło mu do głowy, że teraz może po prostu uciec, ale natychmiast zrozumiał, że byłoby to bezcelowe. Spędziłby resztę życia, wzdrygając się przy każdym hałasie w ciemnościach, denerwując każdym dźwiękiem za plecami, obawiając się każdego nieznanego. Byłoby to życie strawione na uciekaniu przed czymś i kimś nierozpoznawalnym, ale zawsze obecnym, jak duch, śledzącym każdy jego krok.

Ricky wiedział, że musiał pokonać Rumpelstiltskina w ostatecznej rozgrywce. Był to jedyny sposób, w jaki mógł odzyskać choćby namiastkę dawnego życia.

Myślał, że wie, jak tego dokonać. Pierwsze elementy jego planu zostały już umieszczone na swoich miejscach. Z łatwością mógł sobie wyobrazić rozmowę między braćmi i siostrą. To nie była rozmowa na telefon.

Musieli się spotkać, ponieważ tylko widząc się wzajemnie, mogli się upewnić, że są bezpieczni. Krzyczeli. Na pewno nie obyło się bez łez i złości, może nawet wyzwisk i wzajemnych oskarżeń. Wszystko szło im tak gładko, ale nagle coś się nie udało. Ricky niemal słyszał zdanie: „To ty nas w to wplątałeś!”, wykrzykiwane do mrocznej postaci, która przez tyle lat tak wiele dla nich znaczyła. Z satysfakcją pomyślał, że w oskarżeniu tym pobrzmiwa na pewno nuta paniki, ponieważ udało mu się wbić mały klin w więzy, które dotąd spajały całą trójkę. Nieważne, jak przekonująca mogła być potrzeba zemsty, nieważne, jak przebiegły był plan, jednej rzeczy Rumpelstiltskin nie przewidział: mimo przywiązania do niego, brat i siostra chcieli żyć własnym życiem. Chcieli być częścią społeczeństwa. Na scenie i w sądzie. Pragnęli

grać według ustalonych zasad, odnajdywać się w konkretnych strukturach. To właśnie czyniło ich podatnymi na atak.

Gra była okrutna i mordercza, ale samo zabijanie zostawiali bratu.

Rujnowanie czyjejś reputacji albo wypatroszenie konta było paskudną sprawą, ale żadne z nich nie musiało oglądać krwi. Zło zostało podzielone na części, a najgorsza z nich przypadła panu R.

Kiedy dorastał, brał na siebie cały ciężar bicia i okrucieństwa, teraz na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za przemoc. Pozostała dwójka zaledwie mu w tym pomagała, czerpiąc satysfakcję, jaką daje zemsta. Na tym polega różnica między byciem reżyserem a byciem wykonawcą, pomyślał Ricky.

Uśmiechnął się w duchu. Nic nie jest tak druzgocące jak uzmysłowienie sobie, że ktoś na ciebie poluje, kiedy tak bardzo przywykłeś do roli myśliwego. I na tym polegała pułapka, którą zastawił, ponieważ nawet psychopata rzuci się na okazję, by odzyskać przewagę, tak naturalną dla każdego drapieżnika. Popchnie go do tego zagrożenie, w jakim znaleźli się Merlin i Wergiliusz. Jeśli pan R. zachował jakiegokolwiek resztki normalności, wiązały się one właśnie z bratem i siostrą. Jeśli w jego psychopatycznym świecie pozostało coś ludzkiego, był to związek z rodzeństwem.

Będzie desperacko starał się ich ochronić. To naprawdę proste; niech łowca sądzi, że poluje, że zbliża się do ofiary, podczas gdy w rzeczywistości wchodzi coraz głębiej w pułapkę.

Pułapkę, pomyślał Ricky z ironią, stworzoną przez miłość.

Znalazł kawałek papieru i przez kilka minut układał wierszyk. Kiedy skończył, zadzwonił do działu ogłoszeń „Village Voice”. Tak jak poprzednio połączył się z mężczyzną z działu ogłoszeń towarzyskich. Pogawędził z nim trochę, tym razem jednak pilnował się, by zadać mu kilka kluczowych pytań i dostarczyć pewnych bardzo istotnych informacji.

– Czy jeśli wyjadę z miasta, będę mógł zadzwonić i odsłuchać odpowiedzi?

– Jasne – odparł tamten. – Musi pan tylko wstukać kod dostępu. Może pan dzwonić, skąd pan chce.

– Świetnie – ucieszył się Ricky. – Widzi pan, mam do załatwienia parę spraw na Cape w ten weekend, więc będę musiał tam pojechać na kilka dni, a chciałbym móc odsłuchiwać odpowiedzi.

– Nie będzie problemu.

– Mam nadzieję, że pogoda będzie dobra. Zapowiadają deszcz. Jeździ pan czasami na Cape Cod?

– Byłem w Provincetown – odparł mężczyzna. – Po Czwartym Lipca sporo się tam dzieje.

– Wiem coś o tym – westchnął Ricky. – Mam dom w Wellfleet. To znaczy miałem. Musiałem sprzedać. Paliło mi się. Jadę tylko załatwić parę spraw, a potem wracam do miasta, do

kieratu.

– Jasne... Chciałbym mieć domek na Cape.

– Cape jest wyjątkowe – powiedział Ricky, zastanawiając się nad każdym słowem. – Jeździ się tam tylko w lecie, może czasami na jesieni albo wiosną, ale każda pora roku oddziałuje na człowieka w inny sposób.

Chciałbym, żeby mnie tam pochowano.

– Ja mogę tylko pomarzyć – powiedział z zazdrością ogłoszeniowiec.

– Może kiedyś... – pocieszył go Ricky. Odchrząknął, żeby podać treść ogłoszenia. Kazał je umieścić pod skromnym nagłówkiem: SZUKAM PANA R.

– Może „pana Rozkosznego”? – zaproponował mężczyzna.

– Nie – powiedział Ricky. – „Pana R.” wystarczy.

Potem podyktował wierszyk. Miał nadzieję, że ostatni.

Ricky tu, Ricky tam, Ricky wszędzie, tam i sam.

Może lubi błędzić po kryjomu?

A może pojechał do domu?

Może pod ziemię się zapadł?

Lecz szukać go – próżny zapal.

Miejsce stare, miejsce nowe, Ricky bije cię na głowę.

Pan R. szukać może wszędzie, ale wciąż nie wiedzieć będzie, kiedy Ricky nagle wróci i przeciw niemu się zwróci.

Pełny zła, wcielenie śmierci, gotów rozrywać na ćwierci.

– Mocne – powiedział mężczyzna i gwizdnął przeciągle. – Mówi pan, że to gra?

– Tak – odparł Ricky. – Ale nikomu jej nie polecam.

Ogłoszenie miało się ukazać w najbliższy piątek, co dawało Ricky’emu trochę czasu. Wiedział, co się stanie: gazeta trafi do kiosków w czwartek wieczorem i wtedy właśnie cała trójka przeczyta wiadomość.

Ale tym razem nie odpowiedzą tak samo. To będzie Merlin, pomyślał Ricky, ze swoim szorstkim, nieznoszącym sprzeciwu sposobem bycia.

Merlin zadzwoni do kierownika działu ogłoszeń i szybko przebije się przez hierarchię służbową, aż dotrze do człowieka, który przyjął zlecenie.

Wypyta go dokładnie o tego, kto zamieścił wierszyk, a ogłoszeniowiec szybko przypomni sobie rozmowę o Cape. Może nawet będzie pamiętał, że Ricky chciałby być tam kiedyś pochowany. Drobną zachcianką nie ujdzie uwagi Merlina. Przekaze wszystko starszemu bratu, żeby poczuć się pewniej. Potem cała trójka znów zacznie się kłócić. Młodszy będą przerażeni. Przepuszczalnie tak bardzo, jak wtedy, gdy matka zostawiła ich samych, odbierając sobie życie. Powiedzą, że chcą wziąć udział w polowaniu i że czują się odpowiedzialni za niebezpieczeństwo

i winni, że jeszcze raz musi się nimi opiekować. Ale nie będą wcale tak myśleli.

A zresztą starszy brat nie przyjmie ich pomocy. Ten cios będzie chciał zadać osobiście.

I dlatego Starks był pewien, że na spotkanie z nim wyruszy samotnie.

Wymeldował się z hotelu, wyczyściwszy uprzednio pokój z wszelkich śladów swojej obecności. Zanim wyjechał z miasta, zamknął konta w nowojorskich oddziałach banków, po czym udał się do centrum, do przedstawicielstwa banku na Karaibach. Tam otworzył rachunek na nazwisko Richarda Lively'ego. Kiedy zakończył transakcję, umieścił na nim skromną sumę z pozostałej mu gotówki, poszedł dwie przecznice dalej, gdzie przy Madison Avenue mieścił się oddział Credit Suisse.

Urzędniczka niskiego szczebla z ochotą otworzyła nowe konto panu Lively'emu. Był to zwykły rachunek oszczędnościowy, ale miał jedną interesującą cechę: co roku, w wyznaczonym dniu bank miał przelewać dziewięćdziesiąt procent zgromadzonych na nim funduszy na konto, które Ricky otworzył na Karaibach. Opłaty za utrzymanie rachunku miały być odejmowane od pozostałych dziesięciu procent. Datę przelewów Ricky wybrał dość przypadkowo. Początkowo pomyślał, że powinny to być jego urodziny, potem, że urodziny jego żony. Zastanawiał się też nad dniem, w którym sfabrykował własną śmierć, i urodzinami Richarda Lively'ego.

W końcu jednak zapytał urzędniczkę, sympatyczną młodą kobietę, z niezwykle zaangażowaniem przekonującą go o całkowitej poufności i nienaruszalności szwajcarskich zasad bankowych, o datę jej urodzin. Tak jak miał nadzieję, nie pokrywała się ona z żadną datą, którą znał. Druga połowa marca. Spodobało mu się to. Marzec był miesiącem, w którym kończyła się zima i zaczynała wiosna, pełnym złudnych obietnic i zwodniczych wiatrów. Miesiącem niepokoju. Ricky podziękował młodej kobiecie i powiedział jej, że wybiera ten dzień na datę dokonywania przelewów.

Po załatwieniu wszystkich spraw wsiadł do wypożyczonego samochodu.

Jadąc przez miasto w stronę prowadzącej na północ trasy Henry'ego Hudsona, ani razu się nie obejrzał. Miał dużo do zrobienia i mało czasu.

Oddał samochód, a resztę dnia spędził, zabijając Fredericka Lazarusa.

Każde członkostwo, karta kredytowa, konto telefoniczne – wszystko, co dotyczyło tej osoby, zostało zamknięte, skasowane i odwołane. Zajrzał nawet do sklepu z bronią, w którym uczył się strzelać, kupił pudełko naboju i przez godzinę pruć do czarnej sylwetki na tarczy. W jego wyobraźni stawała się mężczyzną, z którym niedługo miał się zmierzyć. Kiedy skończył, pogawędził chwilę ze sprzedawcą, informując go, że zamierza wyjechać na kilka miesięcy. Mężczyzna za ladą wzruszył ramionami, ale wiadomość zapadła mu w pamięć.

Frederick Lazarus przestał istnieć. Przynajmniej na papierze i w dokumentach.

Richarda Lively'ego trudniej było zniszczyć, ponieważ był bardziej ludzki. I to on miał przeżyć. Musiał jednak zniknąć z Durham w New Hampshire, robiąc przy tym jak najmniej

zamieszania. Musiał zostawić to wszystko za sobą, ale nie zachowywać się tak, jakby miał zniknąć na zawsze na wypadek, gdyby kiedyś ktoś zaczął zadawać pytania i połączył jego zniknięcie z tym konkretnym weekendem.

Niech ludzie myślą, że wyjechał tylko na krótki czas. Konto bankowe Richarda Lively'ego pozostało nietknięte, z minimalnym wkładem.

Nie unieważnił kart kredytowych ani legitymacji bibliotecznej. Swojemu przełożonemu na uniwersytecie powiedział, że musi wyjechać na Zachodnie Wybrzeże z powodu kłopotów rodzinnych. Nie będzie go kilka tygodni.

Szef zrozumiał to, uprzedził go jednak, iż nie może zagwarantować, że posada będzie na niego czekała, ale obiecał zrobić wszystko, by jednak go zatrudnić. Podobną rozmowę Ricky odbył ze swoimi gospodyniami, wyjaśniając, że nie wie, jak długo go nie będzie. Zapłacił czynsz za miesiąc z góry. Obie kobiety przyzwyczyły się już do jego wyjazdów i powrotów, więc nie powiedziały, chociaż Ricky podejrzewał, że starsza wie, że nie wróci. Poznał to po sposobie, w jaki na niego patrzyła i w jaki przyjęła tę wiadomość. Podziwiał ją za to. Postawa New Hampshire, pomyślał. Akceptujemy to, co ktoś nam mówi, ale to, co naprawdę myślimy, głęboko ukrywamy. Mimo to, by podkreślić iluzję własnego powrotu, Ricky zostawił w pokoju tyle osobistych rzeczy, ile mógł. Ubrania, książki, małe radio, drobiazgi, które zebrał, odbudowując swoje życie.

Ze sobą zabrał tylko kilka zmian odzieży i broń. Pomyślał, że musi zostawić dowód, że tu był i że może wrócić, ale nic, co mówiłoby, kim jest naprawdę i dokąd się udał.

Idąc ulicą, poczuł ukłucie żalu. Wiedział, że jeśli przeżyje ten weekend, nigdy tu nie wróci. Zdążył poznać i polubić mały świat, w którym zamieszkał, i opuszczanie go sprawiało mu przykrość.

Złapał południowy autobus do Bostonu. Nie spędził w mieście dużo czasu, zaledwie tyle, by zastanowić się, czy prawdziwy Richard Lively jeszcze żyje. Pomyślał, że mogłoby być interesujące pojechać do Charlestown i przekonać się, czy spotka go w jednym z parków lub zaułków.

Wiedział oczywiście, że nie ma mu nic do powiedzenia, może z wyjątkiem podziękowania za otwarcie drogi do niepewnej przyszłości. Tak czy inaczej nie miał na to czasu. Na Cape jechał popołudniowy autobus linii Bonanza. Ricky usiadł z tyłu, czując rosnące podekscytowanie. Już przeczytali wierszyk, pomyślał. A Merlin przepętał człowieka, który przyjął ogłoszenie.

Pan R. niedługo wyruszy. Będzie jechał szybko, bez przerw, gnany żądzą zakończenia historii, która potoczyła się inaczej, niż zakładał.

Ricky uśmiechnął się. Widział coś, co dawało mu ogromną przewagę:

Rumplestiltskin był przyzwyczajony do ostatecznych rozwiązań. Ricky przeciwnie. Jedną z podstawowych zasad psychoanalizy jest ta, że chociaż sesje się kończą, a terapia zamyka, sam

proces nigdy nie dobiega końca. W najlepszym wypadku pacjent może zacząć patrzeć na siebie w nowy sposób, definiować na nowo swoje życie i przez to wpływać na decyzje podejmowane w przyszłości. Wtedy chwile te nie są skażone wydarzeniami z przeszłości, a wybory, których się dokonuje, wolne od tego, co wyniosło się z domu.

Ricky miał wrażenie, że zbliża się do takiego właśnie nieostatecznego zakończenia.

Umrze albo będzie żył dalej.

Wyjrzał przez okno. Zauważył, że im bliżej Cape, tym mniejsze i rzadsze są drzewa i krzewy. Życie w piaszczystej glebie wybrzeża oceanu było trudne, a zimowe morskie wiatry nie pozwalały wyrosnąć wysoko.

Pod Provincetown, na trasie numer 6 Ricky zauważył motel, który jeszcze nie wywiesił tabliczki BRAK WOLNYCH POKOJÓW, prawdopodobnie z powodu marnej prognozy pogody. Zapłacił za weekend, wręczając pieniądze znużonemu recepcjonście. Starks podejrzewał, że mężczyzna wziął go za zagubionego biznesmena z Bostonu, który w końcu dał się ponieść fantazji i przyjechał do znanego z nocnego życia nadmorskiego miasteczka, by zakosztować kilku dni seksu i poczucia winy. Starks nie sprostował tego wyobrażenia. Spytał recepcjonistę o najlepsze kluby w mieście, takie, do których samotni ludzie chodzą szukać towarzystwa.

Mężczyzna podał mu kilka nazw i na tym rozmowa się skończyła.

Ricky znalazł sklep ze sprzętem turystycznym i kupił płyn przeciw owadom, mocną latarkę i pelerynę przeciwdeszczową w kolorze brudnooliwkowym.

Nabył też kapelusz z szerokim rondem, który wyglądał dość dziwnie, ale miał bardzo istotną zaletę – opuszczaną siateczkę przeciw komarom. Pogoda znów przysłała Ricky'emu z pomocą. Zapowiadano dużą wilgotność, burze, zachmurzenie i wysokie temperatury. Ricky powiedział sprzedawcy, że i tak zamierza popracować w ogrodzie, co sprawiło, że wszystkie jego zakupy nabrały sensu.

Wyszedł ze sklepu i zobaczył na zachodzie zaczątki burzowego frontu.

Nadstawił uszu, nasłuchując odległego grzmotu, i przyjrzał się szarzejącemu niebu, zwiastującemu nadejście wieczoru. Na języku czuł smak zbliżającego się deszczu. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć z przygotowaniami.

Dzień ciągnął się długo, jakby ostatnie promienie słońca nie chciały ustąpić nadsiadającej złej pogodzie. Kiedy Ricky dotarł do drogi prowadzącej do jego starego domu, niebo nabrało brązowego odcienia. Zaczął biec. Przypominał sobie, jak pokonywał tę samą drogę rok temu, pamiętał swój ciężki oddech, wysysany z płuc przez panikę i szok po tym, co zrobił i co musiał zrobić. Ten bieg był inny. Ricky czuł siłę, jakby miejsce, do którego zmierzał, nie było grobem tak wielu wspomnień, lecz zapowiedzią zmiany. Każdy krok wydawał się znajomy, a zarazem nierealny, jakby miał miejsce w innym planie egzystencji. Ricky przyspieszył, zadowolony, że jest silniejszy niż ostatnim razem, mając nadzieję, że żaden z sąsiadów nie wyjedzie samochodem

z podjazdu i nie zobaczy martwego człowieka, biegnącego do spalonego domu.

Miał szczęście. Szosa była pusta. Skręcił w drogę dojazdową i zwolnił, natychmiast nikt nie za zasłoną drzew i krzewów, którym wystarczyło kilka ciepłych miesięcy, żeby wyraźnie podrosnąć. Nie wiedział, czego ma się spodziewać. Przyszło mu do głowy, że któryś z jego krewnych mógł oczyścić teren, a nawet rozpocząć budowę nowego domu. W pożegnalnym liście Ricky zastrzegł, że cała posesja ma zostać włączona do rezerwatu, ale spodziewał się, że kiedy członkowie jego dalekiej rodziny zorientowali się, ile jest warta działka budowlana na Cape, natychmiast zablokowali jego testament serią pozwów. Uśmiechnął się ponuro, kiedy uświadomił sobie ironię sytuacji; ludzie, których ledwo znał, kłócili się o jego majątek po tym, jak on umarł po raz pierwszy, by chronić ich przed człowiekiem, z którym miał się tej nocy spotkać.

Kiedy wyszedł spod osłony drzew, zobaczył zwęglone ruiny domu.

Upiorny szkielet wypalanej farmy wciąż otaczał pas poczerwiałej ziemi.

Ricky przedarł się przez zagony chwastów, w które zamienił się ogród, i podszedł do miejsca, gdzie kiedyś stały frontowe drzwi. Powoli wszedł w zgliszcza. Nawet po roku wciąż czuć było smród benzyny i spalonego drewna. W oddali przetoczył się grzmot, ale Starks to zignorował i pozwolił wyobraźni wyczarować ściany, meble, obrazy i dywany. A kiedy to się stało, nałożył na ten obraz chwile, które spędził tu z żoną. Było to zarazem przyjemne i przerażające. Kroczył między szczątkami, myśląc, że to jednocześnie powrót i odejście. Czuł, że tej nocy ruszy na spotkanie przyszłości i że wreszcie będzie mógł pożegnać wszystko, co było doktorem Frederickiem Starksem.

Miejsce, którego szukał, czekało na niego, obok głównego komina, wieńczącego kominek w salonie. Kawał sufitu i grube drewniane krokwie tworzyły ciemną jamę. Ricky założył pelerynę, kapelusz i wyjął z plecaka latarkę i pistolet. Potem wpełzł w ciemny załom i zaczął czekać na zapadnięcie nocy, burzę i nadejście mordercy.

Dostrzegał w tym zabawne akcenty. Co zrobił? Zachował się jak psychoanalityk.

Wyzwolił niekontrolowane emocje w człowieku, z którym chciał się spotkać. Nawet psychopaci mają słabe strony. A teraz, tak jak robił to przez tyle lat praktyki, czekał, aż ostatni pacjent przejdzie przez jego drzwi, niosąc brzemień gniewu, nienawiści i wściekłości, wymierzone w Ricky'ego, swojego terapeuty.

Położył palec na osłonie spustu pistoletu i odbezpieczył go. Ta sesja, pomyślał, nie będzie tak spokojna jak inne.

Oparł się o ścianę kryjówki i zaczął nasłuchiwać. Bał się, że może być bardzo ciemno. Księżyc zakryją chmury, a poświata bijąca z innych domów i z Provincetown zginie, stłamszona deszczem. Ricky miał przewagę – znał teren. A co ważniejsze, mógł polegać na niepewności Rumpelstiltskina.

Jego przeciwnik nie będzie wiedział, gdzie Ricky się ukrył.

R. był człowiekiem przyzwyczajonym do kontrolowania środowiska, w którym działał, a więc była to najgorsza sytuacja, w jakiej mógł się znaleźć. To naprawdę dobre miejsce, by na niego zaczekać.

Starks był przekonany, że jadąc z Nowego Jorku, pan R. zrozumie, że Ricky może być tylko w dwóch miejscach – na plaży, gdzie zamarkował własną śmierć, i w domu, który spalił. R. pojawi się w obu tych miejscach, ponieważ niezależnie od tego, czego dowiedział się od mężczyzny z „Village Voice”, nie będzie wierzył, że Ricky przyjechał na Cape załatwić jakieś sprawy, poza zabiciem go.

Rozdział 35

Przez pierwszą część nocy lał deszcz, który po kilku godzinach zamienił się w irytującą mżawkę. Kiedy burza przewalała się po niebie, temperatura spadła o kilka stopni. Sztorm przyniósł też ze sobą wiatr; szarpał peleryną Ricky'ego, otaczające go wypalone grzyby jęczały i trzeszczały, jakby tej nocy też miały jakieś rachunki do wyrównania. Ricky siedział w swojej kryjówce jak myśliwy w zasadzce, czekając, aż ofiara wyjdzie na straż. Myślał o wszystkich godzinach, które spędził w milczeniu, słuchając pacjentów, i o tym, że w zabawny sposób przygotowały go do tej nocy.

Ze swojego miejsca miał dobry widok na pole, zwłaszcza kiedy niebo rozjaśniały błyskawice. Widział światła samochodów przejeżdżających biegnącą za drzewami drogą i słyszał szum ich silników.

Obawiał się tylko jednego: że Rumplestiltskin będzie miał więcej cierpliwości niż on.

Wątpił w to, ale nie miał całkowitej pewności. Ostatecznie nagromadził w sobie przez lata tak dużo nienawiści i czekał tak długo, zanim uruchomił swoje pułapki, więc było możliwe, że teraz, na ostatnim etapie może się zawahać, zacząć między drzewami i zrobić to samo, co Ricky, czyli zacząć wypatrywać jakiegoś poruszenia. Ricky musiał zaryzykować.

Pomyślał jednak, że ma ku temu dobre podstawy. Wszystko, co zrobił, miało na celu sprowokowanie pana R. Gniew, strach i zagrożenie zmuszają do reakcji. Zawodowy morderca był człowiekiem czynu. Analityk nie. Ricky wierzył, że stworzył sytuację, w której jego zalety dorównują sile przeciwnika. Wyszkolenie psychiatry kontra wyszkolenie mordercy. Wszystko, co o nim wiesz, to potwierdza. W grze wspomnień i śmierci, w którą się zaangażowali, Ricky zajmował lepsze pozycje.

Walczył na własnym terenie.

O dwudziestej drugiej świat wokół niego skurczył się do wilgotnej stęchłej plamy czerni. Od ponad godziny nie słyszał samochodu i nie widział w oddali świateł, a deszcz zapędził wszystkie nocne stworzenia do jam, więc zalegającej dookoła ciszy nie zakłócało nawet skrobanie oposa czy szopa. W tym właśnie momencie powinna go zawieść wola i determinacja. Zdusił jednak tę myśl, powtarzając sobie, że jedyną rzeczą, jaką wiedział na pewno, jest fakt, że Rumplestiltskin jest blisko i będzie coraz bliżej. Musisz tylko wytrzymać i czekać. Żałował, że nie wziął ze sobą butelki wody albo termosu z kawą. Pomyślał, że trudno jest planować morderstwo i jednocześnie pamiętać o przyziemnych drobiazgach.

Co jakiś czas bezgłośnie stukał w osłonę spustu pistoletu. Raz przestraszył go przelatujący nietoperz, innym razem na skraju lasu mignęła para jeleni. Ledwie widział ich sylwetki, dopóki coś ich nie wystraszyło i nie uciekły w charakterystycznych baletowych skokach, odwracając się do niego białymi ogonami.

Czekał. Płatny morderca był na pewno człowiekiem przyzwyczajonym do ciemności nocy. Światło dnia ogranicza zabójców. Pozwala im lepiej widzieć, ale jednocześnie sprawia, że ich samych łatwiej rozpoznać.

Znam pana, panie R., pomyślał. Będziesz chciał zakończyć to po ciemku. Niedługo się zjawisz.

Jakieś trzydzieści minut po tym, jak w oddali, za zasłoną drzew zobaczył ostatnie światła oddalającego się samochodu, na drodze pojawił się następny. Ten jechał wolniej, jakby z wahaniem.

Światła zatrzymały się przy gruntowej drodze prowadzącej do jego domu, po czym przyspieszyły i zniknęły za zakrętem.

Ricky skulił się i wcisnął głębiej w osłaniające go gruzy.

Ktoś znalazł to, czego szukał, pomyślał, ale nie chciał się z tym zdradzić.

Minęło dwadzieścia minut, a on wciąż leżał skulony w ciemności jak wąż. Pięć minut wystarczy, żeby znaleźć miejsce, w którym można zostawić samochód. Dziesięć zajmie przejście do gruntowej drogi. Następne pięć, by przemknąć się cichaczem pod sklepieniem gałęzi drzew. Jest na skraju zarośli, pomyślał Ricky. Przygląda się ruinom z bezpiecznej odległości.

Wsunął się jeszcze głębiej w swoją jamę i schował stopy pod pelerynę.

Czuł przyływ adrenaliny i puls, szybki jak u biegacza, ale uspokajał się, przypominając sobie różne cytaty z literatury. Dickens: „To były najlepsze czasy, to były najgorsze czasy”. Camus: „Matka umarła dzisiaj, a może to było wczoraj”. Uśmiechnął się, mimo czającego się w duszy przerażenia. Odpowiedni cytat, pomyślał. Omiatał wzrokiem ciemność, czując się, jakby otworzył oczy pod wodą. Widział poruszające się kształty, ale nie rozpoznawał ich. Mimo to wciąż czekał, ponieważ wiedział, że jego jedyną szansą jest zobaczyć, zanim sam zostanie zauważony.

Mżawka ustała, zostawiając lśniące kałuże. Towarzyszący burzy chłód również znikł, Ricky czuł wilgotne ciepło, zwiastujące nadchodzącą duchotę.

Spojrzał na niebo i zobaczył zarys chmury, szarą plamę na czarnym tle. Przesuwała się jakby napędzała ją siła ramion niewidzialnego wioślarza. Zza niej wyjrzał skrawek księżyca, a jego promienie rozcięły noc. Nagle dostrzegł odrywającą się od linii drzew sylwetkę.

Blade światło ukazało ją zaledwie na chwilę; wyglądała jak ciemna plama odcinająca się od mroku głębszą czernią. Postać podniosła coś do oczu i obracała się powoli, jak marynarz na bocianim gnieździe, wypatrujący na horyzoncie lodowych gór.

To był człowiek z noktowizorem.

Ricky zamarł. Niczym kameleon zmieniający kolory w zależności od barwy liścia, na którym siedzi, trwał nieruchomo, mając nadzieję, że nic w jego wyglądzie nie nasuwa najmniejszych choćby skojarzeń z sylwetką człowieka.

Kształt poruszył się.

Ricky wstrzymał oddech. Nie wiedział, czy został zauważony.

Trwanie w bezruchu wymagało ogromnej koncentracji. Paniczny krzyk w jego głowie kazał mu uciekać, ale on wiedział, że tylko jeśli nawet nie drgnie, będzie miał jakąś szansę. Musi sprawić, by poruszający się w ciemności człowiek podszedł jak najbliżej. Niewyraźna sylwetka przemieszczała się ostrożnie, powoli, ale bez strachu, lekko pochylona.

Doświadczony drapieżnik.

Ricky wypuścił powoli powietrze z płuc. Nie został zauważony.

Postać dotarła na skraj ogrodu i zawahała się. Wydawała się bardziej częścią nocy niż człowiekiem. Ricky zeszywniał, kiedy noktowizor przeczesał ruiny. Po chwili jednak ręka trzymająca noktowizor opadła, jakby w geście lekceważenia.

Sylwetka ruszyła do przodu bardziej zdecydowanie. Zatrzymała się w resztkach drzwi wejściowych, przeszukując wzrokiem zgliszcz. Potem weszła do środka, potykając się lekko. Ricky usłyszał stłumione przekleństwo.

Wie, że powinienem tu być, pomyślał, ale teraz się waha.

Zacisnął mocno zęby, czując wzbierającą morderczą wściekłość. Straciłeś pewność. Nie tego się spodziewałeś. Wątpisz w siebie. Jesteś wściekły, że nie udało ci się mnie zabić za pierwszym razem, kiedy byłem łatwym celem. Zwątpienie i złość to niebezpieczna kombinacja, bo zmusza cię do robienia rzeczy, których normalnie byś nie zrobił. Z każdym krokiem porzucasz środki ostrożności i stajesz się coraz bardziej niepewny i nagle zaczynasz grać na moim polu. Bo doktor Starks cię zna i wie o wszystkim, co masz w głowie. To, co czujesz, niezdecydowanie i zmieszanie, to jego chleb powszedni, a nie twój. Jesteś zabójcą, ale nie masz pewności, gdzie jest twoja ofiara.

Ricky przyjrzał się uważnie postaci. Podejdz bliżej, powiedział bezgłośnie.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, potykając się o odłamki wypalanej krokwi.

Zatrzymał się i kopnął kupkę gruzu.

– Doktorze Starks – szepnął jak aktor na scenie. – Wiem, że pan tu jest.

Jego głos brzmiał jak odgłos tępej brzytwy, przeciąganej po powierzchni nocy.

– Wychodź, doktorze. Czas to zakończyć.

Ricky się nie poruszył. Milczał.

– Gdzie jesteś, doktorze? – pytał mężczyzna, rozglądając się na wszystkie strony. – Nie było cię na plaży, więc powinieneś być tu, bo jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa. A powiedziałeś, że tu będziesz.

Ruszył przed siebie, przechodząc między plamami cienia. Znów się potknął, uderzając kolanem o coś, co kiedyś było podporą schodów. Zaklął i wyprostował się. W jego wzruszeniu ramionami Ricky zobaczył zmieszanie, irytację i frustrację.

Mężczyzna obrócił się jeszcze raz w lewo i w prawo, po czym powiedział głośno, z rezygnacją:

– Jeśli nie tu, doktorze, to gdzie pan, do cholery, jest?

Jeszcze raz wzruszywszy ramionami, odwrócił się plecami do Ricky’ego, a ten wysunął spod peleryny rękę z pistoletem, podparł ją drugą, jak uczono go na strzelnicy w New Hampshire i wycelował mu między łopatki.

– Za tobą – powiedział.

W tym momencie czas naprawdę stracił władzę nad światem. Sekundy, które zazwyczaj układały się w minuty, teraz wydawały się rozsypywać jak płatki kwiatów na wietrze. Starks nie ruszał się, celując w plecy mordercy, oddychając płytko i z wysiłkiem.

Mężczyzna stał bez ruchu.

– Mam broń – zaskrzeczał Ricky głosem pełnym napięcia. – Celuję ci w plecy. To pistolet półautomatyczny, załadowany pociskami rozrywającymi, i jeśli choćby drgniesz, nacisnę spust. Zdam wystrzelić dwa, może trzy razy, zanim ty się obrócisz i wycelujesz we mnie. Przynajmniej jedna kula cię dosięgnie i prawdopodobnie zabije. Ale ty o tym wiesz, bo znasz się na broni i amunicji. Już sobie to wszystko obliczyłeś, prawda?

– Jak tylko usłyszałem twój głos, doktorze – odparł Rumpelstiltskin spokojnie. Jeśli był zaskoczony, nie zdradził się z tym. Roześmiał się głośno i dodał szybko: – I pomyśleć, że wszedłem panu wprost pod lufę.

Cóż, pewnie tak miało być. Dobrze pan grał, znacznie lepiej, niż się spodziewałem, i wykazał się pan umiejętnościami, o które pana nie posądzałem. Ale nasza rozgrywka doszła właśnie do finału, prawda? Myślę, doktorze Starks, że powinien mnie pan zastrzelić w tej chwili. Strzelić mi prosto w plecy. Bo ma pan przewagę. Ale z każdą mijającą sekundą pana pozycja słabnie. Jako zawodowiec, który miał już do czynienia z tego typu sytuacjami, zalecałbym panu nie marnować okazji, którą sam pan sobie wypracował. Zastrzel mnie, doktorze, póki jeszcze masz szansę.

Ricky milczał.

– Dalej, doktorze – zaśmiał się mężczyzna. – Zbierz swój gniew.

Skup całą wściekłość. Gdy zbierzesz to wszystko w swojej głowie, naciśniesz spust bez poczucia winy. Zrób to w tej chwili, bo każdą sekundę mojego życia możesz odliczać od swojego.

Ricky wycelował, ale nie strzelił.

– Podnieś rękę do góry, tak, żebym je widział – polecił.

Rumpelstiltskin znów parsknął śmiechem.

– Co? Widział pan to w telewizji? A może w kinie? W prawdziwym życiu to nie działa.

– Rzuć broń – powiedział Ricky.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Nie. Tego też nie zrobię. Zresztą to klisza. Widzi pan, jeśli rzucę broń, stracę wszystkie możliwości. Niech pan się zastanowi nad sytuacją, doktorze. Moim zdaniem, jako zawodowca, już pan zmarnował swoją szansę. Wiem, co się dzieje w pana głowie. Wiem, że gdyby potrafił pan strzelić, już by pan to zrobił. Ale zabić człowieka, nawet takiego, który dał ku temu wiele powodów, jest o wiele trudniej, niż pan myśli. Doktorze, w pana świecie śmierć jest wyobrażeniem. Wszystkie te mordercze impulsy, które czuł pan przez całe życie i które powstrzymywał... Widzi pan, dla pana one istnieją tylko w wyobraźni. Ale tutaj, teraz, nie ma nic oprócz rzeczywistości. A pan szuka w sobie siły, żeby zabić. I, ośmielę się twierdzić, że jej nie znajdzie. Ja nie będę miał z tym żadnych kłopotów.

Nie zastanawiałbym się nawet chwili nad moralnym aspektem strzelenia komuś w plecy. Ani w pierś, skoro już o tym mowa. Jak to mówią, liczy się efekt. Jeśli cel nie żyje, czym tu się przejmować? Więc nie rzucę broni. Będę ją trzymał w prawym ręku, odbezpieczoną i gotową do strzału. Odwrócę się? Zaryzykuję już teraz? Czy zaczekam?

Starks nie odpowiadał.

– Powinien pan coś wiedzieć, doktorze: jeśli chcesz być skutecznym zabójcą, nie możesz martwić się o własne życie.

Ricky wsłuchiwał się w płynące z ciemności słowa.

– Znam cię – powiedział nagle. – Znam twój głos.

– Tak, zna pan – odparł kpiąco Rumpelstiltskin. – Słyszał pan go dość często.

Ricky poczuł się nagle, jakby stał na połaci lodu.

– Odwróć się – polecił.

Rumpelstiltskin pokręcił głową.

– Niech mnie pan o to nie prosi. Kiedy się odwrócę, straci pan całą przewagę. Będę widział, gdzie pan jest, a proszę mi wierzyć, doktorze, kiedy pana zobaczę, nie minie wiele czasu, a pana zabiję.

– Znam cię – wyszeptał Ricky.

– Czy to aż tak trudne? Ten sam głos. Sylwetka. Sposób mówienia.

Powinien pan to rozpoznać. Ostatecznie bywaliśmy w mniej więcej takiej samej sytuacji pięć dni w tygodniu przez prawie rok. Czy proces psychoanalizy nie jest podobny do tego, co dzieje się teraz? Doktor z całą swoją wiedzą za plecami biednego pacjenta, który ma do dyspozycji tylko swoje żalose wspomnienia. Czy cokolwiek się między nami zmieniło, doktorze?

Ricky'emu zaschło w gardle, ale zdołał wykrztusić nazwisko.

– Zimmerman?

Rumpelstiltskin znów się roześmiał.

– Zimmerman nie żyje.

– Ale ty... – Jestem człowiekiem, którego pan znał jako Rogera Zimmermana.

Z niepełnosprawną matką i mającym wszystko gdzieś bratem, pracą, z której nic nie wynikało, i gniewem, który nie znajdował ujścia pomimo całego tego gadania. To Zimmerman, którego pan znał, doktorze Starks. I to Zimmerman, który nie żyje.

Starksowi zakręciło się w głowie. Uporczywie trzymał się kłamstw.

– Ale metro... – Tam właśnie zginął Zimmerman. Prawdziwy Zimmerman, który miał tak naprawdę skłonności samobójcze. Popchnięty ku zagładzie.

Śmierć o czasie.

– Ale ja nie... Rumpelstiltskin wzruszył ramionami.

– Doktorze, przychodzi do pana człowiek, mówi, że nazywa się Roger Zimmerman, cierpi na to a na to, wygląda jak kandydat do psychoanalizy i stać go, żeby panu zapłacić. Upewnił się pan kiedykolwiek, że ten człowiek jest tym, za kogo się podaje?

Ricky nie był w stanie odpowiedzieć.

– Tak właśnie myślałem. Ponieważ gdyby pan to zrobił, dowiedziałby się pan, że prawdziwy Zimmerman jest mniej więcej taki, jakim go panu przedstawiłem. Jediną różnicą było to, że to nie on do pana przychodził. A kiedy przyszła pora, żeby umarł, miałem już wszystko, czego potrzebowałem. Po prostu pożyczyłem sobie jego życie i śmierć. Ponieważ, doktorze, musiałem pana poznać. Musiałem pana zobaczyć i zbadać.

I musiałem to zrobić najlepiej jak się dało. Trochę to trwało, ale dowiedziałem się wszystkiego.

– Kim jesteś? – spytał Ricky.

– Tego się pan nigdy nie dowie – odparł mężczyzna. – Choć właściwie już pan wie. Zna pan moją przeszłość. Wie pan, gdzie się wychowałem. Wie pan wszystko o moim bracie i siostrze. Dużo pan o mnie wie, doktorze. Ale nigdy się pan nie dowie, kim naprawdę jestem.

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

Rumpelstiltskin pokręcił głową, jakby był zdumiony bezczelnością tego pytania.

– Zna pan odpowiedź. Dziecko, które widziało tyle zła wyrządzanego komuś, kogo kocha, które widziało tego kogoś załamanego i zrozpaczonego do tego stopnia, że musiał się zabić, kiedy dostało szansę zemsty, po prostu ją wykorzystało.

– Zemsta niczego nie rozwiązuje – powiedział Ricky.

– Odezwał się, niewiniątko – parsknął Rumpelstiltskin. – Jest pan oczywiście w błędzie, doktorze. Nie pierwszy raz zresztą. Zemsta służy oczyszczeniu serca i duszy. Istnieje, odkąd pierwszy jaskiniowiec zlaźł z drzewa i rąbnął w łeb swojego pobratymca z jakichś honorowych powodów.

Ale wiedząc wszystko o tym, co stało się z moją matką i jej trojgiem dzieci, dlaczego uważa

pan, że nie należy nam się nic od ludzi, którzy nas odrzucili? Dzieci, które nic nikomu nie zrobiły, ale zostały zlekceważone i zostawione na pastwę losu przez tylu ludzi, którzy powinni im pomóc, gdyby mieli w sercach choć odrobinę współczucia albo zwykłej ludzkiej życzliwości. Nic nam się za to nie należy? To najbardziej prowokujące z zadanych dotąd pytań.

Przerwał i wsłuchał się w milczenie Ricky'ego. Potem dodał zimno:

– Widzi pan, doktorze, prawdziwe pytanie, jakie stoi przed nami tej nocy, nie brzmi „dlaczego chcę pana śmierci?”, ale „dlaczego miałbym jej nie chcieć?” Na to również Starks nie miał odpowiedzi.

– Był pan zaskoczony, że zostałem zabójcą?

Ricky nie był zaskoczony, ale nie powiedział tego głośno.

Przez chwilę obaj milczeli, a potem, zupełnie jak w gabinecie, jeden z nich przerwał niepokojącą ciszę kolejnym pytaniem:

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego uważa pan, że nie zasłużył na śmierć?

Ricky wyczuwał uśmiech na twarzy mężczyzny. Bezduszny zimny uśmiech.

– Każdy zasłużył czymś na śmierć. Nikt nie jest bez winy, doktorze.

Ani pan. Ani ja. Nikt.

Rumplestiltskin zadrżał lekko. Ricky wyobraził sobie jego palce, zaciskające się na kolbie broni.

– Myślę, doktorze Starks – powiedział zabójca zdecydowanym tonem – że chociaż nasza ostatnia sesja była interesująca i chociaż panu wydaje się, że jeszcze dużo trzeba powiedzieć, czas na rozmowę upłynął.

Teraz pora, by ktoś umarł. Wszystko wskazuje na to, że będzie to pan.

Ricky tkwił wciśnięty w stertę gruzu, nie mogąc się poruszyć. Zaciśnął palec na spuście i powiedział wolno:

– Zapomniałeś o czymś. Doktor Starks już umarł.

Potem strzelił.

Wyglądało to tak, jakby mężczyzna zareagował na delikatną zmianę jego głosu, rozpoznał ostre tony w pierwszym słowie i zadziałał zgodnie z tym, jak został wyszkolony. Jego ruchy były szybkie, bez cienia wahania.

Kiedy Ricky nacisnął spust, Rumplestiltskin zgiął się, jednocześnie obracając tak, że pierwsza kula, wymierzona w środek jego pleców, trafiła go w łopatkę, a druga rozszarpała mięśnie prawego ramienia, z głuchym plaśnięciem wbijając się w ciało i z trzaskiem miażdżąc kość.

Ricky wystrzelił trzeci raz, lecz chybił; pocisk z wyciem zniknął w ciemności.

Rumplestiltskin zachłysnął się z bólu. Próbował unieść jeszcze broń zmasakrowaną ręką, podtrzymał ją drugą i potknął się, tracąc równowagę.

Ricky zamarł, widząc, jak lufa pistoletu podnosi się niczym łeb kobry, skacze w przód i w tył.

Ryk wystrzału wydawał się nierzeczywisty, jakby dotyczył kogoś innego, ale pisk przelatującej nad głową Ricky'ego kuli zabrzmiał na tyle realnie, by zmusić go do działania. Powietrze przeszył trzask drugiego strzału, a Starks poczuł ciepły podmuch, kiedy pocisk przebił luźno zwisającą z jego ramion pelerynę. Sapnął gwałtownie i ponownie wycelował, naprowadził lufę na twarz Rumpelstiltskina, który opadł przed nim na kolana.

Zabójca próbował się wyprostować, jakby w oczekiwaniu na ostatni śmiertelny strzał. Jego pistolet zwisał, trzymany skurczem palców, nieodpowiadających już na polecenia poszarpanych krwawiących mięśni. Mężczyzna podniósł drugą rękę do twarzy, jakby chcąc zasłonić się przed ciosem.

Adrenalina, gniew, nienawiść, strach, suma wszystkiego, co przydarzyło się Ricky'emu, zlały się w jedno, nakazując i nakłaniając, sięgając w głąb jego jestestwa i wykrzykując rozkazy. Ricky pomyślał szaleńczo, że oto właśnie zwycięża.

A potem zamarł, bo uświadomił sobie nagle, że nie jest w stanie zabić.

Twarc Rumpelstiltskina stała się biała jak padające na nią światło księżyca. Po jego ramieniu i piersi spływała krew. Jeszcze raz próbował podnieść pistolet, ale nie był już w stanie. Cisza, która zaległa po tym, jak umilkło echo wystrzałów, wydawała się niemal namacalna.

Ricky uświadomił sobie, że Rumpelstiltskin szybko wykrwawi się na śmierć. Tylko w filmach człowiek trafiony z bliska ma jeszcze siłę, by uciekać. Jego przeciwnikowi pozostało tylko kilka minut życia.

Ricky nie był w stanie patrzeć, jak umiera.

Wstał i skoczył do przodu. Kopnął pistolet poza zasięg ręki zabójcy, a swój schował do plecaka. Rumpelstiltskin wybełkotał coś, walcząc z gasnącą świadomością oznaczającą śmierć. Ricky nachylił się i objął go wpół. Podniósł z wysiłkiem zabójcę i przerzucił go sobie przez ramię.

Wyprostował się powoli, łapiąc równowagę, po czym ruszył chwiejnie do przodu. Co za ironia; oto zataczał się wśród zgliszcz, niosąc człowieka, który chciał go zabić.

Pot szczyptał go w oczy. Każdy krok był nadludzkim wysiłkiem. Czuł, że Rumpelstiltskin traci przytomność, i słyszał, jak jego oddech robi się świszczący, astmatyczny, zwiastujący śmierć. Ricky sam łąpczywie wdychał wilgotne powietrze, pracując uparcie przed siebie. To jedyny sposób, by dojść do wolności, myślał.

Zatrzymał się na skraju drogi i położył Rumpelstiltskina na ziemi.

Pospiesznie go przeszukał, ku swojej uldze znajdując telefon komórkowy.

Oddech zabójcy zmienił się w urywane krótkie spazmy. Ricky podejrzewał, że pierwsza kula rozprysnęła się na kości, a bulgoczący dźwięk pochodził z rozdartego płuca. Opatrzył rany

najlepiej jak umiał, a potem wykręcił numer pogotowia w Wellfleet.

– 911 Cape – usłyszał zdecydowany szorstki głos.

– Proszę słuchać uważnie – powiedział wolno, podkreślając każde słowo pauzą. – Powiem to tylko raz, więc proszę dobrze zrozumieć. Miał miejsce wypadek z bronią. Ofiara znajduje się na Old Beach Road, przy drodze dojazdowej do domu świętej pamięci doktora Starksa, tego, który spalił się w zeszłym roku. Leży na poboczu. Ofiara ma rany postrzałowe barku i prawego ramienia. Jest w szoku. Umrze, jeśli nie zjawicie się tu za kilka minut. Zrozumiał pan, co powiedziałem?

– Kto mówi?

– Czy pan zrozumiał?!

– Tak. Wysłałam karetkę. Old Beach Road. Kto mówi?

– Zna pan miejsce, które panu podałem?

– Tak. Ale muszę wiedzieć, kto mówi.

Ricky zastanowił się szybko.

– Nikt, kto byłby kimś.

Rozłączył się. Wyjął pistolet, wyłuskał z magazynka pozostałe pociski, rzucił je w las i położył obok rannego. Wyjął też latarkę, włączył ją i położył mu na piersi. Ricky podniósł głowę. Słyszał już w oddali wycie syren. Pogotowie znajdowało się zaledwie kilka kilometrów dalej, przy trasie numer 6. Dotarcie na miejsce nie powinno zabrać im dużo czasu.

Ricky domyślał się, że jazda do szpitala zajmie jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Nie wiedział, czy sanitariusze będą w stanie ustabilizować stan rannego ani czy lekarze na ostrym dyżurze będą umieli poradzić sobie z ranami postrzałowymi. Spojrzał jeszcze raz na zabójcę; nie był w stanie stwierdzić, czy mężczyzna przeżyje kilka następnych godzin.

Mógł przeżyć. Mógł umrzeć. Być może po raz pierwszy w życiu Ricky cieszył się ze swojej niepewności.

Syrena ambulansu wyła coraz bliżej. Odwrócił się i zaczął biec w drugą stronę, z początku wolno, potem coraz szybciej, w końcu pędził przed siebie jak sprinter, w równym rytmie uderzając stopami o powierzchnię drogi. Ciemność połykała jego obecność, aż w końcu ukrył się w niej zupełnie.

Ricky zniknął jak duch.

Rozdział 36

NIEDALEKO PORT-AU-PRINCE Słońce wstało jakąś godzinę temu. Ricky przyglądał się, jak mały zielony gekon biegnie po ścianie, z każdym krokiem przecząc prawu ciężenia. Zwierzątko poruszało się skokami, zatrzymując co chwila i nadymając pomarańczowe wole, podbiegając kilka kroków do przodu, znów stając, obracając głowę i wypatrując niebezpieczeństwa. Starks podziwiał cudowną prostotę codzienności gekona i zazdrościł mu jej: znajdź coś do zjedzenia i nie daj się zjeść.

Stary brązowy wentylator obracał się, skrzypiąc, pod sufitem. Ricky zsunął nogi z łóżka, słysząc jęk sprężyn. Przeciągnął się, ziewnął i przeczesał dłonią rzednące włosy. Założył znoszone szorty khaki i znalazł okulary. Wstał, nalał do miski wody ze stojącego na chwiejnym drewnianym stoliku dzbanka, ochlapał twarz, pozwalając wodzie spływać po piersi.

Pokój, w którym mieszkał, był prawie kwadratowy i surowy. Stiukowe ściany, kiedyś olśniewająco białe, przez lata wyblakły i nie różniły się już kolorem od ulicznego kurzu. Ricky nie posiadał wiele: radio, które wiosną transmitowało mecze na kanałach armii, trochę ubrań. Aktualny kalendarz z młodą nagą kobietą o zachęcającym spojrzeniu, z bieżącą datą zakreśloną czarnym kółkiem. Metr dalej wisiał drewniany, ręcznie rzeźbiony krucyfiks. Ricky podejrzewał, że należał do poprzedniego lokatora, ale go nie zdjął. Uważał, że zdjęcie symbolu religijnego w kraju, w którym religia na tak wiele dziwacznych i sprzecznych sposobów jest tak istotna dla wielu ludzi, przynosiło pecha, a jak dotąd na szczęście nie mógł narzekać. Zbudował pod ścianą dwa regały na książki. Oba zastawione były wytartymi książkami medycznymi i kilkoma nowymi opracowaniami.

Od praktycznych (Choroby tropikalne i sposoby ich leczenia) po bardziej ezoteryczne (Badania nad wzorami chorób umysłowych w krajach rozwijających się). Ricky miał gruby notes w skórzanej oprawie i trochę ołówków, których używał do zapisywania swoich spostrzeżeń i planów terapii, i które trzymał na małym biurku, obok laptopa i drukarki.

Nad drukarką wisiała lista hurtowni farmaceutycznych w południowej Florydzie. Miał też małą płócienną torbę, do której można było zapakować ubrania na dwu, trzydniową podróż. Rozejrzał się po pokoju i pomyślał, że to niewiele. Taki stan rzeczy odpowiadał jednak jego nastrojowi i poczuciu własnej tożsamości i chociaż podejrzewał, że z łatwością mógłby się przeprowadzić w o wiele ładniejsze miejsce, nie był pewien, czy by tego chciał, nawet po załatwieniu spraw, co miało mu zająć resztę tygodnia.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Od kliniki dzieliło go zaledwie pół przecznicy; widział już zbierających się pod nią ludzi. Po drugiej stronie ulicy znajdował się mały sklep spożywczy. Jego właściciel wraz z żoną, para niewiarygodnie grubych ludzi w średnim wieku, ustawiali właśnie skrzynki i beczki ze świeżymi owocami i warzywami. Parzyli też kawę. Jej zapach

dobiegł Ricky'ego mniej więcej w tej samej chwili, gdy żona właściciela odwróciła się i zobaczyła go stojącego w oknie. Pomachała mu wesoło, uśmiechnęła się i gestem wskazała bulgoczący na ogniu czajnik z kawą, zapraszając go na dół. Ricky pokazał jej kilka palców, dając do zrozumienia, że za chwilę zejdzie, a kobieta wróciła do pracy. Ulica zaczynała się już wypełniać ludźmi; Ricky podejrzewał, że czeka go pracowity dzień. Wczesnomarcowy upał mieszał się z zapachami bugenwilli, owoców z targu i ludzi, a temperatura podnosiła się wraz ze słońcem.

Ricky spojrzął na wzgórza poznaczone na przemian bujną, żywą zielenią i spłowiałym, wyschniętym brązem. Górowały nad miastem, a Ricky pomyślał, że Haiti to naprawdę jeden z najbardziej intrygujących krajów na świecie. Było to najbiedniejsze miejsce, jakie widział, ale jednocześnie najbardziej dostojne. Wiedział, że kiedy wyjdzie na ulicę i ruszy w stronę kliniki, będzie jedynym białym w promieniu wielu kilometrów.

Kiedyś czuł się z tego powodu nieswojo, teraz jednak rozkoszował się swoją innością i wiedział, że każdemu jego krokowi towarzyszy swego rodzaju tajemnica.

Najbardziej cieszył go fakt, że pomimo tej tajemnicy ludzie na ulicach akceptowali jego odmienność bez pytania. A przynajmniej nie zadawali mu pytań wprost, co, kiedy się nad tym zastanowił, było zarówno komplementem, jak i kompromisem, a on godził się na życie z jednym i drugim.

Zszedł na dół i dołączył do właściciela sklepu i jego żony, by wypić z nimi kubek gorzkiej mocnej kawy, gęstej i dosładzanej nierafinowanym cukrem. Zjadł kromkę upieczonego rano chleba i przy okazji obejrzał wrzód na plecach mężczyzny, który przeciął i odsączył trzy dni wcześniej.

Rana goiła się szybko. Przypomniawszy sklepikarzowi łamanym francuskim, żeby utrzymywał ją w czystości i zmienił opatrunek.

Mężczyzna skinął głową, uśmiechnął się, pogawędził chwilę o zmiennym szczęściu lokalnej drużyny piłkarskiej i ubłagał Ricky'ego, żeby przyszedł na mecz w przyszłym tygodniu. Drużyna nosiła nazwę Szybujące Orły i w każde spotkanie wkładała dużo sąsiedzkiej pasji, z bardzo różnymi i zdecydowanie nisko szybującymi wynikami. Sprzedawca nie zgodził się, by Ricky zapłacił za skromne śniadanie. Była to ustalona rutyna – Ricky sięgał do kieszeni, sprzedawca machał rękami i nie chciał przyjąć pieniędzy. Starks podziękował mu, obiecał, że przyjdzie na mecz, ubrany w zielono-czerwone barwy Orłów i szybkim krokiem ruszył do kliniki, czując w ustach mocny smak kawy.

Wokół wejścia zebrała się już grupa ludzi, zasłaniając ręcznie wypisany dużymi, czarnymi, trochę nierównymi literami szyld, który z paroma błędami głosił: Doktor Dumondais, doskonała klinika medyczna.

W godzinach od 7 do 19 albo na umówioną. Dzwonić 067-8975. Tłum rozstąpił się, by go

przepuścić. Wielu mężczyzn pozdrowiło go uniesieniem czapki. Ricky rozpoznał kilka twarzy stałych klientów i uśmiechał się do nich na powitanie. Twarze odpowiadały mu tym samym, a kilka szepnęło bonjour, monsieur le docteur. Uściskał dłoń staremu mężczyźnie, krawcowi nazwiskiem Dupont, który uszył mu beżowy lniany garnitur, o wiele bardziej elegancki niż potrzebował, po tym, jak Ricky sprowadził dla niego lekarstwo na artetyzm, który wykrzywił mu palce. Tak jak się spodziewał, lek sprawił cuda.

Kiedy wszedł do kliniki, zobaczył pielęgniarkę doktora Dumondais, potężną kobietę, wydającą się mierzyć metr sześćdziesiąt zarówno w pionie, jak i w poziomie. Dysponowała ona olbrzymią wiedzą na temat tradycyjnych leków i przepisów wudu, stosowanych na różne tropikalne choroby.

– Bonjour, Helene – powiedział Ricky. – Przybył tu dzisiaj cały świat.

– O, tak, doktorze, będziemy zajęci przez cały dzień... Ricky pokręcił głową. Ćwiczył na kobiecie swój wyspiarski francuski, a ona na nim swój angielski, przygotowując się na chwilę, kiedy uzbiera w zakopanej na grządce z ogórkami kasetce dość pieniędzy, by zapłacić kuzynowi za miejsce na jego starym kutrze rybackim, żeby zaryzykował i zawiózł ją do Miami. Tam chciała zacząć wszystko od początku, bo jak donosiły sprawdzone źródła, ulice w Ameryce zasłane były pieniędzmi.

– Nie, nie, Helene, nie doktorze. Mów mi „pan...” Nie jestem już lekarzem.

– Tak tak, panie Lively. Wiem, co pan mówi to tak często razy. Przepraszam, ponieważ zapominam znowu jeszcze raz... Uśmiechnęła się szeroko, jakby do końca nie rozumiała, o co chodzi, ale i tak chciała uśmieć się ze świetnego dowcipu Ricky’ego, który miał tak rozległą wiedzę medyczną i nie chciał, żeby nazywać go doktorem.

Ricky wierzył, że Helene przypisała to zachowanie dziwnym i tajemniczym kaprysom wszystkich białych ludzi i podobnie jak ludzie pod drzwiami, zupełnie nie przejmowała się tym, jak Ricky chce, by go nazywano.

Wiedziała swoje.

– Czy doktor Dumondais przyjdzie dziś rano?

– O, tak, panie Lively. W jego, hm, bureau.

– Biuro... – Tak, tak, j’oublie. Zapominać. Biuro. Tak. On tam jest. – Czeka na pana.

Ricky zapukał w drewniane drzwi i wszedł do środka. Auguste Dumondais, chudy mały człowieczek, który nosił okulary z podwójną soczewką i golił głowę na łyso, stał za swoim poobijanym biurkiem, naprzeciwko stołu do badań. Zakładał właśnie biały kitel. Spojrzał na Ricky’ego i uśmiechnął się.

– Ach, Ricky, będziemy dzisiaj zajęci, prawda?

– Oui – odparł Ricky. – Bien sûr.

– Ale ale, czy nie dzisiaj nas zostawiasz?

– To tylko krótki wyjazd do domu. Niecały tydzień.

Podobny do gnoma doktor skinął głową. Starks widział wątpliwości w jego oczach. Auguste Dumondais nie zadawał wielu pytań, kiedy Ricky przyjechał do kliniki sześć miesięcy temu, oferując swoje usługi w zamian za skromną pensyjkę. Klinika rozkwitła, kiedy Starks urządził sobie gabinet podobny do tego, w którym właśnie stał i namówił le docteur Dumondais'go do zainwestowania w nowy sprzęt i leki. Ostatnio rozmawiali o kupnie używanego aparatu rentgenowskiego, który Ricky znalazł na wyprzedazy w Stanach. Starks wiedział, że doktor obawia się, iż chwilowa fascynacja, która przywiodła Ricky'ego do jego lecznicy, któregoś dnia go z niej zabierze.

– Najwyżej tydzień. Obiecuję ci.

Auguste Dumondais potrząsnął głową.

– Nie obiecuj, Ricky. Musisz zrobić to, co musisz. Kiedy wrócisz, będziemy pracować dalej.

– Uśmiechnął się, jakby chciał pokazać, że ma ochotę zadać mnóstwo pytań i nie wie, od którego zacząć.

Ricky wyjął notes z bocznej kieszeni szortów.

– Jest taki przypadek... – zaczął wolno. – Mały chłopiec, którego badałem w zeszłym tygodniu.

– A, tak – uśmiechnął się doktor. – Oczywiście, pamiętam. Podejrzywałem, że cię to zainteresuje. Ile on ma, pięć lat?

– Trochę więcej – powiedział Ricky. – Sześć. I masz rację, Auguste.

Bardzo mnie zainteresował. Według jego matki nie wymówił jeszcze ani słowa.

– Ja też tak to zrozumiałem. Interesujące.

– Niezwykle. Tak, to prawda.

– A twoja diagnoza?

Ricky wyobraził sobie chłopca, chudego jak wielu wyspiarzy, trochę niedożywionego, co również było dość powszechne. Dziecko zerkało na niego ukradkiem, przestraszone nawet na kolanach matki. Kobieta płakała gorzko, kiedy Ricky zadawał jej pytania, ponieważ uważała chłopca za najbystrzejszego z jej siedmiorga dzieci. Szybko się uczył, szybko czytał, szybko liczył – ale jak dotąd nie odezwał się ani słowem. „To wyjątkowe dziecko, mówiła, pod każdym względem”. Ricky zdawał sobie sprawę, że cieszyła się ogólnym poważaniem z powodu swoich magicznych mocy i dorabiała na boku, sprzedając amulety, które podobno odczytniały zło.

Rozumiał, że przyprowadzenie dziecka do dziwnego białego człowieka w klinice musiało być dla niej trudnym krokiem, który świadczył o jej miłości do chłopca i frustracji z powodu nieskuteczności własnych metod.

– Nie sądzę, żeby to był problem organiczny – powiedział wolno Ricky.

Auguste Dumondais skrzywił się.

– Jego brak mowy jest... – Reakcją histeryczną.

Mały czarnoskóry doktor potarł podbródek i przesunął dłonią po lśniącej czaszce.

– Pamiętam coś o tym, odrobinę, ze studiów. Być może. Dlaczego tak myślisz?

– Matka wspominała o jakiejś tragedii. Kiedy był młodszy. Miała siedmioro dzieci, ale teraz tylko pięcioro. Znasz historię tej rodziny?

– Dwoje dzieci nie żyje. Tak. I ich ojciec też. Wypadek, przypominam sobie, w czasie wielkiej burzy. Tak, to dziecko też tam było, to też pamiętam. To może być przyczyna. Ale jaką terapię możemy zastosować?

– Ułożę plan, kiedy skończę badania. Będziemy musieli oczywiście przekonać matkę. Nie wiem, czy nam się uda.

– Czy to będzie ją drogo kosztowało?

– Nie – powiedział Ricky. Zdał sobie sprawę, że w prośbie Dumondais'go, żeby zajął się dzieckiem w czasie, kiedy planował wyjazd, jest ukryty motyw. Dość wyraźny, ale mimo to dobry. – Myślę, że przyprowadzenie go do mnie, kiedy wrócę, nie będzie nic kosztowało. Ale najpierw muszę się jeszcze dużo o nim dowiedzieć.

Doktor Dumondais uśmiechnął się.

– Doskonale – stwierdził, zawieszając na szyi stetoskop, i podał Ricky'emu biały kitel.

Dzień minął tak szybko, że Ricky o mało nie spóźnił się na lot CaribeAir do Miami. Biznesmen nazwiskiem Richard Lively, podróżujący z nowym amerykańskim paszportem, podstemplowanym zaledwie w kilku karaibskich państewkach, przeszedł szybko przez odprawę. Wiedział, że nie pasuje do żadnego oczywistego profilu przestępcy, które zresztą zaprojektowano tak, by wychwytywać przemytników narkotyków. Ricky pomyślał, że jest zupełnie niezwykłym kryminalistą, niepasującym do żadnej kategorii. Miał wykupiony bilet na lot o ósmej rano na La Guardię, więc noc spędził w Holiday Inn na lotnisku. Wziął długi gorący prysznic, który wydawał mu się niezwykłym luksusem po spartańskich warunkach, do jakich ostatnio przywykł. Klimatyzacja, która ochładzała jego pokój, była już zapomnianą przyjemnością. Ricky nie spał jednak dobrze; rzucał się przez dobrą godzinę, a potem dwa razy budził. Raz, kiedy przyśnił mu się pożar jego letniego domu, i drugi, kiedy śnił o Haiti i chłopcu, który nie potrafił mówić. Leżał w ciemnościach, zaskoczony wrażeniem, że pościel jest trochę za miękka, a materac za sprężysty, wsłuchiwał się w szum maszyny do lodu na korytarzu i kroki pod drzwiami, wytłumiane przez wykładzinę. W ciszy przypomniał sobie ostatni telefon, jaki wykonał do Wergiliusz, prawie dziewięć miesięcy temu.

Była północ, kiedy wreszcie dotarł do taniego pokoju na obrzeżach Provincetown. Czuł się jednocześnie wyczerpany i ożywiony, zachwycony myślą, że przeżył noc, choć powinien był zginąć. Opadł na łóżko i wykręcił numer jej mieszkania na Manhattanie.

Wergiliusz podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Tak?

– Nie tego głosu się spodziewałaś. – Cisza. – Twój brat adwokat też tam jest, prawda? Czeka na ten sam telefon.

– Tak.

– Niech też posłucha.

Po chwili Merlin podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

– Słuchaj – zaczął butnie – nie zdajesz sobie sprawy... Ricky nie dał mu dokończyć.

– Zdaję sobie sprawę z wielu rzeczy. A teraz bądźcie cicho i słuchajcie, bo od tego zależy życie nas wszystkich.

Merlin znowu zaczął coś mówić, ale Ricky wyczuł, że Wergiliusz uciszyła go spojrzeniem.

– Wasz brat znajduje się w tej chwili w Centrum Medycznym Mid Cape. W zależności od ich możliwości zostanie tam albo przewiozą go helikopterem do Bostonu na operację. Jeśli przeżyje, policja będzie miała do niego wiele pytań, ale sądzę, że mogą mieć problemy ze zrozumieniem, jakie przestępstwo zostało popełnione tej nocy. Będzie potrzebował wsparcia brata i siostry, których kocha, jak również porady prawnej, zakładając, że nie umrze. Więc myślę, że waszym pierwszym zadaniem jest zajęcie się tą sytuacją.

Oboje milczeli.

– Oczywiście decyzja należy do was. Być może zostawicie go, żeby radził sobie sam. Być może nie. To wasz wybór i będziecie musieli z nim żyć. Ale powinniśmy załatwić kilka innych spraw.

– Jakich spraw? – spytała Wergiliusz bezbarwnym tonem, starając się nie zdradzać emocji, co samo w sobie zdradzało tyle samo, co każdy inny ton.

– Najpierw zupełnie przyziemne: pieniądze, które ukradliście z mojego funduszu emerytalnego i kont inwestycyjnych. Zwróćcie tę sumę na konto Credit Suisse numer 01-00976-2. Zapiszcie. Zrobicie to natychmiast...

– Albo? – zapytał Merlin.

Ricky uśmiechnął się.

– Zawsze uważałem za truizm stwierdzenie, że prawnik nie powinien zadawać pytań, na które nie zna odpowiedzi. Więc zakładam, że odpowiedź na to już znasz.

To uciszyło adwokata.

– Co jeszcze? – spytała Wergiliusz.

– Zagramy w nową grę – powiedział Ricky. – Nazywa się „gra w przeżycie”.

Przeznaczona jest dla nas wszystkich. Będziemy w nią grali jednocześnie.

Cisza.

– Zasady są proste – powiedział Ricky.

– Jakie? – spytała cicho Wergiliusz.

Ricky uśmiechnął się do siebie.

– Kiedy wyjeżdżałem na ostatnie wakacje, liczyłem sobie od siedemdziesięciu pięciu do stu dwudziestu pięciu dolarów za wizytę. Średnio z każdym pacjentem spotykałem się cztery, czasami pięć razy w tygodniu, w sumie czterdzieści osiem tygodni w roku. Możecie to sobie przemnożyć sami.

– Tak – powiedziała. – Znamy twoje życie zawodowe.

– Świetnie – odparł szorstko Ricky. – A więc oto na czym polega gra w przeżycie: każdy, kto chce jeszcze pooddychać, zaczyna terapię. U mnie.

Płacicie, żyjecie. Im więcej ludzi wkroczy w bezpośrednią sferę waszego życia, tym więcej płacicie, bo będziecie kupować również ich bezpieczeństwo.

– Co to znaczy „więcej ludzi”? – spytała Wergiliusz.

– Zdefiniujcie to sobie sami – powiedział zimno.

– A jeśli nie zrobimy tak, jak mówisz? – zapytał ostro Merlin.

– Kiedy tylko pieniądze przestaną napływać, założę, że wasz brat wylizał się z ran i znów na mnie poluje. A ja będę zmuszony zacząć polować na was.

Przerwał, po czym dodał:

– Albo na kogoś wam bliskiego. Żonę. Dziecko. Kochanka. Partnera.

Kogoś, dzięki komu prowadzicie zwyczajne życie.

Znów zamilkli.

– Jak bardzo chcecie normalnie żyć? – spytał Ricky.

Nie odpowiedzieli na to pytanie.

– To mniej więcej taki sam wybór, jaki daliście mnie – ciągnął. – Z tym że tym razem chodzi o równowagę. Możecie zachować równowagę między sobą a mną, a równość tę będziecie sygnalizowali najłatwiejszą i najprostszą z rzeczy: wpłacaniem pieniędzy. Więc zadajcie sobie pytanie: ile jest warte życie, jakie chcę prowadzić?

Ricky odkaszlnął, dał im chwilę do namysłu i podjął:

– W pewnym sensie to takie samo pytanie, jakie zadałbym każdemu, kto chciałby rozpocząć u mnie leczenie.

Po tych słowach się rozłączył.

Niebo nad Nowym Jorkiem było czyste. Ze swojego miejsca przy oknie Ricky widział Statuę Wolności i Central Park. Samolot przeleciał nad miastem i podszedł do lądowania na La Guardi. Starks miał dziwne uczucie, że nie tyle wraca do domu, co odwiedza miejsce ze snu, jak obóz w lesie, w którym spędził nieudane lato jako dziecko, przepłakawszy całe narzucone mu przez rodziców wakacje.

Chciał działać szybko. Zabukował sobie ostatni lot do Miami tego samego dnia i nie miał zbyt dużo czasu. W wypożyczalni samochodów była kolejka i minęło ponad pół godziny, zanim

podstawiono wreszcie samochód zarezerwowany dla pana Lively'ego. Ricky używał swojego prawa jazdy z New Hampshire i pomyślał, że może przed powrotem na wyspy rozsądnie byłoby przenieść je fikcyjnie do Miami.

Dotarcie do Greenwich w Connecticut zajęło mu około dziewięćdziesięciu minut przy średnim natężeniu ruchu, ale przekonał się, że wskazówki z Internetu są dokładne do dziesiątej części kilometra. Rozbawiło go to, bo pomyślał, że życie rzadko kiedy bywa tak precyzyjne.

Zatrzymał się w centrum miasteczka i kupił butelkę wina. Potem pojechał na ulicę, która według rozdętych standardów jednej z najbogatszych społeczności w kraju, prezentowała się dość skromnie. Budynki były tu po prostu ostentacyjne, a nie obsceniczne. Te drugie zaczynały się kilka przecznic dalej.

Zatrzymał się na podjeździe stylizowanego na epokę Tudorów domu.

Z tyłu zobaczył basen, a od frontu wielki dąb, który jeszcze nie wypuścił liści. Marcowe słońce nie było dość intensywne, chociaż obiecywało już wiosnę, przenikając między nagimi konarami. To niepokojąca pora roku, pomyślał.

Z butelką wina w ręku zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu młoda kobieta. Miała nie więcej niż trzydzieści dwa, trzy lata. Ubrana była dzinsy i czarny golf. Jasne włosy odgarnęła do tyłu, ukazując delikatne zmarszczki w kącikach oczu i ust. Otworzyła szeroko drzwi, niemal szepcząc.

– Szzzz, proszę. Dopiero co położyłam spać bliźniaki...

Ricky uśmiechnął się.

– Muszą nieźle dawać się we znaki – powiedział uprzejmie.

– Nawet pan nie wie jak – odparła kobieta. – W czym mogę pomóc?

Ricky wyciągnął butelkę wina.

– Nie pamięta mnie pani? – spytał. Było to oczywiste kłamstwo; nigdy się nie spotkali. – Poznaliśmy się na przyjęciu z partnerami pani męża, jakieś pół roku temu.

Przyjrzała mu się uważnie. Wiedział, że odpowiedź powinna brzmieć „nie, nie pamiętam”, ale ponieważ była wychowana lepiej niż mąż, odparła:

– Oczywiście, panie... – Doktorze – powiedział Ricky. – Ale proszę mówić mi Ricky. – Uścisnął jej dłoń i podał wino. – Jestem to winien pani mężowi. Jakiś rok temu załatwialiśmy razem interesy i chciałem mu podziękować, a jednocześnie przypomnieć o sukcesie naszej sprawy.

Kobieta wzięła butelkę, nieco skonsternowana.

– Cóż, dziękuję panu, doktorze... – Ricky – powiedział. – Będzie pamiętała.

Odwrócił się i ruszył do samochodu. Zobaczył wszystko, co chciał zobaczyć. Merlin uwił dla swojej rodziny miłe gniazdko, obiecujące, że w przyszłości stanie się jeszcze miłsze. Ale tej nocy nie zaśnie. Ricky wiedział, że wino będzie miało dla prawnika gorzki smak. Tak działa

strach.

Pomyślał, czy nie odwiedzić również Wergiliusz, ale zamiast tego kazał dostarczyć tuzin lili na plan filmu, dużej hollywoodzkiej produkcji, w której dostała skromną, ale ważną rolę. Dowiedział się, że była to dobra rola, jedna z tych, które mogą zaprowadzić do o wiele większych i lepszych, chociaż wątpił, by zagrała kiedyś postać bardziej interesującą niż Wergiliusz. Białe lilie były idealne. Zazwyczaj wysyła się je na pogrzeby, z liścikiem kondolencyjnym. Podejrzywał, że ona o tym wie. Kazał zawinąć kwiaty w czarną satynę i dołączyć do nich kartkę, na której napisał:

Wciąż o tobie myślę.

dr S.

Stałem się zdecydowanie bardziej małomówny, pomyślał.